

Z I E M O W I T

S Z C Z E R E K

CHAM



Z



KULA

W

GŁOWIE



ZIEMOWIT SZCZEREK

CHAM Z KULĄ
W GŁOWIE

znak *litera
nova*

KRAKÓW 2020

*Zemsta, zemsta, zemsta na wroga,
z Bogiem, i choćby mimo Boga.*

KARY

Detektyw Franciszek Kary, tak, detektyw o krótkim i mocnym nazwisku, bardzo odpowiednim do powieści noir, wstaje nie tak znów rano, bo wie, że nie ma się po co spieszyć. Jest jedenasta, a Karego męczy lekki kac. Na szczęście nie jakiś tam wielki kac, nie kac imperator, nie car-kac. Kac, Kary, też jest elementem estetyki powieści noir, więc spokojnie. Alkoholizm, kac, wszystko mniej więcej w porządku. Nie ma się co martwić. Weź wzmacnianą tabletkę z kogutkiem, jak zawsze. Superkogutka. I jakoś to będzie. Jak zawsze.

Wstawaj, Kary.

Trupy nie będą na ciebie czekać.

Warszawskie trupy, idziemy w bój – chodzi ci po głowie nie wiadomo czemu, jak przebitka z ciemnej strony mózgu.

Po Warszawie grasuje Kuba Hieroglif.

Nikt nie mówi o niczym innym, tylko o Kubie Hieroglifie. Że strach po nocach wychodzić z domu, że nie wiadomo, kogo następnego zabije, że diabeł wcielony. Że nawet ludzie na najwyższych szczytach władzy nie mają przed nim ucieczki. Że nawet policyjni spirytyści i jasnowidze, pozostałości, ślepe kiszki, po dawnych, złych epokach (choć obecna jakoś nie lepsza), pojęcia nie mają nawet najbledszego, cóż to się dzieć może. Ale kiedyż oni mają jakieś większe pojęcie o czymkolwiek.

To akurat prawda. Ciebie też ten Hieroglif wkręcił, Kary. Jakim cudem jemu – albo im – to wszystko się udaje?

Dla władzy zresztą, myślałeś, taki Kuba Hieroglif jest idealnym wyjściem.

Przecież po tych jego morderstwach mało kto się już przejmuje czymś tak nieokreślonym i niewiarygodnym w zasadzie jak ultimatum dane Polsce przez jej własnych najbliższych sojuszników: Anglię i Francję. Owszem, Anglia i Francja nie żartowały. Dlaczego miałyby żartować. Ale z najeżonej zermackimi piramidami Dzielnicy Marszałka Piłsudskiego szedł jeden, nieustający przekaz: eee, dajcie spokój, naprawdę wierzycie, że nasza wielka siostrzyca Francja nas zbombarduje? Eee, że dumny Albion, w imię którego krew na Bałkanach przelewaliśmy? Niemcy – to tak, na szczęście na kawałki są rozbite. Jeszcze. Ale oni? Eee. I to za co, za Ukraińców? Za Szoszonów? Dajcie spokój, bądźmy poważni, wódz-marszałek Snardz i jego wierny adiutant Michał księżę, kurwa, Bycza Głowa-Dowkont całą sprawę w mig załatwią. A wy, obywatele, jak się nie macie czym martwić, to się martwcie Kubą Hieroglifem. Jest czym!

Patrzysz na mobil, przypominający elektryczną maszynkę do golenia obciążnik do kieszeni, miga czerwoną diodą, któż to tak cię kocha, że wali od rana połączeniami, które są, niebożęta, skazane o tej porze na nieodebranie?

Złota. A to nie. A to ona akurat cię nie kocha. I to jest akurat problem.

Oczywiście nie oddzwoniasz. Może nawet, ha, ha, będzie się o ciebie martwiła.

A ty masz kaca. Ot, zwykły, lekki kaczyk. Od przepalenia i od przepicia, którego, z powodu braku innego pomysłu na spędzenie wieczoru, dokonałeś w barze Syrena kilkaset metrów od domu, na Chłodnej 66, na tyłach Dworca Głównego.

Powoli otwierasz oczy, poduszka w czerwonej, miękkiej powłoczce przysłania ci swoją czerwienią całe pole widzenia, więc zamykasz oczy znowu. Do głowy przychodzą ci fragmenty wczorajszego wieczoru, jak okruchy potłuczonego kolorowego szkła: jeden bar, drugi bar, trzeci bar, sala z tyłu tego ostatniego baru, ze ścianami pomalowanymi na burdelowy, ciemnoczerwony kolor. Koka, papieros,

wóda, piwo. I abarot, Warszawa umie się bawić, Warszawa – Rio Północy, Berlin, Paryż i Londyn Wschodu, Nowy Jork pogranicza z czarną Sowietką za plecami, miasto, które nigdy nie śpi!

I miałeś szczęście, że nie obudziłeś się w areszcie, bo ledwo uciekłeś przed stójkowymi burymi, którzy cię wyświstali na tych swoich gwizdkach, jak się odlewał na placu przed Dworcem Głównym, pod Kolumną Zwycięstwa z obsraną przez gołębie Nike na szczycie, odlaną – jak mówi tradycja miejska i jak głoszą przewodnicy miejscy wycieczkom z prowincji – z dział zdobytych na pokonanych w 1939 roku Niemcach. Co zresztą jest nieprawdą, ale jakie to ma znaczenie. Ledwo uciekłeś, całe szczęście, miałeś wrażenie, że stójkowi też byli w tę noc pijani, zupełnie jak ty. Warszawa – Buenos Aires Słowiańszczyzny – swego tanga nikomu nie szczędzi. Na szczęście uciekłeś im. Skakałeś od chodnika do chodnika jak Człowiek Pająk z komiksów, wbiegłeś w ciemną i śliską Śliską, i tyle cię widzieli. Tylko poblask od wieżowców przy Jerozolimskich został na mokrym bruku starej ulicy. Zresztą słyszałeś, jak co najmniej jeden z nich się na tym śliskim bruku Śliskiej wypieprza z rozkosznym łoskotem i kurwą waszą, kurwą naszą, kurwą macią wszystkich Polaków na ustach. Kurwą macią, królową Polski.

Ech, Kary, baranie.

Wstawaj, twoje trupy czekają.

Wstajesz i podchodzisz do okna. Otwierasz je i ciągnie sierpniowym upałem, który zatyka ci oddech, patrzysz na ulicę i słyszysz, jak ktoś śpiewa pijackim głosem:

„Nie damy Śląska ani Pomorza, gdy nam je wola wróciła Boża”.

No tak, wczoraj było Święto Wojska Polskiego.

„Nie damy Wilna, nie damy Lwowa, bo to też nasza scheda ojcowa”.

Zamykasz okno.

No ale tymczasem, kochany, kaca masz. Kaca.

Opowiem ci wszystko, co wczoraj wyrabiałeś. Z mojego poduszczenia czy nie, bo przecież mój głos to nie jest jedyny głos, jaki słyszysz, nie, Kary?

Więc co robiłeś wczoraj, Franciszku Kary?

Pierwszy z trzech barów zeszłego wieczoru – Pod Blachą na bliskiej Woli.

To, można powiedzieć, twój bar, to bar, w którym, można powiedzieć, jesteś bywalcem. Tam zacząłeś. Tam zaczynasz i tam też kończysz, zaczynasz, wyłączisz, kręcisz się po śródmiejskich wyszynkach jak ta czarna bila po warszawskim bilardowym stole, by w końcu wrócić Pod Blachę jak ten syn marnotrawny, by wbić się do macierzystej łuzi. Bo Pod Blachą to jest świetny bar na zakończenie, bo długo jest otwarty, bo do rana właściwie, bo wódkę leją szczerze i barmaństwo oraz kelnerostwo zaprzyjaźnione, swoje, przyjemne, i towarzystwo, kapitał przybarowy, też własny, więc jest gdzie się dosiąść, jest czego posłuchać, jest o czym pogadać. Stary klimat, jeszcze z lat sześćdziesiątych chyba wystrój, te ściany w brązowych boazeriach, te stoliki, również brązowe, z zaokrąglonymi rogami, te dziodki z nosami głęboko w gazetach w dzień i ryczące wódczane warszawskie klasyki o apaszach, Frankach, Staszkach i Hankach w nocy.

I tam więc zaczynałeś, siedząc z grandą starych lokalnych bywalców, pocąc się w tym cholernym upale, bo choć Pod Blachą szerokoskrzydłe wentylatory miały gęsty papierosowy dym i żółte, jak się wydawało, upalne powietrze, robiły to z taką warszawkową nonszalancją, że wydawało się, że ruszają się tylko na odpieprz.

No więc siedziałeś w białym biciarskim podkoszulku z podwiniętymi dodatkowo krótkimi rękawami, siedziałeś, bracie, pośród przykurzonych dawnych aspirujących artystów i artystek, którzy niczego specjalnego się nie doaspirowali, i ciem oraz trutki barowych, również uroczu przykurzonych. Niektóre z tych artystek czy barowych ciem patrzą na ciebie, Kary, okiem łapczywym, bo chłop z ciebie niczego, niby czterdziestka na karku, ale pod twoim przegrywaczowskim, biciarskim onturażem czuć dawnego żołnierza, żołnierza Rzeczypospolitej, jak z okładki tejże gazety właśnie: „Żołnierz Rzeczypospolitej”, co to kioski i trafiki mają od państwa przykazane, żeby je wystawiać na stojaki.

Jest to tak zwany interwencjonizm państwowy w pozał się Boże wersji „późny Snardz”, bowiem „Żołnierz” musi być wystawiany na najlepszych miejscach, przy innych gazetach za grubą kasę wykładanych, czerwonek najczęściej, ryczących wielkim zdjęciem i tytułem WCIĄGNAŁ W KRZAKI I BIŁ, BIŁ, BIŁ, AŻ ZABIŁ albo CZY OWIANE TRUJĄCYM OPAREM TAJEMNICY SOWIETY SZYKUJĄ ARMIEŻ ZMUTOWANYCH BOLSZEVIKO-GORYLI, BY ZEMŚCIĆ SIĘ ZA ROK 1920-TY?, ewentualnie RITA SZPILKA POKAZAŁA WALORY. A obok tego dumnie się pręży z okładki „Żołnierza Rzeczpospolitej” rzeczony żołnierz, a to na Nowej Polsce, między palmami, a to upierdolony czarnoziemem niby nieboskie stworzenie gdzieś w okopie na Ukrainie, a to w pyle i brudzie, wynoszący zakrwawione członki współobywateli gdzieś z gruzów po zamachu zorganizowanym przez UPA w samym środku Polski. Zawsze się zastanawiałeś, Kary, jak to jest: wynosi taki żołnierz za urwane ręce chłopca z zawałonego budynku, a tu podchodzi fotoreporter „Żołnierza” i mówi: „Uśmiech! Ja jestem fotoreporter «Żołnierza Rzeplitej», masz pan sierżant szansę na okładkę”, i wtedy pan sierżant błysk białym zębem, prezentuj trup! I cyk!

Do ciebie jakoś nigdy fotoreporter „Żołnierza Rzeczpospolitej” nie podszedł, no, dopiero później, już na sali sądowej albo jak cię ewakuowali z Nowej Polski w kajdankach, no tak. Ale ty na okładkę nigdy nie trafiłeś, bo raczej nie tyle na bohatera polskiej armii wyszedłeś, ile na antybohatera, na zdrajcę, a wiadomo, co się w Polsce robi ze zdrajcami. I miałeś szczęście, że inne tak zwane zasługi ci trochę wyprostowały ścieżki, bobyś na dupie na Pawiaku, nie Pod Blachą siedział.

A tu, Pod Blachą, gdy już wysłuchałeś wszystkich nowin na temat Kuby Hieroglifa i narzekań na policję, że nic nie robi, żeby go złapać, słuchałeś historii, o której ostatnio zaczyna szemrać cała Polska (i która, myślałeś, Kary, ma potencjał przebić nawet bezkonkurencyjną sprawę Hieroglifa, nie wspominając o groźbach Aliantów wobec Polski): buntu psów przeciw panom. Polskich psów, oczywiście, przeciw polskim panom. Bo oto w niektórych okolicach, cóż poradzić, psy masowo zaczęły uciekać właścicielom. Tworzyć bandy, psią partyzantkę, i ludzi gryźć i szarpać. Naukowcy, psi socjologowie, czy jak tam się nazywają naukowcy w tymże

temacie wyspecjalizowani, nie mają pojęcia, co się dzieje. Władze zakazują o tym pisać, żeby paniki nie szerzyć, ale już kilka trupów co najmniej z tego wszystkiego się zrobiło.

I tam właśnie, pod tą Blachą, niedoaspirowana artystka rzeźbiarka Mona wam o tym opowiadała.

– Powariowały te kundle od tego upału – mówiła. – U nas w kamienicy jest jeden pan Stanisław, co jeździ do Kobyłki, do brata. Więc, rozumiecie, leci pan Stanisław na podmiejski na Wileński, siada, jedzie, a widzi, że wszyscy pasażerowie, mówi, kije mają ze sobą, niektórzy ciupagi, co sobie pokupowali na wywczasie w Zakopanem, ale takie naostrzone fest, a on jedyny – nic. Pyta ludzi, na co im to wszystko, a oni: „To coś pan, nie wiesz? To coś pan, głupi? Psy!”.

I faktycznie: na dworcu podmiejskim ludzie wyszli, szybko powsiadali w samochody, kto tam na nich czekał i podjechał, po kogo nikt nie podjechał – to w autobusy, ale Stanisław na piechotę, bo niedaleko ma do brata, co się będę, mówi, wygłupiał, idzie dalej, w stronę kościoła, a tu – mówi – jak nie wyskoczy stado i z ujadaniem na niego! Psia partyzantka, kurwa ich mać! I do pana Stanisława! Nogawki szarpać, a potem to już i żywe mięso! Padł pan Stanisław na ziemię, na szczęście jeden chłop jakiś, mówi, przybiegł z szablą, kurwa, oficerską, po cywilu był, ale w rogatywce, i krzyczy: ja żołnierz, krzyczy, co prawda rezerwy! Oślaniaj się pan! I ten Stanisław, przerażony, głowę pod rękę, psy mu palce szarpia! A ten żołnierz ciach! Kundelka jednego, drugiego szablą przez kark, tylko jucha poszła! Piszczą kundle i do swoich! A tam zza rogu wybiega tak jeszcze ze dwunastu chłopów, ten z kijem, ten z ciupagą, inny z maczetą fernandyńską, i na te psy! A psy na nich! Rozgorzał bój na ulicach Kobyłki, aż w końcu, pogryzieni, psy odparli i ten w rogatywce mówi: „Panie, teraz po prowincji bez broni to ani rusz! My tu mamy obywatelskie ruszenie obronne! Bunt psów, to pan nie wiesz?”.

– Coś słyszałem – mówi pogryziony pan Stanisław, wstając i się otrzepując z ziemi – ale nie wiedziałem, że aż takie psiejuchy zawzięte jak nasz papież na lewaka...

– To, panie, rewolucja, właśnie, jak bolszewicy, jak bunt Szeli – mówi ten w rogatywce, oficer rezerwy – jak dopadną człowieka, to zagryzą, rozszarpią, a jak jeszcze który dawnego pana pozna, co to był zły dla niego, wiadomo, jak to na wsi, to bez litości. Te psy to nawet dzieci porywają, niektóre zagryzają, a inne dzieci to i do tych psów przystają podobno, i razem z psami latają i gryzą...

– Eee, teraz to już, Mona, koloryzujesz... – przerwał jej facet, na którego mówiliście Honoris Klaus, wykładowca macimowy, dawniej zatwardziały nacjonalista i antysemita, który przeorientował się na komunizm, co mu bokiem wyszło, bo został za to komunizowanie wyrzucony z Uniwersytetu Warszawskiego z asystentury. – Dzieci w stadach, *Księga dżungli*, kurwa...

– Chyba *Księga lasów iglastych* – ktoś dopowiedział. – *Puszczy Kampinoskiej*.

– Tak mówił pan Stanisław, jak coś, to do niego z pretensjami – obraziła się Mona, rzeźbiarka. – Zresztą – dodała – Klaus, tobie, jako komuniście, to się akurat powinno podobać, że się do rewolucji nowy narybek przyłącza. Takie nagłówki na przykład sobie wyobraź: „Polskie dzieci wolą gryźć klasy posiadające niż batoniki Kasztanka”. Zdrowie psiej rewolucji! – Wzniosła szklankę z wódką z tonikiem o kuszącej zimnem nazwie Styczniowy.

– A ty nie jesteś komunistka? – spytał Honoris Klaus, zły trochę. – Ostatnio śpiewałaś po pijanemu, że „słuchaj, Jezu, jak cię błaga lud, ty w Warszawie rewolucję zrób”.

– Ja jestem wiosną socjalistka, latem anarchistka, jesienią faszystka, a zimą katoliczka, bo się o wiosnę modlę, a tej mi ani Lenin, ani Bakunin, ani dziodek Mussolini nie przyniosą – odpowiedziała Mona, lecz mało kto słuchał, bo już wszyscy, łącznie z tobą, szklanki do góry wznosili i krzyczeli: „Zdrowie psiej rewolucji! Niech żyje psia rewolucja!”.

Aż barman Czesław, który też był komunista, przyleciał z serwetą na ramieniu zdrowie wznosić, bo jak mówił, miał już nadzieję, że się w końcu co zaczyna.

A potem, gdy już towarzystwo za bardzo bełkotało, a ty nie, albowiem po kryjomu dofinansowywałaś sobie w toalecie szciodrze nos amfetaminą, poszedłeś

w obchód.

Poszedłeś do Syreny przy Dworcu Głównym, przed którą to Syreną stał jakiś młodzik z tabliczką z napisem KONIEC JEST BLISKO i deklamował z pamięci Apokalipsę Świętego Jana, co ci w pewien jednak sposób zaimponowało, a w tej Syrenie, pamiętasz, rozmawiałeś z nowym barmanem. O zamachach, o Zamachu oczywiście też, wielką literą, TYM Zamachu, o Rzezi, a gdy Kary słyszy o Zamachu, to nie jest w stanie nie myśleć o mnie ani o kuli tkwiącej w jego głowie, co w sumie zrozumiałe. I o metalowej płytce, która znajduje się, wmontowana w czaszkę, pomiędzy tą kulą a światem zewnętrznym, cóż poradzić.

Rozmawialiście o wojnie z Ukraińcami w Małopolsce Wschodniej, wiadomo. O tej wojnie to wszyscy mówią, wisi ta wojna nad Polską, nad Warszawą, nad wszystkimi miastami jak upiór. Barman sam był Ukraińcem, choć już od pokoleń warszawskim, więc mówił trochę półgębkiem, trochę racji przyznając tym, a trochę tamtym. Ty też, Kary, wiedziony wrodzoną chłopską sprawiedliwością, również przyznawałeś zawsze trochę racji jednym, a trochę drugim, i się okazało, że się robi całkiem nudno, bo się rozumiecie i zgadzacie, więc zmieniliście temat na ciekawszy. Na Kubę Hieroglifa, oczywiście.

I zaczęliście się przerzucać nowinkami. Że tutaj przeciek taki, tam śmaki. Że podobno to, co ten Kuba wyprawia, to zwykły człowiek nie da rady zrobić. Że dlaczego niby, Franek, pytał cię barman, władza ukrywa to, co ten Kuba Hieroglif zrobił z tymi ofiarami, które udało mu się zdjąć z wysokiej państwowej półki?

– Tajemnicza sprawa, tajemnicza sprawa, Franek, ja ci mówię, jak cię lubię – mówił barman.

W sumie dobrze, myślałeś, że się ten Kuba Hieroglif pojawił. Przynajmniej było o czym gadać po knajpach. W ten upał. Żeby cały czas o upale nie gadać.

Albo o polityce.

Bo jaka w Polsce polityka, to każdy wie: marszałek (tfu, jebać jego mamę) Snardz na czele, Bycza Głowa u boku i na księdza Skorupkę do przodu, pod krzyżem, przed siebie, przez łąki, przez pola, przez kapustę, przez buraki, na

czołgach: na ciężkich toporłach, na ludolach lżej opancerzonych, przez żyto, w szkodę czy nie w szkodę, byle gnać!

Tak to jest, jak się coś idiocie powie. „Są narody, które nie przechodzą dziejowej weryfikacji” – mówił ten kretyn Snardz w ostatnią rocznicę wzięcia Berlina. „My zdaliśmy nasze dziejowe egzaminy z wyróżnieniem!”.

No więc chce ci się rzygać.

Nie tylko tobie, Franc, ale chyba wszystkim już Polakom, i tym z prawa, i tym z lewa, i tym normalnym, z ulicy, też chce się od tej gadaniny rzygać, bo tak się akurat składa, że wielka siostrzyca Francja i wielki Brat Albion otwartym tekstem mówią, że jak nie przestaniemy awantażyc się na Ukrainie, to nam banie spuszcza na głowy – i tak się skończy wielka przyjaźń.

Nie dość, że się żar z nieba leje, to jeszcze, kurwa, bomby. No żeż ciężka cholera.

Więc poszedłeś, Kary, do Syreny. I piłeś, Kary, w tej Syrenie kolejne wódki, i pocierałeś szeroką bliznę z boku głowy, na skroni, pod którą znajduje się żelazna płytką zainstalowana ci rok temu w szpitalu Męczeństwa Polskiego.

– Cześć, Kary. – Poklepał cię nagle po plecach ktoś o głosie niskim, pięknym, niby aktor z teatru, a aktorzy z teatru mają to do siebie, że mają bardzo piękne głosy i pierdolą tymi pięknymi głosami straszne głupoty. – Cześć, Kary, kogo ja widzę, proszę bardzo, sam zdrajca narodu! Chodź, pozdradzamy razem!

Nie byłeś, Kary, w najlepszym sosie i ogólnie rzecz biorąc, najchętniej byś się odwrócił i bez patrzenia walił w mordę, po pierwsze, za to klepanie, bo co to, kurwa, za klepanie, po drugie, za to bezceremonialne gadanie o zdradzie, ale ten głos, niski, piękny, jednak cię przed tym powstrzymał. Zaciekawiał.

Jeśli to jakiś aktor faszysta – błysnęło ci w głowie – to zawsze zdążę po pysku dać. Odwróciłeś się razem ze szklanką trzymaną w dłoni, zastanawiając się tylko, czy walić szkłem po ryju (co będzie się wiązało z koniecznością opuszczenia miejsca zdarzenia i – ogólnie – spaleniem lokalu), czy tylko chlusnąć wódką w twarz i ewentualnie poprawić płaskim.

No proszę.

Twój daleki rasowy znajomy, jeden z tych młodych szlagonków, Gucio, przypominałeś sobie, czy tam Bodzio. Arystokratów, którzy poprzenosili się do Warszawy z upadających wiejskich majątków. W których pośród rdzewiejących dziadowych szabelek i rozpadających się obór, zagród, stajni, stróżówek, kredensów zajmowali się polowaniem po okolicznych lasach, coraz częściej noszącym cechy kłusownictwa, bo młodym już nie zawsze się chciało przestrzegać form i formuł i coraz częściej wybierali się nagazowani jak małpy z flintą do lasu i walili, do czego (a czasem kogo) popadło. Albo molestowaniem służby obojga płci, piciem z lokalnym księdzem, nauczycielem, aptekarzem, lekarzem, biznesmenem, bogatszym postchłopstwem i kim tam jeszcze. Więc nic dziwnego, że z tych dworków, w których dostawali ciężkiej kurwicy, przenosili się coraz bardziej masowo do miast. Nie że wszyscy są jeszcze w Polsce naszej rasowi ziemianie, że za skarby świata dziedziny swej pradiadowej nie opuszczą i nie porzucą cmentarzy, na których w eksponowanych miejscach leżą i odpadają od własnych kości ich praszczurowie. Wcale nie tak równi z plebsem po śmierci, klasistowcy i w grobie, chujże im na herby rodowe i pierścienie.

No ale wielu nie ma ochoty wieść życia zanikających narządów typu kość ogonowa czy ślepa kiszka – i wyjeżdżają do miast. I wśród tych ziemian są właśnie tacy jak Gucio czy Bodzio, szlagonki udające och, tak bardzo demokratycznie zintegrowanych z plebsem takim jak ty. Szczególnie w tak zwanych modnych miejscach, w których toczy się nocne życie miasta stołecznego.

Ach, ci szlagoni. Niezależnie od stopnia integracji i, o mój rozmarynie, deklarowanej demokratyzacji nigdy, ani na sekundę, nie zdejmują rodowych sygnetów z palców. Wszak Adam Asnyk powiedział: „Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy, choć macie sami doskonalsze wznieść”. Zresztą poza wyjątkami, takimi jak nasz Gucio (czy Bodzio), są często – mimo wszystkiego, co zostało powiedziane – prawicowymi, nacjonalistycznymi szowinistami.

Właściwie to lubiłeś szlagonka Gucia (chyba bardziej jednak Bodzio niż Gucio, pomyślałeś), choć zastanawiałeś się, czy faktycznie go ot tak, po prostu, po ludzku

lubisz, czy trochę jakoś, kurwa, podziwiasz ze swojej chłopskiej, chamskiej perspektywy jego rasowość. Jego szlagoński, arystokratyczny styl. Bo, kurwa, styl to oni mieli. Musiałeś to przyznać. Kurwa mać, ten Bodzio, myślałeś, to się nawet pocił z klasą. Nic nie mogłeś poradzić na to, że przy tych pierdolonych szlagonach to mogłeś jedynie w poczuciu własnej, chłopskiej beznadziei zakładać te swoje battledressy, nosić te skórzane kurtki, podwijać rękawy podkoszulków, układać włosy na biciarza i grać wielkiego cynicznego dekadenta. Bo co ci pozostało. Ani stylem, ani klasą nigdy się do nich, Kary, chamie, chłopie ze wsi, nie zbliżysz. Być może powinieneś być na siebie zły za tę swoją psychologiczną poddańczość, ale miałeś to gdzieś. W końcu, kolego, nauczyłeś się już dawno obserwować samego siebie z dystansu, patrzeć na swoje emocje jak na obiektywnie dziejące się fenomeny naturalne, najczęściej jednak, przyznaj, naturalne klęski: powodzie, trzęsienia ziemi, takie tam. Cóż ty, biedny Kary, mogłeś poradzić na to, że takim cię stworzyła natura i nieistniejący Bóg. Czy tam wiril. Czy bogowie. Zależy kto w co. I szczerze mówiąc, gdyby nie to, twoja psychika już dawno by siadła. Padła. Rozwaliła się na kawałki jak dziecinny robocik spadający ze stołu. W końcu jeśli się człowiek czegoś uczy o sobie, spędzając czas w błotnistych dziurach pod tropikalnym deszczem czy zasmrodzonych celach Rzeczypospolitej, to tego, że najbezpieczniej obserwować samego siebie niby mysz w klatce.

– Siadaj, Bodziu – zaryzykowałeś więc, pokazując wolny stołek barowy obok ciebie i obserwując siebie niby tę mysz.

– Guciu – poprawił zdziwiony nieco Bodzio.

– Guciu – poprawiłeś się.

Gucio usadowił się przy barze i zamówił czystą na lodzie. Patrzyłeś na niego ukradkiem, z boku. Na jego pysk gładko golony, podobny trochę, jak tak się zastanowić, do maski mercedesa zet. Na jego wystudiowaną, ale wyglądającą na nonszalancką fryzurkę, na te włoski opadające na czoło.

Hrabia Gucio rozglądał się po barze.

– No – powiedział, tocząc okiem po stolikach – przegląd mord i typów to my tu dzisiaj mamy jak u grubego Joska przy ulicy Gnojnej.

– No tak. – Pokiwałeś, Kary, głową. – Jak się myśli, że się przychodzi do zoo, to się widzi małpy, a nie ferajny kwiat.

Gucio albo cię nie usłyszał, albo usłyszał, ale nie przydał temu znaczenia, i twoje chłopskie, chamskie słowa przeleciały przez niego jak kula przez prezydenta Wieniawę. Możesz wyciągnąć panka z folwarku, ale nie wyciągniesz folwarku z panka, Kary.

– Patrz na tamtych fetów. – Guccio pokazał ci jakichś siedzących w kącie typów o twarzach jasełkowych łotrów, którzy za parawanem kufla piw i kieliszków wódki chyliłi ku sobie głowy i naradzali się szeptem. – Jak to mówią sowieciarze, *ljetu, wsje pry kastietach*. Patrz, jacy zakonspirowani. Pewnie mają tę, no, dintojrę. – Słowo „dintojra” wypowiedział z zabawnym naciskiem i namaszczeniem.

Roześmiałeś się.

– No. Wendette – odpowiedziałeś, zaznaczając to podwójne „t”.

– „Krwawą rozprawę”, jakby to napisał „Kurier”.

– Albo „apaszowską rozprawę nożową”, jakby powiedzieli varsavianiści.

Gucio też zachichotał.

– Wy, szlagonki, byście mieli „sprawę honorową” – dorzuciłeś, a Guccio znów się uśmiechnął.

– Honorowo-gardłową. A wy, chłopci, cepową.

– My byśmy mieli mordobicie.

– Które prasa opisałaby jako rękoczynny, a wy byście się śmiali, bo tu takie uczone słowa, a wy po prostu przecież daliście sobie po ryjach.

I tak sobie gadaliście. Lubieś szlagona Bodzia, mimo wszystko, Kary. Znaczy Gucia. I miałeś nawet do siebie o to niejake pretensje. Niewielkie, ale zawsze.

Po drugiej wódce zaczął ci Guccio opowiadać o Farudze. O jego dziwnej okultystycznej sekcji, o której w Warszawie było głośno, bo ten Faruga wziął się nie wiadomo skąd, niektórzy mówili nawet, że nie jest człowiekiem. Że z kosmosu.

Ale najczęściej mówiło się, że po prostu z Sowiecji, jako jeden z tych dziwnych humanoidów, które gdzieś tam pod tym sinym niebem, zmieszonym z dymami i smogiem wiecznej i diabelskiej industrializacji, powstają. Synów mistycznego komunizmu, z matki Rosji i z ojca Związku Radzieckiego, gdzie nauka poszła w parę z okultyzmem, czarną magią i słowiańską mistyką, i teraz już sam czort nie ma zielonego pojęcia, co tam się może wyprawiać, bo kraj zamknięty od dekad na trzy spusty.

Faruga. Mówiło się, że wskrzesza martwych, że daje oświecenie i nowe życie. Gucio był ewidentnie Farugą zafascynowany. Szukał dojść. Mówił, że to coś nowego, że już jest zmęczony jednostajną atmosferą w Polsce, męczącą, tym pierdoleniem o sile, chwale, piędzi i rubieży prawie od wieku, o mocarstwowości, mówił, rzygał już tym. Bóg, tradycja, wiril formodawca, tu faszyci, tam krwioziemcy w maskach Mickiewicza, poganie, komuniści, tu demokraci, tam sraci, tu katolicyzm, tam ateizm. A ten Faruga, mówił, nawet jeśli to wszystko to jeden odpust, to przynajmniej coś nowego. Kiwał głową, słuchając Gucia.

– Robiłem Farugę – rzuciłeś w końcu, ot tak od niechcienia, miało być nonszalancko i rasowo, ale to zdziwiony Gucio na ciebie bardziej rasowo i nonszalancko spojrzał. Jebany.

– Co? Jak to? Ruchałeś go? – Zaśmiał się. – Jebałeś Farugę?

– Rozpracowywałem – odpowiedział. – Wiesz – postawiłeś kołnierz skórzanej kurtki – jestem detektywem. Z powieści noir.

– Aaa! – Pokiwał głową. – I co? To znaczy, że masz kontakt? Namiar?

– Jakiś mam – odpowiedział.

– Widziałeś go? – podniecał się Gucio, aż w swoim głupkowskim zachłyśnięciu stracił trochę swojej rasowości, ku twojej uldze. – Człowiek to jest?

Trochę wręcz, pomyślałeś, chłopsko zabrzmiał. Jak taki chłop stereotypowy, z palcem zaślinionym w gębie. Poprawiło ci to humor.

– Nie, nie człowiek. – Roześmiał się. – Wielki Przedwieczny, kurwa, sprzed eonów. Cthulhu dobrodziej we własnej osobie.

– Kto? – Bodzio, to znaczy Gucio, zamrugął.

– Miałem zlecenie – zignorowałeś to jego mruganie – żeby znaleźć jedną dziewczynę, z przemysłowskiego domu, którą tam wwiedli. Zlecenie. Wiesz, historia jak z kryminalów: dziewczyna spotyka przystojnego faceta, dżentelmen, jakby prosto z katalogu wysyłkowego dla ziemiaństwa, inteligentny, rasowy – powiedziałaś to słowo, jakby je podkreślając, zupełnie nieświadomie, co ci trochę, hm, ten dopiero co poprawiony nastrój znów zepsuło. – No i stopniowo, krok po kroku, nasz tajemniczy nieznajomy ładuje ją w sektę. Dziewczyna zaczyna się dziwnie zachowywać, przyjaciele się martwią, rodzina się martwi, ojciec dzwoni do nas, do firmy, no więc ja wchodzę i działam.

– No i? – Gucio miał oczy jak koła młyńskie. – Ten dżentelmen to był właśnie Faruga?

– Nie, jakiś jego podchujnik. Faruga jest na ołtarzach, on się do takich rzeczy nie zniża.

– I co się okazało?

– Nic. Udało mi się wysledzić miejsce, w którym się spotykali i urządzali te swoje seanse, z ożywianiem trupów, oświecaniem, kontaktami z duchami przodków i tak dalej, ale nakryli mnie jacyś cerberowie, a oni, powiem ci. – Roześmiałaś się. – Faktycznie nie wyglądali na ludzi, tylko na jakieś cybergoryle spod czerwonego Uralu. Czy skąd tam. Udało mi się im wyrwać, z ledwością, a wiesz, mnie – co by nie mówić – niezbyt łatwo położyć...

Szlagonek Gucio z szacunkiem kiwnął głową. Widział cię kiedyś, Kary, w akcji, jak kładłeś, pijany, kilku fetów naraz. Szkoła spadochroniarska, Kary, mistrzostwo w PSWB korona. Przy czym to, co widział Gucio i co zrobiło na nim tak wielkie wrażenie, dla ciebie, Kary, zdrajcy, bo zdrajcy, ale jednak komandosie Rzeczypospolitej, wyszkolonym w pieswybie, było rzeczą, którą mógłbyś zrobić jedną ręką i przez sen.

– I co dalej? – pytał szlagonek Gucio.

– Nic. Nie udało im się mnie rozwalić, uciekłem im, to się gdzieś przenieśli, bo się pewnie bali, że polecę na policję i im wjedziemy na kwadrat z adamami burymi. Naraziłem ich na koszty, więc mnie pewnie nie lubią. – Roześmiałeś się.

– A potem już ich nie szukałeś?

– Nie – odpowiedziałeś. – Sprawa rozwiązała się sama. Dziewczyna, którą omotali, zupełnie niezależnie od toku głównej akcji spadła ze schodów i się zabiła. Jak rzekomo Hitler w trzydziestym dziewiątym. Przypadki chodzą po ludziach.

– A ty sam... nie byłeś ciekawy? – zapytał Guccio.

Wzruszyłeś ramionami. Nonszalancko, oczywiście. Byłeś, jasne, ale cóż – robota się skończyła, a ty jakoś nie miałeś ochoty ani energii ciągnąć jej na własną rękę. To był twój problem, Kary, generalnie, przyznaj. Miałeś psychiczną siłę robić głównie rzeczy, które robić musiałeś. Na pozostałe zwyczajnie ci jej brakowało. Nazywa się to depresja, jasne, i nawet bierzesz na to lekarstwa, które wyłudziłeś od znajomego psychiatry. Zresztą ten psychiatra również je brał, i również, na twój obraz i podobieństwo, zalewał je wódką w Pod Blachą, choć tobie stanowczo to odradzał. Ale żarłeś równoległe takie ilości kokainy, amfetaminy i alkoholu, że działanie tych antydepresantów bywało dla samego ciebie zaskoczeniem. Psychiatra nazywał się Aaron Majewski i – jak twierdził – jego „melancholia” była spowodowana przez jego „kulturowe wykorzenienie”, bo o ile pradziadkowie Majewskiego wychrzcili się, a dziadkowie i rodzice przeżyli całe długie życie warszawskich mieszczan jako Polacy, o tyle on odrzucił gojowskie imię Tadeusz, nazwał się Aaronem i powrócił do żydostwa. W którym już go jednak od dwóch pokoleń nie było i w którym nie miał zielonego pojęcia, jak się poruszać.

– Nawet żydłaczyć, kurwa, nie umiem – ponuro narzekał psychiatra przy stoliku, a wielkie i basiste było z niego chłopisko. – Żydowskiego się nauczyłem, nawet, kurwa, hebrajskiego, a po polsku nie umiem gadać jak normalny Żyd. Chyba, kurwa, do Erec Israel wyjadę, bić się z Arabami i co jakiś czas z Anglikami. Tylko że tam gorąco, a jak ja mam być, kurwa, melancholikiem w upałach? Smutek tropików mam uprawiać?

Kiwałeś, Kary, głową, podsuwając mu do podpisania receptę na dobrostanol.

– A dasz mi jakiś kontakt? – zapytał Gucio. – Na tego Farugę? Bo ja też bym chciał, wiesz...

– Ależ wy jesteście głupi – westchnąłeś. – Warszawka modna, mond, kurwa. No ale co? Nie masz kolegów szlagonków? Wszyscy z tak zwanych elit się tam garną, nikt ci nie może powiedzieć?

– Przecież wiesz, że to sam Faruga wybiera uczniów – powiedział ze smutkiem Gucio. – A tych, których wybierze, dotyczy przysięga taje...

– Gutek! – krzyknął ktoś ode drzwi. Odwróciliście się w tej samej chwili. – O, i ty, Kary! Cześć!

– ...mnicy – dokończył cicho Gucio, cokolwiek przygaszony.

Westchnąłeś.

Gucio, jak wielu szlagonków, w dodatku ze środowisk, które bardzo lubią określać się jako „kreatywne” (bo szlagon Gucio był dziennikarzem kulturalnym „Gońca Warszawskiego”), miał swojego przydupasa, Sancho Panse, który włóczył się za nim jak wierny giermek za swoim panem. Oni – to znaczy zarówno szlagonkowie, jak i przedstawiciele „środowisk kreatywnych” – zawsze dobierają sobie przydupasów tak, żeby wyglądać przy nich godniej.

W tym konkretnym przypadku przydupasem był Maciej, o nazwisku, którego nie byłeś sobie w stanie przypomnieć, w każdym razie szeroko zwany z jakiegoś powodu Tolem. Tolo był, jak na Sancho Panse przystało, niski i perkaty. Również uważał się za arystokratę, czego miał dowodzić noszony na palcu serdecznym sygnet z herbem Radwan (który zresztą w ogóle do Tola nie pasował, bo sam Tolo był jak z mąki zrobiony, mączny był, bułeczny, a sygnet – stary, zaśniedziały, nawet jakby cięty czymś przez herb), tylko nie bardzo umiał podjąć decyzję, na kogo chce pozować. Na arystokratę, artystę czy fetniaka. Na szyi więc Tolo herbu Radwan nosił jakieś kolorowe chusteczki mające go, jak rozumiał Kary, upodobnić do człowieka bohemy. A jako że nic w nim w ogóle do niczego nie pasowało, to i te kolorowe chusteczki nie do końca pasowały do niebieskiego światła kiblowej

jarzeniówki, bo od razu jak tylko Tolo przyszedł, to się pochwalił, że ma amfetaminę, i poszliście wciągać amfetaminę do kibla, i na tych chusteczkach się Kary koncentrował, a nie na tym, o czym opowiadał Tolo, krusząc grudy sygnetem – że podobno policjanci mają już tych, którzy pozabijali nacjonalistów pod Radomiem, w tym księdza Krenca, bo, Kary, dobrze wiedziałeś, że nie mają.

Ale jako że ksiądz Krenc, faszystowska, antysemitka pokraka, był też przy okazji podporą i ostoją ziemiaństwa na Radomszczyźnie, to Kary się nie dziwił, że Tolowi temat był mocno bliski. Ziemianie mieli dziwne skłonności do takich paskudnych postaci. Panek zawsze pozostanie pankiem – myślałeś, Kary, jadownice – choćby se obwiązał szyję pindziesięcioma chusteczkami.

Szlachcic Tolo, w każdym razie, po tym jak skończył gadać o księdzu Krenku, przeszedł na terkotanie o jakichś idiotycznych plotkach z wielkiego świata, nadużywając przy tym nazwisk ludzi, których niby Tolo znał, a Kary ani nie znał, ani znać nie zamierzał. Przy czym starał się Tolo posługiwać czymś, co uważał za „warszawską mowę”, a co brzmiało jak karykaturalna esencja wyciągnięta z Wiecha i jego epigonów. Mówił więc „znakiem tego”, szeleścił jak idiota, w zbitkach takich jak „proszę ciebie” z „sz” i „ci” robiąc jakieś mlaszcząco-syczące ćmoki. Mówił „jechałem Poniatoszczakiem”, „szedłem na Piłsudszczak” i Kary się cieszył, że na amfetaminę, którą wciągają, nie mówi, na przykład, „amfoszczak”, mlaszcząc, świszcząc i dodając „znakiem tego”. Plac Wilsona, gdzie miał „panienki”, oczywiście wymawiał przez „w”, jak, kurwa, prawdziwy warszawiak, tak jakby od kilkudziesięciu lat ludzie się nie nauczyli, jak się wymawia angielskie nazwiska.

Guciovi ewidentnie było trochę wstyd, i za gadaninę Tola, i za jego ogólną prezencję, i za zachowanie, próbował więc to wszystko zatuszować. Zgasił Tola paroma cierpkimi uwagami, sam się wziął za dzielenie kresek w kiblu, odsuwając Tola biodrem (rasowym – pomyślał Kary), i zaczął opowiadać o amerykańskim, hipsiarskim rytemblusie, że uwielbia jego murzyńską uczuciowość i „swego rodzaju antyintelektualizm”, bo, według niego, „niszczącym ją wszechintelektualizmem przesiąknięta jest Europa od dawna i bardzo od niego

potrzebuje oddechu”, „takiego wiesz, Kary, bez myślenia, żeby, kurwa mać, odpocząć, żeby dać mózgowi odetchnąć”. Mówił, że widzi tutaj, „między tymi uduchowionymi murzynami i hipsami”, paralele z polskim chłopstwem, które też, wywodził, czapkę na ziem ciśnie, krzyknie „ech!” i rzuci się tańcować albo się bić. I, mówił, może dlatego, wywodził, na wsi polskiej tak dobrze się przyjęły rytemblus, kantry i tak dalej.

A Tolo, ewidentnie po to, żeby zrobić mu przyjemność, zaczął śpiewać: „Łoj dana, łoj dana, Jezus cierpiał łod rana, łoooj, taki smutny dzajw”, ludowego blusmena Józka Zarychty. Miałeś ochotę kazać mu się zamknąć. No ale amfetamina była jego, cóż poradzić.

No a jak już pokruszyliście grudy amfetaminy sygnetem z tym herbem Radwan (zapamiętałeś, Kary, był to bowiem taki sam herb, jaki miała rodzina Lasotów, której przodkom twoi z kolei przodkowie musieli służyć jako chłopci pańszczyźniani we wsi o dziwnie klasycznej nazwie Kalwaria. I który to herb wisiał nad wejściem do kalwaryjskiego kościoła), gdy Tolo zlizął z sygnetu obrzydliwym, tłustym jęzorem to, co się do niego przykleiło, wróciliście pić kontuszówkę, a potem przypomniał sobie Gucio, że ma przecież jeszcze kokainę. Walić kokę po amfie i wódce nie miało już sensu prawie wcale, ale jak tak się zastanowić, to generalnie wszystko w życiu jest bez sensu, więc co tam.

Kokaina gryzła w nos, sprawiała, że drętwiały ci, Kary, wargi, pachniała swojsko chrzanem, ale głównie rozdrażniała. I chyba właśnie to cię uratowało przed jeszcze większym kacem, bo wyszedłeś, Kary, w końcu z knajpy, znudzony tym własnym rozdrażnieniem, gadaniną Gucia (czy Bodzia) i bezsensownym waleniem kolejnych kontuszówek.

I wtedy zapanował kolor ciemnogrnatowy, zimny, chłodny kolor warszawskiej letniej nocy, rozświetlanej trochę nad Dworcem Głównym jaskrawymi neonami, w tym biało-czerwonym. Neon ten od czasów, jak to się pisze, „restytucji władzy Narodu” wysławia rządzący Obóz Narodowy i jego przywódcę, prezydenta marszałka Jeremiego Snardza, i głosi nie do rymu, za to tradycyjnie: „NIKT NAM

NIE ZROBI NIC, BO Z NAMI OBÓZ NARODOWY I MARSZAŁEK SNARDZ”.

Warszawskie trupy, nuciłeś, Franc, idziemy w bój, bo nie wiadomo, skąd ta melodyjka wymyślona płytki ci się w mózgu czepiła, idziemy w bój.

Nad Warszawą walczyły ze sobą dwie zorze, dwie miejskie, ryjące czarne niebo, dzielnice wieżowców i drapaczy: jedna, jak się mówiło: „żydowska”, i druga – „polska”, „szukalska”, rażąca światłem bijącym od wieżowców o przedziwnej architekturze budowanych wzdłuż torowiska w stronę Nowej Ochoty i Czystego. Ta „polska” wyglądała niesamowicie i właściwie to ją bardzo lubiłeś.

Piramidy, to egipskawe, to azteckawe, to znów pełne jakichś innych egzotycznych odniesień. Gigantyczne obeliski wyrte piktogramami w stylu późnej szukalszczyzny – bo cała ta Nowa Warszawa, jak ją nazywano, uzyskała taki kształt, jaki uzyskała, właśnie dzięki przyjęciu zermatyzmu jako państwowo uświęconej ideologii. W czasach, gdy Stanisław Szukalski był nadministrem kultury i polskim mężem opatrnościowym. Pamiętasz jeszcze, Kary, z dzieciństwa jego natchnione przemowy z czasów, gdy Polska otworzyła się na zasady amerykańskiej liberalnej gospodarki i gdy do Polski zaczął napływać kapitał, ale wykwitom tego kapitału należało, jak wymagał tego nadminister Szukalski, „nadawać polską formę”. Każdy, kto inwestował, musiał budować tak, jak chciał Szukalski. Czyli w gruncie rzeczy tak, jak Szukalski zaprojektował, bo człowiek ten swojej obsesji nie odstępował na krok, a wpływ na wszystko musiał mieć ostateczny. A polska forma, zgodnie z jego naukami, była formą światową. Bo przecież my wszyscy z Zermatt, a wcześniej – z Pacyfiku i Atlantyku, z Ameryk i Syberii, z Azji i Afryki. Nasi przodkowie zaludniali ziemię, macimowa prapolska rozbrzmiewała jako język całej ludzkości – więc i do dziedzictwa całej ludzkości może teraz jej kultura nawiązywać.

– Przechowaliśmy język najbliższy macimowie ze względu na naszą kulturową izolację – mówił Szukalski. – Ale dość już tej izolacji! Wchłonęliśmy dość, teraz pora wydychać! Wydychać i tchnąć tym duchem w świat!

Tak więc, owszem, musisz przyznać, że lubisz chodzić po tej całej Nowej Warszawie, wysokiej jak wszystkie czorty, wyższej niż cokolwiek na świecie, i oglądać tę megalityczną architekturę rodem z filmowych wyobrażeń starożytnego Babilonu, Egiptu czy Mezoameryki. Orły połączone z pierzastymi smokami sterczące na czubkach mrokodrapów, wielkie płaskorzeźby górali wyglądających jak cyborgi w inkaskich zbrojach i przy ciupagach, statuy wielkich polskich mężów siedzących na smokach, lwach i żubrach, jak na przykład Piłsudski, nagi, muskularny, w niedźwiedziej skórze i z maczugą, jak Litwin z *Bitwy pod Grunwaldem*.

Ale teraz, choć całe to rozświetlone cudo nawisało nad Dworcem Głównym i biło ci po oczach, byłeś w trochę mniej efektownej okolicy.

Ulice, długi ciąg kamienic z jednej i torowisko z drugiej strony, wypełniał, jak trąbili patrioci, idąc za krwioziemczą teorią, która wyjątkowo się w Polsce przyjęła, polski wiril. Wypełniał po brzegi, po samo niebo, a może i wyżej, po sam kosmos, wciskał się między budynki i w bruk, nadając Warszawie – polskiej stolicy – polskość. Był tu, jak się mówi, od zawsze, nie wypchnął go stąd wiril rosyjski, niemiecki, ba, nawet żydowski, choć niektórzy odmawiali Żydom posiadania wirilu. „Nie mylcie babilonu i burdelu z wirilem” – mówili niektórzy obozowcy, krwioziemcy, falangiści i inni.

Ale cóż, myślałeś, przynajmniej w centrum ciemno nie jest, rozświetla Warszawa ciemne Mazowsze, ten koniec świata już na samym początku Polski, bo ileż stąd jest do pomorskiej, niemieckiej granicy: niedaleko.

A i tu, na tym polskim pograniczu z tak zwaną Europą – ciche wioski, białe malowane, drewniano-murowane, śpią przy kruszącym się już asfalcie położonym dawno temu za alianckie, przy szutrowych drózkach, między rudymi pniami sosen, na żółtych latem, a jesienią rozbłoconych piaskach pokrytych opadłym igliwem. A za Mazowszem już tylko Polesie, jeszcze większy koniec świata, gdzie hipsi jeżdżą żyć zgodnie z naturą i zapuszczają kołtuny, jak Aborygeni, jak Poleszucy. A szczególnie po tym, jak odkryli, że takie same mają rastamani z Jamajki grający rege.

No i oczywiście wyjeżdżają tam jeszcze szlagoni typu Gucia czy Tola herbu Radwan polować albo stawiać sobie romantyczne kresowe stacje na tych końcach świata, jeśli który ma jeszcze wystarczająco pieniędzy, bo te środowiska o wiele zręczniejsiej umieją wydawać niż zarabiać. Ale niektórzy stawiają, szczególnie na starość. Ciągną umierać tam, gdzie jeszcze jest dziko, gdzie nie dotarła „ta cała demokracja”, choć do Polski to ona ogólnie jakoś od stu prawie lat z przerwami dotrzeć nie może. Dokąd nie dotarł „ten cały postęp”. I żyją wśród chłopów rodem z czasów feudalnych, wśród lasów, zwierząt, komarów, wśród błota po pas, odcięci od świata – czyli dokładnie tak, jak się żyło w I Rzeczypospolitej. I tylko czasem hipsy blokują im polowania albo włamują im się do dworów, a jakże, drewnianych acz podmurowanych, żeby zdobyć pieniądze na mak i konopie. Albo i napisać gównem na ścianie ŚWINIE albo ZDYCHAJCIE, albo, co wychodzi na pewną konsekwencję, ZDYCHAJCIE, ŚWINIE.

A dalej już jest tylko słynna Linia Rydza, czyli zarośnięte ciągi bunkrów, okopów, umocnień, wałów wysokich na kilka metrów, gdzie wśród poustawianych wzdłuż muru megalitycznych, wyszukalszczonych rzeźb obrońców naszych polskich granic i kresowych stanic, wyglądających jak słowiańscy woje połączeni za sprawą jakiejś magicznej siły z egipskimi zwierzętogłowymi bogami, zdychają z nudów i degenerują się kolejne pokolenia KOP-owców. A jeszcze dalej – kraj dziwny, coraz bardziej dziwny, odizolowany od świata, niekończący się, wlekący aż po Pacyfik i Ocean Lodowaty, czyli, właściwie, w nieskończoność. Kraj Sowietów, największa czarna dziura na mapie świata, kraina, o której nikt nic nie wie. I tylko KOP-owcy czasem, gdy coś wypatrzą przez lornetki na tych nieskończonych stepach, błotach i płaskociach, donoszą w sensacyjnym tonie czerwonej prasy – że a to widzieli konwój nieziemskich stworzeń, hybryd jakichś z piekła rodem, a to hordy uzbrojonych małp w bolszewickich spiczastych czapkach, bo jak legenda niesie, Soweciarze hodują gdzieś głęboko na Uralu, Kaukazie czy Kubaniu małpoludy, których zamierzają użyć jako nowego typu żołnierza przeciwko Europie i cywilizacji. Albo jakieś rozbłyśki tajemnicze, różnokolorowe, zwiastujące testy jakiejś nowej, sowieciarskiej, piekielnej broni –

promieni X, Y, Z, Ż, Ż czy jakiegokolwiek tam promienie, według sensacyjnych doniesień, Sowociarze produkują.

W każdym razie jasno jest nad wieżowcami, bije łuna nad Śródmieściem, ale łuna ta nie oświetla ulic, w które wchodzi Kary i które prowadzą go do wynajmowanego mieszkania na Śliskiej. W tym miejscu i o tej porze nawet Chmielna czy Sosnowa wydają się ciemne, zaniedbane i brudne. W zaułku przy Sosnowej widać sterczące na kartonie buty bezdomnego. Woli, widać, tutaj niż w przytułku. Nie dziwisz mu się, Kary: w przytułku, prowadzonym przez zakonnice, pić nie wolno, a co to za życie, gdy się napić nie można. Szczególnie gdy nie ma się niczego innego za bardzo do roboty poza przeżyciem.

Szedłeś tymi ulicami i rozmawiałeś ze mną, Franek, nie pamiętasz? Pamiętasz, pamiętasz, tylko rozmawiałeś cicho i bałeś się, i słusznie, że nieliczni przechodnie wezmą cię za wariata. Więc szedłeś, pijany, rozstrzelany baniami kontuszówki, z bolącą, pulsującą od ostrego bólu skronią, i podnosiłeś do ust papierosa, aż zauważyłeś nagle, że knykcie masz do krwi pozdzierane, że na knykciach masz krwawe rany.

Skąd, kurwa mać?

Ach, jak boli mózg pod metalową płytką w czaszce, pod grubą blizną na skroni, ach.

Kogutka. Gdzie są kogutki? Superkogutka.

Ale nie przejmuj się, Kary: problemy psychiczne są tak samo nieodłączną częścią estetyki detektywa w powieści noir jak alkoholizm i krótkie nazwisko. I ciesz się, że nie musisz nosić prochowca i fedory, tylko możesz się ubierać, jak lubisz: w motocyklowe kurtki i buty, w spodnie typu battledress i luźne koszule, czyli tak, jak ubierają się już tylko ostatni, niewymarli bociarze i wieśniacy z prowincji.

To zresztą bywa odbierane w Warszawie jako zbrodnia. Głównie przez miejscowych dandoli, siedzących w dandysowskich knajpach w Śródmieściu, w modnej części Woli i na Pradze.

Tak, a jakże, wieśniactwo też może być zbrodnią. Dla znacznej części mieszkańców Warszawy jest. A także skrupulatnie ukrywaną – choć nieukrywalną przecież – tajemnicą. Bo o ile do Warszawy zawsze napływało, napływa i napływać będzie mnóstwo wieśniaków z prowincji, o tyle pierwsze, co ci wieśniacy będą robić, to ukrywać swoje chamskie, wieśniackie pochodzenie. Takich ukrywających się, maskujących ekswieśniaków poznać można głównie po tym, że to właśnie oni obstalują u krawców rękodzielne garnitury, koszule, nadwykrojone, nadzaprojektowane, nadbogate. I że starają się, jak mogą, zasilić gromady przesiadujące w rzeczonych dandysowskich modnych knajpach.

Poza Karym. Kary jest chamem, wieśniakiem z prowincji i jak wieśniak z prowincji się ubiera. I plac Wilsona wymawia przez „ł”.

TRUPY

Tak, Kary.

Wstawaj, trupy czekają.

Z początku cała ta sprawa Kuby Hieroglifa cię nawet bawiła i razem z przejętą warszawską publiką, która czytała kolejne doniesienia w czerwonych, czując, że powoli wariuje od upału, obserwowałeś, co to się wydarza.

Ciekawie się zrobiło już na początku, gdy w tajemniczy, jak to podkreślała z lubością prasa, sposób zginął Jan hrabia Tarnowski. „Książę kresowe”, jak się z przekąsem o nim mówiło, choć rodem z COP-owskiego województwa, ale nierentowne rodzinne majątki posprzedawał, dwór tylko stary na Kielecczyźnie zostawiając, a sam się na ropie borysławskiej dorabiał, fabrykant, potentat. A później przeszedł w sady gruszkowe i jabłkowe na Lwowszczyźnie, robiąc z tych jabłek soki i cydry. Potem sprzedał to wszystko w diabły, i miał rację, bo teraz po tych sadach to więcej okopów niż jabłek i więcej trupów niż gruszek. Tarnowski wiedział więc, kiedy sprzedać. I szedł dalej. I doszedł w politykę, popierając i finansując rządzący Obóz Narodowy. Ze Snardzem był blisko, miał dostęp do ucha. Do Warszawy się przeniósł, w senatory poszedł.

Ale że Tarnowski, jeszcze z borysławskich czasów, wiele miał wspólnego z lwowskimi chewrami, i właściwie do końca życia balansował pomiędzy chewrami lwowskimi a warszawskimi, to każdy myślał, że w końcu dopadła Tarnowskiego tak zwana historyczna nieuchronność. Ananke.

Policja i władza nabrały z miejsca wody w usta. Nawet rządowa, propagandowa prasa nie mogła się dobić do żadnych szczegółów, nie wspominając już o tradycyjnie traktowanej przez władzę per noga prasie opozycyjnej. Czy nawet tej, której jakimś cudem udawało się zachowywać neutralność, po prostu obojętnej wobec haseł snardzowców. Entuzjastycznych entuzjazmem galwanizowanego trupa z szerokim uśmiechem wymalowanym szminką na stężącej twarzy.

Tak więc nikt nic o Kubie Hieroglifie nie wiedział, nikt oficjalnie nic nie mówił, do prasy zaczęły zatem przedostawać się tylko najbardziej sensacyjne plotki.

Na przykład takie, że ciała były w tak potwornym stanie, że to właśnie z tego powodu władza ukrywa całą sprawę starannie. To nie był człowiek?!!! – ryczał nagłówek „Wieczorniaka”.

Coś dużo tych nie ludzi, myślałeś, w Warszawie ostatnio. Faruga, Kuba Hieroglif. Nieźle.

– Nie, nie człowiek, kurwa. – Słyszałeś kiedyś, Kary, jak w Saskim Ogrodzie śmiał się jakiś antek, siedzący wraz z innymi antkami na ławce i gapiący się na gazetę, którą trzymał na kolanach. – Ten pół Rydz, pół rosomak, co stoi na placu Zwycięstwa.

No cóż, to była jedna z mniej udanych rzeźb Szukalskiego.

– Ty się śmiejesz. – Kiwał głową inny antek, a nad jego głową antczyną, nad drzewami, wyrastały wielkie piramidony i mrokodrapy Śródmieścia Polskiego. – A może to te ruskie potwory, co wszyscy mówią? Te małpoludy, z których robią armię, żeby zaatakować Europę i na komunizm nawrócić?

– Ty żeś jest ruski małpolud – odpowiedział pierwszy antek, pozostałe antki się roześmiały szeroko, a ty, Kary, poszedłeś sobie dalej.

Inne wiadomości, jak donosiły dzienniki, „oparte na rzetelnych informacjach, które przekazały dziennikarzom ich supertajne źródła w policji państwowej”, mówiły o „tajemniczych symbolach wymalowanych krwią ofiar na tym, co pozostało z ich ciał”.

„Ni to hieroglify, ni to nie hieroglify” – mówił zagadkowo jeden z tych „supertajnych informatorów z policji państwowej”, który rzekomo widział zwłoki obu polityków obozowców. „Trudno powiedzieć, bo nigdy czegoś takiego wcześniej nie dane mi było oglądać”.

A po Tarnowskim przyszedł tajemniczy zabójca, którego to prasa ochrzciła Kubą Hieroglifem właśnie, po Mikołaja Tyca, dawnego wysoko postawionego współpracownika wodza Snardza.

Podobnie jak Tarnowski, Tyc ziemianinem był z centralnej Polski, który bandyckimi koneksjami nie gardził. To dzięki tym koneksjom po antyżydowskim przesileniu lat sześćdziesiątych i wyjeździe części Żydów do Erec Israel przejął niektóre z żydowskich biznesów i daleko pociągnął. A później, również jak Tyc, poszedł w politykę i układy z Obozem. Był ministrem transportu, a zarazem ważnym graczem w branży drogowej, który, cóż – tak się niespodziewanie czasem los plecie – wygrywał zdecydowaną większość państwowych przetargów na drogi, łapiąc się jeszcze na ostatnią falę alianckich pieniędzy, które miały tę Rzeczpospolitą modernizować i na nogi stawiać, by po wojnie trzydzieści dziewięć–czterdzieści Niemców pilnowała i za tarczę Europy przed Sowietami robiła. To jego firma właśnie – Tyc-Bud – budowała słynną autostradę Warszawa–Lublin–Lwów, której przez dziesięciolecia postawić nikt nie mógł. „Kto robi autostradę lepiej niż minister transportu” – wyśmiewał Tyc nieśmiałe zarzuty o kumoterstwo i korupcję formułowane przez „dziennikarzy grabarzy”, jak w środowiskach patriotycznych nazywano tych niepoważnych pismaków wtykających zdradziecki garbaty nos w poważne państwowe sprawy.

Rzecznik policji mówił na konferencji, zwołanej po tajemniczej i okrutnej śmierci Tyca, tak okrągłymi zdaniami i tak był zestresowany, że nawet służalczą zazwyczaj prorządowa prasa poczuła się w obowiązku to odnotować. Zimne jakieś przerażenie zawisło nad tymi sprawami, a im bardziej policja i władza chciały je ukryć, tym większą obrastały aurą sensacyjności. Co, według Karego, świadczyło głównie o tym, że zarówno w policji, jak i ogólnie, w państwie, rządzą kretyni, którzy nie są w stanie przewidzieć konsekwencji swoich działań. No ale to,

myślałeś, Kary, *nihil novi*, jak to się mówi, *sub sole*. Gdybyś się, Kary, chciał nadal przejmować tym, że idioci rządzą państwem, tobyś, chłopie, zwariował.

Chłopie.

Chłopie.

Zwariowałbyś, chłopie.

A szalony chłop – o, takie rzeczy to się źle w Polsce kończą.

Czarna seria zabójstw polityków z obozu władzy – wrzeszczały tymczasem w najlepsze prasowe nagłówki. Co za przerażające tajemnice kryje nieprzenikniona maska policyjnych oficjeli?

Kuba Hieroglif rozrywający ludzi na strzępy stawał się coraz bardziej popularną postacią. Nie tylko w Warszawie, ale i w całej Polsce, od Prus po Słowaczczyznę i od Protektoriów po Kresy. Nawet tanie komiksowe zeszyty zaczęły o nim powstawać. Kupowałeś je, Kary, bo lubiłeś potajemnie, choć nigdy byś się na przykład przed Złotą nie przyznał, tę krwistą polską śmiećkulturę. Raz to więc w komiksach była wysłana do Warszawy przez Sowietarzy hybryda człowieka ze zwierzęciem: niedźwiedziem, gorylem lub lwem, powołana do życia w słynnym, owianym już legendą tajnym czarnolaboratorium pod Soczi. Albo i coś gorszego, bo diabły wiedzą, co Sowietarze tam u siebie tworzą, w tych ponurych mieściskach, pod kominami, które dymią toksycznymi upiorami, między czarnymi sarkofagami tajemniczych „świątyń przemysłu” napędzanych energią atomową. Frankenstein tam majstrują – mówiono – potworzyska nieśmiertelne poskładane z ciał umarłych, jakieś dawne demony tam żyją, ożywione czerwono-czarną siłą ezoteryczną, którą odkryli rzekomo sowieccy naukowcy, diabły tam smykają rodem z piekła, do którego sowieccy górnicy się rzekomo dokopali. Cholera wie co.

Były też inne teorie: renegat zwyrodnialec, jakiś potężny człekoupiór wygrzebany z krypt przez polskich krwioziemczych szamanów, żydowski Golem – plotka chodnikowa się nie gibała, wszystko było możliwe.

Tylko że nikt nie miał za bardzo pomysłu na to, jaki cel miałyby mieć mordowanie dawno już przygasłych postaci politycznej sceny, ba, politycznych półtrupów. Wystarczyłoby poczekać i półtrup – hyc! – staje się trupem jak najbardziej pełnoprawnym.

Ale Kuba Hieroglif już żył swoim życiem. A to ktoś go gdzieś widział, a to ktoś przed nim uciekł, podobno sam Snardz nawet uciekał przed nim po mieście, „tej nocy, co tak syreny ryczały po całej Warszawie, pamiętacie?”. A to ktoś zdjęcie zrobił jego cieniowi, jak zniknął za rogiem, a to ktoś go nawet sfilmował jakąś prywatną kamerą. Mówiono o ciemnej, zgarbionej postaci, wielkiej, ciężkiej, sapiącej mocno, według niektórych – dziwnie oślizgłej, jak potwory z głębin jakichś – im więcej, Kary, na ten temat słuchałeś, tym bardziej cię bolała głowa i nie mogłeś pojąć, jakież to szucherne „ziarno prawdy” może tkwić w takich historiach. Ale i, jak cała Polska, coraz bardziej się w tę sprawę wkręcałeś. Kupowałeś te komiksy, czerwoniaki i ścierwoprasę, te brukowce czytałeś po kawiarniach i tramwajach, słuchałeś fryzjersko-taksówkarskich plot, podpytywałeś znajomych, którzy mogli coś wiedzieć, i w ogóle badałeś, niby od niechcienia, źródła w policji. Od niechcienia, bo nie chciałeś, żeby ktoś sobie pomyślał, że bierzesz te brednie na serio.

Ale i tak wszyscy o tym Kubie Hieroglifie mówili. U was w agencji też nie mówiło się o niczym innym.

Agencja Detektywistyczno-Ochroniarska, o której mowa, nazywała się KiSz, od Kary i Sztolc, ale to tylko ze względu na brzmienie. „Sztolc” zdecydowanie powinno się znajdować na pierwszym miejscu, tyle że agencja nie mogła się przecież nazywać SziK, bo wszyscy by na nią mówili „sik”, i po prestiżu. W gruncie rzeczy jednak powinna nazywać się po prostu Sztolc, bo ty, Kary, co do czego wątpliwości nie masz ani ty sam, ani nikt inny w agencji zatrudniony, jesteś tam wyłącznie kwiatkiem do kozucha.

Znaną, przebrzmiałą już zresztą, twarzą na szyldzie.

Manifestacją.

Kaprysem Złotej Sztolc, który już jej minął.

Ogólnie zresztą, jak się zastanowić, to nie jesteś nikim specjalnym. Jednym z wielu zagubionych, rozgoryczonych weteranów, którzy po powrocie z piekieł wojen, a to na Bałkanach, a to w Korei, w Nowej Polsce, a to na Rusi, pozakładali skórzane kurtki, battledressy i zaczęli wozić się po całym kraju, wrzeszcząc, pijąc i ćpając, jeżdżąc autostopem i motocyklami i słuchając tej swojej łomoczącej biciarskiej muzyki.

I którzy zaczęli stawać się częścią czegoś nowego, nieokreślonej nadziei, oddolnej rewolucji, która jeszcze do końca nie wiadomo na czym miałyby polegać, ale wszyscy już wiedzieli doskonale, że nadchodzi. I że wywróci „stary porządek”, choć nikt za bardzo nie wiedział, jaki miałyby być ten nowy. Ludzie nazywali ich „czarnymi bitami” albo „czarnymi hipsami”, bo choć przejęli biciarską, skankową i hipsiarską stylówkę, ubierali się głównie na czarno. „Za tych, co już z nami nie wypiją” – taki najczęściej wygłaszali toast, gdy podnosili kieliszki. A ty, Kary, razem z nimi. Choć uważałeś ten toast za pretensjonalny i prostacko emocjonalny.

W agencji plotkowano oczywiście o Kubie Hieroglifie jeszcze bardziej.

Każdy pracownik, poza Złotą, bo to, rzecz jasna, byłoby poniżej jej klasy, starał się zaimponować innym chodami, wejściami i poufnymi informacjami w policji, służbach, OOS-ach, które rzekomo posiadał.

Taki Lejb Zejgal, na przykład. Wielki i zwalisty hips, jeden z tych „czarnych hipsów” właśnie, brodaty jak sam patriarcha Mojżesz, obwieszony tymi wszystkimi hipowskimi talizmanami jak indiański szaman i umiejący, przy okazji, bić się tak skutecznie, że na sypiących się nieco Szmulkach, skąd pochodził, nikt w zasadzie nie mógł mu stanąć. A jeśli stawał, to po to, by dostać rytualne cety Zejgala i mieć to już za sobą.

Teraz Zejgal twierdził po cichu, tutaj, w waszym zaufanym gronie, że za wszystkim stoi rząd. Za wszystkimi morderstwami Kuby Hieroglifa.

– Ale co mi nie wierzycie? Ja nie rozumiem, jak wy mi możecie nie wierzyć, jak ten wasz cały Tomasz temu tam waszemu Jezusowi... – pytał konspiracyjnym

szeptem Lejb, gdy siedzieliście rozwaleni na kanapach w gabinecie Złotej i paliliście papierosy, jak jakie paniska.

– Jaki nasz? Jaki nasz? Jezus to przecież Żydzisko było jak się patrzy, jak ty, Lońka, albo nie przymierzając, Złota, kochana nasza szefowa, rączki całuję – mówił Józef Rabcz, wielkie chłopisko, wyglądające, jakby całe, od stóp do głowy, zbudowane było z główek kapusty. Perkaty był Rabcz, pękaty, wielki i silny. Też czarny hips, tylko że z Powiśla. Z Zejgalem znał się jeszcze z wojska, ze służby w Nowej Polsce, pamiętałeś, i gdyby nie hordy hipsiar i skankówek, które się zawsze wokół nich kręciły, najczęściej bardzo młodych, pomyślałbyś, że są pederami. Nie żeby to cię obchodziło, w końcu przyszło Wielkie Nowe, Era Wodnika nadciągała siedmiomilowymi krokami, ale wyobrażenie tych dwóch chłopisk, wielkich jak góry wyrosłe z nienacka na tym mazowieckim płaskowiu, w miłosnych zmaganiach ze sobą, bardzo cię bawiło i nie mogłeś na to nic poradzić. Wodnik, chodnik czy chłodnik.

– Zejgalowi rączki, Józef, całuj – prychnęła Złota, a wy się roześmialiście.

– Jakby Jezus żył dzisiaj w Warszawie – ciągnął tymczasem Rabcz – toby nie wyglądał jak porządny Aryjczyk od krwioziemców ani jak ten blond hipsiarz, co go w kościołach wieszają, ani jak ja na przykład, dobry Słowianin, tylko by mówił *aj Gewalt* i robił handełesy na żydowskiej części Kercela, ty.

– No, tylko że jakoś u nas, jankli, nikt się tak nie trzepie jak wy pod tego szmondaczną Jezusa frajera, co się dał wychujać własnemu staremu – odpowiadał Zejgal. – Mnie to nie boli, każdemu jego droga. Założył chłopina aryjski geszeft – jego sprawa. Jego sprawa, że się wychrzczył, jak mój brat idiota, z tą różnicą, że mojego brata goje przechrztą nazywają i w dupę kopią, a przed tym całym Jezusem czołem biją. Ale są rzeczy na niebie i ziemi, za gojami nie nadążysz, a ty mnie tu, Rabcz, chłopie polski buraczany, nie odwódź od tematu. Ja wam mówię: to rząd stoi za Hieroglifem! Ja wam to wszystko wytłumaczę, to jest sprytnie ułożone...

– Aj, Lejbele, spisek, teoria konspiracji – rzucała niby zniecierpliwionym tonem Złota, przerzucając jakieś papierzyska i przedrzeźniając Lejba, który lekko żydłaczył, jak zresztą podejrzewałeś (i słusznie), Kary, dla szpanu i efektu. –

Konspiracje i konspiracje, ja już nie mogę słuchać o te konspiracje, już mnie od te konspiracje głowa boli! Każdy czerwonek, każdy durny program w telewizji – nic, tylko konspiracje! Niemcy się znów potajemnie jednoczą za plecami świata, w Neuschwabenlandzie w tajnej bazie promienie X szykują, po ciemnej stronie Księżyca stawiają Czwartą Rzeszę, Żydzi mordują niemowlęta na macę i rządzą światem...

– A skąd ty, skąd, *mejn zejer lajtisze dame*, wiesz, co ja po nocach robię, skąd wiesz, czy ja niemowlęta na macę nie morduję, a skąd te biedne goje – tu Zejgal pokazywał na ciebie, Kary, Rabicza i pana Grzesia – mają wiedzieć, czy my rządzymy, Złota, światem czy nie? Jest różne konspiracje, jest nieprawdziwe konspiracje i jest prawdziwe konspiracje! – Wznosił Lejb Zejgal ręce w górę niby patriarcha, do sufitu, do nieba, na którym już dawno nie było ani tego Boga, co to niby miał być dla wszystkich wspólny, ani jego zstępnych i powinowatych, ale wszyscy chodzili wokół ich trupów na paluszkach, udając, że nie śmierdzą, i bojąc się przyznać, że to wcale nie sen ich ogarnął. Kto jak kto, ale akurat ja coś o tym wiem. – Wy się nie bójcie konspiracje, konspiracje jest, a wy dedyktywy jesteście od łapania te konspiracje! A takie z was dedyktywy, że jakby te konspiracje podleciały i was w dupę ugryzły, to wy byście powiedzieli: to nieprawda, to żadne konspiracje, bo konspiracje są nieprawdziwe, bo tak mówi ta wasza prasa dla inteligentne, bogate ludzie!

Wy się śmialiście, a Lejbowi broda się trzęsała, gdy mówił i wielkimi łapskami zasuwał te swoje chrystusowe włosy za uszy. Złota rechotała, ale swoimi jaszczurczymi oczami, w tym jednym bardziej jaszczurczym od drugiego, bo szklanym, zimno patrzyła na was zza błyszczącego drogim, polerowanym drewnem biurka, na które wywaliła bosc stopy z długimi, smukłymi palcami o paznokciach pomalowanych na krwiście czerwony kolor. Poruszała czasem tymi palcami, a tobie, Kary, wtedy serce kwiliło jak szczeniak. Zza biurka patrzyła, tak, spod płatawicy rudych kręconych włosów.

– Wy się nie bójcie, że konspiracja! Wszystko na tym świecie jest konspiracja! Za Kubą Hieroglifem musi stać władza. Tyle pieczeni na jednym ogniu! – ciągnął

tymczasem Zejgał, wyhamowując jednak stopniowo swój rozpedzony szmulgewalt. – Po pierwsze, dzięki tej awanturze z Hieroglifem jakoś wszyscy zapominają o ultimatum Francji i Anglii, co nam je dali. I teraz nikt nie mówi o tym, że nas zaraz zbombardują nasi własni sojusznicy, nikt nie mówi o tym, ilu dobrych obywateli Rzeczypospolitej wraca z Ukrainy w cynowych trumnach. Wszyscy tylko o Hieroglifie. Po drugie, Kuba Hieroglif zabija ludzi władzy niepotrzebnych, a może dla niej niewygodnych. Po trzecie, jaka to jest mobilizacja społeczna! Przecież i tak wszystko będzie, jak zawsze, na Żydów. Dziwię się, szczerze mówiąc, że do tej pory pogromów nie było, bo przecież jak co złego, to zawsze, kurwa, my, jankle... Ale pomyślcie: poświęcają Tarnowskiego i Tyca, którzy byli umoczeni w państwowe przewalania po uszy, których wiedza na temat tych przewaleń mogłaby być niebezpieczna, którzy już od dawna nie byli nikomu potrzebni i na których pieniądzach i spółkach się można napaść. Przecież Tyc cały wieżowiec miał na Stawkach, diabły wiedzą, dlaczego go kropnęli, może dlatego, że nie tylko my wiedzieliśmy o tym, że dojsć do nas szukał...

– Jakby szukał, toby znalazł – zmęczonym głosem wtrąciła Złota i przełożyła jedną nogę na drugą, bo jej ścierpły, na co ty, Kary, patrzyłeś z bolesnym kluciem w sercu, jakbyś miał zawału dostać. – Warszawa to naprawdę małe miasto. Nie wierz, kurwa, jak ci w „Ikacu” piszą, że to Paryż Wschodu, Lejbele.

– Pierwszą rzeczą, Lonius, że w Paryżu też by znalazł – zgodził się z szefową Józef Rabcz, a to było rzadkie, bo zazwyczaj zgadzał się jednak z Lejbem Zejgalem.

– No ale jak, no ale co, ja wam mówię, to wy nic nie rozumiecie – niecierpliwił się Lejb, który jak wiedział, był nerwowy. Ogólnie był nerwowy. Na przykład gdy jakieś fety się go czepiały, a to o włosy, a to ogólnie o hipsiarstwo, a to o żydostwo, jeśli się je spod tych jego włosów, koralików i całego tego hipsiarskiego złomu dało wywnioskować. No i, oczywiście, jeśli nie wiedzieli, kto zacz. Szybko się zresztą dowiadywali, i potem ich bolało. – Wy ruszcie kabezami, detektywy z bożej łaski, przecież tylko to ma sens – wywodził. – Załatwią swoich, znaczy się: niepotrzebnych, a potem powiedzą, że to my, i...

– My, Opór, czy my, Żydzi? – zapytał z przekąsem pan Grześ Różański, nakręcając sobie węża na palec. – Bo jak cie, Lońka, kocham, to ja jestem zwykły katolik, w imię ojca i syna, ale ja nie jestem Chrystus i za Żydów cierpieć nie będę...

– Kurwa, pan Grześ – warknął zdenerwowany Lejb. – Po pierwsze, nie wiem, czy pana w Ere Wodnika nikt jeszcze nie powiedział, że czy Żyd, czy Polak, to konstrukty kulturowe, i jesteś pan ofiara głupia i tępa systemu, który sra pana w głowę, jak chce i czym chce, a po drugie, ja pana proszę, pan tak mnie czasem wkurwiasz, jak pana matka rodzona, gdy nie chciała mi dać od tyłu, i musiałem...

– Lejb, *mach cu dejn jebajne moj!* – parsknęła Złota. – Ależ ty, kurwa, głupi jesteś.

Pan Grześ też rechotał. Po czym zrobił to, co robił zawsze, czyli przedobrzył.

– Ja cie kiedy, Lońka, szmerglem przecwanię – rzucił więc niby dobrotliwie, a wtedy Lejb Zejgal i Józef Rabcich popatrzyli po sobie, potem nawet na ciebie i na Złotą, potem znów na pana Grzesia, i Rabcich zapytał:

– Co?

– No – zmieszał się pan Grześ, który nie był z Warszawy rodak, ale bardzo chciałby być. – Że tego...

– Czym? – zapytał Zejgal. – Szmerglem co?

– No... – Pan Grześ patrzył bezradnie dookoła, to na ciebie, Kary, to na Złotą.

– Przecwanię? Szmerglem? – dopytywał Rabcich. – Gdzie tak mówią?

– W dupie! – odciął się w końcu obrażony Grześ i zapatrzył w okno.

– Na wsi? Na łoranem? – zarechotał Rabcich.

– Nie – pograżał się z dumą pan Grześ. – U mnie, na Woli. Jak bajery nie znacie, toście nie w temacie.

Rabcich i Zejgal ryczeli ze śmiechu, ty też się śmiałeś.

– JAK BAJERY NIE ZNACIE, TOŚCIE NIE W TEMACIE – ryczał Lejb Zejgal. – Sam, pan Grześ, to wymyśliłeś?

– Dajcie Grzesiowi spokój, już! – Złota też się śmiała.

– Żebyś ja się z ciebie, Zejgal, nie zaczął śmiać! – warczał upokorzony Grześ. – Ty się polskiego naucz najpierw, żydłaku ty...

Lejb Zejgal popatrywał wesoło na wszystkich: to na Złotą, to na pana Grzesia, a porozumiewawczego spojrzenia szukał w oczach Józefa Rabcza. I znajdował.

Rabcz też niewiele sobie robił z plotek o gejowskim charakterze ich relacji z Zejgalem.

– W przededniu nadchodzącej epoki powszechnej miłości, akceptacji i zgody – mawiał Józef Rabcz, poprawiając włosy spływające z jego kapustoidalnej głowy – to naprawdę głupie zajmować się tym, kto z kim sypia. Czy sypia się z żoną, kochanką, kochankiem, kolegą czy koleżanką z pracy. Człowiek z natury – wywodził Rabcz – jest zwirz panseksualny, tak to te wszystkie podziały są sztuczne, są tylko kulturowe konstrukty, oczywiście.

Ale kiedyś, gdy z chłopakami z firmy siedzieliście Pod Blachą i piliście wódkę, i pewien młody antek, taki Krzysiu, który zresztą szybko przestał u was pracować, chłopaczek o fetniackim nieco klimacie, popił sobie i zbyt natarczywie Zejgala i Rabcza o tę ich seksualność wypytywał, to wyprowadzili go przed lokal, skopali, rznąli jego głową o bruk ulicy, po czym długo do niego przemawiali. Na drugi dzień Krzysiu przyniósł wymówienie.

Lubiłeś ich. Czasem chadzaliście razem na miasto. Mieli dziwnych znajomych, w dziwnych, hipsiarskich, skankowych i innych tego typu kręgach. Przydawało się to.

Ale o hipsie Krzesimirze będzie później. Odegra hips Krzesimir rolę w historii, odegra.

3

RASA

A ty, Kary, znów piłeś.

Tym razem z frasunku.

Nie przejmowałeś się specjalnie ani Kubą Hieroglifem, ani ultimatum Aliantów, choć musisz przyznać, czytałeś doniesienia na temat jednego i drugiego z wypiekami na bladej, biciarzu zaćpany, twarzy. Tylko tym, co odpierdoliłeś w barze Syrena i o czym nawet nie pamiętałeś.

Może to jest dobry moment, żeby ten, no, trochę przytормozić? Wyhamować?

Tylko co wtedy robić w życiu po pracy? Sklejać okręty wojenne? ORP Stefan Batory, ORP Śmigły-Rydz? Albo czołgi, te wielkie, gigantyczne toporły, w kształcie azteckich piramid jakby, z lufami jak sekwoja, które diabli wiedzą po co budują, bo samo paliwo, dostarczanie części do nich i ich transport kosztuje więcej niż same maszyny? Zgłębiać tajniki macimowy?

Wracasz sobie z pracy, wyciągasz rifeera zmieszanego ze smakowym tytoniem, żeby nie było za bardzo czuć, patrzysz, a tu na rogu Alei i Marszałkowskiej - hrabia Gucio i chujwiekto Tolo we własnych ziemiańskich osobach. Machasz im, oni cię widzą - i, ku twemu zaskoczeniu, w nogi, w Aleje. To ty za nimi, właściwie instynktownie, zanim pomyślałeś, bo właściwie po co gonić takiego Gucia czy Tola. Ale, jak to się mówi, wrodzona ciekawość nie pozwoliła ci nie dowiedzieć się, dlaczego, kurwa, szlagonki, z którymi raptem kilka dni wcześniej piłeś kontuszówkę i wciągałeś właściwie wszystko poza proszkiem do

prania Leszek Biały, zwiewają przed tobą aż się kurzy. Dopadłeś ich na rogu Brackiej, a oni - uznawszy widocznie, że głupio tak się ganiać po Warszawie z byłym komandosem i detektywem z powieści noir, znaczy, Kary, z tobą - przystanęli. Odwracają się - ty patrzysz, a hrabia Tolo ma podbite oko i przekrzywiony nos, a Gucio - pysk obity niby jabłko.

- Co wam się stało? - zapytałeś zdziwiony. - I czemu uciekacie?

- No co ty, co ty - zaperzył się Tolo, a Gucio aż zapał:

- Jaja sobie robisz?

- **On** się pyta czemu! -Tolo wznosił teatralnie oczy do nieba.

- Kary, zawsze miło się z tobą rozmawia - powiedział Gucio - ale na nas już czas.

- I co, kurwa, teraz się czujesz lepiej? - skrzeczał tymczasem Tolo. -Jak prawdziwy mężczyzna?

- Eee... - Stałeś, Kary, osłupiały, z pyskiem otwartym jak zziajany głupi pies. - Ale co...

- Jak to co! To! - Tolo wskazał dramatycznie wystawionym paluchem swój nos. - I to! - Wskazał podbite oko.

- Że... to ... niby ja? - wystękałeś.

- Nie, kurwa, generał Krupa! - ryknął hrabia Tolo, odwrócił się na pięcie i pomaszerował przed siebie, w stronę placu Zgody, gdzie sterczał, niby świeca w zad wetknięta, jak ci się zawsze, Kary, kojarzyło, wielki i szpilowato cienki wieżowiec Dziedzictwa Zermackiego, postawiony w miejscu dawnych Gebethnera i Wolffa. Na jego szczycie sterczał, niby król aztecki, w dziwaczną odziany zbroję, połączany Stanisław Szukalski i wskazywał drogę. Ramię miał wyciągnięte, a palec wycelowany dokładnie w kierunku, w jakim się znajdują Wyspy Wielkanocne.

- I towar mi odkup! - ryknął jeszcze Tolo, obracając ku tobie głowę, gdy uznał, że znajduje się już dostatecznie daleko od ciebie.

- Powinieneś się poważnie nad sobą zastanowić, Kary - powiedział szlagon Gucio, bardzo rasowo, kurwa, powiedział i poszedł za Talem, zostawiając cię

nieco, by tak rzec, skonfundowanego i zawieszzonego na rogu Alei i Brackiej. Tak, Kary, tak, te słowa mi było bardzo wygodnie ci sączyć do ucha, powinieneś niewątpliwie się nad sobą zastanowić, bo nie dość, że masz dziurę we łbie przykrytą metalową płytką, to jeszcze w dodatku chlejesz wszystko, co ma w sobie procenty, i wciągasz wszystko, co ma w sobie cokolwiek, co może cię potelepać, i - jak widać -nie masz nawet pojęcia, co się potem z tobą dzieje i co wyprawiasz.

Bo wtedy, w Syrenie, jak zaczęło ci się mgliście przypominać, wcale nie było tak, że wyszedłeś z knajpy dlatego, że po rozdrażniającej cię kokainie nie chciało ci się słuchać pieprzenia Gucia o tym, że polscy chłopci są „czystym, antyintelektualnym odruchem emocjonalnym”, i udawanego warszawskiego szwargotu Tola. I dlatego, przyznaj, że zazdrościłeś Guciovi tej jego arystokratycznej rasowości, chamie ze wsi. Teraz zaczynałeś sobie przypominać, że gdy staliście w tym kiblu w Syrenie, w pewnym momencie zacząłeś, najnormalniej w świecie, walić głową Tola w ścianę, a gdy upadł, rozsypując amfetaminę po zaszczonej podłodze, w deskę klozetową, a następnie dałeś parę razy po szlachetnej (i rasowej) twarzy Guciovi, rycząc mu w twarz i z wiejska zaciągając, tak by wiedział, że to cham go, pana, bije: „tyś sam jest, chuju zajebany, antyintelektualna kurwa twoja emocjonalna mać”.

I dopiero wtedy faktycznie wyszedłeś z lokalu i pogrzyżyłeś się w chłodnym, warszawskim, ciemnogrnatowym, przynoszącym ulgę wieczorze. A właściwie nocy. A właściwie poranku.

Poszedłeś więc, smutny i melancholijny, z powrotem w stronę Marszałkowskiej i szczęśliwie ominął cię widok, jak rozpędzony Tolo wpada pod szpikulcem Gebethnera i Wolffa pod wielką czarną limuzynę, która hamuje z piskiem opon i odrzuca go dobre parę metrów do przodu, prosto pod riksę prowadzoną przez młodego studenta kulturoznawstwa o imieniu Mikołaj, i Mikołaj nie zdąża wyhamować, więc wjeżdża otumanionemu Talowi na szyję przednim kołem i widząc, że stoi oto rzeczonym kołem ofierze wypadku drogowego na szyi, próbuje jak najszybciej mu z tej szyi zjechać, w związku z czym, niewiele myśląc, powstaje z siedzenia, by stąpnąć mocno na pedały, ale w tym

momencie przenosi cały ciężar ciała na kierownicę i słyszy tylko głośne chrupnięcie kręgosłupa Tola, i myśli tylko: „O kurwa...”. Ominął cię również przykry widok, jak szlagon Gucio zupełnie nierasowo zrywa się z miejsca wypadku, bo nie chce mu się przez cały wieczór, a właściwie to i diabły wiedzą jak długo, robić za świadka wypadku, brać udział we wszystkich przesłuchaniach, które mu momentalnie stają przed oczami, w protokołowaniu zajścia, w stawianiu się na wezwanie sądu na rozprawie zarówno szofera limuzyny, jak i rikszarza. W końcu, myśli, prawie tego całego Tola nie zna, a co go jakiś włazidupek, Sancho Pansa obchodzi. Skręca więc w Widok, mijając wielki napis na ścianie: KTO ZABIŁ WIENIAWĘ? I tyle po Guciu i jego rasowości zostało.

Limuzyna, notabene, też odjeżdża, nie czekając na policję.

CHAM Z KULĄ W GŁOWIE

Ale ty, Kary, o tym wszystkim nie wiedziałeś, i szedłeś, smutno zamyślony, Alejami do Marszałkowskiej, po raz kolejny zastanawiając się, czy faktycznie nie byłoby dobrze być może przestać pić i wciągać, być może, ba, wyciągnąć sobie nawet - raz kozie śmierć - tę pieprzoną ukraińską kulę z głowy.

A z tą kulą to było tak.

Był 15 maja. Tamten 15 maja. Bojownicy UPA, o tak, znów ich widzę jak dziś, śmiertnicy ze słynnej sotni Stefana Kiściaka - czy jak chcą Ukraińcy, Stepana Kistjaka - byli zmęczeni długimi przygotowaniem i oczekiwaniem. Byli wściekli, bo od nocy siedzieli w kilkunastu na pace furgonetki marki Piast zaparkowanej niedaleko najważniejszego i największego z warszawskich łuków triumfalnych, tego na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata. Upamiętniającego zwycięską i krótką wojnę z Niemcami w trzydziestym dziewiątym, kiedy to Rzeczpospolitą z bryndzy wyciągnął wspólny atak francuski i angielski oraz tajemnicza śmierć przywódcy Rzeszy, kanclerza Hitlera.

Bojownicy siedzieli, skiśnięci jak szproty, w nagrzanym lipcowym słońcem starym piaście, jeszcze na licencji fiata 1500, pocili się, wdychali własne wyziewy, żarli amfetaminę z oczami błyszczącymi jak u wariatów, marzyli o papierosie i czekali na właściwy moment. Aż w końcu, o dwunastej, gdy w kawiarniach i restauracjach przy Nowym Świecie siedzieli już ludzie, a przede wszystkim gdy opancerzony, czarny jak dzuma samochód z wodzem naczelnym i prezydentem RP

marszałkiem Jeremim Snardzem zbliżał się do skrzyżowania, jadąc Nowym Światem od strony Zamku, ruszyli.

Wyskoczyli z furgonetki Piast i rozbiegli się po okolicy, szyjąc z pistoletów maszynowych do kogo popadło. Kilkoma seriami ostrzelali czterech policjantów jadących na motocyklach za Snardzowską limuzyną. Gliniarze padli na ziemię poprzygnięci motocyklami, wszyscy właściwie w jednym momencie, jakby ktoś, na przykład ja, pociągnął za sznurek, na który wszyscy czterej byli nanizani. Ale strzelcy nie poszli w stronę limuzyny wodza Snardza, której kierowca zatrzymał się na chwilę, zdezorientowany, nie będąc pewnym, czy powinien zawrócić, czy jechać dalej. Rozbiegli się po Nowym Świecie, Alejach Jerozolimskich, 3 Maja i Smolnej.

Gdy kierowca zdecydował się ruszyć, z naprzeciwka wyrwał zaparkowany pod kamienicą Jasińskiego czarny volkswagen na pomorskich rejestracjach. Zapiszczał oponami, zdążył rozpędzić się do kilkudziesięciu kilometrów na godzinę i czołowo uderzył w maskę długiej, czarnej wodzowskiej limuzyny, akurat w chwili, gdy ta znajdowała się dokładnie pod łukiem triumfalnym z napisem DEFENSOR PATRIAE EDVARDVS SMIGLY RYDZ DVX, zwieńczonym konnym pomnikiem dawnego Naczelnego Wodza w sandałach i rzymskiej zbroi, z wieńcem triumfatora na łysej głowie, z pełnym samozadowolenia uśmiechem na twarzy, który większość mieszkańców Warszawy, w tym Kary, odbierała jako głupkowaty.

I wtedy właśnie kierowca volkswagena, po którym nie został później ślad, bo zamienił się w strzępy mięsa, które to strzępy mięsa, w czasie gdy żyły jeszcze i stanowiły spójny organizm, legitymowały się polskim dowodem osobistym na imię i nazwisko Michał Lipiński, choć same myślały o sobie jako o Mychajle Łypynskim, więc te strzępy mięsa, które wtedy po raz ostatni były złożone w człowieka, zdetonowały cały ładunek trotylu wypełniającego volkswagena po sufit.

Limuzynę Snardza, pancerną czy nie, wyrwało z opon i rzuciło na bok filaru łuku, na którym wypisane były po kolei polskie bitwy wojny jesienno-zimowej

1939 roku. Westerplatte, Bzura, Warszawa, Toruń, Wrocław, Tylża, Babimost, Wrocław, Chociebuż, Kostrzyń, Poczdam, Szczecin, Berlin. Z łuku poleciały tynk i kawałki gruzu. W tej samej chwili od strony 3 Maja nadjechał piast, ale osobowy, również wypełniony ładunkami wybuchowymi, który - jak to się mówi: dla pewności - miał uderzyć raz jeszcze. I uderzył, w drugi filar łuku triumfalnego, i nastąpił drugi wybuch, i chmura pyłu rozeszła się we wszystkie strony.

Tymczasem zamachowcy szli w cztery rozchodzące się od łuku ulice -w Aleje, w 3 Maja, w obie odnogi Nowego Świata - i strzelali.

Ludzie w restauracjach przewracali się razem z krzesłami, ze stolikami, ciągnęli ze sobą kotlety, pieczenie, krew mieszała się z szarym sosem, winem i napojami, tak, ludzie pełzali między przewróconymi stolikami jak przerażone zwierzęta, którymi zresztą przecież byli, kwicząc, kwiląc i wyjąc, umierali z twarzami w talerzach. Kilku żołnierzy w zielonych mundurach, ze źmijkami pełzającymi po kołnierzach, zerwało się od stolika, przy którym emablowali dwie identycznie ufryzowane panie - padli skoszeni serią w tym samym momencie. Panie rzuciły się na ziemię i umarły, przyciskając dłonie do głów. Na Nowym Świecie strzelcy szli ławą: od łuku w stronę Świętokrzyskiej. Zmieniali magazynki i pruli, do czego się dało: do uciekających w panice ludzi, do witryn rozpryskujących się w odłamki raniące przechodniów, których nie zdążyły osiągnąć same kule. Widziałem to wszystko i muszę przyznać, że wyglądało to niesamowicie w swojej makabrze, w kategorii światowych makabr zresztą przecież umiarkowanej. Krzyczeli: „Sława Ukrainie!", ale zagłuszał ich ryk ich własnych karabinów. Ludzie, tłumnie przecież w ten sobotni, wiosenny poranek w centrum zgromadzeni, padali jak pacynki na strzelnicy. Jakiś przestrzelany wózek z ryczącym - jakimś cudem niezabitym - dzieckiem bujał się na kołach przez chwilę, aż się przewrócił, dokładnie na leżącą z otwartymi oczami matkę, a wtedy dziecko wypadło z wózka jak niezgrabnie zmontowana lalka i uderzyło głową w bruk, i przestało płakać, i w ogóle zamilkło, co zresztą w ogólnym harmidrze i hałasie od wrzasku i strzałów nie było specjalnie słyszalne.

Kary, który - tak się złożyło - jako człowiek wczorajszy kontynuował piątkowy festiwal chlania i wciągania w knajpie Saraj na Pierackiego, dokąd się z mniej lub bardziej przygodnym towarzystwem przeniósł z Syreny, gdy ją w końcu nad ranem zamknięto, wybiegł, słysząc wybuchy i strzały, niesiony wódczanym i kokainowym bohaterstwem, któremu się zresztą trochę dziwił. W biegu wyciągał visa z przepastnych bocznych kieszeni swoich biciarskich battledressów, gdzie go schował razem z kaburą, odpiąwszy z szelek już w Syrenie, bo poszedł pić od razu z terenu, nie zachodząc do domu. Tak, wybiegł więc, próbując zmusić swój zeszywniały mózg do pracy i obstawiając, któż to tam tym razem rozpieprza miasto: UPA? ŻAR? Komuniści? Krwioziemcy?

Zniosło go na ścianę narożnej kamienicy przy Pierackiego, po czym opierając się o nią i walcząc z czkawką, wychynął na Nowy Świat, stanął, chwiejąc się na nogach, w miejscu, patrzył na idących ławą strzelców, podziwiał pijacko rozciągającą się przed nim panoramę masakry, z jakiegoś powodu zapamiętując szczegóły: skórzaną czarną kurtkę terrorysty idącego po lewej stronie, bardzo podobną do jego własnej kurtki, tęczowy płaszczyk taplającej się we własnej krwi i wyjącej z przerażenia i bólu dziewczyny, siwe odrosty w farbowanej plerezie jakiegoś patrzącego martwymi oczami w majowe niebo podstarzałego modnisia.

I znajomą twarz jednego ze śmiertników, którego kojarzył z oddziału w kolonii. Śmiertnik, z adrenaliną tryskającą z oczu, szedł, ryczał i rozpylał po ulicy kule, celując, do kogo się dało, w swoim wąskim polu ostrzału, więc dostrzegłszy Karego, którego najpewniej w swym stanie nie poznał, wziął go na cel, lecz nie trafiał.

A Kary patrzył, walczył jednocześnie z czkawką i z niechęcią się, jak na złość, wysunąć z kieszeni kaburą. A gdy ją w końcu wyciągnął, odpiął i z uśmiechem pijanego triumfu na twarzy wydobyl z niej visa - czknał i z miejsca dostał rykoszetującą kulą w głowę, i stała się pustka. Otchłań. I tak się skończyło bohaterstwo Karego.

Od tej pory się znamy. Prawda, Franek?

Policja i wojsko, ściągnięte na miejsce, zabrały się do sprawy chaotycznie, histerycznie i panicznie. I w efekcie doprowadziły do prawdziwej bitwy z kilkunastoma napastnikami, a następnie kilkogodzinnego pościgu za terrorystami rozproszonymi po całym Śródmieściu i Powiślu. Zabili dwunastu, pięciu udało się uciec. Przy zabitych znaleziono laminowane karteczki z dekalogiem ukraińskiego nacjonalisty i odznaki czarnej, śmiertnej sotni Kistjaka z trupimi główkami.

Po mniej więcej godzinie od wybuchu zawalił się łuk triumfalny. Zbierane właśnie z ulic zwłoki zostały przykryte przez kłęby białego pyłu.

Ratownicy, lekarze, policjanci, koronerzy i pracownicy kostnic rozkaszlali się. Dziennikarze szaleli, odcięci od miejsca zdarzenia policyjną taśmą, z czterech wlotów ulic blokującą jedno z centralnych skrzyżowań Warszawy. I dlatego główną fotografią z tego wydarzenia, która poszła i w kraj, i w świat, była urwana, głupkowato uśmiechnięta, przystrojona laurami łysa głowa Rydza-Śmigłego. Ta z pomnika, ze szczytu zawalonego łuku triumfalnego, która potoczyła się jak piłka Alejami Jerozolimskimi, zabawnie wywracając niewidzącymi oczami, i leżała wystarczająco blisko policyjnej taśmy, by można ją było fotografować. Dopóki nie przykryto jej skądś naprędce wytrzaśniętą folią.

Dokładnej liczby ofiar rząd, wojsko ani policja nigdy nie podały, ale nieoficjalnie wiadomo, że było ich kilkaset.

Wśród trupów, co dość nieprawdopodobne, nie było naczelnego wodza ani prezydenta RP Jeremiego Snardza. Snardz, zamknięty w pancерnej limuzynie jak łoś w puszcze, doznał złamań, przemieszczeń, stłuczeń, rozcięć i całej gamy innych urazów, bo latał po wnętrzu tej limuzyny jak lalka szmaciana w bębnie pralki - ale jakimś cudem przeżył. Był to już trzeci nieudany zamach na jego życie. „Skurwysyn, karaluch” - mówili ludzie. „Łeb takiemu można upierdolić, to bez ła dalej pójdzie”.

No a ty, Kary, szedłeś teraz wzdłuż Alei, w stronę Marszałkowskiej, a ja ci to wszystko przypominałam. Tak ci przypominałam, że miałeś wrażenie, że płytka

w głowie, ta płytką żelazną, którą ci ukraińską kulę tkwiącą w głowie przykryto, rozpałała się do czerwoności. Syknąłeś z bólu, bo myślałeś, że ci głowa pęknie, i pobiegłeś do trafiki po drugiej stronie Marszałkowskiej, stojącej wolno na przydworcowym placu. Przebiegłeś między samochodami, które otrąbiły cię jak bezpieczeństwa psa (rozkosznie nieświadom, że mniej więcej właśnie jakoś w tej chwili, podwójnie przejechany, dogorywał nieszczęsny szlagonek Tolo, opuszczony przez swojego Don Kichota), i podbiegłeś do okienka, odtrącając zbliżającego się do niego starszego dżentelmena o przenośliwym wyglądzie profesora Papieskiej Akademii imienia Karola Wojtyły - Piusa XIII.

- Superkogutka... - wychrypiałeś, a ból ci świecił w oczy czerwonym światłem.

- Po pierwsze, młody człowieku, to „przepraszam”, a po drugie, to „proszę” - oburzył się profesor.

- Racja, racja, i przepraszam, i proszę - odpowiedziałeś ciężkim głosem. - Już pana puszczam, panie wapno kochane. Emergencja. Łeb mi zaraz pęknie, proszę, przepraszam. I wodę, proszę - dodałeś pod adresem trafikarki, osoby o wyrazie twarzy ewidentnie podmiejskim, która wyglądała tak, że gdyby wpełzła z trafiki przez trafikarski otwór, oplotłaby się wokół ciebie i profesora jak boa dusiciel i zrobiła to, w czym dusiciele się specjalizują.

Dżentelmen, ku twojemu zdziwieniu, roześmiał się i klepnął cię w ramię.

- Dobrze, dobrze kombinujesz - powiedział. - Kupuj, chłopcze, kupuj!

Nie przepadł jeszcze ten świat ze szczętem - pomyślałeś. Uśmiechnąłeś się miło do profesora, zapłaciłeś za superkogutki, boa dusiciel zapytał, czy jest końcóweczka, żarły cię wyrzuty sumienia i chciałeś być dzisiaj miły dla ludzi, więc znalazłeś końcóweczkę, dusiciel wydał, uśmiechnąłeś się przepraszająco do dżentelmena, po czym wyszedłeś na patelnioidalny plac przed Dworcem Głównym, gdzie ponad wielkim pomnikiem Polonii o skrzydłach w kształcie ostrzy toporów, która miażdżyła piętą głowę smokowi, wznosiły się wielkoświatowe piramidoidy i wieżycy mrokodrapne Ochoty. Budowane tak wysoko, by przyćmić wysokością wieżowce amerykańskie. Ameryka, co prawda,

nie podjęła wyzwania ze strony polskich wysokościowców, najnormalniej w świecie je ignorując, tylko czasem grzecznościowo wspominając coś w prasowych rubrykach „Ciekawostki” o tym, że, ho, ho, kto by pomyślał, że w pewnym postronczym kraju na końcu Europy, na samej granicy Wielkiego Sowieckiego Nieznanego, buduje się nowy Manhattan. I to jaki! Pełen menażerii na pomnikach i reliefach nigdzie niespotykanej. A kształtu takiego, że tylko sen chorego, ale piekielnie zdolnego wariata mógłby za nim stać. A raczej Mały Manhattan, często dopisywano, co doprowadzało do ciężkiej cholery urzędników polskiego Ministerstwa Propagandy Narodowej i do częstych interwencji dyplomatycznych najwyższego nawet szczebla, gdy jakaś, powiedzmy, „Indianapolis Star” wyrażała się o Warszawie jako o Małym Manhattanie. „Zwracamy uprzejmą uwagę, że na Manhattanie nigdy nie pojawiły się budynki wyższe niż w Warszawie, dlatego, jeśli już, winno pisać się o Manhattanie jako o Małej Warszawie, nigdy odwrotnie” - pouczano.

Stałeś teraz, Kary, w cieniu najwyższych budynków świata (no, nie licząc pewnie tych gigantycznych megalitów, które satelity szpiegowskie obfotografowały w Moskwie i innych miastach ZSRR, ale po pierwsze -nikt nigdy ich porządnie nie zmierzył, a po drugie - Związek Sowiecki to nie do końca był już ten sam świat co reszta planety Ziemia), łyknąłeś na raz z pięć superkogutków i popiłeś wodą mineralną bez gazu, wypijając prawie całą butelkę. Poszedłeś, jakoś tak intuicyjnie, na skos placu, w kierunku baru Syrena. Zapaliłeś papierosa i patrzyłeś, jak jakieś hipsy, nawołujące się wzajemnie z kresowym akcentem („ta co ty, Tomcjo, ta ja cji rifea dawał dopiro co, a ty go jużes wykurzył?”), rozsiadają się pod pomnikiem Polonii i zaczynają coś brzdąkać na gitarach. Była, owszem, jesień, ale i dość ciepło było. Rozkładali koce, dziewczyny wyglądały trochę jak Indianki z westernów, niektóre miały we włosy wpięte pióra, chłopaki z kolei kojarzyli się bardziej z jakimiś syberyjskimi szamanami: często głęboko zarośnięci, w tkanych ciuchach. Prawie wszyscy zrzucili buty, chcąc boso chodzić po Matce Ziemi. Ale jeszcze pierwsze dźwięki We Shall Overcome nie ruszyły, a już podeszły do nich znudzone gliny spod dworca. Granatowe mundury, czapki służbistowsko zapięte

pod brodami, wykrochmalony krok. Już wyciągnęli notesy, już się zaczęło „proszę się rozejść”, „prosimy nie zakłócać”, już hipsy kresowe do nich skakać zaczęły, że jak to, że co, że jak nie wolno, że stolica wszystkich Polaków, a nie tylko ich, adamów burych, a tamci już, przystanąłeś i patrzyłeś, pałac, kszysz-kszysz, przez krótkofale, Mietek, Maciek, Mariusz, chodźcie tutaj, pod Polonię, mamy incydent, i patrzyłeś, jak Mietek, Maciek, Mariusz, wszyscy przy pałach, przybiegają, i już nie są dla hipsów mili, już się szarpia, już Mietek czy Maciek bierze pod łokieć najważniejszą, widać, wśród hipsów kobietę, przywódczynię, wielką babę wysoką, tak na oko na metr dziewięćdziesiąt, wyglądającą tak, jakby jedną ręką mogła zmieść wszystkich Maćków i Mietków dzielnicy Warszawa-Śródmieście. Bierze pod łokieć i pyta, czy chce, żeby przy niej znaleziono na przykład heroinę, bo przecież to zawsze możliwe. Jak pozostali wyjmują pały i zaczynają szarpać siedzących hipsów, a jeden, najcieńszy, wyglądający jak łasica w mundurze policyjnym, wzywa kolejne posiłki. Patrzyłeś, paliłeś i nagle ku swojemu własnemu zaskoczeniu zorientowałeś się, że oto biegniesz w stronę burych, że w biegu strzelasz papierosem prosto w oko temu z krótkofalówką, że dopadasz tego, co za łokieć trzymał hipsiarke, że wycinasz mu prosto w połączenie zuchwy i czaszki, że adam pada, że odwracasz się do pozostałych, zbaraniałych, i że ryczysz coś w stylu „który, kurwa, pierwszy wyskoczy”, i że sam wyskakujesz pierwszy i robisz burym taką jatkę, jaką tylko miejskim, zastałym, zapączkowanym glinom jest w stanie zrobić być może ciężko pijący, być może nadużywający narkotyków, być może wielokrotnie ranny i posiadający pierwszą grupę inwalidzką za postrzał w mózg, być może tak zwany zdrajca, kurwa, narodu, ale jednak były komandos Rzeczypospolitej Polskiej wyszkolony jak mało kto w PSWB, w polskiej sztuce walki bezpośredniej, zwanej oficjalnie „koroną”, a nieoficjalnie - „pieswybem”.

Niektórzy hipsi usiłowali ci pomagać, a najbardziej - ta wysoka hipsiara. Twarz miała zaciętą i wyglądała na skonfundowaną i zaskoczoną, ale bosą nogą kopnęła jednego z gliniarzy w kolano tak, że ten z miejsca złożył się na ziemi jak domek z kart i ze zbaraniałą miną próbował powstać, a kantem ręki zdzieliła w ucho

innego, aż zaczął syczeć, jakby był czajnikiem, w którym się woda gotuje. Ty radziłeś sobie doprawdy imponująco. Leżeli już w zasadzie wszyscy adamowie wokół ciebie, poza jednym psiarskim, tym od mikrofal i papierosa w oku, który drąc się wniebogłosy, biegł w stronę budynku dworca.

W tym momencie zobaczyłeś, jak chyba cały dworcowy komisariat wybiega z wielkich dwuskrzydłowych drzwi, nad którymi wielkimi literami wypisano TRANSPORT RÓWNIEŻ JEST OSTOJĄ MOCY I TRWAŁOŚCI RZECZPOSPOLITEJ. Wiedziałeś, że w związku ze stałym zagrożeniem terrorystycznym na dworcu trzymano w odwodzie mocną grupę prewencyjnych. Wiedziałeś też, że chłopcy, które przez całe osiem godzin służby dziennie muszą non stop siedzieć w rynsztunku, nudząc się jak mopsy, wykorzystają każdą okazję, żeby choć trochę się zabawić.

Widziałeś, jak wielka hipsiara dostaje po głowie prewencyjną pałą, usłyszałeś, jak ktoś krzyknął „uwaga na tego biciarza, bije jak chuj!”, a potem nastąpiła coraz bardziej bezładna szamotanina z kilkoma napastnikami naraz, poczułeś, jak ktoś wali cię dokładnie w metalową płytkę w głowie, i światło najpierw ci rozbłysło mocą miliona słońc - a następnie zgasło. Choć ból się nie skończył.

Tak dobrze to nie ma.

WOLF

Wiedziałeś, że nie ma to sensu, ale zanim pozwoliłeś przykuć się za nadgarstki do biurka, złamałeś palec jednemu z gliniarzy, a innego kopnąłeś w kolano, ku czci wielkiej hipsiarki. Siedziałeś teraz, poobijany gorzej niż hrabia Guccio, a naprzeciwko siedział, roztaczając wokół siebie obrzydliwie słodki, truskawkowo-kwietny zapach niewytrzymałych perfum...

Ech.

Westchnąłeś.

- Ja też tak umiem, Kary - powiedział podkomisarz Sarkań. Ze swoim ciężko śpiewnym lwowskim akcentem. Zupełnie jakby wieloryb zaczynał śpiewać. Tak ci się zawsze kojarzyło. On niby śpiewał po temu swojemu, znaczy - po lwowsku - ale fałszował. Zresztą nie był nawet ze Lwowa. Tylko z Żółkwi czy skądś. Sarkań. Jebany. Wstał zza biurka i tak przydzwonił ci dłonią z mocnego rozmachu w żebra, że aż ci w klatce piersiowej zadudniło i straciłeś oddech. A potem poprawił w szczękę.

- Cześć, Adaś - powiedziałaś, próbując naśladować jego akcent, gdy ten oddech odzyskałeś, i gdy Sarkań rozmasowywał sobie knykcie, uprzejmie się do ciebie uśmiechając. - Nie masz ważniejszych zajęć jako bury glina? Co, ściąganie Hieroglifa Kuby innym, poważniejszym policjantom dają, a twoi muszą się hipsami pacyfistami zajmować bohatersko?

O, doskonale się znałeś z podkomisarzem Adamem Sarkaniem. Od dawna. Od starych złych czasów w Nowej Polsce, na Fernandynie. Złych, mimo że nawet jeszcze nie byłeś zdrajcą.

- No i co, kurwo hipsiarska, komuchu w dupę jebany - czule do ciebie świergotał, bo mówił to tak, jakby ci kwiatki chciał sprzedać drobnusie, takie w sam raz do rozrzucania w Boże Ciało w białej sukience. - Wrócisz, zaprzańcu pierdolony, zdrajco, do pierdla, do dziury zasranej, tam, gdzie twoje miejsce. Nigdy nie powinieneś z niej wychodzić. Bo to, że ta żydowska kurwa, ten Sztok pierdolony, cię stamtąd wyciągnął, to było twoje jebane szczęście, które nigdy nie powinno się zdarzyć.

- Wiem. - Roześmiałeś się. On też. I tak śmialiście się, patrząc na siebie, jak dwaj idioci. Ty - poobijany, skuty, on - różowy jak pokój dziecienny i pachnący.

- I teraz to naprawimy. Napaść na policjantów. Spowodowanie uszczerbku na zdrowiu skutkującego rekonwalescencją dłuższą niż dni siedem. Znacznie dłuższą. Posiadanie hurtowych ilości heroiny, kokainy, amfetaminy...

- ...bomby nuklearnej... - wszedłeś mu w słowo.

- A czemu nie. Wiesz, jak się ucieszyłem, że tu do mnie trafiłeś? Nawet nie wiesz. Oj, nawet nie wiesz. Sprawiedliwości, pomyślałem, stało się zadość! Sam nieistniejący Bóg wysłał cię, Kary, w moje ramiona! Wprost w moje ramiona, kurwo, szmato...

Roześmiałeś się. Ale jednak z ulgą, że nie wspomniał nic o księdzu Krencu. To jednak zawsze ulga. Drobną rzecz, a cieszy, że nic adamy bure nie wiedzą. Splunąłeś krwią na podłogę.

- Powiedz mi, Sarkań - zacząłeś - co ty właściwie, tak naprawdę, do mnie masz?

- Nic - z szerokim uśmiechem odpowiedział Sarkań, biorąc się pod boki i rozsuwając poły marynarki garnituru tak jasnego jak wnętrze cukierni w letni poranek.

- Mam prawo do telefonu, kapralu Sarkań, jak wiesz.

Podkomisarz, dawny kapral, Adam Sarkań parsknął rozkosznym śmiechem, mógłbyś powiedzieć: uroczą nastolatka się roześmiała.

- Zepsuty, kurwo jebana, złociutki mój. Zepsuty. Może chcesz list napisać? Może telegram nadać? Wiesz, że w waszym świecie, rządzone przez hipsów i biciarzy na twój obraz i podobieństwo, żaden telegraf by nie powstał? Nie wspominając o telefonie? Ba, nawet poczta by nie działała. Z tą waszą murzyńską muzyką bylibyście jak Murzyni. Tam-tamami byście się porozumiewali. Wy jesteście czyrakami na dupie cywilizacji. Was trzeba wygniatać jak pluskwy.

- Oddaj mi mobil.

- O! - Sarkań otworzył szufladę i pokazał ci twój mobil. - Popatrz. - Rzucił go na podłogę i zdeptał obcasem kowbojskiego buta z ewidentnie podrabianej wężowej skóry. - Patrz, kurwo, szmato - zaćwierkał - nie istnieje. Nie ma telefonów dla biciarzy. Tam-tamów pierdolonych używajcie. Tam-tamy, kurwa.

- No to fajnie - odpowiedziałeś. - I co teraz?

- Wal głową w biurko rytmicznie, może cię ktoś usłyszy. Jak w tam-tam. A teraz - odpowiedział Sarkań, podnosząc swoje jaszczurcze jakby, suche, pokryte chorobliwymi złuszczeniami ciało - będę cię przesłuchiwał.

- Ależ słucham.

- Słuchasz czego, kurwo, szmato?

- Pytań.

- Ależ ja nie mam żadnych pytań - powiedział Sarkań, podwinął rękawy i po raz kolejny dał ci w pysk, aż ci się gwiazdy pojawiły. Odpalił papierosa. Zapalił go tylko po to, by wziąć parę sztachów i skiepować ci go w oku. Zamknęłaś powiekę i szarpnęłaś głową, ale rozżarzone drobinki tytoniu paliły ci skórę jeszcze przez kilka sekund.

- To za jednego policjanta. To - wziął w dłonie twój mały palec lewej ręki i wyłamał ci go u nasady, aż ci zazgrzytało w mózgu i pod zamkniętymi powiekami zobaczyłaś z jakiegoś powodu krowie kości na rosół w wielkim garnku, a konkretnie ich wyslizgane chrząstki stawowe -za drugiego. A pozostałych

załatwimy hurtem, bo ja też mam, kurwa, ograniczony czas. Gdzie ty masz tę słynną płytkę w tym durnym łbie -ogłądał Sarkań uważnie twoją głowę - szmaciarzu hipsiarski, kurwo komunistyczna? O, proszę, to chyba to, ta blizna. No, zobaczymy...

Świat rozerwał się i zaczął ryczeć przenikliwie i świdrująco, i dość szybko zorientowałeś się, że to twój ryk.

Lekarz wcale nie był zadowolony, że go tu wezwano, do tego obscurnego aresztu na tyłach komisariatu na ulicy Śliskiej, po godzinach pracy. Miał szczurzastą twarz i szczurzaste maniery, zwracał się do ciebie bezosobowo i nawet nie pytał, w jakich okolicznościach doszło do złamania palca. Pewnie dlatego, myślałeś, Kary, naiwnie, że gdyby zapytał, toby musiał składać raport, zgłaszać się do prokuratury albo chociaż do przełożonych podkomisarza Sarkania, a po ciężką mu to było cholere. Wolał iść spokojnie do domu, wypić piwo, pobić żonę, albo dać się pobić żonie, diabły wiedzą, co on w domu lubi robić. Nie miałeś ochoty się szczurkowi skarżyć, ale się zastanawiałeś, czy nie zrobić tego z czystej złośliwości, tylko po to, żeby spieprzyć mu wieczór. Zresztą nie chciało ci się do niego odzywać. Coś cię przed tym bardzo, bardzo mocno powstrzymywało.

Szczurzasty doktor nastawił ci palec, unieruchomił dwiema szpatułkami, obwiązał, po czym bez słowa założył kapelusz i wyszedł z celi. Niedługo po nim pojawił się niewysoki glina, adamek wyglądający na pocziwca i dobrego, naiwnego człowieka, który poinformował cię, że dość tego wylegiwania się w pojedynczej celi przy komisariacie. Na przedstawienie zarzutów - jutro, z samego rana - poczekaś w starym centralnym areszcie śledczym przy Daniłowiczowskiej. Fajnie, pomyślałeś, blisko do pracy. Złota też mieszka niedaleko.

- Panie - powiedziałeś. - Daj pan zadzwonić. Dostaniesz pan sto złotych.

- Sto złotych? - zapytał dobry i naiwny. -Ale do ręki?

- Do ręki, jeśli mi pan przyniesiesz portfel z depozytu. A jeśli nie, to nie wiem, na konto panu prześlę.

- Ato nie. - Poczciwy pokręcił głową. - To czekaj pan.

Siedziałeś, patrząc na wyskrobane na ścianie napisy wyklinające gliniarzy, wodza Snardza i przeróżnych „cweli”, „frajerów”, „kurwy” i tak dalej, aż naiwny przyniesie z depozytu twój portfel. Wstałeś i wszedłeś na pryczę. Podciągnąłeś się, by wyrzeć przez niewielkie, zakratowane gęstą siatką okienko. Widziałeś podwórze komisariatu, opony zaparkowanych radiowozów, buty jakiegoś burego. Bure i przykurzone. Pod buta spadł niedopałek, but go zgasił. Znow usiadłeś na pryczy, patrząc w sufit i czując, jak wszystko, absolutnie wszystko, co zjadłeś, wypięłeś, pomyślałeś, uczyniłeś, zaniedbałeś, podchodzi ci do gardła. Chciało ci się rzygać. Nie po raz pierwszy w takich okolicznościach. Nienawidziłeś zamknięcia. Tego aresztu, tej celi, tej pryczy, tego okienka jebanego, tych drzwi okutych oddzielających cię od świata. Już się w życiu nasiedziałeś, kręcąc się od ściany do ściany i od drzwi do okna, jak zwierzę w klatce powoli zamieniające się w robota. Nienawidziłeś tego i wtedy, gdy wyszedłeś - cudem i przy pomocy ojca Złotej, mecenasa Adama Sztolca - obiecałeś sobie, że już nigdy, nigdy nie wrócisz do więzienia.

Poczciwy wrócił z mobilem.

- Z portfela zem se wziął - powiedział poczciwie. - Sto.

Kiwnąłeś głową. Podał ci mobil.

- Tylko krótko - ostrzegł. - Żeby nikt nie usłyszał.

Wziąłeś od niego aparat, starego radomskiego ericssona, i wybrałeś jedyny numer, który znałeś na pamięć. Numer Złotej.

Czarna maryja wiozła cię ulicami, razem z tobą siedziało kilku hipsów. Przez przetarcia w czarnej farbie, którą pomalowano okna, widziałeś poranną Warszawę, jeszcze nie do końca przebudzoną do życia: jasne światło zalewało ulice miodowawą polewą, niemrawe samochody, piasty, radwany, chevrolety, ople i co tam po garażach i przed kamienicami, i przed blokami warszawiaków stało, powoli wygramalały się na ulice. Z dostawczaków wyładowywano towar. Nawet ty, Kary, poczułeś to największe złudzenie świata, które zawsze manifestuje się najbardziej o

poranku: że świat, że to wszystko ma jakikolwiek sens. Oparłeś głowę o kratę na szybie i spod wprzymkniętych powiek obserwowałeś, by tak rzec, współpasażerów. Same chłopy. Było wśród nich dwóch hipsów, których zwinięto razem z tobą. Ale nie było tej wysokiej, blond, tej, która kopała jak koń.

- Co się stało z tą... no wiecie, dziewczyną?

- Dziewczyną? - zaczął po wschodniemu siedzący naprzeciwko ciebie hipsik, aż się skrzywiłeś, bo jakoś ci się dzisiaj kresowy bałak kojarzył z chrzęstem wyłamywanych kości.

- No... wiecie którą. Tą wysoką, blond... nie wiem, co wy tam macie w tych waszych hipsiarskich szczepach, wodzów? Wodzówką? Wódką?

Hipsi popatrzyli po sobie.

- Słuchaj, biciarz - powiedział w końcu jeden z nich, brodaty, z włosami uczesanymi w warkoczyki, pamiętasz, zanim wsadzili was wszystkich do suki, miał na tych warkoczykach kolorowe wstążeczki, które mu, widać, na komisariacie pozrywano. - Jesteśmy bardzo wdzięczni za interwencję i w ogóle, ale na przyszłość, jak będziesz chciał urządzać samobójcze ataki, to nie wciągaj w to innych.

Podniosłeś głowę, zdziwiony. Tak, owszem, słyszałeś coś o tym, że hipsy niby wyznają zasadę, że pokój, brak przemocy i w ogóle pacyfizm, ale akurat ci, których znałeś, byli żywym zaprzeczeniem tych wszystkich zasad. Nie tylko Zejgal czy Rabcz, ale warszawskie hipsy ogólnie prały się z policją ile wlezie i raczej nie pozwalały sobie wchodzić na głowę.

- Mhm. - Pokiwałeś więc głową.

Czarna maryja podskoczyła na wybojach, a wy wszyscy razem z nią.

- Dagny - podjął ten z warkoczykami. - Nam nic nie zrobią, właściwie biłeś się z burymi tylko ty i ona, to wyjdzie na monitoring, ale Dagny... nie wiem, co się z nią stało. Ale się domyślam. Widziałem ją przez sekundę na korytarzu, jak wrzucano ją do jakiegoś pokoju. A za nią wchodził jakiś rechoczący kutas, ubrany na biał, w kowbojkach, śmierdzący jak wytwórnia perfum z gówna z cukrem.

Zamknąłeś oczy, starając się ze wszystkich sił nie pozwolić, by krew waląca ci do głowy wytrysnęła nosem, oczami, uszami, ustami. I, oczywiście, przez dziurę w głowie.

Na Daniłowiczowskiej wsadzili cię do celi czteroosobowej. W rogu, zwinięty i zawinięty w koc, leżał jakiś chłopaczyna. Na dwóch innych pryczach siedzieli łysi mężczyźni. Jeden był łysy z wyboru, drugi, jak by to rzec, z konieczności. Łysy z konieczności, z koroną wytatuowaną z boku głowy, gapił się na ciebie spode łba. Ten drugi, łysy z wyboru, był mniejszy od łysego z konieczności, był też szczuplejszy, ale wyglądał na takiego, który jeśli trzeba, kamienie by tłukł czołem. Na takiego, którego trzeba by było wdeptać w glebę, jeśli chciałoby się mieć z nim spokój.

Stanąłeś w drzwiach i popatrzyłeś na nich. Nikt nic nie powiedział. Patrzyliście na siebie, nawet ten zawinięty w koc rzucił okiem, po czym odwrócił głowę. Dwaj łysi nie odwracali. Gapili się na ciebie wibrująco.

Pierwszy spuściłeś wzrok. Położyłeś swój majdan na łóżku, po czym podszedłeś do nich. Stanąłeś przed łysym z wyboru. Zanim ten zdążył zareagować, wyrznąłeś mu kolaniem prosto w twarz, aż huknęło, i jeszcze poprawiłeś prawą pięścią w ucho. Zaskowytał jak zwierzę, padając na materac. Łysego z konieczności, który już, już zrywał się z pryczy, potraktowałeś nogą w kolano, by usiadł z powrotem. Usiadł i zaraz również dostał po pysku. Następnie podszedłeś do tego zakutanego w koc. Wyciągnąłeś dłoń.

- Kary - powiedziałaś. - Franek Kary. Cześć.

- Kur. .. kurwo ty. - Zawinięty w koc okazał się blond wążaczem. -Malina, Jeliciak! Żyjecie? Bić frajera!

- Sam go, kurwa, bij, Majcherek - stęknął ten niższy, zapewne Malina, bo jak zauważyłeś, miał na głowie malinowe znamię w kształcie, cóż, maliny właśnie. - Ja za chwilę. W uchu mi dzwoni.

- Ja ci dam, że cześć i że Franek! - Osobnik, który jak wywnioskowałaś drogą zajebistej dedukcji eliminacyjnej, mój ty detektywie, musiał nazywać się Jeliciak,

zerwał się natomiast z pryczy, na sztywnym nieco kolanie. - Ja cie, kurwo, w kolano kopne...

Chwilę później Jeliciak leżał już nie na pryczy, a na ziemi, zgruzony jak sterta klusek, a wokół niego rozlewała się kałuża moczu.

- No kurwa! - ryknął Majcherek. - I na chuj żeś tak! Teraz będzie jebać szczochem pod całą celą!

- Jeliciak wymyje. - Usiadłeś obok Majcherka i objąłeś go przyjacielsko ramieniem. - Zaprzyjaźnijmy się.

- Nie tragaj mnie, pederze jebany, cwelu w tukes...! - Majcherek wyrwał się z twoich objęć i musiałeś przyznać, mocny był, skurwiel, gibki i chybki niby wąż.

- Siedź, Majcherek, spokojnie - powiedziałeś. - Zaprzyjaźnijmy się.

- To może, kurwa, trzeba było od tego zacząć - sapnął ze swojej pryczy dochodzący do siebie powoli Malina. - A nie, kurwa, z trepa, z blata, na wejściu, ty, kurwa, ty.

- Kochani. .. - Unieruchomiłeś w końcu Majcherka tak, że ledwo mógł zipać. - Przecież wiadomo, jak by to było. Ja jestem detektywem. Dla was to prawie jak glina. Wy byście mnie wypytywali, kim jestem. Ja bym nie odpowiadał. Atmosfera by gęstniała. Wy byście mnie prowokowali, a ja nic. W końcu tak czy owak zaczęlibyście do mnie skakać i tak czy owak dostalibyście po ryjach. Więc po co było przedłużać? To od razu wołałem przejść do rzeczy, omijając te nudne pół godziny podchodów.

- Kurwo, zem się przez ciebie zeszczą! - ryczał z kałuży moczu Jeliciak.

- To umyj - powiedziałeś. - Nie wiem, gdzie tu macie jakieś ściery?

- Sam żeś... - zaczął Jeliciak, po czym popatrzył na ciebie i przerwał.

- No - rzuciłeś. - Brawo. Umiesz się kontrolować. To teraz szukaj ściery, Jeliciak.

- A... za co cię posadzili? - pisnął Majcherek.

- Za czerwone i bure.

- Kurwa, chuju głupi. - Malina masował sobie ucho. - Ale z ciebie głupi chuj. Przecież pierwsze, o co byśmy zapytali, to nie co robisz, kurwa, w karierze zawodowej, ale za co siedzisz, ty, kurwa, ty. A za pobicie hintów to akurat byś miał pod całą szacun.

- Hm - zastanowiłeś się głośno, wypuszczając z objęć Majcherka, który od razu, niby zaskroniec w zarośla, czmychnął na pryczę Maliniaka. - No może faktycznie. Co, kurwo, jeszcze stoisz! - wydarłeś się na Jeliciaka. - Szukaj, kurwo, ściery!

Ani Maliniak, ani Majcherek nie stanęli w jego obronie. Patrzyłeś, jak Jeliciak zdejmuje zaszczane portki i majtki i z demonstracyjnie gołą dupą wypiętą w ich stronę zaczyna pracować w zlewie. Na kałużę moczu starałeś się nie patrzeć. I gdyby tylko łeb cię tak bardzo nie bolał, pewnie byś się zastanawiał nad niesamowitą konstrukcją tej słynnej więziennej lojalności.

- Przecież on sam jest bury - warczał Jeliciak znad zlewu. - Detektywy to kurwy od burych gorsze. Poczekaj, kurwo, jak zaśniesz, to cię zajebię... i was - rzucił pod adresem Maliny i Majcherka - razem z nim.

Malina i Majcherek popatrzyli po sobie, po czym wstali i zaczęli Jeliciaka kopać.

Zamknąłeś oczy. Śmierdziało moczem.

Jedynie, czego nauczyłeś się pod całą, gdy siedziałeś za zdradę, to tego, że relacje w tych więziennych ekipach są proste i subtelne niczym te w psich stadach. Tych, co teraz terroryzują podobno prowincję.

Chciało ci się rzygać.

Szedłeś więziennym korytarzem. Lamperie, cele, stukanie butów prowadzącego cię gada. Skrzypnięcie drzwi, znów kroki, znów drzwi, znów lamperie, znów drzwi. Gabinet dyrektora więzienia. No, tu już było inaczej, piękno samo: dąb, styl, tapety drogie. Widać, że dyrektor nie z państwowego urzędzał, tylko że sam lubi w pięknie przebywać. Kolejny panicz pnie się w górę w ramach cursus honorum.

- Wolf - powiedziałaś na widok eleganckiego, szczupłego dżentelmena z nienagannie przystrzyżoną bródką. - Cześć, Wolf.

- Cześć, Franc - westchnął Wolf Rubin, mąż Złotej. Adwokat, poseł na sejm z rządzącego Obozu Narodowego i ogólnie chłop piękny, niby Samson wierzchem na Achillesie. - Dobrze cię widzieć, choć najlepiej nie wyglądasz.

- Ty za to wyśmienicie. - Uśmiechnąłeś się, siadając niepytany w fotelu naprzeciwko Wolfa.

- Poznaj... - Wolf wysunął dłoń w stronę mężczyzny siedzącego za biurkiem. - Pan Teofil Komornicki. Naczelnik aresztu.

- Coś słyszałem. - Skłoniłeś głowę.

- Ja również. - Dyrektor skłonił głowę, zapalając papierosa. - Nie najlepsze rzeczy.

- Podobnie - odpowiedziałeś. - Mogę prosić papierosa?

Naczelnik skierował pełen obrzydzenia wzrok w stronę Wolfa. Wolf westchnął i wyciągnął swoje egipskie. Poczęstował cię. Odpalił.

- Kary, nie było to proste - powiedział - ale prokurator zgodził się odstąpić od oskarżenia.

- Dziękuję, Wolf - odpowiedziałeś, patrząc mu w oczy. - Naprawdę, doceniam to.

Naczelnik prychnął. Miałeś wrażenie, że prychnął również wiszący mu nad głową na portrecie marszałek Jeremi Snardz, Wódz Naczelny RP.

Doceniałeś. Nie, nie przepadałeś za Wolfem. Ani wtedy, gdy Złota go dla ciebie zostawiała, jego i dwójkę dzieci, które ze sobą mieli, ani tym bardziej gdy z kolei zostawiła ciebie i do Wolfa wróciła. Szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiałeś, co widziała w Wolfie. Nigdy. Nie rozumiał tego zresztą również jej świętej pamięci ojciec - stary, poczciwy mecenas Adam Sztok, nazywany „żydowskim Martinem Lutherem Kingiem”. Ten sam, który wyciągnął cię z więzienia za „zdradę narodu”, ten sam, który walczył o prawa polskich Żydów tak skutecznie, że spotkał go los spotykający wszystkich Martinów Lutherów Kingów tej ziemi: dostał kulę prosto w czaszkę podczas jednego z wieców. Kula w czasie starego, dobrego pana Sztolca wyłączyła jego mądry mózg na zawsze. Nie to co kula w twoim

pustym łbie, która ledwo znalazła w nim jakiegokolwiek szare komórki, by w nich wylądować, nie robiąc im zresztą jakiejś zasadniczej krzywdy, Kary, ewenemencie medyczny jeden. Idioto. Ale co mógł taki Adam Sztok myśleć o Wolfie Rubinie: ślicznym, wysportowanym karierowiczu, który zamiast przyłączać się, jak wszyscy z punktu widzenia starego Sztolca porządni ludzie, do Oporu, poszedł w oenowską politykę, dał z siebie zrobić pożytecznego idiotę i dobrego Żyda snardzowskiej władzy. Bo gdy tylko ktokolwiek, w kraju czy na świecie, oskarżał oenowców o antysemityzm, zaraz wystawiano na mównicę czy do mediów Wolfa Rubina, najchętniej w jarmulce, a Wolf Rubin mówił wtedy, z szerokim, białozębym uśmiechem, że wszystko jest w porządku. Że wszystko w najlepszym jest porządku, nic się nie dzieje, nie ma się o co martwić. Piękny, wysportowany, warszawski człowiek kariery, Żyd sukces integracji wam to mówi. Żyd polski patriota. Lojalny wobec Rzeczypospolitej i jej konstytucyjnych władz.

Stary Sztok, Kary, lubił za to ciebie. I choć absolutnie nie zasługiwałeś na kogoś takiego jak Złota, cieszył się, gdy jego córka zostawiła dla ciebie tego cholernego warszawkowatego wymoczka wysportowanego w fitness klubach. Cieszył się, choć jego żona, matka Złotej, pani Rebeka Sztolcowa, włosy z głowy darła.

Jej córka, wycackana, wychuchana Złota, za jakieś nicdobrego, za jakiegoś przybłądę z więzienia, ze wsi, z wojska, w dodatku Polaczka!

Ciebie pan Sztok lubił. Choć nigdy nie rozumiałeś za co.

Szkoda pana Sztoka.

Skurwysyny, polscy faszyści zastrzelili dobrego pana Sztoka. Złe skurwysyny chodzą po ziemi jak gdyby nigdy nic, a dobry pan Sztok gnije w ziemi na Żydowskich Powązkach i tyle jest z tego, kurwa, bycia dobrym.

Ale doceniałeś to, co zrobił Wolf. I to, co robił Wolf. Bo to dzięki Wolfowi i jego koneksjom hinty zostawiały was i waszą agencję w spokoju. Bo przecież - co to za agencja! Prowadzona przez zdrajcę narodu i córkę żydowskiego, lewicowego dysydenta! Kto takiej agencji zezwolenia, licencje wystawia, kto do takiej agencji

na pałach nie wjeżdża regularnie, kto się takiej agencji nie czepia, że przekracza uprawnienia, a prowadź tu, kurwa, agencję ochroniarska-detektywistyczną i nie przekraczaj uprawnień, no ja cię proszę.

Dzięki komu pod przykrywką agencji od lat może działać jedna z najaktywniejszych komórek Oporu?

Nigdy tego do końca nie rozumiałeś. Wolf oczywiście wiedział, co się dzieje w agencji. Musiał wiedzieć. I zawsze się zastanawiałeś: czy chodzi o to, że jest taką oportunistyczną kurwą, że wyłącznie dla kariery i pozycji robi wysoką oenowską politykę, jednocześnie kryjąc jej najniebezpieczniejszych wrogów? Czy robi to wszystko dlatego, żeby kryć Złotą, bo wie, jaka ona jest, i wie, że nie przestanie robić tego, co robi, a on, Wolf Rubin, musi przyjąć na siebie odium politycznej kurwy, Judasza, żeby kryć swoją rodzinę?

Czy chodzi o coś jeszcze innego?

- Prokuratura zgodziła się nie występować wobec ciebie z oskarżeniem, Franc - zmęczonym głosem wywodził tymczasem Wolf Rubin. - A żeby maksymalnie przyspieszyć zwolnienie, przybyłem z pismem od prokuratora prosto do dyrektora. Bo jeszcze byś zdążył narozrabiać, podczas gdy będą załatwiane formalności. A ja nie mam czasu, Franc, żeby montować kolejne akcje ratunkowe. Co ci się stało w palec?

Podniosłeś brudny już nieco bandaż do oczu.

- Nic takiego - odpowiedziałeś. - Nic, czym warto by się przejmować, Wolf.

- Cieszę się, że jest pan zadowolony z opieki penitencjarnej. -Naczelnik rozparł się w fotelu, a jego pulchna łapka klapała po biurku w poszukiwaniu papierośnicy. - A teraz, szanowny panie Kary, racz pan zabrać swoje ohydne, hipsiarskie cielsko z mojego gabinetu, bo będę musiał zbyt długo wietrzyć. Won. Uszanowanie, panie Rubin. Nie zatrzymuję. Proszę uściskać ode mnie pułkownika Warede.

- Żegnam - odpowiedział, wstając, Wolf Rubin, a jego oczy były idealnie puste, niczym paciorki. Ale ty podniosłeś rękę.

- Jest jeszcze jedna sprawa. - Chrząknąłeś, siłą powstrzymując się od tego, by nie strzepnąć demonstracyjnie popiołu na podłogę, tylko podchodząc do biurka dyrektora i napawając się jego obrzydzeniem, użyłeś jego popielniczki. - Dagny. Hipsiarka, która wczoraj została aresztowana razem ze mną. To bardzo ważne, żeby ją również wypuścić. Wiem, że to trzeba przez prokuraturę, ale...

- Ach! - Dyrektor w końcu znalazł papierośnicę, wyjął imperiała i zapalił. - Dagny. Kowalenko, o ile pamiętam. Tak. Powiesiła się dziś w nocy na oddziale kobiecym. Coś jeszcze?

Rubin wziął osłupiałego Karego pod pachę i wyprowadził z gabinetu dyrektora.

Zauważył ze zdziwieniem, że Karemu drżą ręce. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział.

Okazało się, gdy już odebrali rzeczy z depozytu, że w portfelu Karego nie ma gotówki. Były na szczęście karty płatnicze i dokumenty. Nie podejrzewałeś, Kary, poczciwca z posterunku na Śliskiej o kradzież. Szło raczej o fakt, że po aresztowaniu tak szybko wrzucono cię do gabinetu Sarkaniowi, który, widać, nie mógł się doczekać twojej wizyty, od kiedy tylko o tobie usłyszał, że nikt nie miał głowy do sporządzania protokołu. Ten więc sporządzono później na kolanie, rubryki „zawartość portfela” załatwiając jednym przekreśleniem. Wiedziałeś więc, że okradł cię zwykły, szary urzędniczyna, który rutynowo przed wydaniem ci rzeczy porównał protokół z portfelem, czy aby niczego nie uda się do pensji doskubnąć, i w ten sposób stał się niespodziewanie dla siebie samego bogatszy o jakieś sto dwadzieścia złotych. Ale nie miałeś do tego głowy. Myślałeś o Sarkaniu. I o martwej hipsiarce o imieniu Dagny. I o tym, co jej Sarkań robił.

- Zabiję skurwysyna - mówiłeś bardzo spokojnym głosem, patrząc w szybę samochodu Wolfa, gdy ten przez zakorkowany jak diabły Przewóz (powinien, cymbał, pojechać dookoła, Wolską Trasą Obwodową za Kercelakiem, a nie pchać się przez centrum) odwoził cię do domu swoim czarnym mercedesem XD. Za oknem zrobiło się pochmurno i warszawskie kamienice, nad którymi jeżył się Mały

Manhattan, który domagał się uznania za Wielki Manhattan, nabrały w końcu właściwego kontekstu, takiego, do jakiego zostały stworzone: tła ponurej, mrocznej, gotyckiej nawet, kto wie, opowieści. W samochodzie pachniało czymś, co miało kojarzyć się z czystością, nowością, porządnością i schludnością; byłeś pewien, że opakowanie kostek zapachowych, które kupował Wolf, utrzymane było w ciemnostalowej tonacji.

- Którego skurwysyna?

- Nie znasz. I chyba dobrze.

- Franek - odpowiedział ci Wolf. - Pamiętaj. To wszystko, co wy robicie, na czymś się odbija. Szczególnie że od czasu twojego... wypadku...

- Co od czasu mojego wypadku?

- Stałeś się dość nieprzewidywalny.

- O co ci chodzi?

Wolf Rubin odwrócił w twoją stronę twarz o brodatości i powadze Jezusa, tylko że wypuszczonego ledwo co od najlepszego fryzjera i kosmetyka w Jeruzalem.

- Wiesz, o co mi chodzi. O księdza Krenca. Na przykład.

Coś w tobie tkwiącego, głęboko i wbrew temu, co chciałeś na jego temat uważać, kazało ci mieć Wolfa za nudnego, zbyt przystojnego, zbyt dobrze wyglądającego, zbyt spod igły, zbyt sobie radzącego, żeby mógł być człowiekiem, który ma coś w rodzaju życia wewnętrznego i rozterek moralnych. I to nie był pierwszy raz, gdy intuicja zaczynała cię zawodzić, Kary. Być może to dlatego, że to był Wolf. I że to on, nie ty, był ze Złotą. Żył ze Złotą. Spał ze Złotą.

Pokiwałeś głową. Choć z księdzem Krencem wcale nie było tak, jak myślał Rubin. Ale niech myśli.

- Wiem, Wolf.

- A kiedy jesteś nieprzewidywalny, akcje Oporu mogą się skończyć tragicznie, mogą się skończyć tak, że nawet ja was nie obronię. A wtedy to się może odbić potwornie na mojej rodzinie. - Miałeś wrażenie, że Wolf podkreślił to „mojej”.

- Wiem, Wolf. Twojej.

- Franc - Wolf Rubin odwrócił w twoją stronę swoje rubinowe oczy -proszę, szanuj to.

- Tak, Wolf.

- I trzymaj się od mojej żony możliwie z daleka. Wiesz, o czym mówię. Proszę.

- Wiem, Wolf. Rozumiem. Wszystko rozumiem. Jeszcze raz ci dziękuję...

- Podziękuj Złotej.

Zdobyłeś się na uśmiech.

- Mam się przecież od niej z daleka trzymać...

- Wiesz, o co mi chodzi, Franek.

- Wiem, Wolf. Naprawdę. Przepraszam. Żart. Słuchaj, ja już wysiądę. Nie ma sensu stać w tym korku. Skręcisz sobie w Chłodną, ja się przejdę.

- Ale to nie problem... - zaczął Wolf, który, miałeś wrażenie, zbyt często wpadał w pułapki, własnej grzeczności zwłaszcza, ale wyciągnął do niego rękę, otwierając jednocześnie drzwi.

- Złotej podziękuję, ale tobie też. Trzymaj się.

Uścisnął twoją dłoń.

- Nie pierdol, obaj wiemy, że wstydzisz się ze mną pokazywać pod kamienicą.

Roześmiałeś się, nie będąc pewnym, czy Wolf żartuje czy nie. Ale cóż, prawda była taka, że miano go za pupilka i wyszczekaną mordę władzy i nie przepadano za nim na ulicy. Pewnie dlatego jeździł mercedesem z szybami ciemnymi jak historia Polski.

- Cześć, Franek.

- Cześć.

Zostawiłeś go w moknącym w deszczu czarnym mercedesie, w niskim centrum wciśniętym pomiędzy dwie szczerzące się do siebie wieżowcami dzielnice, i pomaszerowałaś, stawiając kołnierz biciarskiej kurtki, przed siebie.

Teraz to już naprawdę musiałeś się napić.

HIEROGLIF

Jeszcze ciekawiej się zrobiło, a w prasie wielki się podniósł rwetes, gdy zginął - jak szybko uznano, z ręki Kuby Hieroglifa - znany, choć emerytowany już raczej aktor Leon Rettinger. Za to ulubiony aktor Snardza, o czym prezydent informował, kiedy go tylko jakiś dziennikarz zapytał. Typ pykniczny, energiczny, którego Kary poznał kiedyś na jakimś raucie wielkiego świata, zawleczony tam, nie wiedzieć po co, przez Złotą. Dawno temu, gdy Złota była jeszcze jego Złotą. Nie polubili się z Rettingerem, bo Rettinger był strasznie zadufany w sobie, ale - co musiało być, Kary, przyznać - raczej zasadniczy i konkretny. Zdając sobie sprawę, że jego dni jako amanta polskiego kina się kończą, zajął się produkcją i reżyserią, podłapał do tego państwowe kontrakty na propagandowe gnioty, jak ten film o żołnierzach zaginionych w dżungli na San Fernando. Robił też inne fuchy opłacane z budżetu państwa, a budżet lubił zapłacić za coś, co wzmacniało tak zwaną więź narodową, czyli na przykład coś o Polakach mordowanych przez Ukraińców w Małopolsce Wschodniej, o złych banderowskich terrorystach wysadzających w powietrze polskie stragany, a w którymś z filmów nawet krakowskie Sukiennice. Kręcił jakieś antykomunistyczne kiły, w których dzielna polska policja polityczna wyłapuje podziemne komórki Komunistycznej Partii Polski sterowane przez pół ludzi, pół niedźwiedzie z Moskwy. Był wśród jego produkcji również film science fiction o tym, jak to Polacy przed Amerykanami, Rosjanami i Niemcami lecą na Księżyc, tylko po to, by znaleźć tam kolonię innych Polaków, takich, którzy

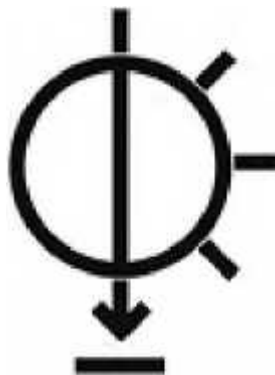
wylecieli z Polski jeszcze przed rozbiorami i tam, na księżycowych stepach po jego ciemnej stronie, rozbudowali Wielką Księżycową Rzeczpospolitą. Takie tam.

A potem akcja przyspieszyła.

Trupów zaczęło przybywać.

Zginęli na przykład bracia Sosnowscy, zajmujący się wymuszaniem haraczy na Kercelaku.

Tylko że wokół ich trupów już takiego kordonu i tajemnicy nie było. Fotoreporter „Wieczornika” Antoni Korycki był pierwszym, który sfotografował ich porąbane na kawałki ciała w jakiejś szopie na jednym z wolskich podwórek, bo wpuścił go tam któryś z jego zaprzyjaźnionych adamów. Sfotografował też dziwaczny znak napaćkany krwią na ścianie. Wyglądał tak:



A później zginęła Sara Rojzman, znana i lubiana policjantka z Dzielnicy Północnej, i wokół tego krzyku się porobiło co niemiara. Sarę znaleziono w potwornym stanie: nagą, z wyrwanymi wnętrznościami, właściwie przy samych Nalewkach, w jednej z bram. Nad jej głową wymalowany był podobny symbol co nad Sosnowskimi. Jej leciutkie zawsze, jasne włosy byty ciężkie i sztywne od czarnej, zakrzepłej krwi.

Po śmierci Rojtmanki i polscy, i żydowscy policjanci, antki i icki, ręka w rękę rzucili się szukać Kuby Hieroglifa, dysząc żądzą mordy, ale niczego nie znaleźli.

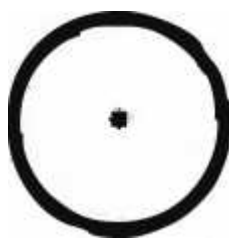
- Kuba Hieroglif na ludzi poluje! - wrzała ulica. Świadkowie, rzekomi czy prawdziwi, diabły wiedzą, byli już pewni: nie jest to człowiek.

Zamieszczano portrety pamięciowe Kuby Hieroglifa. Raz przypominał goryla, kiedy indziej - wampira, a jeszcze innym razem - jakiegoś człekokształtnego dinozaura. Któryś z brukowców sugerował nawet, że Kuba Hieroglif potrafi latać, jak Superman z amerykańskich filmów. Że to w ogóle jest któryś z tych zmutowanych superbohaterów z Ameryki, który zwariował i przyjechał do Polski mścić się za jakichś swoich żydowskich przodków zabitych w którymś z pogromów. Sugerowano, że hieroglif znajdujący na ścianach bardzo przypomina symbol jednego z bardziej znanych amerykańskich wigilantów - Minotaura, człowieka, którego genom amerykańska armia w ramach swoich tajnych eksperymentów prowadzonych gdzieś na pustyni w Nevadzie splątała z genomem bizona, przez co rzeczony zyskał nadludzką siłę. A uzyskawszy, urwał się wojskowym i zaczął mścić się za krzywdy. Najpierw własne, a gdy już je pomścił, to - w ramach dalszego poszukiwania motywacji do życia -krzywdy swojej rodziny. Wszystkie, do kilku pokoleń wstecz. A gdy już nie było niczego prywatnego do mszczenia, to mścił krzywdy ogólnie. Czytał gazety, szukał pokrzywdzonych, zakreślał, notował i mścił. Najczęściej w sposób mało wyrafinowany, wdzierając się jak rozjuszony byk krzywdzącemu do domu, do auta czy do biura i łamiąc mu wszystkie kości.

A to nie koniec. Pojawił się bowiem nowy wątek.

W różnych częściach miasta znajdowano pozabijanych gówniarzy, którzy jak się potem okazało, należeli do organizacji Krew i Ziemia. Było ich kilku, jak Maciej Szmit, osiłek związany z młodzieżówką krwioziemców, czy słynny Wiktor Marzena, atleta, były dżudoka, komandos i ochroniarz księdza Krenca, jednego z duchowych przywódców krwioziemców. Ci jednak byli zabici inaczej niż pozostali. Czysto. Jednym ciosem. Najczęściej w oko.

W miejscach, w których ich znaleziono, również znajdowano symbol. Taki:



Warszawę ogarnął szal.

Prasa szalała, temat przerósł w pewnym momencie doniesienia z wojny domowej w Małopolsce Wschodniej. Policja nie blokowała dziennikarzom dostępu do materiałów. A nawet do trupów, i było w tym, tak, Kary, myślałeś, coś wręcz perwersyjnego. Jakby celowo wywlekali te nieszczęsne zwłoki do gazet, na szpalty, na pierwsze strony. W efekcie gazety zaczęły przypominać trupiarnie. Jak nie spalone, podziurawione kulami, porżnięte trupy z Ukrainy (a nie miałeś wątpliwości, że to tylko trupy polskie, bo ukraińskich, rzecz jasna, polskie gazety nie pokazywały, a gdy kiedyś gazeta „Goniec Polski” pokazała, to nakład skonfiskowano, a redakcję rząd zamknął), to rozwalone na kawałki trupy z warszawskich ulic. Rodzinie Sary Rojtman nie oszczędzono wystawienia na widok publiczny nagich, wybebeszonych zwłok żony i matki.

Hieroglif znajdujący nad zwłokami stał się bardzo szybko najczęściej powielanym motywem wyrysowywanym kredą czy aerozolem na murach.

Ale gdy znaleziono zwłoki byłego premiera Krasnohorskiego, dziennikarze znów odbili się od policyjnej ściany. Na jakiegokolwiek informacje, nie wspominając o zdjęciach, nałożono ścisłe embargo. „No nie możemy, pod gardłem zakaz mamy, tak mi bure w policji mówiły” -opowiadał Karemu przy wódce fotoreporter Antek Korycki. Okoliczności śmierci Krasnohorskiego zresztą, polityka dawniej mocno wspierającego Wodza Naczelnego i Prezydenta RP Snardza i w ogóle bardzo blisko z nim związanego, były równie tajemnicze jak śmierć Tyca, Tarnowskiego i innych. Nie było o niej wiadomo kompletnie niczego. Poza tym, bo jakimś cudem ta informacja do mediów wyciekła, że Krasnohorski wyglądał, jakby mu w środku granat wybuchł. I że w miejscu, w którym go znaleziono, również znaleziono

hieroglif. Tylko że zupełnie inny od tego, który znaleziono przy Rojtman, Sosnowskich czy krwioziemcach.

Za to pogrzeb Krasnohorskiego był z pompą i przy całej wojskowo-cywilnej oprawie. Salwy honorowe, raz żołnierze, raz armaty. Dobrze, że samoloty, myślałeś, nie zrzuciły bomb honorowych. Cała Polska oglądała ten pogrzeb w telewizorach. Jakiś epigon Szukalskiego naprędce nawet odlał z czegoś, co wyglądało jak stężone gówno, ale pewnie było brązem, statuę Krasnohorskiego. Dodał mu, nie wiadomo czemu, szyję żyrafy i nogi żurawia. W pewien sposób zresztą bardzo to do byłego premiera pasowało.

Ty też chciałeś obejrzeć. Padał deszcz. Wracałeś z biura do domu, biegnąc od tramwaju z postawionym kołnierzem płaszcz, klnąc na czym świat stoi, bo brylantyna z ułożonych po biciarsku włosów spływała ci do oczu i gryzła.

Przywitałeś się z kwitnącym w bramie cieciem, panem Arturem, który opierał się o swój atrybut - miotłę, tęsknie patrząc na deszcz rznący po bruku ulicy. Pan Artur był bardzo dziwnym stróżem. Melancholijnym, nawisającym jakby nad rzeczywistością. No i no, ogólnie dziwnym.

- Pada- powiedział tępo dziwny stróż Artur, gdy Kary go mijał.

- No pada - odpowiedziałeś, Kary. - Dzień dobry, panie Arturze.

- Jużeś mi pan mówił rano dzień dobry, a ja panu. Dlatego powiedziałem, że pada, a nie, że dzień dobry. Premiera chowają, to i niebo płacze - odpowiedział dziwny stróż pan Artur.

W trumnie ustawionej w salonie leżała blada, szczupła dziewczyna. Była naga. Wyglądała jak kalka Złotej. Albo Złotej lalka. Tylko że młodsza. I chudsza. I rude, ziejąca rude włosy, jakie Złotej zmijowały się na głowie w każdą stronę, miała obcięte na chłopczycę. I włosy łonowe miała przystrzyżone w wąski pasek, czego Złota nigdy nie robiła. Kary powiesił mokry płaszcz na wieszaku, mokre włosy przetarł szybko ręcznikiem. Wrócił do dużego pokoju, minął trumnę z kopią Złotej i podszedł do szafki, która robiła za barek. Wyciągnął burbona i nalał sobie pół

szklanki. Pchnął dwuskrzydłowe drzwi, które oddzielały salon od kuchni. Otworzył drzwi lodówki i z lodziarki wytrząsnął kilka kostek. Wrzucił do szklanki. Zagrzechotało.

- Mnie też zrób - odezwał się głos z trumny.

Kary wrócił do salonu ze szklanką w dłoni.

- O, wstałaś. Cześć, Beata.

Beata ziewnęła.

Trumna była prezentem, który dostał od Złotej kilka lat temu. Na trzydzieste któreś urodziny. Że niby taki dowcip, że już do grobu. Kupę zabawy było, gdy wносиła ją tutaj, do ciebie, na górę, razem z pijanym już Lejbem Zejgalem i kilkoma innymi pracownikami KiSz-u. Na wieku trumny widniał napis: FRANCISZEK KARY, ZDRAJCA NARODOWY. W środku dźwięczało szkło.

- Ostrożnie! - ryczała Złota, też pijana, skopując w korytarzu buty, bo uwielbiała chodzić bosą, i bosą chodziła, gdy tylko mogła, także prowadząc niosących trumnę do salonu. Położyli ją ostrożnie na podłodze.

- Otwieraj! - wołała Złota do Karego, po tym jak Lejb Zejgał wręczył mu łom. Kary, też oczywiście pijany, z przygryzionym ustnikiem papierosa sterczącego mu z ust, wbił pod wieko trumny łom i nacisnął. Ze środka szczyrzył się do niego kościotrup wyglądający na model służący studentom medycyny. „Jest prawdziwy” - zarzekała się Złota. „Ma na imię Kostek”. Spomiędzy zębów Kostka sterczał papieros, przygryziony dokładnie tak samo, jak swojego papierosa przygryzał Kary. Na głowie kościotrupa tkwił czarny melonik. Kościotrup Kostek cały obłożony był brązowymi flaszками jima beama. Było ich kilkadziesiąt. Nie był to tani prezent, ale Złota to Złota. Co jej tam.

To były dawne czasy.

Teraz w trumnie siedziała Beata. Młodsza siostra Złotej.

Młodsza. I nawet, można powiedzieć, choć tutaj przecież wszystko właściwie jest względne, ładniejsza.

O bardziej symetrycznej twarzy, o nieco dłuższym nosie, o większych, co niewiarygodne, ale jeszcze większych niż u Złotej oczach.

I, nie to co u Złotej, obu prawdziwych.

I jeszcze bardziej, pod wieloma względami, bardziej złotoidealna niż sama Złota.

No ale Złotą nie była, Kary.

Cóż poradzić.

Beata bardzo lubiła trumnę, którą dostałeś na urodziny od jej siostry. Lubiła w niej sypiać, a spała głównie w dzień. Odsypiała. W nocy, jak to określała, pracowała. Pewnie sądziła, że takie sypianie w trumnie jest cool, hip i jive, jak mówią Czarni w Ameryce, a za nimi wszyscy: hipsy, biciarze na twój obraz i podobieństwo, Kary, skunki. I ogólnie młodzi ludzie. Wpychała do tej trumny znalezione w twoim domu koce, kołdry i pierzyny. Mościła sobie trumienkę, po czym kładła się na tym wymoszczonym i zasypiała. Teraz było tak samo. Przy trumience leżał jej kostium, który zakładała do „pracy”. Skórzany, obcisły. I maska. Jak Kobieta-Kot z amerykańskich komiksów. Albo Kobieta-Żbik. Diabły wiedzą.

- Dopiero wstałaś - powiedziałeś, Kary, szczerząc zęby trochę jak ten kościotrup Kostek, który notabene stał teraz w rogu pokoju i robił za wieszak. - I od razu chcesz burbona?

- Jest wieczór.

- Dla ciebie ranek.

- Nie wkurwiał mnie, Franek - powiedziała Beata do rymu.

Kucnąłeś przy niej i położyłeś jej dłoń na brzuchu. Brzuch miała bardzo wrażliwy. Jak Złota. Przesunąłeś dłoń w górę, w stronę piersi. Westchnęła. Przesunąłeś dłoń w dół, w kierunku wystrzyżonych włosów łonowych.

- Chodź do łóżka - powiedziała - bo w tej trumnie nawet nie mogę nog rozłożyć.

- To po co w niej śpisz? - mruknąłeś, wodząc wargami po jej brzuchu.

- Żeby było, kurwa, bardziej pretensjonalnie - sapnęła i znów jęknęła.

Później leżała obok ciebie na kanapie, razem z tobą piła wieśniacki burbon z Kentucky, razem z tobą paliła rife i razem z tobą śmiała się z naprężonych min polskiego naczalstwa na ekranie telewizora. Oglądaliście wieczorne „Informacje”, a w nich relację z państwowego pogrzebu Krasnohorskiego.

Trumna Krasnohorskiego była zamknięta. Nie to co twoja. Transparentność i jawność, co tam. Padał deszcz, letni, ale zimny, i wszyscy wyglądali żałośnie. Jakby płakali na pokaz i trzęśli się niby od tego płaczu, ale to po prostu był chłodny, deszczowy sierpniowy dzień i spływała po nich wszystkich woda jak po mokrych, smutnych gęsiach ubranych w zielone i ciemnobrązowe mundury i rogatywki.

Stężała maska Snardza, wyglądającego, jakby ktoś go przed chwilą wypucował i wyszorował ryżową szczotką. Nabrzmiała szynkowata twarz jego adiutanta, wodza partyjnych Oddziałów Obronna-Szturmowych, generała OOS-u Michała Byczej Głowy-Dowkonta, wyglądająca, jakby ją ktoś odlał z lastryko. Dalej podłużny modliszczy pysk prymasa Obrazy, a obok, rządkiem, jak do rozstrzelania, wszyscy ci ministrowie o zmokłych wąsach, generałowie w nasiąkniętych wodą rogatywkach. Piliście z Beatą tani burbon, paliliście konopie w fajce wodnej, Beata leżała w twoim, Kary, podkoszulku, poza podkoszulkiem nie miała na sobie nic. Skórzany kostium leżał, jak go rzuciła, przy trumience. I opowiadała, co by mogła z nimi wszystkimi zrobić, gdyby ktoś dał jej skalpel.

Beata studiowała medycynę. Zastanawiałeś się, swoją drogą, kiedy ona ma czas na te studia, jeśli po nocach, jak to mówi, „pracuje”, a w dzień śpi w twojej trumnie. Ale miała najwidoczniej, bo się na tej medycynie dobrze znała. A przynajmniej na anatomii. Mówiła ci więc, które ścięgno wystarczy nadciąć, żeby na przykład taki Snardz złożył się z miejsca jak scyzoryk i nie był już nigdy więcej w stanie stać. Jaką arterię wystarczyłoby przeciąć Byczej Głowie-Dowkontowi, by trysnęła z niego nagle fontanna byczej krwi, a on z miejsca upadł na ziemię, wykrwawiwszy się w kilka uderzeń serca. Albo gdzie uderzyć nożem prymasa Obrazę, między które kręgi wbić skalpel, żeby ten już do końca życia mógł poruszać wyłącznie mięśniami twarzy.

Pamiętałeś zresztą, jak sam robiłeś podobne rzeczy. Bo i ciebie uczono takiej chirurgicznej roboty. Nie na medycynie, co prawda, ale w Wojskowym Ośrodku Spadochronowym w Bydgoszczy, na szkoleniach SJU - Specjalnych Jednostek Uderzeniowych. Znanych jako Esjot. Ale w opinii większości swoich dawnych kolegów z wojska nie przyniosłeś tym jednostkom wielkiego zaszczytu, Kary. Wieśniaku. Zdrajco. Morderco rodaków.

Beacie twoja historia jednak się podobała. Mniej więcej tak samo, jak kiedyś podobała się Złotej, zanim nie skończył się kaprys wychuchanej, choć mocno i wszechstronnie rozgarniętej panienki z dobrego domu, i zanim nie wróciła do męża.

Do Wolfa.

Czy można sobie wyobrazić bardziej pretensjonalne imię niż Wolf, Kary? Imię Wolf jest nawet bardziej pretensjonalne niż spanie w trumnie.

Siedziałeś więc z siostrą Złotej, z Beatą, Beatą Sztok, drugą córką Adama Sztolca, człowieka, który uratował cię przed powolnym gniciem do śmierci w więzieniu i który - nie dość powtarzania tego, Kary - zasłużył na coś więcej niż ty jako zięć. Nie dość, że zdrajca narodu, to jeszcze cham z chamów, nierokujący żadnej przyszłości. Patrzyłeś, jak Snardz prawie omdlewa w tym deszczu, w tym powązkowskim sinogrobie, patrzyłeś, jak wymękuje z siebie przemówienie, jak Bycza Głowa zerka na niego, zaniepokojony, czy mu pryncypał za chwilę nie zmięknie w kolanach i nie upadnie, paliłeś z Beatą konopię i śmiałeś się do rozpuku.

I myślałeś, jak to dobrze, że nie musisz się tym wszystkim, tym całym Kubą Hieroglifem jako - było nie było - detektyw, i to z powieści noir, zajmować.

Jak dobrze, że tym zajmuje się policja. Wystarczyło ci to, co robiłeś na co dzień. Dopóki nie pojawiła się kolejna ofiara.

SZLAGON

Ale zanim pojawiła się kolejna ofiara, a raczej zanim dowiedziałeś się o kolejnej ofierze, szedłeś spotkać się z informatorem w zupełnie innej sprawie. Sprawie, szczerze mówiąc, idealnej dla detektywa z powieści noir.

Zniknął oto, Kary, marnotrawny syn państwa Druckich (książąt - jak przypominały bulwarówki, bo kto by się przejmował konstytucyjnym zakazem publicznego używania tytułów szlacheckich) - Leopold zwany Leo. I to właśnie waszej firmie zrozpaczona pani (księżna) Drucka zleciła poszukiwania syna utracjusza. I kretyna. A Złota, uznawszy, że sprawa jest gruba, poprosiła (rozkazała ci), byś się nią zajął.

No cóż, płacili dobrze. Bo gdyby to od ciebie samego zależało, uznałbyś, że księcia Leo nie ma co szukać i właściwie należałoby nawet dopłacić, by się nie znalazł. Był bowiem Leo idiotą nie z tej ziemi, o czym wiedziałeś, bo poznałeś go kiedyś podczas jakiejś papojki wyższych sfer, na którą zaciągnęła cię, oczywiście, Złota. Sam byś nie wpadł na taki genialny pomysł, żeby się tam pojawiać, między te hrabiny eskargoty de burżaż i hrabiów delamezonów.

Było to, oczywiście, w czasach, gdy Złota jeszcze była TĄ Złotą. Twoją Złotą. Poszedłeś nie bez ciekawości - wtedy do końca nie znałeś całego tego warszawskiego mondu, na który składali się artyści, arystokraci i aspirujący do nich dandole z każdej klasy. A gdy go już poznałeś, miałeś ochotę wszystkich ich rozstrzelać, a potem pójść do najpodlejszej knajpy, gdzieś w niemodnej części Woli

czy Ochoty, ba, pojechać, kurwa, do Grójca i urznąć się bladą harą, śmiejąc się wniebogłosy. Jak Ruski. Z ulgi, że już nie musisz na nich patrzeć i słuchać ich bazaru.

(Książę) Leo, podgolony pajac w okularach w grubej, modnej oprawie, tańczył, hulał, bawił, tumanił, przestraszał, wpadał na Złotą, roześmiany, bełkocząc coś, pijany, o poliamorii i o tym, że taki chwyt i gieroj jak Kary na pewno nie będzie miał nic przeciwko odrobinie konkurencji. Poza tym łąził za Złotą i wywodził, już mocno pod szpagatem, że Kary jest, hm, jak to ująć, prowincjuszem, człowiekiem ze zdecydowanie, jak to powiedzieć, gorszych miejsc niż Złota, dlatego on, Leo, dziwi się, jak to w ogóle możliwe, itede.

Aż w końcu Kary, notabene razem z mocno rozbawioną Złotą, zrzucił księcia cymbała z kamiennego balkoniku w gęste i kłujące krzaki (impieza odbywała się w jednej z mokotowskich willi), z których pijany w sztok Leo Drucki nie mógł się za diabła wyplątać, więc zdecydował się, zamotany w te krzaki, zapaść w głęboki pijacki sen. Wypełzył nad ranem, jak się, Kary, później dowiedziałeś, cały poharatany, zakrwawiony, skacowany i wściekły jak diabły. Mała rzecz, jak to mówią, a cieszy.

Szedłeś teraz, Kary, Marszałkowską, na spotkanie z człowiekiem, który jak twierdził, widział jakiś czas temu zaginionego Leo.

Widział ów człowiek Lea w jednym z najmodniejszych, a zarazem ekskluzywnych środowisk w Warszawie, którym było bractwo okultystyczne Farugi.

Ciasny, wysoki, rzeźbiony kanał Marszałkowskiej, wypełniony od końca do końca ludźmi, ubranymi notabene tak elegancko jak nigdzie indziej w Warszawie (a przynajmniej takie, Kary, odniosłeś wrażenie), zdawał się sam nieść naszego detektywa noir. Jak koryto rzeki. Szedłeś, Kary, szedłeś, zaciągając się co chwila papierosem, aż w końcu dojrzałeś figurę Jana Sobieskiego stojącego u szczytu kamienicy Pod Husarzem.

I to właśnie w lokalu o tej samej nazwie, mieszczącym się na parterze kamienicy, miałeś się spotkać z informatorem: niejakim Maksymilianem Lisicem. Lisic zadzwonił do KiSz-u, już po głosie, mówił pan Grześ, który przyjął rozmowę, można było poznać, że jest „dandolkiem jebanym”. „A jak jeszcze powiedział, że robi w sklepie z apaszkami na Pięknej -kontynuował pan Grześ - to już wszystko było jasne”. Dandol ten - jak sam twierdzi - nie tak dawno temu wyrwał się z sekty Farugi.

Dandol Lisic twierdził, że miał szczęście: mistrzowie ceremonii przygotowywali go już bowiem na spotkanie z Niepojętym i Odwiecznym, jak nazywano w sekcie Farugę. A po takim spotkaniu z Niepojętym i Odwiecznym - człowiek przepada. Taka audjencja, głosiła jedna z plotek na temat Farugi, sprawia, że się już jest nie do odzyskania. Że już nie ma człowieka. Że zmienia się na zawsze.

Dandys Maksymilian usłyszał gdzieś, że księżna Drucka gotowa jest zapłacić spore pieniądze, by odnaleźć syna, i że szuka go przez agencję KiSz, waszą, a raczej Złotej agencję. Zadzwonił więc i, via Grześ, umówił się na spotkanie. Złota wysłała na nie ciebie.

- Ech, te diabły, szatany... - Szedłeś, Kary, i myślałeś sobie powoli, lekko kacowo, o Farudze i jego sekcie z piekła. - Gdyby nie one, to nikt zupełnie by się już nie pochylał nad zwykłym, szarym człowiekiem. To one są jego ostatnią nadzieją. Tylko im się chce jeszcze łowić dusze każdego z osobna, po jednej. Tylko dla nich dusza zwykłego, szarego człowieka jest jeszcze ważna. Ostatni detaliści, nie hurtownicy. Tak sobie myślałeś, idąc na spotkanie z dandolkiem Maksymilianem Lisicem, aż twój wzrok, który do tej pory przesuwiał się dość tępawo po twarzach przechodniów, zatrzymał się na szpalcie popołudniowego „Kuriera” wiszącej przy kiosku.

ZAGADKOWE ZAGINIĘCIE BYŁEGO MINISTRA KOLONII JANA LASOTY - głosiła czołówka. - CZYŻBY KOLEJNA OFIARA KUBY HIEROGLIFA?

I wtedy cię, Kary, zatkało.

Na sztywniejących nogach podszedłeś do trafiki.

- Poproszę „Kurier” - powiedziałaś, nachylając się do okienka, zdziwiony tym, że twój głos brzmi tak nieswojo i matowo. - Co? Tak, popołudniowy.

- Porannego pan nie weźmiesz też? - skrzeczał wąsaczyk w kiosku. - Bo nie zszedł.

- Nie, nie chcę porannego - odpowiedziałaś, płacąc złotówkę. - Daj pan ten z... tym zaginięciem.

- Może też Lasotę ten Hieroglif ubił - stęknął wąsaczyk, podając ci gazetę. - Ten Hieroglif, suka jego haratana, to wie, co robi, panie...

- Mhm - odmruknęłaś, Kary. - Daj pan.

- Może i Snardza dopadnie w końcu - nie poddawał się trafikarz. -Mhm.

Zapłaciłeś i poszedłeś, Kary, patrząc na pierwszą stronę, próbując skupić się na tym, co jest na niej napisane.

Dobrze, że cię jakie auto nie przejechało, bo tak szedłeś z nosem w gazetę, jak kto głupi.

No tak. Kary, w każdym razie, skręcił ostro w prawo, przeszedł przez Marszałkowską, o mało nie włączając pod riksę prowadzoną przez jakiegoś studenta, który sklął go do żywego z kresowym akcentem, i wszedł do pierwszej lepszej kawiarni na rogu Wspólnej. Mieściła się w jedynym parterowym budynku przy tej ulicy, wyglądającym, jakby ktoś ściał mu głowę. Kawiarenka też była dziwna, małomiasteczkowa jakby, z okrągłymi stolikami krytymi dzierganymi serwetkami. Kary zamówił kawę u unoszącej się kilka centymetrów nad podłogą rozmarzonej kelnerki, zatekstował do dandysa z mobila (SPOZNIE SIE 10 MIN PRZPRSZM KARY) i otworzył „Kurier”.

„Minister Jan Lasota zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach w swojej posiadłości w majątku Będźce w województwie COP. Czy znów mamy do czynienia z atakiem okrutnego Kuby Hieroglifa?”

Przeczytałeś artykuł do końca, zapłaciłeś rozkojarzonej kelnerce za kawę, po czym, sam również nieco rozkojarzony, poszedłeś pod Husarza.

Maksymilian Lisic faktycznie był dandolkiem. I dandolek czekał, obrażony, przy stoliku. Miał na sobie kraciatą marynarkę, pod koszulą kolorowy fular, taki, jakie noszą artyści i aspirujący do artystycznych środowisk. Palił papierosa, strzepując popiół do wielkiej, ciężkiej popielniczki z herbem Sobieskich. Knajpa wyglądała jak ostoja mocy i trwałości Rzeczypospolitej: wysokie łukowate sklepienia, wiszące na ścianach karabele, czarne szable i janówki, orły Sobieskiego z Janiną na piersi; stoły i krzesła mocne i pewne. Kelnerzy wyglądali jak dostojni mężowie stanu. Grupa mieszczan z prowincji, odstrzelonych jak stróże w Boże Ciało, rozglądała się z podziwem po wnętrzu, połykając kęsy szarlotki.

Kary umówił się z dandysem Maksem właśnie tutaj celowo i złośliwie, wiedział bowiem, że dandole unikają takich pompatyczno-turystowskich miejsc jak ognia. Że nienawidzą ich serdecznie, uważają za poruciarskie, tylko dla turystów albo filistrów. I faktycznie, enriko jebany dandolo Maks Lisic siedział tu jak na rozżarzonych węglach. Jak najdalej od okna, pewnie dlatego, myślał Kary, żeby go przypadkiem jakiś inny dandys nie zobaczył.

Przeprosiłeś, Kary, nieszczerze, za spóźnienie, burknąłeś coś pod adresem kelnera, który gnąc się elegancko, chciał odebrać od ciebie twoją biciarską, niemodną kurtkę, na którą zresztą dandolo Lisic patrzył ze słabo skrywaną pogardą, poprosiłeś o burbona z lodem (na nerwy) - i usiadłeś.

- Je... jestem tu dlatego, że księżna Drucka kazała przekazać, gdym się z domem Druckich kontaktowałem, żeby z detektywem Karym się spotkać - zaczął pompatycznie dandys Lisic, a ty, Kary, kiwnąłeś głową.

- Ta - odpowiedziałeś. - Zaiste - dodałeś po namyśle.

- I że nagroda...

- Pieniędźmi na nagrodę dysponuje nasza firma detektywistyczna, tak. - Skinąłeś głową. - Zostaną one wypłacone, jeśli informacje, które pan podasz, okażą się prawdziwe. I przydatne.

- A co - zaperzył się dandolek - jeśli się okażą, a wy mi powiecie, że się nie okazały? Czemu ja mam ryzykować? Że ja będę stratny? To zaliczkę choć dajcie.

- Nie ma zaliczki.

- Nie ma zaliczki? - Dandol udał, że wstaje, ale oczywiste dla ciebie było, że nigdzie się nie wybiera.

- To idź pan na policję złożyć zeznania za darmo - westchnąłeś. - Albo bezpośrednio do Druckiej. A ona skieruje pana z powrotem do nas. Rozumiem pana wątpliwości, ale nie możemy... - Tutaj chrząknąłeś i wlałeś do swojej wymowy nieco chłopskiego, wiejskiego akcentu z rodzinnych stron, sam nie wiedziałeś dlaczego, pewnie żeby rozzłościć dandolka, bo dandole chamstwa, jak wiadomo, nie znoszą. - Nie możemy płacić za wszystkie informacje awansem, bo przyjdzie byle kto, powie byle co i będzie chciał pieniędzy.

- Chcesz pan powiedzieć - zapytał dandolek, również porzucając wykwintną manierę - że ja jestem taki byle kto?

Kelner przyniósł ci, Kary, burbona, rozparłeś się więc na krześle, pociągnąłeś łyk i wzruszyłeś ramionami, patrząc gdzieś ponad głową dandolka, na malunek, na którym jakiś polski szlachcic stał, dumnie podparty pod boki, opierając stopę w czerwonym kozaku na odciętej tureckiej głowie.

Dandys Lisic patrzył na ciebie wściekłym wzrokiem, odwrócił się, spojrzał na szlachcica i znów na ciebie. A ty studiowałeś diabelskie rysy na odciętej głowie Turka i zastanawiałeś się, jakie opcje dandolek rozważa. Iść ze swoją informacją do gazety? A po co? Co na tym zyska? Za takie informacje gazety płacą tylko w kryminałach. W życiu by go nie wysłuchali i kazaliby mu się gonić. Albo już na dzień dobry by się kazali gonić. Do innego biura detektywistycznego iść? Drucka dała wam zlecenie, więc zanim inne biuro skontaktuje się z Drucką i przekona ją, że ma prawdziwe, przełomowe informacje, a nie po prostu chce ją naciągnąć na grubą kasę, to potrwa. No i kto da dandolkowi pieniądze do ręki i od ręki? Poczekaleś jeszcze chwilę, by dandys zrozumiał, że nie ma zbyt wielu sensownych ruchów, i spojrzałeś na zegarek.

- No dobrze - dorzuciłeś, właściwie tylko po to, by go dobić, bo cię drażnił z jakiegoś powodu. Poza tym nie bardzo mogłeś się skupić na jakiegokolwiek

strategii, bo twój mózg uparcie wracał do tematu Lasoty. -Nie muszę panu oczywiście przypominać, że w tej sytuacji jako licencjonowany detektyw mam obowiązek również zgłosić oficerowi policji prowadzącemu śledztwo, że ma pan istotne informacje dotyczące sprawy zaginięcia Leopolda Druckiego. Zgłoszą się do pana.

Tego dodatkowego ciosu się dandolek ewidentnie nie spodziewał.

- A jak panu powiem, to się nie zgłoszą?

Pokręciłeś głową.

- Ja mam licencję, ja pod tym względem jestem jak policja, mają zaufania - skłamałeś. Nie chciałeś przedłużać całej tej historii. Chciałeś jak najszybciej jechać do Kalwarii.

Dandys westchnął i machnął na kelnera.

- Panie starszy! Jeszcze kapucyna - zawołał. I zaczął opowiadać.

Wychodziłeś stamtąd, czując przyjemne ciepło rozchodzące się po ciele za sprawą trzech wypitych burbonów. Dandys wyszedł przed tobą, nieco obrażony i zły, liczył bowiem ewidentnie na szybki zastrzyk gotówki. Tyle przynajmniej, że opił się na twój koszt kawą, zanim postawiwszy kołnierz i rozejrzawszy się uważnie, czy nikt go nie widzi, wyszedł spod Husarza i pobiegł gdzieś w stronę Żurawiej.

Z tego, co Kary się orientował, dandolek w dużej części kłamał. Opowiadał, że szukał dojść do sekty Farugi, i w to akurat Kary wierzył, bo Faruga był modny. I pewnie jakieś tam dojścia znalazł. Ale jego opowieść o tym, jak to szybko zrobił karierę wśród świeżo skaptowanych uczniów i zaczął zbliżać się do otoczenia samego Farugi, jak to wozili go na, jak to ujął Lisic, „czarne nabożeństwa” czarnym karawanem z oczami zawiązanymi czarną chustką, by go w końcu wysadzić przed jakimś „czarnym pałacem”, przed którym stały zakapturzone, ubrane na czarno postacie, pomiędzy którymi, gdy kaptur się jednej z nich nieco zsunął, dandys Maks Lisic dojrzał nikogo innego, jak tylko samego młodego księcia Leo Druckiego - to już wydawało się Karemu tak idiotyczne, że

aż go rozbroiło. Słuchał, z niekłamaną ciekawością, tych idiotyzmów, popijając burbona i starając się nie roześmiać. Tym bardziej że sam wiedział przecież, że wszystko to wygląda zupełnie inaczej. Owszem, był „czarny pałac”, lecz to właśnie Kary go Farudze spalił jako siedzibę. I na pewno Faruga nie miał aż tak kiczowatego gustu, by wozić swoich adeptów karawanem. Kimkolwiek był i o ile w ogóle istniał jakiś jeden Faruga, a nie tylko figura wymyślona przez ludzi stojących faktycznie na czele sekty. Takie efekciarstwo, myślałeś, jest dobre dla tanich horrorów produkowanych masowo przez wytwórnię Sfinks. No i, myślałeś, Kary, ludzie, którzy opuszczali sektę na tak wysokim poziomie wtajemniczenia, raczej nie chodziliby po detektywach, licząc na marny grosz, bo baliby się o życie. Farugowcy, o czym wiedziałeś, zostawili już po sobie kilka trupów. Tak myślałeś, również stawiając kołnierz i podbiegając do tramwaju jadącego w stronę placu Żelaznej Bramy, gdzie zamierzałeś skoczyć na jeszcze jednego burbona przed powrotem do biura.

W pewnej chwili stanąłeś w miejscu, bo wszystko ci się nagle ułożyło w całość. Jakby dzekpot na bandycie wskoczył albo zaskoczyły zapadki w zamku. Kling-klang, tingiel-tangiel. I już wszystko wiedziałeś.

W tramwaju usiadłeś na drewnianym siedzeniu, pilnowanym przez jakąś rozłożystą jejmość, która jednakże sama z jakiegoś powodu nie siadała, za to gdy ty usiadłeś, patrzyła na ciebie z odrazą taką, z jaką tylko mieszczenie patrzy na hipsów i biciarzy. Z obrzydzeniem tak wielkim, jakby na kłębiące się glisty patrzyła. Wyciągnąłeś z kieszeni „Kurier” i przeczytałeś artykuł jeszcze raz.

Były minister do spraw kolonii Jan Lasota zaginął. Bez śladu. Jego rodowa siedziba, zameczek w majątku Będźce pod Pilicą, podupadająca już od dawna w związku z, jak to się zazwyczaj ujmowało, „ekstrawaganckim stylem życia właściciela”, przypominał coraz bardziej, jak donosili uzdolnieni beletrystycznie dziennikarze „Kuriera”, „zamek zgrzybiałego czarnoksiężnika”. Doszło już, pisali, do tego, że z całej służby pozostał mu tylko jeden człowiek, służący jego rodzinie od dziesięcioleci: „majordom Paweł, stary, zgorzkniały i również zgrzybiały jak

rzeczony zamek człowiek", który - tak się złożyło - w chwili zaginięcia Lasoty przebywał akurat w kościele. Wychodził do kościoła -pan był. Wrócił - pana nie ma.

Znałeś, Kary, majordoma Pawła. Był już stary w czasie twojej młodości. Spędzonej, wraz z innymi wiejskimi dziećmi twojego pokroju, w Kalwarii właśnie. Głównie w kucki przy pompie benzynowej Skaleju przy szosie na Pilicę. W artykule o okolicznościach „dramatycznego zdarzenia” nie było zbyt wiele, dziennikarz podpisany jako F.B. sugerował, że więcej, oczywiście, wie, w końcu jest porządnym dziennikarzem, lecz zdradzić nie może, bo mu władze zabraniają. Wspomniał tylko o jakimś „wykonanym substancją o wstrząsającym pochodzeniu” napisie na ścianie w sali jadalnej i że napis miał „charakter religijny”. I, rzecz jasna, o „hieroglifie”.

Zastanawiałeś się, Kary, czym może być taka, jak to ujął ten kretyn, „substancja o wstrząsającym pochodzeniu”, i wychodziło ci na to, że równie dobrze może to być krew, gówno z szamba, jak i zagęszczona i zabarwiona atramentem ektoplazma.

Wysiadłeś z tramwaju, owiewając burbonowym dechem jakiegoś spalonego zielskim skanka w denimach, zawieszzonego między życiem a śmiercią i między sufitem a podłogą, zwisającego jak leniwiec z podczepionego pod sufitem uchwytu, po czym dziarskim krokiem ruszyłeś na wskroś placu Żelaznej Bramy, w stronę Przechodniej, w kierunku lokalu o nazwie Las Palmas.

W Las Palmas, lokalu prowadzonym przez rodzinę przybyszy z Nowej Polski, Kary zamówił sobie również burbon (mały), odmówił coca-coli, którą Pedro, właściciel i barman zarazem, miał zwyczaj dodawać do wszystkiego, do czego się da („cola jest dobry, do wszystko jest dobry, chopaku, pendejo”), usiadł w kącie, po czym wybrał numer informacji telefonicznej. Po dwóch dzwonkach odezwał się kobiecy, poirytowany nieco głos.

- Informacja - skrzeknął głos.

- Fajnie - odpowiedział Kary i poprosił o podanie numeru telefonu posterunku policji w Kalwarii, powiat pilicki, w województwie COP-owskim, nie, nie Kalwaria Pilicka, po prostu Kalwaria, tak, bywają też po prostu Kalwarie, a w powiecie pilickim jest tylko jedna. Zapisał numer na wygrzebanym z kieszeni bilecie na polski horror *Wilki*, na którym był ostatnio w kinie w ramach ciężkiego kaca, przez którego nie miał ani siły, ani ochoty udawać się do knajpy, po czym odłożył mobil i wziął kolejny łyk burbona. Pedro pytająco spojrział na niego znad gazety. Las Palmas było o tej porze prawie puste. Pod dachem imitującym strzechę z liści palmowych wisiały jakieś stare sieci rybackie, harpuny i czarno-białe fotografie fernandyńskich piosenkarzy. Leciała jakaś latynoska muzyka. Trąbki, gitara i jakieś pieprzenie o ogniu wewnętrznym spalającym wokalistę. *Fuego interno, ay-ay-ay*. Kilku sporych, ciemnoskórych, krótko ostrzyżonych facetów rozmawiało w kącie cicho.

- *No le vendere este piast por nada, kurwa - słyszałeś strzępy rozmowy. - Esta chuj szmondak puta debe pagarme al menos diez koła, kurwa, y salve, pendejo, jak nie, to niech spierdala.*

Od strony Ogrodu Saskiego, widziałeś, Kary, szły tu jakieś hipsy. Wśród nich, zauważyłeś, twój diler, Krzesimir. Skinął mu głową, po czym nieopatrznie spojrział na barmana, który to twoje skiniecie zinterpretował jako zachętę do nalania ci kolejnej szklaneczki. Widzisz, Kary, jak to cały świat się przeciwko tobie sprzysięga. Barman nalał i postawił szklaneczkę na barze. Samoobsługa. Nie chodziłeś tu za często, ale miałeś wrażenie, że zaczęli cię poznawać, zaczęli rozumieć, kim jesteś, bo starzy bywalcy razem z barmanami stali się dla ciebie jakoś dziwnie mili i czasem nawet ktoś postawił ci kolejkę, ale to nie znaczyło, że ktokolwiek tu będzie ci przynosił drinki do stolika.

- Wszystko okej? - spytał twój diler, hips Krzesimir, długowłosey i brodaty cudak ze swarzą wytatowaną na czole, między oczami. Pokazałeś mu kciuk skierowany w górę, zwyrodnialcowi, po czym ciężko wstałeś zza stolika i przyniosłeś sobie z baru burbona. Po czym jeszcze ciężiej usiadłeś.

Wybrałeś na mobilu numer posterunku policji w Kalwarii.

Usłyszałeś chropawy głos Juliusza Szatanka, czyli starszego Kaćmaja, jak go wszyscy w Kalwarii nazywaliście, jeszcze po jego dziadku. A Szatanek, jak już sam nie wiesz, skąd wiedziałeś, dawno temu objął stanowisko szefa posterunku w Kalwarii.

- Kaćmaju - powiedziałaś - to ja, Kary.

- Franek? - chrapanął Kaćmaj, a oficjalnie starszy przodownik Szatanek, i zamilkł. - No - podjął - czekałem, kiedy się odezwiesz. Cześć.

- Cześć.

- Nie wiem, szczerze ci powiem, co ci powiedzieć - odpowiedział Kaćmaj. - No wiesz. Bo niby... no. A jednak. .. Jednak kondolen...

- Daj spokój. Ty mi powiedz, Kaćmaju - przerwał mu szybko - co wiadomo. I kto ma sprawę.

- Słuchaj, Kary - odparł ostrożnie Kaćmaj, zniżając głos. - Ja nie wiem, kto czego przez ten telefon słucha, a kto czego nie. Rozumiesz.

- Mhm - mruknęłaś. - Aż tak?

- Sprawę najpierw wzięło województwo - mówił Kaćmaj, ale takim głosem, że prawie widziałeś, jak się rozgląda, czy nikt nie patrzy, tylko kto miałby na niego patrzeć na tym jego posterunku malutkim, kalwaryjskim, zawsze z portretem Naczelnego Wodza na ścianie, a więc obecnie pod zmęczonym wzrokiem Snardza. Jedynie jego jacyś podwładni posterunkowi mogliby patrzeć, dwaj czy trzej najwięcej. - Ale od razu przyjechała jakaś baba z Komendy Głównej, jakaś Ćwilichowska, i pogoniła tych z wojewódzkiej, aż się kurzyło... wredna baba... nie przez telefon...

- A powiedz mi jeszcze...

- Kary, ja cię, chłopie, proszę, naprawdę...

- Co tam, co to była za, jak to napisali ci kretyni z „Kuriera”, „substancja o wstrząsającym pochodzeniu”...

- O czym ty mówisz, Kary?

- No że coś tam na ścianie było napisane.

Kaćmaj przez chwilę nic nie mówił, Kary słyszał tylko jego oddech.

- A było. „Mario, odpuść mi, zlituj się nade mną, błogosławiony owoc żywota twego” - wyrecytował w końcu.

- Dosłownie tak? - Zdziwiłeś się, że pamięta. Ale Kaćmaj zawsze był dziwny.

- No tak.

- I co? „Mario” było napisane? - zapytałeś nieco zduszonym czemuś głosem.

- „Mario”. No i znak. Jakiś hieroglif. Jak u tego Kuby Hieroglifa, z tej waszej Warszawy. Myślisz, że do nas, do Kalwarii, Kuba Hieroglif przyjechał? - zapytał Kaćmaj ze słabo ukrywanym napięciem w głosie.

- Znak?

- Co?

- Jaki znak?

- Co?

- Znak na ścianie. Hieroglif. Jaki?

- No jak ci mam...

- Zakładam, że krwią?

- Tak. Krwią.

- Jego?

- Nie wiadomo, próbki w raba... laboratorium. Kurwa, Kary, ja nie mogę ci tak.

..

- A oni nie chcą mnie przesłuchać na przykład?

- Niby że jako podejrzanego? No tak. .. - Kaćmaj się roześmiał, po czym chyba uznał, że ten śmiech to nie na miejscu, bo chrząknął, żeby przytuszować. -Ty miałbyś motyw...

- Czyli nie chcą?

- Nie wiem, skąd mogę wiedzieć. Przecież nikt mi nic nie mówi. Dziwne jest to śledztwo jak jasna cholera - ściał Kaćmaj jakby przez zęby. - Chcesz więcej, to przyjeźdź. Gadaj ze Ćwilichowska. A wiesz, co to się u nas mówi...

- Co?

- No że klątwa. Że przyszło czarne po Lasotę... przecież wiadomo, co on w tym zamku wyprawiał.

- Właśnie o to chodzi, że nie wiadomo.

- No właśnie. Ale wiadomo, że czarne. Że siarką śmierdzi, jak zawsze śmierdziało.

- No i co - ziewnąłeś - mówią ludziska, że siła nieczysta?

- Ludziska nie są głupie - powiedział jak na siebie dziwnie stanowczo Kaćmaj. - I ty się nie śmieję. Co, nie pamiętasz, jak sam się bałeś starego diabła? Ojciec czy nie ojciec?

- Cześć, Kaćmaju. - Zdusiłeś w sobie narastającą w środku emocję. Sam nie do końca wiedziałeś czego. Krwi, gówna, rzygów czy czegoś jeszcze innego.

- Cześć.

Kaćmaj odłożył słuchawkę. Ból, który wybuchł nagle w głowie Karego, był nieopisywalny. Kary syknął i drżącymi nieco rękami wyciągnął z kieszeni kurtki superkogutki. Połknął dwa i popił burbonem. Po chwili zastanowienia dopił resztę jednym łykiem i zapalił papierosa.

Wpatrywał się w listę kontaktów na wyświetlaczu mobila i w końcu wybrał ten opisany jako „Mietek Lurje, dwubiegunowy wariat”.

Podkomisarz Mieczysław Lurje z Wydziału Kryminalnego Komendy Głównej był jednym z niewielu porządnych glin, jakich Kary znał. Miałeś, Kary, wspólną historię z podkomisarzem Lurjem i lubiłeś chłopca. Mieczysław Lurje naprawdę miał na imię Mojżesz, ale kiedyś, dawno temu, zdecydował, że będzie Polakiem, i wyrzekł się swojego żydostwa. Do tego stopnia, że zahaczał o lekki antysemityzm. Wychrzcił się nawet pro forma.

Za swą życiową porażkę natomiast uznawał fakt, że jego jedyny syn, Andrzej, żadnym Polakiem być nie chciał. Nosił jarmułkę i należał do Żydowskiej Organizacji Radykalnej.

- Cześć, Kary - odezwał się w słuchawce mobila Lurje swoim wyprasowanym, wykrochmalonym głosem. - Goju jebany. Słyszałem, że miałeś przygody z naszymi

kolegami ze Śliskiej.

- Cześć, Mietek. Ano miałem.

- I z Sarkaniem.

- Eee tam. Wymiana uprzejmości.

Lurje zachichotał.

- Czemu on cię tak, Kary, nie cierpi? Co ty mu zrobiłeś?

Skrzywiłeś się na samo wspomnienie.

- Nie chcę o tym mówić, Mieciu.

- No powiedz.

- Kiedyś.

Sarkaniem, Kary, obiecałeś sobie, zajmiesz się później. Na poważnie. I na zimno.

- Słuchaj, Mietek - powiedziałaś. - Linia czysta?

- Chuj ją zna - odrzekł Lurje, a głos miał w kancik. - No ale chyba czysta, bez przesady. Komu by się chciało każdą, kurwa, rozmowę podsłuchiwać.

- Sprawa Lasoty mnie interesuje.

- A-zawiesił się dziwnie Lurje. - Dziwna sprawa. No?

- Jak dziwna?

- Dziwna, no.

- Ale dziwna, bo dziwna, czy dziwna, bo dziwne rzeczy się dzieją wokół tego w policji?

- Linia czysta, ale bez przesady. A czemu cię to?

- Nie wiem, czy ci kiedykolwiek mówiłem...

- No?

- To mój ojciec jest.

- Co? - Widziałeś prawie, jak oczy Lurjego robią się wielkie jak dwa talerze.

- Albo był.

- Co, kurwa? Ojciec twój? Lasota?

- Lasota.

- Co za granda?

- Nie granda. Moja wieś, Kalwaria, to dawniej była ich rodowa posiadłość. Lasotów. A Lasota zgwałcił moją matkę, gdy u niego służyła.

- Co, kurwa?! - Lurje sapnął z przejęciem. - Minister kolonii. .. był... co, kurwa?

- No i dlatego chciałbym...

- Czekał, gdzie jesteś?

- W Las Palmas, to jest. ..

- Wiem, gdzie to jest. Czekał. Będę tam za pół godziny, i tak miałem iść na lancz...

Przez pół godziny Kary siedział tępo wpatrzony w siną ulicę Przechodnią. Popijał burbona. Mrużył oczy i widział wieś, Kalwarię. Z czasów swojego dzieciństwa. Jeszcze trochę drewnianą, trochę krytą strzechą nawet. Widział stojący na pagórku pałacyk Lasotów zbudowany w pretensjonalnym neogotyckim stylu, żeby przypominał mroczne zamczysko. Widział pana Lasotę, jak jeździł przez wieś samochodem prowadzonym przez kierowcę Paćkę, chłopca ze wsi, którego zatrudnił jako szofera. Jeździł, skurwysyn, i nawet nie wiedział, ile razy próbował się zebrać, żeby podbiec do samochodu, szarpnięciem otworzyć drzwi i rozerwać Lasocie gardło. Nie wiedział, jak wiele w tym celu, Kary, nastrugał ostro zakończonych, krzepkich lipowych kijów. Bo analizował. Bał się, że zwykły nóż będzie za krótki, że zanim doskoczysz do Lasoty, to zacznie się szamotanina, że złapie cię za rękę, wyrwie nóż. W końcu był dzieckiem, a on potężnym dorosłym mężczyzną. Dlatego, planował, wystrugasz dzidę. I z tą dzidą się zaczał, akurat jak będzie przejeżdżał przez rynek w Kalwarii. Albo jeszcze lepiej - myślał - jak będzie podjeżdżał w niedzielę pod kościół.

Ten sam, w którym wstydziła się pokazywać twoja matka. Bo i baby patrzyły z pogardą i przyganą, i chłopcy kpiąco, i ksiądz czasem jakiś przytyk z ołtarza rzucił, i pan Lasota był jak Mars i kamień, o twarzy nieruchomej i pustej

obraźliwie. Kościół, który miał być jej opoką i schronieniem, a który był dla niej miejscem katorgi.

A mogłeś skurwysyna zabić, Kary. Mogłeś zabić. Byłeś nieletni, z poprawczaka dawno byś już wyszedł. Ale nie, kurwa, za bardzo się bałeś. A gdy stałeś pod kościołem, z nożem ukrytym w mankiecie niedzielnego, żalosego, taniego garniturka ze sklepu przy rynku w Pilicy, nogi ci się gięły, watniały. Wracałeś więc z płaczem, biegiem, wyboistą ścieżką przez las do domu, drewnianej chałupy, w której mieszkałeś wraz z matką, której było ci żal bardziej niż jakiegokolwiek istoty we wszechświecie.

I nawet wtedy, gdy miałeś już strzelbę, porządną, myśliwską, i gdy miałeś skurwysyna Lasotę na muszce, nie raz i nie dwa, gdy siedziałeś ukryty w krzakach albo na drzewie, nie pociągnąłeś za spust.

Potem Kary ocknął się i gapił na grupę chałatowych Żydów, którzy splótłszy ręce za plecami, rozmawiali cicho, bujając się na podeszwach stóp, na grupę wyzelowanych podrostków, cholera wie jakiej narodowości, na żołnierza w rogatywce, który idąc ulicą, wyciągnął dzwoniący mobil z kieszeni płaszcza i zaczął rozmawiać, zasłaniając usta ręką, jakby bał się, że jankle, pozerkujący zresztą w jego stronę, wyczytają, co mówi, z samego ruchu warg.

A potem patrzył na grupę młodych gówniarzy w polowych mundurach, z plecakami, trochę niedomytych, z brudem za paznokciami, trochę pijanych i lekko nadaktywnych, nerwowo ruchliwych, którzy podawali sobie z rąk do rąk plastową butelkę z coca-colą, przy czym wiedział Kary doskonale, że to nie jest sama coca-cola. Żołnierzy na przepustce z frontu poznawał od razu, nie tylko dlatego, że sam taki był i tak samo wyglądał marne kilkanaście lat temu. Biedne okopowe mięso. Za paznokciami ziemia ukraińska, którą próbowali wydrapać w imię Rzeczypospolitej. Taką samą mieli za paznokciami upowcy, kryjący się po lasach i po wioskach, w ziemiankach, po kryjówkach.

Kary siedział i starał się przeanalizować emocje, które dziwnie i zaskakująco wwiercały się w niego od czasu, gdy przeczytał o zaginięciu Lasoty.

Wściekałeś się na siebie i na te emocje, nie rozumiałeś ich, i teraz, gdy miałeś trochę czasu i byłeś już lekko otępiały od burbona, próbowałeś doprowadzić je w sobie do porządku. To próbowałeś, Kary, zrobić. Ale buksowałeś zamiast tego. Buksowałeś wokół układanych na siłę w głowie początków, załączków jakichś, wstępniaków interpretacyjnych, a zamiast tego zawieszałeś się i mogłeś tylko bezsilnie pozwalać na to, by twój mózg bujał się jak statek na falach, na melancholijna-ściskającej mieszaninie twoich emocji, pretensji do świata, poczucia braku i osamotnienia, aż w końcu pogodziłeś się z tym i po prostu je przeżywałeś. Co zresztą, jak się okazało ku twojemu zdziwieniu, było nawet perwersyjnie przyjemne. I przynosiło ulgę. Szczególnie gdy podlewałeś je alkoholem.

Mieczysław Lurje wparował do Las Palmas wystrojony w jakąś idiotyczną muszkę pod szyją, kapelusz z szerokim rondem i z bardzo mylącymi wąsikami a la Herkules Poirot, nadającymi mu wygląd poczciwego pierdoły.

Mieczysław, dawniej Mojżesz Lurje, pochodził z wiejskiej, chałaciarskiej rodziny i w młodości prawie nie mówił po polsku. Ale nie cierpiał religijnego świata swoich rodziców, nie cierpiał syjonizmu swoich braci, którzy o niczym innym nie mówili jak o emigracji do Palestyny, tylko że jakoś nigdy nie emigrowali. Nie mógł już słuchać, wyznawał ci kiedyś, Kary, przy wódce, tego ciągłego narzekania na Polaków, na gojów ogólnie, tego panierowania się jego rodziny w wiecznym cierpieniu, w swojskości, w żydowskości, tego pielęgnowania pejsów, które uważał za idiotyczne, tego noszenia jarmułek, chałatów i bród, które uznawał za ostentacyjne. Drażniła go wszędobyłskość boga w żydowskiej religii, jego wściubianie nosa we wszystkie sprawy, ciągłe odwoływanie się do idiotycznych, jak twierdził, ksiąg, kanonów i mądrości, które może i miały sens dwa tysiące lat temu, ale teraz można było te zramolałe truchła ewentualnie wstawić do muzeum, jeśli nie spalić. Świeckość była dla niego drogą do normalności, lecz mu nie wystarczała: nadal czuł, że nawet świecka żydowska tożsamość przesiąknięta jest religijnością, postanowił więc stać się ateistą - tyle że

chrześcijańskim. Ale żeby odrzucić chrześcijańskiego boga - kombinował - trzeba najpierw się wychrzcić. Któregoś więc dnia, gdy akurat strzałka jego dwubiegunowej psychozy wskazywała na „okres maniakalny”, wbił, tak jak szedł ulicą, do kościoła przy placu Zbawiciela i zaczął wołać na całe wnętrze: „Panie ksiądz! Panie ksiądz! Gdzieś pan jest! Ja będę się chrzcić!”.

Dopiero wyleciał jakiś młody kleryk, opieprzył go szeptem, że w domu Pana nie wrzeszczy się „jak w synagodze”, że w ogóle nie mówi się „pan ksiądz” i że nie da się ochrzcić tak od razu, trzeba przejść przez neokatechumenat i w ogóle.

- Co się nie da, jak się da! - wrzasnął obrażony Lurje do kleryka, obrócił się na pięcie i wyszedł. Wsiadł w samochód i pojechał poza Warszawę, na Zegrze, i w pierwszym wiejskim kościółku dał proboszczowi w łapę i przyjął chrzest święty. Żadnych katolickich modlitw ani zwyczajów nie znał do tej pory. Twierdził, że jako ateście nie są mu potrzebne. Ale świadectwo chrztu uzyskał i teraz w dowodzie, w rubryce „wyznanie” napisane miał: „katolik”.

Lurje przywitał się wylewnie z Pedrem, który mówił do niego „dżendobry, panie bury”, po czym ruszył jak wojsko ławą na Karego. Hipsy, łącznie z Krzesimirem, podniosły znad piw głowy i zmierzyły go nieprzyjemnym wzrokiem.

- To ty, Kary, hrabia jesteś! - wykrzyknął Mieczysław vel Mojżesz Lurje, ściskając mu rękę.

Kary popatrzył mu w oczy wzrokiem smutnego psa.

- Nie wkurwiał mnie i ty - powiedział.

- No, rozumiem, oczywiście wiadomo, wiadomo... Don Pedro - odwrócił się do baru - bądźże łaskaw nalać rumu spragnionemu wędrowcowi.

- Nie wiem zresztą, Kary - mówił, wracając ze szklanką do stolika - czy ci, co, kondolencje składać, czy gratulacje, mój hrabio...

- Bastard, jeśli już. - Oparłeś się, Kary, o krzesło. - Cham jestem, przez chamów chowany, synem chamki zgwałconej przez pana, pan zresztą nigdy się do ojcostwa oczywiście nie przyznał, choć wszyscy we wsi wiedzieli, więc jak się domyślasz,

ani matka, ani ja nie mieliśmy specjalnie łatwego życia. Mógłbyś się, Mieciu, kurwa, wykazać trochę większą empatią, ja wiem, ja widzę, że aktualnie...

Lurje wychylił pół szklaneczki rumu na raz, ryknął w przydechu, otarł pieczołowicie wąsiki i podniósł ręce do góry w teatralnym geście.

- Dobrze, wiadomo, Franek, jest mi niezmiernie przykro. Tym bardziej że - zniżył głos - sprawa jest bardzo dziwna...

- Kim jest ta Ćwilichowska?

- A to już wiesz? - Lurje łypnął na Karego. - No tak. Przejęła tę sprawę Ćwilichowska, a ona jest, no, jak to powiedzieć... ona jest z tych od zadań specjalnych. Uruchamianych wtedy, kiedy sprawa jakaś wymaga przytuszowania ze względu na, powiedzmy, dobro Rzeczypospolitej.

- Mhm.

- Rzecz w tym, kolego sympatyczny, że wszystkie te tak zwane sprawy Kuby Hieroglifa - Lurje wyciągnął bezceremonialnie papierosa z paczki Karego leżącej na stoliku i odpalił - najpierw objęli, z jakiegoś powodu, ludzie powiązani z Hyckem...

- Cholera, Mietek - Kary wypuścił z ust dym - ten Hycke to naprawdę, kurwa, istnieje? Mam wrażenie, że to nie człowiek, a jakiś kryptonim, cały oddział, nie wiem...

- Nie znam nikogo, kto by go na oczy widział. - Lurje wzruszył ramionami. - Ale jak ma nie istnieć, jak to szatan wcielony. No więc rzecz w tym, że jego ludzie, którzy zajmują się Tarnowskim, Tycem, wiesz, całą resztą naszych szanownych nieboszczyków od Hieroglifa, nawet oni mają kłopoty. Ktoś im miesza.

- A kto?

- A tego nie wiadomo właśnie.

- Kto im może mieszać ponad Hyckem? Kurwa, Snardz? Po co? Snardz, co, morduje, kurwa, prominentów?

- Snardza to firma Hyckego na plecach do władzy wyniosła. - Lurje pociągnął łyk rumu. - Nie no, to śmieszne, przecież ci przez tego Kubę Hieroglifa ludzie

pozabijani to przeszłościowcy, ludzie dziś bez znaczenia, ludzie, którzy kiedyś byli bardzo blisko Snardza, ale to było dawno, dawno temu, jeśli uparłbyś się, żeby źródła sprawy szukać gdzieś na najwyższych szczeblach. To nie ma sensu. Ci ludzie, włączając w to twojego szanownego papę hrabiego, no, nie krzyw się tak, bo pomyślę, że chcesz mi dać w pysk, a to by był jednak, mimo wszystko, antysemityzm, to już od dawna, nie obraź się, nie znaczą nic. Zużyci, przemienieni, wypluci.

Żywe trupy w luksusie dożywające dni. .. myślisz, że ktoś zobaczy? -zakończył nieco teatralnym szeptem, wyjmując z kieszonki na piersi kościane puzderko. Znałeś to puzderko, podkomisarz Lurje nosił w nim kokainę, którą podkradał ze skonfiskowanych przez policję materiałów dowodowych. Otworzył wieczko i pozerkując, czy Pedro nie patrzy, wybrał odrobinę proszku niewielką łyżeczką, podstawił sobie pod nos i zassał potężnie.

Pedro nie widział, ale hips Krzesimir i jego koledzy podnieśli znad szklanek psie nieco głowy i zerknęli na niego ze zdziwieniem. Lurje spojrział na nich groźnym wzrokiem. Parsknęli śmiechem.

- Pierdolone hipsy, zepsucie, zwyrodnialstwo - powiedział Lurje, przesuwając w twoją stronę puzdreczko i łyżeczkę. - Jebać, rozumiesz, Snardza, jebać cały ten kler i ten polski konserwofaszyzm, ale co do hipsów, to te kurwy mają rację. A co, nie mają? Czego oni, te hipsy, chcą? Nie aby nowego porządku na tym świecie? A jak będą rządziły, to co to będzie za porządek? Jak dzicy w dżungli! I to dzicy hedoniści! Bez instynktu budowania, nic, tylko korzystać z tego, co już jest! Przepić, przenarkotyzować całą cywilizację, zapalić rife i leżeć na jej zgliszczach! Wyobraź to sobie: chaos, nieposłuszeństwo i zgrywa rządzi, a ci, którzy, było nie było, reprezentują jakieś zasady, powagę i stałość, są w opozycji? Tania przyjemność wartością, a satysfakcja z porządnie wykonanej, Bogu się podobającej pracy antywartością?

- Przecież ty nie wierzysz w Boga.

- To nie ma znaczenia. Koniec końców bunt jest dobry, ale buntować się można i dla samego buntu, a potem...

- No to przecież się buntują. - Wzruszyłeś ramionami. - O co ci chodzi?

- Za dużo ich. Wszędzie są. Wygrają, i co? Buntownicy będą władzą?

To już nie będą buntem. Hipsy jako władza? Naprawdę? Czy nie taka rola buntownika, żeby poszerzał pole walki, ale żeby go nie zajmował? A, kurwa, Kary. .. Era Wodnika, wolna miłość, wolność od wszystkiego, a najchętniej to od prysznic i od szacunku dla autorytetów. Co to będzie z tym społeczeństwem, z tym światem, powiedz, Franek? Co to będzie, jak te dzikusy i ich tak zwany styl życia, który nie różni się od stylu życia przeciętnych Mongołów Złotej Ordy czy Aborygenów od Malinowskiego, zaczną rządzić? U nas, w Anglii, we Francji, w Ameryce? Przecież to się na cały świat rozlało. Tylko w Niemczech ich nie ma. Niemcy jakie są, takie są, ale w Niemczech to takich nie ma, no, przynajmniej nie w Braniborach, w starych Prusach, nawet na Protektorciach... Tam jest jednak jakiś porządek. A u nas? A ci? Nic tylko narkosić się, chlać, ruchać, co to się stanie z tym społeczeństwem, z tym światem... Chcesz trochę?

Nie odmówiłeś. Nabrałeś na łyżeczkę i też wciągnąłeś.

- A ta Ćwilichowska? - wróciłeś do tematu, czując przyjemny, zimny paraliż górnej wargi i nosa. I rozchodzące się po organizmie uczucie błogiego zadowolenia. Którego to uczucia, jak nagle do ciebie dotarło, mocno i od dawna potrzebowałeś.

- Co Ćwilichowska? - Lurje ciągle myślami był przy swym monologu, bo jak raz wpadał, to nie mógł wylecieć. - Zobacz. Koks jest dobry, bo jest nielegalny. A co, gdyby był legalny? Co, gdyby wszyscy uznali, tak jak by pewnie chciały te zasrane hipsy, że jest dobry dla zdrowia i ogólnie polecany również naszym milusińskim?

- No bo z tego, co mówisz, to rozumiem, że jej nie nadał Hyclek?

- Co? Kogo? Koki?

- Ćwilichowskiej - cierpliwie powiedział Kary.

- No właśnie nie, to znaczy: tak powinno być. - Lurje pokręcił głową. - Nie żebym jakoś specjalnie śledził tę sprawę, ale właśnie o to chodzi, że najpierw

Hieroglifów robili ludzie Hyckego, a potem coś się zmieniło, potem Hycckemu ich odebrali.

- I ta Ćwilichowska... a ona pod kim jest?

- Ona jest chyba bezpośrednio pod wierchuszką, nawet Hycke się do niej nie może wtrącać, to są poruczenia specjalne. - Lurje rozłożył ręce. - Ale kto jej konkretnie bezpośrednio te poruczenia, kurwa, wydaje, to ja naprawdę nie mam pojęcia. To są właśnie te słynne, jak to się mówi, „nieprzejrzyste struktury charakterystyczne dla państw autokratycznych”.

- Mhm - mruknął, Kary, i wlepił wzrok cokolwiek ponury w szybę, za którą stali starzy starozakonni. Ich rozmowa jeszcze chwilę temu toczyła się mocno powściągliwie, ale aktualnie chyba się o coś pokłócili, bo zaczęli wymachiwać rękami jak wiatraki.

- Przyjacielu, mi amigo, don Pedro - krzyczał tymczasem Lurje do Pedra. - Macie kuchnię otwartą? Zrobisz mi gumbo? Takie dobre jak u was, na Fernandynie, z krewetkami wielkimi jak kutas młodzieńczy? Nie chce mi się jeść - powiedział do Karego - ale od wczoraj rana właściwie nic nie jadłem. - Wymownie pociągnął nosem. - Moja praca jest, rozumiesz, wymagająca. Ale muszę coś utroić, żeby się nie przekręcić. Ja mam rodzinę.

- Ty jest sam kutas, pendejo - zarechotał Pedro zza baru. - Nie zrobię, bo dziś szwynia. Weprzowyna.

- A to dawaj, kurwa, szwynię. - Lurje machnął ręką. - Tylko przypraw, żebym nie czuł, że trefna.

- Spokojnie, Mietek - powiedział, Kary, wstając. - Jesteś katolikiem, możesz świnię.

- Nie jestem katolikiem, jestem postkatolickim ateistą... i właściwie to nawet jestem trochę antysemitą, patrz na tych jankli za oknem w chałatach, przecież z takim średniowieczem to my nigdy nie dojdziemy do cywilizowanej Europy. .. Gdzie idziesz? Gdzie idziesz, chuju, co, samego mnie zostawiasz?

- No - odpowiedziałeś, Kary, wstając i dopijając resztkę burbona ze szklanki. - Nie chcę być świadkiem twojego wieprzowego upadku. Jadę do Kalwarii. Konfiskuję. - Podniosłeś trzymane w palcach puzderko Lurjego. - Muszę o ciebie dbać. Ty masz rodzinę, Mieciu. Pudełko oddam potem. Ty masz stałe źródło koksu, ja nie mam. Redystrybucja dóbr. Przy okazji mnie też mógłbyś załatwić następnym razem.

- No tak. Tak. - Mieczysław Lurje pogładził wąsiki. - Słuchaj, uważaj na tą Ćwilichowską. U nas nikt jej nie ufa. Ona w Komendzie jest od dawna, ale dopiero od jakiegoś czasu zaczęło być jej wszędzie pełno, powiem ci. Nowe porządki, diabły wiedzą.

- Trzymaj się, Mieciu - powiedziałaś. - Aha - przypomniałeś sobie -w sprawie zaginięcia młodego Druckiego. Tego księcia. Znasz sprawę?

- No znam - powiedział, nieco zdziwiony, Lurje.

- To zleć tym, co się tym zajmują, żeby mieli oko na Maksymiliana Lisica, to taki dandolek, pracuje w sklepie z apaszkami na Pięknej.

- No wiem, który sklep. - Lurje, który bardzo lubił apaszki, zmarszczył się. - A co?

- I pojedźcie do Konstancina. Tam, za torami, jest stary opuszczony browar. Najpierw go zajęły hipy, a potem jakaś księżycowa sekta, która pomalowała w nim ściany na czarno, a potem go opuściła i znów tam siedzą hipy.

- No, wiem który. Niby że „czarny pałac”. Mówili, że tam ten, jak mu jest, Faruga operował...

- No tak. To tam będzie studnia. A w studni Drucki.

- Ale że... co?

- Drucki, kurwa, książę jebany Drucki.

- Ale... żywy?

- A skąd ja mam wiedzieć, czy żywy, ale raczej jak na dnie głębokiej studni, to bardziej nieżywy niż żywy. No, trzymaj się, Mieciu.

- Ale skąd wiesz, że w studni?

- Jezu, potem ci powiem, wyślij tam kogoś. Aha, no i powiedz Druckiej, jak ją będziecie powiadamiać, że to od nas z firmy wytropione, żebyśmy kasę dostali. No to na razie.

ZŁO

Siedziba firmy detektywistyczna-ochroniarskiej Kary i Sztok mieści się na Żoliborzu. Kary wysiada z tramwaju, stawia kołnierz, ale z przyjemnością pozwala, by niemrawy deszcz otrzeźwiało go, pokrywając mu twarz zimnymi drobinkami wody.

Na dole w agencji KiSz, przy recepcji, siedzi pan Grześ i gra sam ze sobą w szachy.

Pan Grześ Różański, najwierniejszy żołnierz Złotej, rycerz, co bardzo Karego bawiło, błędny. Pan Grześ służy wiernie pod jej barwami, od kiedy Złota przyjęła go do pracy, po tym, jak narobił sobie smrodu we wszystkich po kolei możliwych mundurowych służbach RP. Może z wyłączeniem PKP.

A Karego, co do którego faktycznej roli w firmie natychmiast się stary cwaniak rozeznał, pan Grześ traktuje jako uzurpatora.

Kary więc idzie od tramwaju do firmy, moknie trochę, ale nie bardzo, a Grzesiowi nudzi się w te szachy ze sobą grać i tylko oczkiem zerka na Wojciecha, świeżo przyjętego recepcjonistę. Złota przyjmowała, więc chłopaczkę, Wojciech znaczy, jest piękny jak słowiański świt na wiosnę, krew z mlekiem, słoma z puchem. Przysiada się do niego pan Grześ i zaczyna mu opowiadać historie wojenne, bo pan Grześ, stary wiarus, na wojnie służył niejednej. Był i na pierwszej z Ukraińcami, i na wszystkich w kolonii (i też trochę dlatego nie przepadał za Karym, który się na tej wojnie dość, by tak rzec, kontrowersyjnie wyróżnił), i przy

pacyfikacji Niemców na Śląsku i Pomorzu, i w Korei, i na Bałkanach, kiedy to Polska próbowała wypełnić misję, którą powierzyła jej Liga Narodów i której sama się domagała, i którą koncertowo położyła. Właściwie to Grześ chyba na wszystkich wojnach był w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, no, poza oczywiście tą krótką, z Niemcami, w trzydziestym dziewiątym, co ten ich kanclerz Hitler w tajemniczy sposób się zabił, to znaczy, jak głosiła plotka, spadł ze schodów na pysk i złamał kark, i po której Niemcy dostały takie cety, że się dopiero teraz zaczęli jakoś zbierać, i poza tą rozjemczą, między Rumunią a Węgrami, bo na te to był jednak zdecydowanie za młody. Właściwie to dopiero się rodził, jak się ta pierwsza zaczynała. Stary już chłop z pana Grzesia, ale nie aż tak stary.

- No a to oko - mówił pan Grześ do Wojciecha - widzisz, tak, straciłem tam, w tej Jugosławii, rozumisz, młody, było tak, żeśmy szli za czołgiem na Chorwata, pod Mostarem to było, pięknie tam, chłopcze, jak tralala, a tamci piorą! A ja za tym czołgiem i se myślę: wychylać się czy się nie wychylać. A młody byłem jak ty teraz i piękny, e, może nawet i piękniejszy. I tak idę za tym czołgiem, stary tur to był, pamiętam, i tak se myślę: wychylić się zza tego pancerza czy się nie wychylić? Wychylić się czy nie? I tak se myślę: wychylę się - łeb mogą odstrzelić. Ale nie wychylać się, to po co ja na tej wojnie jestem? Tak iść cały czas za czołgiem tylko po to, żeby iść? To się, myślę, wychylę. Strzelę z tej strzelby, co mi dali, myślę, może, czy co. I jak się tylko wychyliłem, tak trach, i się w szpitalu obudziłem. Bez oka. A taki zem ładny był jak pan, panie Wojtuś!

I się, patrzcie państwo pana Grzegorza - z łapami pcha do Wojciecha! Niby tylko poklepać po buźce, niby tylko po ramieniu, ale jakoś, no, zna pan Wojciech takie łapanki, bo za młodu ministrantem był, więc się tylko wygina, łapy zdejmuję i syczy. Na szczęście przez szybę widzi odsiecz: moknący Kary się zbliża.

- Panie Grzegorzu - syczy Wojciech więc. - Szef idzie.

- E - odpowiada pan Grześ, nieco zły - taki szef... my to żeśmy kiedyś, słuchaj pan, Wojtuś, to już później, na Nowej Polsce, na Fernandynie, szefa, znaczy kapitana, sami zastrzelili. To już w Legii byłem. Instynkt się w nas obudził samozachowawczy, bo nas pchał na jakieś idiotyczne pozycje, co to sensu na nich

tkwić nie było, a za to można było wpaść w ręce Czarnych Antków, a wpaść im w łapy, to lepiej się nie urodzić. No więc żeśmy...

Ale Wojciecha w ogóle ta historia nie poruszyła, bo Wojciech właśnie z przejściem wstawał z obrotowego krzesła, widząc wchodzącego do budynku Karego, aż z tego przejścia i nagłego wstawania poślizgnął się na podszwie swojego eleganckiego mokasyńka i zachwiał jak pijany, przytrzymując stojący na recepcyjnej ladzie telefon, by nie zleciał. Ale ukłonić mu się, koniec końców, udało, choć przy wtórze rechotu pana Grzesia.

Kary odskłonił się recepcjoniście i uśmiechnął do niego.

- Złota zła? - spytał, Kary, pana Grzesia. Złota często ostatnimi czasy bywała na ciebie zła.

- Zła, nie zła - powiedział filozoficznie pan Grześ, poprawiając klapy idiotycznego czarnego niedzielnego garnituru, który nosił codziennie, bo wyobrażał sobie ewidentnie, że tak właśnie wyglądają szare eminencje w organizacjach o siłowym charakterze, a taką była, co by nie mówić, agencja ochroniarska-detektywistyczna KiSz. A pan Grześ, jako wierny sługa, wasal i giermek Złotej, lubił myśleć o sobie jako o szarej eminencji. Krawat pan Grześ też miał czarny, wąski, a weń wpinał spinkę Wojska Polskiego. Spinki Legii Cudzoziemskiej nie wpinał: ta, co prawda, przysparzała weteranom więcej szacunku, ale z Legią pan Grześ nie rozstał się bynajmniej w pocałunkach. - Trochę zła - dodał Grześ, patrząc długo i badawczo na Karego, trochę, miałeś wrażenie, jakby na wariata patrzył. - To tu nasze ciasteczko - wskazał Wojciecha podbródkiem golonym - mówi, że słyszała, jak szefowa kurwowała przez mobil gdzieś na korytarzu. Nie do ciebie, Kary, dzwoniła?

- Nie molestuj pan, panie Grzesiu, młodego, tego, no, Rafała - rzucił, Kary, przechodząc przez recepcję i pchając drzwi do klatki schodowej.

- A czy ja mu co mówię? - obraził się woźny. - Poza tym to jest Robert, nie Rafał, nauczyłybyś się, kto u was we firmie pracuje, jeśli już masz nazwisko na szyldzie.

Pan Grześ miał, jako się rzekło, w firmie, we firmie, pozycję nieco uprzywilejowaną. Mógł pozwolić sobie na wiele i z tego przywileju nie wahał się korzystać. Nie lubił cię pan Grześ, Kary, i nie można też powiedzieć, żebyś ty jakoś specjalnie lubił pana Grzesia.

- Wojciech - usłyszał jeszcze Kary piskliwy protest recepcjonisty, po czym zatrzasnął za sobą drzwi do klatki. Kary już tego nie słyszał, nie słyszałeś, Franek, detektywie Franciszku Kary, ale po tym, jak zamknąłeś drzwi, pan Grześ powiedział do recepcjonisty, który okazał się Wojciechem:

- Wojciech, ładnie. To prawie jak Grześ. Musimy się kiedy umówić na jaką wódeczkę, skoro nam tak samo na chrzcie dano.

I zarechotał po swojemu.

- Nie tak samo - zaprotestował cicho Wojciech, choć nie bardzo wiadomo po co.

- Co się pan, Wojtuś, o parę literek sprzeczasz. No, nie spinaj się pan tak, bo liczko panu płonie jak podfruwajce jakiej, jeszcze pomyślę, że pan sobie w porciętach po cichu gmerasz.

I znów Grześ zarechotał, a recepcjonista Wojciech wywrócił oczami i zaczął knuć przeciwko panu Grzesiowi spisek.

Więc tak to było z panem Grzesiem, Kary.

Wszedłeś na pięterko. Zapukałeś do gabinetu Złotej.

Właściwie nie musiałeś, chyba, pukać do gabinetu Złotej. Dawniej nie pukałeś. Ale teraz, kiedy wszystko się skończyło i zaczął narastać między wami ten coraz dziwniejszy, coraz trudniejszy do zniesienia dystans, nawet nie wiedziałeś, kiedy weszło ci to w zwyczaj.

- Złota?

Nic.

- Zło?

Usłyszałeś dobiegający z gabinetu miarowy odgłos uderzeń i posapywanie i nacisnąłeś klamkę. Złota, bosa, w sportowych spodniach i podkoszulce na ramiączkach, kopła stojącego w rogu manekina. Twarz manekina sam Kary dawno temu, gdy jeszcze jego świat był innym światem, ozdobił pięknymi, domalowanymi wąsami. Mającymi ją w założeniu upodabniać do oblicza wodza Snardza. Na twój widok zasapana Złota wyjęła z uszu słuchawki taśmowego mobiplejera.

- No cześć - powiedziała jakby ostrożnie.

- Złota - odparłeś. - Muszę... no. Wyjechać.

- Mhm... - Złota usiadła za biurkiem, spocona i oparła głowę na dłoniach. - Rozumiem, że... - Podniosła z biurka „Kurier”. - Że chodzi o Lasotę?

- O Lasotę.

- I do Kalwarii jedziesz?

- Do Kalwarii.

Usiadłeś na kanapie, na której siadałeś zawsze, gdy tu zachodziłeś.

- No, jedź. Tylko nie narozrabiaj. - Złota patrzyła na ciebie z czymś, co wydawało ci się troską i co cię nieco rozzłościło, bo nie był to ten rodzaj troski, jaki byś sobie życzył. - Jak w Bożycach. U księdza Krenca. Świętej pamięci.

- Co? W Bożycach?

- No nic... - Machnęła ręką. - Nie mówmy o tym.

- Że niby co? - zapytałeś. - Że ja niby ...

- Jesteś ostatnio... przemęczony. Może nie w najlepszej formie -ciągnęła Złota. - Tak, zdaję sobie sprawę, że to pewnie ja się przyczyniłam do tego. .. częściowo, nieczęściowo, nie wiem. Myślę, że chyba powinieneś odpocząć, faktycznie...

- Ja tam nie jadę po to, by odpoczywać, Złota.

- Wiem - odpowiedziała. - Ale odpocznij przy okazji. I nie narozrabiaj.

Walcząc z ochotą, by nie powiedzieć jej, by spierdalała, wstałeś z kanapy i wyszedłeś na korytarz. Minęli cię Lejb Zejgal i Józef Rabcz. Zejgal przystanął i uśmiechnął się niepewnie.

- Wszystko w porządku, Franek?

- Tak, super, Lania - powiedziałaś i poszedłaś w stronę schodów. -Super, kurwa.

Józef Rabcz i Lejb Zejgal spojrzeli po sobie porozumiewawczo, ale tego już nie widziałaś.

Bożyce, kurwa.

CO SIĘ WYDARZYŁO W BOŻYCACH POD RADOMIEM

Parę dni temu razem z Zejgalem, Rabczem oraz panem Grzesiem Różańskim jechaliście do Bożyc.

Patrzyłeś, Kary, w lusterko i widziałeś na tle czarnego nieba nigdy niegasnące światła mrokodrapów warszawskiego centrum. I ich fantasmagoryczne kształty, które odcinały się od łuny rozpościerającej się nad stolicą. Wyglądały, musiałeś to przyznać za każdym razem, gdy je widziałeś, niesamowicie. Jakby coś dziwnego, egzotycznego, fascynującego, a jednocześnie demonicznego i złowrogię wypiętrzyło się nad tą mazowiecką równią i już na zawsze nadało jej swój kształt. Szukalski może i był wariat - myślałeś - ale efekt umiał zrobić. I miał styl. I nawet gdy kolejne epoki architektoniczne się pożerały - tak jak modernizm gardził secesją, modernizmem - narodowy modernizm, tym z kolei architektura postmodernistyczna, postmodernistyczną - altermodernistyczna i tak dalej - to Śródmieście Szukalskiego, zwane powszechnie Szukalszczakiem albo Szukałem, zawsze robiło wrażenie. Nie przemijało. Te wszystkie smoki i potwory na fasadach, te piramidy azteckowate, wężowate i gadzie elewacje, te orły-pterodaktyle wieńczące dachy, te toporły i husarmady - tego nie dało się podrobić, i to już na zawsze weszło do polskiego kanonu. Bogacze budowali sobie wille w stylu szukalszczyzny, co bardziej ambitni burmistrzowie

i prezydenci przebudowywali w tym duchu reprezentacyjne gmachy w swoich miasteczkach.

Siedzieliście w zarejestrowanym na jakiegoś słupa, ale firmowym samochodzie, skodzie brzetysław, czarnej, a jakże. Choć równie dobrze moglibyście siedzieć w hipsiarskim volkswagenie stonco wymalowanym w kwiatki, gołąbki czy w co tam jeszcze hipsiarze malują te swoje rozpadające się graty. Zejgal i Rabcz, w tych swoich fryzurach na dwa kudłate pudle, z tymi kolczykami w uszach, brwiach i nosach, weterani, czarne hipsy, kurwa, siedzieli na tylnym siedzeniu z tymi riferami pełnymi sztofu i kurzącymi się tak, że całe wnętrze brzetysława pełne było dymu. Jak pan Grześ, kaszląc, otworzył okno, to się okazało, że za autem ciągnie się ślad jak za odrzutowcem. Wszystkich was to, ciebie, Kary, Zejgala i Rabcza, rozbawiło. Poza panem Grzesiem.

- Przestaliście fajczyć to gówno! - ryczał. - Ja tu pasywnie paląc, zaraz dostanę rozedmy i zwariuję od tych waszych kumet z narkutykami!

- Czego? Kumet? - rechotał Rabcz. - Kiedy to się tak mówiło, za wielkiego wodza Rydza?

- Z czyyyyyym? - ryczał ze śmiechu Zejgal. - Z narkutykami? To po jakiemu, po żydowsku? Czy po chamsku?

- Od chamów to wara, żydowski debilu! Kary, pozwolisz tak? Lud obrażają, a ja z ludu! Ty z ludu! My chamy!

Wzruszyłeś, Kary, ramionami.

- Zejgal i Rabcz są socjaliści - odpowiedział. - Raczej wątpię, żeby gardzili ludem, panie Grzesiu.

- Ja też jestem socjalista! - zaperzył się pan Grześ. - A te pederasty warszawkowate, poobwieszane paciorkami jak jakie Murzyny z Afryki, to w życiu ludu, kurwa, nie widziały! Ich by lud, kurwa, w błocie wytarzał, obeszcział i pogonił przez pola, jak my żeśmy gonili Serba śmierdziela na Bałkanie! Jak żeśmy walczyli o Polskę, o Międzymorze! A te lebiegi za co walczyły w życiu, za prawo do ładowania makowca w żyłę? Ze wsi

się mieszcuszkę jebane śmieją, a ty co! A ty, Kary, nic, kurwa, co, pochodzenia się wstydzisz?

- Chciałem tylko uprzejmie zauważyć, panie Grzesiu, że z pana jest dupa wołowa, a nie socjalista - z rozbijającym, szerokim uśmiechem słodko rzekł Rabcz. - W jednej wypowiedzi obraził pan następujące - tu odgiął palec - grupy społeczne: osoby homoseksualne, osoby narodowości serbskiej...

- ...osoby murzyńskie z Afryki. .. - dodał Zejgal.

- ...oraz zaczął pan się szczycić udziałem w imperialnej akcji zbrojnej, jaką była interwencja Polski, zresztą nieudana, w byłej Jugosławii, oraz wychwalać imperialny projekt, jakim było Międzymorze...

- Tyś, kurwa, obszcymurze, z końskiej chyba pyty spadł! - wydarł się, nieco poetycko, pan Grześ i wydawało się, że oczy zajdą mu zaraz bielmem z wściekłości. - Imperialna akcja, gówniarzu pierdolony! Myśmy tam życie ludzkie ratowali, kiedy jeszcze cię na świecie nie było, żeś ćpał narkotyki, kurwa, nie mył włosów brudnych, brudasie... - Zaplątał się pan Grześ i tylko siedział, wściekły, dyszący i patrzył oczami niewidzącymi przed siebie, przez szybę. Szpaler przydrożnych wierzb wylaniał się z mroku, jedna wierzba po drugiej, w świetle reflektorów, a za wierzbami - pognieciona wiatrem, przygięta do ziemi wysoka trawa. Wyglądało to pięknie, horrorowato, ale Grześ tego nie widział, widział tylko krwawe przed oczami plamy.

- No to wychodzi z tego wszystkiego - podjął Zejgal - że z pana, panie Grześ, żaden socjalista, tylko normalna imperialistyczna, szowinistyczna świnia...

- Bo jak cię zaraz... - zasapał się pan Grześ, który regularnie opłacał składki w Ludowej Partii Socjalistycznej. Odwrócił się do Zejgala, który siedział z tyłu, i wrzasnął: -Ty mi będziesz mówić, co ja jestem, ty...

- Uspokój się pan, panie Grześ - odpowiedział, kładąc mu rękę na ramieniu.

Grześ gniewnie sapał przez kilka kilometrów. Zejgal i Rabcz odpalili kolejnego rifea.

- Taki z ciebie szef! Ty im pozwalasz, Kary, palić przed akcją? -wrzeszczał Grześ, starając się nic sobie nie robić z chichotu Zejgala i Rabicza, wielkich byków, którzy się na tylnym siedzeniu auta ledwo mieścili. Znów wzruszył ramionami i wziął od Zejgala kopającego się rife, którego ci podał. Konopie dobrze na ciebie działały. A przede wszystkim łagodziły ból. Pod tą pierdoloną płytką w głowie.

- Jakbym wiedział, że pojedę na akcję z trzema usmażonymi konopiami pede... żułami, tobym się nigdy nie zgodził! - warczał Grześ.

- Ale się zgodziłeś - powiedziałaś, wypuszczając dym - i teraz już za późno. Więc nie drzyj się pan.

- Co nie drzyj się! Całe auto zadymione, zostawiamy za sobą, kurwa, ogon jak kometa Halleya! Jak nas bure dojadą, to... to nieodpowiedzialne!

- Grzesiu, kurwa. - Odwróciłeś się do niego, bo już cię głowa bolała. Uspokój się. Wyluzuj. Co to za życie bez odrobiny ryzyka. Sam zapal.

- Nie dawaj mu, Kary - rechotał Zejgal. - Dostanie złego tripu, siądzie w kącie i zacznie płakać.

Pan Grześ otworzył okno i wściekle wyrzucił skręta na asfalt.

- Cooo ty rooobisz, człowieku, wiesz, ile tam jeszcze było? - krzyknął Lejb.

- Paliłem tego ziela więcej niż wy, gówniarze, i to takiego hajowego, że wy byście...

- Jakiego? - rechotał znów Rabicz. - Hajowego? To tak się mówiło u was, na wsi? Skąd tam pan Grześ jesteś?

- Kary, kurwa, ty słyszysz i nie grzmisz?! - grzmiał sam pan Grześ.

Z Wojowicz był pan Grześ.

Z Wojowicz pod Liwem.

Grześ był zawodowym żołnierzem na wczesnej żołnierskiej emeryturze. Nawojował się, tu mu trzeba przyznać, sporo. Był członkiem tajnych rad żołnierskich. Już ponad dwadzieścia lat temu wrócił ze służby w tej nieszczęsnej

malarycznej kolonii, szumnie zwanej Nową Polską, gdzie spędził lat dziesięć, z dwiema tylko wizytami w kraju, bo przez jakiś czas był pewien, że do Polski nie powróci, że w Kolonii osiadzie. A tam, w Kolonii, wyobrażenia o Polsce, tej właściwej, „starej”, równie szumnie zwanej metropolią, szczególnie w roli kolonizatorce, wybijały wysoko, jak wystrzelony korek. Polska to, Polska tamto, „metropolia”, „macierz”, „Rzeczpospolita”.

Wrócił jednak i rzucił się w odmęty Warszawy. Orzeźwiająco chłodnej po latach tropikalnego piekła, i - jak mu się wydało po powrocie - wyrefinowanej i cywilizowanej. Ale gdy się wybawił po uszy, gdy poopowiadał po knajpach swoje „legunowe” historie, gdy za żołd, odprawę i zapomogę dla wysłużonych weteranów wynajął mieszkanie na Woli i opłacił je za cały rok z góry (na wszelki wypadek, gdyby miał przepić), gdy z polecenia rad żołnierskich zapisał się do warszawskiego, centralnego oddziału Ludowej Partii Socjalistycznej, gdzie z miejsca stał się aktywnym działaczem, gdy zebrał wystarczająco dużo stawianych mu kolejek za swoje stracone oko, gdy zaliczył już wszystkie burdele, na które wystarczyło mu siły i w których mu nie szło, a jego żołd i odprawa stopniały tak, że trzeba było zacząć się na poważnie martwić o to, co dalej - pojechał na wieś do swoich starych rodziców. Zaniedbał ich, cóż poradzić, ostatnimi laty. Nie rozstał się z nimi, podobnie jak z rodzeństwem, w pocałunkach, kiedy szedł do armii, ale gdy tylko wypłukał po barach całą serotoninę i poczuł coś na kształt życiowego zagubienia, postanowił odwiedzić dom rodzinny.

Wsiadł na Dworcu Wschodnim w autobus, starego, pocziwego opla o kształcie krokodyla, z wydłużonym, opływowym pyskiem, tego typu, który Grześ pamiętał jeszcze z wczesnej młodości, gdy ze swej wsi rodzinnej pod Liwem wyruszył do Warszawy, do podchorążówki, skuszony nawoływaniem propagandy: „Rzplita się o ciebie zatroszczy!”.

I ruszył młody pan Grześ, jeszcze jako po prostu Grześ, do Warszawy, do wojska, razem z innymi trzecimi, czwartymi czy piątymi chłopskimi synami. Ruszył autobusem w kształcie krokodyla, wąskimi, nie tak dawno wyasfaltowanymi za sojusznicze pieniądze szosami przez

biało wymalowane drewniane wsie, powoli dopiero się murujące czerwoną cegłą, więc nabierające podejrzanie biało-czerwonego charakteru.

I cóż, później wracał po dziesięciu latach. Były lata siedemdziesiąte, a świat wyglądał, jakby zwolnił tempo, jakby się przyczał, żeby nie narozrabiać za bardzo, i tylko murszał czasem, naprawiając w sobie to i owo, i powolutku, ostrożnie, idąc do przodu. Teraz, trzydzieści lat później, świat, jak widać, postanowił znowu przyspieszyć. Takim samym krokodylem, ledwie już dyszącym na państwowym wikcie, asfalt pobudowany za późnego Rydza, obecnie - szacownego nieboszczyka, zabalsamowanego i złożonego w szklanej trumnie na Wawelu, niby Królowa Śnieżka, zaczynał już pękać i się kruszyć, a jedyne, co zmieniło się przy ryneczkach mijanych przez niego miasteczek, to były koślawe pomniczki samego Rydza, a na ich cokołach napisane było albo defensor Poloniae, albo nikt nam nie zrobi nic, bo z nami Śmigły-Rydz. Albo wręcz, jak w Węgrowie, Zbawcy - Naród, oba słowa wielką literą.

Jechał pan Grześ więc oplem - krokodylem przez mazowieckie płaskocie, jego sucha, opalona skóra nie pasowała do nasiąkającej wczesną jesienią mazowieckiej bladości i wilgoci, i patrzył skacowanym okiem na coś, co było tak swojskie, tak bardzo jego własne i o czym tak bardzo zapomniał w tej krainie jadowitej, ziejącej zieleni, że teraz wydawało mu się, że wrócił do matczynego łona, do życia przed życiem i że tak będzie wyglądało zapewne jego życie po życiu, bo to jest polska rzeczywistość bazowa.

Te mokre łąki po zakończony lasem horyzont, te wąskie drogi obsadzone, niemieckim wzorem, drzewami, te rozwleczone miasteczka i wioseczki, fryzjer, karczma, sklep kolonialny, bo od kiedy Polska w końcu pozyskała tę wymarzoną i wyśnioną kolonię, prawie każdy byle sklep spożywczy nazywał się szumnie „kolonialny”. A poza tym - to samo. Ci chłopci w nieśmiertelnych kapotach i Żydzi w równie nieśmiertelnych chałatach, te powykrzywiane buty stąpające po bruku, błocie i asfalcie.

I ci rodzice w chałupie, której przebudowywać już nie mieli ani siły, ani ochoty, więc trwali w niej, pomalowanej na biało, bieląc co jakiś czas ściany w izbach,

pokrywszy drewnianą podłogę czymś, co się nazywało gumoleum i co, jak zachwalała matka, łatwiej było myć. Tylko asfalt pojawił się przed chatą, do której dawniej wiodła wybłocona, koleiniasta droga. I blachodachówka, ruda, ładna, pojawiła się zamiast strzechy, z czego szczególnie był dumny ojciec, który kładł ją własnoręcznie razem z sąsiadami. Gdy spał w izbie, w której za dziecka gniótł się z sześciorgiem rodzeństwa, a która dziś stała pusta, niepotrzebna, bo ojciec i matka po dawnemu sypiali w kuchni, słyszał tylko jeden nowy dźwięk, którego dawniej nie było: dźwięk krowiego łańcucha obijającego się o asfalt. Dawniej krowy szły przez błoto i słychać było wyłącznie kląskanie.

Lokalna karczma nie należała już do Żyda Mojżesza Bluma, zwanego Mojżeszkiem: Żyd Mojżesz Blum, jak mówiono, wyjechał razem z całą rodziną, a w jego domu mieszkał teraz Jan, z rodziny zwanej od zawsze, z jakiegoś powodu, Kalapatymi. Jan Kalapaty, dawny kolega pana Grzesia ze szkoły, chłop rzutki, silny i sękaty, który teraz - jak się pan Grześ dowiedział - skupował od innych ziemię, a jego powiększające się rolnicze imperium dostarczało do państwowego skupu, co tylko było aktualnie modnie dostarczać. Jan Kalapaty, jak słuchał pan Grześ w dawnej gospodzie Bluma, którą teraz notabene prowadził syn Jana Maciej, dorobił się takiej pozycji, że już dawno zakasował folwark Karczyńskich, którzy lada miesiąc mieli zastawić dwór i pójść z torbami do Warszawy. Mówiło się, że Kalapaty się na ten dwór zasadza.

- A co z Mojżeszem? - pytał pan Grześ, siedząc nad wódką i piwem w przyjemnie odnowionym, to musiał przyznać, wnętrzu gospody, z jakimiś kolorowymi obrazkami wiszącymi na ścianach. - Dlaczego Mojżeszek wyjechał?

Wtedy zapadała najczęściej cisza, choć niedługa, i padały niechętnie wyjaśnienia. Że wtedy się wyjeżdżało, że wszyscy wyjeżdżali, za pracą, to do Warszawy, to do kolonii trochę, choć stamtąd ludzie, jak się mówi, wracają szybciej, niż wyjeżdżają (o czym pan Grześ dobrze wiedział), trochę do pracy do Francji, do Anglii.

- A Mojżeszek? - drążył pan Grześ, upierając się jakoś, i wtedy dopiero do niego docierało, że Żydów w ogóle jakby mniej, że nie tylko Mojżesza Bluma nie

ma, ale i przy synagodze, jak przechodził, pustawo jakoś, że może trzech, czterech starych, brodatych, z młodymi nie wiadomo, bo jak w sumie odróżnić od Polaków, ale generalnie, w porównaniu z tym, co pamiętał z dzieciństwa, zanim wyjechał krokodylem do wojska, zanim służył na Bałkanach i w Nowej Polsce, było jakoś bardziej polsko, chłopska. I sklepu, jak sobie przypomniał, wdowy Ajgendelfowej nie było już, i mniej po żydowsku na ulicy się mówiło.

- Żydzi? - słyszał. - Co Żydzi? Był taki rok, co Żydów jakoś dużo wyjechało. A gdzie? A różnie. Do Warszawy, a stamtąd do Palestyny. Do Ameryki. Kto to wie.

- A Mojżeszek? - upierał się coraz bardziej pijany pan Grześ, a jemu mówiono, żeby on już tak o Mojżeszka nie pytał. Ale pan Grześ był pijany i pytał, więc w końcu wyszedł właściciel, Maciej Kalapaty, syn Jana Kalapatego, też tak samo sękaty, potężny jak ojciec, tylko grubszy, wziął pana Grzesia pod ramię, powiedział, że wszyscy go tu, Grzesia, bardzo lubią, że bohater wojenny, oko stracił i w ogóle, że jego rodziców też lubią i szanują, ale żeby już sobie szedł do domu, bo jest pijany. Że wszyscy rozumieją: pewnie w kolonii od mocnej wódki odwykł, bo tam podobno pić się polskiej wódki nie da, za gorąco. I szedł Grześ przez wieś, i patrzył na domy, te stare, pokryte blachą albo papą zamiast słomą, czasem, kto bogatszy, dachówką, albo te nowe, z czerwonej cegły, albo jeszcze nowsze, też biało tynkowane, brudne od wyziewów, a to silników, a to kominów, słowem, patrzył Grześ na polską wieś w ostatniej chwili przed tym, zanim - jak cały świat - zalana została falą tanich materiałów budowlanych i na zawsze odmieniła swoją skórę.

Ale wtedy było jeszcze mniej lub bardziej po staremu, więc Grześ szedł spać do pustej izby, na łóżko, puchate, kopiaste od pierzyn, poduch, wypukłego siennika, a rano rodzice również mu powiedzieli, żeby nie rozpytywał tak o Mojżeszka i jego rodzinę, bo on wyjedzie, a oni tu zostaną. A poza tym stary Kalapaty jest dobry człowiek, bogaty, pomaga ludziom. Jedni u niego pracują, a to na polu, a to na oborze, nawet niektórym starym daje zapomogi, bo renty od państwa to tyle, co kot napłakał. I pan Grześ już nie pytał, a potem wyjechał do Warszawy, a jego rodzice zostali.

I teraz pan Grześ jechał znów przez wieś, tylko inną, choć jak dwie krople wody podobną do tej jego. I nie w autobusie o kształcie krokodyla, a w zarejestrowanej na słupa terenowej skodzie brzetysław.

Jechaliście wykonać zadanie, które zleciła wam Złota po ustaleniach z kierownictwem Oporu, choć obiekt zaproponowany i wskazany był przez ciebie. A tobie zasugerowany przez Beatę.

W razie jednak wsypy, dowiedzieliście się na odprawie u Złotej, macie się odcinać od Oporu, który notabene był niczym innym jak niedostrzelonymi i przeorganizowanymi resztkami struktur demokratycznej Rzeczpospolitej obalonej kilka lat temu przez Snardza i szefa referatu tajnej policji Hyckego w ramach, jak to się teraz mówi, „restytucji władzy narodu”.

- Działacie na własną rękę - ostrzegła Złota. - I nie wpadnijcie w ręce policji.

No, w ręce policji lepiej nie.

A już, broń Boże, w ręce osowców. Oddziałów Obronna-Szturmowych, okrytych ponurą sławą OOS-ów, partyjno-rządowej armii, zlikwidowanej za krótkich rządów liberałów i chadeków i zdemonizowanej przez nich do diabelskiego poziomu. A później, po „restytucji władzy narodu”, jak gdyby nigdy nic, wskrzeszonej przez Snardza. I oddanych pod zarząd Byczej Głowie.

Mówiło się zresztą, że to właśnie Bycza Głowa-Dowkont, rozruszany, niestary, potężny, o twarzy pięknej, okolonej loczkami i zdobnej wąsikiem, niby-książę Pepi sprzed Grobu Nieznanego Żołnierza, wiecznie paradujący w mundurze generała, jest dziś prawdziwą głową Rzeczpospolitej.

Za oknami mniej już było niż dawniej białych drewnianych domów, coraz więcej murowanych, ale też bielonych. Już, wydawałoby się, z nawyku, z tradycji, o przedwiecznych, wydawałoby się, korzeniach, bo już dwa pokolenia wyrosły wśród tych malowanych na biało płotów; białych, choć brudnych, bo stojących przy drodze i zakopconych wydechami samochodów. Grześ zamknął jedno oko i zasnął. I obudził się szczęśliwie dopiero pod Białoobrzegami, gdy w samym środku nocy, o wpół do trzeciej, gdy przyszło wam zjechać z głównej drogi i gdy

jechaliście starą brukówką na miasteczko Bożyce. Kary spał, teraz prowadził Rabcz.

Ten kretyn Rabcz puszczał jakieś blusy i bity ze Stanów, a potem polskie. Pan Grześ otworzył okno i zapalił papierosa. Ale nie dlatego zapalił papierosa, że chciało mu się palić, bo w sumie rzadko chciało mu się palić, taki był, że palił tylko, jak pił, tylko dlatego, żeby szum powietrza zagłuszył pierdolenie tych drutoszarpów. Bo nie mógł go słuchać. Ale Rabcz wychylił się z tylnego siedzenia i podkręcił na głośniej i pan Grzesio, cóż począć, słuchał, jak wokalista ryczy:

Hej, szlagonku, hej, ty, chłopie
Hej, żołnierzu ty, w okopie
Idzie nowy świat, nadchodzi
Niech wie o tym ksiądz dobrodziej
Nie powstrzymasz nas, nas hordy
Więc, łaskawco, zamknij mordę
Nie stawaj sprawiedliwości
I społecznej wrażliwości
Idzie tu Wodnika era,
Wiek miłości, przyjacielu
Więc nie trzymaj córki, syna
W ukryciu, ty skurwysynu
Tylko pozwól im iść z nami
Z hipsiarzami, szamanami!

- Kurwa, naprawdę, Józek - powiedział w końcu do Rabcza pan Grześ, wyrzucając papierosa za okno i podnosząc szybę - ja nie jestem kształcony człowiek, ale to, co te dumie śpiewają...

- Rymy są najlepsze - zarechotał Kary, który miał spać. - „Syna -skurwysynu”, czy jak to szło.

Lońka Zejgał uśmiechnął się i rozłożył ręce w geście udawanej bezradności.

- To prości ludzie, co chcesz - powiedział. - Sól ziemi. Ich czas nadszedł.

- Kurwa, a wy, Żydzi, to tych prostych ludzi niby nie robicie w... - zaczął Grześ, ale Rabcz położył mu palec na ustach.

- Ciii - rzekł. - Pamiętaj, Grześ, Żyd, Polak to konstrukcja kulturowa.

- Sam jesteś konstrukcja kulturowa.

- Jestem.

- Poza tym jesteś podobno socjalistą, panie Grześ.

- Ale nie frajerem.

- Ja nikogo nie robię w nic, pan Grześ - zażydłaczył Lejb Zejgał, a Kary i Rabcz zarechotali. - Ja jestem dobra Żyd, dobra konstrukcja kulturowa, i ja pana dam nawet czekulady! - powiedział i wystawił w stronę Grzesia dłoń z batonikiem Fernandino, który każdy porządny hips zawsze ze sobą nosi, w razie gdy go pokonopny głód najdzie. Grześ czekuladę odtrącił. - Ja tylko zabijam dzieci!

- Idź mnie, janklu jeden, z tern przysmakiem, won!

- I nie bądź pan taki antysemita, panie Grześ - dodał Rabcz. - Bo na antysemitę to jedziemy właśnie zapolować.

Antysemitą rzezonym był ksiądz Daniel Krenc, siedzący na bożyckiej parafii Najświętszej Marii Panny. Młody blondynek i byczek. To właśnie u niego, na księżych polach i łąkach, po księżych lasach, ćwiczili krwioziemcy. Członkowie mistyczno-mięśniackiego ruchu Krew i Ziemia. Ci, którzy po miastach i wsiach robili przemarsze milczące, wszyscy w czarnych pelerynach i w jednakowych maskach Adama Mickiewicza. To tutaj robili sobie co parę tygodni obozy treningowe i czytali sobie na głos fragmenty Prelekcji paryskich wieszczów, a potem zakładali mundury i wyciągali z tobołów broń. Wielkie chłopcy w paramilitarnych ciuchach biegały z pieśniami na ustach po okolicznych wsiach i miasteczkach. I straszyły Żydów, tych stosunkowo nielicznych, którzy jeszcze nie wyjechali do Izraela, mimo usilnych namów władz. W wielkich, wybudowanych za kościelne pieniądze quasi-koszarach odbywały się modlitwy.

A później - jak opowiadali ci, Kary, lokalni mieszkańcy, gdy robiłeś risercz przed akcją - działy się tam dziwne rzeczy.

- Panie, takie piosenki, co oni tam śpiewają - mówił ci chłop, który mieszkał kilka chat za kościołem - to nie są nasze, katolickie. Ten ksiądz Krenc to może i dobry dla ludzi, msze, owszem, normalne odprawia, w kościele dach naprawił, ale na kazaniach to jak coś czasem powie... o krwi, o ziemi, o jakichś, panie, istotach nie z tego świata... A potem, jak już pośpiewają razem z tymi krwioziemcami, to palą diabły wiedzą co, dym się na całą okolicę kładzie. Jakieś piski, jakieś jęki. ..

Słuchałeś i myślałeś o tym, że podobne historie opowiadano o tym skurwysynie, którego miałeś nieszczęście mieć za biologicznego ojca. W starym zameczku Lasotów również, jak mówili mieszkańcy twojej rodzinnej Kalwarii, odbywały się „szatany”. „Diabła masz za łojca, chopok” - nasłuchałeś się jako dziecko.

- Jak go kiedyś baby spytały, znaczy księdza, co to za katolicyzm taki, to on poklepał je po ramionach i powiedział: „Nasz, polski. Rodzimy” - opowiadał ci chłop.

Ach, ten Krenc.

Uczeń starego księdza Maksymiliana Kolbego, antysemita i nacjonalista, już od lat sam pisał grzmiące kazania, co tydzień grzmiał też z zaprzyjaźnionego Radia Święta Rodzina, jadąc po hipsach, po komunistach bezbożnikach, po ateistach, po Zachodzie i po Wschodzie, jak tak się zastanowić - to właściwie po wszystkim, co nie było polskim katolicyzmem. Rodzimy. Bo i Rzym mu się nie podobał, mimo że na rzymskim tronie Piotrowym Polak przecież siedział, i to wcale nie jakiś liberalny. Narzekał Krenc, że Karol Wojtyła - Pius XIII - zbyt rzymski, a nie polski, że za mało stanowczy i coraz bardziej zinfiltrowany przez masonów. Hiszpania mu się nie podobała, bo po śmierci generała Franco poszła w lewą stronę, a wiadomo - sinistrum to malum. O dawno już temu zlaicyzowanej Francji nie ma co wspominać, o Niemczech też. Zresztą w połowie protestanci. Jak i inni z Zachodu. Rosja, mój Boże, Sowiety - o czym tu mówić. Piekło. Żydzi - tego piekła wysłannicy. Tak jak i socjaliści, oporowcy, hipsiarze. Właściwie wszyscy.

O tak, najbardziej ksiądz Krenc nienawidził hipsów. I całego tego ruchu Ery Wodnika. I dlatego Lejb Zejgal i Józef Rabcz aż się wyrywali, żeby mu w ramach akcji Oporu spalić te koszary krwioziemcze, żeby mu spalić plebanię. A jego samego, jak mieliście w planie, nagrzać kwasem lizergowym, żeby odleciał, i nagiego wyrzucić w centrum Warszawy. Żeby z siebie publicznie idiotę zrobił. Świetny plan mieliście.

W miasteczku Bożyce zgasiliście reflektory i kręciliście się jeszcze przez chwilę w mdłym świetle bożyckich latarni, podjechaliście pod kościół, nad którego bramą widniał wykonany czerwoną farbą napis: POLSKA TYLKO WIELKA. NOWY NARÓD WYBRANY, i znak krwioziemczy, po czym wjechaliście w dróżkę prowadzącą do lasu i tam stanęliście, zjeżdżając z leśnego duktu za krzaki rozcapierzone jak palce wampira.

- Co za popierdoleńcy - powiedział Lejb Zejgal. - Cholery krwioziemskie. Przecież to są wariaci.

- Gotowi? - spytał, Kary, zakładając na głowę kominiarkę.

- Jak nie, jak tak - powiedział pan Grześ i przeładował pistolet.

- „Jak nie, jak tak” - rechotali Zejgal i Rabcz. - Co to za tekst, z podręcznika ludowego socjalisty?

- Zamknijcie już uprzejmie ryje - nie wytrzymałeś. - Akcja, bałwany. Skupcie się, kurwa. Orientacja.

- No! - zaperzył się pan Grześ. - Jesteście na wsi! Na naszym terenie!

- Pan też się zamknij, pan Grześ - syknął.

Szliście przez las, piaszczysta ziemia pokryta igliwem i gnijącą ściółką była momentami grząskawa, szła jesień, chłód, i mgły zaczynały występować z ziemi jak duchy, w świetle latarki pan Grześ, tu i ówdzie, psiego grzyba widział, aż w końcu, Kary, kazał wszystkim latarki pogasić.

- To już blisko.

Najpierw był cmentarz: stary, ogrodzony drewniano-kamiennym płotem, trochę jakby - pomyślałeś - góralskim. Szliście w świetle pełnego księżyca, na betonowych i cementowych nagrobkach widać było tylko co wyraźniej, większymi literami zapisane nazwiska. Kowal. Rudy. Sieńczyk - czytałeś bezwiednie.

Zerkałeś na Grzesia i widziałeś ze zdziwieniem, że najwyraźniej trochę się bał. Cmentarz w pełni księżyca to jednak cmentarz w pełni księżyca, w dodatku jak ten, otoczony ciemnym zarysem wysokich leśnych sosen. I Grześ bał się faktycznie, ale odpędzał od siebie duchy i strachy, w które wierzył w dzieciństwie i które powracały teraz do niego, starego chłopca, z przedziwną łatwością. Nie wiedziałeś oczywiście, że pan Grześ naraz przypomniał sobie wąsatą głowę na pajęczych nóżkach, swój największy dziecienny strach, Kościeja, postukującego gnatami kościotrupa, który śnił mu się regularnie, więżąc go w jakiejś komórce; wysoką na kilka metrów, chudą Mór-Babę bez twarzy, za to z gładką jak kolano powierzchnią tam, gdzie ludzie mają oczy, nos i usta. Ale widziałeś, że starał się patrzeć nie na groby, a przed siebie, na sylwetki idących przed nim.

Minęliście większe, starsze groby, albo dziedziców, albo biskupów, po czym przeskakując przez ogrodzenie, dostaliście się na teren kościoła. Odetchnąłeś, Kary, z ulgą.

Spod dzwonnicy oderwał się cień.

Kary zamarł. Niska, drobna sylwetka podbiegła w ich stronę.

- Znaki! - syknąłeś, Kary. - Umówione znaki miały być!

- Co? - zapytał kapustowaty Józef Rabcz.

- Nie do ciebie. Idź do przodu, Józek.

- Pierdolę umówione znaki - szepnęła tymczasem sylwetka. - Trudno was nie poznać. Cześć, Kary.

Jej też trudno było nie poznać. Była to Beata, która opuściła swoją wygodną trumienkę, by zrobić tutaj, w Bożycach, rekonesans.

- Cicho, kurwa mać - szepnęłeś, ale z lekkim uśmiechem. - Beata, jak jest?

Beata, ubrana w ciemne wojskowe ciuchy i kominiarkę, cofnęła się o pół kroku.

- Spokojnie, oni wszyscy śpią słodko. - Zachichotała cicho. -Wszystko dobrze. Okna wysoko, wąskie. Drzwi do zakrystii, tu jest kłopot, trzeba będzie potem czymś podeprzeć. Bez klucza nie otworzą, ale mogą wyważyć.

- Dobra - powiedziałaś, Kary. - Potem pomyślimy. Plebania.

Pięć sylwetek cicho pobiegło w stronę dworkowatego budynku taplającego się w ciemności jak pieczeń w szarym sosie.

Nad księżyc w efektownej pełni zaczęły nadpełzać chmury, jak gady przedpotopowe: powoli, ciężko, kokosząc się po całym niebie.

- Maski - przypomniał pan Grześ. Otworzył plecak i każdy wyjął, na chybił trafił, plastowe, białe maski i założył je na kominiarkę. Wszystkie z zestawu „bohaterowie polskich banknotów”, który można było kupić w każdym sklepie z zabawkami i prezentami w Warszawie. Pan Grześ założył na głowę twarz Tadeusza Kościuszki, Kary - Rydza-Śmigłego, Lejb Zejgal - Józefa Piłsudskiego, Józef Rabcz - Marii Curie-Skłodowskiej, a Beata - Romana Dmowskiego, dodanego do banknotowego panteonu wielkich Polaków stosunkowo niedawno.

Beata otworzyła drzwi wytryskiem, szybko i sprawnie.

- Wiecie, co znaczy „Beata”? Błogosławiona. Błogosławionam między niewiastami - szepnęła twarzą Romana Dmowskiego.

I weszliście do budynku plebanii księdza Krenca. Bata na Żydów, hipsów, socjalistów, oporowców, demokratów i inną swołocz.

Niedługo później na dywanie w plebanijnym salonie leżały dwa ciała w nocnej bieliźnie. Oba skrępowane były na amen grubą taśmą klejącą wzmocnioną tkaniną. Ręce unieruchomione za plecami, nogi w kostkach. Na krześle siedziała młoda kobieta w prześwitującej koszuli nocnej. Ręce miała związane za oparciem, nogi przyklejone do nóg krzesła. Na głowie plastowy worek na śmieci. Wszyscy poruszali się jak ryby wyjęte z wody - mężczyźni wili się po podłodze, kobieta na krześle - i wydawali takie odgłosy, jakie tylko może wydawać człowiek z zaklejonymi taśmą ustami. Na ścianach, na wieszaku wisiało kilka masek Adama Mickiewicza.

- Dobry poeta był - mruknęła Beata, dotykając masek koniuszkami urękawiczonych palców. - A wyjście z niego zrobili to samo co naziści ze swastyką. Taki piękny symbol, a już trefny. Powierzyć wam coś, to od razu gnije.

Facetami w bieliźnie, w gaciach i białych podkoszulkach, byli, w kolejności od okna, Joachim Krajniak, redaktor naczelny „Polaka” i jeden z głównych, obok księdza Daniela Krenca, ideologów krwioziemskich. Ksiądz Krenc leżał obok.

To tu, na tej parafii, krwioziemcy, wśród ognisk, odprawiali te swoje dziwaczne, mistyczno-nacjonalistyczne celebracje. Składali, podobno, ofiary i deklamowali Dziady, przy czym Krencowi najwyraźniej nie przeszkadzał fragment o księdzu, który „guseł nie dozwoli”. W mroku, w nocy, pomiędzy zawodzeniem płaczków, symbolicznych, choć - jak głosiła plotka - nie tylko, ofiar składanych Polsce - bogini, Polsce -świętej, gdzie składano dziękczynienie Bogu wszechmogącemu, który Polaków wybrał, jak głosiła doktryna krwioziemców, a za nią części polskiego Kościoła katolickiego - na Nowy Naród Wybrany.

Schizma poszła skroś polskiego Kościoła. Część duchowieństwa poparła krwioziemców, nie większość jeszcze, ale część znaczna, podczas gdy wielu, łącznie z prymasem i episkopatem, choć i tam zaczęły się już wyłomy, pozostało przy dawnej doktrynie.

- Dlaczego Bóg miałby faworyzować Żydów? - grzmiał ksiądz Krenc z ambon całej Polski, z mównic na krwioziemczych zjazdach, wszędzie, gdzie go wpuszczano i gdzie stały kohorty krwioziemcze w ciemnoczerwonych koszulach wpuszczonych w czarne bryczesy, ze skrzyżowanymi na piersi skórzanymi paskami. - Dlaczego tylko ich? To Polacy są nowym narodem wybranym, to my, doświadczeni historią, odgrywając rolę Chrystusa narodów, my, którzy domy założyliśmy w samym środku europejskiej historii, rozrywani przez krwiożercze ambicje innych narodów, my, najpokorniejszy wykonawca Bożej woli, baranek pośród wilków, mamy uwierzyć, że to wszystko nie dzieje się celowo? Że dobry i miłociwy Bóg doświadcza nas bez celu?

Teraz Krenc leżał w samych gaciach na podłodze, spod podwiniętego podkoszulka wystawał mu brzuch.

Obaj, leżąc tu, na parafii, na dywanie, nie wyglądali jak ludzie, którzy przewodzą tłumom w brudnoczerwonych mundurach.

Kobieta, która siedziała na krześle z workiem na głowie, nazywała się Katarzyna Smolik i była gospodynią księdza.

- I co my z nimi zrobimy? - pieklił się pan Grześ pod maską Kościuszki. - Miało tu nikogo nie być! Świetny risercz zrobiłeś, Rydz!

Rydz-Śmigły, czyli ty, Kary, wzruszył ramionami. Nic nie odpowiedział. Zresztą przecież to Beata miała zrobić risercz.

Ale to dobrze. O, jak to się dobrze składa, że był tutaj Krajniak. Człowiek, który był przy TYM. Proszę, myślałeś. Co za przypadek.

A może nie przypadek? A może Beata wiedziała o tym, tylko wam nie powiedziała?

Piłsudski, czyli Lejb Zejgal, przesunął palcem po szyi. Joachim Krajniak i Katarzyna Smolik zawyli przez taśmę. Tylko Krenc, młody, blondynowaty, zachowywał ponury spokój.

- Cisza - powiedziałaś, Kary. - Nic wam nie będzie. Tylko się nie rzucajcie. Skłodowska, Piłsudski, róbcie, co macie robić.

Zejgal i Rabcz skinęli głowami i wyszli z plebanii.

- A ty, Kościuszko - zakomenderowałaś - zaprowadź państwa do piwnicy. Pana Krajniaka i panią Smolik. Tu się z księdzem będą smutne rzeczy działy - straszylesz, a Krajniak i Smolik płakali histerycznie. Kościuszko wyjął nóż i przeciął taśmę, którymi Katarzyna Smolik przyklejona została do krzesła.

- No - powiedział - wstajemy. Najpierw pani, pani Kasiu.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły i jej płacz ucichł, Dmowski, czyli Beata, odetchnął z ulgą.

- Co za ulga - powiedział.

Rydz-Śmigły, czyli ty, Kary, kucnął nad księdzem Krencem z nożem w dłoni.

Krajniak znów zaczął wyć. Jego przerażone oczy wyglądały jak dwa oszalałe, kręcące się bączki.

Beata kopnęła go w krocze. Poprawiła w usta.

- Leż cicho, faszystowski śmieciu - syknęła.

Krajniak zaczął chlipać.

Kary zerwał Krencowi z ust taśmę. Krenc nie powstrzymał okrzyku bólu, ale zaraz potem zacisnął zęby i milczał, gapiąc się tępo w kąt pokoju.

Nawet go za to trochę zaczynałeś szanować, Kary. Przyznaj.

- No, otwieraj mordę - powiedziałeś, wyciągając z kieszeni bojówek fiolkę z halucynogennym kwasem lizergowym.

Krenc milczał.

Ukucnąłeś przy nim i wsadziłeś mu czubek noża między zęby. Zaczął szarpać głową na wszystkie strony.

- Poznajesz mnie? - usłyszałeś nagle głos Beaty.

Podniosłeś, Kary, głowę. I ku twojemu przerażeniu zobaczyłeś, że Beata nie stoi już w masce Dmowskiego. Zdjęła ją. Jej krótkie rude włosy jarzyły się w słabym świetle lampki nocnej jak czerwony żar. Nachylała się nad Krajniakiem.

- Poznajesz mnie? - powtórzyła. Krajniak wpatrywał się w nią z przerażeniem. - Nie przypominam ci przypadkiem kogoś? - syczała.

O nie, zrozumiałeś. Nie. To nie był przypadek. Ona doskonale wiedziała, że Krajniak tu będzie.

- Dmowski! - krzyknąłeś. - Co ty robisz!

Ksiądz Krenc, zdziwiony, zrobił oczy jak koła młyńskie. Ewidentnie nie rozumiał, co się tu dzieje.

- Jesteś wariatem, człowieku - wyszeptał pod twoim, Kary, adresem, więc dałeś mu w mordę. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Aż głowa Krenca opadła na dywan.

- Przypominam ci kogoś? - Beata nachylała się nad płaczącym ze strachu Krajniakiem i wyciągała nóż. Swój nóż, ten, który uwielbiała: z długim i cieniutkim ostrzem. Jak doskonale naostrzona szpilka. - No, co z twoimi oczami?

- Chwyciła zaskakująco jak na jej drobną figurę silnym uściskiem Krajniaka za szyję, unieruchomiła mu głowę i teraz przybliżyła szpic noża do jednej z jego gałek ocznych. - No - syczała - nie mów, że nie jestem do niej podobna Mogłeś ją oczywiście powstrzymać. Ale nie powstrzymałeś. Patrzyłeś tylko, przerażony i zafascynowany, na to, co robi.

W piwnicy urządzone było coś w rodzaju niewielkiego pokoiku: dwa tapczaniki, stół, krzesła, szafa. Na tapczanikach spało dwóch pijanych byków w strojach legionistów Krwi i Ziemi. Jeden z nich miał na nogach wysokie sznurowane buty. Drugi był boso. Na stole stały flaszka wódki żytniej, ogórki, śledzie, dwa kieliszki i dwa talerzyki. W głębi dwie klatki. Klatki były puste. Na komódce leżały pasy z amunicją i maski Adama Mickiewicza.

Pan Grześ patrzył tępo na śpiących krwioziemców. Jedną ręką mocniej ścisnął ramię Katarzyny Smolik, a drugą wyciągnął pistolet z kieszeni.

- Kurwa jego mać - syknął. - Super, kurwa, risercz, jebany debilu, kurwa.

Gospodyni księdza Krenca wydała z siebie najgłośniejsze, przeciągłe wycie, jakie mogła wydać, mając usta zaklejone taśmą.

Jeden z krwioziemców otworzył oko.

Teraz wydarzenia potoczyły się błyskawicznie.

Pan Grześ podniósł pistolet i strzelił. Nie trafił. Zaklął. Obudził się drugi krwioziemiec.

- Co, kurwa... - jęknął, tęchnąc wódką.

Grzesiu strzelił w jego stronę. Trafił w szyję. Krwioziemiec zagulgotał, natomiast ten pierwszy rzucił się na niego.

Katarzyna Smolik wyrwała się i wybiegła z piwnicy.

Grześ szarpał się z krwioziemcem, próbując skierować w jego stronę wylot lufy visa, który ten od siebie odpychał. Krwioziemiec był silny i szarpanina trwała zaskakująco długo. Nie mógł jednak wygrać z byłym legionistą. Choćby podstarzałym. W końcu rozległ się strzał.

Krwioziemiec upadł. Grześ dostrzeł drugiego, trzymającego się za szyję i gulgoczącego.

Gdy pan Grześ stał nad dwoma trupami krwioziemców i łapał oddech, zastanawiał się gorączkowo nad kilkoma rzeczami jednocześnie: po pierwsze - co było w klatkach. Dla kogo były przeznaczone i kto w nich wcześniej siedział. Albo kto miał w nich siedzieć. Albo ma. Po drugie - jak daleko mogła uciec Katarzyna Smolik. A po trzecie - jak daleko jest stąd do miasteczka, a konkretnie do posterunku policji, i ile w związku z tym mają czasu.

Wyszedł po schodach z piwnicy. Noc była pomarańczowa od płonących zabudowań baraków, w których Krenc koszarował krwioziemców. Grześ w życiu takiego ognia nie widział. Stał, zafascynowany, i patrzył, jak w niebo wzbijają się snopy iskier i jak wiatr nawiewa w jego stronę drobinki popiołu.

Lejb Zejgal i Józef Rabcz biegli w jego stronę.

- Spierdalamy, pan Grześ - krzyknął Zejgal. - Bierzmy Krenca i w nogi!

- Namalujmy im hieroglify na czołach - powiedziała Beata.

- Co? - spytał, Kary, tępo patrząc na zakrwawioną od góry do dołu Beatę. I na dwa trupy, Krenca i Krajniaka. Oba z poderżniętymi gardłami. A trup Krajniaka dodatkowo z wydłubanym okiem.

- Hieroglify. Co wy, gazet nie czytacie? Będzie na tego, no, Hieroglifa. Diabła, wampira, jak go tam nazywają.

Zanurzyła palec w skórzanej rękawiczce w ranie na czole Krajniaka i zaczęła rysować.

W drzwiach pojawili się pan Kościuszko, Piłsudski i Skłodowska. I stanęli, jak wmurowani, patrząc na was. I na dwa trupy na podłodze.

- O kurwa - powiedział w końcu Piłsudski, gdy odzyskał rezon. -A taki był piękny plan.

- Poznał mnie - odrzekła Beata. - Musiałam.

- Kary, ty idioto. - Pan Grześ zdjął maskę. - Spierdalamy. Szybko. Baba uciekła. Pewnie poleciała na policję.

- Tak, bo policja, kurwa, jest głupsza niż zwykle i nie zauważyła tego wielkiego pożaru typu bal na chawirze u Nerona - odpowiedział Zejgal, również zdejmując maskę. - Kary, to jest jakiś obłąd. To tak nie powinno wyglądać, Kary. Noga. Już. I te psy...

O tak. Psy szczekały chyba w całym powiecie. Z lewa, z prawa. Szczekały, zanosily się tym szczekaniem jak opętane.

Bunt psów - pomyślałeś, Kary. - Żebyśmy tylko zdążyli do samochodu...

BEATA

No więc budzisz się rano.

Dziś masz jechać do Kalwarii, ale znów masz kaca.

Ty detektywie noir od siedmiu boleści, ty.

W dodatku nie pamiętasz, co się z tobą działo. Już u Złotej byłeś pijany. Po wyjściu poszedłeś dalej. W miasto. I urwał ci się film. Gratulacje. Wtorek, ale co tam. Wiadomo: detektywi w powieściach noir chleją jak potępieni, a ty przecież jesteś czymś więcej niż detektywem. Jesteś cynglem, bojownikiem opozycji, dzielnym rewolucjonistą, zdrajcą narodu. Masz mnóstwo powodów, by się napić.

W ogóle nie ma się po co w życiu spieszyć.

Puść sobie jakąś pieśń nacjonalistyczną, lubisz pieśni nacjonalistyczne, zwyrodnialcu. To cię pobudzi, pajacu.

O tak, może być Óró, se do bheatha 'bhaile. Irlandzki nacjonalizm, prawie tak samo popieprzony jak polski. Czy ukraiński.

Kary włącza płytę i już pierwsze takty sprawiają, że zamyka oczy z rozkoszy.

Óró, witaj w domu, witaj w domu, Grainne Ni Mhaille.

Przybędzie wielka pani, przybędzie Grainne Ni Mhaille, pani na lądzie i morzu, powróci do Irlandii na czele mężnych wojowników i wypieprzy w cholere Anglików, i znów będzie Irlandczyk sam rządził w swojej ziemi. Bo wojownicy, którzy tu przybędą z Grainne Ni Mhaille, będą wyłącznie Gaellami, ni Franncaigh,

na Spainingh, nie Frankami, nie Hiszpanami. I zrobią Anglikom koło chudych, piegowatych dup, ag fógairt fain ar Ghallaibh.

Przybędzie wielki, nowy pan, będzie mordował wielkich tego świata i rysował nad ich trupami bazgroły, żeby tajemniczo to wyglądało. A co.

Na twoim łóżku, Kary, leży Beata.

Patrzysz na jej krótkie rude włosy, tak samo rude jak u Złotej, tylko przyszczyżone na jeża. Czujesz, że ją kochasz, przybija do twojego serca wielka fala nagłej miłości. Co tam Złota!

Jest Beata.

Kładziesz się obok Beaty i przytulasz ją.

Beata otwiera oczy, jakby dopiero teraz ożyła. Łapie głęboki oddech.

- Znajdą go dzisiaj - mówi.

- Mhm - mruczysz.

- Falangistowska świnia - odpowiada. - Faszysta. To nie są ludzie.

Kary boi się Beaty w takich momentach.

- Nie mogą czuć się bezpiecznie. - Beata podnosi się na łokciu i po omacku szuka wokół łóżka swoich wojskowych spodni. Znajduje je i wyciąga z kieszeni paczkę papierosów. - Wiedziałam, że będą mieli spotkanie - mówi, odpalając, bo w paczce ma też zapalniczkę. To zresztą, poznajesz, twoja zapalniczka. Papierosy też, założysz się, twoje. Egipskie. Od kiedy ona pali egipskie? - Na Mokotowie, w tej katolickiej szkole na Olkuskiej, wiesz gdzie - mówi, puszczając ci jak gdyby nigdy nic dym na sypialnię - na Olkuskiej, tam gdzie się już bloki zaczynają. Tam gdzie mają treningi. Czekałam za samochodem, aż wyjdą. Było ich dziesięciu. Poszłam za nimi. Nic nie słyszeli, to idioci, mimo że już od dawna ruchu na ulicach nie było, mimo że już puściutko było, bo było koło drugiej w nocy. Oni tam tylko w nocy mogą trenować, bo księża składający się na ciało pedagogiczne jednak nie bardzo chcą, żeby im faszyści się oficjalnie po obiekcie kręcili w dzień. Ale mogą trenować i milion lat, a i tak niczego się nie nauczą. Nie trenuje się w salach, pod dachem, ale oni tego nie wiedzą, kretyni. Rozdzielili się

na Puławskiej. Poszłam za tym najstarszym, największym, tym wiesz, nazywa się Tomasz Karczak, pseudonim Kopara, człowiek z falangowskiej bojówki, która jakiś czas temu na Żydowskim Nordzie zakatowała młodego pejsatego chłopaczka z jesziwy.

I jednego z tych, którzy, wiesz, zrobili TO.

Kolejnego po Krajniaku.

Kopara poszedł między bloki, mówiła Beata, a ty, Kary, zamknęłaś oczy, i ty to, Kary, widziałeś, widziałeś, jak w chlupiącą, deszczową, czarną noc młody falangista, legionista od siedmiu boleści, w czarnym półplaszczu i wysokich butach, z tą idiotyczną opaską zieloną z ramieniem i mieczem, które oni noszą na prawym ramieniu, jak idzie pomiędzy samochodami poparkowanymi wzdłuż chodników, jak wchodzi do klatki schodowej, a Beata wtedy podbiega do niego, on to słyszy, odwraca się, a jest wielki, dobrze zbudowany, kawał, słowem, faszysty. Odwraca się i jest zdziwiony, że podbiega do niego niewysoka dziewczyna, widzi w świetle latarni jej rude włosy i jest tak zaskoczony, że jej pierwszy cios wchodzi właściwie bez próby odparcia prosto w jego podbródek.

Leci do tyłu. Kawał chłopca. Leci do tyłu i otwiera sobą drzwi do klatki, i wpada do środka. Beata już jest przy nim. Doskakuje. Przez chwilę namyśla się, czy nie pozwolić mu wstać i czy go nie sprać porządnie w czymś, co można by nazwać uczciwym pojedynkiem. Można by, gdyby nie fakt, że niezależnie od tego, ile biedny falandziarz by się nie natrenował, ile by worków nie skopał i kolegów nie przewracał na macie, to i tak nie miałyby szans z Beatą. Jak bardzo by nie była chuda i mała.

Więc, uznaje Beata, uczciwy pojedynek nie ma żadnego sensu. I tak by nie był uczciwy. W żaden sposób.

- Wiesz - mówi. - Ja też nie bardzo lubię nawiedzonych chałcziarzy. To fanatycy, może nie aż tak popierdoleni jak wy, ale fanatycy. I religijni idioci.

- To był... wypadek - charczy przestraszony Kopara, charczy, tak, boi się tak bardzo, że ku zdziwieniu Beaty nie próbuje nawet się wypierać, wmawiać jej, że to

nie on, grać, że o co chodzi, że on nic nie wie. Ale próbuje wstać, mówiąc: - Naprawdę, nikt nie chciał zabić tego Żyda.

I wtedy Beata mówi:

- Nie ruszaj się.

I wtedy on staje, właściwie pólsiedzi, opierając się na schodach prowadzących do klatki schodowej.

A Beata pyta:

- Wiesz, dlaczego rodzice dali mi na imię Beata?

- C-co? - Kopara na pewno próbuje zebrać się w sobie, jest teraz na siebie zły, drażni go pewnie, że taka gówniara, z nożem czy nie, tak go wystraszyła, ale gówniara ma w sobie widocznie coś przerażającego, obezwładniającego, bo Kopara nadal nie może się ruszyć. - Jaka, kurwa, Beata?

- Żeby nikt nie mówił, że mam żydowskie imię. Żebym miała spokój z takimi jak ty. Ale ja nie chcę mieć spokoju. Ja chcę, żebyście to wy ze mną nie mieli spokoju.

A pamiętasz Złotą? Złotą Sztok?

Oczy Kopary otwierają się szeroko.

- Znam cię - mówi. - Kurwa, znam cię.

Beata podchodzi do Kopary i przez chwilę, sekundę dosłownie, się szamoczą, i Beata się odsuwa, i widać, jak Koparze z oka sterczy rękojeść noża. Nóż wszedł głęboko, bo ma długą, ostrą, bardzo ostrą klingę. Bo jest to wąski, cienki sztylet, ulubiony, z jakiegoś powodu, przez Beatę rodzaj noża, twój, Kary, zresztą też.

I cóż. Nieszczęsny Kopara umiera. A Beata podchodzi do jego trupa i wyjmuje nóż z oczodołu. Ostrożnie, żeby nie wyjąć go razem z okiem. Po co jej oko. A potem nabiera na palec odrobinę Koparzej krwi leżącej mu się po policzku i rysuje mu na czole symbol.

- Będzie na Hieroglifa - opowiada potem, chichocząc, Karemu, jakby zrobiła komuś psikus.

A Beaty, myślisz sobie ostrożnie, Kary, jakoś nie interesuje to, że być może Kopara, biedny Kopara, mógł stać się tym, kim się stał, za sprawą złego splotu złych okoliczności, mógł być w młodości wykluczonym społecznie gówniarzem z patologicznej rodziny, który mógł się znaleźć zupełnym przypadkiem w czymś, co - jak mawiają psychologowie w telewizji - nazywa się „złym środowiskiem”.

Beata to Beata. Błogosławiona, która idzie w imię.

Beata to nie do końca człowiek.

Tak sobie myślisz, Kary, ale nie mówisz tego Beacie, bo nie chcesz, żeby wpadła w zły nastrój. Trochę się boisz złych nastrojów u Beaty, przyznaj, gdy Beata jest w złym nastroju, to po twoim mieszkaniu latają twoje książki, naczynia, wszystko, co jest pod ręką. Beata jest wrażliwa. Tak jak Złota, tylko bardziej. O wiele bardziej. Co dziwne, bo to Złota przeszła, co przeszła. A nie Beata. Zamiast tego więc przytulasz ją, a ona zwija się w kłębek jak mały kot przy twoim starzejącym się już, woniejącym alkoholem ciele.

Kopara zasłużył. Kopara był jednym z NICH.

- Wyjmę ich, skurwysynów, jednego po drugim - mruczy i znów zasypia.

A ciebie wyrywa z letargu dźwięk budzika, a budzik wygrywa stary pruski marsz:

Fridericus Rex, unser Konig und Herr,

Der reif seine Soldaten allesamt ins Gewehr!

Zweihundert Battalione und an die tausend Schwadronen

Und jeder Grenadier kriegt sechzig Patronen!

Kary nie chce, by Beata się zbudziła. Wyłącza budzik z myślą, że tylko Niemcy, tylko oni jedni na świecie, są w stanie zagrzewać się do walki pieśnią, która jest ujęciem buchalteryjnym liczby batalionów i szwadronów w armii i liczby nabojów przypadających na jednego grenadiera. I wstaje.

Widzę, jak Kary wywleka się z pościeli i idzie, skacowany, idzie jak ostrożne, oślepię zwierzę, w stronę łazienki. Zeszmacyony już dawno temu dywan, który

przyniósł tutaj właściciel, jakieś plakaty bitowych koncertów, które sobie tutaj, nie bardzo wiadomo po co, powiesił, pewnie dlatego, że od dziecka, czyli mniej więcej od wtedy, kiedy bit powoli przestawał być modny, wydawało mu się, że tak właśnie jest cool, jak to mówią amerykańscy Murzyni, którzy notabene nadal - według Karego -robią najlepszą muzykę pod słońcem.

W lustrze, śniedziejącym już i zaparowującym właśnie od gorącej pary, bo Kary napuszcza sobie wody do wanny, widzi swoje odbicie. Nie spieszy się. Świat jest zły, choć bez przesady, ale on go nie naprawi, zresztą zanim zacznie go dziś naprawiać, pchając swoją syzyfową kulę gówna pod syzyfową życiową górkę, ma co innego do roboty.

Zanurza się po nasadę włosów i czuje, jak skóra tężeje mu na metalowej płytce w czaszce. Zamyka oczy.

Gorąca woda sprawia, że jego ciało powoli rozmraża się ze snu.

Jak jaki bóg wszechmogący sprawiam teraz, że Kary powoli zaczyna ogarniać rzeczywistość, rzeczywistość powoli wsącza mu się w głowę, w świadomość, wchodzi weń jak opętujący go duch. Wchodzi zresztą tak samo niechętnie, jak Kary wstaje, duchowi wcale nie spieszy się go opętywać, duch ma gdzieś swoje obowiązki, tak samo jak Kary ma je gdzieś tego poranka, szczerze mówiąc, ale z czegoś trzeba żyć. Czymś trzeba żyć. No, bez przesady z tym „trzeba”, ale skoro już się żyje, szepczę Karemu do głowy, jak co rano zresztą, to warto przedwcześnie nie osuwać się w otchłań. Tak mu szepczę, mimo że sam już dawno żyję daleko poza krańcem ludzkich historii. Poza horyzontem zdarzeń.

Bo otchłań to, trochę się tego, Kary, obawiasz, może być straszliwa nuda. I masz rację.

Dlatego wróćmy do starej dobrej rzeczywistości. Jednej z.

Kary zresztą, widzę to, zaczyna się już z tej wanny oganiać ode mnie jak od natrętnej muchy. No i tak.

A rzeczywistość przyspiesza.

Trzeba jechać do Kalwarii.

Wychodzisz więc z wanny i zapalasz papierosa. Podchodzisz do okna. Patrzysz przez wydmuchiwany dym na starą pretensjonalną kamienicę na rogu Sosnowej. Kamienica jest niby odnowiona, ale to odnowienie polega głównie na tym, że właściciel pomalował elewację farbą, która już z niej złązi. Kary nie jest przesadnym estetą, więc nie ma pojęcia, czemu tak mu ta kamienica działa na nerwy, zawsze mu działa na nerwy tak, że ma ochotę wziąć jaki pepanc, kurwa, i tak raz a porządnie przypierdolić gdzieś w sam dół, żeby się tak malowniczo zawałiła, grzebiąc pod sobą cały zły poranny humor Karego.

Ubiera się, spodnie battledressy, podkoszulek, koszula, podwija rękawy i idzie z kawą do dużego pokoju, i włącza telewizor, a w telewizji mówią, oczywiście, o walkach z Ukraińcami pod Lwowem.

Jak zawsze to samo. Od początku, jak to się oficjalnie mówi, „pacyfikacji” i „akcji antyterrorystycznej w Małopolsce Wschodniej” usłudni rządowi dziennikarze, w hełmach z napisem PRASA na głowach i w kuloodpornych kamizelkach, siedzą na pancerzach bojowych wozów piechoty Tur, a najlepiej na tychczołgach gigantach, jeszcze z czasów zamierchłego Rydza, 180TP. Którewyprowadzono z magazynów, jak tylko nadarzyła się kolejna okazja do pojeżdżenia nimi i postrzelania. Co z tego, że wojna z Ukraińcami to wojna partyzancka, więc te car-fortece, te wieloryby na gąsienicach są absolutnie nieprzydatne: za to dobrze wyglądają w telewizji i na zdjęciach w gazecie, robią wrażenie na ludności, demonstrując potęgę państwa polskiego, a ich wielkie, długie lufy mogą służyć za odpowiednią falliczną metaforę. No i, przede wszystkim, można je rozpieprzyć w boju i złożyć zamówienie na nowe. Więc teraz, jak wyjące, pierdzące dieslem dinozaury, rozwlekają swoje stare kości po halickich pagórach. Wyglądają jak stodoły, a jak coś takiego pierdolnie z lufy, to znika średniej wielkości kamienica. A czasem i sam 180TP, włącznie z załogą, bo przecież te trupy mają już po kilkadziesiąt lat i ledwie ciągną.

W sumie te młode hipsy, dzieciaki od ekologii, które protestują w Warszawie przeciwko wojnie, bo zatruwa powietrze, zapominając wspomnieć o ofiarach, mają swoje racje - pomyślałeś.

Kary, z kawą i przyniesioną z kuchni tartiną z szynką oraz z zimnym serdelkiem na talerzyku, siedzi przed telewizorem, słodzi kawę i gapi się na jeden z takich właśnie czołgów stodoł, alleluja, dziękuję bardzo. „Polskie 1801P na polu walki ze zbrodnictwami separatystami” - mówi skrzekliwy głos spikera. Kary bierze do ręki kontroler i przełącza na drugi kanał. Tam poranne (no, okej, nie tak poranne) wiadomości. „Wszyscy, cały świat wie i patrzy beczynn timer, jak Nowy Związek Niemiecki pod wodzą Brandenburczyków przez Czechy i Słowację wysyłają Ukraińcom sprzęt, podobno nawet czołgi. Liga Narodów widzi i nie tylko nie grzmi, ale ośmiela się wystosowywać wobec Polski ultimata, co jest zaskakującym i zasmucającym. .. eee. .. ruchem ze strony naszych sojuszników, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, a także Francji, jak to się mówi, wielkiej siostrzycy Polski. Ale czy to Polacy, ja się pytam, urządzili Ukraińcom rzeź? Czy to Polacy doprowadzili do 15 Maja?” - mówi jakiś gładko, sino wręcz golony polityk. „Pan poseł Stanisław Kołodziejski, Obóz Narodowy” - głosi podpis, a Kary, żując zimną frankfurterkę, przełącza na trzeci kanał. Koncert muzyki dawnej w kościele Świętej Katarzyny w Krakowie. Kary wyłącza telewizor, a po chwili namysłu rzuca weń walającym się pod ławą butem. I resztką serdelka, który mu nie smakuje, bo chyba już swoje w lodówce odleżał.

DWÓJKA

I teraz znów jechałeś dwójką w stronę Radomia. Tylko że nie skręcałeś na Bożyce. Pojechałeś dalej, na Radom, co jakiś czas mijając swoją skodą samochody ciężarowe oraz marudzące piasty i ople. Na siedzeniu obok spała Beata. Właściwie nie obudziła się od tamtej pory. Jakby przez sen powiedziała „jadę z tobą”, jakby w letargu założyła wojskowe spodnie, podkoszulek i kurtkę, wsiadła do auta i znów zasnęła, nastroszona i wsunięta w siebie jak czupurne pisklę.

Zatrzymałeś się przy pompie paliwowej Esso w Radomiu, nie budząc Beaty. Spała, pólżąc nieruchomo na siedzeniu jak zabawka z horroru, jakby jej w ogóle nie było. Zatankowałeś do pełna, podziękowawszy ruchem ręki chłopaczkowi w kombinezonie z napisem TOMEK na piersi, po czym ruszyłeś zapłacić. Tomek założył na głowę kaptur i odszedł na bezpieczną odległość, pod drzewo, zapalić papierosa.

Niemcy przyłączają się do gróźb Aliantów wobec Polski - grzmiał nagłówek wystawionego obok kasy „Słowa Polaka”, państwowego magazynu Obozu.

Później słuchaliście tego samego w radiu.

- Niemcy, odwieczny wróg Polski, nie ustały i nie ustana w knowaniach, by odzyskać to, co słusznie utraciły, rozpętując hitlerowską awanturę tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, za którą sprawiedliwie zapłaciły wysoką cenę - mówił jakiś Pokłoński z MSZ-etu, nie kojarzyłeś go, Kary, ani nie kojarzyła go Beata. - Dlatego z niepokojem i smutkiem dowiadujemy się, że

kanclerz Związku Niemieckiego Karl-Heinz Schweiger został zaakceptowany jako partner do pogroźek wobec Polski przez Aliantów. Naszych, było nie było, sojuszników, z którymi chwilowo mamy, żeby tak to ująć, niewielki kryzys komunikacyjny...

- Niewielki kryzys komunikacyjny - wybuchnęła śmiechem Beata i przekręciła gałkę radia. Poszumiało i znalazła muzykę. Stare biciarskie granie.

- Wiesz dlaczego - zapytała - w trzydziestym dziewiątym Alianci nam pomogli? Bo teoretycznie nie powinno się to zdarzyć.

- Dlaczego? - zapytałeś. - Dlaczego nie powinno się zdarzyć?

- Bo Anglicy i Francuzi byli słabi - odpowiedziała. - Jeszcze do wojny szli z Hitlerem na kompromis za kompromisem. I gdyby Hitler nie spadł ze schodów i się nie zabił, wtedy, na początku września, i gdyby Niemcy się wówczas nie zawahali i nie zatrzymali ofensywy, to nic by z Polski nie zostało.

- Dlaczego mieliby nie zaatakować? - pytałeś, prowadząc. - Przecież mieliśmy umowę o pomocy wojskowej podpisaną.

- A po co? Jak? Komu pomagać? Przecież z Polski nie byłoby już co zbierać po dwóch tygodniach, zanim by się zdążyli zmobilizować. I co, komu by pomagali, trupowi Polski?

- Jakiemu trupowi? Przecież żeby zająć całą Polskę, to by Niemcom zajęło z pół roku, o ile w ogóle by dali radę - gadałeś dziwnie rozeźlony. -A co ty się taka zrobiłaś biegła w historii?

- To nie jest żadna historia. - Beata wzruszyła ramionami. - To wszystko nadal się dzieje. Ty myślisz, że dzieje się dalej nie dzieją?

- Dzieje? - powtórzyłeś głupio, a jednak z jakiegoś powodu przekonany, że tak właśnie miałeś powtórzyć.

- Dzieje psiego śwędu, dzięki któremu nam się udało? Powinniśmy wtedy dostać w dupę tak, żeby nas nie było, żebyśmy się długo, o ile w ogóle, nie mogli podnieść, ale udało się nam przypadkiem, psim śwędem. Bo Hitler spadł ze schodów. I się zabił.

- A co, Niemcy to był tylko Hitler?

- Okazało się, że przede wszystkim. I gdyby się nie zabił, i Niemcy się nie zawahały, to zanim Anglia i Francja w końcu by się ruszyły, to już by Niemcy byli w Warszawie. A z drugiej strony by weszli Ruscy.

- A po co mieliby wchodzić Ruscy - powiedziałeś. - Mało im było tego, co dostali po pierwszej wojnie?

- Po jakimś czasie, nie wiem, po dwóch, czterech, pięciu, dwudziestu pięciu latach, w końcu Zachód pokonałby Niemcy, bo z nimi by się nie dało żyć - ciągnęła, ignorując cię, Beata, z tymi swoimi oczami, jak zawsze trochę jak w transie, wbitymi gdzieś w pustkę - tylko wtedy już by było za późno, już by nie było Polski. Albo by była na jakimś kawałku, symboliczna, mała... Może to i dobrze.

- Dlaczego dobrze? - zapytałeś po chwili.

- Bo pozbawiona choćby cienia nadziei na jakiegokolwiek ambicje, może by zaczęła dla odmiany myśleć logicznie, a nie histerycznie - ucięła Beata, ale dziwnie monotonnym głosem. - Zresztą co mi tam Polska...

I zasnęła znowu, zupełnie jakby się wyłączyła.

A ty jechałeś drogą na południe, jeszcze przed Skarżyskiem zaczęło robić się pagórkowato, coraz przyjemniej, i zastanawiałeś się, jak by to wszystko wyglądało, gdyby faktycznie, tak, jak mówiła Beata, Polska skończyła się wtedy.

Co by było z COP-em, którego hale fabryczne i zakłady mijaleś, wyjeżdżając z Radomia. To wszystko, cały polski przemysłowy silnik, przestarzały czy nie, rozbity? Jak by wyglądał świat, gdyby nie zlikwidowano Prus? Jak by wyglądały Lwów, Lublin czy Wilno w tej dziwnej, dzikiej, tajemniczej Sowiecji?

I co by było? Jak by było? Jakaś, co, Polska Republika Radziecka? COP znacjonalizowany, na Wawelu, jak na Kremlu, czerwona gwiazda?

Albo na Zamku w Warszawie? Na Kolumnie Zygmunta - Stalin? Lenin? Głód, jak na Ukrainie? Jakieś mistyczno-komunistyczne eksperymenty, jak w Rosji Sowieckiej, sojusz Częstochowy i pierwszych sekretarzy, nekromancja, budowanie

armii świeżych trupów, ożywionych do pierwszego ataku? To już pewnie lepiej by było iść razem z Niemcami na Ruskich, zanim ci by zaatakowali, Niemcy jacy są, tacy są, ale to cywilizowany naród, a niemiecka okupacja za pierwszej wojny czy zabór pruski, albo nawet austriacki, to były w miarę rozwojowe czasy.

Tak ci chodziło, kręciło się po głowie, aż w końcu poczułeś, że przysypiasz, organizm wymęczony wszystkim, czym go męczyłeś, zdecydował się ciebie dla odmiany pomęczyć, zjechałeś więc na pierwszy przydrożny parking, który się pojawił, stanąłeś w niejakim oddaleniu od rodzinki w modnym sportowym piąście na warszawskich numerach, rozłożyłeś siedzenie i zasnąłeś.

Gdy się ocknąłeś, drżąc z zimna, słońce świeciło jeszcze blado, a bezlistne, brązowo-czarne drzewa wyglądały, jakby chciały przytulać podróżujących swoimi rozcapierzonymi, wampirzymi paluchami gałęzi. Beata spała dalej i nie wyglądało na to, by choć trochę zmarzła. Dotknąłeś jej skóry - była zimna, ale zimna jak zawsze. Podejrzywałeś, że Beata może mieć problemy z krążeniem, ale co, problem z krążeniem w całym ciele?

W Jędrzejowie wstąpiłeś na włoską pizzę. Beata nie chciała jeść. Była dziwna. Co chwila dostawała jakieś telefony. Wychodziła i rozmawiała. W końcu powiedziała, że musi wracać do Warszawy. Ot tak, po prostu. Powiedziała, że stało się coś ważnego i że musi wracać. Natychmiast. Poza tym, mówiła, to, co dzieje się w Kalwarii, i to, co się tam wydarzy, to jest wyłącznie twoja sprawa, Kary. Sam musisz temu stawić czoła -dokończyła, i miała rację.

I byłeś nawet zadowolony.

Wstała i poszła. Nie chciała nawet, żeby ją odwieźć na dworzec. Nie interesowało jej, czy ma w ogóle jeszcze dziś jakieś autobusy do Warszawy. Po prostu wstała i poszła. Patrzyłeś za nią przez szybę, aż zniknęła za rogiem.

Dopiłeś szybko kawę. Było wczesne popołudnie, ale chciałeś zdążyć na miejsce przed nocą. Nie bardzo wiedziałeś, gdzie się zatrzymasz w Kalwarii. Nie miałeś pojęcia, jak wyglądał twój stary dom, drewniana chałupa, w której mieszkałeś z matką, dopóki nie powiesiła się w kalwaryjskim kościele, na ramieniu krucyfiksu

w jednym z bocznych ołtarzy. Od kiedy stamtąd zniknąłeś, najpierw do domu dziecka, a później dalej w świat, nie bywałeś we wsi Kalwaria pod Pilicą.

KALWARIA

Wieś się zmieniała.

Drewnianych domów było mniej niż dawniej. Niektóre unowocześniono, remontując je, powiększając im okna i zmieniając dachy. Inne wyburzono, a na ich miejscu postawiono klockowate podłużne ciągulce, nawiązujące ewidentnie do niemieckiej architektury wiejskiej. Wszystkie były pomalowane na biało - ten nakaz, wprowadzony jeszcze dawno temu przez Sławoja-Składkowskiego, odnawiano co jakiś czas w ramach „europeizacji” prowincji. To, podobnie jak wydawanie pozwoleń na sztampy domów opracowywane przez ciało -jak, Kary, wiedziałeś, sam nie masz pojęcia skąd- mieniające się Centralą Spójności Architektonicznej Rzeczypospolitej, sprawiało, że polska prowincja wyglądała trochę jak pomieszanie koszar z burdelem, bo kto chciał i kogo było na to stać, ten obchodził przepisy, jak mu się tylko podobało.

Ale tu było całkiem ładnie. W okolicy zalegało mnóstwo wapienia, który razem z drewnem od dawna był dla miejscowych podstawowym budulcem.

Położono w Kalwarii poza tym asfalt, który w czasach twojego dzieciństwa doprowadzono tylko do centrum, a w rynku, nad dawną gospodą, przy domu ludowym, postawiono sporą knajpę. Na posterunku świeciły się światła.

Zaparkowałeś skodę.

Kaćmaj wyglądał dziwnie zwyczajnie. Mało zaskakująco. Tak, jakby fakt, że widziałeś go ostatni raz, gdy miał kilkanaście lat, był w ogóle bez żadnego

znaczenia. Po prostu - skóra mu się wytrawiła, trochę jakby wygotowała, włosy wylazły, oczy też wylazły, wytrzeszczyły się - i wszystko. I mundur. Ciemnogrnatowy mundur szefa lokalnego posterunku. Starszy przodownik Szatanek. Siedział za biurkiem i jadł bułkę z pasztetówką. Grubo krojony plaster obkleił mu zęby.

Miałeś wrażenie, że znałeś twarze również podwładnych Kaćmaja, dwóch młodych blondynków, którzy przyglądali ci się z ciekawością, gdy wchodziłeś do jego gabinetu. W czasie gdy ty mieszkaleś w Kalwarii, mogli mieć po jakieś pięć lat.

Kaćmaj wstał, otrzepał mundur z okruszków bułki, oblizał zęby z pasztetówki i wyciągnął do Karego rękę. Nad jego głową wisiał biały orzeł, a zaraz obok, "" ramce takiej samej, jaka okalała godło państwowe - oficjalna fotografia Wodza Snardza.

- Siadaj - powiedział Kaćmaj.

Kary rozejrzał się. Wnętrze gabinetu było podpyziałe: obok starego regału z jakimiś idiotycznymi i przypadkowymi książkami stała ława, na ławie - sztuczny kwiatek, a przy ławie - dwa foteliki. Przysunął sobie, Kary, jeden z nich. Usiadł głęboko i nisko, trochę cię to denerwowało, bo za tym masywnym biurkiem, które chyba ukradł z siedziby jakiegoś dyrektora banku, Kaćmaj wyglądał, jakby najeżdżał na ciebie czołgiem.

- No więc, Kary - powiedział, opierając się na łokciach i celując "" ciebie długim nosem. - Ile to już lat?

- Sporo - mruknął. - No to czego mi nie mogłeś powiedzieć przez telefon?

- Rany, Kary. - Kaćmaj wstał i podszedł do szafki. Wydobył z niej whisky, johnniego walkera. - Spokojnie. Poczekaj. Napijesz się?

- Autem jestem.

- A daleko jedziesz? Daj spokój. Ja jestem policja. No!

Kaćmaj podał ci, Kary, szklaneczkę.

- To za spotkanie!

Wypiłeś na jeden łyk. Kaćmaj, który tylko elegancko zanurzył usta, zmarszczył brwi.

- Kaćmaju, z przyjemnością wpadnę tutaj na wspomnienie dawnych dni, ale...

- Chuja wpadniesz - westchnął Kaćmaj i też strzelił swoją whisky na raz. - Jakbyś miał wpaść, tobyś już dawno wpadł. A ja ci chciałem pogratulować. Na przykład tego, co zrobiłeś, tam, w kolonii. ..

- Między innymi dlatego nie przyjeżdżałem. - Rozparłeś się, Kary, w fotelu. - Już dawniej mało kto mnie tu lubił. Bękart, syn kurwy. A potem jeszcze to. Myślałem, że gdzie jak gdzie, ale tu to będę miał przesrane akurat. Konserwatywna polska wieś, południe...

- Pewnie - odpowiedział Kaćmaj. - Wielu ma cię za zdrajcę. Ale wiesz, nie wszyscy.

I Kaćmaj pokazał palcami znak Oporu.

- Trzeba było tu się zgłosić przez organizację! - powiedział, mrugając oczami. - Towarzyszu!

Kary przewrócił oczami.

- Mówicie tu do siebie per „towarzyszu”?

- A co - zaperzył się nieco Kaćmaj. - To już w stolicy niemodne? Zapomniałeś o swoich robotniczo-chłopskich korzeniach?

- Ja nie - westchnął Kary - ale w Warszawie wśród głównych oporowców raczej ze świecą szukać robotnikochłopów.

- A ty co? - Kaćmaj pokiwał głową. - Hrabia jesteś, tak? Hrabia Lasota?

- Nie. - Wstałeś, Kary, zmęczony i znużony. - Nalej mi jeszcze. Żałuję, że to ja skurwysyna nie zabiłem.

- To po co tu jesteś? - zapytał Kaćmaj, sięgając po butelkę, nieco ukontentowany.

- Nalej. I powiedz, co wiesz. - Ułożyłeś palce w symbol oporu.

Kaćmaj uśmiechnął się i również ułożył palce w „O”. Staliście tak przez chwilę, uśmiechając się kretyńsko do siebie, aż nagle otworzyły się drzwi i do

środką wparował jeden z Kaćmajowych posterunkowych. Oczy Kaćmaja zamieniły się w przerażone psy. Natychmiast schował rękę za plecy, jakby posterunkowy przyłapał go na masturbacji.

- E, Kać. .. panie starszy przodownik... - Posterunkowy wyglądał, jakby był zbyt przycięzkawy albo zbyt leniwy, by zainteresować się dziwnym zachowaniem szefa. - Do pana dzwoniła ta Ćwilichowska. Pytała, czy pan na urzędzie.

- I co żeś powiedział, Michał? - spytał szybko Kaćmaj.

- No że na urzędzie...

- Aleś ty, kurwa, głupi. .. idź tam i jak przyjdzie, to ją zatrzymaj na chwilę, każ czekać i mi powiedz. Chodź, Kary, tu mam dokumentację, którą zrobiłem, zanim przyjechali ci z województwa.

- Nikt ci tego nie zabrał? - zdziwiłeś się.

- Nie. Ci z województwa mieli widać w dupie, co ustalił jakiś wiejski pałkarz. - Kaćmaj uśmiechnął się szeroko, grzebiąc w szafie -a Ćwilichowska brała już bezpośrednio od nich. Bierz.

- Brać?

- No schowaj sobie, kurwa, nie wiem, za kurtkę. Jutro mi oddasz. I spierdalaj, bo lepiej, żeby ona cię tu u mnie nie zobaczyła.

- A niby dlaczego?

- Dlaczego, dlaczego - przedrzeźnił cię Kaćmaj. - Dla gówna psiego. Taki stary, a taki głupi. Lepiej unikać potencjalnie niebezpiecznych sytuacji. Nawet jeśli nie bardzo wiesz, z jakiego konkretnie powodu miałyby być niebezpieczne. Kary, słuchaj.

- Słucham.

- Weź papiery. Ale z zamkiem ci nie pomogę.

Popatrzyłeś na niego.

- Rozumiem - powiedziałeś.

- Ćwilichowska zakazała się komukolwiek wtrącać. Mnie też.

- Okej.

- I szczerze mówiąc, odradzam. Nie wiem, co tam się dzieje, ale lepiej nie wtykać kija...

- Dzięki, Kaćmaju.

Wyszedłeś z posterunku, trzymając akta pod kurtką, jak kazał starszy przodownik Kaćmaj. Wsiadłeś do skody i rzuciłeś je na siedzenie pasażera. Ruszyłeś powoli główną ulicą, minąłeś pomniczek Piłsudskiego i Rydza, który pamiętałeś z dzieciństwa i który kiedyś ochlapałeś razem z Kaćmajem krowim gównem. Żałowałeś, że nie masz przyciemnianych szyb. Nieliczni przechodnie wpatrywali się w ciebie uparcie, a ty, choć wiedziałeś, że ledwie cię widać w zapadającej ciemności i świetle wyłącznie z rzadko porozstawianych lamp, czułeś się jak powracający w dawne strony... właśnie, kto? Parodia dziedzica? Wstyd, który palił cię przez całe dzieciństwo i który ciebie wypędził stąd, a twoją matkę w pętlę sznurka do snopowiązałek, wrócił teraz w pełnym galopie. Nacisnąłeś na pedał gazu, o wiele silniej, niż zamierzałeś, i w ostatniej chwili powstrzymałeś się, by z piskiem opon zatrzymać się przy kościele. By nie wyrwać z Kalwarii na zawsze i zostawić całą tę sprawę, która ku twojej wściekłości interesowała cię o wiele bardziej, niżbyś chciał.

Wjechałeś na przykościelny parking, zaparkowałeś pod plakatem mówiącym o nowym narodzie wybranym - Polakach, zerknąłeś na antysemitkę ulotkę wklejoną na tablicę ogłoszeń, zaraz obok planu mszy świętych i historii kościoła w Kalwarii, po czym przeszedłeś przez bramkę.

Skręciłeś na cmentarz. Żałowałeś, że nie masz ze sobą świeczki ani kwiatów, mogłeś choć te sztuczne zabrać Kaćmajowi z ławy. Poszedłeś znaną na pamięć ścieżką: w miejsce, gdzie od dziesiątek lat chowano członków twojej chłopskiej rodziny. Pokolenia Karych, których nazwisko, po matce, przejąłeś ty.

Ale nie tam była pochowana twoja matka. Nie razem z nimi. Od miejsca, gdzie leżeli Karzy, trzeba było przejść jeszcze kilkadziesiąt metrów, pod sam mur cmentarza. I tam dopiero, niedaleko śmietnika, zgodził się lokalny ksiądz, Anatol Byczkowski, pochować twoją matkę. Nie dość, że samobójczynię, to jeszcze znaną

we wsi cudzołożnicę i kurwę, która śmiercią swoją samobójczą pohańbiła kościół kalwaryjski tak, że trzeba było z niego wypędzać szatana i egzorcyzmy odprawiać.

Księżyc wywlekał z ciemności krzyże i zastygłe w bezruchu figury betonowych Jezusów, Maryj i aniołów Bożych. W końcu znów stanąłeś nad grobem matki. Nie poznałeś go. Ku twojemu zdziwieniu był dobrze utrzymany i choć prosty, to elegancki, smukły. Pomniczek z białego piaskowca. Czyjaś ręka wplewiła chwasty wokół płyty. Sama płyta była czysta. Stała na niej pojedyncza wypalona świeczka.

MARIA KARY - przeczytałeś w ciemności na nagrobku. Gdybyś choć zapalił papierosa, to w blasku ognika przeczytałbyś coś więcej.

Ale nie miałeś ochoty czytać. Stałeś nad grobem i wszystko w tobie kotłowało się jak w bębnie pralki. Odwróciłeś się nagle i ruszyłeś w stronę kościoła.

Kościół był stary, naprawdę stary. Szesnastowieczny, postawiony na miejscu jeszcze starszego, ze średniowiecza. Kawalek łacińskości tutaj, między polskimi sosnami, piaskami i sadami jabłczanymi. I był, oczywiście, zamknięty. Święty Bartłomiej, pod którego znajdował się wezwaniem i opieką, nie wystarczał, Kary, na gwarancję jego bezpieczeństwa, dlatego zamknięty był dodatkowo na wielki stary zamek, do którego mógł pasować tylko klucz wyglądający jak bandolet. Pamiętałeś zresztą, Kary, ten zamek, pamiętałeś z dzieciństwa te drzwi, tak samo jak i wewnątrz kościoła, w którym cię chrzczono, w którym przyjmowałeś pierwszą komunię i w którym bierzmować się już nie zdążyłeś, ale za to w którym odcinałeś od krzyża własną matkę.

Wyciągnąłeś z kieszeni scyzoryk. Zamek taki jak ten, z wielką, ziejącą dziurą na klucz, w którą można było spokojnie palec wsadzić, i z dwóchsetletnimi zapadkami, nie powinien, jak zakładałeś, stawiać oporu. I nie stawiał. Zaskrzeczał i puścił.

Wszedłeś do środka. Wąski snop księżycowego światła wycinał z mroku fragmenty twarzy figur, kawałki zdobień, ławek. W nos uderzył Karego stary, dobrze znany zapach kurzu, kadzidła, świec, drewna, kamienia. I ciał

pokoleń ludzi, którzy w tym kościele oddawali cześć swoim katolickim bożkom i katolickiemu bóstwu.

Znał to wszystko doskonale: ten mrok, ten zapach, tę Jerozolimę na jednym z bocznych ołtarzy. Te figury świętych pańskich, w tym Świętego Bartłomieja, trzymającego w dłoni własną, zdartą z własnych czerwonych mięśni skórę. Miałeś wrażenie, że Bartłomiej, od którego oskórowanego ciała nie mogłeś w dzieciństwie wzroku oderwać, obserwuje cię błyszczącymi, polakierowanymi na biało białkami oczu nieokrytych już powiekami, wytrzeszczonymi z czaszki o wiele bardziej niż oczy Kaćmaja. Wleciała ci do głowy i nie mogła wylecieć uparta myśl, że to właśnie jego, Bartłomieja, musiała oglądać przed śmiercią twoja matka, gdy zeskakiwała z bocznego ołtarza, tego z Jerozolimą, z głową w pętli zawieszanej na prawym ramieniu masywnego, mocnego krzyża Jezusowego. To ten obraz, tego Świętego Bartłomieja miała w nabiegających nicością oczach, zanim umarła, charcząc i rżąc.

Podszedłeś do ołtarza i zdjąłeś z niego gromnicę.

Poczułeś nagle, że nie jesteś w starym, ciemnym kościele sam. Odwróciłeś się. W drzwiach stała wysoka, lekko przygarbiona figura.

- A ciekawy byłem, kto to też zjechał tym wozem - zaskrzeczał starczy głos. Ten głos też dobrze znałeś. Tak jak i sam kościół.

Ksiądz Byczkowski pojawił się w snopie światła twojej latarki.

- Ale któż to mógł przyjechać. - Ksiądz był już starym człowiekiem, ale trzymał się nieźle. Obcięty na Piłsudskiego, siwy. Na sutannę założony miał wełniany pulower. W dłoni trzymał ciężki klucz. - Ale któż to mógł być, jak nie ty. Witaj na starych śmieciach, Franciszku Kary.

Stałeś na stopniach ołtarza. Ksiądz Byczkowski szedł w twoją stronę. Gdy minął rzędy krzesel, przyklęknął na wprost tabernakulum i przeżegnał się.

- No i co? - powiedział, siadając w pierwszym rzędzie. - Podejrzywałem, że to ty zabiłeś swojego świętej pamięci ojca. Ale ty, widzę, przyjechałeś tylko okraść

kościół. Zostawiłeś coś w skarbonce? Wiesz, że regularnie robiła to twoja matka? Że okradała kościelną skarbonkę?

Patrzyłeś na księdza w milczeniu, trzymając go w snopie światła z latarki.

- Nic nie mówisz? Nie wiedziałeś? Ba. Nigdy nic nie powiedziałem. Nikomu. Ubogim i nieszczęśliwym trzeba wybaczać, Franciszku. A ona, niewdzięcznica, skończyła mi się tutaj, na tym krzyżu. Zbecześciła dom Boży. Zapaskudziła posadzkę. Grzechu śmiertelnego i plugastwa naniósła do domu Bożego. A ty co? - Usłyszałeś, że głos mu zaczyna trzeszczeć jak na starej płycie i dopiero po chwili zrozumiałeś, że to drzenie. - Przyjechałeś... wyrównać . . . ? To ty?

Podszedłeś do niego i jak stałeś, tak wielką i ciężką gromnicą go w głowę uderzyłeś. Niezbyt mocno. Gdybyś chciał uderzyć go naprawdę mocno, rozbiłbyś mu głowę jak jabłko. Poleciał na bok, na ławkę. Krew zalała mu ucho i bok głowy. Na drżących rękach podniósł się na czworaki.

- Tak - stęknął. - Tak. Przyjechałeś się za wszystko zemścić. Może i dobrze, synu. Może i dobrze.

Za to „synu” uderzyłeś go gromnicą raz jeszcze. W twarz. Znow niezbyt mocno.

- W imię Ojca i Syna, i Ducha... - sepleniał, plując krwią. - Wszchemogący Boże, ty mnie stworzyłeś, a teraz wołasz do siebie...

Roześmiałeś się i sam się swojego śmiechu wystraszyłeś, taki był chrapliwy i straszny.

- A ty co, raka masz? - zapytałeś. - Jeśli chcesz popełnić samobójstwo, powieś się na krzyżu.

Ksiądz szlochał.

- Przychodziła do mnie... - zaskamlał. - Po tych skarbonkach... nikomu nic nie mówiłem... ale chciałem... chciałem...

Słuchałeś. Nie miałeś pojęcia, skąd w tobie było tyle lodowatego spokoju. Usiadłeś i patrzyłeś, jak ksiądz Byczkowski z jakiegoś powodu chce ci się przyznać do tego, że pierdolił twoją matkę, która oddawała mu się za to, że nie wsypał jej na

policji. Bo kradła złotówki z kościelnej skarbonki. Żeby mieć, Kary, na jedzenie dla ciebie. Siedziałeś i słuchałeś, jak przez poruszające się zęby, przez zakrwawione dziąsła chce ci się do tego przyznać i jak nie przechodzi mu to przez ściśnięte gardło.

- Powieś się - powtórzyłeś. Kopnąłeś go w zębra i wyszedłeś w zamgloną noc, by zapalić na grobie swojej matki okrwawioną gromnicę.

Wasz stary dom stał za wsią. Na wzniesieniu. Podjechałeś tam. Noc była jeszcze ciepła, stygła dopiero po upalnym dniu. Było ciemno i nikt tu nie mieszkał. Dach kryty papą nie zawalił się, jak się spodziewałeś. Drewniane ściany, podmurówka z kamiennego wapienia. Teraz modnie, zauważyłeś, było w okolicy wykorzystywać ten wapień do podkreślania regionalności. Zaparkowałeś przy ulicy. Płot był wykrzywiony. Brama wiodąca na podwórze też się przekrzywiła. Rzadko i tak była wykorzystywana. Nie było co przez nią zwozić. Pole, odziedziczone przez twoją matkę po rodzicach, którzy wcześniej ją obumarli, nie było uprawiane specjalnie intensywnie. Gdy byłeś dzieckiem, pamiętałeś, wyganiała cię jeszcze, byś razem z nią sadił, pielil, latem kosił, a na jesieni kopał, ale widząc, jak bardzo jej mizerne próby są żalosne przy całym tym napuszczonym, kłosym święcie, jakim były dla sąsiadów żniwa, czy przy wielkich wykopkach ziemniaków, podczas których cała Kalwaria zasnuwała się dymem pieczonych na ogniu kartofli - dała spokój. I dalej służyła u tego skurwysyna Lasoty. Bo co miała robić.

Brama więc była wiecznie zamknięta. Nie było co przez nią wwozić. A krowę, nędzną Krasulę, na którą matka mówiła, co cię zawsze bawiło, „Sulla”, na łąkę wyprowadzać się dało przez furtkę. Nie trzeba było bramy otwierać.

„Bida u Karych, nędza aż piszczy, a ta Maryja to się jeszcze z panem puszcza” - mówiło się na wsi o twojej, Kary, matce.

Drzwi były otwarte. Ktoś dawno temu wyłamał zamek. Spodziewałeś się zobaczyć w środku, w izbie, którą dobrze znałeś, puste butelki, kiepy papierosów, a pewnie i gówna po kątach, ale panował tutaj porządek. Wszystkie sprzęty były stare: pamiętałeś ten stół, tę ławę, tę gazową kuchenkę. Tę pozał się boże kanapę,

teraz zapadniętą. Wszystko to było pokryte, jak się spodziewałeś, grubą na palec warstwą czarnego kurzu. Mój boże, były nawet twoje żołnierzyki, które zawsze trzymałeś w pudełku pod łóżkiem. Tylko że akurat to pudło ktoś, jakiś czas temu, wywlókł prawie na środek pokoju i otworzył wieczko. Ale żołnierzyki były, były. Widocznie złodzieje - czy szabermacherzy - uznali, że taki łup to gówno, nie łup. I słusznie. Podniosłeś jednego z żołnierzyków do oczu. Powstaniec 1863. Dziad z wąsami, myślałeś, szlachciura obrażony na to, że chłopci, jego niewolnicy, nie chcieli razem z nim iść, żeby wypruć z siebie flaki za feudalnego pana, dla którego na co dzień wypruwali żyły. Rzuciłeś dziadem o ścianę. Kolejny - polski żołnierz z 1940, leży na ziemi, celując z karabinu przeciwpancernego Ur. Reichstag w oczach. No dobrze - pomyślałeś - zamykając pudełko i kopniakiem wsuwając je pod łóżko. Dokładnie tak samo jak wtedy, gdy byłeś dzieckiem. No dobrze. Trzeba się rozgrzać. Z samochodu przyniosłeś burbon. Znalazłeś szklanki. Zakurzone, a jakże. Kurz był czarny i miał grudki, wydawało się, jak piasek. Poszedłeś do studni, nabrałeś wody. Była zbutwiała, śmierdziała zgnilizną. Trupem. Wylałeś wiadro z powrotem. Postanowiłeś pić prosto z gwinta. Nożem wydłubałeś dozownik. Usiadłeś w kuchni, za stołem. Szeroko. Jak gospodarz. Gospodarz, którym tu nigdy nie byłeś. Tu gospodynią była twoja matka. Dopóki, oczywiście, nerwy jej pozwoliły. Dopóki, oczywiście, nerwy jej nie zawiodły do kościoła pod wezwaniem Świętego Bartłomieja, na ramię krzyża, na które zarzuciła wisielczą pętlę.

Było chłodno. Owinąłeś się, Kary, w śpiwór i w świetle latarki - zdążyło się już ściemnić - zacząłeś przeglądać przyniesione z samochodu akta.

Nie było w nich niczego nowego. Właściwie jedyne, co mogło cię w nich zainteresować, to zdjęcia operacyjne.

Napis „Mario, odpuść mi, zlituj się nade mną, błogosławiony owoc żywota twego” był wielki, zajmował całą ścianę. I nie miał znaków diakrytycznych. Tak jakby ktoś bał się, że źle któryś napisze i cały efekt krwawego napisu diabły wezmą. To była twoja własna strategia, stosowałeś ją, gdy musiałeś napisać coś po czesku, słowacku albo niemiecku.

Kolejne zdjęcie przedstawiało znak namalowany krwią na ścianie, ten sam, który miał przypominać symbol Hieroglifa.

I wtedy zamarłeś.

Widziałeś już taki symbol.

Tylko za diabła nie mogłeś sobie przypomnieć gdzie.

Wstałeś, powiesiłeś śpiwór na oparciu krzesła. Zapaliłeś papierosa. Piec zaczął już powoli grzać, zrobiło się dość ciepło. Daleko, oczywiście, do poziomu, który dla normalnego człowieka byłby czymś, co opisałby słowem „ciepło”, ale nie było najgorzej. Napileś się burbona. Zrobiło się jeszcze lepiej.

I wtedy na parapecie zobaczyłeś małą fiolkę.

Co więcej, do fiolki przymocowana była karteczka.

Wstałeś, zaintrygowany, i wziąłeś fiolkę do ręki.

Na karteczce, dzieciennym pismem, ktoś nabazgrał: WYPIJ MNIE.

Wyciągnąłeś koreczek. I nawet nie musiałeś przystawiać do nosa. Zapach był tak intensywny, że nie dało się go pomylić z niczym innym. I tak, to było dokładnie to, czego się spodziewałeś.

Płyn, który znajdował się we fiolce stojącej na parapecie, nazywał się klarywidentą.

I był tym samym, co dał ci Jezus Santana, Jezus Czarnych Antków, wtedy, na Fernandynie. W Nowej, ha, ha, Polsce. Mieszanina fernandyńskich ziół. Silnie halucynogenna. Rozszczepiająca, podobno, synaptyczne połączenia w mózgu i spajająca je na nowo w dziwny, bardzo dziwny sposób. Jedni mówili, że chaotyczny. Inni, że kierowany wyższą logiką. Najczęściej logiką duchów oju.

Jeszcze przed wojną w kolonii słyszałeś wiele o tym napoju. Był legendarny, ale jego transport z Fernandyny do Polski był ściśle zakazany. Można było tylko sprowadzać do celów badawczych.

Ale na pewno ani ty, ani twoja matka klarywidenty w domu nie trzymaliście. Sąsiadów ze wsi też o to specjalnie nie podejrzewałeś.

Hipsy z Krakowa - pomyślałeś. - Albo z Katowic. Albo z Częstochowy. Przyjeżdżają tutaj ładować dragi, skurwysyny. W sumie czemu nie, miejsce przyjemne. Daleko ode wsi, spokojnie, dom opuszczony. Nikt cię tu nie znajdzie, jeśli nie będzie cię szukał. Można siedzieć i tygodniami. Dobrze, że tacy mili i zostawili dla kolejnych. Ale -pomyślałeś - musieli mieć tego naprawdę w cholere, jeśli zostawili tak sporą dawkę.

Wyszedłeś przed chałupę. Noc była czysta i gwieździsta. Znad cmentarza wiał chłodny, przeszywający wiatr. Drzewa, widocznie już półmartwe, straciły sporo liści i w blasku księżyca widać było tylko ich rozcapierzone trupie dłonie. Westchnąłeś, odetkałeś fiolkę i wypięłeś.

I o mało się nie porzygałeś.

Pobiegłeś do chałupy co sił, żeby przepić to cholerstwo burbonem. A biorąc pod uwagę, że burbon był jedyną płynną, nadającą się do picia rzeczą, jaką dziś dysponowałeś, sytuacja wyglądała średnio.

Trudno. Jakoś będziesz musiał dać radę. Zresztą, myślałeś, jeśli już będzie naprawdę źle, to za stodołą, w głębokim polu, zawsze, od kiedy pamiętałeś, tryskało małe źródółko. Przecież, myślałeś, przez te ćwierć wieku, od czasu gdy byłeś tutaj po raz ostatni, nie przestało tryskać. Bez przesady.

Wyniosłeś śpiwór przed dom, owinąłeś się nim. Usiadłeś na zydlu przed chatą. Siedziałeś na zydlu przed swoją chałupą, jak było na początku, teraz i zawsze. Patrzyłeś na gwiazdy w dole, nad rodzinną wsią. Popijałeś burbona, paliłeś papierosy i czekałeś, kiedy klarywidenta zacznie działać.

Drzewa w ogrodzie pokryły się czymś w rodzaju szronu, były białe jak zimą, ale była to biel japońskiego ogrodu. W pewnym momencie zrozumiałeś, że to nie śnieg, tylko kwitnące wiśnie. A później - że biały puch topolowy. I białe babie lato, w które wszystko się zaczęło spowijać. Wszystko. Całkiem. Pajęczyny opłotły cię, zerwałeś je z siebie, zrozumiawszy po chwili, że zrzuciłeś z siebie śpiwór. Nad horyzontem zobaczyłeś parę oczu. Były gigantyczne. I starcze, i smocze jednocześnie. Przez horyzont przetrząsnęło się coś, co mogło być zarówno

grzmotem, jak i pomrukiem „hmm” wypowiedzianym przez usta, które jak zakładałeś, zapewne znajdowały się pod tymi oczami. No chyba że się nie znajdowały. To wtedy nie. I nagle wszystko to zniknęło. Zaczęła za to grać muzyka. Skoczna, wesoła i marszowa. Był to Fridericus Rex. Zawsze cię bardzo bawił ten marsz, bo wydawało ci się, że pruscy żołnierze, którzy maszerowaliby w jego rytm, musieliby bardzo zabawnie chodzić. Nie dało się, według ciebie, przy Fridericus Rex utrzymać paradeschrittu. Nagle przed twoimi oczami pojawili się Prusacy. To znaczy - być może nie byli to Prusacy, tylko krzaki dziko rosnące przy studni, ale szli dokładnie tak, jak powinni iść przy Fridericus Rex: zawijając nogami do przodu, bujając się jak małpy, ale za to ze śmiertelnie poważnymi twarzami. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałeś, że leżysz na ziemi i trzęsiesz się ze śmiechu. I że w ogóle nie jest ci zimno. Wróciłeś na zydeł, odkopnąłeś śpiwór i łyknąłeś burbona.

Na polu przed tobą zaczęły gromadzić się psy. Setki psów. Tysiące. Gryzły i szarpały ludzkie ciała. W pewnym momencie zorientowałeś się, że patrzysz na ruchomą psią wersję Bitwy pod Grunwaldem Matejki. Był tu psi Ulrich von Jungingen, był psi Litwin, który się na niego rzucał, psi Witold, były psie sztandary.

Wstałeś i wróciłeś do chałupy.

I nagle poczułeś, że nie jesteś tu sam. Z drugiego pokoju, z sypialni, wyszła dziewczyna.

Wyszłam ja.

I wiedziałam, że skądś mnie znasz.

- Ty pewnie jesteś Franek Kary - powiedziałam. - Dużo o tobie słyszałam. I sporo o tobie myślę. Witaj - rozejrzałam się, starając się wyglądać odrobinę bezradnie - w swoim domu.

Tak, poznałeś mnie, choć nie miałeś pojęcia, skąd mnie znasz. Ciemnoblonde włosy, wydane usta i pieprzyk pod dolną wargą.

Podkreśliłam lampkę naftową, którą trzymałam w dłoni.

Dlaczego miałam w dłoni lampkę naftową?

Po prostu miałam.

- Skąd tu się wzięłaś? - zapytałeś.

- Byłam przez cały czas.

- Gdzie?

- W sypialni. W białej izbie. - Zachichotałam.

- Byłem tam. Nikogo nie widziałem.

- Po prostu mnie nie zauważyłeś, Franc.

- Skąd ja cię znam? - pytałeś. Byłam duchem, widmem, widmem ewidentnie, tak o mnie myślałeś, ale - co ciekawe - w ogóle się mnie nie bałeś. Nic a nic. To zresztą, myślałeś, było dziwne. Klarywidenta była wyjątkowo mocnym narkotykiem. Ale żeby tak wyraźne halucynacje? Poza klarywidentą brałeś wiele rzeczy: kwasy, grzyby, ayahuascę, pejotl, ketaminę - i halucynacji nie miałeś nigdy. Halucynacje po narkotykach były legendą, o której wszyscy gadali, ale których nikt nigdy nie doświadczył.

Ale jak ta dziewczyna, nagle z jakiegoś powodu wiedziałaś, że ma na imię Urszula, się tu pojawiła? I była. A przecież, kurwa mać, nie mogła.

- Emm... jak by cię o to zapytać... straszysz tu? - zapytałeś.

Roześmiałam się. Bywasz, Kary, naprawdę uroczy.

- Jako duch? Nie. Nie straszę. Bu! - krzyknęłam, ruszając na ciebie z rozcapierzonymi palcami.

Cofnąłeś się. Na wszelki wypadek.

- No to co... mieszkasz?

- Masz coś przeciwko? - Uśmiechnęłam się.

- Nie - rzuciłeś szybko. - Zupełnie nie.

- Chodź za mną - powiedziałam miękko. Odwróciłam się i weszłam do sypialni.

Poszedłeś za mną.

I wszystko tu było inaczej niż jeszcze pół godziny temu. Duch urządził się tutaj całkiem przyjemnie. Na środku sypialni stał nakryty stół. Na stole - krzyż, czaszka,

świece i jakieś graty, o których nie miałeś pojęcia, czym mogą być.

Przy ogrzewaczu rozłożone było moje posłanie: na karimacie kilka grubych śpiworów. Przy posłaniu leżała otwarta książka. Znałeś tę książkę, należała do twojej matki. Opowiadania Czechowa, stare wydanie, w twardej oprawie. Reszta książek stała, jak dawniej, na półkach. Dziwiłeś się, że nikt ich do tej pory nie rozgabił. Ze wszystkich przedmiotów tutaj były zdecydowanie najcenniejsze.

Obok Czechowa błyszczała w świetle lampki butelka jacka daniel'sa. Takiego samego jak twój.

- Mieszkam tutaj - powiedziałam, nalewając ci burbona do szklanki wyjętej z kredensu. Czystej. - Tu jest legowisko kurwy. Bo jestem, widzisz, kurwą.

- Ach. - Byłam pewna, że nawet się zarumieniłeś. - prostytutką... tak? Roześmiałam się.

- Kurwą. Dziwką. prostytutką. Wszystkie te nazwy są negatywne, prostytutka tak naprawdę też. Więc nie musisz się wysilać. Ale jakoś nie pokutuję. - Zachichotałam, pociągając łyk. Byłam ładna, bardzo ładna. Podobałam ci się. Widziałam to. Też się napiłeś. Uśmiechnąłeś się.

- Ale jak to? - zapytałeś, Kary, upijając trochę burbona. - Przecież jesteś duchem. Jak możesz być kurwą...

Znów się roześmiałam.

- A może nie jestem, jak to mówisz, duchem? Może naprawdę mnie nie zauważyłeś, gdy wszedłeś tu pierwszy raz? Mówią, Franc, że masz coś z głową. Że masz w niej ukraińską kulę. Na stałe. Może ona wpływa na twoje, by tak rzec, postrzeganie świata?

- Tak, tak - odpowiedziałeś, ale głównie dlatego, że to było jedyne, co przyszło ci do głowy.

- No widzisz. A ja żyję. Żyję w twoim domu, w twoim dawnym życiu, jak w norze. To prawda - uśmiechnęłam się - co o tobie mówią? Że zabijałeś polskich żołnierzy?

Ty uśmiechnąłeś się jeszcze szerzej.

- Przeszkadza ci, że tu jestem?

- Nie. - Pokręciłeś głową. - Przeciwnie właściwie.

- Chcesz... - Przysunęłam się do ciebie bliżej. - Dobrze wyglądasz. Aja dawno nie robiłam tego z czystej ochoty.

- Nie... - Odsunąłeś się odrobinę. - Przepraszam. Nie że coś nie tak. Po prostu... po prostu nie.

Nie chciałeś pieprzyć się z widmem.

No proszę. Jaki porządny.

- Dlaczego nie?

Właściwie, pomyślałeś, dlaczego...

Przecież to duch. To sen. Aja śpię.

Podszedłeś do mnie, a ja dotknęłam dłonią twojej klatki piersiowej. I to było tak, jakbym włączyła piec w środku.

Leżeliśmy na rozrzuconych śpiworach.

Palileś papierosa. Patrzyłeś na moje nogi, które podniosłam do góry i oparłam o ścianę. Byliśmy nadzy, ale z jakiegoś niepojętego powodu nie było nam zimno, choć ta akurat noc była chłodna.

- No tak. - Pokiwałam głową. - Przyjechałeś w sprawie Lasoty. Twój szanowny papa...

- Nie mów tak o nim, to nie jest mój ojciec. Nie był.

- Był. Twój ojciec - zachichotałam - był moim stałym źródłem dochodu.

Był to najdziwaczniejszy majak, jakiego w życiu doświadczałeś. Podejrzewałeś, że śpisz, że wszystko to wyświetla ci się na powiekach, ale było ci tak ciepło, tak dobrze, tak leniwie i ociężale, że nie zamierzałeś ani się budzić, ani nawet roztrząsać natury stanu, w jakim się znajdowałeś.

- Lubiłaś go?

- Starego Lasotę? - Wydułam usta. - Czysty. Zadbany. Arystokratyczna maniera. Ruchałam gorszych. Stary był, ale co z tego.

- Nie, ale... czy go lubiałaś? - zapytałaś.

Spojrzałam na ciebie poważniej.

- No cóż, on się zmienił - podjęłam. - Lasota. Tak, kiedyś był strasznym kutasem. Ale potem się zestarzał. I jakoś...

- To on postawił pomnik na grobie mojej matki? - zapytałaś widma, jakby mogło ci odpowiedzieć.

Wzruszyłam ramionami.

- Tak. Pewnie tak.

Widma nie mogą udzielać zbyt pewnych odpowiedzi. Wtedy stają się zbyt konkretne i przestają mieć sens.

- Próbował się ze mną skontaktować - powiedziałaś, a właściwie usłyszałaś własne słowa, bo wcale nie miałaś ochoty tego mówić.

- I skontaktował się? - spytała.

Błaszka tkwiąca w czaszce zaświszczała ci nagle wibrującym bólem.

- Nie. Dałem do zrozumienia, że go zabiję, jeśli pokaże mi się na oczy.

- Rozumiem - powiedziałam i dopiłam burbona. Wstałam i podeszłam do szafki, skąd wyciągnęłam kolejną butelkę.

Skąd wiedziałam, że tam będzie?

Wiedziałam. Wiem takie rzeczy.

Chciałam, żeby była i była.

- A chcesz kreskę? - zapytałam. - Mam cudowną ketaminę. Od weterynarza. Do usypiania psów.

Coś dziwnie praktyczny jest ten duch jak na ducha - pomyślałaś.

- Chcę - powiedziałaś.

Przykucnęłam przy szafce, w której, jak pamiętałaś, twoja matka trzymała ważne dokumenty. Wtedy, znaczy, wydawały ci się ważne. Bo, jak teraz wiesz, cóż ona mogła tam trzymać. Ponaglenia do zapłaty? Wyciągnęłam stamtąd puzderko. Twoja matka, gdy żyła, trzymała w nim nici i igły. Małą łyżeczką, jak z domku dla lalek, nabrałam białego proszku i rozsypałam go na leżące na stole lusterko.

Dziwiłeś się, że wcześniej go nie zauważyłeś. No widzisz, gapo. W ramkę lusterka wsunięta była żyletka. Podzieliłam nią ketaminę. Wciągnęliśmy przez plastową słomkę. Poczułeś uderzenie w nos i w mózg i miałeś wrażenie, że krew zaczęła ci płynąć szybciej.

- Co oni tak wszyscy w wyrzuty sumienia poszli? - zapytałeś. -Lasota, ksiądz...

Zaśmiałam się. Podobało ci się to, że często się śmieję. W tym domu zawsze mało było śmiechu. I teraz ten mój śmiech tak ci tu błyszczał, jakby ktoś rozsypał po mieszkaniu kolorowe konfetti.

- Byczkowski? To po Lasocie mój najlepszy klient.

Pokiwałeś głową. Uśmiechnąłeś się.

- Myślisz, że Lasota żyje? - spytałeś.

- Wszyscy mówią, że zaginął, że może gdzieś wyjechał, ale ja w to nie wierzę. On nie żyje.

- Bo?

- Bo jakoś mi to pasuje. - Rozparłam się na krześle, aż zaskrzypiało. Po kresce ketaminy oczy mi bardziej błyszczały. Zachciałam, żeby mi zaczęły błyszczeć, i zaczęły. - Do opowieści. Wiesz, no. On trochę zdziwaczał na starość też. No i ostatnio mówił, że go śledzi duch młodej dziewczyny. Duch przeszłości, mówił.

- Duch dziewczyny? - zapytałeś zdziwiony.

- No. Dziewczyny. Tak mówił. Że mu się w sypialni kiedyś ukazał.

- Przecież ty jesteś duchem.

- Jeśli chcesz. W takim razie stary Lasota widział w życiu więcej duchów, nie tylko mnie.

- Ciebie i tę... dziewczynę?

- No tak - odpowiedziałam, a ty byłeś pewien, że oczy mi się zaświeciły. I że coś smoczego w nich się pojawiło. Bo się pojawiło. - I mu powiedział ten duch, że połączy się z tymi, których skrzywdził.

- Co, kurwa?

- No.

- Tak ci opowiadał?

- Opowiadał.

- Coś więcej mówił?

- Nie. A, że ten duch dziwnie mówił.

- Jak to dziwnie?

- „Dziwnie po polsku”, tak powiedział.

- Ale co to znaczy „dziwnie po polsku”? Dziwny akcent, słowa dziwne?

- Nic więcej nie wiem - odpowiedziałam i wyjęłam papierosy, których wcześniej nie miałam w kieszeni. Uśmiechnęłam się szeroko ustami o nabrzmiałych, wydatnych wargach. Jakby murzyńskich, przeszło ci, Kary, przez myśl.

- A czy... Lasota miał wrogów? We wsi?

- Całe mnóstwo. Właściwie wszystkich. Nikt go tu nie cierpiał. Przecież sam najlepiej o tym wiesz. Chcesz - wstałam nagle - powrózę ci.

- Słucham? - zdziwiłeś się, czując, jak ketamina zaczyna powoli przemeblowywać ci głowę.

- Karty nie kłamią - powiedziałam, wyjmując talię z szafki. - Albo i kłamią. Nie wiem. Chcesz? Zobaczymy, gdzie jest twój... gdzie jest twój Lasota.

Wstałam i zaczęła rozkładać je na stole. Karty były dziwne, ale z czymś ci się kojarzyły. Na pierwszej wyłożonej namalowana była Matka Boska Częstochowska, tylko że naga, z obnażonymi obfitymi piersiami. I z krwią ciekącą z rany na twarzy, i nożem w jednej dłoni, a wężem w drugiej.

- Panna - powiedziała Urszula. - Wyszła pierwsza. Ciekawe.

- Kto to jest? - zapytałeś.

- Panna - powtórzyła Urszula, patrząc ci ze zdziwieniem w oczy. - Ja.

- Ty?

- No ja.

- Ej! - Popatrzyłeś na nią, na kartę, i już teraz wiedziałeś, dlaczego ci się wydawało, że ją znasz. - Faktycznie do ciebie podobna!

Roić po kecie o seksie z Matką Boską Częstochowską. Brawo, Kary.

- I co znaczy? Ta... panna? Ty? Czeka... - Zaczęłaś kojarzyć. - Ersulia! Ersulia?

- Poczekaj - powiedziałam. Wyłożyłam kolejną. Człowiek o dziwnej twarzy, ni to czarnej, ni to gadziej, w polskim stroju szlacheckim. Z siwą brodą. Stojący na kopczyku białych wyszczerzonych czaszek. Z kluczem w dłoni, stojący przed unoszącymi się nad ziemią ruinami zamku.

- Stary - powiedziałam. - Dziad-smok. Ale on zawsze wychodzi.

- Czango - powiedziałeś. - Ale skąd u niego ten strój?

- A dlaczego nie? Uważasz, że nie może nosić tego, co chce?

Wyłożyłam kolejną. Dziecko, różowiutkie, blondaskowate, przypominające małego Jezuska z obrazków wiszących po domach. Tylko że karmiące nie baranka, a węża, i nie gałązką porośniętą zielonymi liśćmi, a szczurem.

- Mały Jaś. Ciekawe.

- No - mruknęłaś - niezmiernie. Co znaczy Jaś? Stary smok i Panna?

- W tym ułożeniu... - Zmarszczyłam brwi. - Mogą znaczyć wiele. To silne duchy, bywa, że działają przeciwko sobie. Ale wygląda na to, że ktoś się z nami, z tobą pewnie, bawi. A Lasota został złożony jako ofiara.

- Aha.

Postukałam palcem w cherubinka karmiącego węża.

- I chyba dla ciebie.

- Ofiara dla mnie. A po czym to poznałaś?

- Bo Jaś jest jednocześnie mężem Panny i jej synem, jest też dzieckiem Barona, a Stary jest jego...

- Okej, okej. - Podniosłam rękę.

- Chcesz? - Uśmiechnęłam się znowu. - Z tego wynika, że możemy spróbować przywołać...

- Co, ducha? Lasoty?

- Nie. - Pokręciłam głową. - Nie wiadomo przecież, czy Lasota nie żyje. Wyrocznie.

- Wyrocznie? To znaczy?

- Nie wiesz, co to znaczy wyrocznia? - Zaśmiałam się. - Klarywidenta.

- A... - Drgnąłeś zaskoczony. Nie przypomniałeś sobie, żebyś mi mówił, co brałeś. No ale duchowi...

- Skąd to masz? - Wzięłeś do ręki kartę. Dopiero teraz, w tym lichym świetle, zobaczyłeś, że była ręcznie malowana. - To oju, ale jakieś dziwne...

- Czarna magia, hokus-pokus, abrakadabra.

Uśmiechnąłeś się.

- Tak wygląda.

- Czekaaj.

Wstałam od stołu, znów kucnęłam przy szafce na „ważne dokumenty”. Wyciągnęłam z niej papierośnicę. Otworzyłam: skręty leżały obok siebie, nieco ciemnawe. Wyjęłam jednego. Zapaliłam zapalną, przytknęłam. Po chwili wypuściłam kłąb dymu. Pachniał jesienią, palonymi ziołami.

- Co to?- zapytałeś.

- Kurwa, a na co wygląda? - Roześmiałam się. - Skręt z konopiami. Z dodatkami. Co wy tam, w tej Warszawie, podstawowych używek nie znacie? Masz.

Siedzieliśmy w kłębach dymu, który z konopnym miał jednak, jak wyczuwałeś, wspólne jedynie niektóre nuty. Ale nie chciało ci się o to dopytywać ani o tym mówić. O niczym ci się właściwie nie chciało mówić. Było ci ciężko, było ci dobrze, byłeś zmęczony. Było ci trochę zimno, ale nie przejmowałeś się tym specjalnie.

Było ci dobrze.

Nie wiedziałeś, skąd Urszula wzięła wyłożoną na stół ludzką czaszkę.

Nie byłeś, szczerze mówiąc, pewien, czy ta czaszka faktycznie tam była. Bo wszystko widziałeś jak za mgłą. Zupełnie jakby te mgły, które przykrywają Kalwarię każdej jesieni, wstając z bagien i wchodząc na ulice, między domy,

zagaściły się tutaj, w domu twojej matki i twojego dzieciństwa, i zaczęły tworzyć zupełnie nową rzeczywistość.

Urszula też przestała być jakoś specjalnie prawdziwa.

Usiadła przed kartką, jakimś zadrukowanym z jednej strony rachunkiem, i pisała na niej ołówkiem. Oczy miała zamknięte.

Patrzyłeś na znaki, które kreśliła jej ręka, jakby sama z siebie.

- Rodzina - powiedziała. - Rodzina. Rodzina. Wyrocznia mówi: rodzina.

Przyszło ci do głowy, że Panna, Mały Jaś, Stary i kto tam jeszcze był w tej całej karcianej menażerii faktycznie stanowiliby udaną rodzinę, szczególnie jeśli byli dla siebie jednocześnie wujami i ojcami, matkami, ciotkami i córkami. I zachciało ci się ryczeć ze śmiechu i zacząłeś ryczeć, i ona też zaczęła się głośno śmiać, ale pisała dalej. A ty zauważyłeś, że jeden ze znaków już kiedyś widziałeś i że ten znak się powtarza, i że Urszula rysuje go w kółko, i że to jest ten sam znak, który narysowano na ścianie zameczku Lasoty, i chciałeś się zerwać, pobiec do kuchni, wziąć ze stołu akta, które dał ci Kaćmaj, i porównać znaki. Ale udało ci się tylko oprzeć ciężko na stole i złożyć głowę na dłoniach.

- Twoja mać - usłyszałeś jeszcze. - Twoja matka.

- Chyba twoja - mruknąłeś, mając wrażenie, że się zapadasz.

Psy szczekały jak oszalałe i wydawało ci się, że to szczekanie zbliża się do ciebie, do was, do twojej chałupy rodzinnej, i że psy są już zaraz obok, za ścianami, przy progu - i od tej pory już nic nie pamiętasz.

Obudziłeś się wcześniej, obolały. Odwykłeś od spania na ziemi. Urszuli oczywiście nie było. Oczywiście. Oczywiście. Było ci zimno. Piec w kuchni dawno wygasł. Leżałeś w dwóch śpiworach. Z twarzą na zaślinionych aktach. Wstałeś ciężko i poszedłeś do sypialni.

Po Urszuli nie było śladu.

Ani jej barłogu, ani piecyka. Ani kartki. Ani czaszki. Ani kart.

Otworzyłeś szafkę na „ważne dokumenty”. Była pusta.

- Nie - powiedziałeś na głos.

Urszula, wszystko, co działo się wczoraj w nocy, było zbyt rzeczywiste, zbyt prawdziwe, by było tylko snem. Opadłeś ciężko na kanapę i wsunąłeś twarz w dłonie. Płytką wmontowana w twoją głowę ziała bólem. Wy ciągnąłeś z kieszeni superkogutka. Połknąłeś.

Poranek wyglądał, jakby sto upiorów chciało udowodnić wsi Kalwaria, że zna się na budowaniu gotyckiego nastroju. Nad studnią złowrogo nachylało się wyschnięte drzewo. Za twojej pamięci jeszcze rodziło. Teraz było martwe jak bohater narodowy. Naciągnąłeś wody starym, znanym ci z dzieciństwa wiadrem, które nadal przytroczone było do kluby. Rozebrałeś się do pasa i szczękając zębami, umyłeś się w niej. Starąłeś się ignorować fakt, że woda była zatęchła i śmierdziała trupem.

Gdy się wycierałeś, zobaczyłeś mały kopczyk pokryty zwiędłymi polnymi kwiatami późnego lata. Rozpoznałeś fiolet chabrow.

Stał zaraz za studnią.

A na kopczyku, pod chabrami, leżała karta.

Matka Boska Częstochowska. Naga, z obnażonymi obfitymi piersiami. I z krwią ciekącą z rany, i nożem w jednej dłoni, a węzem w drugiej .

- Ja pierdolę - powiedziałaś. - Ja pierdolę.

Przygotowywałaś się już do wyjazdu, gdy zadzwonił Lurje.

Jego warszawski głosik tak pasował do tego drewnianego podwórza, do tego płotu, chałupy i stodoły, jak pięść do nosa.

- Znaleźli, pendeju jebany, znaleźli!

- Kto co znalazł?

- No tego, kurwa, Druckiego! W studni! Skąd wiedziałaś? Mów, bo przecież cię będę musiał oskarżyć o, kurwa, współsprawstwo! - zarechotał Lurje.

- Współsprawstwo czego? Zabójstwa? Nie żyje Drucki?

- Ano nie żyje. Aresztowaliśmy tego twojego Maksa Lisica, tego dandysa, co mówiłeś. Przyznał się.

- Do zabójstwa?

- Nie. Mówi, że razem ćpali i że Drucki przeładował. Lisic najpierw wpadł w panikę, ale to umysł praktyczny, więc potem pomyślał, że może na tej całej imprezie zarobić. Więc zawiózł Druckiego do Konstancina, faktycznie, jak mówiłeś, tam, gdzie ten niby „czarny pałac”, wrzucił do studni, a potem czekał, aż się ogłoszenia pojawią o poszukiwaniu, i poleciał z informacjami ...

Usiadłeś na zydlu i rozpiąłeś kurtkę.

- No więc - mówił Lurje - skąd wiedziałeś, że tam będzie?

- No bo tak - powiedziałeś z westchnięciem. - Tak jak mówisz: ten enriko dandolo Maksiu Lisic zgłosił się do nas, mówił, że ma ślad, który może na Druckiego naprowadzić. Wiedział, że jest forsa do wyjęcia za wskazanie miejsca, gdzie jest ten zasrany Drucki, to się zgłosił. Nie ukrywał, że mu o forszę chodzi. Ale jakieś bajki opowiadał: że go niby przyjmowali do sekty Farugi i wtedy właśnie zobaczył w tej sekcie Maksia. W „czarnym pałacu”. Tylko że kłamał, bo po pierwsze, u Farugi nic nie było tak, jak opisywał, a po drugie, wcale nie mogło to być w tym „czarnym pałacu”.

- Czekał , czekał , zwolnij , bo nic nie rozumiem.

- No kurwa, Mieciu. - Zniecierpliwiełeś się trochę, Kary, przyznaj . - Ja sam Farugę przegoniłem z „czarnego pałacu” już jakiś rok temu, więc Faruga na pewno do niego nie woził. Tam teraz to poza hipsami srającymi po kątach i pijącymi alpagę nic nie ma. A Maksiu powtarzał ten „czarny pałac” kilka razy, z naciskiem, tak żebym na pewno zapamiętał, ewidentnie bardzo mu zależało, żebym tam sprawdził, żebym go znalazł i żeby było, że to on naprowadził.

- A skąd wiedziałeś, że w studni?

- No pomyśl, przecież ten „czarny pałac” to jest miejsce, w którym ciągiem siedzą hipsy jakieś i skanki, żule, nie wiem, biedafety, studnia to jedyne miejsce, w którym coś, albo ktoś, może leżeć niezauważone. Przecież w innym wypadku by już go dawno znaleźli tam, donieśli, ktoś by rozpoznał, sprzedaliby za kasę... Brałem jeszcze pod uwagę, że może Drucki współpracuje z naszym Maksiem, żeby

razem kasę od szanownej księżnej Druckiej wyciągnąć, ale to raczej nie te sfery, poza tym zarówno Maksiu, jak i Drucki są zbyt głupi na taką grę, przecież to trzeba by było dograć zeznania, wszystko ustalić, ustawić. No. Więc jak znajdziecie Druckiego, to powiedzcie księżnej, że to nasza firma naprowadziła, żeby ...

- Dobra, dobra ... To wszystko bardzo piękne rozumowanie, ale po prostu ci się, Kary, udało - westchnął Lurje.

- Trzymaj się, Mietek, partaczu.

Pierwszy raz w życiu oglądałeś siedzibę Lasotów w całej krasie.

Pretensjonalny, pseudogotycki, zbudowany ewidentnie na fali fascynacji któregoś z dawnych Lasotów czarnoromantyczną architekturą.

Stylizowany był na średniowieczny zamek, ale wyglądał tak, jakby średniowieczny zamek miał trądzik, naście lat i słuchał wampirbitu.

Stary służący Paweł, szumnie zwany majordomem, był zaskoczony, gdy cię zobaczył. Nie cierpiał go. W dzieciństwie, pamiętasz, był dla ciebie najgorszym skurwysynem. Wlepił ci kiedyś kilka kijów, gdy złapał cię na zrywaniu gruszek z pańskiego sadu. Sadu, było nie było, twojego ojca. Majątek Będzce był zapuszczony już, powyprzedawany. Z tego wyprzedawania, domyślałeś się, stary Lasota z Pawłem żyli. Z tego i, oczywiście, z ministerialnej emerytury Lasoty, ale utrzymanie takiego zamku nie mogło być tanie. Sady i łąki dzierżawili jakimś prywatnym przedsiębiorcom rolnym, część ziemi poszła pod budowę domów - niedaleko stąd było do Częstochowy, do Krakowa nieco dalej, ale nie bardzo. Od Śląska blisko. Ładnie tu było: skałki wapienne, górki. Lasy. Można było budować domy letnie, myśliwskie, weekendowe. I budowano. Paweł, wiedziałeś, zajmował się ekonomią dworu. Stary Lasota był na to za bardzo zdziwaczały. Siedział w Warszawie, w ministerstwie, a gdy przyjeżdżał - dziwnych przywoził gości. Pamiętasz jeszcze z dzieciństwa, bo dużo o tym mówiono we wsi. Rzadko wcześniej widziano tu tylu oficerów, polityków, w tym tych z pierwszych stron gazet. Nie tylko polskich, nie tylko białych. A jak często człowiek ze wsi ma

okazję zobaczyć, powiedzmy, Murzyna? Jeśli do Kolonii pojedzie, to może. Jeśli do Warszawy pojedzie. Tylko kogo na to stać.

Teraz Paweł był już stary. I wyraźnie załęknioty. Wyglądał jak suszony koczodan ze swoimi bakami i trefioną co rano fryzurą, przez którą prześwitywała naga, pokryta plamami skóra czaszki. Ku twojemu zdziwieniu zaprosił cię do środka, kiedy tylko cię zobaczył.

- Podobnyś pan do ojca - powiedział, gdy przepuszczał cię przez drzwi.

- Wypierdalaj - warknąłeś.

Paweł zmilczał.

- Wie pan - rzucił tylko - że ryzykuję, wpuszczając tu pana. Mam od policji przykazane, żeby nikogo.

Tym razem ty zmilczałeś.

Jeszcze w korytarzu, szybko, bardzo szybko wyłożył wszystkie karty na stół, nerwowo i nieprzystojnie jakoś, zdradzając, czego się boi.

- Czy będziesz pan się starał o dziedziczenie Będźców w razie stwierdzenia zgonu pana ojca? - zapytał. Jak wielu służących przeżywających swoich panów, nie miał pojęcia, co z nim dalej będzie. Był stary i coraz gorzej sobie radził. A formalnie we dworze znaczył tyle co mebel.

- Lasota to nie mój ojciec - powiedziałaś, Kary, zimno i sucho. - Niech jego prawdziwe dzieci się tym zajmują. Nie interesowałem się tym, ale podejrzewam, że miał kilkoro - mruknąłeś.

Paweł wzruszył ramionami.

- Nie - odpowiedział. - Nie miał.

- Kawy? - zapytał po chwili. - Śniadałeś pan?

- Kiedyś, stary capie, nazywałeś mnie gnojem i gnidą wiejską - westchnąłeś, Kary, patrząc krzywo na Pawła, ale w jego rybich, starczych oczach nic nie błysnęło. Przyjął obelgę, jakby jej nie usłyszał. - No ale nie. Pan nie śniadał. Możesz podać.

- Pan dziedzic - odpowiedział, odwracając się od ciebie i prowadząc cię korytarzem w stronę kuchni - napisał akt usynowienia pana, panie Franciszku.

- I nawet wiesz, jak mam na imię, niewiarygodne. - Nie mogłeś się, Kary, powstrzymać, jak dziecko rozżalone gadałeś, dziadu jeden, i strasznie byłeś na siebie za to zły. Tym bardziej że Paweł zachowywał godny, majordomusowy spokój. Ale im bardziej Paweł wykazywał, tym bardziej ciebie brała cholera. - Możecie sobie tym aktem podetrzeć dupy. W przypadku Lasoty, oczywiście jeśli żyje. Z tego, co wiem, to nie wystarczy łaskawie kogoś usynowić, potrzebna jest też zgoda usynawianego. Bo inaczej to ja ciebie, stary capie, mogę, kurwa, usynowić. Chciałbym zobaczyć ten pokój, w którym są te napisy krwią...

-A tego akurat - powiedział Paweł, odwracając się - pokazać panu nie mogę, panie Franciszku. Rozumie pan, policja.

- Jebać policję - odparłeś. Rozejrzałeś się. Staliście na dziedzińcu, dwuskrzydłe drzwi wiodły do pomieszczenia po lewej stronie, na wprost ciągnął się korytarz. Kiedyś, dawno co prawda, byłeś w zamku. W nocy, gdy wszyscy spali. Ale nie pamiętałeś tego za dobrze. Zbyt mocno ci wtedy adrenalina do głowy waliła. Pchnąłeś drzwi na lewo. Wparowałeś do środka: mieściła się tu jadalnia. Pusta. Wyszedłeś z powrotem na korytarz. Paweł przyglądał ci się z rezygnacją. Ruszyłeś korytarzem przed siebie.

- Na górze - powiedział. - Sala rycerska.

- Samżeś jest, kurwa, sala rycerska - mruknąłeś, kierując się na schody. - Po chuj wam tyle pokoi i piętér? Jak wy to ogrzewacie zimą?

Wejście do sali rycerskiej zagradsza taśma policyjna z napisem miejsce przestępstwa, wstęp zakazany. Przcisnąłeś się pod nią. Było tu piekielnie zimno. Sala była większa, niż wyglądało to na zdjęciach. Napisy też. Ile krwi trzeba było wyczołczyć z człowieka, by coś takiego namazać -przeszło ci przez głowę. Najlepsze było to, że poza ścianami i kilkoma chlapnięciami na podłogę - cała reszta była czysta. Jeśli ktokolwiek tutaj oprawiał hrabiego, cóż poradzić, Lasotę, musiałby po

sobie bardzo dokładnie posprzątać, a to wydawało się absurdem, bo kiedy, jak, po co?

Błogosławiony owoc żywota. Odpuść mi, Mario.

- To on mógł napisać? - zapytał Pawła, kiedy pojawił się w drzwiach, nie przechodząc przez taśmy.

- Czy co?

- Wiem, że trudno poznać charakter pisma w takim wypadku, ale...

- Nie on - powiedział Paweł. - On by tak liter nie stawiał. To są bazgroły, nie litery. Pan kaligrafował ...

- A idź do diabła - warknął. - Łazienka. Gdzie jest?

- Która?

- Ja mam wiedzieć, kurwa, która? Z wanną.

- Jest ich kilka.

- Prowadź do każdej . Do najbliższej, kurwa.

Paweł podreptał przed siebie korytarzem, ty, przelazłszy przez taśmy, za nim.

- Tej łazienki - odparł Paweł, mijając jakieś drzwi po prawej stronie -nie warto nawet otwierać, z tej nie korzystamy, tylko goście, a tych już dawno ...

- Rany boskie, czy ktoś tu w ogóle prowadził dochodzenie? -warknął i otworzył drzwi. Przekreślił włącznik, światło nie działało. Wyjął latarkę.

- Co?- spytał. - Ktoś tu robił oględziny?

- Ta nowa pani podkomisarz z Warszawy to nie bardzo - powiedział Paweł. - A nasi. .. no coś tam robili, ale ...

- Niewiarygodne, kurwa - westchnął. - Ktoś tu zaglądał? Ktokolwiek?

- No ja, jak szukałem pana, ale wszedłem, zobaczyłem, że nie ma, to wyszedłem, przecież pod wannę nie wlaź ...

- A policja?

- No mówię. Nasi, to znaczy Szatanek z kolegami, to kawy się napili, pochodzili po okolicy, podrapali się w głowy, porobili zdjęcia. Potem przyjechali

jacyś z Krakowa, ale ci tylko tę taśmę rozciągnęli, powiedzieli, że jutro wrócą, ale już nie wrócili, bo przyjechała ta Ćwilichowska...

- A Ćwilichowska co?

- Ćwilichowskiej tu nie było.

- Co? - Musiałeś mieć oczy jak dwa kurze jaja. Bardzo śmiesznie musiałeś wyglądać.

- Tylko mnie wezwała na przesłuchanie, siedziała na komisariacie, w gabinecie Szatanka. A Szatanek w tym czasie siedział z tymi swoimi, jak szeregowiec. - W twarzy Pawła dojrzałeś pogardę i widziałeś, że kwestie związane z hierarchią są dla niego nadzwyczaj ważne.

- To jest Polska! - wybuchnąłeś, lamentowałeś jak mieszczanin. -Prawie sto lat, kurwa, niepodległości, ale burdel, jakby się dzieci w państwo uczyły bawić! Nikt nic, kurwa, nie umie, ale wina zaborców! I że nie mieliśmy dziewiętnastego wieku! Kurwa mać! Patrz, capie!

Poświeciłeś latarką. Krew w wannie była splukana, ze ścian i podłogi generalnie też, choć niedbale: zacieków i plam było sporo.

- A tym pisał. - Pokiwałeś głową, kopiąc czubkiem buta leżącą obok bidetu szczotkę do mycia toalet. - A w tym... - Poświeciłeś na kiepsko wyczyszczoną, pokrytą czarnym rzutem miednicę. - W tym niósł krew do pokoju, żeby to namazać, co namazał. Ciekawe, jak ją z Lasoty spuszczał. Ja bym go ogłuszył, wsadził do wanny i podciął mu żyły ... gdyby mi się tylko chciało. Zresztą gównu mnie to obchodzi.

Wyjąłeś mobil z kieszeni. Kaćmaj odebrał po kilku sygnałach.

- Przyjedź do zamku. Szybko.

- A co ...?

- Zrobiłem waszą robotę. Trudno nie było. Mam ślady. Aha, i nie mów nic Ćwilichowskiej .

- Ale ...

- Wygląda na to, że ona tu nie jest po to, by prowadzić dochodzenie.

- Ale ...

- Po prostu, kurwa, przyjedź.

No więc, czekając na Kaćmaja, śniadałeś. Śniadałeś i nie czułeś nic: żalu, smutku. Nawet rozgoryczenie minęło. Zupełnie jakby wyobrażenie sobie twojego biologicznego ojca w wannie pełnej jego własnej krwi zdjęło z ciebie jakiś czar. Paweł przyrządził jajka na miękko, tosty z masłem. Dawno nie piłeś tak dobrej kawy. Oprotestowałaś jego pomysł, by nakryć w jadalni, tam gdzie „jadał pan”, siedziałeś więc razem z nim w kuchni. I patrzyłaś, jak stary Paweł patrzy przez okno na zapuszczony park przy pałacu. Teraz już wiedział: Lasota nie żyje. Nie wróci. Koniec życia, jakie znał. Już definitywny.

- Czy zna... pan... - zaczęłaś i nie wiedziałeś, jak skończyć. - Urszulę. Lokalną prostytutkę. Mówiła, że bywała u Lasoty.

Paweł odkleił zamglony wzrok od szyby.

- Wiesz pan - odpowiedział. - Ja nie bardzo znam lokalne chłopstwo, ale ...

- Po pięćdziesięciu latach mieszkania w tej wsi, fajnie. - Pokiwałaś głową. - prostytutka. Kurwa. Urszula.

- Była taka. - Paweł skinął ostrożnie głową.

- Naprawdę? - Podniosłaś na niego zdziwione oczy.

- To po co pan pytasz? - odrzekł majordom nieco zniecierpliwiony. - Przepraszam - zmitygował się. - Była, tak, przyjmował ją pan. Wyjechała.

- Gdzie? Dawno?

- Z rok temu. Nie wiem. Podobno do kolonii.

Do kolonii. ..

- A czy Lasota... - podjęłaś po chwili - mówił coś przed śmiercią dziwnego, nietypowego? Coś, co mogło mieć związek z ... czymkolwiek, co wydarzyło się później ?

Paweł wstał z zydlu i podszedł, zupełnie bez sensu, do lodówki. Po czym odwrócił się i wrócił na zydel. Skojarzył ci się z zamkniętym w zoo zwierzęciem.

- Mówił o tym, że go duch nawiedza.

Drgnąłeś. Coraz trudniej ci było wierzyć w to, co się dzieje.

- Duch.

- Dziewczyny.

- I co ten duch mu mówił?

- Że pan Lasota zostanie ukarany. Czy coś takiego.

Ukryłeś głowę w dłoniach.

- Jasny szlag - powiedziałeś do siebie.

Podniosłeś wzrok, usłyszawszy warkot samochodu. Radiowóz podjeżdżał na gazon przed zameczkiem. Gdy zaparkował, wysiadł z niego Kaćmaj razem z jednym z gówniarzy posterunkowych. A z tylnego siedzenia wytarabaniła się zażywna, choć niestara jejmość.

- To Ćwilichowska? - spytałeś Pawła.

Ten skinął głową.

- Skurwysyn. Co za skurwysyn.

- No i widzi pan. - W oczach Ćwilichowskiej nie było ani odrobiny wyrazu. Były puste jak oczy lalki. Popijała kawę zrobioną przez majordoma Pawła. Siedziała na fotelu w jadalni. Wyglądała, jakby osadzona była w tym fotelu ostentacyjnie mocno, krzepko. Jakby była w niego wkręcona jak śruba w gwint. Jej człowiek, jakiś warszawski podchujaszczy, stał za jej fotelem jak pretorianin za cesarzową. - My byśmy się wszystkim zajęli, my jesteśmy od tego, a pan wszedł na miejsce przestępstwa i. ..

- Tak byście się zajmowali jak do tej pory. - Pokręciłeś głową. - Wspaniale. Ślady zbrodni prawie pod nosem, a pani tu nawet nie była.

- To nie pana sprawa, jak prowadzimy śledztwo - zabrzmiała, jakby recytowała formułkę. Kaćmaj stał pod ścianą i nic nie mówił, ograniczając się tylko do posyłania ci alarmujących i błagalnych spojrzeń. Wszystkie na różne sposoby mówiły jedno: „Przestań, ona jest z WARSZAWY”.

- Czy sprawdziliście choć ślady? Zabezpieczyliście? Przecież on, oni, nie wiem, mordercy, musieli jakoś stąd wyjść, wynieść ciało ...

- Dlaczego pan zakłada, że to ciało, a nie żywy człowiek?

Roześmiała się, kręcąc głową.

- Czy pani tutaj przyjechała, żeby pilnować, by ta sprawa nie została przypadkiem rozwiązana?

- Być może będę musiała pana zatrzymać.

- Proszę spróbować.

- Reprezentuję sprawiedliwość, a ta jest ostoją mocy i trwałości Rzeczypospolitej . Czy pan próbuje grozić funkcjonariuszowi policji państwowej? - spytała Ćwilichowska, a pretorianin za jej plecami zrobił groźną, lecz nieco zboląłą minę.

Roześmiała się na głos.

- Ja, proszę pani, jestem synem zaginionego. Mam prawo tu być.

Ćwilichowska patrzyła na ciebie beznamiętnie, tylko pretorianin odpuścił napięcie i wbił oczy w dwie pretensjonalnie skrzyżowane na ścianie szable.

- Czy mogę zapytać - podjąłeś - pod kim pani jest? Kto wydaje pani rozkazy? Komu zależy na tym, żeby niczego tutaj nie wyjaśniono?... Hieroglif... nie, to wszystko nie ma sensu. Więc czemu?

Oczy Ćwilichowskiej nie nabrały wyrazu. Ani trochę. Miałaś wrażenie, że rozmawiasz ze ścianą do gry w rakiety.

- Wspaniale - dodałaś, wstając. - To do widzenia.

- Jestem zmuszona prosić pana, żeby więcej się pan nie pojawiał na miejscu zdarzenia...

- Jestem zmuszony poradzić pani, by się pocałowała w dupę - odpowiedziałaś, wstałaś, pchnęłaś ciężkie drzwi i wyszedłaś przed zamek.

Poszedłaś parkową aleją. Pierwszy raz w życiu chodziłaś po tym parku legalnie. Dawniej tylko zakradałaś się tu. Sam albo z innymi dziećmi. Z Kaćmajem na przykład. Kiedyś Paweł spuszczał na noc psy. Teraz chyba już ich nie było. Psy wam wyzdychały, panowie szlachta. Albo uciekły do buntu. Do psiego Szeli.

Chodziłeś po bezsensownie długich alejkach i gapiłeś się na bezsensownie rosnące drzewa i próbowałeś oczyścić głowę ze wszystkiego, co dotyczyło tego miejsca, w którym nie powinieneś być i które nie powinno cię obchodzić. Kurwa mać, Kary, mówiłeś sobie, przecież ty nawet dobrze nie wiedziałeś, jak ten cały Lasota ostatnimi czasy wyglądał. Na ulicy byś go nie poznał.

Znalazłeś się z tyłu zameczku. W oknach wisiały grube firany. Tu pewnie miał sypialnię - przemknęło ci przez głowę, a zaraz potem pojawiła się w niej twarz Urszuli. Pokręciłeś głowę. Duchy. Duch kobiety. Szedłeś w stronę ściany pałacu. Przy samym murze ciągnęła się rabatka, teraz rozkopana. I na niej, pod samym oknem, zobaczyłeś ślady.

Wojskowych butów o dziwnie małym rozmiarze. Damskich butów, wychodziło na to.

Ale nie to było najdziwniejsze. Bo oto w tym samym miejscu leżał na ziemi jeden z twoich żołnierzyków.

Znałeś go doskonale - to był strzelec z 1939 roku. W hełmie Adrian, w workowatych, brązowych spodniach.

- No żeż kurwa mać - wyszeptaleś. Kucnąłeś, wziąłeś żołnierzyka i schowałeś go do kieszeni.

- Nie odbieraj tego przeciwko sobie - powiedział Mojżesz Lurje przez telefon, żując coś. - Ta Ćwilichowska... popytałem o nią. Ona oczywiście nic nie zrobi. Ona tam jest jako wypełniacz. Jak plomba w dziurze zęba. Twój szanowny papcio raczył zrobić swoim zniknięciem dziurę w rzeczywistości. Niewielką, co prawda, bo od dawna już gównem znaczył, no ale był kiedyś tym ministrem, w dodatku cała ta sprawa jakoś dziwnie zapachniała Hieroglifem, więc zleciały się pismaki. No i ty się napatoczyłeś. A ona tam jest jako plomba właśnie. Zatyka dziurę. Jak się dziura zarośnie, wróci do Warszawy. Ona od tego jest.

- Ale kto jej to zlecił? Kto zatyka tę dziurę?

- Diabły wiedzą. Wiem po prostu, że gdy trzeba coś zalepić, zatuszować, załatać, wysyła się ją. Tak samo, jak gdy trzeba zrobić coś, he, he,

niekonwencjonalnie, wysłała się mnie.

- Sprawdzisz mi. .. pewną osobę? Urszula. Rocznik. .. jakoś dziesięć lat ode mnie młodsza. Urodzona w Kalwarii. Albo Olkuszu, albo Pilicy, w tych szpitalach rodzą się tutejsze dzieci. Ale zamieszkała w Kalwarii.

- A nazwisko?

- Nie znam.

- Kary, kurwa ...

- prostytutka. Powinna być w rejestrach.

- Znaki szczególne?

- Podobna do Matki Boskiej Częstochowskiej .

- Spierdalaj , Kary.

- Serio, poznasz ją na zdjęciu, wystarczy przetrzepać akta dziwek z województwa COP uradza ...

- Spierdalaj ! - Lurje się rozłączył.

Wysiadłeś z samochodu. Kalwaryj ski kościół stał przed tobą, wielki, rozsiadły, jak statek kosmiczny, który pojawił się tu przed wiekami i choć nie bardzo tu pasował, zaczął zapuszczać korzenie.

Zastanawiałeś się, czy ksiądz Byczkowski odprawi w tę niedzielę mszę z kopniętą twarzą, którą mu zafundowałeś. Obszedłeś kościół dookoła i wróciłeś na cmentarz. W kieszeni kurtki trzymałeś świeczkę zakupioną chwilę temu w sklepie przemysłowo-spożywczym starego Racieja. Raciej sprzedawał tam jeszcze za twoich czasów i mimo że ledwie już na oczy patrzył, to nie zapomniał zachichotać pod nosem, gdy cię dostrzegł.

- Młody Kary? No proszę! Znicz podać? Na mamusię czy na tatusia? Żartowałem, żartowałem, nie przejmuj się. - Zachwiał się na swoich kabłąkowatych nogach, ale znicz ci dał. Rzuciłeś mu kilka monet na ladę i wyszedłeś.

Na cmentarzu wiatr wiał pomiędzy grobami, liście spadały na blade twarze rzeźb. Minąłeś zagłębienie rodzinnych grobów, po czym zawędrowałeś pod cmentarny

mur.

Grób, który Lasota postawił twojej matce, wyglądał nieźle. Naprawdę nieźle. Postawiłeś znicz na płycie. Okrwawiona gromnica już zgasła. Przewróciła się i uwalala w ziemi. Już zacząłeś szukać zapalek, gdy zobaczyłeś, że zaraz pod napisem MARIA **KARY**, na czarnym tle, jest coś namazane. Nie widziałeś tego wczoraj w ciemności. Trudno zobaczyć napis krwią na ciemnej płycie. Bo nie miałeś jakoś wątpliwości, że to krew. A był to ten sam znak, co na ścianie w tym całym pierdolonym, idiotycznym zamku.

Błogosławiony owoc żywota - pomyślałeś.

Rodzina.

„Twoja matka”.

Odpuść mi, Mario.

- Kurwa jego pierdolona w dupę jebana mać - powiedziałeś i naparłeś z całej siły na płytę grobu.

I był tam. Śmierdział jak diabły. Tak, że o mało nie zwymiotowałeś. A raczej zwymiotowałbyś pewnie, gdybyś miał co. Bo od rana niczego nie jadłeś. Leżał w grobie kobiety, którą skrzywdził. Marii.

A ty, owoc jej żywota, patrzyłeś z obrzydzeniem na trupa człowieka, który cię z nią spółdził, krzywdząc ją i doprowadzając ją tobą do śmierci. Był paskudny, gnijący i z wytrzeszczonymi oczami, łąziły po nim robaki. Brzuch miał rozpruty. Jego wnętrzności leżały obok. A ty i tak musiałeś się powstrzymać, by nie szukać w jego twarzy podobieństw z twoją.

Krew pochodziła z poderżniętego gardła. Nie z nadgarstków. Głowę prawie miał odciętą.

- Dobrze ci tak, skurwysynie - powiedziałeś na głos. I wyjąłeś mobil.

Nie mogłeś oderwać wzroku od grobu. Tym bardziej że przez dziury w trumnie prześwitywały kości. I czaszka. Kości twojej matki.

HYCKE

Wczoraj przyszedł do was do biura gość.

Gdy anonsował się w recepcji, wręczając portierowi wizytówkę w kopercie („do rąk własnych pani Złotej Sztok, szanowny panie”) i mrugając okiem panu Grzesiowi, który parsknął i zakrył twarz gazetą, ty, Kary, też czytałeś gazetę, tylko że nie w swoim gabinecie, rasowym, dodajmy, gabinecie prywatnego detektywa, z żaluzjami w przeszkleeniu drzwi, z wielkim biurkiem i widokiem na najbliższą knajpę, która takiego detektywa noir kusi, żeby zejść i sobie popoľgować.

Nie.

Siedziałeś w gabinecie Złotej, do którego zaszedłeś niby przypadkiem, na kawę, i jakoś tak się zasiedziałeś, zaczytałeś i siedzisz. Popatrywałeś na Złotą, która nachylała się nad klawiaturą mózgelu, tŁukąc w nią jak oszalała.

Miała długie rude włosy, kręcone jak resory, i twarz w kształcie wedłowskiego cukierka o nazwie „Serce ci daruję”. Wielkie zielone oczy, z których tylko jedno było prawdziwe. Drugie, szklane, miało nieco inny kolor, ale to tylko, uważałeś, dodawało jej uroku. Czasem, gdy, na przykład, jechaliście na akcję w terenie, nakładala na pusty oczodół czarną przepaskę, i wtedy wyglądała tak, Kary, że wszystko w tobie puszczało się w taki huragan, że nie wiedziałeś, co ze sobą robić. Wyglądała na co najmniej dziesięć lat mniej, niż miała, a nikt nigdy dokładnie nie wiedział, ile miała. Znaczy ty, Kary, wiedziałeś, ale zapomniałeś. Miała bladą, białą prawie cerę, która nigdy się nie opalała, i wyglądała, jakby była chronicznie

chora, niezdrowa, przemęczona, ale tylko tak wyglądała. Nigdy nie pamiętałaś jej ani chorej, ani nawet choćby zmęczonej . Wyglądała też na słabą, na taką istotę, nad którą instynkt każe się pochylić i zaopiekować. Ale był to, jak wiedział doskonale Kary, kamuflaż. Jak u dzikiego kocura skurwysyna udającego małe, nieporadne kocię.

- I myślisz, że to kobieta - powiedziała, odchylając się na krześle.

- Nie wiem. - Wzruszyłeś, Kary, ramionami. - Te ślady... były kobiece. Ale to wcale nie musiały być ślady zabójcy. Zresztą zabójców mogło być wielu.

- Ktoś ewidentnie zrobił ci prezent. Zrobił to dla ciebie. To, wiesz, „Mario, wybacz mi”, ten „błogosławiony owoc żywota”, niby że ty. Kto cię tak kocha, Kary?

- Może to był przypadek. Może ktoś chciał na mnie wszystko zrzucić. Nie wiem. Ja mam, w każdym razie, alibi przecież ...

- Jakie? Mordowanie faszystów u księdza Krenca? - zachichotała Złota. Nie zawsze, Kary, łapałaś jej poczucie humoru. - Ty się ciesz, że nad tym wszystkim stoi ta Ćwilichowska, która nie ma zamiaru niczego wyjaśniać.

- Bo wie, kto to naprawdę zrobił.

- Ona niekoniecznie. Ktoś nad nią na pewno - odpowiedziała dość obojętnie, zakładając z powrotem na nos okulary i wracając przed ekran.

- Nie zastanawia cię to wszystko? - zapytałaś zgryźliwawo.

- Zastanawia - odparła, waląc znów w klawisze mózgu. - Mhm.

- Dziwne to wszystko, no cóż ...

Żebyś ty wiedziała, pomyślałaś, jak bardzo dziwne.

Nie powiedziałaś na przykład Złotej o Urszuli. Na wszelki wypadek. Jeszcze by stwierdziła, że do końca zwariowałaś.

- I co z tym zrobimy?

- Nie wiem - odpowiedziała. - To nie jest nasza sprawa.

- Moja jednak jest. To moja matka. I co by nie mówić, mój ojciec.

- Franc. Jak sam twierdzisz, siedzi na tym ktoś ważny. Blokuje. Z jakiegoś powodu. Może to były jakieś porachunki w rządzie. Może Hieroglif. Może jedno i drugie. A my, przecież wiesz ... jeśli służby zaczną wokół nas węszyć... Rubin może wiele, ale nie wszystko.

- Już węszą, zawsze będą węszyć, Złota, do kurwy nędzy! Jesteś nadzianą Żydówką w mniej lub bardziej , ale antysemickim kraju, córką znanego żydowskiego adwokata, który ocalał od zgnicia w więzieniu mnie, słynnego zdrajcy narodu! I my, razem, prowadzimy firmę. Detektywistyczną. Śledczą. Pomagamy opozycjonistom, pomagamy opozycyjnej prasie. Nie da się uniknąć węszenia.

- Masz rację - powiedziała. - Tym bardziej nie chcę się dać sprowokować. A to jest ewidentna prowokacja. Ktoś chce nas, ciebie, w coś zamoczyć. I co? Zaczniemy działać, tak jak to proponujesz? Pójdziemy po podrzucanych nam śladach, jak ty to zrobiłeś w tej Kalwarii, gdy znalazłeś ciało Lasoty? Przecież ktokolwiek to zrobił, chciał, żebyś to ciało znalazł! Nie widzisz tego, Sherlocku? To co jest mądrzejsze: czekać i doczekać się jakiegoś ruchu, który zdradzi tego, ktokolwiek to robił, czy robić to, co chcą?

Chciałeś coś powiedzieć, ale tylko otworzyłeś i zamknąłeś usta.

Nikt tak jak Złota nie potrafił podciąć ci wszystkiego naraz: skrzydeł, ścięgien, więzadeł.

I kto wie, w jakich głębinach czarnego nastroju byś się pogrążył, gdyby właśnie teraz portier nie zapukał do drzwi. Złota podniosła grzywę znad ekranu.

- Otworzysz?

Rozparła się na fotelu i położyła na biurku nogi, gołe, w spódniczce krótkiej , falbaniastej . Poruszała długimi palcami nagich stóp, długimi i wąskimi, a pod grzejnikiem, wyłączonym, mimo zimna, wały się zrzucone przez nią wysokie robociarskie buty i długie, męskie, szkockie pończochy. Spośród wielu cech charakteryzujących Złotą Sztok ta właśnie, że nigdy nie jest jej zimno, była jedną z ciekawszych. Złota po największych mrozach chodziła w rozpiętej kurtce, a lata z jego pierdoloną soczystą zielenią, upałem i pornografią słońca nienawidziła. Złota

jesienią przeżywała wiosnę, a wiosną wpadała w histeryczną depresję wspieraną alkoholowymi ciągami.

Siedziałeś nadal, a twój wzrok co chwila wracał do tych stóp, do tych długich palców, a Złota doskonale wiedziała, że ten wzrok wraca, a mnie się chciało śmiać.

- Cipkę też ci mogę pokazać - powiedziała, a ty, Kary, drgnąłeś.

- Już otwieram - mruknąłeś. - O pani.

Podszedłeś do drzwi, otworzyłeś: portier Wojciech (albo Robert) stał za nimi, mierząc cię chłodnym spojrzeniem, które rozmaściło się, gdy zerknął na stopy Złotej wyłożone na biurku. Z uśmiechem miłym, Kary, wyjąłeś mu spomiędzy palców kopertę i zatrzasnąłeś drzwi.

- Do rąk własnych pani Złotej Sztok! - zdążył jeszcze wykrzyknąć portier, dałbyś, Kary, słowo, że ze złośliwą nutą w głosie.

Złota wyciągnęła dłoń. Przez chwilę zastanawiałeś się, czy nie otworzyć koperty samemu, jesteś, w końcu, współwłaścicielem tego biura, choćby tylko przez dawny kaprys Złotej, ona to w ogóle ma kaprysy, więc ty właśnie byłeś jej kaprysem, a teraz, gdy kaprys się skończył - Złota wróciła do męża, do wspaniałego adwokata Wolfa Rubina, do dwójki irytujących dzieci, o pretensjonalnych imionach Adam i Ewa, które w tej swojej irytującej komunistycznej międzynarodówce nie mają pojęcia, jak świat wygląda. I którą zostawia w spokoju nawet polska skretyniała policja polityczna, bo doskonale wie, że ta ich „międzynarodówka”, ograniczająca się do złotej młodzieży kilku najbogatszych dzielnic Warszawy i kilku innych środkowoeuropejskich stolic, nie jest niczym innym, jak tylko miejscem, w którym bogaci gówniarze mogą sobie posłuchać muzyki transowej, czy jak to oni nazywają, zaleczyć kompleksy wynikające z rozdźwięku pomiędzy przynależnością do klasy uprzywilejowanej a młodzieńczą wrażliwością społeczną i nazreć się do oporu dragów. Każdy w ich wieku czegoś szuka. Ty też, Kary, szukałeś. I, jak zawsze, skończyło się to źle.

Dobrze, że jest Beata. Choć to nie ta sama osoba co Złota.

Może i dobrze.

Oddajesz, w każdym razie, list posłusznie pani Złotej Sztok. Do rąk własnych.

Błada dłoń o długich palcach odbiera pismo, wielkie zielone oczy patrzą na ciebie tak, jakby czytały bez żadnego problemu to, co właśnie biegnie ci przez głowę, jakby czytały napisy u dołu twojego ekranu. Uśmiechasz się więc do niej jednym ze swoich uśmiechów, co do których masz nadzieję, że są cyniczne, ale obawiasz się, że są po prostu głupkowate - i ponownie opadasz na fotel.

Złota otwiera kopertę. Mruży oczy.

- O kurwa - mówi.

- Co? - interesujesz się, Kary.

Złota wyciąga w twoją stronę bilecik. Musisz wstać i podejść, bo przecież ona, wielka kapryśna pani, nie podejdzie. Ty byś podszedł. Ty jesteś kulturalny. Więc podchodzisz. I patrzysz.

- O kurwa - mówisz.

Bo na bileciku napisane jest:

LEON HYCKE.

- To on istnieje? - pytasz, podnosząc wzrok na Złotą, która zdejmowała właśnie nogi ze stołu i mignęła bielizną. - Hycke naprawdę istnieje?

Istniał.

Wszedł do gabinetu z promiennym uśmiechem na idealnie wygolonym licu. Tak idealnie był wygolony, tak był pachnący, skrojony, dopasowany, takie rękawiczki miał z cienkiej skórki, mój boże, Kary, on nawet melonik trzymał w dłoni - że od razu się poczułeś, Kary, jak wieśniak. Ubrany w jakieś tanie biciarskie ciuchy, w battledressy nie pierwszej świeżości, motocyklowe buty, koszulę z krótkim rękawem na biały podkoszulek, a jeszcze w rękaw zawiniętą miałeś, po knajacko-amerykańsku, paczkę papierosów. Patrzyłeś na wybrylantynowane w tył włosy Hyckiego i byłeś pewien, po prostu byłeś pewien, że Hycke, wyrafinowany, ewidentnie, arbiter elegancji, z daleka czuje zapach

twojej taniej pomady do włosów, kupionej w sieciówce Bracia Sennebaldt za jakieś pięć złotych. Z groszami. Twojego sztyftu pod pachy. Taniego proszku, w którym prałeś ciuchy.

- Pani Złota, Złoto, jak to się deklinuje? Dzień dobry. - Ukłonił się, stojąc w drzwiach. - Panie Kary! Liczyłem na to, że i pan tu będzie. Pan, bohater wojenny - powiedział i uśmiechnął się szeroko i mocno ironicznie ustami o wargach wąskich i mocno jakby elastycznych, jak guma do izolacji słoików z konfiturami.

- Pan Hycke - powiedziałaś. - Legenda... hm... polskiej безпеki. No, no.

- Czemu zawdzięczamy wizytę? - zapytała zimno, lecz z szerokim uśmiechem Złota. - I to osobistą? I fatygę zamiast zawlekania do kazamat?

Hycke się skrzywił.

- Ja tu przyszedłem wielkie rzeczy inicjować, a pani od razu o kazamatach. Ale zacznij my: mogę usiąść? - Hycke, nie czekając na odpowiedź, usiadł na krześle postawionym z drugiej strony biurka, a ty, Kary, pomyślałaś, że pogłoski o nienaganych manierach tych wielkich panów są mocno przesadzone. - Zacznij my od małego szantażu.

Nawet Złotą zamurowało. Wparła się w oparcie fotela i wyciągnęła nogi przed siebie.

Kim był Hycke?

Hycke był legendą.

Był, wydawało się, przedwieczny. Byłeś, Kary, zaskoczony, że wygląda tak świeżo. Teoretycznie, myślałaś, powinien mieć co najmniej z osiemdziesiąt lat, a w polityce działać od pięćdziesięciu. A wyglądał na krzepkie pięćdziesiąt. Nie wiadomo, skąd się wziął, nie wiadomo, gdzie się kształcił, kto go komu zaanonsował, kto go przez co przepychał. Wiadomo, że pojawił się niedługo po śmierci dwóch kolejnych po Rydzu wodzów naczelnych i prezydentów w jednym: za starego, oszalałego już trochę Wieniawy-Długoszowskiego, za którego czasów działały się

w Warszawie takie rzeczy jak w Rzymie za Kaliguli czy Heliogabala. I to właśnie, najprawdopodobniej, Hycke, młody jeszcze i pełen energii szef Referatu Spraw Specjalnych Służby Śledczej, doprowadził do jego ustąpienia ze stanowiska, zanim Wieniawa narobił więcej szkody sobie i Rzeczypospolitej.

Mówiło się, że to Hycke stał za zamachem na starego Wieniawę, który coś nie mógł umrzeć, choć wszyscy na to czekali, bo jego rządy zaczynały się zamieniać w rządy szaleńca. Ale żył stary Wieniawa, żył i im więcej chlał, tym bardziej wydawało się, że go to konserwowało. W końcu nieznany sprawca zastrzelił go na schodach Adrii, a pytanie „kto zabił Wieniawę?” stało się jednym z częściej spotykanych haseł na murach.

Potem, już za wodza Korzyckiego, Hycke prowadził sprawę Bałkanów. Za wodzów-prezydentów Kozica i Kornobisa działał na rzecz prodemokratycznego rozluźnienia reżimu, a podczas zamieszek w latach osiemdziesiątych, które doprowadziły do pierwszych od kilkudziesięciu lat prawdziwie wolnych wyborów, wygranych nie, czego się wszyscy spodziewali, przez socjalistów, a przez koalicję chadeków i liberałów, Hycke poparł przemiany. To on był głównym negocjatorem pomiędzy opozycją a wojskiem, to on, o czym się szemrało nieoficjalnie w kularach, po kawiarniach, rautach i salonach, sprawił, że zmiana władzy obyła się bez rozlewu krwi.

Rzecz w tym, że z tak zwanej szerokiej publiczności, z ludzi spoza kręgu władzy - jednej czy drugiej - nikt nic o nim nie wiedział.

Hycke nigdy nie pojawił się na żadnym zdjęciu, nigdy nie udzielił wywiadu. Niektórzy dziennikarze i publicyści, którzy słyszeli co chwila, że Hycke to, Hycke tamto, a nigdy go na oczy nie widzieli, zaczęli dawać do zrozumienia, że być może żaden Hycke nie istnieje. Że - kto wie - jest on tylko figurą wymyśloną przez „Dwójkę” albo „Referat”, jak nazywano RSSŚ, czyli Referat Spraw Specjalnych Służby Śledczej, po to, by mieć w razie czego na kogo zwalić ewentualne niepowodzenia w knuciu i -ogólnie - różnych działaniach podejmowanych na granicy prawa. Albo i głęboko za tą granicą, bo zdarzało się i tak. Bardzo często. Zazwyczaj .

Rzecz w tym również, że to ten sam Hycke, który sprawił, że możliwe było przejście władzy przez demokratów, doprowadził do tego, że ci ją utracili.

To on właśnie pokierował wojskowym przewrotem, który obalił liberalny rząd (chadecy zostali przez nich częściowo pożarci, a częściowo wygryzieni). To Hycke, nikt inny, wepchnął władzę w ręce Jeremiego Snardza.

I teraz siedział tutaj, choć nikt do siadania nie zapraszał, w gabinecie szefostwa agencji detektywistyczna-ochroniarskiej KiSz. A właściwie to szefowej i jej chwilowego kaprysu.

Wow, jak to mówią Amerykanie na filmach, co, Kary?

Musisz przyznać: wow.

- Mały szantaż - powiedziała powoli Złota.

- A tak - powiedział wesolutko Hycke. - Długoletnie doświadczenie nauczyło mnie, że woalowanie wypowiedzi jest, w gruncie rzeczy, stratą czasu. Można to, rzecz jasna, robić, ale wyłącznie dla taniego, teatralnego efektu. To ja powiem od razu tak. Wiemy, oczywiście, o państwa zaangażowaniu w Opór. Możecie protestować, wypierać się i tak dalej, ale cóż, weźmy na przykład waszą ostatnią akcję, u księdza Krenca. Zginęły tam cztery osoby. Jestem w stanie państwu opowiedzieć przebieg wydarzeń minuta po minucie. I przedstawić tożsamość tych, którzy brali udział w akcji, między innymi pański sławny udział, panie Kary, cztery trupy zdjęte własną ręką, gratuluję. Jak również osoby, która ją zleciła i koordynowała, czyli, szanowna pani Sztok, pani. Mamy też zdjęcia wykonane mikroaparatem, w tym te bez masek na twarzach. Cudowny zresztą pomysł, miałem z tego kupę radości. Piłsudski! Kościuszko! Rydz!

Piękne. Poza tym wyręczyliście nas niejako, bo jak wiecie, my również za sobą z krwioziemcami ani postendecją nie przepadamy. A Bereza już pełna.

- Grześ? - zapytała krótko Złota.

Hycke popatrzył na sufit, niby zakłopotany.

- Skurwysyn. - Kary pokręcił głową, bez specjalnego gniewu w głosie.

- Wiemy też oczywiście o wiele więcej - kontynuował Hycke z miną kreskówkowego szurka przemądrzalca - ale wiedzcie państwo, że już samo to wystarczy nie tylko, by zatrzymać was, lecz także powyciągać, jedno po drugim, jakby różaniec, paciorek po paciorku, kolejne ogniwa naszego oporowego łańcuszka.

A na twarzy Złotej nie drgnął ani jeden mięsień.

- Cóż więc was powstrzymuje? - spytała. - Dlaczego nie wyciągacie paciorków różańca? Jaka jest nasza rola w tym waszym szantażu?

- O - Hycke z radości prawie podskoczył na krześle - pani to jest profesjonalistka, od razu widać! Nie jakieś tam fanfaronstwo, tylko od razu: rzetelny ogląd sytuacji i do rzeczy! To już pani mówię - skinął głową Karemu - i panu, panie Kary, bohaterze wojenny, nad którego sprawą, powiem panu w sekrecie, prokuratura pod ministrem Akanowiczem zamierza się ponownie pochylić. Już państwu wyjaśniam wszystko.

I Hycke zaczął mówić, a ty, Kary, nie mogłeś się skoncentrować do końca na jego słowach, bo przez cały czas powracał ci do głowy obraz Grzesia, pieprzonego zdrajcy, wtyki służb, zapewne od początku, widziałeś go, jak stoi, w tej idiotycznej masce, i filmuje wszystko mikrokamerą ukrytą gdzie? W guziku? W pasku od spodni? Zastanawiasz się, w ilu i jakich akcjach skurwysyn brał udział, w ilu naradach, i dostawałeś zawrotu głowy.

I jeszcze: „Prokuratura pod ministrem Akanowiczem zamierza ponownie pochylić się nad pana sprawą”. Więzienie. Pewnie znów dożywocie.

Kary się ocknął.

Akurat w dobrej chwili, by zorientować się, że Złota ani na chwilę nie straciła bystrości umysłu.

- Słowem - przerwała Hycke - nie ma pan zaufania do własnych ludzi.

Hycke znów się uśmiechnął szerokim garniturem sztucznych, bez wątpienia, zębów.

- No cóż - powiedział - jak mówiłem. Od razu do rzeczy. Do części ludzi tak. Potrzebuję czasu, by zorientować się, do jak dużej . A w tym czasie część obowiązków podzleci, że tak powiem, firmie zewnętrznej .

- Kary, słuchałeś? - zapytała Złota.

- Słuchałem - skłamałeś, Kary, ale piąte przez dziesiąte wyłapałeś. - Ktoś miesza w sprawie Hieroglifów. I teraz my, tak, mamy prowadzić śledztwo?

- *Wot, maładiec*, jak mawiają Soweciarze - powiedział Hycke. - Tak. Sprawa Hieroglifów, jak się domyślacie, to sprawa polityczna. Dlatego proszę przy dochodzeniu o jak największą dyskrecję. A naszym kontaktem będzie nie kto inny jak nasz ulubieniec Grzesio.

- A dlaczego ... - Kary odchrząknął. - Dlaczego nie przyszedł pan do nas po prostu ze. . . zleceniem?

Hycke się roześmiał.

- A wzięlibyście? Od diabła, szatana, który wam demokrację odebrał i oddał ją z powrotem tępej wojskowej dyktaturze? A nie obrócilibyście się przeciwko mnie w jakimś wygodnym momencie? A nie gralibyście na swoją kartę? W tej chwili mam pewność, że ...

- Panie Hycke. - Złota odgięła się na fotelu, zakładając ręce za głowę i ponownie wystawiając boscie stopy na biurko. - Ja raczej zapytam: dlaczego akurat my?

- Ato - odpowiedział Hycke - niech na razie pozostanie moją słodką tajemnicą.

- No dobrze - odezwała się po chwili milczenia Złota, nie patrząc na Karego. Sięgnęła do szuflady i wyjęła jedną z teczek. Otworzyła i wyciągnęła z niej zadrukowaną gęsto kartkę. Podała ją Hycnemu. -Proszę bardzo. Oto nasz cennik. Przygotuję panu kalkulację. Biorąc pod uwagę charakter zlecenia, uprzedzam: nie będzie tanio.

Chciało ci się śmiać, Kary, gdy widziałeś, jakie oczy robi Hycke, czytając cennik. I jak siłą powstrzymuje się, by nie zacząć krzyczeć, że to rozbój w biały dzień.

- Panie Hycke? - zapytałeś z głupia frant. - Powiedz pan, bo mnie to od dziecka nie daje spokoju. Czy to pan kazałeś zabić Wieniawę?

Złota parsknęła. Hycke spojrział na ciebie, rozkojarzony.

- Tak - powiedział. - I Narutowicza, i Hitlera. Wszystkich.

- Dziwne - powiedziałaś, Kary, gdy Hycke poszedł, a Złota nerwowo chodziła po całym gabinecie, marszcząc brwi, klnąc pod nosem i tupiąc bosymi stopami. - Nie wspomniał nic o Bożycach.

- Tak - powiedziała. - Dziwne.

- No ale w tę prowokację, rozumiem, wchodzimy?

- Jak to powiedział Zagłoba do Heleny: „A masz co innego?”.

- Słowem: dajemy się szantażować?

- Kary, kurwa mać: a mamy dać się zamknąć? Tak. Dajemy. I patrzymy uważnie, co dalej, obserwujemy sytuację. Szukamy dziur, szczelin.

- Ci, którzy zabili Lasotę ...

- Są najpewniej tymi samymi, którzy szkodzą Hyckemu. Dziwne to, ale na to wychodzi.

- Nie łapię.

- Wiem.

Gdy Kary wychodził z biura, pan Grześ patrzył w inną stronę. Udawał, że czyta gazetę. Recepcjonista Woj tek, który czuł, że coś się wydarzyło, patrzył za tobą, Kary, oczami jak dwie kamery przemysłowe. A ty, Kary, stanąłeś w drzwiach, już wyciągałeś dłoń, by je pchnąć - ale nie pchnąłeś.

Odwróciłeś się do Grzesia i podszedłeś do niego powoli. Wyjąłeś mu delikatnym, pieścotliwym wręcz gestem z dłoni gazetę. Grześ patrzył ci bezczelnie w oczy, uśmiechając się lekko. Ty uśmiechnąłeś się również, po czym dałeś mu w twarz. Mocno, z pięści. Tak szybko, że nie zdążył nie tylko się uchylić, ale nawet podnieść ręk. A później doskoczyłeś do niego i zacząłeś go bić i kopać tak, że przyglądający się temu z początkowym zachwytem odźwierny Wojtek

zaczął cię odciągać. Odtrąciłeś jego ręce i nachyliłeś się nad leżącym Grzesiem. Wyjąłeś z kieszeni nóż.

- Wiesz co jest najlepsze, Grzesiu? - syknąłeś. - To, że gdybym nawet teraz ci oko wydłubał, to nikt by mi nic nie zrobił. Jeśli sam Hycke tutaj przychodzi po prośbie, to znaczy, że naprawdę mu na tym zależy. I to podejrzanie bardzo mu zależy.

Grzesio odpełznął parę centymetrów dalej, pod ścianę, i wpatrywał się w ciebie złymi, bardzo złymi oczami.

- Ale tego nie zrobię - powiedziałeś cicho, nachylając się nad nim. - A wiesz dlaczego? Bo te trupy u Krenca zrzuciłeś na mnie, nie na Beatę. To dobrze.

- Ależ ty jesteś popierdolony, człowieku - odpowiedział ci Grześ.

- Przekaż szefowi - syknąłeś mu, Kary - że go nie zawieziemy.

DZIEWCZYNA

Kary leży w wannie i otrząsa się ze snu.

Potem wypuszcza gorącą wodę z wanny, wstaje, zaciąga zasłonkę i bierze krótki lodowaty prysznic. Ryczy jak zwierzę. Wyciera się kosmatym ręcznikiem ukradzionym dawno temu z hotelu Polonia we Lwowie.

Beata jeszcze śpi.

Wczoraj znów wróciła późno, ma prawo spać.

Kary nie włącza muzyki, dziś bez radosnych marszów, bez duszę rwących pieśni, nie chce jej budzić. Podchodzi do okna, otwiera je i zapala egipskiego. Kary pali i patrzy na Warszawę. Warszawa i Kary.

Patrzy i myśli o Kalwarii. O tym, jak obcy się tam czuł. W Warszawie zresztą też czuje się obcy.

Patrzy i widzi przechodniów, dwóch policjantów w ciemnogrnatowych mundurach snujących się po ulicy jak dwa znudzone żuki. Od czasu zamachu zwanego Rzezią 15 Maja noszą długą broń, ale nie wyglądają jak obrońcy, raczej jak dwa wymięte kapcie. Idą ciężko, ospale. Kary widzi fryzjera, który wyszedł z zakładu na rogu Śliskiej i Wielkiej i pali papierosa, widzi dziewczynę stojącą pod markizą restauracji Satyr i rozmawiającą przez mobil. Widzi ciąg kamienic, starszych i nowszych, te z końca dziewiętnastego wieku, te z pierwszej połowy wieku dwudziestego i te z drugiej połowy, tworzące kamieniczne kaniony z markizami u nasad, które sprawiają, że całe kwartały

Warszawy wydają się podobne do wszystkich innych nudnawych w gruncie rzeczy miast tej północno-środkowo-wschodniej części Europy, od Berlina, przez Królewiec, Kowno, Rygę, Gdańsk, po Tallin i Helsinki: zabytkowy rdzeń, mniej lub gorzej zachowany, raz bardziej hanzeatycki, raz mniej, trochę dziewiętnastego wieku, tu rosyjskiego, ówdzie niemieckiego, a już dwudziesty - to w zasadzie wszędzie to samo, i różni się to wszystko od siebie językami napisów na kamienicach. Aspiracje do stworzenia czysto polskiego stylu skończyły się po latach pięćdziesiątych. Nie licząc, oczywiście, tego city Szukalskiego. O tak. Czegóż takiego nie ma nigdzie na świecie.

Szukalski może być wariat. Ale zdolny wariat. Kary dopala i idzie do sypialni.

Beaty nie ma, jest tylko rozkopana pościel.

Nie ma też jej rzeczy. Musiała wyjść, Kary, gdy się kąpałeś.

Kary odpina swój mobil od ładowaczki i wybiera jej numer.

Nie odbiera. Ale nie przejmuj się, Kary, wiesz, że Beata często tak znika.

Złota też tak zniknęła - myślisz, Kary, a ja ci złośliwie dopowiadam: „Aż zniknęła zupełnie”, a ty próbujesz mnie nie słuchać, bo, w sumie, faktycznie: ani to zabawne, ani oryginalne. Ale mnie bawi.

Przeglądałeś akta zabójstw Kuby Hieroglifa, które przywiózł wam Hycke. Nie podejrzewałeś nawet, że to wszystko odbyło się w taki sposób. O wiele straszniejszy, niż można było wywnioskować z lektury gazet.

Nie rozumiałeś nawet tego, w jaki sposób jeden - a znalazłeś ślady tylko jednego - zabójca, a raczej, sądząc po śladach - zabójczyni, był -bądź była - w stanie zamordować, oprawić, a następnie przetransportować na cmentarz Lasotę.

Nie wspominając o twoim pierdolonym żołnierzyku, który został tam zostawiony. Dla ciebie, bo dla kogo innego.

„Mario, wybacz mi”. Twoja matka miała na imię Maria. Trup został znaleziony w jej grobie. Leżący na jej zbutwiałej trumnie. Zamknąłeś oczy i pod powiekami pojawiła ci się jej czaszka. Takich rzeczy być nie powinno. Takich rzeczy nie powinno się oglądać.

Odgoniłeś tę wizję od siebie.

Możliwe zresztą, że zabójców Lasoty było więcej . Nie miałeś przecież czasu ani możliwości porządnie się rozejrzeć. Jakies ślady mogły ci umknąć. Choć intuicja, a tej u siebie wierzyłeś, mówiła ci, że raczej nie umknęły.

Intuicja mówiła ci też, gdy czytałeś akta pozostałych spraw, że za zabójstwem Lasoty stał ten sam sprawca, który stał za wszystkimi zabójstwami szych. A utajniono wyłącznie szczegóły tych spraw. Choć nie sprawca - sprawcy. To było niemożliwe, żeby tego wszystkiego dokonał jeden człowiek.

Pierwszy trup Hieroglifa - Jan Tarnowski - fabrykant, potentat wspierający Obóz Narodowy.

W willi fabrykanta w Konstancinie, wielkiej , stylizowanej na polsko-aztecką szukalstycznej piramidzie, znaleziono wyłącznie głowę Tarnowskiego. Stała na kominku, oczy miała wytrzeszczone, a na czole ktoś wyrysował krwią hieroglif. Symbol, który wyglądał na magiczny, satanistyczny, ezoteryczny, okultystyczny - nie do końca było wiadomo jaki, bo nikt jako żywo tego symbolu z niczym pokojarzyć nie mógł, ani okultyści, ani sataniści, ani osoby parające się, jak same twierdziły, magią. A prasa używała wyżej wymienionych pojęć wymiennie.

W aktach znaj dawała się fotografia przerażającej, wyszczerzonej głowy Tarnowskiego. Symbol wyglądał tak:



I był to ten sam symbol, który znaj dawał się na ścianie zamku Lasoty.

I nikt nie mógł o tym, jak ten symbol wygląda, wiedzieć, poza ludźmi zajmującymi się sprawą. Bo akta, które czytałeś, były ściśle tajne. I żadne szczegóły do prasy nie przenikały.

Pod kominkiem leżały wnętrzności fabrykanta Tarnowskiego. Przełyk, zauważał autor raportu, był fachowo, po myśliwsku, oddzielony od tchawicy i związany w supeł. Ciało znaleziono później, w sadzawce za willą.

Ochroniarze Tarnowskiego leżeli w ogrodzie, zarżnięci jak dzieci we śnie. Wielkie, dwumetrowe chłopiska, jak prasowa wieść donosiła, emerytowani policaję z oddziałów specjalnych, którzy - jak wielu z nich -po odbyciu służby zatrudniali się jako elitarni ochroniarze dla bogatych skurwysynów. Ktokolwiek to zrobił, myślałeś, Kary, musiał być więcej niż profesjonalistą. Żadnych śladów, żadnych tropów, tylko czterech byków położonych jak szczenięta - i to nożem, nie kulą.

Nie byłeś pewien nawet, Kary, czy ty byś sobie dał z tym radę, a jednak przecież dajesz sobie radę nadprzeciętnie. Bez fałszywej skromności.

Chłopy z polskich chawer, myślałeś, muszą być coraz zwinniejsze. Może faktycznie, myślałeś, Kary, ktoś z kadry puścił farbę i zaczął, mimo wojskowej przysięgi, szkolić cywili w sztuce walki polskich komandosów, PSWB korona?

Wcześniej czy później, myślałeś, Kary, to się musiało stać. Żałowałeś tylko, że to nie ty, bydlaku zdradziecki, zrobiłeś to pierwszy, bo przecież proponowano ci swego czasu poprowadzenie takich szkoleń, i to za naprawdę porządne pieniądze. Ale nie, Kary, idioto, ty jesteś etycznie czysty. I proszę: nic z tego nie masz, a szkolone w pieswybie, o, przepraszam, koronie, bandziory grasują po ulicach tak czy owak.

Nie to że w ogóle nikogo w pieswybie nie szkolili. Szkolili oczywiście oporowców. Ale to inna historia. Za darmo i z tak zwanego obywatelskiego obowiązku, nawet jeśli, szczerze mówiąc, bardziej się do odczuwania tego obowiązku zmuszałeś niż go czuleś.

Tym bardziej że wyszkolić w pieswybie to nie w kaszę dmuchał. Nie każdy, kto się posługiwał koroną, potrafił w niej uczyć. System był zbyt skomplikowany i tylko „mistrzowie”, jak nazywano nauczycieli po specjalnej państwowej szkole PSWB korona, znali dostatecznie dobrze teorię używanych w nim technik. A oni,

śmiano się, tworzyli „zakon”. Duszą i ciałem oddany Rzeczypospolitej, niezłomny, nieprzekupny. Trwali przy państwie jak wierni rycerze przy umiłowanym królu.

Nawet zresztą myślałeś, że może to właśnie Opór w tym palce maczał, tylko od kiedy Opór bebeszył ofiary jak myśliwi na polowaniu, od kiedy malował zabitym przez siebie ludziom bohomazy na czołach? Od kiedy w ogóle głowy ludziom odcinał, jak jacyś łowcy głów?

No i w końcu - gdyby to był Opór, to raczej coś byś o tym, Kary, wiedział.

Potem zginął Tyc. Mikołaj Tyc. Bandzior, milioner, obozowiec, stronnik Snardza. Były minister transportu.

Żona Tyca, hrabina Milena primo voto Potocka, nie zginęła zapewne tylko dlatego, że nie było jej w domu: od dawna już mieszkała w Mediolanie, na wysokiej pensji wyznaczonej jej przez męża tylko po to, by trzymała się z daleka od niego, jego życia i rodziny, co też z chęcią robiła. Głowę Tyca ustawiono, podobnie jak w przypadku Tarnowskiego, na kominku. Widniał na niej wymazany jego własną krwią symbol.

Ten sam.

Ochroniarze leżeli zarżnięci na podwórzu. Przemieszani z psami: raz pies, raz ochroniarz.

I znów nic. Prawie żadnych śladów.

Kolejny - Leon Rettinger. Aktor, reżyser. Państwowy propagandzista. Autor między innymi filmu o żołnierzach zaginionych w dżungli na San Fernando, o Polakach mordowanych przez Ukraińców w Małopolsce Wschodniej, o banderowskich terrorystach, niemieckich i bolszewickich szpiegach.

Jego głowę i wnętrzności znaleziono, żeby było weselej, w jego własnym gabinecie, w biurowcu Morawieckich w Ochockim City. Głowa stała na biurku. Na czole miała wyrysowany hieroglif.

Ten sam.

Głowę znalazła sekretarka, która rano przyszła do pracy.

Monitoring niczego nie nagrał, bo go ktoś wyłączył.

Wnętrznosci Rettingera leżały na puchatym, miękkim dywanie, który Rettinger dostał kiedyś od jakichś tureckich dostojników, którym nakręcił film o Atatiirku w zaprzyjaźnionej z Rzeczpospolitą Ankarze. Na twarzy Rettingera zastygł był, jak to ujął „Kurier” w swojej relacji, „wyraz bezbrzeżnego przerażenia i jakby rozpacz”, co cię bardzo, Kary, rozbawiło. Bardzo śmieszne. Okno było co prawda uchylone, ale gabinet znajdował się wysoko, na siódmym piętrze.

Kolejny był Krasnohorski. Były premier. Jego głowę znaleziono w prywatnej willi, nad ranem, wetkniętą w otwór sedesu. Z symbolem wyrysowanym na czole. Tym samym symbolem.

Ciało leżało w wannie.

Akt Lasoty Hycke już nie dostarczył.

- Siedzi na nich dupą Ćwilichowska - oświadczył obrazowo. - Nawet kopii nie ma jak zrobić.

Stoisz pod willą w Konstancinie, w której Hieroglif zamordował fabrykanta Tarnowskiego. Właściwie czujesz ulgę, że sprawa Hieroglifa jest teraz twoją sprawą. Dzięki, Hycke, skurwysynie ty. Czujesz ulgę, bo możesz się tym spokojnie zająć, bez poczucia straty czasu. I pieniędzy. I możesz spokojnie powiązać to wszystko ze sprawą z Kalwarii.

Cóż za wspaniały szantaż.

Willa jest wielka i sterczy ponad konstanciński las sosnowy jak piramidy nad jukatańską dżunglą. I wygląda jak jukatańska piramida. Ach ta szukalszczyzna, szczególnie wybujała po polskim sławetnym podboju Karaibów. Gdzie nie spojrzeć - jakiś smok wawelski stylizowany na Quetzalcoatla, pierwsi Piastowie z piórami u bosych stóp grający w piłkę czaszkami Niemców, którym za Łabą nudno było. I tak dalej . Tutaj potrzeba egzotyzowania prząsnej polskostki podwarszawskiej, mazowieckiej , wyglądała jak erupcja gigantycznego kompleksu i chęci pozbycia się czegoś, co powszechnie określano jako „polską szarzyznę” (a czego ty, Kary, nigdy nie rozumiałeś, bo żadnej szarzyzny w Polsce nie dostrzegałeś, a jedynie co najwyżej subtelną grę paletą zimowo-

jesiennych barw, ale w końcu jesteś chamem i nie musisz się znać, a używać słowa „subtelny” wręcz nie powinienes).

Obchodziłeś ogrodzenie dookoła. Teren był spory, kwadratowy, willa zajmowała jego większą część, ale wejścia były tylko dwa: z przodu i z tyłu. Okna były niewielkie, za kamiennymi kratami, w środku musiało być ciemno jak diabli. Czego się nie robi dla efektu. Albo bezpieczeństwa. Bo willa wyglądała niby jak piramida, choć tak naprawdę była bunkrem. Aż dziwne, że Tarnowski miał tylko czterech ochroniarzy.

Willa była opuszczona. Nikt tu już nie mieszkał, Tarnowski rodziny w Warszawie nie miał, z tą, która została w rodowym majątku, kontaktu nie utrzymywał, i sam żył w tej azteckiej piramidzie, jakby notabene stworzonej do składania ofiar. Wyobrażałeś go sobie, jak chodzi samotnie po tych wielkich korytarzach, które muszą, tak myślałeś, wyglądać jak komory grobowe, pełne jakichś tajemniczych zapadni, ukrytych przejść i pokojów, skarbców i wszyscy diabły, polscy i azteccy, wiedzą czego. I nakręcał przez mobil interesy, przelewał pieniądze z jakichś tajemniczych kont na inne tajemnicze konta. Tylko on i czterech wielkich byków, ochroniarzy.

Jak oni, do cholery, to zrobili? Jak komukolwiek, kto nie dysponował co najmniej oddziałem komandosów, udało się tam wtargnąć, przesadzić to wielkie, choć tandetne ogrodzenie, zakończone kolcami, przejść przez ochroniarzy, i to tak, by nie pozostawić śladów specjalnie intensywnej walki? A nie było śladów nie tylko intensywnej walki.

To znaczy, Kary, wiedziałeś, jak mogło. Tylko że to musiałyby oznaczać, że zrobił to albo ktoś od was, z sił specjalnych, albo ktoś bardzo długo i sprawnie przez siły specjalne szkolony.

No albo zespół chińskich karateków z filmów z Johnem Changiem. Nie przychodził ci do głowy nikt inny, kogo mógłbyś podejrzewać o taką sprawność. Chewry? Bandyci? Miłe chłopaki, fantazji im nie brakuje, ale polskie chewry nie umieją inaczej niż na rympał wjechać, to tradycja szlacheckiego zajazdu: najpewniej najpierw ukradłyby z Muzeum Wojska Polskiego stary czołg Wyrwidąb

albo Waligóra, wjechałyby do środka razem z ogrodzeniem i nie przestałyby jechać, dopóki czołg by nie ugrzązł w środku piramidy. A później wydałyby ochroniarzom i Tarnowskiemu regularną wojnę na wyniszczenie.

UPA? ŻAR? Żubr? Czy oni mają takich speców?

Jacyś obcy agenci? Sowieccy? Niemieccy? Może litewska Sauguma, wściekła na ostatnie ruchy Tarnowskiego na kowieńskim rynku? Niewykluczone, ale jacy agenci byliby aż takimi zwyrodnialcami? I po co?

No nic, pomyślałeś. Jeśli wszystko było robione tak, jak podejrzewałeś, że było, powinny zostać jakieś ślady. O ile nie odkryła ich policja. Albo nie zdeptała.

Jak ty byś to załatwił, Kary?

Ano prosto. Jedna osoba wrzuca na przykład petardę z jednej strony ogrodzenia, a druga zajmuje dogodny punkt obserwacyjny, choćby tam, na tym drzewie, z którego jest idealny widok na cały front budynku, i obserwuje, co się dzieje. Kto skąd wychodzi, jakie zajmuje pozycje. Odczekuje się jakiś czas, by dać im chwilę do namysłu, zobaczyć, czy dzwonią na policję, czy puentują „eee, gówniarze jakieś”. Jeśli dzwonią na policję, co jest raczej nietypowe, czeka się, aż ta odjedzie, znudzona, śmiejąc się, że tacy wielcy panowie, a kapiszonów się boją. A potem wrzuca się już nie petardę, a granat hukowy. Tamci dostają kociokwiku, wybiegają wszyscy, a nawet jeśli nie, to już, obserwując ich, wiemy, który gdzie siedzi, skąd wybiega i jak reaguje, po czym przystępujemy do dzieła. Jeśli wiemy jak i umiemy.

Podchodzisz do drzewa, które typujesz jako punkt orientacyjny. Stoi jakieś dziesięć metrów od ogrodzenia, w głębi młodego lasu, ale jako jedyne jest stare i wysokie, i musi być z niego widać wszystko jak na dłoni.

Pod drzewem widać ślady. Bardzo podobne do śladów pod zamkiem Lasoty. Wojskowe buty. Mały rozmiar. Dziewczyna.

A obok leży odpruta naszywka. Taka naszywka, jaką noszą żołnierze na mundurach. I to była naszywka z twoim imieniem i nazwiskiem, Kary. I z twoją grupą krwi.

- Co, kurwa? - mruyczysz i drapiesz się, jak głupek, w głowę. Trafiasz palcami na metalową płytkę i czujesz, jak zwykle, ból.

Kary znów jest w domu i rozmyśla o dziewczynie w wojskowych butach.

I o starej naszywce z munduru.

Wyciąga ją z kieszeni i ogląda. A później kładzie na półce, obok żołnierzyka.

Skąd ta naszywka?

Kiedy ostatni raz miałeś na sobie połowy mundur?

Na Fernandynie. I później , w transporcie do Polski. I później , podczas rozprawy. Bez dystynkcji.

Dystynkcje poodrywałeś sobie sam. Jeszcze wcześniej . Tę naszywkę, o ile pamiętasz, też. Oderwałeś i wyrzuciłeś. Albo schowałeś do kieszeni i o niej zapomniałeś, choć raczej tego byś nie zrobił. Bo przecież to bez sensu. Ale cholera wie. Mało to rzeczy w życiu zrobiłeś bez sensu?

Ale, do cholery, skąd tu ta naszywka? Teleportowała się z Fernandyny? Z miejsca, w którym ją wyrzuciłeś, gdzieś w dżungli? Kurwa, Kary, myśl. To przecież nie może być ta naszywka.

Więc co to za naszywka? Z jakiegoś twojego innego munduru? Starego?

A może to jest naszywka, którą ktoś celowo kazał wyszyć? Takie naszywki można zamówić w każdym sklepie z militariami.

Ktoś, w każdym razie, chciał cię wmieszać w całą tę imprezę. Podrzucając naszywkę z twoim imieniem i nazwiskiem (i grupą krwi), zostawił jasny przekaz: chcę Karego w tej sprawie. Trud sobie zadał, żeby cię w to wszystko wstawić. Ale w jakim charakterze? Jako podejrzanego? Nie no, najgłupszy glina, nawet Sarkań, rozumiałby doskonale, że to zbyt grubymi nićmi szyta sprawa. Jaki debil zostawia ślad w postaci odprutej od munduru naszywki z nazwiskiem? Nawet Sarkań by rozumiał, że to ewidentna podrzutka.

No chyba.

Zresztą tępe gliny nie przeszukały całego lasu. I nie znalazły naszywki. Plan spalił na panewce. To jest właśnie Polska - myślałeś. -Zbrodniarz wymyśla dopracowany w każdym szczególe, ambitny plan i nic się nie udaje ze względu na nieudolność polskich władz.

Ale kto ją tu podrzucił?

Ta dziewczyna od śladów?

A ona w ogóle co, celowo te ślady zostawiła? Tutaj i pod oknem pałacu? Przecież to po prostu fart, że na przykład deszcz ich nie zmył. Choć - pomyślałeś, przyglądając się im - ślady są głębokie. I pozostawione pod drzewem, w miejscu, gdzie nawet podczas ulewy nie byłoby raczej specjalnie mokro.

Nie myśl za dużo, Kary. Płytką ci się przegrzeje. Kula, która zatrzymała się w twoim mózgu, polecą dalej. Zamknij oczy i pozwól działać intuicji. Tak jak to zawsze robisz. A może po prostu miała w dupie, czy zostawia ślady czy nie? Może to po prostu zwykła nonszalancja? Ale przecież działała, działali, bo przecież sama tego nie mogła zrobić, w rękawiczkach. Bo przecież żadnych odcisków palców nie znaleziono.

Wyobrażasz sobie, Kary, jak dziewczyna przeskakuje przez płot i morduje nożem czterech ochroniarzy, wybebesza Tarnowskiego, odrzyna mu głowę, stawia na kominku.

A potem powtarza to samo z byłym premierem.

Bo cała reszta, te gangstery na Kercelaku, policjanty, Sara Rojzman i inni. .. to zawracanie głowy. To kto inny. To już, kurwa, społeczeństwo korzysta z okazji, z wielkiego dymu, i załatwia przy okazji swoje sprawy. A niech załatwia.

Zresztą, myślisz, jeśli już dwa razy dostałeś znaki, ba, nawet prezent, to najprawdopodobniej dostaniesz go raz jeszcze.

Trzeba więc czekać.

Kary otwiera szeroko okna, żeby chłodne, stalowe powietrze weszło do pokoju, zimne i pachnące smogiem. Tak inne od tego w Kolonii, San Fernando czy - jak to się mówiło i nadal mówi - na Nowej Polsce. Tam, jeśli chodzi o klasyczne

wyobrażenie raju, faktycznie jest raj. Bo cóż, można chodzić nago, jak Adam i Ewa, można wyciągnąć rękę i owoc z drzewa zdjąć, można, pod niebem tak błękitnym, że aż boli, leżeć i patrzeć, jak palmy się kłaniają oceanowi, jak jakieś głupki wszechwładnemu bogu.

Ale mieszkańcy tropikalnych rajów mają od setek lat tego pecha, że ciągle przybywają do nich mieszkańcy piekieł, bo piekło rozwija się szybciej niż raj, podobno właśnie z powodu niesprzyjających warunków klimatycznych w piekle, wymuszających postęp i takie tam. A w raju, jak to w raju: rajski brak cywilizacji, natura i proste zasady, ulegniesz pokuszeniu - zostajesz okrutnie ukarany przez współrajskich obywateli albo, co gorsza, przez przewodniczącego raju: ukradniesz nie swoje jabłko - zdychaj poza społecznością. Słowem - też oczywiście rodzaj piekła, ale mniej skomplikowany.

Piekło natomiast mówi o prawach szarego diabła, w pewnej mierze faktycznie ich przestrzega, w swojej krainie pełnej piekielnych kotłów napędzających piekielne maszyny. I na takich piekielnych maszynach, pełne godności i praw diabła, piekło płynie do raju, obejmuje go w posiadanie - i tam sobie z kolei to piekło próbuje robić raj.

Popuszcza szatańskim fantazjom, bo mieszkańcy raju to, z punktu widzenia piekła, rajskie dzikusy, gołe, naiwne i rządzące się prymitywnym prawem. Słowem - prawa piekła i szatanów w raju nie działają, a przynajmniej nie obowiązują mieszkańców raju.

A przybywają szatani z kolejnych kręgów piekła: najpierw Portugalczycy, z pierwszego kręgu, potem Hiszpanie, później Kurlandczycy, przez chwilę ledwie, więc krąg trzeci, potem Anglicy, krąg czwarty, później znów Hiszpanie, piekło nabiera siły przemysłowej, rajskie anioły nie przypominają już aniołów, tylko są przez diabły zapędzane do palenia pod kotłami i eksterminowane, bowiem niespecjalnie nadają się na sąsiadów diabłów osadników, którzy chcieliby z rajem związać swoją przyszłość.

A później, po krótkiej wojnie Europy z Hitlerem, po której wyrosło w piekle nowe mocarstwo, Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska, pierwsze w historii

mocarstwo ufundowane na kredyt, mocarstwo stworzone i napompowane sztucznie, żeby pomagało pilnować Niemców, kontrważyło Francuzów i oddziało Europę kordonem od sowieckiej Rosji, robiącej za piekło piekieł, przyszedł krąg piąty.

Rzeczpospolita Polska, która kolonii nigdy nie miała i wtedy, kiedy to było modne, mieć nie chciała, nagle, po latach, obudziła się. Jak dziecko, które zazdrości innym dzieciom oznak statusu: ja też chcę! Więc dano jej, co tam, niech ma. Frankistowska Hiszpania, w ramach wielokrotnie deklarowanej obopólnej sympatii, sprzedała w końcu Polsce kolonialny narkotyk, małą, ale mocną pigułkę: San Fernando, wyspę na Morzu Karaibskim. Propagandowe znaczenie miał fakt, że była to jedna z wysp, którą w siedemnastym wieku próbował skolonizować kurlandzki książę, lennik Rzeczpospolitej - Jakob Kettler.

W Rzeczpospolitej rozpisano konkurs na nową nazwę: zwyciężyła mało wyszukana koncepcja - Nowa Polska. WRACAMY NA MORZA! -ryczały plakaty oficjalnej propagandy i tytuły prasowe. W kraju panowała euforia, trudna do zrozumienia euforia - po ulicach Warszawy, Lwowa, Radomia, nawet miasteczek takich jak Nowy Targ czy Mława, przeciągały wielotysięczne triumfalne manifestacje, te, które dawniej, przed hitlerowską wojenką jeszcze, niosły słynne plakaty z dłońmi z dramatycznie rozcapierzonymi palcami wysuwającymi się ze splekanej ziemi i z wrzeszczącym napisem: ŻĄDAMY KOLONIJ DLA POLSKI ! Dzieci szkolne przebrane za małych Murzynków podrzucały do góry banany na sprężynkach, maszerowały setki dziarskich junaków przebranych za oddziały kolonialne, oficjalnie jeszcze przecież niesformowane, w piaskowych mundurach i korkowych hełmach, które cholera wie skąd wytrzasnęli i kto je dla nich uszył, strzelały pod niebo race i fajerwerki, i wyglądało to jak dumna manifestacja najbardziej krępujących emocji, demonstracja parujących bebechów własnych kompleksów, i ci sami Alianci, którzy pomogli Polsce jesienią 1939 roku (nie używało się zwrotu „uratowali Polskę”, bo każdy głupi wiedział, że Rzeczpospolita poradziłaby sobie z Niemcami również sama), a potem zainwestowali w jej rozwój z geostrategicznych względów, patrzyli na

to, co się dzieje, z oczami jak głązy narzutowe. Niby ze śmiechem, ale i najgorszymi przeczuciami, że to wszystko musi się źle skończyć.

Bo cała ta kolonialna impreza odbywała się przecież w ramach tej mocarstwowości na kredyt, która nazywała się „tworzeniem trzeciej Europy”. I mimo że nic, poza leciutkim i rwanym wątkiem Kettlera, Polski z tą kolonią nie łączyło, mimo że ledwie do niej dawała radę dopłynąć tymi swoimi okrętami o nazwach stepowa-kontynentalnych harcowników, typu „Stefan Batory”, „Jarema Wiśniowiecki”, „Jan III Sobieski”, którzy jeśli jakieś morze w życiu widzieli, to był to suchego przestwór oceanu - wepchała się tam ze swoimi kopiowanymi od piekielnych prawami, ze swoim diabelstwem kopiującym prawdziwe diabelstwo, i tym bardziej zajadłym, im bardziej trzeba było swoją diabelskość uzasadniać. A gdy w końcu aniołowie rajscy, choć do prawdziwych aniołów, jak wszystkim, było im równie daleko jak diabłom do prawdziwych diabłów; gdy się w każdym razie zbuntowali przeciw tym dziwnym, zapóźnionym diabłom, bo w końcu wszędzie indziej diabły wracały do siebie, do piekieł, a te się tutaj dopiero, jak gdyby nigdy nic, instalowały i nadawały miejscowościom te swoje dziwne nazwy: Port Mickiewicza, Polska Wola, Śmiglice, Nowy Wawel, Nowa Kurlandia, Kettlerów - to wtedy, w odpowiedzi na ten raj ski bunt, polskie diabły uruchomiły te wszystkie okręty o imionach stepowych watażków, a na tych okrętach siedziały powyciągane z chałup jak Rzeczpospolita długa i szeroka diabłęta, wychowane na Sienkiewiczu, Kiplingu i Mayu, Conradzie i Vernie. A między nimi nasz kolega Franciszek Kary w ramach oddziału sił specjalnych. Jeszcze bez ukraińskiej kuli w głowie i płytki w czaszce, za to ze sporymi umiejętnościami nabytymi w szkole Wojskowego Ośrodka Spadochronowego w Bydgoszczy, a następnie w tajnym Ośrodku Dywersyjnym w Radomiu.

Jak się, Kary, rodzi chamem ze wsi, i w dodatku bękartem, to się też ma kompleksy, dokładnie takie, jak Rzeczpospolita ma wobec Zachodu.

I też się chce pokazać światu, co to nie ja. I dlatego robi się wszystko, by dostać się, jak ty, Kary, do wojska, żeby wyrwać się z tego beznadziejnego położenia,

gdzie ani w jedną, ani w drugą, a w tym wojsku robi się wszystko, by nie skończyć jako szary, zgorzkniały trep, i idzie się do WOS w Bydgoszcy, gdzie, dopóki starcza energii, znów robi się wszystko, by błyszczeć na tyle, by dowódcy dojrzeliby w tobie potencjał i popchnęli twoją, pożałujcie boże, karierę państwowego mięsa bojowego dalej .

Siedziałeś teraz z Lurjem w barze Stokrotka przy ulicy Belgijskiej na Mokotowie, takie sobie znaleźliście ukrycie, i obserwowałeś fachowy kamuflaż Lurjego: ciemne okulary, mimo że na zewnątrz było jesienno, ciemnoniebiesko i nastrojowo, ale na pewno nie słonecznie, elegancko przystrzyżony zazwyczaj wąsik był tym razem zagadkowo rozwichrzony. Lurje, zawsze elegancki i spod igły, tym razem miał na sobie starą parkę, której musiał używać na co dzień w garażu, gdy pielęgnował swojego starego, kolekcjonerskiego mercedesa, jakieś przydeptane buty i za duże spodnie. Kary podejrzewał, że należały do syna Lurjego, kretyna i osiłka, który - ku utrapieniu rodziców, porządnych ludzi z wyższej klasy średniej - nie chciał iść na prawo, medycynę czy choćby zarządzanie, a ciągiem siedział na jednej z nordziarskich siłowni i żarł odżywkę.

Syn, opowiadał ci Lurje, miał ciągłą depresję. Co jakiś czas, mówił, podejmował próby samobójcze. A gadał o samobójstwie bez przerwy. „Nie wiem, kim jestem, nie wiem, kim jestem” - przedrzeźniał syna Lurje. „To się zdecyduj , ja mu mówię. Przysięgam, Franc, gdyby tak się w końcu, kurwa, skutecznie zabił, zamiast tak ciągle gadać i próbować, tobym poczuł niekłamana ulgę. Już mnie cholera bierze, jak na tego kretyna patrzę”.

Tym razem to Lurje, ewidentnie, był w fazie depresyjnej.

- Naprawdę, Mojżesz - zapytałeś, Kary - potargałeś sobie wąsik, żeby cię nikt nie poznał?

- Ja mam żonę - z godnością odparł Lurje. - I dziecko - dodał po namyśle. - Ja nie jestem taki jak ty, nieodpowiedzialny. Ja mam dla kogo żyć. Nie mogę się teraz z tobą oficjalnie spotykać, jeśli pracujesz dla Hyckego. Kto wie, dla kogo na górze możesz być spalony.

- W tym rzecz - odpowiedziałeś - że nikt nie wie, że pracuję dla Hyckego.

- W tym rzecz - odparł - że sam, jak mi mówiłeś, nie wiesz, w co gra Hycke.

Więc nie wiesz, kto i co wie. I dlatego się przebrałem. Żeby nikt mnie nie poznał.

- Ja cię poznałem. - Pokiwałeś głową.

Mojżesz Lurje przysunął w swoją stronę filiżankę z herbatą (kawy nie pił, bo twierdził, że wypłukuje serotoninę). Choćby przebrał się za wiecheć słomy - pomyślałeś, Kary - i tak by go można było poznać po tych dystyngowanych ruchach, po tym przysuwaniu i odsuwaniu z odgiętym paluszkim, po tych mikrogestach, z których każdy kończył się jakby nożem uciął, w idealnym miejscu i momencie, sprawiając wrażenie, jakby był zaplanowany już tydzień temu.

- Ty mnie poznałeś - powiedział Lurje rozwlekłym, flegmatycznym głosem - bo się mnie spodziewałeś. A kto by się spodziewał Mojżesza Lurje w barze kawowym Stokrotka na dzielnicy Mokotów? Nikt, Kary. Co masz?

Westchnąłeś i opowiedziałeś mu o śladach wojskowych butów. Śladów tych, dodałeś, nie było w aktach sprawy. Nikt w ogóle nie brał pod uwagę takiego rozwoju wydarzeń, jaki brałeś ty, nikt nie pomyślał nawet o tym drzewie, a dla ciebie po rzuceniu okiem na teren i wyobrażeniu sobie celu akcji taki plan działania był naturalny i oczywisty. I potwierdziły to ślady.

Znaczy - ktoś jest tutaj z podobnej szkoły co ty. Znaczy - powiedziałaś - wojsko . Polskie specsłużby.

O żołnierzyku ani naszywce oczywiście nie powiedziałaś.

- Kary, Kary ... - Lurje z politowaniem kiwał głową. - A czy to miejsce było zabezpieczone? A może jakieś dziecko poszło tam na grzyby?

- W sierpniu na grzyby, matole. W butach specjalnych oddziałów Wojska Polskiego. W taki ni to lasek, ni to chujasek, do prywatnego lasu jakiejś wielkiej szychy, gdzie nic, kurwa, nie ma i skąd wszędzie jest daleko. I do tego włąziło właśnie na to drzewo. - Upiłeś łyk kawy z koniakiem. Nie ma kawy bez koniaku. Nie ma pustych przebiegów.

- A skąd prowadziły te ślady? Bo dokąd, to, według ciebie, wiadomo: na drzewo. Mamy do czynienia z drzewnym bandytą. Nadrzewnym.

- Drzewo było obtarte, miało obtartą korę, właśnie tam, gdzie postawiłby nogę ktoś, kto chciał się na nie wspiąć. Wiem, że z ciebie żaden traper, tylko miej ski glina od żarcia pączków, gonienia konopiarzy z kumetami i krzyczenia „stój, bo strzelam”, ale ja się na tym znam. Ale skąd prowadziły - nie wiem. Wszędzie dookoła była ściółka, błoto wyschnięte zalegało głównie pod drzewem. Ale ktoś się tam pod nim kręcił, ktoś wlaził na drzewo i zlaził. Jak wiesz, prowadzimy dochodzenie partyzanckie, nie mam techników...

- W porządku. - Lurje skinął głową. - Jeśli chodzi o politykę... Nie bardzo wiem, na co liczy tutaj Hycke. Ja naprawdę nie wiem, w co gra Hycke, Kary. Być może on sam, po prostu, nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje, czuje się niepewnie i dlatego instaluje ludzi niezależnie od siebie, to tu, to tam, licząc na to, że każdy przyniesie mu kawałek wiedzy i że on z tych kawałków odtworzy rzeczywistość...

- No a jak ty to widzisz?

- Wiesz - westchnął Lurje. - Po mojemu to jest tak, że te zabójstwa trzeba podzielić na kilka grup. Są te najważniejsze, tak? Wielu z tych ludzi było jakoś tam związanych ze Snardzem. Kto może mieć powód, by osłabić Snardza? Sporo osób. Od premiera Krasnohorskiego przez grupę Heidelbergera w Sejmie, Ukraińców, nasze, żydowskie grupy, nie wiem, różne grupy lobbystyczne, aż po Byczą Głowę, choć ten ostatni nie ma tu sensu, bo w ogóle nie musiały się posuwać do takich ruchów. Ale rzecz w tym, że nikt by nie musiał, bo ci zamordowani przez Hieroglifa to wcale nie byli ludzie jakoś ważni obecnie dla Snardza. Mieli z nim kontakty, ale kiedyś, dawno temu. I nie jakieś kluczowe. Zabijanie ich nie miało żadnego celu ani sensu.

- No tak. - Kiwnął głową.

- Są jeszcze inne zabójstwa, które z rozpędu podpina się pod Hieroglifa. Te, powiedziałbym, bardziej uliczne. Bandyci z Kerelaka, wiesz ... ale to, myślę,

apokryfy. Ktoś próbuje załatwić swoje porachunki, stylizując się na Hieroglifa. Tak było na przykład za ostatniej wojny z Niemcami w Wielkopolsce: gdy Niemcy weszli do Poznania w trzydziestym dziewiątym, to jak potem wykazały śledztwa, sporo ludzi przy okazji pozałatwiało swoje sprawy, wiedząc, że w razie czego będzie na Niemców. Albo Polaków. W każdym razie na wojnę. Nie na nich.

- Masz rację - powiedziałaś ostrożnie.

- Kolejna grupa - dodał Lurje - to te morderstwa falangowców. To jeszcze coś innego. To jakiś samotny mściciel, w dodatku z tym znakiem -tu Lurje narysował na stole kółko i kropkę w jego środku - który się powtarza. To jedyny, który się powtarza.

- Tak.

- Pozostałe nie. Niektóre wyglądają a naprawdę jak jakieś prawdziwe symbole, rozumiesz, nie wiem, kurwa, satanistyczne, mistyczne, czarnomagiczne, okultystyczne, chuj je wie. Te są, powiedziałbym, oryginalne. Inne od jakichś przypadkowo nakreślonych, prymitywnych bohomazów. To apokryfy. No i te kółka. I kropki. Te jakby tarcze strzelnicze. To trzecia, odrębna seria.

- Mhm.

- No i jeszcze jedno. Różnią się... hm, jakością wykonania. Te pierwsze, polityczne, to jakby polowania. Są trudne. Jakby ktoś sobie stawiał wyzwania. Jakby coś chciał sobie udowodnić. Te innego rodzaju, te bandyckie, to czysta chałtura. Takie jak inne. No i ten trzeci rodzaj, te skierowane przeciwko krwioziemcom. To zemsta, polowanie. Też kogoś profesjonalnego.

- Zawężając krąg: szkoleni w pieswybie. W koronie.

- Ci ostatni, nie wiem. Może po prostu jacyś antyfaszystowscy testosteroniarze. Ci drudzy, zwykłe fety. Ale ci pierwsi, tak. Oni tak. No chyba że to, nie wiem, sowieckie czy niemieckie służby specjalne na przykład. Ale po co mieliby zabijać bezużyteczne stare truchła polityczne?

ZŁOTA

Beata leży w łóżku.

- Gdzie byłaś? - pytasz, Kary.

- Nigdzie nie wychodziłam. - Beata przeciąga się. - Słyszałam, jak oglądasz „Wiadomości”. Nie chciało mi się wstawać.

Siadasz przy niej i czekasz na jej opowieść.

Ona opowiada.

Nie pytasz, czy zostawiła ślady, czy zrobiła cokolwiek nierozważnego, głupiego. Wiesz, że nie zrobiła.

Ona opowiada, a ty myślisz o jej siostrze. O Złotej .

Po raz kolejny przypominasz sobie historię, której nienawidzisz sobie przypominać. Historię, którą opowiadała ci Złota.

Widzisz ją piętnastoletnią, wsiadającą do pociągu. Pociąg odjeżdża do Sopotów, nad którymi już od pół wieku powiewają polskie flagi, a Złota, wychuchana córeczka tatusia, adwokata Adama Sztolca, i matki, Racheli z domu Finkel, ma na sobie harcerski strój . Rodzice, oj ciec w letniej marynarce i lekkich butach, matka - w drugiej , późnej , ciąży, w ciążowej sukience, odprowadzają ją na Dworzec Główny. Oj ciec wsuwa jej w kieszeń kilkaset złotych. Ci Żydzi to zawsze mają pieniądze - pojawia ci się w głowie taki napis, ale go zmazujesz czym prędzej .

Tego nie widziałeś. To możesz sobie tylko wyobrazić.

Złota wsiada do pociągu, wsiada do przedziału, ma bilet pierwszej klasy, ale nie chce siadać w pierwszej klasie, jest młoda, uważa się za socjalistkę, nienawidzi burżujskiego wynoszenia się ponad innych, i kładzie swoją walizkę na siatkę w przedziale klasy drugiej. Konduktor jednak, patrząc na młodą paniusią z pełnym politowania uśmiechem, każe jej przenieść się tam, gdzie ma rezerwację - do pierwszej. Gdyby nie to, nic złego by się nie wydarzyło. TO by się nie wydarzyło.

Pierwsza klasa była prawie pusta. Mało kogo było stać na bilety po kilkaset złotych. Złota siedziała w przedziale sama i patrzyła, jak pociąg, przejechawszy Wisłę, snuje się wśród coraz bardziej wschodnioeuropejskiego kraj obrazu. Brzózki, piasek.

Ale w Iławie do wagonu pierwszej klasy wchodzi kilku młodych chłopaków. Mają najwyżej po osiemnaście lat i są pijani. Wracają ze zjazdu Falangi w Iławie, gdzie wznoszono hasła o tym, jak to Iława zawsze była i zawsze będzie polska, gdzie upijano się i upajano polskością, gdzie palono, na wzór amerykański, krzyże i gdzie nawoływano do ostatecznego rozprawienia się z obcym rasowo elementem w Polsce, mimo że po rugach Korzyckiego co najmniej dwadzieścia procent Żydów wyjechało do Palestyny.

Przewodzi im Paweł Krzyżanowski. Chłopak z dobrego, choć zubożałego domu. To w zadłużonym po uszy majątku jego rodziców, w Krzyżanowicach, odbywają się ćwiczenia mazowieckiego oddziału NOB-u, Narodowej Organizacji Bojowej „Falanga”, falangistowskiej bojówki. Krzyżanowski zwerbował w Iławie do NOB-u nowych chłopaków. A przyjechało ich na obóz narodowców sporo, z całej Polski. Ze wsi, z miasteczek, z miast. Tłumnie przybyły dzieci nowej migracji robotniczej z peryferii do nowo postawionych fabryk. Budowanych w COP-ie w ramach Alianckiej Pomocy Rozwojowej, APR, w celu cywilizacyjnego podbudowania Polski. Bo Polska ucywilizowana gospodarczo i infrastrukturalnie, kombinowali Alianci, będzie Polską

cywilizowaną również pod innymi względami. Będzie Polską odpowiedzialną, będzie ostoją zachodniego porządku na wschodzie Europy, nie dopuści w końcu, by

Niemcy się zjednoczyli i kiedykolwiek połączyli siły z Rosją, bo tylko taki piekielny sojusz byłby w stanie zagrozić anglosaskiej dominacji na świecie.

Ale nadzieje są duże, bo i propaganda się nie oszczędza. „Budujemy nową Polskę: bezpieczną, bogatą, stabilną”, „Gospodarczy cud nad Wisłą”.

Migracja spora, miasta się zapełniają, oczekiwania rosną. Ale pracy dla wszystkich nie ma i nie będzie, nowi przybysze żyją w otaczających miasta budowanych za państwowe (w dużym stopniu - alianckie) pieniądze modernistycznych osiedlach. Często również w samobudówkach, dobudówkach i przybudówkach, które stawiane są we wchłanianych przez miasta wsiach. Ich mieszkańcy też pracują w mieście, zarabiają - ale nie palą się do burzenia starych domów i budowania nowych. Raczej dobudowują nowe skrzydła, stawiają szopy i wolno stojące budy, które potem, jak naturalnie rozrastające się rośliny, łączą się w całość z powstającym na terenie działki budynkiem. W jednej jego części robotnicy fabryczni wynajmują pokoje na godziny, w innej mieszka rodzina, która przyjechała ze wsi, z polskiej głubinki, i próbuje znaleźć w mieście zajęcie. Ich dzieci muszą się jakoś odnaleźć w tej rzeczywistości, w której nie zawsze jest dla nich miejsce, bo machina budowy nowej Rzeczypospolitej, niezależnie od tego, jak aktywnie i ambitnie rozkręcona, nie jest w stanie przemielić wszystkich. Ani spełnić wielkich i rozbudzonych nadziei. I często tak się właśnie odnajdują:

odszukują najbliższą, aktywnie działającą i przyjmującą nowych członków komórkę Falangi. Niektórzy idą do socjalistów, ale socjaliści kręcą

noskami: nie dostaniesz się do klubu bez pakietu postępowych poglądów, a takich poglądów, jeśli wychowało się na osiedlu tanich czynszowych bloków budowanych na obrzeżach polskich miast, nie da się nabyć ot tak, z powietrza. Takimi poglądami raczej się na takich osiedlach gardzi. Tak więc lewica, cóż, cieszy się o wiele mniejszą popularnością.

Ci, którzy teraz weszli do wagonu Złotej , byli chłopakami, którzy przejechali się na nadziejach rozpościeranych przed nimi przez Rzeczypospolitą.

Poza Pawłem Krzyżanowskim. On nie potrzebował nadziei. On miał pewność, przeszłość i jednak jakąś przyszłość. I, jak uważał, z tego powodu miał też wobec Polski zobowiązania. Musiał podnieść z kolan jak największą liczbę jej młodych obywateli.

Dlatego wprowadził ich, nieco pijanych, sam też, cóż poradzić, nieco pijany, do pierwszej, a nie drugiej czy trzeciej klasy pociągu.

Są w Polsce, krzyczą, są Polakami, są pierwszą klasą Polaków, to dlaczego w pociągu mieliby jechać klasą drugą? Albo trzecią? O, ile w pierwszej miejsca! Ile miejsca! Powietrze wozi ta pierwsza klasa!

Skończy się panowanie żydowskiego kapitału, niech no tylko Falanga dojdzie do władzy, a to już niedługo!

A ty, Żydóweczko ruda, co masz włoski jak sprężynki? Co tak się patrzysz? Wykluć ci te żydowskie oczy? Jak masz na imię? Co, nie powiesz? Powiesz, powiesz. Albo sami zobaczymy na legitymacji harcerskiej .

Złota Sztok.

Oddawaj tego orzełka z munduru. Ty nie jesteś Polką. Żydówico. Wiesz, co my z takimi jak ty robimy? Sprawdzamy, czy nie mają w poprzek.

Nie wyj, bo cię potniemy, kurwo .

Zasłońcie, kurwa, te firanki. Zamknij cie, kurwa, ten przedział od środka.

I dlatego druga córka pana Adama Sztolca i Racheli Sztok, z domu Finkel, ma na imię Beata. Nie Złota, nie Gołda, nie Sara, tylko pięknie, po chrześcijańsku, Beata.

I dlatego od dziecka ma najlepszych nauczycieli samoobrony i sztuk walki, jakich tylko można mieć za pieniądze ojca adwokata.

Kary podchodzi do gramofonu i z szerokiej kolekcji płyt wybiera niemieckie pieśni wojenne. Pieśń niemieckich czołgistów, potem Die Wacht am Rhein, a potem, ku czci poległego budzika, jeszcze raz Fridericus Rex.

Kary wyciąga z szuflady kapciuch z konopiami, puszkę z tytoniem i miesza, podśpiewując. Te konopie to niby na uśmierzenie bólu. Bo jednak pobolewa go tam, gdzie metalowa płytką, tam, gdzie trafiła go upowska kula. No, wiadomo.

Ehe.

Kary kręci z konopi i tytoniu papierosy, równe dwadzieścia, po czym chowa je do papierośnicy z wygrawerowanym pustym kartuszem herbowym. Zapala i znów staje w oknie, patrząc na Warszawę. Znów Warszawa i Kary.

Fridericus Rex pompuje krew w jego żyły, przy sie gonnen mir nicht Schlesien und die Grafschaft Glatz, und die hundert Millionen in meinem Schatz Karemu już w głowie robi się ciepło, już czuje dobrze znane, przyjemne mrowienie, już ma ochotę iść z Frycem na Austriaki, już ma ochotę w imię świętej pruskiej ziemi bić Polaków, Rosjan i Francuzów. Zmienia więc, dla odmiany, muzykę na ukraińską. Na liwaj mo brattia -śpiewa i już chce iść rezaty Lachiw, wysadzać im łuki triumfalne, strzelać do nich na ulicach jak do kaczek. Pali konopie, myśląc o metalowej płytce w swojej czaszce.

Tak, zoperowano go w najlepszym szpitalu w kraju. Kuli nie wyciągnięto - uznano, że to zbyt duże ryzyko. Wstawiono mu zamiast kości czaszki płytkę. Gdyby był kimś innym niż Franciszkiem Karym, zdrajcą Polski i Polaków, wyciągniętym przez żydowskiego papugę z więzienia, które mu się do końca zasranego życia należało - mógł być nawet materiałem na bohatera. Ale zdrajcom Polski medali się nie daje. Zresztą Kary niczego od władzy nie chce. Niczego nie chce od tych skurwysynów, od tych gnojów w rogatywkach, tych zabetonowanych, przyspawanych do koryta faszystach, którzy wożą się po państwie jak po własnym folwarku, a gdy na chwilę odebrano im władzę... a, szkoda gadać.

Po chwili Kary znów grzebie w płytach. Ach, legionowe pieśni polskie. Wykonanie Węgierskiego Chóru Narodowego im. Regenta Horthyego. Intro, Kary zamyka oczy, a chwilę później rozkoszuje się ciarkami chodzącymi mu po plecach i przedramionach, gdy słyszy śpiewane solennie, z węgierskim akcentem:

„rozkwitały panki bałych róż. Wrócz, Jaszenku, z tej wojenki wrócz ...". Karemu łyzy ciekną po policzkach. I jeszcze - myśli - Ha tikwa . I sięga po ściągniętą z Palestyny płytę z pieśniami syjonistów i śpiewa razem z nimi o tym, że wróci do kraju Syjonu, do Jeruzalem, i czuje, że rozerwałby gołymi rękami każdą gnidę, która by mu w tym chciała przeszkodzić.

Atmosfera w kraju gęstniała jak dym pod sufitem w knajpie Pod Blachą, w której przesiadywał Kary, w czasie gdy męczyło go, nudziło albo zniechęcało przerzucanie akt.

Aliancki Sojusz Demokratyczny w Lidze Narodów ogłosił wobec Polski ultimatum: albo zaprzestajecie akcji zbrojnych w regionie zwanym przez Polaków Małopolską Wschodnią, a przez Ukraińców Ukrainą Zachodnią albo Hałyczyną i tworzyście tam autonomię ukraińską, albo podejmiemy odpowiednie kroki przymuszające Polskę do pokoju. Polska zresztą, dawno już w tym sojuszu zawieszona, właśnie została z niego z hukiem wyrzucona.

Warszawska giełda leciała na łeb, na szyję.

Na Zachód szły bowiem przerażające obrazki z Małopolski Wschodniej, kręczone głównie przez Ukraińców: ostrzał artyleryjski ukraińskich wsi, w których separatyści (terrorysty, ekstremiści, czy jakkolwiek ich Polacy zwali) zajęli sobie pozycje, płaczące kobiety, które straciły dach nad głową, trupy zabitych przez polską artylerię cywili i wojskowych oraz dzieci w nieodłącznych w obrazach wojennych z Europy Wschodniej sprutych sweterkach.

Ty, Kary, siedziałeś przed telewizorem, w domu, albo w Blasze na rogu Chłodnej i Żelaznej , i oglądałeś z kolei poranione ciała polskich żołnierzy albo zdjęcia akcji odwetowych UPA na polskich wsiach. O tym, jak wszystko wygląda z drugiej strony, dowiadywałeś się, włączając kanały niemieckie, angielskie albo francuskie, choć z jakichś powodów coraz częściej dochodziło do „przerw technicznych" w dostawie telewizji kablowej.

Polskich obrazków Zachód nie chciał i je ignorował. Polska narracja tam nie przesiąkała, uznawana była - i słusznie - za zmanipulowaną i propagandową.

Narracja drugiej strony również była oczywiście zmanipulowana i propagandowa, o czym doskonale wiedziałeś, ale - myślałeś - Polska leciała już w samozapętającym się wirze do samobójstwa, dopuszczając do sytuacji, w której tępy upór Snardza, Byczej Głowy i reszty tej zidiociałej ekipy, oparty na zasadzie „ani kroku w tył z pozycji obrony honoru Rzeczypospolitej”, doprowadził do wytworzenia jednolicie negatywnego obrazu Polski w świecie. A potem już poleciało: nikt przecież, poza akademickimi analitykami, nie zastanawia się nad niuansami racji i perspektyw w Rosji Sowieckiej, nikt nie myślał pod tym kątem o reżimie Franco w Hiszpanii, zanim ten z hukiem nie runął, o reżimie Mussoliniego we Włoszech ani - dawno temu - Hitlera w Niemczech. O zamordyzmie młodego Zogu w Albanii czy Czarnych Ortodoksów w Grecji. Oni wszyscy, wszystkie te europejskie peryferia, były dla europejskiego centrum po prostu, zwyczajnie, jednoznacznie złe, i Kary nie rozumiał, jak bardzo Snardz musiał być ślepy, by tego nie widzieć, by nie próbować tego inteligentnie ograć, by nie próbować temu przeciwdziałać. Działać na Zachodzie czymś więcej niż czystą roszczeniowością i namsięnależyzmem. „Nam się należy szacunek”, „nam się należy pozycja”, a to, żeśmy tę pozycję raz-dwa przepuścili, kiedy jakimś niewyobrażalnym zrzędzeniem historii nam została dana - tego nie widział nikt.

Kary chodził po ulicach Warszawy, po których jeździły samochody wojskowe, gdzie gorączkowo instalowano obronę przeciwlotniczą przeciwko nalotom własnych sojuszników. Niby tylko „na wszelki wypadek”, bo przecież „nic nam nie grozi”. Na billboardach wisiały plakaty z twarzą Snardza albo - czasem - Snardza i Byczej Głowy, zza których rogatywek jeżyły się rakiety skierowane w niebo, i z napisem: Świat błądzi - nam nie wolno!.

- Niech was, kurwa, wiril broni - mrucał Kary, tak mrucałeś, chamie, zdrajco, ale wymrucałeś, bo oto w świątyni wirilu polskiego rozpalono wieczny ogień. Siedziałeś w Blasze i oglądałeś w telewizorze zawieszonym pod sufitem relację na żywo z tej uroczystości. Kapłanem naczelnym, czy żercą, jak mówiono w telewizji,

był Snardz -w idiotycznej, białej , ceremonialnej szacie z wielką literą W naszytą na plecy i toporłem z rozchodzącymi się wokół niego jakby promieniami, którymi najwyraźniej orzeł emanował. Na miejscu obecni byli generałowie, ministrowie, a także ci wysokiej rangi przedstawiciele Kościoła katolickiego, którzy w kulcie wirilu polskiego nie widzieli niczego złego ani pogańskiego, a takich było wielu: wewnętrzna polska schizma na Kościół rzymskokatolicki z polskim odchyleniem i uniwersalistyczny Kościół rzymskokatolicki rozszarpała tę instytucję od środka, jakby granat wybuchł. No ale jak można było nie wierzyć w wiril, jeśli, co by nie mówić, teoria wirilu wiele wyjaśniała. Choć głównie tylko na pierwszy rzut oka. Ale wyjaśniała. Na przykład - dlaczego forma, którą przybierają Polska, Włochy czy cokolwiek innego, jest tak bardzo charakterystyczna dla Polski właśnie, dla Włoch, dla każdego innego kraju, dlaczego gdy trafimy, powiedzmy, do Czech, od razu, nie patrząc nawet na napisy na murach, wiemy, że jesteśmy w Czechach, a nie na Litwie. Dlaczego będąc za granicą i patrząc na człowieka, zanim się jeszcze odezwie, wiemy od razu - o, ten będzie Polak!

„Wiril to przyrodzona narodowi moc formowania według własnego wzoru" - mówili w telewizji brodaci specjaliści od tematu, a prowadzący kiwali głowami.

Tak więc, Kary, choć powinienes biegać po Woli, po Muranowie, po Śródmieściu i Ochocie i szukać tropów, siedziałeś w Blasze, popijałeś wódkę z cytryną i gapiłeś się w ekran, na którym Snardz, w galowym mundurze i wyglansowanych oficerkach, rozpałał wieczny ogień w świątyni wirilu, przytykając coś w rodzaju pochodni olimpijskiej do gazowego palnika. W pewnym momencie wszyscy w Blasze westchnęli, bowiem ogień momentalnie rozszedł się od palnika w stronę ścian, pobiegł w górę i, jak się wydawało, objął sobą całe pomieszczenie, a wśród biskupów, generałów i polityków powstało poruszenie wielkie, bo wyglądało na to, że za chwilę elita państwa polskiego spłonie w tej świątyni wirilu, w ogniu, który wymknął się spod kontroli. Ale ogień się nie wymknął - to perforowane rury biegnące wzdłuż ścian doprowadziły płomień do góry, rozpalając ściany ognistymi smugami, i teraz telewizyj a państwowa pokazywała świątynię Wirilu Polskiego z efektownego, wybranego wcześniej

ujęcia, z oddalenia, jak oceniał Kary, gdzieś spod pomnika Wyzwolicielei przy alei Piłsudskiego, w tej megadzielnicy, którą pod nadzorem nadministra Szukalskiego budowali przez trzydzieści lat, jakby nie mieli nic lepszego do roboty, i która wygląda, jakby stworzona była dla narodowo nastawionych brontozaurów, takie tam wszystko jest wielkie i rozmaszyste.

- E, a już, kurwa, myślałem, że się te kurwy spalą - skomentował jeden z bywalców, o aparycji i stylówie starego feciarza.

- Mietek, ty się nie przejmuj - tłumaczył mu drugi, niższy, krępy i ogólnie bardziej przysadzisty, ale taki, po którym widać było, że trzeba by go wbić w ziemię po szyję, jakby co, żeby go zatrzymać. - Zaraz nas zbombardują i po Snardzu smród zostanie jak w gaciach po pierdnięciu tylko, pińc bomb na zamek i jadziem dalej, i spokój.

- O, przepraszam, to tylko takie gadanie ze strony naszych sojuszników, oni tak naprawdę nigdy nie zaatakują - wtrącił się samotnie pijący piwo pięćdziesięciolatek o wyglądzie nauczyciela albo urzędnika pocztowego; w klapę miał wpięty podobny znak jak Snardz na prześcieradle: symbol wirilu polskiego, toporła promieniującego. - To kwestia geopolityczna, sami panowie musicie to rozumieć.

Facet maskował zaczeską coraz większą łysinę, a na kołnierzu marynarki nosił rzucik z drobinek łupieżu.

- Ligą Narodów kto rządzi? - ciągnął. - Wiadomo, Anglosasi. Kogo Anglosasi chcą kontrolować? Niemców, Francuzów, Rosjan. Z czyją pomocą mogą ich powstrzymać? Tylko dzięki nam. Polska jest zbyt cennym sojusznikiem. Przecież nie mogą liczyć w tej materii na Czechów, Słowaków czy Węgrów...

- Idź ty, łachu faję szarpany - tłumaczyli mu cierpliwie panowie, do których się zwracał - ktoś cię, kurwo, o coś pytał, po chuj żeś się odzywał, jazda mie stąd, bo ci zaraz ten twój kufelek na cyferblacie rozpierdolimy i będziesz, kurwa, miał w tej materii.

Kary, w gruncie rzeczy, zgadzał się głęboko z feciarzami, ale siedział cicho, siorbiąc wódkę z cytryną.

W drzwiach pojawiła się Złota. Jej tu się, Kary, nie spodziewałeś.

Złota przeskanowała salę swoim zielonym okiem potwora, znalazła cię i się bez ceremonii dosiadła.

- Wiedziałam, że cię tu znajdę. Kelner!

- No, szukam śladów, wiesz. Popijam operacyjnie.

- Tak, widzę. Też się muszę napić.

- O - Kary udał obrażonego. - To nie możesz z Wolfem?

Złota zachichotała, ale trochę sztucznie. Machnęła ręką.

- Uspokój się. Wiesz, że tak jest najlepiej.

- Jak dla kogo.

- Dla wszystkich.

Kelner, wyprężony, ale i rozbujany jak pingwin, ewidentnie, słowem, wcięty, stanął przy Złotej .

- Co szanownej pani podać? - zapytał, wymawiając „sz” jak „ś”, ale za to „ć” jak „cz”.

- Whisky - powiedziała - z lodem. Podwójną od razu. Albo - zerknęła na ciebie, Kary, Złota - od razu całą butelkę. Macie whisky Baczewskiego?

- Mamy. - Kelner się skrzywił. - Właściwie to nie mamy innej . Ale jak Baczewski, to lepiej nie whisky, a ...

- A ja lubię akurat whisky. No to butelka, woda, lód. I popielniczkę pan zmieni, bo...

- Robi się, pani szanowna.

Kelner zgiął się dziwnie, bo ani nie w tył, ani nie w przód, a w bok, zabrał popielniczkę, w związku z czym Kary nie miał gdzie strzepnąć popiołu, i zniknął.

- Zaczyna się wyjaśniać, dlaczego to do nas przyszedł Hycke -powiedziała Złota, wyjmując czerwone marlboro z torebki. - Zaczyna węszyć przy Oporze.

- No... - Pokiwałeś głową. - To było raczej jasne. Ostrzeżyliśmy Opór przecież.

- Tak. - Złota odpaliła papierosa. - Ale on nie węszy przeciwko Oporowi. On szuka w Oporze kontaktów. On chce z Oporem współpracować.

- O proszę. - Otworzyłeś szeroko oczy.

- Tak.

- Ale jako kto?

- Nie wiem. Na razie wiem tyle, że szuka dojść do Górczewskiego, negocjuje. A nas wykorzystuje jako kartę przetargową. Że niby trzyma w garści jedną z najsilniejszych uderzeniowych komórek Oporu. W sumie trzyma już od dawna. Grzesio.

- Kurwa, Złota, patrz - powiedziałaś, Kary - jakie to wszystko banalnie proste. Na jakim poziomie to się wszystko odbywa.

- No tak, a naprawdę myślałeś, że jest inaczej ? - zapytała Złota. -W każdym razie: my jesteśmy zabezpieczeniem Hyckego, że Opór będzie współpracował. Na jego warunkach. Oczywiście jest skłonny do ustępstw. Bo, według mnie, on gra przeciwko Snardzowi.

- No raczej - zgodziłeś się.

- Chce działać, zanim nas nasi własni sojusznicy zbombardują. Za Ukrainę.

Pingwin pojawił się przy stoliku z butelką whisky na tacce, syfonem, lodownikiem i dwiema szklaneczkami. Postawił wszystko i odskołał w głąb sali.

- No więc popatrz, Hycke gra przeciwko Snardzowi. Ten sam Hycke, co zainstalował tego skurwysyna Snardza na trupie Karabasza. -świszczącym, Kary, wyszeptałeś szeptem.

- Ten sam. - Złota kiwnęła głową, rozlewając whisky po szklaneczkach, dorzucając sobie lodu i dodając wody sodowej z syfona. - I słuchaj. Był dziś u nas. Oj ciec królów, kurwa. Mówił, że, cytuję, „liberalny eksperyment się nie powiódł, bo Polska stała się przedmiotem, a nie, jak dawniej, podmiotem, stosunków międzynarodowych”.

- Był u nas?

- Tak.

- Zapytałaś go, kto zastrzelił Wieniawę?

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Powiedział, że nie wie, ale na pewno jakiś strzelec.

- Boki zrywać. I co on chciał dzisiaj od ciebie?

- Ano - powiedziała Złota, podnosząc kieliszek - żebym to ja reprezentowała go w rozmowach z Oporem.

- O proszę. - Kary z wrażenia aż się odsunął na krześle.

Złota uśmiechnęła się i wypłała duży haust.

- Ale co z tym wszystkim mają wspólnego trupy Hieroglifa? -zapytał.

- To, z jednej strony, był pretekst Hyckiego, żeby się do nas dostać - odpowiedziała. - Ale nie do końca. Naprawdę jest problem. Przecież, kurwa, zginął Krasnohorski i inne ważne osoby w państwie, a ktoś sabotuje w tej sprawie prokuraturę i policję, mimo że w mediach wszyscy huczą, że jeszcze trochę, a poznamy sprawców tego zuchwałego zabójstwa. I Hycke chyba naprawdę nie wie kto. Albo wie, ale nie może nic z tym zrobić, więc potrzebuje kogoś, kto da mu pod nos konkretne dowody i rozwiązania.

- A policja jest blokowana.

- Ano tak.

- Aha, i niby nie wiadomo przez kogo. Przecież, kurwa, to chyba nie jest trudne do zbadania, szczególnie dla Hyckiego.

- Najwyraźniej jest. Wygląda na to, że nasza szara eminencja idzie właśnie w odstawkę, że go blokują i wycinają. I dlatego się szarpie i przychodzi do nas.

- No ale wystarczy prześledzić, kto ...

- Nie wiadomo właśnie do końca kto, bo naciski idą z zewnątrz. Na wysoko postawionych policjantów, na nadinspektorów, nawet na generalnego, a ci nie mówią, bo się boją. Zresztą prawdopodobnie to nie są naciski służbowe.

- Mhm.

- W każdym razie Hycke, żeby upiec dwie pieczenie na jednym ruszcie, podzlecił to nam. Autorsował. Jakkolwiek idiotycznie to brzmi, jesteś jedyną osobą, która na serio szuka zabójców między innymi premiera. No i Lurje, który pomaga ci nieoficjalnie.

- Wiesz o Lurjem?

- Kary, kurwa ... - Złota odpaliła papierosa. - Za kogo ty mnie masz? W każdym razie Hycke sugerował, że naciski tutaj, jakiegoś, nie wiem jeszcze jakiego, rodzaju, płyną też z rządu.

- To może się dowiedz - pokiwał, Kary, głową i upił whisky - zanim mnie ktoś z rządu zastrzeli.

- Tego Hycke właśnie nie chce powiedzieć - odpowiedziała Złota. - Nie wie, nie chce spekulować, nie chce kart odkrywać, nie wiem.

- Skąd wiesz o Lurjem? Śledzisz mnie?

- Chcę się upić, Kary - powiedziała Złota. - Mam przepalony mózg.

- Ja mam w mózgu kulę - rzucił, Kary.

- Tak. I jeszcze - odpowiedziała Złota, nadal cię nie słuchając, a ty się zastanawiałeś, jak to się stało, że to ona cię rzuciła, a nie ty ją - chcę się dziś z tobą kochać. Nie chcę wracać do domu.

I już się przestałeś zastanawiać. Gapiłeś się w jej oczy. Zielone. Oba zielone na różne sposoby.

- Ale tylko dziś - dodała, widząc twój wyraz twarzy.

MIGUELITO

Niedługo po tym, jak poszła Złota, przyszła Beata.

Z kolejną opowieścią.

- Beata - zacząłeś. - Ty wszystko za sobą zamiatasz. Tak?

Zachichotała.

- Nie bój się, Franek. Nie bądź głupi.

Nie bardzo wiedziałeś, jak zapytać, czy przypadkiem nie znalazła się pewnej nocy pod pewnym drzewem przy aztekoidalnej willi pewnego znanego oligarchy. Więc tylko patrzyłeś w jej piękne oczy i uśmiechałeś się do niej.

Leżałeś z Beatą na kanapie, jedliście śniadanie (croissanty z piekarni na rogu i bałkańska kawa z dżezwy, specjalność Karego) i kłóciliście się, czy oglądać Inspektorów Tomasza i Srula czy Krakowera i Walczaka na tropie. Seriale te, kryminalne, stare już jak świat, ale znane każdemu Polakowi i Żydowi w Rzeczpospolitej, puszczano często w porannym paśmie komercyjnych stacji. Dla emerytów, którzy dzięki nim mogli przypomnieć sobie hity i wzruszenia młodości, dla hipsów, budzących się co rano z kumetą z konopi w ustach dla lepszego tripu, i dla takich Leserów jak ty, Kary, którzy nie muszą wstawać rano do pracy, bo tak im się w życiu pofarciło, że są tej pracy współwłaścicielami.

Te seriale to był stary format, z lat sześćdziesiątych, z czasów, gdy „starozakonne” i „chrześcijańskie” stacje telewizyjne konkurowały ze sobą

o uwagę widzów i sprzedanie im własnego oglądu świata. W popularnych wtedy szalenie kryminałach z polskich wytwórni zazwyczaj występował duet dwóch gliniarzy: twardego, lecz wesołego i cwanego doświadczonego życiem Polaka i jego partnera Żyda -zabawnego, żydłaczącego i śmiesznie małostkowego, nieomijającego żadnej okazji, by zrobić biznes.

Żydowskie wytwórnie natomiast wypuszczały w Polskę - i w świat, bo na rynku międzynarodowym były bardziej rozchwytywane niż polskie -wizerunek mądrego, nieco mrocznego gliniarza Żyda w typie melancholijnego noir (nie mylić z twoim lesterskim noir, Kary) oraz jego wspólnika Polaka: prostackiego, głupawego, zabawnego, lecz za to często mocarnego. Zazwyczaj połączenie Sancho Pansy z Portosem.

Rolę szwarczarakterów nieodmiennie, u jednych i u drugich, odgrywali najczęściej Ukraińcy.

Kary i Beata siedzieli przed telewizorem, przeskakiwali z TVX, które nadawało Inspektorów Tomasza i Srula, na Superkanał z Krakowerem i Walczakiem na tropie i palili marihuanę. Jak hipsy jakie. Inspektor Tomasz (to, wbrew pozorom, było nazwisko, nie imię) razem z inspektorem Srulem (było to imię: inspektor Tomasz zwracał się do partnera nie inaczej jak „Srulku”) wdarli się właśnie do warszawskiej siedziby głównej ukraińskich terrorystów w Porcie Praskim i ostrzeliwali się z nimi. Jeden z Ukraińców, spadając z jakiejś wysokiej kondygnacji, trafiony pewnym strzałem Tomasza, zleciał prosto pod jego nogi. Kamera najechała na jego wyszczerzoną, trupa już szczękę pełną złotych zębów.

- Może by tak sobie wziąć? - mówi Srul. - Trupowi już niepotrzebne.

- Przełącz to, kurwa mać - zarechotała Beata, wspinając się bosymi, szczupłymi stopami na Karego, podając mu jednocześnie kumetę i odbierając kontroler. Przełączyła sama. Na Superkanał. Inspektor Walczak, skretyniałe, wielkie Polaczysko, przesłuchiwał właśnie jakiegoś Ukraińca, podejrzanego o niecny i bardzo potrzebny Satmostijnej Ukrainie plan wysadzenia w powietrze warszawskiej Syrenki. Przesłuchiwany Ukrainiec wyglądał już jak mielone mięso. Przyglądający się temu Krakower, paląc papierosa, zasugerował, że przesłuchania

można przeprowadzać mądrzej, skuteczniej i ogólnie bliżej ducha humanitaryzmu, a nie w ten prostacki sposób, na co Walczak warknął na niego (między bohaterami unosiło się stałe napięcie, raz się lubili, raz nienawidzili), żeby przestał uprawiać aktywny antypolonizm i sugerować mu, że gdy coś robi Polak, to na pewno robi głupio. Krakower przewrócił oczami.

Beata roześmiała się.

- To też przełączamy.

Skakała przez chwilę po kanałach: zakupy przez telefon, reklamy („Tu autostrada, tam autostrada, a między nimi - błoto! Na polskie drogi najlepszy terenowy opel!"). W końcu zostawiła film wojenny Krew w tropikach o specjalnej jednostce OOS podczas wojny w Nowej Polsce. Reżyserowany, notabene, przez Rettingera. Ta specjalna jednostka, IV Batalion OOS, była czymś w rodzaju carskiej lejbgwardii - elitarna w każdym tego słowa znaczeniu. Dobrze wyszkolona, ale i przyjmująca w swe szeregi wielkie nazwiska Rzeczypospolitej: synów bogatych bądź starych rodzin. Znałeś, Kary, dobrze całą sprawę, co? Znałeś, ale nie mogłeś o niej niczego mówić. Była to formacja eksperymentalna, mająca podnieść prestiż OOS-u w społeczeństwie. Mój Boże, przypomniałeś sobie, Kary, co to było, jak chyba z dziesięciu członków tego elitarnego specjalnego batalionu OOS zaginęło bez wieści w czasie wojny w kolonii. W tym jeden z tych, którzy wyrządzili TO. Krzyżanowski. Paweł Krzyżanowski.

Wielkie nazwiska, to akurat zrozumiały, płakały po wszystkich telewizjach, ale te nie trąbiły o niczym innym, w kraju trwała nieformalna żałoba narodowa, a oddziały specjalne przeczesywały każdy kawałek wyspy, jaki tylko mogły. Kamień w wodę. Prestiż się specjalnie nie podniósł, bo ludzie doskonale zdawali sobie sprawę, że zwyczajni żołnierze, choćby z OOS-u, o takim żalu i pełnym poświęcenia poszukiwaniu mogą tylko pomarzyć. Ale naród z jakiegoś powodu tak czy owak fascynował się tematem, a „zagadka zniknięcia dziesięciu wspaniałych" była często powracającym tematem programów zajmujących się „tajemnicami dwudziestego wieku".

Beata znów zasnęła. Ubrała się, Kary, po cichu i wyszedł do pracy.

Kary wychodzi z domu i schodzi do metra przy wielkiej starej bryle Dworca Głównego. Przy wejściu stoją ciężko uzbrojeni żołnierze i skanują tłum, choć nie wiadomo, co chcą wypatrzeć. Tryzuby na czołach? Wisy w kieszeniach?

Przepycha się w tłumie, kupuje bilet. Pod pachą trzyma teczkę. Stacja jest wielka, obszerna i rześście oświetlona. Na całej długości peronu -scena batalistyczna. Wiedzione, kontrhistorycznie notabene, przez Naczelnego Wodza Śmigłego-Rydza wojska wkraczają do Berlina. Marszałek siedzi na białym koniu. Minę ma jak napuszony nastolatek. Polska, francuska i brytyjska flaga zatykane są na Bramie Brandenburskiej. Żołnierze w polskich i francuskich mundurach obalają pomnik Wiktorii na Kolumnie Zwycięstwa. Reichstag płonie.

Lubisz, Kary, oglądać tę scenę. Przyglądać się mundurom żołnierzy, patrzeć na deptane przez nich trupy Niemców, na Matkę Boską z chmur błogosławiącą Aliantom. To ten sam efekt, właściwie, co słuchanie pieśni patriotycznych i wojskowych. Wszystko jedno, jakich krajów. Nacjonalizm tak działa, i tyle. Wyrobienie sobie umiejętności wzruszania się do tego czy innego jego wariantu to kwestia nie inna niż identyfikowanie się z bohaterem oglądanego akurat filmu. Gdyby ten przystanek, w jakiejś historii alternatywnej, znaj dawał się w Berlinie i przedstawiałby wkroczenie Niemców do Warszawy, poruszałby dokładnie takie same struny. W końcu przyjeżdża pociąg, lubisz i znasz doskonale, Kary, te wagony z Sanowagu, są częścią twojego warszawskiego świata bardziej niż jakaś Syrenka nad Wisłą, którą się ogląda od wielkiego dzwonu, czy Wieża Rydza-Śmigłego w Dzielnicy Wodzów Naczelnych, którą widać z połowy miasta i która do tego stopnia drażni jego mieszkańców, że jak głosi dowcip, ludzie specjalnie na jej szczyt się wspinają, bo to jedyne miejsce w Warszawie, z którego nie widać tego paskudztwa.

Wsiadasz, Kary, do wagonu i bez trudu znajdujesz wolne miejsce. To przywilej tych bumelantów, na twój obraz i podobieństwo, Kary, którzy spóźniają się do pracy i omijają godziny szczytu.

Otwierasz teczkę i wyjmujesz akta z napisem „ściśle tajne”, które dał wam Hycke. To kopia zebranych akt spraw Hieroglifów ze śledztw prowadzonych przez

warszawską policję. Jesteś zapewne jedynym idiotą w kraju, który czyta ściśle tajne akta w metrze, ale po pierwsze, podróż jest dość długa, a ty nie masz gazety. Po drugie, masz -jak zwykle - kaca, jak to rasowy detektyw z powieści noir, i masz wszystko gdzieś. Nawet jeśli na przykład baba, która zerka ci przez ramię na aktualnie przez siebie przeglądanej stronie, zobaczy czytany właśnie przez siebie opis ran ciętych i kłutych, to najwyżej będzie jej się śnił po nocach, a nie powiąże tego z konkretną sprawą, tak sobie tłumaczysz.

- Zajmuje się pan sprawą Hieroglifa? - pyta konspiracyjnym szeptem, kłoniąc ci się do ucha, kobieta. - Szczęścia życzę, zdrowia i wytrwałości, panie podkomisarzu. Znajdź pan tego potwora. Koleżanka miała siostrzeńca, dobry chłopak, patriota, proszę pana, jak zwierzę we własnej kamienicy oprawiony.

Zamykasz, Kary, akta, stawiasz kołnierz kurtki i idziesz do kolejnego wagonu.

Wysiadasz na placu Inwalidów. Podchodzisz pod siedzibę firmy i widzisz Złotą w oknie: pali papierosa, wydmuchuje dym w żoliborskie powietrze. Serce przeszywa ci skurcz, ten sam co zawsze, i uznajesz, że nie masz siły, jeszcze nie, na wspinanie się po schodach na górę i udawanie przed nią, że wszystko jest w porządku.

Skręcasz więc, szybko, Kary, zanim cię zauważy, i wchodzisz do kawiarni Oficerskiej. Tu siadasz w rogu, w dyskretnym, Kary, idioto, miejscu, zamawiasz kawę z koniakiem, dobra okazja na klina, i rozkładasz akta przed sobą.

Jestem coraz bardziej pewien. To musiał być ktoś od nas - odbywałeś w głowie rozmowę ze Złotą, gdy już trochę poczytałeś, trochę się uspokoiłeś i trochę zaklinowałeś.

Staraleś się nie myśleć o tej nocy, gdy wróciliście do domu razem ze Złotą, bo myślenie o tym, wiedziałeś, nie miało specjalnego sensu. Ale i tak myślałeś.

Przeanalizowałem akta, przeczytałem opisy, rekonstrukcję zdarzeń. To był taniec, to co oni tam wyprawiali. Koncertowe zamordowanie ochroniarzy, wdarcie się do środka, brak śladów. Ja ten taniec znam, to musieli być mistrzowie

w pieswybie. I to nie tylko w walce, ale też w taktyce, strategii, działaniu grupowym. No i musiała z nimi być kobieta.

Ze Złotą trzeba będzie szczegółowo, myślałeś, Kary, bo ona się, niestety, nie da zbyć ogólnikami. Szkoda, bo ani z ciebie jakiś elokwentny mówca, ani nie masz ochoty odtwarzać swojego procesu myślowego. Twój proces myślowy bowiem składa się głównie, przyznaj, Kary, z szybkich i błyskających, ale jednak intuicyjnych skojarzeń, budujących konstrukcje w mgnieniu oka. Rzadko się, to prawda, mylisz, w swojej tak zwanej ocenie sytuacji, Kary, ale też równie rzadko zniżasz się do rzetelnej analizy tych błysków i błyskawic swojej intuicji. Działa, to działa, szybko i skutecznie, po cholere drażyć temat. To twoje motto.

No więc Złota wie, że Lurje rozdzielił zabójstwa na trzy tory. I ma rację, tego się nie da podważyć. Gorzej, że referując Złotej to wszystko, wystawiasz na niebezpieczeństwo Beatę.

I tak ją wystawiasz, w porządku, ktoś pewnie zajmie się w końcu tym, co ona robi, i masz tylko nadzieję, że umiejętnie zaciera ślady, ale gorzej, że Beata - to przecież ...

Dziewczyna. Świetnie wytrenowana. Małe stopy.

Nie, nie będziesz nic mówił o tym. Na razie nie.

No więc skoncentrujesz się na głównym wątku.

Hieroglify, ci oryginalni, nie apokryfy, to muszą być ludzie, których trenowali nasi trenerzy z Esj otu. To jest ta taktyka, te środki. Pieswyb, no, PSWB, plus taktyka SJU. Znam to, znam doskonale przecież. Wiesz o tym. Rzecz w tym, że Kadra Mistrzów PSWB to rodzaj państwowego zakonu, a raczej wątpię, by tego wszystkiego mógł kogokolwiek w takim stopniu nauczyć zwykły uczeń, choćby najzdolniejszy. Tego jest za dużo po prostu, w dodatku system treningowy jest bardzo skomplikowany. Celowo z „koroniarzy” zrobili zakon. Ja bym nie umiał do tego stopnia ludzi wytrenować, a jestem, cóż, dość zdolny. No, może byłem.

I wtedy Złota zapyta:

- No to kim oni według ciebie są?

I wtedy ty powiesz tak:

- Komuniści nie, bo przecież nawet jeśli robiliby radykalną akcję, to skierowaną zupełnie w kogo innego, inaczej to byłoby marnowanie środków, absolutnie bez sensu. To samo Ukraińcy. Żydzi z ŻAR-u też nie, bo po pierwsze, to nie jest styl ŻAR-u, nigdy nie był, po co uderzać tak dziwnie na ślepo, po drugie, wiedzą doskonale, że tego typu akcje to przepis na pogrom, bo w tym kraju wszystko, co złe, to od razu Żydzi. Po co mieliby ryzykować.

We dług mnie - Falanga. Albo krwioziemcy. Jeden pies. Choć raczej krwioziemcy, bo na Falangę to też zbyt bezsensowne, a co krwioziemcy mają w głowach, to całe mistyczno-romantyczne bredzenie, tego nikt nie rozumie.

Wtedy Złota powie:

- No tak, tak przecież właśnie giną falangiści.

Ty wtedy powiesz:

- No właśnie. A krwioziemcy nie.

- Myślisz, że oni mają aż do tego stopnia na pieńku z krwioziemcami? Żeby ich mordować? To nie ma sensu... - odpowie Złota, a wtedy ty powiesz, że są na noże od dłuższego czasu, że nie do końca wiadomo, o co tam chodzi, za krwioziemczą logiką nie dojdiesz, a to mocno niebezpieczna ekipa.

Wtedy Złota się zezłości, że jej głowę zawracasz tymi falangistami, i zainteresuje się głównym wątkiem. Tym, który nadał Hycke.

- A pozostałe morderstwa? - spyta, a ty wtedy westchniesz jak idiota.

No chyba że się właśnie zainteresuje tymi faszystami. Wtedy gorzej. Ale z drugiej strony kombinujesz, że jeśli nie będziesz przed Złotą niczego ukrywał, a ona od razu się domyśli, że coś ukrywasz, że robisz uniki, ona ma taką magiczną moc, to odsuniesz podejrzenia od Beaty.

Z trzeciej, jak mawiał Tewje Mleczarz, strony, przecież Złota nie wie o tobie i Beacie, boby cię zabiła. Niech nikt nie pyta dlaczego. Zabiłaby i już, koniec pieśni.

Z czwartej - czemu ty w ogóle tak się kryjesz przed tą Złotą, Złota to przecież, było nie było, twoja partnerka. Kiedyś w szerszym tego słowa znaczeniu, aktualnie - w węższym, ale jednak.

Z piątej - nie siebie kryjesz, a Beatę, a więc patrz punkt trzeci.

Ale przecież Złota sama na pewno zacznie w końcu przyglądać się tym atakom na falangistów. O ile już się nie przygląda. Przecież czytała akta. Tym bardziej że to przecież Beata wpadła na pomysł, żeby akcję u Krenca w ten sposób pod Hieroglifa podpiąć. Co się, jak już wiemy, nie udało. Ale czy Grześ powiedział Złotej, że to Beata? Czy, jak w przypadku Hyckego, zwałił na Karego, wiedząc - albo podejrzewając, i słusznie - że on Beaty przed nikim nie wsypie?

Kurwa.

Najlepiej - uznałeś - nic jej nie mówić.

Dopiłeś kawę i wyszedłeś z lokalu.

Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem.

Kary stoi na placu Wilsona, Łilsona, Kary, Łilsona, do którego w zamyśleniu, popalając papierosy, nie wiedzieć po co dotarł, może dlatego, że nie miał jakoś ochoty iść w stronę świecącego wieżowcami centrum, tak, bo już świecą, skurwysyny, już ciemno, bo to przecież wrzesień i, jak to mówią, dzień coraz krótszy, już z górki, „lato się kończy, ledwie się zaczęło”, jak to się w twojej rodzinnej Kalwarii mówiło. Nie to, Kary, żebyś miał coś przeciwko ciemności, właściwie to nawet wolisz, jak jest ciemno, a nie jasno, ale ponarzekać zawsze fajnie. W końcu od czego jesteś tym Polakiem, Kary. Poza tym jakiś wyjątkowo zimny ten wrzesień. Ciemny i deszczowy. W sam raz do opowieści noir.

Wyciągasz mobil.

- Miguelito - mówisz po tym, jak Michał Kornatowski odbiera. - W domu jesteś, panie zawodowy bezrobotny? Aha, aha, a machniom? Ha, ha, no tengo, kurwa, amigo, prosta hara, rum, kolego.

Płynęli na to San Fernando z Michałem Kornatowskim, zwanym wtedy jeszcze nie Miguelito, a Kornat, płynęli więc, nudzili się na okręcie „Józef Piłsudski”,

starym, zabranym jeszcze Niemcom po wojnie '39/'40. I nikt nie mówił: „Płyniemy do Nowej Polski”, ta nazwa była tak pretensjonalna, tak na siłę i tak, swoją drogą, mało egzotyczna, że nie bardzo chciała się przyjąć. Nowa Polska, Nowa Polska - to hasło słyszeli wszyscy co dzień, co chwila, w każdym przemówieniu. Polska nie mogła się zatrzymać, wciąż chciała być nowa i nowa, nigdy nie mogła być z siebie zwyczajnie zadowolona, wciąż tylko musiała podkreślać, jaka to jest niesamowita i jakim to wielkim jest sukcesem, a zarazem - że za chwilę, już za moment - będzie nowa, niejako kasując to, co było powiedziane wcześniej, ale w Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, jak dobrze wiedział Kary, nikt już sprzeczności, niekonsekwencji, błędów logicznych w państwowej i oficjalnej retoryce nawet nie liczył. Nie miało to po prostu sensu. Była ta retoryka jak osobny byt nawisający nad istniejącą rzeczywistością, jak rzeczywistość idealna, wewnętrznie niemożliwa, jak sam Bóg Wszechmogący, ale za to równie jak on idealna.

A życie - wiadomo - życiem.

Dni na „Józefie Piłsudskim” były nudne i jednakowe i tylko malowane na siwo nity i blacha, i nity, i blacha, i coraz bardziej niebieskie i puste niebo, i coraz bardziej niebieski i pusty ocean, i Kary, bękart, bo bękart, ale bękart zielonej, choć piaszczystej ziemi, czuł się tutaj jak wrzucony w obcą, nie swoją bajkę, bajkę o jakichś, kurwa, kolorach, których nie znał, do świata, który go nudził i nużył, klimatu, który go irytował. I, przede wszystkim, jako człowiek interioru, w morzu i jego pustce widział nie pasjonującą nieskończoność, lecz wyłącznie nudną nieobecność czegokolwiek, co można by uchwycić, czego można by się złapać. Nie czuł, słowem, tego, czym się egzaltują wszyscy, wydawałoby się, pretensjonalni podróżnicy świata: obecności Boga czy czegoś takiego. Kary, co by nie mówić, pochodził z przestrzeni ućkanej rzeczywistością, bytami, mitami i różnorodnością, i ta jednorodna stałość i niezmienność przerażała go. Nie przynosiła ulgi, jak innym, potrafiącym wpatrywać się godzinami w horyzont.

Przeciwnie. Kary starał się spędzać jak najmniej czasu na pokładzie, przez cały czas szukał dla siebie zajęcia, czegokolwiek, co pozwoliłoby mu się skoncentrować na szczegółach tego małego świata, którym stał się statek. Jak rakieta kosmiczna

przemierzająca pustkę niepojętą dla ludzkich zmysłów. A przynajmniej dla zmysłów Karego. Kary nienawdził morza. Nienawdził tego pierdolonego upału, choć w ośrodku treningowym w Kluczach przygotowywali go do niego, ćwiczyli go w sztucznie wytworzonych warunkach, i Kary, który wtedy jeszcze widział sens i cel w zmuszaniu się do robienia czegokolwiek, radził sobie nieźle. Ba, dobrze sobie radził. Ale upału nie cierpiał.

I w końcu dopłynęli. W Porcie Mickiewicza, dawnym Bahia Hermosa, było gorąco i wilgotno, niby już w podróży przyzwyczajali się do tego, że tropik otula im twarz gorącą, śmierdzącą szmatą, przed którą nie ma za bardzo ucieczki, ale Kary pocił się jak szczur, każdy się zresztą pocił, nawet ci, co to pasjami, jak zapewniali, lubią upał. Nieliczni biali, w większości Polacy, na ulicach Portu Mickiewicza, który był zarazem stolicą San Fernando, też się pocili. Lokalni, w większości potomkowie afrykańskich niewolników sprowadzonych tutaj przez Hiszpanów po wyrżnięciu przez nich nielicznych Indian zamieszkujących wyspę śmiali się z nich. Lokalne elity składały się z Mulatów, panował kult białości -im jaśniejsza karnacja, tym bardziej pożądanym społecznie efektem, ale nawet na tych dążących do bladości twarzach malowało się rozbawienie, gdy widzieli spoconą, różową, czerwieniejącą karnację nowych kolonizatorów, którzy przybyli tutaj po Hiszpanach. Trochę nie wiadomo właściwie, po co przybyli, bo wyspa nie przynosiła jakiegoś wielkiego dochodu, poza dochodami plantatorów trzciny cukrowej, a tych było raptem na całej wyspie pięciu, i to oni tworzyli lokalną oligarchię. Ale nawet ich zarobki w porównaniu z zarobkami, powiedzmy, hiszpańskich czy polskich fabrykantów były mizerne. Posiadanie kolonii San Fernando było dla Hiszpanii, najnormalniej w świecie, nieopłacalne, bowiem wydatki na administrację, transport, infrastrukturę były nieporównywalnie większe od zysków. Znalazł się jednak frajer, który zechciał przejąć ten nierentowny interes, bowiem miał on dla niego zupełnie innego rodzaju wartość niż dla Hiszpana - Hiszpan więc sprzedał. I jeszcze odgrywał wielkiego dobrodziej a przed Polakami, ochoczo grającymi rolę wdzięcznych petentów.

Lokalne elity były niewielkie - plantatorzy, ich rozgałęzione rodziny i ich klientela: kilku adwokatów, którzy kuli naprędce tłumaczone na hiszpański polskie kodeksy, lekarzy, pomniejszej rangi biznesmenów. Fabryk nie było. Właściwie po wyrznięciu Indian i przed sprowadzeniem tu Afrykanów dwieście lat temu na wyspie przez chwilę nie było nic. Nic poza piękną, niesamowicie piękną zielonością, soczystą tak, że wydawało się, że wystarczy lekki powiew wiatru, by puściła soki. Nawet zwierząt nie było tu za wiele. San Fernando była oddalona nie tylko od głównego lądu, ale i od karaibskiego kręgosłupa wyzierających z parującego morza wysp.

Lokalni nazywali sami siebie „Fernandinos”. Polacy mówili na nich „murzyni.”, „nasi. murzyni.”, „czarnuchy”, „antki”, „smo1uchy”, „czarne antki” albo „fernandy”, choć według oficjalnej nomenklatury byli „Nowopolakami”.

Historia wzajemnego współżycia nowych i starych elit, nowych osadników i Nowopolaków, była skomplikowana i pełna, by tak, Kary, rzecz, kolorytu, ale wtedy, gdy ty tam dotarłeś, było już, generalnie, po współżyciu.

Wyspa stała w ogniu.

Fernandinos, pod przywództwem Jezusa Santany, pierwszego wyspiarskiego, wykształconego w polskiej Akademii Wojskowej, oficera, powstali przeciwko Polakom.

I Kary, razem z innymi żołnierzami II Specjalnej Grupy Operacyjnej „Chrobry”, wysłany został z, jak to mówiono, „metropolii” gasić „powstanie Murzynów w kolonii”. I, ogólnie, wyciągać Rzeczpospolitą z bryndzy.

Klatka schodowa trochę śmierdziała, ale bez przesady. Nie było tak źle. Kary widział gorsze klatki, na przykład swoją. Pan Artur niekoniecznie przykładał się do roboty. Tu i tam napis, że ŻYDY WON, że LEGIA PANY, że ktoś tam król, jakiś Maciek, a znowu inny - peder. Dramatyczne pytanie: Kto zabił Wieniawę?

Zszedłeś, Kary, do sutereny. Tam mieszkał Miguelito.

Kornat zwany Miguelitem otworzył, stał w drzwiach w podkoszulku z napisem Hańba! i krótkich spodenkach, z tatuażem miecza i krzyża II Samodzielnej Grupy

Operacyjnej „Chrobry” widocznym spod oddartego rękawa na jego ramieniu. Z mieszkania tchnęło papierosami.

- Cześć sprawie - powiedział Miguelito ze swoim ostentacyjnym warszawkowatym akcentem, który cię zawsze, przez tę swoją ostentacyjność właśnie, trochę bawił, a trochę irytował.

- Jakiej, kurwa, sprawie. Cześć, Miguelito - odpowiedział Kary i wcisnął się do środka, ze śmierdzącej, co prawda lekko, klatki schodowej do o wiele bardziej śmierdzącego mieszkania Miguelita.

Miguelito był niewielkim facetem, metr sześćdziesiąt coś wzrostu, za to szerokim jak spychacz i silnym jak traktor. Kary nigdy się z nim nie bił, nie biłeś się z nim, kolego, między innymi dlatego, że jak słusznie podejrzewałeś, była to jedna z niewielu osób w tym pięknym kraju, od Morza aż do Tatr, a pewnie i dalej, która z łatwością pociągnęłaby cię do parteru. Miguelito odbywał to samo szkolenie co ty. Jego historia też była zresztą podobna. Nie pochodził co prawda jak ty, Kary, z zabitej dechami dziury na Kielecczyźnie, był stąd, z Woli, i odziedziczył to swoje mieszkanie w wolskiej suterenie po jakiejś niesamowitej płataninie wuj ów, cioc, kuzynów, i choć wielokrotnie ci te zawilości, Kary, tłumaczył, ty nigdy nie byłeś w stanie zapamiętać choć części tego, co ci opowiadał. Ale, podobnie, jak ty, Kary, żeby wyrwać się z płataniny zależności, szklanych sufitów, niemożności, błędnych kół i klubów ostrogi, które nie pozwalały wyleźć w wyższy świat z poziomu ulicy, czy to wiejskiej, czy to miejskiej - poszedł do wojska. I podobnie jak ty, Kary, miał w tym czasie jeszcze tyle życiowej energii, by wiedząc, że oficerem raczej nie zostanie za piękne oczy, pchać się do najbardziej ambitnych wojskowych projektów. A takim było właśnie tworzenie SGO-sów.

Wszystkich, elegancko, nazywanych na cześć pierwszych Piastów: były więc grupy „Mieszko”, „Chrobry”, „Śmiały”, była grupa „Kazimierz Wielki”, a gdy się Piastowie z odpowiednim brzmieniem przydomków pokończyli, zaczęto sięgać przed historię pisaną, i tak powstały „Lestek”, „Siemomysł”, „Siemowit” i „Piast”, nazywany przez żołnierzy innych oddziałów „Chościsko”, co bardzo piastowców

irytowało. W późniejszych latach zrezygnowano z piastowania i zaczęły się przeróżne „Zawisze” i „Powwały”. Kary i Miguelito należeli do elitarniej, drugiej z kolei powstałej grupy. Powołanej akurat w samą porę, by ich pierwszym zadaniem bojowym, poza najazdami na kryjówki ukraińskich narodowych terrorystów, była właśnie akcja bojowa w Nowej, kurwa, Kary, Polsce.

Nie?

No.

- No jesteś, miś, nasz cham z kulą w głowie - rechotał Miguelito, elegancko ściągając z Karego kurtkę, jak lokaj jaki, choć Kary się bronił, ale cóż tu obrona przed spychaczem. - Siadaj, chodź, wchodź, kurwa, czym chata, co tam masz, rum? To czaju zrobimy do rumu, akurat wejdzie jak złoto, siadaj, zachodź, czy jak to się tam u was, kurwa, na wsi mówi, nie wiem, wchódźta gospodarzu, jak to wy mówicie?

- Chujze ci w usta się mówi, idioto - mrucał przyjaźnie Kary, który lubił Miguelita. Ich historia nie skończyła się wraz ze słynną w całej Polsce sprawą Karego, za którą ten dostał zaocznie karę śmierci, zamienioną później na dożywocie, z którego odsiadki wybawił go dobry pan adwokat Adam Sztok, polsko-żydowski Martin Luther King, oj ciec Złotej, niech mu ziemia lekką będzie i śpiewaj ą chóry nieistniejących aniołów.

Po uwolnieniu Kary, twarz i bohater serii marszów pod hasłem „Uwolnić Karego”, samorodna legenda opozycji, poszedł za ciosem, bo w zasadzie życie zdecydowało za niego, i dołączył do zbrojnego ramienia Oporu po tak zwanej restytucji władzy narodu.

Armia jednak Karego niespecjalnie lubiła.

Wojsko uważało go za zdrajcę i tylko pyknicy, którzy mieli konstrukcję i siłę psychiczną maszyny parowej, słowem: nie przejmowali się niczyją opinią, jak Miguelito właśnie, utrzymywali jeszcze z Karym, zdrajcą narodu i zakałą munduru, jakiegokolwiek kontakty. Poza, oczywiście, czarnymi hipsami, tymi z weteranów,

którzy poszli w lewactwo, długie włosy i całą tę hipsiarską ezoterykę, jak Rabcz czy Zejgal i tysiące innych. Ale Miguelito nie był czarnym hipsem. Szczerze mówiąc, Miguelito uważał czarnych hipsów trochę za pederów.

Tak, poznajcie Miguelita: weterana wojennego z Krzyżem Nowopolskim i rencistę z pierwszą grupą inwalidzką za rany odniesione podczas zasadki pod Śmiglicami. Krasnoluda bojowego prosto z Tolkiena.

Po przejściu do cywila, osiadłszy na wojskowej rencie, Miguelito, jako osoba wybitnie towarzyska, poświęcił się dwóm rzeczom: po pierwsze - pielęgnacji podwórkowych i ulicznych znajomości z młodości, podlewanych mocno alkoholem i urozmaicanych wypadami na włamy, bomby, szopenfeld i tak dalej. Po drugie - przewodniczeniu różnego rodzaju nieformalnym stowarzyszeniom wojskowych weteranów, których działalność polegała głównie na tym, że się zbierały w knajpach, głównie wolskich, a najczęściej U Zielonego, zlepiając w jedno wielkie chaotyczne środowisko, obrastające byłymi (a często i aktywnymi) żołnierzami wszelkiego rodzaju jednostek. I stając się najlepszym w kraju źródłem plotek, informacji i słuchów ze środowiska żołnierskiego. Kary, z wiadomych przyczyn, na spotkaniach weteranów nie bywał, ale jego przyjaźń z szanowanym przez wszystkich Miguelitem sprawiała, że jego sprawa nie była w tym środowisku postrzegana, mimo wszystko, wyłącznie w biało-czarnych barwach. A ty, Kary, słusznie zresztą, powiem ci, podejrzewałeś, że to dzięki tej przyjaźni do tej pory jeszcze nikt z dawnych kolegów z wojska nie naładował ci zza rogu czy nie strzelił z visa w twarz.

A żeby Miguelitowi w życiu już w ogóle nie miało się kiedy nudzić, wciągnąłeś go, Kary, do zbrojnego ramienia Oporu. Miguelito, szczególnie w kominiarce, wyglądał jak wcielenie zła i zniszczenia, już sam jego widok sprawiał, że uciekali krwioziemcy i falangiści, że policjanci uwalniali konwojowanych aresztowanych obozińców albo porzucali przewożone przez siebie pieniądze, które Opór na własny użytek ekspropriował.

Nie wspominając o tym, że stanowił Miguelito, ze względu na swoje rozliczne kontakty i zajęcia, świetne źródło informacji. Nie tyle dla Oporu, ile dla Karego, który w świecie konspiracji był dla Miguelita, nieskorego do poznawania mechanizmów tego środowiska, kimś w rodzaju przełożonego i przewodnika. Miguelitowi wystarczały akcje. Co innego robić za ostoję żołnierskiej przyjaźni i ulicznego feciarza, a co innego - działać w imię wyższych ideałów, które zresztą Miguelita specjalnie nie obchodziły. Owszem, uważał się za „socjalistę”, bowiem uważali się za takowych zarówno ojciec Miguelita, jak i dziadek, ale nie do końca rozumiał, co ten termin znaczy i jakie są logiczne konsekwencje posiadania takich, a nie innych poglądów. „Mercedes dla każdego -mawiał Miguelito. - I darmowy obiad oraz chłanie w Ziemiańskiej”.

I nie widział ani nie potrzebował doszukiwać się w tym wszystkim niekonsekwencji. A Kary mu ich przed nosem nie piętrzył, bo wiedział, że Miguelitowi nie o to w życiu chodzi, by hamletyzować nad niuansami. Tylko żeby konkret robić.

- Tak to jest - mawiał Miguelito w ciężkim zamyśleniu, które tak wyglądało, jakby się zamyślała ciężarówka - chcesz coś w życiu, kurwa, zmienić, zmieniasz siebie, zmieniasz otoczenie, przes, kurwa, do przodu jak ten szmondaczyna Syzyf, tylko że, kurwa, skutecznie, żeby to Rzeczpospolita doceniła, w końcu prawie dajesz się za tę Rzeczpospolitą, kurwa, zajeść, i ona to w końcu docenia, daje ci, kurwa, medal i niewielką rentę - i wtedy zamiast do polskiego nieba trafiasz w to samo miejsce, z którego wyszedłeś. Z rentą mniejszą, niżbyś zarobił gdzie w warsztacie samochodowym na miesiąc, ale do roboty iść nie możesz, bo ci rentę odbiorą, i to nie na czas pracy, a na zawsze. Więc o sensownej emeryturze wtedy można tylko pomarzyć.

Kary kiwał głową i, zazwyczaj, polewał wtedy albo pił, bo rzadko, poza akcjami, spotykali się na trzeźwo. Ani Kary, ani Miguelito zasadniczo nie uznawali pogawędek przy kawie.

Kary siedział teraz za stołem w wolskim mieszkaniu, patrzył przez okno na czarną noc nad Wolą, rozświetlaną przez światła w oknach, przez neony, przez

knajpy i hipowskie sklepy z mydłem, powidłem i kiepskim szuwaksem spod lady. I pozerkiwał na widoczną w prześwicie drzwi krępą postać Miguelita, który pogwizdując jakąś znaną Karemu ze słuchu piosenkę, parzył herbatę. Kary zapalił papierosa i patrzył, jak kłęby dymu rozwijają się pod wiszącą nad stołem lampą w meduzie cielska.

I Kary zawieszał w tym dymie wzrok i jak w widziadle - widział dżunglę i wykopany rów, dół, przed którym stali nadzy i pobici czarni antkowie, wzięci do niewoli pod wsią o nazwie Constanza, dla której zabrakło innego spolszczenia niż Konstanca, cały oddział Czarnych Antków. I polskich żołnierzy widział, z hełmami wiszącymi przy paskach, kręcących się bezładnie przed antkami i starających się w jakiś sposób ogarnąć mózgiem, albo też z niego wypchnąć, to, co za chwilę będą musieli zrobić. A wśród tych żołnierzy był i on, Franek Kary, i Miguelito.

- To jest wojna, Kary, kurwa - mówił Miguelito później Karemu, wycieńczonemu od wymiotów, pijącemu z manierki jakieś rumoidalne gówno, które udało im się wyłudzić od zaopatrzeniowców, bo od lokalnych kupować to tak, jakby prosić się o otrucie, przynajmniej byli o tym przekonani, nie biorąc pod uwagę, że lokalni doskonale wiedzieli, że gdyby sprzedali bądź dali Polakom trefny alkohol, naraziliby się na akcję odwetową i stanęliby nad dołem. Jak te antki pod Constanzą. - Poza tym, no, nie możemy traktować ich do końca tak jak. .. no, po prostu ludzi. To, owszem, są ludzie, ale wiesz ... no co ja ci będę mówił, kurwa, no. Nikt z nas nie chce tego robić, kurwa. Nikt.

- Spierdalaj , Kornat - mówiłeś mu wtedy, Kary, i piłeś dalej , z pawiem na kolanie, choć w tym cholernym upale, w tych nocach parnych, czarnych jak smoła gorąca i otulających całe ciało cuchem gnijącej dżungli, wcale nie miałeś takiej wielkiej ochoty na alkohol. Ale piłeś, piłeś wytrwale, tak by na drugi dzień nie czuć nic poza potwornym otepiającym kacem, niepozwalającym ruszyć mózgiem, zamieniającym człowieka w robota.

Przewycięzać ból i kacowe wyczerpanie, Kary, umiałeś i radziłeś sobie z tym. I któregoś dnia przewyciężyłeś je tak mocno, że sam nie wiedząc kiedy, biegłeś przez wyciętą w lesie przesiekę, tuląc do boku swój pistolet maszynowy i czując na

plecach kilkanaście magazynków, które ukradłeś, bo - choć niespecjalnie zniżałeś się w tym czasie do logicznego myślenia - wiedziałeś, że najprawdopodobniej do końca swojego krótkiego życia, które oceniałeś na maksymalnie parę tygodni, może miesięcy, będziesz musiał polować, żeby cokolwiek jeść, i opędzać się od polujących na ciebie i Polaków, i antków. Szczególnie po tych ostatnich nie spodziewałeś się niczego dobrego. I wcale im się nie dziwiłeś.

Polować Kary umiał.

Matka, po tym jak Karego odnosiła, urodziła w bólach i odchowala przez parę tygodni, poszła do pracy w COP-owskiej fabryce amunicji w Pilicy. Wstawała rano, by dotrzeć na odchodzący za dziesięć piąta autobus pracowniczy. Szła na piechotę, wąskimi, krętymi dróżyczkami, docierała do pilickiego rynku i patrzyła na zamknięte do dziesiątej drzwi kawiarni Zygielbaumów, zastanawiając się, kto, na Boga, o tej całej dziesiątej może mieć czas i pieniądze na to, by chodzić do kawiarni.

Do fabryki w Pilicy jechała brukowaną, później wyasfaltowaną drogą wiodącą prosto jak strzelił na południe. Droga, razem z przystankami, zajmowała niecałą godzinę. Przed szóstą byli pod fabryką. O szóstej zaczęli zmianę. Matka zarabiała akurat tyle, by wykarmić siebie i małego Franka mniej więcej od wypłaty do wypłaty, ale niespecjalnie urozmaiconym wiktem.

Dlatego Kary od dziecka uczył się zastawiać wnyki w okolicznych podpiaszczonych iglastych lasach. Uczył go Jan, stary kłusownik, mieszkający po drugiej stronie wsi, na Lelowskim Końcu. Jan nie miał syna, nie miał dzieci: albo to jego żona, Maria, była bezpłodna, a może Jan, zmarła zresztą, gdy miał czterdzieści pięć lat. Jan był już za stary na zaloty. Jako kłusownik nie był przecież żadną partią. Kary był więc jedynym urozmaiceniem jego życia, dlatego traktował go jako coś pomiędzy synem a giermkim.

Kary i Jan łapali we wnyki głównie zające. Lisy, zdziczałe psy i koty wypuszczali. Lisie skórki, jak mawiał Jan, to było „psinco, nie piniądz”, kupa roboty z wyprawką, poza tym, handlując nimi, nie dało się nie zwrócić na siebie uwagi leśników i lokalnych hintów. Jan strzelał do dzików, do jeleni. Uczył strzelać

Karego. Gdy stary umarł, Kary po prostu poszedł do jego domu, drewnianej, krytej papą chałupy z wapienną podmurówką, przestąpił wyrobiony milionem stąpień próg, minął sąsiadki gromadzące się przy trupie i zabierające się do tego, by go obmyć, wszedł między chłopów, sąsiadów, pod których nogami skrzypiała drewniana podłoga i którzy kręcili się po domu tego bezdzietnego i owdowiałego samotnika i patrzyli, co by tu się nadało do zabrania. Bo -i to Kary rozumiał - nie było sensu, by cokolwiek wartościowego przepadało. Ale wiedział, czego tak naprawdę szukają, i nie zamierzał im tego oddawać: sam otworzył znaną sobie skrytkę pod podłogą i sam zabrał sobie Janową strzelbę: stary radomski wojskowy karabinek, który poza samym Janem Bóg tylko jeden wie, jak w ogóle trafił w Jana posiadanie. Chłopy zamarły na chwilę, patrząc spode łbów na smarka, bo Franek Kary miał raptem czternaście lat, lecz już wtedy wiadano, że karabinka po dobroci nie odda. Podobnie jak wiadano, że lepiej przy nim nie żartować z niego ani z jego matki, jeśli nie ma się ochoty na odrywanie od siebie bijącego i gryzącego jak wściekły szczur zwinnego gówniarza.

- Zostawcie, zostawcie, jemu się należy - odezwał się stary Klećko, przyjmując na siebie rolę wyraziciela głębokiej ludowej mądrości, a tak naprawdę po prostu chcąc uniknąć niepotrzebnego zamieszania i późniejszej bijatyki o to, kto miałby sobie zabrać karabin po tym, jak już go odbiorą Karemu i spiorą chłopca na kwaśne jabłko, tak by nie mógł się ruszyć. - A jeszcze niech karabin wystrzeli i kogo zabije ... - kombinował Klećko. Same kłopoty. Dlatego mówił: - On był dla Jana jak syn, Jan nikogo nie miał. Tylko jego. Jak go Maryśka odeszła. Zostawcie chopoka.

Chłopy skinęły niechętnie głowami i wróciły do przeszukiwania chałupy Jana. Kontentując się, z musu, starym radiem, czarno-białym telewizorem, starym budzikiem, obrazem, na którym mały Jezusek, siedząc na kolanach Maryi, karmił baranka, czemu przypatrywał się z różowym uśmiechem heblujący jakąś deskę Józef. Starą komódką, młotkiem, gwoździarnicą, w ogóle sprzętem z warsztatu. Zapiekowanym mięsem w spizarce, porządnie opisanym. Pościel, która śmierdziała i według kobiet do niczego już się nie nadawała, zaniesiono na powiększającą się na Janowym podwórzu kupę rzeczy do spalenia.

Pod wieczór dom był już pusty jak po przemarszu mrówek. A Kary, młody kłusownik, nie mógł spać, podekscytowany swoim pierwszym samodzielnym polowaniem, na które wyruszy jeszcze przed świtem. Jeszcze zanim matka wstanie na autobus z Lelowa.

Miguelito przyniósł herbatę i cukiernicę. Czarki były chińskie, z taniej podróby porcelany, co nie bardzo pasowało do rumu, ale forma to nie była rzecz, na której im specjalnie zależało, i Karemu, i Kornatowi.

Wiril to tu by kurwicy dostał - pomyślałeś, Kary, patrząc na mieszkanie Miguelita. Stare, kilkudziesięcioletnie tapety, obłazące i podeszłe wilgocią, na tym jakieś plakaty biciarskich zespołów sprzed kilku dekad, plakaty filmów polskich i hollywoodzkich, jakieś stare mordy - Humphrey Bogart, Ronald Reagan, Tim Chaser, ten debil Rettinger w polskim mundurze z propagandowego gniota o zdobyciu Berlina pod wcale nie kiczowatym tytułem Sztandar chwały, Zbig Cybulski w prochowcu i kapeluszu, czyli - było nie było - w mundurze detektywa noir w Czarnym mieście z końca lat sześćdziesiątych. Wyglądał, musisz przyznać, lepiej w tej roli niż ty, Kary, może jednak powinieneś rozważyć zakup kapelusza, prochowiec gdzieś tam się znajdzie w głębinach twojej szafy. Stara popielniczka, obtłuczona, ryba z dmuchanego szkła na telewizorze RWT Błysk: śmiano się, że ten błysk to dlatego, że telewizory te lubiły od czasu do czasu wybuchnąć.

Żeby było śmieszniej, Miguelito był w wojsku specjalistą od materiałów wybuchowych.

- Michał - powiedział Kary po kilkunastominutowej rozgrzewce, podczas której przestali wygłupiać się z herbatą, tylko zaczęli łać do rumu coca-colę. -Tych Hieroglifów musi szkolić w koronie ktoś od nas. I to nie byle trep, jak ty czy ja. Mistrz.

Miguelito rozparł się głęboko w fotelu.

- Mistrz? - spytał Miguelito. - Żartujesz?

Kary rozejrzał się po pokoju: po wiszących na ścianach szablach jakichś starych, ale podrabianych ewidentnie, i to tanio podrabianych. Może ktoś ze skomplikowanego rozgałęzienia rodzinnego Kornatowskich chciał bardzo udowodnić, że sroce spod ogonów nie wypadli. Zresztą, kurwa, może i nie wypadli. Kornatowski - ładne nazwisko.

- Nikt inny nie potrafiłby tak. .. wiesz. Wytrenować, wyszkolić. To musi być ktoś stamtąd. Z zakonu. I to musi długo trenować. I ludzie, no, podejrzewam, że też od nas. Z sił specjalnych.

- Ale co, zakon korony? Po chewrach, grandach w Warszawie? Żartujesz? Żołnierze, to tak, jasne. Sporo. Ale czemu chewry by miały tak przypadkowych ludzi mordować, w tym szczy? To za głupie. Po co im to.

- Na przykład żeby pokazać, że się nikogo nie boją.

- Jasne, i wypowiadać wojnę państwu zamiast trzymać głowę nisko. To chyba, kurwa, jacyś idioci z amerykańskich filmów o tych tam, gangsterach, kurwa.

- Ale ja nie mówię, że to chewry. To bez sensu ogólnie, masz rację. Myślę, że to hitlerki.

- Falanga? A po co by oni. ..

- No właśnie nie Falanga. Falanga, co by o nich nie mówić, nie robi bezsensownych ruchów. ŻAR też nie. Prędzej Ukraińcy, ale sam wiesz: ich do specjalnych oddziałów nie biorą. Ani na mistrzów nie szkolą. A to wszystko, jasne, nie ma sensu. Myślę, że to krwioziemcy. To wariaci. Tam nie ma nic na logikę. Albo jest, ale na jakąś inną. Ich własną, mistyczną, nieprzeniknioną.

Miguelito popatrzył na Karego wzrokiem pełnym, jak to się mówi, wątpliwości.

- Ale po cholere... zresztą przecież tam właśnie też tych hitlerków pomordował ten Hieroglif. Czy tam Hieroglify. To jaki to ma sens? Co, oni się sami mordują?

Kary westchnął. Dolał Miguelitowi resztkę rumu z butelki do szklanki.

- To jest mocno skomplikowane - powiedział po chwili, uznając, że najlepiej będzie uciec od szczegółu w profesjonalizm. - Tam się dzieją dziwne rzeczy, ja jestem, rozumiesz, na tropie ... teorie w budowie ... rzecz w tym, czy wiesz, czy

obiło ci się o uszy, żeby ktoś od nas, z oddziałów specjalnych albo nawet z mistrzów korony, pieswybowców, coś robił dla hitlerii.

- To powiedz o tych teoriach - odpalił Miguelito. - Co mnie pytasz, jak frajera, a sam nie chcesz powiedzieć co i jak.

- Ja nie pytam, bo cokolwiek chcę z policją tu mieszać - kręciłeś, Kary, jak szopenfeldziarz na komisariacie. - Właściwie to wręcz przeciwnie.

- Przeciwnie? - zdziwił się Michał i zapomniał o tym, o co jeszcze się przed chwilą obraził. Czyli unik się udał. Patrz, Kary, jak miło i prosto w gruncie rzeczy załatwia się sprawy z alkoholikami.

- Coś się szykuje - odpowiedział, Kary, podnosząc szklankę. - Ja sam jeszcze nie wiem co. Być może w krwioziemcach jest pęknięcie - rzeźbiłeś, geniuszu, nie zauważywszy, że nie tylko sam zaczynasz mówić za dużo, ale i na bieżąco wymyślać teorie. - W policji też ... jest teraz jakieś dziwne ustawienie, też pęknięcie, rozumiesz. Jedni przeciw drugim graj ą, cholera wie, o co tu może chodzić. No i to, co się dzieje, to z tymi, kurwa, Hieroglifami, ma z jakiegoś powodu w tym ustawieniu znaczenie.

- Jakie?

- No, ktoś sabotuje burym dochodzenie w tej sprawie.

Pomyślałeś chwilę i przypomniałeś sobie, że w kwestiach związanych z Oporem Miguelito zmienia się w twojego podwładnego.

- No i tutaj też Opór odgrywa jakąś rolę - dodałeś więc ostrożnie, strategu. Nie najlepiej się knuje z kulą w głowie, co, Kary?

- Opór?

- No Opór.

- Aty co w tym masz?

- Ja, ja robię własne dochodzenie. Dla Oporu. Powiedzmy.

- Powiedzmy?

- No, powiedzmy. Michał - Kary nachylił się w jego stronę - jeśli cokolwiek wiesz, mów. Obiecuję, że przeze mnie to się na psy nie dostanie. Ja potrzebuję

informacji, nic więcej . Do tego wiesz, zapłacę. Będziesz miał na rok łożenia rumu, Miguelito.

Tak, to był dobry strzał, Kary.

Miguelito przez chwilę odstawiał teatrzyk pod tytułem „nie chcę, ale skoro siła wyższa i wyższe wartości, to ulegnę”, „zaraz ci tu powiem coś bardzo ważnego”, „uwaga, właśnie dopuszczam cię do tajnej wiedzy”, co polegało na tym, że przyjął za stołem pozę majestatyczną, nawypuszczał efekciarsko z papierosa dymu gęstego jak mleko, co znaczyło tylko tyle, że dla tego efektu się ze dwa razy nie zaciągnął, po czym wypalił:

- Konopnego znasz? Andrzeja?

Kary drgnął.

- A co z nim?

- Był w spadochronówce, jakoś przed nami. Potem poszedł w mistrza.

- W mistrza?

- Tak, trenował. No ale go wyrzucili. Za krwioziemstwo właśnie podobno. To były czasy, kiedy władza miała z nimi kosę.

Kary skinął głową. Relacje władzy ze skrajną prawicą w Polsce przypominały toksyczny związek. Co jakiś czas demonstracyjnie się od siebie odcinali, by potem, stopniowo, znów się do siebie zbliżać. Tak, widocznie, wyglądał polski środek ciężkości. Wszystkie drogi prowadzą w to samo miejsce.

Miguelito odpalił wiarusa od wiarusa.

- No, to z tego, co wiem, narozrabiał w wojsku mocno i poszedł w heble. Jeśli ktoś, to on.

I tyle w zasadzie po tak zwanym honorze czy kodeksie feciara, co to nie sypie na psach i ogólnie nie mówi niepotrzebnie niepotrzebnych rzeczy.

- Mistrz poszedł w heble? - zapytał, Kary, zdziwiony jednak nieco.

- Duży jest w środowisku, dobrą dostał ofertę, to poszedł.

- Co to znaczy „dobra oferta”?

- No ... słyszałeś o Wyłupanym? Z Wilna? Z chewry?

- No, kto by nie słyszał.

- To on dla Wyłupanego pracuje. Wozi się podobno po Wilnie złotym mercedesem. A Wyłupany, faktycznie...

- No tak. .. - Pokiwałeś głową. - Popiera faszystów. Jawnie wspiera, funduje, pokazuje się na marszach. O kurwa ...

- No.

- Czyli jest możliwość, że on ich tam na tej Wileńszczyźnie trenuje.

- Ano jest. Tylko wtedy raczej by mordowali w Wilnie. Coś się tak na tych krwioziemców wziął? Kto inny to nie może być? Nie wiem, wywiad Soweciarzy? Też są dziwni. ..

- Idź, Miguelito, fajny jesteś chłopak, ale jak coś czasem pierdolniesz ... Moskwa nie ma co robić, tylko, kurwa, wysyłać do Warszawy meszugów ćwiczonych w sambo, żeby mordowali dawno wygasłe gwiazdy polskiej polityki i kina. Mówię ci, nosa mam.

WILNO

Hala pasażerska Dworca Głównego wyglądała jak polskie niebiosa. Wysoka, potężna, pełna alegorii polskich narodowych cnót, przewag i osiągnięć, które latały wymalowane pod sufitem, pod postacią, a jakże, półnagich, spowitych jedynie w gieźla kobiet ze skrzydłami to u stóp, to u ramion, trzymających rozmaite atrybuty, razem z białymi orłami bujającymi w niebieskich przestworzach. Pośrodku stał wielki posąg Polonii, któremu wzorując się na francuskiej Mariannie, co kilka lat wymieniano głowę na rzecz najmodniejszej aktualnie polskiej aktorki. Pamiętałeś, Kary, jaki się rwetes podniósł w endeckiej i w ogóle prawicowej prasie, gdy głowy Mariannie użyczyła Aga Blum, której matka była Żydówką. Falandziarze i inne hitlerki ganiały się dookoła postumentu z burymi, próbując obalić „Żydonię”, jak ją nazywali, albo choć obrzucić jajami z farbą. Aga Blum była twarzą Marianny wyłącznie przez kilka miesięcy. Zmieniono ją na Dorę Rab, której czysto słowiańskiemu pochodzeniu nie mógł zaprzeczyć nikt. Twarz dzisiejszej Polonii nie mówiła ci nic.

- Kto to jest? - zapytałeś Beatę, która stała obok ciebie. - Ty jesteś młoda, powinnaś wiedzieć.

- Nie mam pojęcia - obraziła się Beata. - Co ty myślisz, że czytam „Blask”? Jakaś pewnie pinda z serialu, nie wiem. Maja Cyc czy Cipa Pic. Skąd mam wiedzieć.

W tłumie zaobserwowałeś ekipę filmową amerykańskiej RTY.

- Węszą wojnę - powiedziała Beata. - I dobrze wężą. Może się przekwalifikuję. Ciekawa sprawa, tak jeździć za wojnami. Do Jugosławii, do Algierii, teraz do nas. Ale to dopiero, jak wybiję wszystkich skurwysynów.

- Piszą o tobie w gazetach. - Podałeś jej egzemplarz „Kuriera”.

Falangiści płaczą, że Hieroglif wziął się szczególnie na nich - ryczał tytuł. Beata parsknęła śmiechem. Ty też. Przejrzałeś szybko artykuł. Ciało znaleziono na Ochocie, za śmietnikiem, żadnych świadków, hieroglif na czole. Wspaniale. Złożyłeś „Kurier” i wsunąłeś do kieszeni. Był wieczór, mieliście wykupioną prywatną kuszetkę - dwójkę. Teleportacja, Kary, jak w tych starych filmach science fiction. Położysz się spać pod Warszawą, przejedziesz przez całą tę nieszczęsną, piaszczysto-brzezinkowatą wschodnią Polskę i obudzisz się gdzieś na podwileńskich pagórkach, w miejscu, które wygląda zaskakująco ciepło i przytulnie, przypomina ci twoją rodzinną Jurę. Takie same dawniej drewniane, teraz coraz częściej murowane wioski, taki sam utrzymujący się w powietrzu powidok kojarzony ze starą carską Rosją. Nie lubisz, Kary, luksusów, nie potrzebujesz ich, ale jeśli chodzi o kuszetkę - na tę odrobinę luksusu zamierzałeś sobie pozwolić. Nie miałeś ochoty spędzić nocy na siedząco, gapić się w pogańską czerń za oknami, choć ją lubiłeś, ale ileż można. I dorobić się bólu kręgosłupa.

Beata obudziła cię rano. Objąłeś ją i pocałowałeś. Pachniała Złotą. Niestety. Ubierałeś się powoli, pociąg kołysał, a ty patrzyłeś na sinozielone podwileńskie pagórki w miękkim lipcowym słońcu. Było zimno, zimniej niż w Warszawie. Założyłeś rękawiczki z obciętymi palcami. Takie, jakie noszą żule, wieśniacy i biciarze z prowincji, tak. Tutaj zresztą, w Wilnie, była prowincja. To było widać. Ludzi ubranych równie niemodnie jak ty spotykałeś całkiem sporo, idąc w kierunku Ostrej Bramy. W uliczkach wisiało coś miłego, kojącego i świątecznego. Ludzie za oknami kawiarni i restauracyjek wyglądali jak figurki w miasteczku z filmu o Świętym Mikołaju, obsypywanym sztucznym śniegiem. Było zimno i padał deszcz. Wilno, kurwa. Zawsze tu lało i wiało. Patrzyłeś

na Beatę i zastanawiałeś się, jakim cudem ona nie marznie w tych swoich warszawskich lekkich ciuchach.

Hotel mieli na Żydowskiej . Poblądzili trochę. Kary dawno nie czuł się jak turysta. Beacie się podobało. Wypili irlandzką kawę w knajpce na Niemieckiej. Dotarli do hotelu, zameldowali się. I zabrali do pracy.

Kary dowiedział się wszystkiego od Mojżesza Lurjego.

Na przykład tego, że Andrzej Konopny w Wilnie zmienił, z jakiegoś powodu, nazwisko na Marcin Barański. Widocznie naprawdę, pomyślałeś, w wojsku narozrabiał.

Lurje przekazał też Karemu zdjęcie Barańskiego. Kary długo, bardzo długo się w nie wpatrywał. I wtedy już wiedział na pewno, że musi do Wilna pojechać.

Adres, Kary, też miałeś od Lurjego.

Beata ukradła samochód: stylowo, musiałeś przyznać, a bez rzucania się w oczy - długą czarną skodę republika, taką, jaką dziesięć lat temu jeździli po Pradze czescy oficjele . Zawsze ci się, Kary, takie skody podobały, może dlatego, że przez pewien czas, gdy prowadziłeś jedną ze swoich dawnych spraw, zanim jeszcze ukraińska kula uszkodziła ci mózg, mieszkałeś w Czechach. Nudno tam było jak cholera, ale urzędzała cię nawet taka nuda. A jeszcze wcześniej , w więzieniu, gdy miałeś w końcu czas dla siebie, nieograniczony czas, i mogłeś czytać, co tylko chciałeś - uczyłeś się między innymi czeskiego. W ogóle, Kary, musisz przyznać, że wspominasz więzienie jako całkiem ciekawy i dobry czas w życiu. Czas, w którym, podobnie jak w wojsku, nie musiałeś się martwić o jedzenie, pieniądze i dach nad głową, tylko że robiłeś o wiele mniej niż w wojsku. Właściwie to nic nie musiałeś robić i robiłeś tylko to, co chciałeś. Tak, więzienie było całkiem okej. Ci, którzy mieli do ciebie jakieś żale, szybko zrozumieli, że mieć ich nie warto. Ci, którzy przeciwnie, pozostawali wobec ciebie pełni entuzjazmu, również szybko zrozumieli, że jedyne, czego oczekujesz od życia, to święty spokój . Święty spokój, dużo książek i regularne wizyty na więziennej siłowni. I nic więcej . Bo co więcej .

Bo czym, w zasadzie, więcej jest życie samo w sobie. Szczególnie jeśli było się już na całym świecie, a ty przecież, Kary, pomiędzy jednym wojskiem a drugim pędziłeś przez jakiś czas słodkie życie włóczęgi. Trampa. Szczura.

Ach, Kary. Gdzie jest ten dawny ty. Skończył się wtedy, gdy w twojej głowie pojawiła się kula. Tęsknisz za nim, Kary. Przyznaj .

Zaparkowaliście nieopodal domu, niewielkiej, lecz eleganckiej modernistycznej willi na Zwierzyńcu, w którym według informacji Lurjego miał mieszkać Barański. Światła były zgaszone, pozostało więc wam wyłączyć silnik, marznąć we wnętrzu wychładzającej się szybko skody - i czekać.

Po półgodzinie pojawił się Barański. Patrzyłeś na jego sylwetkę i wiedziałeś już na pewno, że to on. To charakterystyczne skłonienie karku, ten chód, którego nie wykorzenił u niego nawet długi i ciężki trening w pieswybie, nawet długa kariera mistrza i trenera. Chciałeś już wysiąść i iść za nim, wywlec go z domu i zawieźć w miejsce, które zawczasu ze Złotą przygotowaliście, miejsce, w którym nikt wam nie będzie przeszkadzał. W którym będzie można spokojnie porozmawiać.

Ale Barański minął dom i poszedł dalej . Popatrzyliście po sobie z Beatą i już miałeś odpalać auto złodziejskim multikluczem, gdy Beata skinęła głową.

- Patrz - powiedziała.

Barański skręcił w lewo i wszedł do knajpy. Świecący neon ogłaszał dumną nazwę: PACIUK.

Beata wysiadła z samochodu. I energicznie poszła w stronę Paciuka, zakładając kominiarkę.

- Beata! - syknąłeś. - Kurwa mać ...

Wybiegłeś za nią, wyplątawszy się z pasów, ale ona wchodziła już do środka. Sam założyłeś swoją kominiarkę, pchnąłeś ciężkie brązowe drzwi lokalu, przemierzyłeś krótki przedsionek, pachniało tam dziwnie -i stanąłeś w drzwiach. Goście podnieśli głowy i spojrzeli na ciebie. Beata też. Siedziała przy stoliku przy wejściu. Kominiarkę musiała zdjąć w przedsionku.

Tylko ty stałeś jak kretyn, w kominiarce na głowie, przy wejściu, a wszyscy gapili się na ciebie z zainteresowaniem pomieszanim ze zdziwieniem. W tym Barański, który siedział przy oknie z jakimiś oficerami, którzy w galowych mundurach tłoczyli się nad kieliszkami, wokół wsuniętej w kubek lodu butelki.

- A co to, napad? - zapytał barman po wileńsku, przeciągliwie, a sala wybuchnęła śmiechem. Beata też się śmiała.

- Nie. - Zdjąłeś kominiarkę i uśmiechnąłeś się szeroko, dosiadając się do Beaty.
- Zimno. Zimno u was, w tym Wilnie. Ja z południa. Z Jury. Panie kelner, można...?

- Zimno, zimno to jest w Leningradzie - prychnął barman. - Wy, miękkie końce z Prywiśla, to nie wiecie, co zimno. Pod koniec września w bałakławie po Wilnie lata - roześmiał się - bo zimno!

Sala znów ryknęła.

- A kelnera można. Wódkę na ziąb polecam, tylko nie wiem, czy dasz pan radę wypić, bo zimna. Andrzejka, smyk! - powiedział barman i do Karego, i do Beaty, która podobnie jak reszta sali bawiła się świetnie. Barański-Konopny pozerkiwał na ciebie, podśmiewał się, ale zajęty przerwana opowieścią jednego z oficerów, odwrócił od ciebie głowę.

- Co ty odpierdalasz? - zapytała Beatę.

Wzruszyła ramionami.

- Pomyślałam, że możemy się najpierw trochę zabawić. Szklanką, jak pisał Hłasko - odpowiedziała. - Nigdy nie byłam w Wilnie. Dziwne miejsce. Zabawne. Możemy posiedzieć, pointegrować się, popić z lokalnymi. Oni podobno bardzo lubią chlać ...

- Wódka, zimna - powiedział kelnerowi, który wyrósł przed wami nagle, jak mors wynurzając się z wody. Morsa też zresztą przypominał: był śliskawy, mokry od potu, bo w lokalu hajcowano mocno, obły i jakiś taki ogólnie marsowaty. Pasował ci, Kary, słowem, do zimnej wódki.

- Pan go nie słuchaj . - Mors wskazał barmana. - Zimną wódkę to Sowietarze piją, bo ją mają do dupy. Jak wódka do dupy, to zawsze zmrożona lepsza.

Zmrożone to się wszystko wypije, nawet benzynę. My mamy dobrą wódkę, więc ją podajemy w temperaturze pokojowej. Pan nie słuchaj tego ćwoka. - Znów wskazał na barmana, który szczerzył się za kontuarem. - To kretyn. Więc czysta. Co do jedzenia?

- Nic.

- Zakąska?

- Popielniczka.

- Szanuję. - Kelner skinął głową i odpłynął.

Siedzieliście w milczeniu. Przysłuchiwałeś się rozmowie oficerków.

- A ja wam mówię, że spróbują. - Jeden z nich pokiwał głową. - Przecież nie darmo Sobolewski. ..

- Sabaliauskas - zachichotał drugi, o głowie prawie idealnie okrągłej, nawet nos i podbródek niespecjalnie psuły wrażenie, że wyglądał jak gruszka boksyrska ubrana w mundur porucznika - Ramunas.

- Taki z niego Ramunas jak ze mnie piździauskas - powiedział trzeci, z wąsem i bródką, przystojny mefistofelicznie. - Jego ojciec jeszcze był Sobolewski, z moim starszym bratem się znali, dopiero jak wyiwanił do Kowna po tym, jak go oskarżyli o malwersacje w Banku Ziemskim, to się z niego Litwin zrobił, jak trzeba, syna już na Litwinę chował, bo się pewnie bał, że jak do Wilna kiedyś wróci, to go wierzycciele dopadną, albo cholera wie co ...

- No w każdym razie Sobolewski, Ramunas, kurwa, nie po to się wdzięczy do Anglików teraz i Francuzów, żeby siedzieć cicho, jak nas będą bombardować.

- Naprawdę myślisz, że nas będą bombardować? - Gruszka boksyrska się skrzywiła, a Barański po raz kolejny zerknął na ciebie. - Przecież z geopolitycznego punktu widzenia...

- Nie ma geopolitycznego punktu widzenia. - Mefistofeliczny machnął ręką. - Nie widzicie tego? Zachód już zapomniał, po co istnieje, wydaje mu się, że zrzędzić i się dojebywać to jedyny sens jego istnienia. Żydzi zawsze będą Żydami. A ci durni Anglosasi i Francuzi dają im po sobie jeździć. Sowietarze, oni jedni

pozbyli się tego gnoju. Ech, gdyby tak Sowieciarze nie byli tacy ... nie wiem ... dziwni.

- To też już nie są dawni Sowieciarze - odparł ten pierwszy. - Tam się też dzieje sporo ciekawego. I warto się tym zainteresować. Wyobraź sobie, że mi Mietek Klonowski, ten major z KOP-u, opowiadał ostatnio ...

- Przepraszam na chwilę - powiedział Barański i wstał z miejsca. Podszedł do ciebie. - Czy my się przypadkiem nie znamy? - zapytał.

- No właśnie widzę, że mi się pan przypatrujesz - odpowiedziałeś. - Ale ja nie lubię chłopców. To znaczy nic nie mam, oczywiście, do kochających inaczej, ale ...

- Uważaj , gnoju, co mówisz - powiedział Barański spokojnie, bardzo spokojnie, ze spokojem człowieka, który wie, że wystarczy jeden ruch ręki, by upokorzyć tego, który go obraża. Nie ma się po co spieszyć, można smakować tę sytuację. Ty, Kary, też znałeś to uczucie. I też smakowałeś. - Ale mimo wszystko - dodał - wydaje mi się, że cię gdzieś widziałem. Ba, pewny jestem. Pewny jestem też, że przyszedłeś tutaj specjalnie dla mnie.

Beata się uśmiechała. A ciebie nagle strasznie, ale to strasznie rozbolała głowa. Metalowa płytką parzyła cię w skórę. Ująłeś leżący na stole widelec. Barański się cofnął, ale ty nie miałeś zamiaru atakować widelcem Barańskiego. Rzuciłeś nim w stronę Mefistofelicznego. A to, trzeba, Kary, przyznać, na tyle zdziwiło Barańskiego, że zastygł przez chwilę nad tobą z wyrazem zbaranienia na twarzy. I podczas gdy Mefistofeliczny zajęty był trzymaniem się za oko, wyciem i bulgotaniem, a pozostali oficerowie - uspokajaniem go, ty, Kary, wysunąłeś z rękawa strzykawkę z serum nasennym w dawce mogącej uśpić konia i wbiłeś ją Barańskiemu w nogę. Nie uniknąłeś jego ciosu w szczękę, nie ma tak dobrze, ale zanim wstałeś z podłogi, gramoląc się z kawałków połamanego krzesła, Barański już leżał na podłodze. Musiałeś jeszcze tylko lekko uderzyć w ruszający na ciebie z wyciem worek treningowy w mundurze porucznika, by ten stracił rezon i ochotę do walki, po czym, razem z Beatą, wywlokłeś Barańskiego z knajpy.

- Nikt ci jeszcze, skurwysynie, nie okazał tyle czułości - powiedziałaś, wlokąc go pod ręce do samochodu i wrzucając na tylne siedzenie (twój złodziej ski multiklucz nie chciał, jak na złość, otworzyć bagażnika). Wyrwałaś z kopyta, jadąc przez wileńską noc, wileńskimi pustymi ulicami, kierując się w stronę Śnipiszek, i dalej, na Belmont. W stronę pewnego ciekawego miejsca, które odkryłeś przypadkiem kiedyś, dawno temu, w tych błogosławionych czasach, gdy pędziłeś beztroski żywot trampa. Które do tej pory nie masz pojęcia, czym jest ani czym było. Ale które nadal istnieje: cały dzisiejszy poranek zajęło ci odnalezienie go i upewnienie się, że nadal beztrosko trwa w swoim bezsensie.

Tylko że jeszcze przed Belmontem zatrzymała cię policja.

Stał, adamus, kurwa, ciemnogramatowy, prawie niewidoczny na tle podwileńskiej nocy, z radarem. I teraz machał ci pałą migającą w biało-czerwone barwy niezwykłe i kazał zjeżdżać na pobocze. Podszedł pod twoje okienko jak ułan pod Zosine, kołysząc się godnie na boki, i nawet zastukał.

- Nu, panie kierowco - zaśpiewał w czymś, co na mapach etnograficznych w atlasach oznacza się jako „dialekt północnokresowy”. - Pulicja państwowa.

- Bardzo mi przyjemnie. - Kiwnąłeś głową, przyjmując wyraz twarzy krańcowego idioty, bo z doświadczenia wiedziałaś, że to najlepiej na hinty działa. - Ile płacę?

- Nu, zaraz, zaraz, patrzcie go - sapnął krasnal wesoło - od razu chce płacić. To trzeba dokumenty, to trzeba się zastanowić ... Andrzejka! Andrzejka! - krzyknął do swojego kolegi, który w policyjnym piasku zaparkowanym głębiej w lesie, żeby go przypadkiem z drogi nie było widać, przy włączonym świetle rozwiązywał krzyżówkę. - Ten jeszcze nie wie, za co, a już chce płacić!

Andrzejka chyba nie usłyszał dokładnie, co tam do niego krasnal mówi, bo tylko kciuk w górę podniósł i wrócił do krzyżówki.

- A kolega - wskazał na Barańskiego, który leżał na tylnym siedzeniu i właśnie jęknął - to przedawkował samogon, czy co?

- Zastrzel go - syknęła ci do ucha Beata.

- Zwariowałaś - odwarknąłeś.

- A pan to co mówi? - Zmarszczył czoło krasnal.

- Taa jo, przedawkował - powiedziałeś, wyjmując portfel z wewnętrznej kieszeni kurtki. - Jóźko, kulega. My zy Lwowa - powiedziałeś, siląc się na akcent, który na mapach etnograficznych w atlasach oznacza się jako „południowokresowy”. - Ot, przyjechali popatrzeć na miasto Wilno, rudzina tu mamy, o, niedaleko, w Mejszagole, auto od nich pożyczyli, i wozim sia... - Nie byłeś pewien, czy dobrze ci twój lwowski wychodzi, ale próbowałeś.

Krasnal się roześmiał.

- Ta serdecznie witamy! - powiedział. - Ale wolniej! Sto.

Wyciągnąłeś bez szemrania sto złotych z portfela i wręczyłeś krasnalowi.

- I jeszcze sto, dla Andrzejki - dodał krasnal. - Chuj mnie obchodzi -zmienił ton - gdzie tego bolszewika wieziesz, kolego ze Lwowa czy nie ze Lwowa, ale nasz rewir się kończy za Belmontem, a nasi już mają od chuja roboty, więc wypierdalaj z klientem łaskawie dalej, do Nowej Wilejki.

Przed Mościszkami skręciłeś w prawo, w stronę sowieckiej granicy. Żadnego samochodu nie widziałeś już od dobrych dwudziestu minut. A i wcześniej nadzwyczaj rzadko. Tu była Litwa. Tu było pusto. Tędy mogła się, szczerze mówiąc, swobodnie przekraść cała sowiecka armia i przejść ten środkowolitewski polski sterczący róg na wskroś, w stronę Kowna, a nikt by jej nie zauważył. Zatrzymałeś się tylko raz: by porządnie skrępować Barańskiemu ręce i nogi wzmacnianym skoczem. Na wypadek gdyby się obudził w czasie jazdy. Wjechałeś w las i leśne dróżki. Dwa razy pomyliłeś drogę, w końcu jednak znalazłeś tę szopę. Oświetliłeś ją reflektorami skody. Znalazłeś ją dawno temu, w dość dziwnych okolicznościach, o których teraz wolałeś nie myśleć. Teraz ważniejsze było co innego. Od tego czasu, w każdym razie, nikt nie założył na drzwi nawet nowej kłódki. Co więcej, kłódka, którą sam, własnymi rękami, wyrwałeś z tych gnijących wrót lata temu, nadal leżała na trawie, dokładnie tam, gdzie ją rzuciłeś. To było niewiarygodne, ale wyglądało na to, że nikt co

najmniej od tamtej pory nie zaglądał do tego zapomnianego przez boga i ludzi miejsca. Po co, myślałeś, Polsce tyle nowych terenów, po co jej kolonie, po co w ogóle była jej ta cała Wileńszczyzna, skoro jej, kurwa, nawet nie używa.

Otworzyłeś szeroko wrota. I światła skody padły na wielką, gigantyczną, łysą głowę marszałka Rydza-Śmigłego, mającą może trzy na dwa metry, odlaną w zaśnieżonym metalu. Nie miałeś pojęcia, po co to tutaj stoi. Nie miałeś zielonego pojęcia, co za historia się kryje za tym miejscem. Podejrzywałeś, że była to część jednego z tych słynnych tajemniczych megalitycznych projektów Szukalskiego, których realizacja nie doszła do skutku z powodu postępującego szaleństwa nadministra, którego nie dało się ukrywać przed mediami, i cichego odsunięcia go od kół rządowych. Mógł to być fragment szumnie zapowiadanego przez Szukalskiego w ostatnich miesiącach jego urzędowania Kolosa z Wileńszczyzny, którego miało być widać z Litwy Kowieńskiej i Sowietów. A być może nawet z Łotwy.

Ale w gruncie rzeczy diabli wiedzą, co to było. Być może miała być tylko głowa, której jakiś szalony naukowiec chciał domontować nogi mechanicznego pająka i puścić na któregoś z sąsiadów. Diabły wiedzą. W każdym razie głowa Rydza tkwiła tutaj, w szopie na polanie w środku podwileńskiego lasu. I do tej szopy wrzuciliście Barańskiego.

- Franciszek Kary, no tak, teraz kojarzę - powiedział jakąś godzinę później zmarznięty Marcin Barański. Przebudził się, trząsnął się z zimna i patrzył na ciebie spod przymkniętych powiek. A ty, milcząc, patrzyłeś na niego, oparłszy się o nos Rydza i paląc egipskiego. - Ty zdradziecka gnido.

- Czy szkolileś kogokolwiek poza przysięgą? - zapytałeś. - Kim są Hieroglify?

- O czym ty mówisz?

- Słuchaj - powiedziałeś - ja ci nic nie zrobię, ale ta pani - wskazałeś kciukiem na stojącą za tobą Beatę - będzie ci odcinała kawałek ciała za każdym razem, kiedy skłamiesz albo nie odpowiesz.

- Co ty bredzisz, idioto. Ja wiem, czemu ty mnie znalazłeś. Ja wiem, że ty jesteś z tą... nie mogłem uwierzyć, że takie przypadki się zdarzają, takie romantyczne historie, ale ...

Zanim się zorientowałeś, Barański leżał już na ziemi, pluł krwią i rechotał, a ty rozcierałeś bolącą rękę.

- Wiesz - powiedział - to miło wiedzieć, że ją miałem przed tobą.

Wytarłeś w trawę krew z buta. Nachyliłeś się nad Barańskim i zakleisteń mu usta taśmą.

- No to teraz powiedz Beacie wszystko, co wiesz.

Wyszedłeś z szopy i zapaliłeś papierosa.

Beata weszła do środka i zamknęła drzwi.

Zadawała bardzo konkretne pytania, na które Barański w pewnym momencie bardzo chciał odpowiadać. Ale miał zaklejone usta.

Gdy wyjeżdżaliście, wymalowane krwią kółko z kropką pośrodku znajdowało się na dwóch głowach. Rydza i Barańskiego.

Wracałeś do Warszawy świadomy, że nie posunąłeś się ani na milimetr w twoim, pozał się boże, dochodzeniu. Ale zadowolony.

SARKAŃ

Przed twoją kamienicą stał samochód. Czarny piast. Śmierdział burym na kilometr.

Beaty nie było. Poszła do siebie. Wracałeś sam. Przystanąłeś pod bramą. Zapaliłeś papierosa.

Sarkań wysiadł z auta.

- Jak palec? - zapytał słodko.

Podszedłeś do niego. Uśmiechałeś się.

- Wiesz, że ona się powiesiła?

- Kto, na boga, śmierdzielu hipsiarski?

- Dagny.

- Dagny? Jaka Dagny?

- Ta, którą zapewne zgwałciłeś.

- A, ty o tym. - Na różowiutkiej twarzyczce Sarkania pojawił się ślad czegoś rozkosznego, cukierkowego. - No wiesz, oskarżać mnie o takie rzeczy, mnie, policjanta, przecież policja państwowa jest wzorcem moralności, jak ja mógłbym coś takiego zrobić. To te ścierwa hipsiarskie są niemoralne. Więc, przepraszam, co ty mi chcesz wmówić, gnojku? Jeśli moralny tłamsi niemoralnego, to znaczy, że używa uzasadnionej siły, broni społeczeństwa przed potworem ... zresztą przecież oni propagują wolną miłość, więc nawet jakby, to po prostu skorzystałem z ...

Nie skończył, bo złapałeś go za klapy jaśniuteńkiego, beżowiutkiego garniturka i rzuciłeś nim o ścianę, plując mu jednocześnie w twarz. Słyszałeś, jak w czarnym piasku zaparkowanym za twoimi plecami otwierają się drzwi, jak policjanci szarpią się z kaburami i wrzeszczą do ciebie: „Ręce do góry!”. Podniosłeś, nie odwracając się. Sarkań, który osunął się po ścianie, powstał na kolana, uśmiechnął się szeroko swoimi gumowatymi wargami i przejechał czubkami palców po oplutym czole. Zgarnął twoją plwocinę i wtarł ją sobie we włosy, jak żel, zaczesując je do tyłu.

- Ależ ty pierdolnięty jesteś, Sarkań. - Uśmiechnąłeś się do niego.

- No widzisz, Kary, chuju ty głupi. - I on się uśmiechnął. - Tyle nerwów, a ja tylko chciałem z tobą kulturalnie porozmawiać. Na komisariacie. Bo jesteś podejrzany, kochany, o morderstwo. O serię morderstw nawet, kochany. Kurwo ty, chuju, szmato.

I dał ci w pysk. A ty jemu. I policjanci się na ciebie rzucili, i wtarabanili cię do auta.

Dobrze - pomyślałeś - że ciemno jest i że dziwny stróż, pan Artur, tego nie widział. Bobby cię traktował jak bandytę od tej pory, a nie ma nic gorszego, jak gdy stróż traktuje lokatora jak bandytę.

I znów siedziałeś przy tym samym biurku, przy którym Sarkań złamał ci palec. Tylko że tym razem nikt nie przykuwał cię kajdankami do blatu. Sarkań siedział naprzeciwko ciebie i pokazywał ci zdjęcia.

- ...i kolejny. Maciej Szmit.

- Mhm.

- Nóż w oko.

- Mhm.

- Wiktor Marzena, nóż w oko.

- Auć. Ale ładne nazwisko.

- Tomasz Karczak, zwany Koparą.

- Ładny.
- I nieżywy.
- No.
- Nóż w oko.
- No.
- I symbol narysowany.
- Hm. Zagadka. Tajemnica.
- Paweł Maciejczyk, pseudonim Maciej.
- Wspaniały pseudonim.
- Nóż w oko.
- No.
- I narysowany symbol nad nim. Taki sam jak ten nad Koparą i nad poprzednimi.
- No.
- Coś jakby oko.
- „Coś jakby" to chyba nie jest kryminalistyczna kategoria, co, Adaś?
- Niby nie, ale patrz, tu w oko, tam w oko ...
- Mój ty Sherlocku.
- Marcin Moczydłowski, zwany ...
- Moczem?
- Nie. Łysym.
- Ładnie.
- Nóż w oko.
- No takie życie.
- I oko narysowane nad trupem.
- Ojoj.
- No i hit wieczoru. Joachim Krajniak i ksiądz Daniel Krenc.

Powieka ci nawet, Kary, nie drgnęła. To banały, podstawy. Takich rzeczy na pierwszym roku spadochronówki w Bydgoszczy uczyli. Jak nie pęknać i nie dać po sobie niczego poznać w śledztwie. Bułka z masłem. Kielbasa z kapustą. Wódka ze śledzikiem. Kreska z riferem.

- O Boże, jaka szkoda, tacy dobrzy Polacy.

- Co robiłeś - Sarkań spojrzał na grubo pokreślony kalendarz - na przykład osiemnastego lipca, w nocy. Późno. Może nawet dziewiętnastego rano. Drugiego sierpnia, w nocy. Czternastego sierpnia, w nocy. Osiemnastego września, w nocy... zresztą, kurwa, masz. - Rzucił ci kalendarz. - Sporo tego jest. Rozumiem, oczywiście, że masz alibi na te wszystkie daty.

- Tak - odpowiedziałeś, Kary. - Byłem zapewne albo w domu, albo Pod Blachą. Albo w Syrenie. Albo ...

- Pod Blachą nie byłeś, bo już sprawdziliśmy. - Sarkań się uśmiechnął. - W Syrenie też.

- A to oni niby pamiętaj ą, kiedy kto ...? - Byłeś, Kary, porządnie zdziwiony.

- Ty nawet, synu, nie wiesz, gdzie my mamy swoich ludzi, kurwo ty głupia hipsiarska, przekleństwo ty czasów nowoczesnych ...

- Jasne, Sarkań. Tak, wszyscy barmani w mieście pracuj ą dla policji i wszyscy mnie pamiętają, wszyscy pamiętają dokładnie, gdzie i kiedy byłem. Przestań pierdolić jak idiota. Blefować to trzeba umieć.

- Powiem ci tak: jebnął ci ktoś kiedyś ostatnio? Ale tak porządnie?

- A właściwie to co ci, Sarkań, pierdolnęło do łba? Czemu to akurat ja mam szukać alibi? Dlaczego to ja jestem podejrzany?

- A dlaczego nie? Wolno mi cię podejrzewać.

- A mnie ciebie.

- A chuj mnie to obchodzi, podejrzewaj sobie, kogo chcesz -zarechotał Sarkań.

- Różnica między tobą a mną jest taka, że ja jestem policjantem, a ty jesteś hipsiarskim gównem...

- Sarkań - westchnął. - Adaśku. Przynajmniej przestałbyś się kompromitować. Nie jestem hipsem. Jeśli już, to ...

Otworzyły się drzwi.

- On ma rację, Sarkań, dziadku. On nie jest hipsiarzem, on jest biciarzem - powiedziała wysoka hipsiarka Dagny, z którą Kary ramię w ramię bił policjantów pod dworcem. Mówiła z podobnym kresowym akcentem jak Sarkań. I miała na sobie policyjny mundur.

- Patrz, Maruszka, jaką mordę zrobił, o! - rechotał Sarkań, patrząc na twoją cokolwiek zdziwioną minę. - Wiesz, Kary, ty to się zawsze napatoczysz w złym momencie, wbijesz jak ten chuj wzwiedziony na zabawę dziecięcą...

- Na co? - wykrztusiłaś, patrząc to na niego, to na Dagny/Maruszkę. - Ale numer.

- Taka akcja, tyle rozpracowywania środowiska hipsiarskiego we Lwowie, tyle roboty agentki, agentka działała z takim poświęceniem, ruchać się musi z tymi brudasami. ..

Maruszka strzeliła Sarkania w pysk i usiadła obok niego. Sarkań nie wyglądał na ani trochę zdziwionego, co z kolei jednak nieco zdziwiło ciebie, Kary.

- Jeśli chodzi o mnie, panie Kary - uśmiechnęła się -to chciałabym podziękować za tamtą pomoc udzieloną pod dworcem, choć faktycznie nie bardzo nam się pan przydał. Jeden z hipsiarzy chyba zaczął coś podejrzewać i musieliśmy ratować nasz anderkower, udając, że moja, powiedzmy, bohaterka, zmarła śmiercią tragiczną po przesłuchaniu u tego tu kresowego dżentelmena. Ale jeśli chodzi o to, co panu mówi podkomisarz Sarkań, to sprawa jest poważna. Jeśli się pan nie przyzna...

- Zaraz, zaraz, zaraz, dzieci drogie. - Rozparłeś się na krześle. -Zanim zaczniecie grać dalej ten teatrzyk zły glina, dobry glina... O co chodzi, do czego mam się przyznać? Skąd w ogóle pomyśł, że ja mam cokolwiek wspólnego z tymi tam ... Koparą, Moczem i innymi? I co pani, pani Maruszko, czy tam Dagny, robi

w ogóle w tej sprawie? Dopiero co łapała pani pod przykryciem hipsów, a teraz nagle przeszła do zabójstw?

- Nasza polityka personalna, panie Kary, nie jest pana... - zaczęła Maruszka, ale Kary jej przerwał.

- Przeprowadzili tu panią tylko po to, żeby zrobić na mnie wrażenie, żeby mnie wyprowadzić z równowagi? Naprawdę, wyrefinowane, przebiegłe. Ja pierdołę. I żeby przy okazji grać dobrego policjanta -powiedziałeś powoli, siląc się na nonszalancję. Siląc się to jest dobre słowo, Kary. - Faj nie. Może pani już sobie pójść. A co do tego wszystkiego ... - Kary rzucił w stronę Sarkania kalendarz. - Co to w ogóle ma być? Czemu ja?

- A powiedzmy, że donosik - zachichotał Sarkań. - Że zeznania świadków. Że materiały operacyjne policji. Że się pan szanowny może wygadał temu czy owemu po pijaku ...

- Jesteś popierdolony do szczytu, Sarkań - powiedziałeś, próbując sobie coś takiego przypomnieć, miałeś gorączkowo mózgiem, wymachiwałeś rozumem, którego, nieboraku, nie mogłeś już być pewien. Nie od czasu sławnej Rzezi. Nie od czasu, kiedy się znamy. Ale cieszyłeś się, cieszyłeś, że to ciebie podejrzewają, a nie Beatę. - I co, zatrzymasz mnie teraz?

- Teraz? - zachichotał Sarkań. - Żeby znowu ta kurwa żydowska cię wyjęła z aresztu?

Dagny/Maruszka patrzyła na niego z niekłamanym obrzydzeniem.

- Kurwa? - zdziwiłeś się. - Poseł Wolf Rubin jest wielkim patriotą, sługą Rzeczypospolitej, sojusznikiem naszej władzy! Nie wiem, czy to, co pan mówi, podkomisarzu Sarkań, nie podpada pod obrazę urzędnika państwowego na służbie! Czy to się nagrywa?

- Słuchaj, Kary, gnoju, gnido. - Sarkań wstał. - Nie, ja cię puszcę. Ja cię, kurwo, puszcę. I będę na ciebie patrzył. Z bliska patrzył. Jak srasz, jak szciesz ... ty hipsiarski...

- Biciarski - poprawiła go Maruszka.

- A ty wypierdalaj stąd w podskokach, głupia ty lampucero z Łwowa! - wydarł się na nią. - Jak się na nic przydać nie umiesz!

- A ty nie z Łwowa? - syknęła Maruszka, wstając z godną miną.

- Ta ja ze Żółkwi! - Sarkań dumnie wypiął pierś.

Dagny dała mu w pysk po raz wtóry, obróciła się na pięcie i wyszła, nie patrząc nawet na Karego. Sarkań usiadł ciężko w fotelu, masując się po twarzy i wesoło łypiąc na Karego.

- Wszyscy cię tu kochają, Sarkań - powiedziałeś, rozpierając się na krześle.

- Za to ja kocham tylko ciebie, Kary - odpowiedział Sarkań, ugniatając sobie palcami czerwieniejący policzek. - I wsadzę cię, gnoju, pod szubienicę. Przyrzekam ci to.

I znów siedzisz w knajpie, alkoholiku. Ledwie cię wypuścili i od razu, żeby uspokoić nerwy skołatane, hyc do baru.

Do Syreny.

W telewizorze - wiadomości. W wiadomościach - wojna na Ukrainie.

No więc tyle jest z tą wojną na Ukrainie, że można, jak się jest świeżym w dzielnicy, nikogo się na niej nie zna, wejść do baru i w najlepsze choćby barmana zagadać, że, kurwa, ta wojna, ci Ukraińcy ...

Rzecz w tym, że w Syrenie barman, o imieniu Ostap, sam był Ukraińcem, bo kim, kurwa, można być, jak się ma na imię Ostap, Mandżurem? Więc nie za bardzo było jak z nim gadać, bo jak zszedł temat na Ukrainę, to barman Ostap co prawda nic się nie odzywał, ale w ciągu kilku minut pod byle pretekstem pasywno-agresywnie prowokował awanturę i wyrzucał gościa z lokalu, niby w obronie własnej. Choć szczerze mówiąc, mało kto by się na niego śmiał choćby zamachnąć, bo barman Ostap był wielki jak kombajn Kosynier Super-Bartosz i zderzenie z nim powodowało właśnie efekt porównywalny ze zderzeniem z kombajnem, i tu nie trzeba było ojca Klimuszki, żeby to przewidzieć. Na przykład zamawiał ktoś bombę piwa, siadał przy barze, zerkał w górę, w dół, w bok, po czym wzdychał,

zapalał papierosa i mówił: „Do dupy ta polska władza niepodobna, ale przynajmniej Ukraińców leje”.

Wtedy barman Ostap mruzczał coś niewyraźnie, patrzył przez chwilę pod światło na polerowane szkło, a potem podchodził do klienta i oznajmiał oficjalnie, że tu nie wolno pluć na podłogę. Klient, zdziwiony, bo jako żywo na podłogę nie pluł, protestował, a wtedy Ostap wychodził zza baru i na całą knajpę krzyczał, na przykład, że „tutaj się kobiet nie obraża!”. Gdy gość, zupełnie zdezorientowany, mówił, że ani, kurwa, na podłogę nie pluje, ani kobiet nie obraża, wtedy barman Ostap walił go w pysk, wołał coś jeszcze od siebie, na przykład że „matka to świętość” albo „ty mi tu Orła Białego poniżał nie będziesz!”, i wyrzucał z lokalu zbaraniałego klienta o nastawieniu antyukraińskim. Na co starzy klienci kiwali ze zrozumieniem głowami i mówili do siebie półgłosem: „Biedny chłopak ten Ostap, nie jego przecież wina, że Rusin, te Rusiny, biedne cholery, to tutaj życia nie mają w tern mieście”.

To znaczy - to nie tak, że z barmanem Ostapem w ogóle nie można było pogadać o Ukrainie. Można było, i to nawet nie trzeba było być pacyfistą, który psioczy na wojnę. Wystarczyło być zwyczajnym warszawiakiem, który mówił, że za cudzą kieszeń to on nie będzie tych Ukraińców bił, choćby cholery z nich były nie wiadomo jakie, i jeszcze Polsce katastrofy międzynarodowej na głowę ściągał. A takich było najwięcej.

Ostap puszczał więc najczęściej te „cholery” mimo uszu, bo tym Ukraińcem, fakt, był, ale urodzonym już w Warszawie, więc swoje wiedział, swojego się nasłuchał i chwycił się już każdego w zasadzie pojednawczego zdania na temat Ukraińców. Więc jeśli ktoś mówił, że „Ukraińcy to cholery, ale po co ich od razu bić?”, to kiwał głową i się nie czepiał.

Zresztą tak naprawdę to nie bardzo w ogóle czuł się tym Ukraińcem, tym bardziej że we Lwowie to był raz, z wycieczką szkolną, a na wsi ukraińskiej to już w ogóle. Jego rodzice przenieśli się do Warszawy ze trzydzieści lat temu, za późnego wodza

Korzyckiego, za końcówki kolejnej pięciolatki i Wielkiej Rozbudowy. Rozbudowy za, oczywiście, alianckie pieniądze.

Jego starzy byli gdzieś spod Stanisławowa, z jakiejś wsi - Antyniwiki, Antonówki, Frankiwki, Kary nie pamięta, choć barman Ostap mu mówił, ale mówił też, że nigdy tam nie był, oj ciec wyjechał skłócony z wujostwem na śmierć i życie, były jakieś dziwne sprawy, jakaś kosa wisiała nad tym wszystkim, „tam się ludzie nie tylko z wami, Polakami, żrą, ale i między sobą”, śmiał się Ostap. Więc ukraińskość to on miał w domu, choć ta jego ukraińskość, mówił, już tak była rozcieńczona polskością, że diabły wiedzą, co to w ogóle było.

No ale przypomina sobie Franc jak przez mgłę jego pomarańczową historię, bo wszystko mu się w tym barowym, pomarańczowym świetle wykąpało, co się przy tym barze działo: pomarańczowy Ostap, pomarańczowa kontuszówka, którą z nim pił, piwo, którym ją przepijał, i historia Ostapa: oj ciec ciężko pracujący, matka - zamodlona na śmierć greckokatolicka bigotka, pasywna, w wiecznej depresji i bez wpływu na cokolwiek.

A oj ciec, mówił Ostap, do niedawna pracował jako stróż na budowie. Tam gdzie wznoszą te nowe szklane biurowce Hajnclów, w okolicy torów, między Nalewkami a Żoliborzem.

I po tym ukraińskim zamachu w Warszawie, po Rzezi 15 Maja, jak to w Polsce wszyscy nazywają, wszystko się znów zaczęło pieprzyć: oj ciec najpierw wziął udział w bijatyce między polskimi a ukraińskimi budowlańcami. To znaczy - nie tyle brał, ile chciał ich rozdzielać, ale i tak wyrzucili go z roboty, razem z innymi Ukraińcami. A to ogólnie był czas niezbyt fajny dla ugodowców i pacyfistów. Każdemu, kto mówił, że z Ukraińcami warto się jednak dogadać, zamiast ich (nie wiadomo, jaki właściwie rząd miał plan) powyrzynać, zdziesiątkować, chlustano w twarz krwią ofiar 15 Maja. A trzeba przyznać - było czym. No i w ten sposób zamykano każdą rozmowę.

Hipsiarskie demonstracje antywojenne, tradycyjne już, podczas których się hipsy przykuwały do ogrodzeń kutych przed Ministerstwem Wojny w Dzielnicy Marszałka Piłsudskiego, były rozbijane przez prewencję, która nie patyczkowała

się ani trochę: gliny na koniach wymachiwały pałami jak pałaszami, a zgarniając hipsów w czarne kibity, wrzeszczały jeszcze, żeby się cieszyli, że w nich salwą nie wałą albo że ich szablami nie tną. Zresztą czasem cięli - częściej płazowali, ale zdarzało się, że i szło w ostre. Na przykład jak wtedy, gdy lokalnie znanemu hipsowi, Wawrzkowi, co to śpiewał antywojenne piosenki Hańby przykuty do latarni pod Kolumną Rydza, gliniarz szablą obciął dłoń, tę w kajdankach. Hips zaczął ryczeć z szoku i bólu, jakby zmysły stracił, zresztą - co tu gadać - stracił, i w pacyfistach krew zawrzała. I rzucili się na policjantów i z koni ich zaczęli ściągać, i piekło się rozpętało: niektórzy gliniarze na czworakach w krzaki ostrokrzewu uciekali, co to je w tym dzielniczyszczu wielkim nasadzono, żeby choć trochę jakoś ludzko było, no a ostry był ten krzew, trzeba dodać - to żeby żuławie w krzakach nie przesiadywali, żeby matki dzieci nie wysadzały, właściciele psów nie wyprowadzali, ogólnie - żeby stał i ładnie wyglądał. Inni policjanci hipsów cięli, płazowali, sami wystraszeni, w obronie własnej - wszystko potem w sądzie tak określano. Uzasadniona reakcja policji w obronie własnej . Trupów było pięć, w tym jeden rozszarpany prawie na strzępy policjant: hipsy wyrwały mu oko i szczękę, wbiły nos do głowy. To był ten sam, który odciął rękę hipsowi Wawrzkowi. Jego zdjęcie, w wersji „przed” (a przystojny był, sobaka) i wersji „po”, puszczały później propagandowe „Wiadomości”. Tradycyjny komentarz, że hipsy to rak i zwyrodniała narośl na zdrowym ciele narodu, że to dekadencja i zepsucie, że murzyńskość-barbarzyńskość, że promocja wszystkich najgorszych cech społecznych, jak lenistwo, promocja dewiacji, uzależnień, patologii, stawianie świata na głowie i saturnalia okrągły rok, został podbity ze dwadzieścia razy bardziej oskarżeniami o skłonności do okrucieństwa i zezwierzęcenie. Fety miejskie, które i tak od zawsze na hipsów polowały (z różnym szczęściem, bo hipsy umiały się odwijać), teraz wzmogły tylko działalność nakierowaną na obronę tradycyjnych wartości. **Aż** nawet niektórzy politycy Obozu zaczęli ich wychwalać, że prosimy bardzo - warszawski ulicznik, fetniak, to w zasadzie dobry patriota, dobry obywatel i krew z krwi, kość z kości - prawdziwy obrońca polskich wartości, przesiąknięty polskim wirilem jak gąbka! A że wypić lubi, pobić czasem -

no cóż, krew wrze, szczególnie w takich czasach jak teraz, dobrze, że fety zwyrodnialców, a nie normalnych ludzi biją!

Sam Ostap narzekał, że nie może się w tym wszystkim za cholereę odnaleźć. W sumie to trochę fetniak z niego był. Na pewno nie hips. Pił z Karym ukradkiem małe wódki, żeby szef nie widział, i im bardziej się upijał, tym bardziej wwiercał w Karego swoje błękitne, aż zbyt blade, trupie jakby oczy, i pytał: powiedz, Franc, czy ja jestem Ukraińcem czy Polakiem? I o chuj tu chodzi? W życiu na Ukrainie nie byłem, po ukraińsku mówię tylko w domu, jak rodziców odwiedzam, a i tam coraz częściej po polsku tak naprawdę, co to w ogóle znaczy to „być Ukraińcem”, do cerkwi chodzić? Niewierzący jestem, tyle co na święta. Poza tym starzy są unitami, przecież pod tym samym papieżem co Polacy, Piusem XIII, i tak samo uważaj ą go za swojego, bo przecież on z łemkowskiej rodziny. Woj tyła. I teraz, kurwa, nic mnie ta wojna nie obchodzi, a jednak patrz, muszę jakieś stanowisko zajmować, mimo że mnie to nie dotyczy ...

Kary nie bardzo pamiętał, co mu odpowiadał, pewnie, jak siebie znał, coś o tym, żeby zajął się Ostap poważniejszymi sprawami, na przykład polewaniem kolejnych kolejek pod barem, i że można być jednocześnie i Ukraińcem, i Polakiem, jeśli już tak bardzo się upiera, żeby kimś być, „wystarczy tylko chcieć”, jak brzmi ten amerykański szlagwort, do którego Amerykanie, jakoś niespecjalnie skutecznie, latami próbują przekonać świat.

- Ja - mówił Kary - mam w dupie, kim jestem, na przykład.

- Ty możesz - krzywił się Ostap - bo jesteś Polakiem w Polsce, to ci łatwo tak pierdolić. Ale jedź za granicę i dalej tak gadaj , zobaczymy, jak wszyscy zareaguj ą. „Przyjechał Polak i mówi, że nie jest Polak, fajnie”.

- Ale ty nie jesteś za granicą - na odczep rzucił Kary, bo Ostap miał, oczywiście, rację, tylko Karemu nie chciało się na ten temat gadać.

- A wiril? - pytał Ostap. - Mój wiril jest ukraiński czy polski? - pytał, a Kary wywracał oczami, sam się zastanawiając, czy według teorii wirilu, a raczej, kurwa, religii wirilu, naród, który nie ma państwa, może w ogóle mieć wiril. Czy wirilu

nabywa się dzięki sile sprawczej państwa, czy -odwrotnie - to dzięki wrodzonemu, przydanemu przez Boga narodowi wirilowi można dorobić się państwowych instytucji.

- Pij, Ostap - mówił więc Kary i sam pił. - Jak mawiał wielki wódz, prezydent Bolesław Wieniawa-Długoszowski: polej , bracie, tyle w temacie.

- Jak mawiał wielki wódz, prezydent Bolesław Wieniawa-Długoszowski, kto nie lubi schlać się wódką, ten ma pewnie pałę krótką -zgadzał się Ostap, bardzo już pijany, a pił, bo dziś miał dzień przesilenia, dziś pobił dwóch klientów za śpiewanie piosenki o tym, jak to „buja się na drzewie haj damak", i szef mu zapowiedział, że on już ma dość, że jeszcze jeden taki wybryk i Ostap leci z pracy, że on nie ma nic do mniejszości narodowych, ale, kurwa, on tu ma interes.

Ostap burknął mu na to, że on się nie prosił być mniejszością narodową, ale zawiązał fartuch firmowy wokół bioder i wrócił do roboty. Tylko że zaczął walić jednego za drugim. Coś czułeś jednak, że to się nie skończy tak różowo, bo już trochę Ostapa znałeś.

Więc teraz bez specjalnego zdziwienia patrzyłeś, jak pijany Ostap wchodzi na bar i wrzeszczy, i śpiewa:

- Nie damy morza ani Pomorza, gdy nam je ręka wróciła boża! Nie damy Wilna, nie damy Lwowa, bo to też nasza scheda ojcowa!

Próbujesz ściągnąć go z baru i uśmiechasz się kącikiem ust do ludzi, którzy niemrawo mu przytakują: tak, tak, stary, scheda ojcowa, tak.

Ale Ostap podnosi kieliszek kontuszówki i krzyczy:

- Nasi dziadowie i ojcowie dokonali wielkiego dzieła! Dzieła, którego doniosłości nie możemy przecenić i dziś, gdy ojczyzna nasza jest już okrzepla i coraz bardziej jednorodna! Kiedy wszyscy, niezależnie od narodowości, czujemy się częścią jednego, wielkiego i niepodzielnego narodu polskiego!

- Pendeju, złaż z baru, nalej mi piwo lepiej - pokrzykuj ą klienci, ale barman Ostap jest już w transie.

- Niech żyje nienaruszona polskość Małopolski Wschodniej ! - ryczy.

- Taaaak! - słyszy nagle to, co chciał usłyszeć. Dobiega gdzieś z końca baru. - Jebać haj damolskie ścierwa! Buja się haj damak, buja na gałęzi...

I tyle, bo barman Ostap tak mu wyiwania z kamasza na pysk, że facet wali się ze stołka na plecy, a jakaś pij ana dziewczyna dopada go i woła:

- Jezusie, Jędrrek, ty chuju, wstawaj !

- Złaź, skurwysynie, cholero ty! - Pojawia się za barem właściciel lokalu, Patryk jakiś, o ile wiedziałeś, i za kolana łapie Ostapa. Wiedziałeś, że to już koniec, że nie ma co zbierać, że Ostap nie tylko wyleci z knajpy, ale i z pracy, chciałeś więc, aby chociaż tyle z tego wszystkiego było, żeby Ostap powiedział to, co chciał powiedzieć.

Wskoczyłeś więc za bar i mocno kciukami ugniotłeś skronie właściciela Patryka tak, że ten aż zawył, i oderwałeś go od Ostapa.

Ten złapał się wolną ręką wiszącej nad barem lampy i krzyknął:

- Chciałbym więc wznieść toast z życzeniem, by Polska idea partykularna zapanowała na całym świecie!

Goście trochę chichotali, trochę patrzyli, zaciekawieni, trochę nie wiedzieli, o co chodzi z tym całym Jędrzejem, którego właśnie, zakrwawionego, dziewczyna wyprowadzała z lokalu, pokrzykując pod adresem Ostapa, żeby czekał, bo ona zaraz z Jędrzejem wróci i jak tylko Jędrzej wypluje zęby, to go, Ostapa, kurwa, zakopie.

- By świat zrozumiał, że polskość ma cechy uniwersalne! Że polski genotyp sprawia, że Polacy niezdolni są do zbrodni, do podłości, do małości! Że polskość predestynuje ich do ...

Patryk szarpnął się i, również nie będąc ułomkiem, uderzył barkiem w nogi Ostapa, a ten zachwiał się i jak długi spadł z baru na podłogę, rozbijając sobie głowę.

DERWISZ

A następnego dnia Kary wychodzi z kamienicy i wpada, klnąc, na skrzynkę z „Kurierem”, którą kretyn gazeciarz ustawił dokładnie przed kamienicą zamiast obok. Kary pewnie nawet kopnąłby skrzynkę, zamachując się na nią ciężkim motocyklowym butem, które, wiadomo, noszą w Warszawie już tylko starzy biciarze, wieśniacy i Kary (no i, oczywiście, motocykliści), gdyby nie to, że na pierwszej stronie widzi wielki czerwony tytuł: HIEROGLIF ZNÓW UDERZYŁ !!! A pod spodem, nieco mniejszymi literami: KOLEJNA GŁOWA ODCIĘTA OD CIAŁA.

A więc tym razem nie Beata. Hieroglif. Albo jego epigon.

Na zdjęciu widać biało-czerwoną taśmę z napisem POLICJA i jakiegoś smutnego policjanta z jeszcze smutniejszym orzełkiem na czapce. Ale widać też odciętą głowę. Znaczy - nikt znany. Żadna publiczna figura. Znaczy - nie Hieroglif. Epigon.

Patrzy Kary na stertę „Kurierów” w skrzynce i sięga do kieszeni po drobne. Nie znajduje ich, sięga do drugiej, też nie znajduje, rozgląda się. Na ulicy jest pusto poza kilkoma dostawczakami, które rozwożą towar do sklepów na jego ulicy, i poza jakimś dandysem na rowerku, który mija go, ogląda od góry do dołu i odjeżdża z wyrazem pogardy na twarzy, na pewno zastanawiając się, czy Franc Kary jest wieśniakiem czy biciarzem, co zresztą dla jego pogardy nie stanowi różnicy.

Łapie więc Kary skrzynkę z „Kurierem”, wciąga w cień bramy, z której właśnie wyszedł, a raczej z której wypelźł na miasto, rozgląda się - i kopie ciężkim butem w zamek. Ten odskakuje z bardzo kresowym jakimś jękiem, takim przeciągłym, typu „ta joj, Boże mój”, zupełnie jakby Sarkań jęczał, i rama przytrzymująca gazety opada na brukowe kamienie.

- Co pan, panie Kary, do ciężkiej cholery, się tłuczesz - słysząc grobowy głos i w prześwicie bramy pojawia się sylwetka dziwnego stróża. Pan Artur, Kary nigdy nie był w stanie zapamiętać jego nazwiska, choć ja pamiętam je doskonale: Kwapisz. Niewielki, grubawy i ciężki, przypominający piłkę lekarską, szczególnie w tej swojej nieodłącznej brązowej skórkowej kurteczce, za to zwinny i ruchliwy jak mały samochodzik. Jak, powiedzmy, małowitrazowy ryś, co to go montuj ą w Pińsku w ramach kulejącego Programu Rozwoju Polski Wschodniej . Stróż Artur jest może i stróżem dziwnym, ciekawym, można nawet powiedzieć, na przykład ostatnio opowiadał Karemu o tym, co przeczytał w „Wiedzy i Życiu”, które prenumeruje - że ośmiornice są najprawdopodobniej stworami z kosmosu, które zostały na Ziemię przywleczone przez meteoryty, ale Kary za nim nie przepada.

Drażnią go rozbiegane oczka dziwnego stróża Artura, wąskie i cwane jak u grójeckiego wozaka, jego nalane usta, wiecznie błyszczące, jakby przed chwilą pił olej spod sardynek. Ale drażni go przede wszystkim dlatego, że Kary doskonale wie, że cieć Artur nim gardzi, a gardzi nim dlatego, że cieć Artur jest rodowitym warszawiakiem, choć gdzieś z podmokotowskich slumsów, a on, Kary, jest ze wsi. Cham z chamów, chłop z chłopów. Jest pan Artur natomiast cwany, cwany, ma te swoje rozbiegane oczka, ma ten swój cwaniaczy zmysł, więc wie, że Karemu, który jeździ całkiem porządną skodą brzetysław zaparkowaną teraz w podwórzu kamienicy, którego widuje przecież to w towarzystwie bandziorów, to gliniarzy - że takiemu człowiekowi lepiej tej pogardy nie okazywać, ba, że lepiej nawet mu się czasem podlizać. I gardzić w ciszy, tak właśnie, jak gardzą gnidy w typie pana Artura.

Diabły go tu nadali.

- Gazetkę kupuję, panie Arturze - mówi Kary, nie patrząc na niego. Wyciąga „Kurier” i próbuje zatrzasnąć zamek z powrotem.

- Trza było mówić - mruknął cieć Artur - ja se już dawno kluczyk dorobiłem. Co będę, kurwa ich mać, korporacje wspierał, krwiopicców. Dej pan. Zamkne.

Pan Artur zamyka skrzynkę, w tym czasie Kary próbuje przewertować „Kurier”, ale nie może się skupić: jednym uchem musi słuchać gadaniny stróża.

- Patrz pan, Hieroglif, o, „znów uderzył”, piszą. Tego Hieroglifa, mordercę, przysięgam na pana Boga w Trójcy, kurwa jego mać, jedyne, to powinni jak za dawnych czasów, jak go złapią, wozić po ulicach na wozie drabiniastym, i na każdym rogu szarpać gorącymi obcęgami, panie Kary.

Pan cieć Artur prenumeruje „IKC Historia”, interesuje się, orientuje, jak dawniej bywało, detektyw Franc Kary o tym wie. Nie dlatego, że jest detektywem, tylko dlatego, że pan Artur mu o tym nie raz i nie dwa opowiadał.

- Ja, panie Kary, prenumeruję „IKC Historia”, ja się, panie, orientuję, jak to było dawnymi czasy, a dawnymi czasy było tak, że jak się takiego zwyrodnialca chyciło, panie, to na łożo tortur i katu, skurwysyna, a nie, jak u nas, stryk-pętelka i po bólu. Ale go nie złapią. Bo mówią, że to diabeł, nie człowiek.

Kary kiwa głową, próbując skoncentrować się na rachitycznej wiadomości w gazecie, na oko ze trzy razy mniej miejsca w niej zajmującej od rozlanego na całą główną szpaltę tytułu i lidu. Kolejna ofiara Hieroglifa, znaleziona głowa, policja odmawia podania szczegółów, nic więcej. Kurwa, myśli Kary, bo ja mu to podszeptuję, kurwa jego mać, faktycznie coś nie tak ze mną, jeśli durne gryzipiórki z „Kuriera” wiedzą więcej ode mnie na temat sprawy, którą się było nie było zajmuję. Kto rano wstaje, temu pan Bóg daje. Choćby ogarnięcie w świecie.

- Mówią też - ciągnie cieć, opierając się ciężko o ścianę i kumetę wsadzając w usta - że to taki dziwny diabeł, co samym wirilem zabija.

- Znaczy polski diabeł - mruczy na odczepnego Kary, próbując czytać - zabija polskim wirilem? Boruta? Albo Rokita? Może w dziupli siedzi, w tej, no, wierzbie rosochatej ?

- Śmieję się pan, śmieję - mówi stróż. - A kto powiedział, że polski? A może to niemiecki diabeł? A może sowiecki?

- Ale to nie diabeł -mówi po chwili pan Artur. - Diabły, jeśli już. I nie żadne z piekła, tylko stąd, z ziemi naszej.

- Mhm.

- Jeden człowiek by to wszystko zrobił? Panie, ja panu powiem... panu powiem, co na mieście ludzie mówią. To pan nie uwierzysz. A ludzie zawsze więcej mówią, niż panu policja powie. - Stróż Artur ścisza głos. -Czasy w ogóle niespokojne, sam pan wiesz, co chwila, kurwa, coś wylatuje w powietrze, kogoś mordują, na Ukrainie wojna, cholera wie, czy nas nie zbombardują nasi własni sojusznicy (zbitka „nasi własni sojusznicy”, pomyślałeś, Kary, zdecydowanie nadużywana przez opozycję, a dziwnie brzmiąca, mimo wszystko, bo słowo „własni” jest co najmniej dziwne, wprowadziła do języka polskiego nową jakość). A tutaj jeszcze to. I to wszystko się dzieje za często, za dużo tych trupów, raz na Żoliborzu, za chwilę na Mokotowie, a potem w tym samym prawie momencie, powiedzmy, gdzieś na Żąbkowskiej albo na Nalewkach. Rzeźnik by tak świń nie nadażył oprawiać, jak ten ludzi oprawia. Tutaj przecież, niedaleko, na samej Śliskiej, też było zdarzenie. Nawet znałem tego chłopaczka, co go ... no, nie to, że znałem, ale tak z widzenia. Dobry chłopak, patriota. Panie, wszędzie patrochy ludzkie, głowy odcięte, te znaki do tego powycinane, żydowskie ...

A może, pomyślałeś, to ten chuj dziwny stróż Artur doniósł Sarkaniewi?

- To nie są żydowskie znaki - odpowiada Kary, natychmiast, automatycznie, głosem jakby szcęknięcie kurka pistoletu.

- A jakie, polskie? Ruskie też nie. Ani nie niemieckie. Ja panu powiem, pan jesteś swój człowiek. .. to są Żydy. Ja nie jestem antysemita, tylko że trzeba też mieć swój rozum i widzieć, co ukryte, co schowane. Ja, panie, prenumeruję ... tak. .. wiesz pan, ile było takich przypadków w historii, że się jedno wydawało, a na drugie wychodziło?

- Żydy, mówisz pan... - mruczy Kary, rozkładając gazetę, by sprawdzić, czy czegoś więcej nie ma w środku. Ale skąd. POLSKIE WOJSKO ZLIKWIDOWAŁO ARSENAŁ BANDYTÓW Z UPA POD MOŚCISKAMI, ryczy artykuł z drugiej strony. „Wśród znalezionej broni były gazy bojowe. Strach pomyśleć, co by było, gdyby haj damaccy zwyrodnialcy rozpylili go w jakimś polskim mieście”. W artykule nie wspomniano ani słowem o tym, że polscy żołnierze na miejscu rozstrzelali Ukraińców przebywających w kryjówce, w której UPA ukryła broń, o czym Kary nie może wiedzieć, ale co by go, gdyby się dowiedział, absolutnie nie zdziwiło. Gazów, notabene, tak naprawdę nie znaleziono. Gazy były wyłącznie wymysłem młodego, kreatywnego, starającego się przypodobać przełożonym rzecznika prasowego Armii Małopolska Wschodnia, który napisał notkę prasową i rozesłał ją do mediów. O tym, oczywiście, Kary nie wie również, ale się domyśla, bo na załączonym przez rzecznika zdjęciu widać jakieś karabiny i skrzynki z amunicją, ale puszek z gazem nie, a Kary jest pewien, że gdyby były, toby ich fotografii nie omieszcano zamieścić.

Kolejna strona: NACZELNY WÓDZ, MARSZAŁEK SNARDZ, OSTRO ODPOWIADA LIDZE NARODÓW: NIE POZWOLIMY SIĘ SZANTAŻOWAĆ. I dalej : „Nacz. Wódz: «Wiemy, że stanowisko Ligi Narodów potępiające usprawiedliwione polskie akcje wojskowe w Małopolsce Wschodniej to w rzeczywistości stanowisko Anglosasów, którzy chcą Ligę zdominować. Nie poddamy się ich dyktatowi i w sprawie rusińskiej nie ustąpimy, choć nie ukrywamy żalu, że szantażować nas chcą nasi najbliżsi sojusznicy»”.

- Ja wiem - mówi pan Artur zmieszany nieco głosem - że pan się z tą rudą szanowną panią prowadzasz, owszem, bardzo kulturalna pani i też swoja, bo wiesz pan, nie wszystkie Żydy to Żydy, to znaczy nie wszystkie Żydy to te knujące Żydy, ze spisku, ba, Żydy to warszawiaki jak my (tu Karemu się wydało, że słyszy nutę kpiącą) w znakomitej, wiesz pan, większości, ja sam znam bardzo dużo fajnych Żydów i w porządku, ale, jak to się mówi, nie możemy zamykać oczu ...

- Ta ruda szanowna pani, panie Arturze - odrywa Kary oczy od gazety - to uważa, że i Polaki, i Żydy to jedno i to samo. Na przykład.

Pan cieć Artur zatrzaskał w końcu skrzynkę i wstał.

- Ale że pod jakim względem? - pyta, świdrując Karego tymi małymi oczkami, jakby dwoma wiertłami.

- Pod każdym, panie kochany - odpowiada Kary, patrząc w końcu na stróża. - Tysiąc lat tu jesteśmy jedni i drudzy, co najmniej tysiąc, i żyjemy koło siebie, na jednej ziemi, i co, myśli pan, że nie stworzyliśmy tak naprawdę jednego narodu, który się uzupełnia? Wiesz pan, co to yin i yang?

- Te chińskie te takie - mówi pan Artur, nadstawiając uszu jak zajac. - Że jedno czarne, a drugie białe i razem robią takie kółko. No, no, ciekawe.

- No właśnie. - Kary kiwa głową, chowając gazetę pod pachę. - Nie było Polaków bez Żydów, nigdy ich nie było. Zanim tu przyszli Żydzi, to byli tylko jacyś tam, panie, Polanie, Łędzice, Wiślanie. Skąd pan wiesz, czy dopiero razem z Żydami Polacy nie tworzą całości? Czy jakby Żydów zabrakło, zabrakłoby Polakom czegoś równie ważnego jak oni sami? Pijesz pan mleko do mięsa?

- Co? - pyta zaskoczony pan Artur.

- Mleko do mięsa pijesz pan?

- No co pan? Żeby się posrać? Od dziecka się wie, że się nie ...

- No widzisz pan. Żydzi też nie. Bo to niekoszerne. Wiesz pan, ile rzeczy pan robisz, a nawet pan nie wiesz, że takich samych, co robią Żydzi? Widzisz pan, prenumerujesz pan „IKC Historia”, a tego pan nie wiedziałeś. Nie znasz pan Żydów, nie wiesz pan, co oni robią w domach, jak to jest podobne...

- Ja Żydów nie znam? - zaperza się trochę pan Artur. - Ja nie znam? Panie, ile to się handlowało, interesów ile ...

- Dobra, dobra. Czołem. Lecę, panie stróż.

- Mówię panu, to Żydy - dodaje jeszcze cieć Artur. - Zobaczysz pan. Sam pan do tego dojdiesz. Tyle trupów!

Kary już jest na rogu Wielkiej, gdy słyszy, jak stróż woła za nim:

- No chyba że szataniści!

Usiadłeś w knajpce na rogu, jednej z tych starych, dobrych, z czasów czegoś w rodzaju pierwszej globalizacji z początków dwudziestego wieku, gdy w takich samych wnętrzach z wąskimi listewkami w starych oknach, z wąskimi i wysokimi drzwiami i wąskimi, wysokimi schodami na pięterko można było siedzieć wszędzie: od Stambułu, przez Odessę, Kraków, Wiedeń, Warszawę, po Berlin, Paryż czy Londyn. Kelner w białej koszuli podał ci kawę. Otworzyłeś gazetę. Tym razem jednak, jak skonstatowałeś z niejakim, przyznasz, rozczarowaniem, nie był to właściwy Hieroglif. Oryginalny. Nie dość bowiem, że fotografie hieroglifu w ogóle zamieszczono, to na dodatek hieroglif ten nie wyglądał jak hieroglify znalezione przy Lasocie, Tycu, Tarnowskim czy Krasnohorskim. Wyglądał natomiast jak nieudolnie narysowana swastyka. Nieźle - pomyślałeś. Podwórkowi faszyści zaczynają ludziom głowy ścinać. Piękny kraj. Umiłowany kraj.

Pogrążyłeś się więc w lekturze korespondencji z Gdańska i polskiej części Prus Wschodnich, gdzie wśród tej ludności niemieckiej, która jeszcze tam pozostała, jakimś cudem opierając się przetaczającej się po nich z jękiem, płaczem, wyrażaniem i szykanowaniem machinie upolszczającej, terkoczącej o piędzi, chwale i rubieży, wzrastała już nie frustracja, a zrezygnowanie.

Niemcy, cytował „Kurier” wypowiedź jakiegoś lokalnego bauera spod Gierdaw, żyją wszędzie: w Rumunii, na Węgrzech, nawet w Czechach -ale nigdzie nikt ich tak nie prześladowa jak w Polsce. „Rozumiemy niemieckie grzechy wynikające z czasów zaborów, germanizacji, Hakaty i rugów - mówił gospodarz - ale jak długo można się na ludziach mścić?”. „Tak długo, jak będzie trzeba!” - brzmiał komentarz dziarskich redaktorów „Kuriera”, a ty, Kary, pogrążony w ponurych myślach o kraju, który jest o wiele większym gówniarzem niż nawet ty sam, zamówiłeś pierwszego tego dnia burbona.

Hycke milczał. Ty też, Kary, nic nie wiedziałeś. Twoje pozał się boże tajne śledztwo kręciło się jak tańczący derwisz: może i bystro, ale w miejscu. Polegało na tym, że z aktywnością, która ciebie samego zaskakiwała, kręciłeś się po kostnicach, po miejscach zbrodni.

Rozpytywałeś po ulicach, w półświatku i nie tylko, gadałeś z policjantami, docierałeś do nielicznych świadków, a raczej do ludzi, którym wydawało się, że są świadkami, wszyscy zaczęli jak jeden mąż bredzić coś o wirilu, o wirilowym mordercy, ale każdy w zupełnie inny sposób opisywał wirilowość tego mordercy, aż w końcu dałeś sobie spokój z rzekomą tajemnicą śledztwa, bo jak tu, kurwa, utrzymać w tym wszystkim tajemnicę, z chęcią byś, kurwa, zapytał, jak to sobie Hycke w ogóle wyobraża, może tam, u niego, w tych zasranych tajnych służbach mają czapki niewidki albo jakieś czarodziejskie przyrządy do kasowania pamięci przesłuchiwanym, tylko że normalni ludzie takiego sprzętu nie posiadają, a jeśli ten pierdolony cwaniak Hycke ma, to niech da.

Hycke tymczasem milczał, choć według umowy powinien dawać znać, jak wygląda sytuacja w prowadzonym przez niego śledztwie w wierchuszce policji, znaleźć kreta.

Wszyscy się bali. Ludzie na ulicy się bali, policjanci się bali. Co jakiś czas strach formował się w paranoiczne społeczne uprzedzenia. Najpierw, że to któryś z weteranów wojny na Ukrainie morduje. Ktoś z traumą.

Poborowych więc się bali, tych wracających z wojny na Ukrainie, bo tyle się z tej wojny w Małopolsce Wschodniej dla Polski zrobiło, że nikt już poza oficjalnymi, rządowymi mediami nie mówił „Małopolska Wschodnia”, a nawet nie „Ruś” czy „Halicz”, a właśnie „Ukraina”. No, może z wyjątkiem Lwowa, była w tym jakaś niekonsekwencja, bo na przykład Sądowa Wisznia czy inne podelwowskie miejscowości leżały już w zbiorowej świadomości na Ukrainie, a sam Lwów - nie. A poborowych się bano, bowiem wracali oni z czymś dziwnym w oczach, gdy siadali w knajpach, na placach, w tych swoich oliwkowych mundurach, otwierali piwo albo flaszki wódki i pili, rozmawiali jakoś nienaturalnie, dziwnie, głośno. A potem krzyczeli, gdy już byli pijani, i im bardziej w rządowej telewizji i w cenzurowanych gazetach trąbiono o tym, jak to polskie wojsko zaprowadza porządek w Małopolsce Wschodniej i jak bardzo „rusińscy ekstremiści i terroryści” są wygniatani spośród „miłujących pokój i przyjaznych Rzeczpospolitej mieszkańców południowo-

wschodnich województw", tym więcej mówiono o potwornościach, które tam się wydarzają. O tym, że Ukraińcy wycinają żywym jeszcze żołnierzom wziętym do niewoli tryzuby na brzuchach, przez które wywlekają im wnętrzności i ich na tych wnętrznościach wieszają, o tym, że palą ich w ogniskach, że odrabują nosy, uszy i genitalia, wydłubują oczy, i tak okaleczonych, nagich, pędzą na polskie pozycje, żeby sobie żołnierze sami zobaczyli, co ich czeka. I w ogóle że męczą ich tak potwornie, że żołnierze drżą ze strachu i trzymają zawsze przy sobie jeden ostatni granat albo kulę dla siebie samych. I że po tej traumie wojny na tej przeklętej, piekielnej Ukrainie, jak mówiło się w Warszawie, właściwie nic dziwnego, że niektórym żołnierzom odbija i że pijani grasują po Warszawie i mordują. Zresztą i tak, według niektórych, głównie Żydów. Według innych z kolei - głównie Polaków. I to notabene nie żołnierze wracający z Ukrainy, a sami ukraińscy dywersanci, mający za zadanie siać popłoch na tyłach wroga, przenieść wojnę do domu tym, którzy oglądają ją u siebie w telewizji, bezpieczni, popijający na tych Żoliborzach czy Muranowach wino przed ekranami. Mówiono, że jeśli się na każdy z tych hieroglifów spojrzy z odpowiedniej perspektywy, to tworzy on tryzub. Nieprawdziwe, ale krążące po kraju zdjęcie takich hieroglifów opublikował nawet „Kurier”.

Mówiono też, oczywiście, że to Żydzi. Trąbili o tym falangiści, zauważając, nie bez racji, że średnio co kilka dni znajdowane są w Warszawie zwłoki zamordowanego ideologicznego kolegi.

Sprawa dla nich była jasna: Żydzi mordują wrogów swojej rasy. A dlaczego giną nie tylko nacjonaści? Dlaczego giną też Żydzi? A dojdź za Żydem. To wszystko, mówiono, to zasłona dymna: tak naprawdę za tymi morderstwami stoi jakiś bardzo skomplikowany żydowski spisek, którego sens dopiero wtedy zostanie odkryty, gdy już się tragedia wydarzy.

Żydzi z kolei mówili, że to polscy nacjonaści, falangiści, krwioziemcy czy ktoś jeszcze inny. Fakt, że wśród ofiar było sporo faszystów, wyjaśniali prosto: przy okazji robią czystkę wewnętrzną (bo przecież u nich to wystarczy krzywo

spojrzeć i już się jest wrogiem narodu), i w ten po polsku nieskomplikowany i po chłopsku cwany sposób skutecznie oddalają od siebie podejrzani.

Co do ofiar też nie było zgody. Ulica próbowała znaleźć tu jakiś klucz. Mówiło się, że ofiarami są wyłącznie Żydzi, że nawet ci Polacy, których zabito, wydawałoby się - szczerzy, czyści i tip-top, nawet jeśli który Sosnowski czy Kowalski z dziada pradziada, jeśli zabici, znaczy - Żydy. W drugą stronę trudno było twierdzić, bo niektóre z ofiar były ewidentnymi Żydami, a z jakiegoś powodu to wszystko tylko w jedną stronę idzie: masz odrobinę żydowskiej krwi w sobie - co nawet samo w sobie jest wyobrażeniem i iluzją, bo cóż to jest ta „żydowska krew”, co, więcej czy mniej hemoglobiny ma czy jak - dla Polaków jesteś Żydem, i basta. Nawet jeśli dla Żydów, no, przynajmniej tych religijnych, nie jesteś, bo tam, wiadomo, po matce idzie. Ale jeśli jesteś eśtowym Żydem, całkowitym, zupełnym, i masz w sobie odrobinę polskiej krwi, to ona wcale nie czyni z ciebie Polaka. Tak to jest w stosunku góra - dół, cwel - cwelony.

I wszyscy się bali.

Bali się prostytutki i gliniarze, kelnerzy i kelnerki, gdy wracali po nocnej szychcie do domów, taksówkarze i nocni tramwajarze.

Kary też robił się naprężony, napięty: może ze strachu, bo bał się trochę w tym wszystkim o Beatę.

Może byłeś, Kary, napięty przez adrenalinę, może nawet, kto wie, z ciekawości, choć szczerze mówiąc, niespecjalnie cię to, Kary, przejmowało, że byłeś napięty, nawet gdybyś srał ze strachu pod siebie po prostu, najnormalniej w świecie przyjąłbyś ten fakt do wiadomości, i tyle. I kiedyś, gdzieś na Woli, w nocy, na rogu Wroniej i Grzybowskiej, gdy intuicja, ten twój słynny instynkt, którego czasem zapomniałeś - albo nie miałeś ochoty - obrabiać swoim wykształconym przez ewolucję u gatunku homo sapiens panelem administracyjnym, powiedziała ci, że osoba, która idzie za tobą aż od Towarowej, nie ma wobec ciebie, oj nie, przyjaznych zamiarów. I gdy jeszcze zatrzymałeś się nagle, by wybić tę osobę z rytmu i przyjrzeć jej się, pod pozorem zapalenia papierosa, i gdy zobaczyłeś, że osoba ta to dość dziwnie gapiący się na ciebie żołnierz, młody szeregowiec albo

maksymalnie podoficer, który sam nie bardzo wiedząc dlaczego, również się zatrzymał, widząc, że i ty zatrzymujesz się gwałtownie, mimo że byliście jedynymi żywymi ludźmi na ulicy, a być może właśnie dlatego - złapałeś go za kołnierz przy mundurowej kurtce i rzuciłeś nim o ścianę, a gdy stęknąwszy głucho, zaczął się podnosić, przypadłeś do niego i dokładnie tak, jak uczono cię na lekcjach PSWB, podciąłeś mu kostki dwoma kopniakami, jednym w lewą, drugim w prawą nogę. I gdy leżał tak, zbaraniały, nie wiedząc jeszcze, że ból, który nie zdążył nawet dotrzeć mu do mózgu, nie pozwoli mu przez najbliższe dni chodzić, wywaliłeś mu serię ciosów prosto w twarz, jak w worek treningowy, mokry od coraz mocniej padającego deszczu, i twoje pięści też były mokre, najpierw od deszczu, potem od krwi jego, która mieszała się z twoją własną, z porozbijanych knykciów, choć wiedziałeś, wiedziałeś już doskonale, że to nie on, że to żaden Hieroglif, żaden Diabeł, tylko zwykły, pijany w dodatku, dzieciak, który wrócił z wojny nazywanej „akcją karną przeciwko terrorystom”, czyli ktoś, kim ty kiedyś byłeś, Kary, i kto chodził po mieście w przydającym mu statusu mundurze. Czego ty już robić nie mogłeś, z wiadomych przyczyn. Ale waliłeś dalej, biłeś, a jego głowa w polowej rogatywce odskakiwała i uderzyła dwa razy potylicą w ścianę, a potem zaczęła zjeżdżać w dół, a ty zostawiłeś go tam, leżącego, w zasadzie jak na tacy, jak na ofiarę Hieroglifowi, ale coś ci mówiło, że Hieroglif taką ofiarą, taką prostą, leżącą na ziemi, łatwą ofiarą wzgardzi, i wtedy akurat intuicja ci zadziałała bez zarzutu. Więc odszedłeś, wyładowawszy, co tam miałeś do wyładowania, a miałeś chyba całkiem sporo, bo chłopak stracił przytomność, ale się po niecałej minucie ocknął, z zimna, w kałuży deszczowej wody i własnej krwi, porzygał się i dopiero ty, Kary, kiedy zjawiłeś się tam ponownie, targany czymś w rodzaju wyrzutów sumienia, wziąłeś go na plecy, zaniósłeś pod dyżurkę nieodległej elektrowni tramwaj owej, gdzie bezceremonialnie obudziłeś stróża, machnąłeś mu przed oczami legitymacją specjalnego współpracownika policji, którą dostałeś od Hyckego, i kazałeś mu się pobitym zająć.

- Wezwać trzeba karetkę czy co tam - tak wybełkotałeś, Kary, rozspanemu stróżowi, po czym poszedłeś dalej, w stronę swojego mieszkania przy ulicy Śliskiej, próbując rozprostować palce puchnącej dłoni.

Następnego dnia wstałeś wyjątkowo wcześnie, gdy Beata jeszcze spała, i wyszedłeś z domu. Dłoń nadal cię bolała.

Minąłeś swoje auto zaparkowane w podwórzu kamienicy, nie ma, pomyślałeś jak co dzień, sensu pchać się autem przez te zatory w tym polskim bieda-Paryżu, w tramwaju zresztą możesz sobie przeczytać „Kurier”, choć szczerze mówiąc, do czytania to tam za wiele nie ma. Rita Bop czy tam Pop na premierze najnowszego kinohitu o chęrcze z Nalewek miała na sobie kreację, w której widać było jej cycki (wcale nie było widać, jak stwierdzasz, Kary, przyglądając się uważnie zdjęciu), a żydowscy działacze - głupi, dodajmy, według redakcji „Kuriera”, rozwrzeszczani i roszczeniowi - dopatrzyli się w filmie treści antysemitycznych i powielania antyżydowskich stereotypów.

Minister spraw wewnętrznych, noszący dumnie tytuł hrabiego, choć publicznego obnoszenia się z tytułami konstytucja zakazywała już prawie od wieku, został sfotografowany przez paparazzich w czanie eleganckiego spa w Konstancinie, również z cyckami na wierzchu, co jednak nie zasłużyło na wielki nagłówek z napisem HIT!, jak w przypadku Rity Bop. Felieton przywódcy reglamentowanej lewicowej opozycji, który zapewne tylko dlatego nie siedzi w Berezie, że jest właśnie reglamentowana. Ach, Bereza, jedna z tych polskich instytucji, która chyba najpewniej i najpełniej się przyjęła w Rzeczpospolitej, po prawie wieku od odzyskania niepodległości nadal z emfazą nazywanej Odrodzoną. Opozycja rejestrowa, jak się na nią mówi, jest tak naprawdę częścią koalicji, której przewodzi Obóz Narodowy, ale udaje niezależną. Stary Snardzu, po tym jak wrócił do rządu po „restytucji władzy narodu”, wykonał bowiem bardzo prosty, ale i efektowny chwyt: wrzucił całą politykę do własnego obozu politycznego. Lewicę, prawicę, żubrów, chłopów, centrum, ba, nawet miejskie dandysowskie ruchy aktywistyczne, ekologów, posthipów i kogo tam jeszcze.

Byli, owszem, politycy, którzy nie wpisywali się w tę ogólną prosmardzowską bieganinę do wpisywania się na rządowe rejestry, do udawania opozycji i brania od partii apanaży za walkę „o zmiany w granicach prawa”. Płacili za to marginalizacją.

Kolejny artykuł tymczasem: „Co za tupet! Działacze opozycji atakują rząd w chwili, gdy państwo polskie jest szantażowane przez siły międzynarodowe! Czyżby obłąd?” - głosił lid pod tytułem Opozycja szczuje na Polskę. „Rządowa akcja na Ukrainie powinna spotkać się ze zdecydowaną reakcją społeczności międzynarodowej - mówi Bronisław Hyc, jeden z przywódców opozycji krajowej, które to słowa każą się zastanowić, czy ta opozycja, być może faktycznie «krajowa», jest w gruncie rzeczy polska”.

Kary, opierający się o tył tramwajowego wagonika, zaczął miąć gazetę, lecz jakiś wysokawy, lecz jednak jakoś niewysoki pan w kapeluszu i kołnierzu ze sztucznego baranka stojący obok złapał za jej rąbek.

- Co pan mniesz, jak pan masz mniec, mnać ...
- ...miąć ... - odpowiedział jakiś starozakonny pan stojący obok.
- ...no, to pan daj poczytać! Nie każdemu nie szkoda złotówki.

Kary wręczył mu gazetę, mrużąc coś pod nosem, że „gównno, nie prasa”, i zapatrzył się w okno. Tramwaj minął właśnie Tłomackie, z synagogi, świeżo wyremontowanej, jak zauważył Kary, już zaczynał złazić tynk - wilgoć, pomyślał automatycznie i głupkowato Kary, pod Simonsem stał policjant i kiwał się z nudów na podszwach, wyglądając trochę jak kruk zamknięty w klatce, jakieś szpanerskie bugatti trąbiło szaleńczo i wrzeszczało na tramwaj, w którym siedział Kary, i pasażerowie ze znużonymi twarzami patrzyli, jak jego właściciel, cholera wie, czy jakiś biznesmen, szlagonek, Polak czy Żyd, się rzuca i drze, i to nawet nie na motorniczego, bo ten był daleko z przodu, a na tramwajowy zad, jakby tramwajowemu zadowi mogło się zrobić przykro, że zajechał bugatti drogę, bo jak to tramwaj, ma pierwszeństwo.

Nalewki były już ożywione i rozhandlowane, cwaniaki, chałacciarze, zacni mieszczanie, wszystkie te typy mieszające się ze sobą, mieszające się w sobie, na

ulicy, w człowieku. Czasem można było odnieść wrażenie, że Nalewki tworzą coś w rodzaju istoty, napędu, silnika Warszawy, jej baku i zbiornika paliwa jednocześnie, że cała reszta miasta kręci się dlatego, że tutaj się kręci, że tu działają koła zamachowe i że ogólnie warto wiedzieć, co na Nalewkach piszczy. Z jednej z bocznych uliczek wyłaziła jakaś para turystów, na oko Anglosasów, szukająca zapewne the spirit of old European Jewry, jak głosiły turystyczne slogany reklamowe. Można było Anglosasów poznać nie tylko po turystycznych ciuchach, bo ubrali się na tę Warszawę, jakby szli w góry albo do lasu, ale i po długich, pociągłych twarzach i po spojrzeniach, w których łączyły się zagubienie i pewność siebie. Knajp było mnóstwo: gdzie to się dandysi kręcili, gdzie to turyści i żydowscy dzetseci, gdzie to lokalni, ale tam, gdzie lokalni, tam, wiadomo, również dandysi, turyści i dzetseci, wszyscy poszukujący „prawdziwej Warszawy” i „prawdziwych Nalewek”.

Ale tym razem ledwie tramwaj na Nalewki wjechał. Ledwie minął Simonsa, już w wylocie Nowolipek dojrzałeś, Kary, jakieś zamieszanie. Wstałeś i podszedłeś do okna.

- Pogrom! Pogrom! - zaczął naraz syczeć tłum w tramwaj u. Część z przerażeniem syczała, część z fascynacją, część z jednym i drugim, i tak to słowo straszne, dawno już w Warszawie niesłyszane, ciarki na plecach sypiące i włos stawiające na sztorc, wypełniło tramwaj jak smród. Policjanci wylegli z komisariatu na rogu Gęsiej, widziałeś, jak jeden z nich rozmawiał przez krótkofalówkę. Z wylotu Nowolipek biegli ludzie, biegli w stronę tramwaj u.

- Jedź pan! - krzyknęła do motorniczego falsetem jakaś przerażona paniusia.

- Czekał pan, otwórz pan drzwi, ludzie lecą! - ryknęła inna.

Kary rozejrzał się za ręcznym hamulcem, pociągnął. Pociągnął mocno harmonijkowe drzwi, otworzyły się. Wyskoczył z tramwaju. Pobiegł w stronę Karmelickiej, tam gdzie kłębił się tłum i dokąd biegli też, wystraszeni i przejęci, dmąc z całych sił w gwizdki, policjanci z Pawiej.

Złota nie odbierała. Na pewno, myślałeś, jest już w pracy, to tylko ty, cymbale, jesteś takim leniem i obibokiem, że diabły wiedzą, kiedy masz noc, a kiedy dzień. Ale przecież Złota to Złota i nigdy nic nie wiadomo. Ludzie wybiegali z Karmelickiej i Więziennej, pobiegłeś w tamtą stronę. Rzeczywistość migąca ci przed oczami. Powoli orientowałeś się, o co chodzi. O co musi chodzić. Biegli od Lubeckiego. Na Lubeckiego znaj dawała się, o czym wiedzieli ci, którzy wiedzieć chcieli, knajpa o mocno z dupy wyjętej , musisz się zgodzić, nazwie Tatarak, która należała do braci Semmler. A bracia Semmler, o czym też wiedział każdy, kto chciał wiedzieć, obaj należeli do ścisłej wierchuszki ŻAR-u, Żydowskiej Akcji Radykalnej .

Wiedziałeś też, Kary, że na Lubeckiego mieszka z, ech, Wolfem, Złota. I Że Wolf Rubin ma tam swoje biuro adwokackie, założone zresztą jeszcze ze świętej pamięci teściem, a ojcem Złotej , Adamem Sztolcem, i do tej pory noszące na szybie wielki napis starą czcionką Sztok i Rubin - spółka adwokacka. Wielki napis. Wielką czcionką. Na szybie. A pęknięcie szyb już mocnym brzękiem się wpisywało we wrzaski pogromowców i krzyki uciekających ludzi.

- Za Hieroglifa! - słyszałeś, Kary, a jakże. - Za pomordowanych Polaków!

Kary biegł pod prąd tłumu, przebiegł torowisko tramwaj owe na Gęsiej . I w końcu ich zobaczył.

W czarnych kominiarkach, w ciemnych wojskowych kurtkach, z zielonymi opaskami z falangą na ramionach. Widziałeś, Kary, jak wybiegają z Ostrowskiej , z Wołyńskiej . Bili pałkami tych, którym nie udało się uciec. Kopali mężczyzn i kobiety, pomiędzy bijącymi kręciło się jakieś rozplakane dziecko, szarpiąc falangistów za nogawki spadochroniarskich spodni. Z jakiegoś okna wyleciał na bruk telewizor. Widziałeś, jak dwóch falangistów na pierwszym piętrze jakiegoś mieszkania starało się wypchnąć z okna starszego wąsatego mężczyznę, ale wciągał go do środka, ku ich zaskoczeniu, jakiś rozhisteryzowany, rozryczany młody falangista, którego cała sytuacja chyba przerosła, bo wył i wrzeszczał piskliwie: „Zostawcie go!”. Nie miałeś czasu. Musiałeś biec. Wyjąłeś pistolet spod kurtki i strzeliłeś we framugę okna.

Puścili wąsatego, schowali się za ścianę. „Skurwysyn! Żydzisko się odgryza!” - usłyszałeś. Podbiegłeś do grupy, która kopała człowieka pełzającego po szkłe z rozbitej witryny. Jednemu z atakujących przestreliłeś z przyłożenia kolano, padł z wyrazem zdziwienia na twarzy, wrzeszczyć z bólu zaczął dopiero chwilę później. Drugiemu wyłączyłeś światło, uderzając go z łokcia w splot słoneczny i poprawiając kolbą pistoletu w głowę, gdy się złożył. Trzeci zdążył cię kopnąć, ale zrobił to tak nieumiejętnie, że tylko przewrócił się na ciebie. Dostał łokciem w tchawicę, nawet się nie odwracałeś. Odbiłeś się od ziemi. Pobiegłeś. Za rogiem Miłej, na pałaku latarni, wisiał okrwawiony mężczyzna. Z ust wystawał mu napuchnięty język. Mógł to być jeden z braci Semmlerów, nie byłeś pewien.

Mieszkanie Złotej i Wolfa Rubina mieściło się bezpośrednio nad kancelarią Sztok i Rubin. Szyba była wybita, po biurze fruwały papiery. Drzwi były wyrwane. Wolf, wysoki, szczupły, z czarną, idealnie przyciętą i wypielęgnowaną brodą, i, ogólnie, tak tchnący elegancją, że nawet gdyby go obtoczono w błocie i tłuczonym szkłe, nadal miałby w sobie godność i klasę, próbował oderwać jakiegoś falangistę od sekretarki, którą ten z kolei przyciskał do ściany, szczerząc się do niej. Język wyciągał przez otwór w kominiarce i wyglądało to groteskowo, i się, Kary, roześmiałeś. A gdy się roześmiałeś, to on odwrócił głowę, a gdy odwrócił głowę, to miał twarz tak odsłoniętą, jak cyferblat w zegarze, i jak mu wypłaciłeś, Kary, należne, w ten cyferblat pięknym prawym prostym, to poleciał na ścianę i zrzucił obrazek ze starozakonnym Żydem liczącym pieniądze, który jak wiedziałeś, bo ci Złota o tym opowiadała, powiesiły tam Adam i Ewa, jak to oni mówili, „ironicznie” i „dla szpasu”. Złota ci opowiadała, a ciebie serce bolało, ale kiedy to, Kary, Złotą obchodziło. Nie?

- Cze... cześć Franc - powiedział do ciebie Wolf, patrząc z przerażeniem na wszystko dookoła. Sekretarka płakała, oparta o ścianę, w takiej samej pozycji, w jakiej zostawił ją falangista.

- Cześć, Wolf - odpowiedziałeś. - Franciszek Kary, detektyw, bardzo mi miło. - Ucisnęłaś dłoń skołowanej sekretarce, po czym nachyliłeś się nad podnoszącym się z ziemi falangistą. - A ty, kurwo, leż, bo cię zabiję - poinformowałeś chłopaka,

podszedłeś do niego i krótkim ciosem kolbą pistoletu w skroń pozbawiłeś go przytomności.

- Złota tu jest?

- Nie - odpowiedział Wolf.

- Dzieci?

- Nie. Dzieci w ogóle poza miastem. Tylko ja i Irena...

- Irena Kwiatkowska - przedstawiła się sekretarka. Podeszła do falangisty i wymierzyła mu mocnego kopniaka w żebra czubkiem szpilki.

- Franciszek Kary. Proszę się nie krępować, pani Ireno, tylko kopać skurwysyna ile wlezie - powiedział Kary. - Żebra się zrastają. Jest tu tylne wyjście?

Irena kopnęła falangistę raz jeszcze.

- Jest. Oczywiście. Przez podwórka aż na Smoczą.

- No to spieprzajmy, bo jak tu wbiegnie ich więcej ...

- Myślisz, że tam ich nie będzie? - zapytał Wolf Rubin.

- Myślę, że są tutaj, a po drodze można się gdzieś schować, aż hinty nie przyjadą.

- Kary ... dzięki - powiedział Wolf.

- Łzy wzruszenia napływają mi do oczu, Rubin. - Poklepałeś go po eleganckim ramieniu. - To co, jesteśmy trochę jakby kwita, nie?

- Trochę - odpowiedział, marszcząc się, Wolf.

I wtedy usłyszeliście charakterystyczny terkot pistoletów maszynowych Thompson. A za wybitym oknem zobaczyliście uciekające i krzyczące z przerażenia sylwetki falangistów.

- Ktoś zdążył przed policją - powiedziała Irena Tarnowska.

- Tak - odparłeś, Kary. - Chewry od Koczkodana. Nie musimy już uciekać. Alleluja. Powiedz, Wolf, alleluja.

- Nie powiem - odpowiedział Wolf, wyglądając ostrożnie przez okno. - Jestem agnostykiem.

- Aja ateistą. - Wzruszyłeś, Kary, ramionami.

- No dobra. - Wolf drżącymi nieco rękami zapalił papierosa. - Po strachu.

- Po strachu - zgodziła się Irena Kwiatkowska. - Dziękujemy jeszcze raz, panie Kary.

- Tak, dziękujemy, Kary - mruknął Rubin. - A ty, pamiętaj , że masz się odpieprzyć ogólnie od mojej żony, Kary, bo sam ci co prawda nie napierdolę, ale bez problemu znajdę takich, którzy to zrobią.

- Wiem, Wolf, wiem.

- No wiecie co, panowie - powiedziała Irena Kwiatkowska, kopiąc, jakby z nudów, falangistę po raz kolejny, tym razem w głowę. - W takiej chwili. ..

- My się tak naprawdę lubimy - powiedział Wolf. - Chodź, kiedyś, Franc, na wódkę. Koszerną.

- Z przyjemnością. Na wieprzową.

Falangista próbował wstać.

- Zajebę was ... śmiecie ... Żydy pierdolone...

- Spieprzaj stąd, chłopcze, bo Koczkodan idzie - rzuciła Tarnowska. A falangista, jak to usłyszał, to tylko wielkie oczy zrobił i takiego dał drapak, że się wszyscy długo śmiali. Jak w zakończeniu idiotycznego odcinka idiotycznego amerykańskiego serialu.

Siedzieli z dziesięć minut, słuchając terkotania karabinów maszynowych. Gdy nieco ucichło, wyjrzeli z kancelarii Wolfa na ulicę.

Wszyscy falangiści uciekli. Po dzielnicy kręcili się żydowscy gangsterzy od Koczkodana. Chewry wielkie jak toboły. To oni rządzą teraz w dzielnicy. Policja tu jeszcze nie weszła. To nie polska policja przegoniła faszystów. Przegonili ich żydowscy bandyci. I teraz kręcili się po ulicach i obnosili zawieszane na szyjach thompsony, i strzelali z nich w górę, pokrzykując. Któryś z chewrów wspinał się na latarnię z nożem w zębach, by oddać wiszącego na niej Sammlera.

Pozostał tylko jeden falangista, ten, któremu przestreliliś kolano. Wył jeszcze długo na ulicy jak zwierzę, dopóki nie dostrzeżeli go któryś z bandytów.

A za rogiem znalazłeś, Kary, trupa syna Mieczysława Lurjego. Tego wielkiego, głupiego, który zamiast uczyć się na prawnika albo lekarza, ciągiem na siłowni siedział. Całkiem, Kary, nieżywy. Kilku gangsterów brało go właśnie za ręce i nogi, żeby ułożyć w rzędzie trupów znoszonych na chodnik. Trupy falangistów rzucono osobno, byle jak. Młody Lurje błyskał śliskimi białkami oczu, które uciekły mu w tył głowy.

- O kurwa - westchnąłeś, Kary, wyciągając z kieszeni mobil. Nie mogłeś się zdobyć, żeby wykręcić numer Lurjego. - Dwubiegunowiec się ucieszy - mruknąłeś.

Przez następne dni sprawa pogromu na Żydowskim Nordzie przyćmiła w mediach nawet temat Hieroglifa.

Na ulicach pojawiło się wojsko z długą bronią. Pistolety maszynowe wydano również policjantom. Część Dzielnicy Północnej otoczono zasiekami i ustawiono punkty kontrolne. „Do czasu wyjaśnienia okoliczności” - głośzono oficjalnie.

W telewizji co chwila pojawiał się Bycza Głowa, który wydawał się, notabene, dziwnie zawieszony i odseparowany od rzeczywistości, i mało przekonująco opowiadał o tym, jak Rzeczpospolita Polska będzie chronić wszystkich swoich obywateli, niezależnie od narodowości czy wyznania.

Beata też się wzmogła. Wychodziła teraz na polowania co kilka dni. Wracała nad ranem, myła ręce z krwi i przytulała się do ciebie, mrużąc, jak to wszystkich nazistowskich skurwysynów, jednego po drugim, wymorduje.

Falangiści i krwioziemcy patrolowali ulice. Padł na nich blady strach. Szukali mordercy, który wybij a warszawskich nacjonalistów. I jednego wileńskiego. Ich śledztwa nie były specjalnie wyrafinowane i kończyły się głównie na pobiciach przypadkowych ludzi. Głównie antyfaszystów, socjalistów i hipsów. Któregoś dnia Lejb Zejgal przyszedł do pracy w czarnych okularach i z pocieranymi mocno knykciami. I tak się życie toczyło.

Ty, Kary, jak to mówisz, kręciłeś się. Po wileńskim kapiszonie i niewypale byłeś, w gruncie rzeczy, w punkcie wyjścia.

Szukałeś więc. Nawet, Kary, do biblioteki poszedłeś, gdzie w mózgelach była najlepsza sieć, lepsza od tej, którą dysponowaliście w biurze, i próbowałeś znaleźć trop, który połączyłby wszystkich zabitych przez Hieroglifa - albo Hieroglifów - prominentów.

Rozpytywałeś. Szukałeś.

Nic.

TRUP DIABŁA

Kary chodzi po mieście.

Kary przechodzi przez plac Żelaznej Bramy, kończąc hot doga.

Kary wchodzi do Ogrodu Saskiego, wrzuca do kosza papierek po hot dogu i zapala egipskiego.

Odkłania się znaj ornemu dziennikarzynie, na którego temat nie chciało mu się nigdy wyrabiać głębszej opinii, ale którego miał zawsze, generalnie, za gównu w błyszczącym garniturze (bo ten dziennikarzyna ma jakieś dziwne upodobanie do garniturów błyszczących), a potem patrzy, czy dziennikarzyna dostatecznie się oddalił i czy się nie odwraca, i macha na znaj omego hipsa, którego wypatrzył pod świątynią dumania, czyli tam gdzie zawsze.

- Witam, panie psiarski - mówi, podchodząc, hips Krzesimir, chudy, wysoki i wysportowany, ale o dziwnie kobiecym głosie, kobiecym, skrzeczącym i złym, poprawiając długie włosy i przyglądając wąsy ciężarowca. -To samo co zazwyczaj, rozumiem? Ziółko?

Karemu nie chce się po raz kolejny prostować, że nie jest żaden psiarski, bo robił to sto razy i nigdy to na hipsie Krzesimirze nie robiło wrażenia, odbijało się od hipsa Krzesimira jak od szyby pancерnej, nie było więc żadnego powodu, dla którego można by zakładać, że zadziała powiedziane po raz sto pierwszy. Tak, hips Krzesimir był jednym z tych, do których można było mówić i mówić, i na próżno

oczekiwać reakcji, co skłaniałoby do wniosku, że hips Krzesimir jest albo skończonym bucem, albo człowiekiem w jakiś sposób emocjonalnie upośledzonym, w jedno i drugie, zresztą, Kary nigdy nie wątpił. Choćby ze względu na swarzycę słowiańską, którą Krzesimir wytatuował sobie na czole, dokładnie między brwiami.

Ale Kary wie, że prawda jest w tym przypadku zapewne o wiele prostsza: Krzesimir ma najprawdopodobniej mocno przepalony konopiami mózg. Mając to wszystko na uwadze, Kary z jakiegoś niepojętego powodu nawet lubi hipsa Krzesimira. Może dlatego, że może przy nim czuć się człowiekiem, jak to lubią podkreślać polskie władze, „normalnym”. Bo według polskich władz to „normalność” obywatela jest miarą jego obywatelskiej wartości.

- To samo, to samo - odpowiada więc Kary przybieranym czasem chropawym głosem rasowego prywatnego detektywa, a jakże. W sytuacjach zawodowych albo - nazwij my to tak - okołozawodowych Franc Kary uchropawia sobie głos dla lepszego efektu. Nie z próżności jakiejś czy z zamiłowania do efekciarstwa czczego. A zresztą kto wie. Może i z próżności, może i z efekciarstwa, może i taniego. Tak mu się w każdym razie podoba i uważa, że tak to wszystko powinno brzmieć. Dla kompozycji. Ja ci to trochę, Kary, też sugeruję, bo przecież tak właściwie powinien brzmieć rasowy detektyw z powieści noir, i tak, drogi Kary, brzmisz, i tak jest dobrze.

Krzesimir kiwa ci głową ze swarzycą wytatuowaną na czole i razem udajecie się w gęste krzaki obrastające dziko świątynię dumania.

W krzakach tych dzikich kolonia hipsów urządziła sobie coś w rodzaju niewielkiej, lecz stałej komuny.

Te krzaki są dziwne: niby środek parku, a jakby martwy punkt. Poza ścieżkami spacerowymi, poza alejkami, gdzieś pośrodku szerokiego trawiastego i drzewiastego zagonu. Co za debil projektował ten park, że pozostawił tu taki wielki czarny punkt, za każdym razem zastanawia się Kary, wchodząc w te krzory dzikie i widząc prześwitujące między nimi koszule i giezła hipsów różnokolorowe. To żółte, to pomarańczowe, to bordo, to zielone. Rzeczpospolita hipsów.

Mają tu spokój. Fety tu hipsów nie dojeżdżają, bo same po parkach nie bardzo chodzą. Romantyzm spacerów w zieleni, między ławeczkami, nie jest tym, na czym zależy porządkiem fetniakowi i za co mogą go docenić inni feciarze. A z jakiegoś powodu w feciarskim środowisku wewnętrzne docenienie gra bardzo dużą rolę. „Szacunek ludzi ulicy, szacunek ziomków, szacunek grandy, szacunek bandy”. Fety siedzą po bramach, po spelunach, po targu. Gdzie by feciarski do parku poszedł, po co. Żeby go za pедера wzięli?

Gliniarze też tu nie chodzą, nie oficjalnie przynajmniej, bo zakładają, że hipsy nie są na tyle głupie, by w takim miejscu walić mak czy herę, a za same konopie nie było sensu im tu robić nalotów. Mogliby przecież zwinąć pierwszego lepszego hipa w pierwszym lepszym miejscu, gdyby tylko chcieli, bo hipiarz bez konopi, jak wiadomo, jest jak Wola bez Kercelaka.

Hipy poza tym mają opinię raczej spokojnych i do mordobic się niegarnących, co, o czym dobrze wie Kary, nie jest w żadnej mierze prawdą, ale stereotyp to siła większa od Podbipięty, Wyrwidęba i Waligóry razem wziętych i walczyć z nim ani nie ma sensu, ani nikomu się nie chce. Tak to jest z tymi powszechnie panującymi stereotypami: stereotypowi na przykład Soweciarze to wariaty boso po oparach absurdu i komunistycznej magii chodzące, Niemcy to gotyckie roboty, a ich kraj to dziwny mechanizm, który co chwila sam się, dążąc do doskonałości metodą prób i błędów, psuje, ale potem sam naprawia i wychodzi z tego popsucia za każdym razem silniejszy. Czesi to mali, zawistni sępowie, którzy chcą być jak Niemcy, ale są tylko ich nędzną kopią, Słowacy to turbogórale, Litwini to to samo co Czesi, tylko z drugiej strony i starający się być bardziej skandynawscy niż niemieccy, Żydzi to cwaniaki większe od Polaków, co godzi w polską dumę narodową, Ukraińcy to wściekłe psy z czarnymi podniebieniami - i tak dalej, każdemu, jak go własny wiril stworzył. Jak dalej? A tak na przykład: skanki ćpają, piją i biją się z fetami, fety kradną auta, gwałcą, rabują i biją, hipsy jarają konopie i grzeją mak, udają Praszłowian, Indian, Chrystusów i handlują dragami. Dandysy i gogusie są modni, pretensjonalni i patrzą na świat z wyższością i pogardą, a biciarze to

wieśniaki, dinozaury, chodzące trupy i dziady słuchające muzyki sprzed eonów. Tylko na wsi już takich można spotkać. No i w agencji Kary i Sztok.

No więc gliniarze myślą stereotypami i cieszą się, że mają co bardziej dorodne i znane w mieście okazy hipsów w jednym miejscu. Tu, pod świątynią dumania. Ba, nawet nieoficjalnie ich chronią. I wydaje im się, glinom, że są tacy cwani i że w ten sposób kontrolują hipowski rynek narkotyków w Warszawie, z czego Karemu zawsze chce się śmiać.

Wie doskonale, że siatka hipów jest rozległa, mocno powiązana, na różnych, przeróżnych szczeblach. A ani fety, ani chewry nie myślą, w przeciwieństwie do glin, stereotypami, szczególnie jeśli idzie o spore pieniądze z narkotyków.

- Co tam słyhać w świecie prawa i porządku? - zagaj a Krzesimir, skrzecząc jak podstarzała primadonna na kacu i odsypując Karemu do woreczka dziesięć gramów konopi. - Dalej nas nienawidzicie?

- Trzeba było nie przeciwstawiać się porządkowi społecznemu i tradycyjnej obyczajowości - zmusza się do odpowiedzi, żeby głupkowato nie milczeć, Kary i przeczesuje palcami włosy, klnie, bo mu brylantyna zostaje na palcach, po czym wyciera palce o battledressy. - Toby wszyscy was kochali.

Krzesimir się nie śmieje. Nawet się nie uśmiecha. Zupełny brak reakcji na tej nieco upiornej masce pod swarzycą, która nazywa się twarzą Krzesimira i go reprezentuje w świecie. Znow kłępująca cisza. Milczą obaj jak w windzie.

- Chodzi tu taki jeden posterunkowy, Walendziak chyba się nazywa -skarży się w końcu Krzesimir, nadal przesypując i nadal nie zmieniając wyrazu twarzy. - Kiedyś mi jebnął z płaskiej . Zagryzłbym kurwę na miejscu, ale wiadomo, potem by się posypało, że hipy złe, że agresywne ...

- Obiecuję - deklaruje Kary, patrząc gdzieś na szczyty drzew - że jak spotkam posterunkowego Walendziaka, a jest ich pewnie ze dwa tuziny, to mu od ciebie też jebnę z płaskiej .

- Niski, z wąsami.

- Tuzin.

- A może i nie posterunkowy, może jakiś ważniejszy. .. zbudowany taki. .. Trzysta pięćdziesiąt. No, jak dla pana, panie psiarski, stałego klienta, to trzysta.

- Przypilnuję Walendziaka.

- Dwieście osiemdziesiąt, no, niżej nie mogę, wiesz, psiarski, jak jest.

- Czy jak mu tam.

- Mhm. A ile mi pan dasz za informację?

- O... - Kary podnosi wzrok i patrzy na swarzycę między Krzesimirzymi oczami. - Informację.

- No, szukasz pan o tych diabłach, nie? O tych Hieroglifach?

Nie przypominałeś sobie, Kary, żebyś kiedykolwiek pytał o Hieroglifa hipsa Krzesimira. A jeśli tak, to ten twój dyskretny risercz w środowisku jest naprawdę, kurwa, dyskretny.

- No ... powiedzmy - odparłeś więc, detektywie noir, jak to się mówi, wymijająco, a żeby dodać sobie w tym wszystkim jeszcze więcej tajemniczości, dramatycznym gestem postawiłeś kołnierz kurtki. Trochę bez sensu, bo ani nie wiało, ani nie padało, ale coś trzeba było zrobić z rękami, a palić właśnie skończyłeś.

- Wiem, że jednego zatłukli ludzie na Woli.

- Jednego? Kogo? - Chcesz po policyjnemu zmusić Krzesimira do wykazywania większej inicjatywy przez pokazanie mu, kto tu rządzi, ale Krzesimir trochę patrzy na ciebie jak na dziwostwora. Dziś to naprawdę nie jest twój dzień, Kary. Myślisz nawet, niewdzięczniku, o usunięciu tej kuli z głowy. Ryzyko nie ryzyko, tak się nie da żyć, z takim wiecznym rozkojarzeniem.

Krzesimir znów milczy. Znów bieg jałowy.

- No, tego, przecież mówiłem ... - podejmuje po chwili. - Nie wiem. Hieroglifa, diabła. Tak mówią. Może kogoś innego, ale mówią, że złapali, w czasie gdy, no ...

- No?

- No co, no... gdy, kurwa, zabijał, no, gdy wybebeszał, nie wiem, co oni tam robią, prasy nie czytam.

- Kogo?

- Nie wiem, kurwa. Weź się mnie tak o wszystko nie pytaj jak pojebany, bo co ja, kurwa, jestem, lekcja wiedzy o Polsce, kurwa?

- No to za co ja mam ci płacić? Za jaką informację? Diabła zatłukli?

- Przecież mówię.

- Kiedy?

- Dziś w nocy. Przed porankiem, no. Przyjdź w nocy, Kary - zmienia ton Krzesimir i zniża głos, jakby telewizor ktoś nagle przyciszył. - Przyjdź na Chłodną, pod kościół. Dziś, nie wiem, o północy.

- O północy, kurwa! Gromnicę mam wziąć?

- Tak, tak. O północy, jak w horrorze. Pokażę ci, gdzie go zakopali.

- A skąd ty to wiesz?

- Wiem. Ale za tysiąc.

- Co?

- Tysiąc. - Krzesimir się śmieje jak wampir z filmów, ma długie, śniadawe zęby, i Kary nigdy nie może od tych jego zębów oderwać oczu, gdy już je Krzesimir pokazuje, bo zawsze mu się te zęby wydają jakoś groźne, przypominają mu rodzaj dziwaczkich szpadli, za pomocą których Krzesimir, na pokonopnym żerze, rozrywa na strzępy te ich wszystkie jarskie, hipskie smakołyki.

- Chyba popierdolony jesteś - odpowiada spokojnie Kary.

Krzesimir się śmieje. Znów te zęby, łopaty. Z kopaniem grobu mu się te łopaty Krzesimirowe kojarzą.

- Pięćset - mówi Krzesimir.

Nieźle, myślisz, Kary, ten Krzesimir jest przepalony. Dawno nie spotkałeś równie sprawnie się targującego negocjatora. Z tysiąca do połowy. Niezłych was się dwóch dobrało. Zamotany cham z kulą w głowie i hips z ozwojeniem przepalonym na amen.

- Sto - kujesz więc żelazo. -Ale idziemy teraz.

- Co? - Hips się zawiesił jakby. - W świetle dnia? - dodał, nieco poetycko.

- Za pięć minut będzie ciemno. Idziemy.

- Ja nie mogę tak od razu, ja tu biznes mam ...

- Idziemy, bo cię, kurwa, zakopię, brudasie jebany - odpowiadasz z uśmiechem, Kary, z wszystkich możliwych odpowiedzi wymijających wybierając, z jakiegoś powodu, właśnie tę. Zgadnij, Kary, dlaczego. Tak. Krzesimir nadal się śmieje, ale jakoś, masz wrażenie, mniej pewnie.

Wrażenie czy nie - hips był z Krzesimira nie lada, kawał hipsa skurwysyna, raz go, Kary, widziałeś w akcji, jak rozpierdalał, wraz z dwoma innymi hipsami miłującymi pokój i nadstawianie drugiego policzka, dwóch jakichś samozwańczych dilerów, którzy weszli na ich teren ze swoim cienkim sprzętem.

Kopali ich tak, że aż im te gołąbki się majtały, co to je hipsy noszą zawieszzone na szyi niby na znak pokoju. Jacyś kręcący się po okolicy gliniarze, którym się nie chciało interweniować, ograniczyli się wyłącznie do okrzyku „policja, spierdalać”, i wszyscy posłusznie spierdolili, każdy w swoją stronę, hipsy do świątyni dumania, samozwańcy, kuśtykając i pro forma grożąc „jeszcze was, kurwy, brudasy, przeoramy”, w stronę Żelaznej Bramy, gdzie po chwili rozległ się dzwonek tramwaju i okrzyk „jeszcze cię, kurwo, tramwajarzu, przeoramy!”.

Kary schował woreczek z konopiami do bocznej kieszeni battledressów i powtórzył:

- Idziemy.

- A zaliczka?

- Jak tam kogoś zakopali, to dostaniesz. Nie martw się. Bo cała ta historia śmierdzi niemytym hipsem na kilometr.

- Tyś za to czyścioszek, bicjarzu sprzed stuleci, kurwa - obraził się hips Krzesimir. - Daj choć dwieście. Jako symbol dobrej woli.

- Ale teraz sto. Jako zaliczkę.

- Chuj ci do dupy. Niech będzie.

Wyciągnąłeś, ku własnemu zdziwieniu, portfel i wręczyłeś hipsowi stuzłotowy banknot z Tadeuszem Kościuszką. Patrz, Kościuszko, na nas z nieba, jak Franc

Kary oszalał i rozdaje pieniądze hipom narkomanom za opowiadanie jakichś bajek. Dobrze, że przynajmniej z budżetu, który dostali ze Złotą od Hyckego, więc nie szkoda. No, nie aż tak bardzo.

Idziecie, idziecie, daleko nie ma tak naprawdę, wystarczy wyjść z parku Saskiego, przejść przez jego kutą, żelazną bramę, przez Marszałkowską w stronę placu, zignorować podejrzliwy wzrok policjanta, który obcina biciarza i hipa z góry na dół, zastanawiając się ewidentnie, jakie z takiego osobliwego sojuszu może wyniknąć zagrożenie dla porządku publicznego. A może, zastanawiał się gliniarz, to nie są hip i biciarz, a hip i zwykły wieśniak? Bo kto to widział, myślał policjant, który sam w cywilu lubił się dobrze ubrać i - generalnie - podążać za modą, i nawet mundur kazał sobie szyć, żeby dobrze leżał - no, kto to widział przedpotopowych biciarzy w modnej Warszawie, w Paryżu Wschodu, no cholera.

Ale Kary z Krzesimirem zniknęli w końcu, skręcając w Rynkową (choć Karemu się wydawało, że szybciej by było iść Graniczną), później skręcili w Grzybowską (Kary pomyślał: no i miałem rację, Graniczną by było szybciej). Kary rozpytywał Krzesimira o wszystko. Co, gdzie, jak.

- No więc mówi się, panie psiarski, o czarnym piąście - opowiadał Krzesimir, dość niechętnie - że oni ogólnie czarnymi piastami jeżdżą.

Kary kiwnął głową, tak, legenda o czarnym piąście, wiadomo.

- Bez rejestracji, albo rejestracje fałszywe, nie wiem - ciągnął hip. -

Tutaj też tak było, no więc podjechał czarny piast, blachy jakieś lewe ponoć, po tych blachach podobno można poznać właśnie, że to nie normalny czarny piast, tylko, no, wiadomo. I wysiada, no i właśnie, że niby diabeł. Ja wiem, jak to brzmi, panie psiarski, ale co mówili, to powtarzam.

- Jak to diabeł?

- No diabeł.

- Ale co, kurwa, rogi miał?

Hips Krzesimir popatrzył na niego wzrokiem typu „no co ja ci poradzę”.

- No rogi to nie. Ale twarz taką, że strach spojrzeć.

Zastanawiałeś się, Kary, czy to hips cię w wała robi, czy ktoś jego w wała zrobił, czy po mieście jakaś plotka chodzi kolejna idiotyczna, i zaczęło ci się robić szkoda tej stówy, którą mu dałeś. Hyckowa czy nie Hyckowa, można było ją przecież spokojnie wydać na inne rzeczy, Hycke faktur i rachunków nie chciał.

- Oddawaj kasę.

Krzesimir zaśmiał się nerwowo.

- Kary, kurwa, no przysięgam ci, mówię, jak słyszałem.

- No i co dalej ?

- No i było tak, że diabeł, nie diabeł, miał niefart, bo właśnie jak wysiadał, to go przycięły fety z Żelaznej ...

- Które?

- Co które?

- Które fety?

- Kurwa, no nie znam wszystkich fetów z Żelaznej , kurwa, to było podobno tu, bliżej Chłodnej , przecież ci mówiłem, to jeśli tutaj w bramie wódkę pili, to chyba raczej ci stąd, a nie na przykład te pojeby spod dworca. Kurwa, co, ja jestem psiarski czy ty, dedukuj .

- A od kogo słyszałeś?

- No kurwa, ludzie mówią, ja na Kercelaku słyszałem, jak kupowałem sobie te takie, no, do jedzenia...

Hips Krzesimir, pomyślałeś, jest bardziej przepalony, niż sądziłeś. Trzeba uważać.

- No a potem ktoś mi jeszcze na mieście mówił, ale z piątej ręki...

- To skąd wiesz, gdzie zakopali?

- Bo, kurwa, na moim podwórzu to jest. - Krzesimir popatrzył na Karego. - No, nie do końca na moim, ale przez moją bramę tam się wchodzi. I tam jest tylko jedno miejsce, gdzie mogli to zrobić, za szopą. I ja bym na ich miejscu właśnie tam trupa zawlókł, jakbym jakiegoś miał, i zajebał na tamtym rogu. Bo dookoła jest murek, nikt nic nie widzi, nikt tam nie chodzi, no, może jak ktoś zna miejsce, to

żeby się odeszczać. To jest taka, kurwa, studnia za studnią, a ta studnia za jeszcze jedną studnią...

- Stolik za stolikiem, za stolikiem stolik, a za tym stołkiem siedzi alkoholik, jasne - mruknałeś.

Krzesimir, co cię wcale nie zdziwiło, zupełnie to zignorował.

- ...a tam jest ciąg przejść - kontynuował - nie ma cieciov po bramach, nikt nie zamyka. .. no to na logikę... no i poszedłem tam sprawdzić. Lać mi się zresztą chciało. No i leję, patrzę - ziemia świeżo kopana. No to co to może być?

- Kurwa, to ja ci tylko za twoją hipsiarską dedukcję stówę dałem?

- A co? A tobie za co płacą, detektywie z dupy?

- Ja mam licencję, Krzesimirze. Legitymację.

- A ja mam, kurwa, łeb na karku - powiedział Krzesimir i beknął. Poczuleś zapach bobu. Wydedukowałeś przynajmniej, detektywie, co to były te takie do jedzenia.

- I co? Rozkopałeś?

- Kurwa, a co ja, grobdiger jestem? Nie.

- To wszystko może tam być. Chomik, kurwa, zakopany. Oddawaj stówę.

- Tak, chomik na dwa metry długości.

- To rekin.

- Kary, kurwa twoja mać, weź ty mnie nie wkurwiał, co?

No i dalej szliście Grzybowską, patrzyłeś, Kary, jak się ściemnia, wiadomo, jesień, zmiana czasu zbliża się wielkimi krokami, noc, jak śpiewali po knajpach aliganczy dzireje, roztaczała nad Warszawą swój woal, zimno się robiło, i Kary włożył swoje rękawiczki bez palców. Krzesimir wywrócił oczami. Kto takie rękawiczki nosi, kto. Kopalni biciarze i wieśniaki.

- Wieśniaku ty - powiedział więc mało odkrywco.

- No ale co się stało? - zapytałeś, Kary, zły na siebie, na Krzesimira, na wszystko. - Wsiadł ten diabeł, kurwa, z czarnego piasta i co?

- No - zawahał się hip - tu nie wiem dokładnie, coś że do kogoś kozaczył ten diabeł, pusto było, bo to jakaś trzecia w nocy, a oni go zatłukli. .. no, nie wiem...

- Aha. - Pokiwałeś głową. - Diabeł przyjechał czarnym piastem i zaczął kozaczyć. I trafiły go fety i go zajebały. Aha.

Krzesimir wywrócił oczami i zapalił papierosa.

- Czy to moja wina - powiedział w czymś w rodzaju zadumy - że właśnie tak brzmi poezja ulicy?

- Bo jak ci zaraz wypier... - zaczął Kary, ale nie skończył i też zapalił papierosa. Rozglądał się. Gdzie tu był ten sklep ...

- Żebyś ja ci nie ... - zaczął godnościowa Krzesimir, ale pamiętał dobrze, że widział kiedyś Karego w akcji, i też nie skończył.

- Tego szukałem - powiedział Kary i wszedł do sklepu żelaznego przy Grzybowskiej . - Wiedziałem, że gdzieś tu jest.

Hip Krzesimir zapalił papierosa i zanim Kary wyszedł z powrotem, trzymając w dłoniach dwie saperki, dopalił go do połowy.

- Ty - spytał - po chuj ci dwie saperki?

- Trzymaj - powiedział Kary, podając mu jedną z nich. - Schowaj sobie pod kurtkę, żebyśmy nie wyglądali jak dwóch, kurwa, harcerzy.

- Ale po chuj ci dwie?

- Zgadnij .

I robiło się JUZ ciemno, i Wola wyglądała, jakby się rozmywała w lekkiej mżawce, zimnej, nawet dość przyjemnej, bo rozkładającej się nad całym miastem jak tiul, i światła się w tej mżawce rozpląwały, i robiły się miękkie i rozmyte, a wy doszliście do rogu Żelaznej.

Przy wejściu do bramy farbą namalowane były dwie strzałki ujęte w kółko: tak feciarskie ekipy oznaczały swoje okolice. Dawniej, o czym, Kary, wiedziałeś, chociaż byłeś ze wsi, był to jeden z sygnałów, które zostawiali sobie złodzieje. Dwa kwadraty na parkanie - można wbijać, tu żyją frajerzy. Kółko w kółku - można

wbijać, ale nie ma po co, bo bieda. Strzałki w kółku - trzymaj się z daleka, niebezpieczeństwo. Teraz to po prostu znaczyło to samo co „witaj w krainie latających noży”. No a to była kraina latających noży, bez dwóch zdań.

Brama Krzesimira była nawet oświetlona: w przejściu zamontowano lampę, bzycząca, ale zawsze. Dalej już było gorzej. Szli, Kary wyciągnął z przepastnych kieszeni battledressów małą latareczkę, generalnie w wielu nadal nieoświetlonych wolskich kwartałach przydatną. Te stare kawałki Woli były trochę jak wyspa - wokół, za Okopową, za Towarową, za Kercelakiem, ciągnęły się o wiele bogatsze, nowe dzielnice. To była nowa Wola, stylizowana na Żoliborz, na Nową Ochotę. Dalej - osiedla corbusierowskich bloków, opanowane przez przyjeżdżających do pracy ludzi z małych miasteczek, ze wsi, przez osiedlowych giciarzy. Jeszcze dalej - bezkształtne kwartały, wznoszone bez ładu i składu, dawna wieś, która powoli przekształcała się w miasto i zabudowywała dziko, składające się z dobudówek dobudowywanych do dobudówek, które trzeba by nazwać slumsami, ale nikt tego w ten sposób nie nazywał, bo wiadomo, slumsy to może i są w Brazylii, ale nie u nas.

Lecz tutaj, na starej Woli, w starych kamienicach, najczęściej z pierwszej połowy dwudziestego wieku, a często jeszcze z wieku dziewiętnastego, w mieszkaniach często pozbawionych toalet, zachowało się coś w rodzaju skansenu; żeby dało się tu mieszkać, trzeba by było pruć kamieniczne flaki, budować w nich całe nowe wnętrza, rozwalać mury, wyburzać całe kamienice, żeby na ich miejscu stawiać nowe plomby. Do tego radzić sobie z lokatorami, którym trzeba by było znajdować i opłacać lokale zastępcze, szczególnie od kiedy kręcić się wśród nich zaczęli aktywiści lewicowi i uczyli ich, żeby się tak łatwo nie poddawać dyktaturze kapitału. Najpierw, kilkanaście lat temu, pojawili się biciarze, potem, ogólnie - artyści, potem skanki, hipy; bliska Wola rozparzyła się od knajp, klubów i melin wszelkiego rodzaju, już nie tylko tych starego typu - ale i takich, o których starzy mieszkańcy wcześniej pojęcia nie mieli. Palarnie zioła, opiumownie nawet bywały, miejsca, gdzie można było spod lady kupić białe i tabsy.

Na początku drażniły lokalnych te wszystkie pedery, babochłopy, jak ich nazywali, dziwki i paniusie, i niejeden, i niejedna, jak każdy pionier w nowym, wrogim środowisku, ponieśli ofiary, tracili zęby, biżuterię, portfele. Ale później jakoś się ułożyło - starzy odkryli, że miło się mieszka w okolicy, gdzie można o dowolnej godzinie dnia czy nocy wyjść na piwo, i przy okazji, jeśli ktoś praktykuje, stuknąć jeszcze kogoś na flotę. Zrobiło się modnie i awangardowo, ceny nieruchomości poszły w górę; zawsze były wysokie, ale wcześniej nikt nie chciał zrobić pierwszego kroku i zacząć inwestować w walącą się dzielnicę. Teraz, gdy zrobili to hipsi i awangarda, za nimi poszedł biznes. Właściciele kamienic zaczęli po cichu usuwać z nich lokatorów, i to właśnie ci sami hipsi i awangarda stanęli w ich obronie. Bronili, oczywiście, ludzi przed czymś, co sami ściągnęli im na głowę, ale jak pisał modny swego czasu publicysta artystycznego czasopisma „Vala Nova”: „Wola nie miała przecież szansy pozostać skansenem dawnej Warszawy na wieki, z dwojga złego lepiej było sprawić, że gentryfikacja przebiegnie w sposób kontrolowany”. Tak się wszyscy bawili i nadal się bawią.

Tu jednak, w ciągu przejść i podwórek, w samym środku flaków kamienic, kamienicoidów, kamienic wewnętrznych, studni, miej se, które zaczynały po przejściu przez kolejną bramę wyglądać jak miejsca ze złego snu, w którym rzeczywistość nie chce się skończyć i się wlecze bez końca, przyjmując tylko co chwilę jakiś wariant swojej formy - tu nie było widać żadnej gentryfikacji. Tu było piekło. Gdyby byli tutaj spece od wirilu, to musieliby przyznać, że tutaj, chyba, on się manifestuje najbardziej polsko, jak można sobie wyobrazić. O wiele bardziej polsko, niż chcieliby to przyznać. Bo te mokre, czerwone cegły, ten beton wymieszany z błotem, ta ciemność, rozświetlana tylko przez zadeszczone okna i przez wątle światło latareczki Karego wy dobywającą z niej zresztą głównie mżawkę - to było coś, z czym Polak, niezależnie od tego, skąd pochodził, czy z Mazowsza, czy z Małopolski, czy z Poznańskiego, czy z Pomorza, czy z Wileńszczyzny, czy ze Śląska - stykał się przez całe życie i w tym czymś wyrastał. Różnica między, powiedzmy, Wileńszczyzną a Śląskiem prawie wiek po odzyskaniu niepodległości, od kiedy wiril polski mógł bez przeszkód nadawać

Polsce kształt bez zbyt silnej konfrontacji z innymi potężnymi wirilami, polegała głównie na ilości czerwonej cegły. Im bliżej zachodu -tym jej więcej . Im dalej na wschód, w szerokie, w rozmywające się, w niepewne, mniej konkretne -tym mniej . I tym więcej drewna.

- Tu - powiedział hips. - Tam wejdź za ten załom. Ten, no, róg. Tę ścianę, no. Kop.

- Ty zaczynaj - odpowiedział Kary. - Przecież wiesz gdzie. Ja nie będę z siebie idioty robił, jak się okaże, że tam ktoś zakopał, kurwa, swojego psa ulubieńca, żeby na śmietnik nie wyrzucać. Poza tym ja mam grupę inwalidzką pierwszej klasy. To był twój pomysł. Kop.

- Mój pomysł?

- Albo oddawaj stowę.

- Kary, ty chuju - powiedział hips.

- Kop. Jak coś znajdziesz, to ci pomogę.

Kary świecił, hips kopał, faktycznie - miejsce było idealne, jakby oddalone od cywilizacji o setki lat świetlnych. Nie było ich widać z tych nielicznych okien prawie ślepych ścian. Idealne miejsce, żeby się ukryć -przemknęło Karemu przez myśl. Żeby zbudować tu, kurwa, jakiś barak, wejść do niego, podłączyć może prąd, i tyle, i nie wyłazić. Nakupić sobie żarcia w puszkach, naznosić książek, gazet i trwać. Schować się przed światem. Nikt cię tu nie znajdzie. Nikt nawet, w tym chaosie, nie zauważy, że cokolwiek dobudowano. Byle tylko, prawidłnie, użyć czerwonej cegły i pokryć papą.

I nie trzeba było kopać głęboko.

- Noga - sapnął z przejściem hips.

- Świeć - powiedział Kary i sam wziął się do kopania.

- No widzisz - powiedział Krzesimir, gdy już widać było w tym cieniutkim latarkowym światełku obie nogi, obie w jakichś dziwacznych butach, niby wojskowych, a jednak typu, którego Kary nigdy nie widział -mówiłem, że wystarczyłaby jedna.

- No, kurwa, ładnie - powiedział Kary. - No, kurwa, ładnie.

- Teraz wierzysz? - zapytał hips Krzesimir. - Kurwa, ty, ja sam nie wierzyłem tak naprawdę - dodał po chwili.

Twarz odkopanego mężczyzny wyglądała jak mielone mięso przysmażone na patelni: była jedną wielką blizną. Dodatkowo pokrywała ją zakrzepła krew. Głowa była ogolona na łyso. Spod zakrzepłej krwi wyraźnie jednak przebijały resztki dziwnego makijażu.

- Co to za przebieraniec? Farba? - zapytał Kary, nie mogąc się powstrzymać i delikatnie dotykając okolic oczu. - Przecież, kurwa ... poświeć ...

- Co za pojebaniec, człowieku. - Hips Krzesimir wyglądał na przejętego. Nerwowo pocierał swarzycę wytatuowaną między oczami. - Kurwa, to ... to ... no patrz na niego, no ... Diabeł.

- Patrzę, Krzesimir, patrzę - mruczał Kary, podnosząc delikatnie głowę trupa. Potylicą była rozbita. Kawałki kości i mózgu pokrywały skórę. - Fe. Mózg mu, jak na diabła, wyszedł ze łba całkiem po ludzku.

Otrzeptał trupa z ziemi. Twarz wyglądała potwornie, ale Kary znał takie twarze. Z Ukrainy, z San Fernando. Twarze żołnierzy, którzy palą się w czołgu, którym wybuch zerwie skórę, powbija odłamki, kula urwie nos. Takie twarze, o czym wiedział, bo przecież sam wielokrotnie otarł się o ryzyko nabawienia się takiej twarzy, i znał ludzi, którzy z nimi kończyli, to najczęściej powód samobójstwa. Albo dożywotniego siedzenia w domu i unikania ludzi. Albo, jak u tego tu, powód do wściekłości. Do częstych wizyt u skaryfikatora, który powycinał mu na czole i policzkach płataninę blizn. Ty byś, Kary, z taką nietwarzą raczej zachlał się na śmierć, ale kto wie, może gdybyś przez dłuższy czas utrzymywał wysoki stan nawciążania i upojenia, może byś w końcu zrobił to samo. Może też byś dociął sobie jeszcze na twarzy skaryfikacji, na pohybel tak zwanemu społeczeństwu i sobie samemu, i wychodził na miasto mordować ludzi. A potem byś się, oczywiście, odstrzelił.

Obstawiałeś San Fernando. Facet był w twoim wieku, być może służyliście nawet w tym samym czasie, o ile twój, jak by to nazwać, specyficznego rodzaju pobyt na San Fernando, zakończony wielkimi fajerwerkami, można w ogóle nazwać służbą.

Czarny kostium, uniform: pełen kieszeni, kieszonek, spodnie - niby battledressy, jak te Karego, ale jakiś inny krój. W żadnej z tych kieszonek jednak nie było nic. Nie żeby Kary liczył od razu na dokumenty - ale cokolwiek.

- I po cholereę ci tyle tych karmanów, bracie. - Kary pokiwał głową, przeszukując trupa. - Jak nosisz puste. No ale skąd w ogóle pomyśl, że to Hieroglif. Na moje oko to może być nawet, kurwa, tancerz flamenco z nieodległej Cafe Hispaniola...

- Dobra, dobra - warknął Krzesimir - nie próbuj mnie teraz przecwaniaczyć, umawialiśmy się na trupa...

Kary drgnął. I przestał Krzesimira słuchać.

Bo gdy podwinął trupowi rękaw, zobaczył na jego nadgarstku tatuaż.

Symbol.

I dobrze znał ten symbol.

Bo to był ten sam, który znalazł na ścianie w zameczku Lasoty. I ten sam, który obejrzał w aktach przyniesionych przez Hyclego.

Skóra trupa była zimna, cholernie zimna, i to zimno zostawało Karemu na palcach, i Kary miał wrażenie, że dostaje od tego zimna dreszczy, ale to chyba nie było jednak, Kary, od zimna.

- Co tam masz? - zainteresował się hips Krzesimir.

- Nic - mruknął Kary, zakrywając tatuaż rękawem.

- I co teraz? - spytał nerwowo Krzesimir.

- Teraz, Krzesimirze drogi, masz ekstra jeszcze trzy stowy i spadasz do domu albo do swoich dostojnie opierzonych kolegów do Ogrodu Saskiego. I nikomu o tym ani słowa, bo nie tylko mnie, ale i prawdziwych psiarskich będziesz miał na

karku, jeśli to się wyda. Bo jak polecisz z jentą na miasto, to ja już tego nie będę miał pod kontrolą.

- Jasne, jasne, panie psiarski - powiedział Krzesimir, z zaskakującą drapieżnością wrywając ci z dłoni banknoty podtykane mu pod nos, na których Śmigły-Rydz wyglądał na tak rozradowanego, jakby wciągnął ze cztery długie kreski polskiej amfetaminy. - Jasne, kurwa, człowieku. -Zabrał swoją saperkę, przyda się, i poszedł.

Kary wyciągnął z kieszeni mobil.

- Złota? - rzucił. - Bierz tego chuja Grzesia i spotkajcie się ze mną na rogu Grzybowskiej i Żelaznej . Zaraz. Nie, nie. Rzuć to. Przełom. I ściągnij Hyclego, jak się da. Jak się nie da, to Grześ niech się, kurwa, martwi sprawami technicznymi. Tak, tak. Techników. Policyjnych. Do zwłok. Trupa znalazłem. Jednego z Hieroglifów. Jak mają techników. Tajne służby, chyba, kurwa, mają, nawet jeśli działają w tajemnicy sami przed sobą, nie?

Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

Jeśli facet miał, kurwa, czaszkę wymalowaną na twarzy, to cholera wie, może faktycznie przyjechał tym czarnym piastem.

Złota i Grześ szybko zabrali się do roboty. Byli pod wrażeniem. Grześ zadzwonił po Hyclego, Hycle skombinował im jakichś techników, cholera wie jakich, Kary się przez chwilę zastanawiał, czy w tych ich politycznych gierkach technicy też się dzielą na tych lojalistycznych i prorozłamowych, ale w sumie niewiele go to obchodziło i przestał.

- Kary, a skąd właściwie wiadomo, że to jest Hieroglif? - zapytała Złota, paląc papierosa nad rozkopanym grobem i przyglądając się trupowi w świetle latarki. Na oku miała czarną skórzaną przepaskę. Obok nich stał Grzesiu. Nie patrzył Karemu w twarz. Ale jego relacje ze Złotą, co dziwne, wcale się nie popsuky. Co cię, jednak, Kary, nieco wytrącało z równowagi. I wpędzało w lekką paranoję.

Ludzie Hyclego mieli techników, i to bardzo sprawnych. Mieli też mocno sprawnych ogarniaczy, agentów, którzy w try miga dyskretnie zabezpieczyli teren,

przebrani za strażaków. Rozciągnęli przez podwórka biało-czerwoną taśmę z napisem UWAGA, NIEBEZPIECZEŃSTWO WYBUCHU GAZU i nawet tych kilku nielicznych pijaków, którzy w środku nocy napatoczyli się tutaj, żeby odlać z siebie mocz, widząc ten napis, zatoczyło się w inną stronę.

- Przecież to może być każdego typu wariat, Kary - powiedziała Złota.

- To popatrz na jego nadgarstek. Lewy.

- Grzesiu - rzuciła Złota. - Poświeć.

Grześ posłusznie podszedł i skierował snop światła na ciało.

Uklękła nad trupem i ujęła go za rękę. Zastanawiała się, czy się nie będzie brzydziła albo czy nie zawaha się z powodu jakiegoś irracjonalnego lęku, ludzie, generalnie, tak mają. Ale nie Złota.

- O cholera - syknęła. - No nieźle. Grzesiu - odwróciła się do świecącego - powiedz tym hyckowcom, żeby dokładnie obfotografowali. I chcę w ogóle ekspertyzę mieć na biurku. Rano.

- Rano? - zastanowił się Grześ melancholijnie.

- Czy ja niewyraźnie mówię? - warknęła. - Czy ja żydłacze? Rano.

- Tak jest. - Grześ kiwnął głową.

- No ale w zasadzie też każdy mógł sobie coś takiego ...- zastanawiała się, podchodząc do ciebie.

- No jak każdy, Złota. - Pokiwała głową, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Od jej rudych włosów, od jej błyszczącego oka, od ust, od twarzy w kształcie serca. Od czarnej skórzanej przepaski. - Przecież tu nikt tego symbolu nie znał. Przecież to wszystko było utajnione.

- Nikt - powiedziała Złota - poza gliniarzami, którzy się tym zajmowali, poza ludźmi, którym o nim opowiedzieli. .. nie wierz w idealne konspiracje, Kary, jeśli biorą w nich udział więcej niż trzy osoby.

Wzruszyła ramionami.

- Facet lata po nocy wydzierany w tajny znak Hieroglifa, z mordą jak mielonka i z makijażem w trupa, ale jasne, to może być każdy.

- A może to prowokacja. Może ktoś chce, żebyśmy myśleli, że to Hieroglif. Kto ci dał na niego namiar?

- Moje źródło.

- Musimy więc to twoje źródło bardziej potarosić i przycisnąć.

- Złota - zdenerwowałaś się. - To jest moje źródło. Nikt mi go nie będzie tarosił ani przyciskał. To są moje kontakty, moja odpowiedzialność, moja reputacja. Kurwa mać ...

Złota nic nie odpowiedziała. Odwróciła się w stronę trupa i na niego patrzyła. Stała tak, w świetle Grzesiowej latarki, w nocy, w kłębach papierosowego dymu.

- To i tak jedyne, co mamy- dodałeś, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Ano jedyne - zgodziła się Złota. Skiepowwała papierosa, wdeptała go butem w ziemię, po czym zapaliła kolejnego.

Grześ popatrzył na nią z wyrzutem, wydłubał z ziemi jej niedopałek, mruknął coś w rodzaju „nie zostawiamy śladów, szefowo”, ale nie powiedział tego głośno. Złota zupełnie go zignorowała.

Ale nie, pomyślałeś, Kary, nie oznacza to bynajmniej , że Złota postanowiła w końcu obrazić się na Grzesia. Ona po prostu taka była. I po raz kolejny zastanowiłeś się głęboko, co ty właściwie, kurwa mać, w niej widziałeś. I przyznałeś sam przed sobą z ciężkim sercem, co ty w niej nadal widzisz.

- Aha, Kary. - Odwróciła się.

- No?

- Dzięki.

- Za co?

- Za Wolfa.

- A idź w cholerę. Zawsze do usług.

LUDZIE BEZ TWARZY

Kary kręcił się po Woli. Chłodna, Ogrodowa. Czarne piasty, kurwa. Diabeł jeździ czarnym piastem. Spośród zaparkowanych samochodów tylko jeden był czarnym piastem. Stał pod kamienicą na rogu Okopowej i Kary zajrzał do środka. Tam raczej nie było śladów szatana. Diabła, mordercy, kogokolwiek. Jakaś plastowa torebka z logo Hal Mirowskich, stary numer „Ikaca”, leżąca na podłodze rękawiczka, raczej damska. Na tylnym siedzeniu - kapelusz ewidentnie należący do starszego mężczyzny. Nawet dandole takich nie noszą. Kary wyobraził sobie dzisiejszego trupa w tym kapeluszu i rękawiczkach i zachichotał.

- A co to przy naszym aucie robi! - zawrzasnęła nagle jakaś jejmość wychodząca z bramy. - Gienek, no rusz się, pogoń złodziej a, ja cię nie mogę...

Gienek, który wychynął z bramy razem z jejmością, wyglądał na ciężko doświadczonego życiem chłopinę, zabiedzonego i zahukanego. Mierzył przy tym z metr sześćdziesiąt, był chudy jak wyżeł, wyżeł miał też oczy, smutne i błyszczące. I w ogóle coś zbitopsiego mu z twarzy wyzierało.

- Przepraszam, przepraszam - powiedziałaś uprzejmie, unosząc w górę dłonie i odchodząc. - Patrzyłem tylko, ile ma na liczniku.

Miał, notabene, tylko sto osiemdziesiąt, bo to w ogóle był dość stary model piasta. Demon, myślał Kary, idąc w stronę Żelaznej, jeździłby czymś nowszym. I w ogóle miałby jakoś inaczej w samochodzie. Nie miałby, na przykład, tego zapachowego gówienia dyndającego na lusterku, tej kostki śmierdzącej jakąś

wanilią. Demon śmierdzący wanilią. Jaki zapach, zastanawiał się Kary, mógł właściwie mieć w samochodzie demon? Biorąc pod uwagę, że jest prawdziwym demonem? Z demonów metafizycznych? Jak by w ogóle mógł coś mieć w samochodzie? I co by mógł wozić w schowku na rękawiczki, co kupować do picia na stacji paliwowej? Co sprawiałoby, że jest demonem? Co robi demon, gdy - myślałeś, Kary - nie kusi, nie czyni zła, nie sprowadza na złą ścieżkę, nie wiem, nie karmi się strachem? Co tam jeszcze robi demon? Co robi demon, gdy prowadzi samochód? Czy słucha radia? Pali papierosy? Czy zamiast radia demon powinien mieć w aucie coś demonicznego? Jakiś, kurwa, piekielny nadajnik? A popielniczkę? Czy demon pali papierosy? Demon może, oczywiście, palić papierosy po to, by robić wrażenie na opętywanym, ale po chuj właściwie miałyby palić poza manifestowaniem swej działalności? Czy demon w ogóle ma płuca? Jakie są biologia i fizjologia demona? Jakie są cel i sens jego życia? Czy demon ma ambicje? Czy może awansować? Czy kręgi piekielne i czortów obcowanie to jakaś feudalna hierarchia, z Lucyferem jako szefem i całą tą czeredą Bafometów i Azazelów jako gnących się przed nim w ukłonach lenników?

Kary rozważał pokręcenie się po swoich tutejszych znajomych. A znał sporo lokalnych fekiarzy, i niewykluczone, że udałoby mu się trafić do tych, którzy załatwili tego, cholera, Hieroglifa czy tam Diabła. Wiedział jednak, że nie może wykonać fałszywego ruchu: jedno nieopatrznie albo niewłaściwej osobie zadane pytanie i za pięć minut cała Wola wie, że psiarski, czy tam, kurwa, prywatny detektyw, kto na to będzie zwracał uwagę, szuka kogoś, kogo w żadnym wypadku nie można mu dawać na talerzu, bo w sprawę wchodzi trupa, a jak trupa i psiarski węszy, to spierdalać, bo kryminał. Spierdalać, a psiarskiego posunąć nożem.

Ale w końcu od czego są przyjaciele?

I Kary skierował kroki swe do sklepu naprzeciwko, w którym poza „towarami kolonialnymi”, takimi jak „kawa nowopolska” czy „śmigłownicze banany”, sprzedawano również „tradycyjny rum polski”, którego Kary zakupił butelek dwie. Z palmą na etykiecie.

Miguelito zaciągnął się papierosem i upił łyk rumu z colą.

- No i co z tym Konopnym?

- Nic. Organizacja, powiedzmy, się sprawą zajęła.

- To dobrze. Jebać zdrajców. No - zmitygował się - nic osobistego, znaczy, no, nic przeciwko tobie, Kary ...

- Miguelito. Słuchaj . Jeszcze jedna sprawa jest.

- A ty kiedyś bez sprawy do mnie przyjdiesz, kutasie? Zresztą wiem nawet jaka sprawa.

- Wiesz? Tak?

- Dalej szukasz Hieroglifa? No tak, teraz wszyscy o tym pogromie, Hieroglif niemodny.

- Ano szukam.

Miguelito patrzył mu w oczy.

- A ile ... - zaczął i się zawahał.

- Ile mogę dać? - Kary przeliczył w głowie fundusze, które dostał od Hyckiego.

- Sporo.

- I gwarancję, że nic nie pójdzie na hinty. Żaden z grandy, nikt. Tylko tobie.

- Jasne.

- Bo wiesz, że zajebano tutaj jednego. Na rejonie.

- No wiem.

- Wiem, że wiesz. No to ja ci mogę powiedzieć, gdzie go zakopali.

- Miguelito. - Kary odsunął się razem z krzesłem. - Gdzie go zakopali, to ja wiem. Ja go nawet wykopałem. Ty mi musisz dać coś więcej .

Twarz Miguelita wyrażała bezbrzeżne zdziwienie.

- No, stary. Skąd wiedziałeś? Kto sypnął? Kto poza tobą wie? Pały wiedzą?

Kary się roześmiał.

- Widzę, że za chwilę to ty mi będziesz musiał płacić za informacje - powiedział, unosząc szklankę. - Zdrowie.

- No zdrowie, ale jak, do chuja ...

- Kurwa, jestem detektywem - powiedziałeś, Kary, czując już, że jeśli Miguelito zaczyna się niepokoić, to może znaczyć tylko jedno. Albo ci, którzy to zrobili, to jego bliska ferajna, albo ... albo nawet lepiej . - Pały nie wiedzą. A ja potrzebuję świadka, Michał - rzuciłeś, Kary, odpalając papierosa. - Może mówić tylko mnie. Ja nikomu go dalej nie puszczę. Totalnie anonimowy, incognito. Gwarantuję anonimowość. Muszę po prostu wiedzieć więcej , znać okoliczności.

- No to masz świadka, miś - powiedział Miguelito, patrząc ci, Kary, w oczy. I zamilkł w dramatycznym zawieszeniu.

Kary czekał. Kurwa, jak on nie lubił, jak ty nie lubisz tego wkurwiającego warszawskiego efekciarstwa.

- No że co, że niby ty? - spytał w końcu zniecierpliwiony. - Ty go zajebałeś, tak? Mówże, kurwa, jak człowiek.

- Z poważaniem - ukłonił się Miguelito. - Niżej podpisany.

Relacja Miguelita była nieskomplikowana. Pili z kolegami z wojska w bramie, zresztą tej samej , jak się okazało, w której mieszkał Krzesimir i w której skończył zakopany Hieroglif, Diabeł czy jak mu tam. Trzecia, mówił, w nocy była, wtorek, więc pusto. Hipy nawet poszły spać, knajpy pozamykane, jeden nocny na Grzybowskiej działa, więc kursowali, brama - nocny, brama - nocny. I puściutko, mówił Miguelito, ni drogi, ni kurhanu, co ty pierdolisz, Miguelito, pytał Kary, klasyka, wieśniaku, odpowiadał Miguelito, no więc w pewnej chwili, zrobieni już byliśmy, mówił, patrzymy z tej bramy, a tu parkuje samochód i wychodzi z niego jakiś dziwny leszcz, ale taki, kurwa, dziwny - wielki, łysy, w kominiarce, że... w jakimś, kurwa, ni to mundurze, ni to stroju wędkarskim, wszystko na czarno.

A za nim - dziewczyna.

- Dziewczyna? - Drgnąłeś, Kary. - Jak wyglądała?

- No... wiesz. Drobna, mała. Drobniutka. Też tak samo jak on ubrana. W kominiarce.

To ona. To musiała być ona.

To ona podrzuciła ci pod nos twojego żołnierzyka. Musiała być w twoim domu. Starym. We wsi. To ona wytrzasnęła skądś naszywkę z twoim nazwiskiem. To ona zabiła Lasotę. I innych.

- No i co?

- No i tak. .. My, rozumiesz, urzędnicy jak ruskie wojsko i chyba któryś coś do tej laski krzyknął typu, no, wiesz, „te, lala, obcas ci się upierdala” czy coś. No i ten koleś do nas przykozaczył. I ta babeczka też.

- No i?

- No i chyba się nie spodziewali, że na rogu będą stali komandos, w pieswybie biegli. Bo ja byłem tak: z takim Władkiem Kozielskim, sierżantem spadochronowych, z Tomkiem Miecikiem, znasz Tomka, byliśmy razem na Fernandynie, tylko on później w rotacji przyleciał, a, to już go możesz nie znać, bo ciebie z kolei. ..

- No dobra, chuj z tym, co dalej ?

- No ... cóż. On miał, co prawda, gwer, ale my byliśmy urzędnicy. No i ... wiesz. Ale słuchaj . To musiał być nasz. I ta laska też. Bo biła się jak. ..

- W sensie?

- W sensie bił się jak nasz. Po naszymu. Pieswybem, i to porządnym, od mistrza, a nie piąta woda po kartoflach. I dobrze się bił. No ale nas było dziesięciu.

- A dziewczyna?

Miguelito wzruszył ramionami.

- Jak ten wielki dostał kosę, to uciekła.

- Nie do auta?

- Nie. Pewnie ten zabity miał kluczyki - zarechotał Miguelito. - A potem zdejmujemy mu maskę, i o kurwa ... ryj poharatany ... **Aż** się nam go szkoda zrobiło.

Miguelito wstał ciężko i wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił, niosąc w lewej ręce pistolet z długą lufą, a w drugiej - długi nóż komandoski. Wyglądał z tymi

artefaktami, przebiegło ci, Kary, przez głowę, jak godło narodowe jakiejś militarystycznej republiki.

- Tego ci nie daję - zastrzegł Miguelito. - Tylko pokazuję. Ale patrz. To miał. Smith and wesson, porządny, patrz. I kosa.

- Nóż nasz.

Kary wziął nóż do ręki. Faktycznie. Sam miał taki. Polski nóż komandoski, wzór 1978.

- A pistolet?

- No sam widzisz. Nieregulaminowy.

- Przecież on tym mógł ludzi wcześniej zajeść, przecież to może być trefne.

- Odtrefi się, spokojnie. Pa, jaki wesson... z kilka tysięcy taki kosztuje ...

- Czy ten samochód... czy on przyjechał czarnym piastem?

Michał popatrzył na niego zdziwiony.

- I to wiesz? No tak. Dokładnie, czarnym piastem. Jak te diabły z bajek dla dzieci.

Kary zaczął się zbierać.

- Co ty, miś, chuju niemyty - protestował Michał - mnie tu, kurwa, niedopitego zostawiasz, co ty, kurwa, jak do frajera przyszedłeś wosnojes pozbierać i teraz idziesz? Chuj jesteś, Kary, tyle ci powiem.

Kary kręcił się teraz, dość solidnie wstawiony, po okolicy i zastanawiał się, co dalej . Co się stało z tym czarnym piastem, którym przyjechali zabójcy? Co, dziewczyna wróciła i go odholowała? Otworzyła drzwi wytrychem i odpaliła na kable? Możliwe, ale możliwe jest też co innego. Przecież to Wola. W końcu wyciągnął z kieszeni mobil.

- Edziu?

- Franiu?

- Edziu, słuchaj, czy nie zjechał do ciebie na hajlę ostatnio przypadkiem czarny piast? A konkretnie dzisiaj , w ciągu dnia albo o poranku jakoś? Bładym świtem?

Albo i przed?

Edziu Kowalczyk, właściciel warsztatu samochodowego na Wolskiej otwartego dwadzieścia cztery na dobę, a przy okazji paser, u którego, jak Kary wiedział, lądowała większość skradzionych w tej części Woli i na Żydowskim Nordzie samochodów, zamilkł na chwilę.

- A co - zapytał w końcu, z lekką niechęcią - twój?

Baraki, kamienice, ale jakieś ledwo klecone, a obok nich już nowe plomby, wycacane, z marmurami tu i tam. Bogackie oblężenie Woli zacieśniało obręcz, myślałeś, Kary, te wszystkie dzielnice średniej klasy obciskały starą Wolę i zaczynały wyduszać starych mieszkańców, i w końcu wyduszą, wszystkich, od fetów po hipów, a potem hipy się przeniosą gdzie indziej, na Pragę na przykład, a za nimi artyści, a za artystami dandole, a za dandolami, kurwa, geszefciarze i klasa średnia, jak muchy za gównem, wszystkie te panie Andzie i panowie Jurkowie pozbierają te swoje fałszywe szable i ryngrafy ze ścian, cześć, Michał, takie jak u ciebie, ale jednak nie z Kercelaka, tylko od jakiegoś porządnego fałszerza, pozabieraj ą te swoje samochody średniej klasy, a raczej wyższej średniej, na przykład czarne piasty, i kupią sobie tam mieszkania. A potem w końcu przyjdzie jakaś wojna, bo zawsze jakaś przychodzi, i rozpiardoli im te mieszkania w drebiezgi i apiać trzeba będzie zaczynać od nowa. I miasto, i klasę średnią, i auta, i wszystko.

Na przykład ta, do której już się wszyscy szykuj ą, bo przecież niedługo mija termin ultimatum, które dali tym kretnom z Zamkowego ich własni sojusznicy. Wszędzie w mediach Bycza Głowa, bo coś Snardza rzadziej ostatnio widać, właściwie wcale go nie widać, pewnie siedzi gdzieś, zesrany, i krawat żuje ze strachu, ale Byku i owszem, jak zawsze -zadowolony z siebie, nie cofniemy się ani o piędź, nie pierwszy raz ktoś nas chce sterroryzować, najpierw bolszewicy w dwudziestym, potem Hitler w trzydziestym dziewiątym, potem co chwila ktoś: Żydzi, Ukraińcy, nawet Białorusini, Litwini, Niemcy ile razy, w ogóle wszyscy, cały świat oprócz Łotyszy, potem międzynarodówka w dziewięćdziesiątym, i teraz znów to samo, znów nasi sojusznicy nam grożą, a przecież od kiedy

Polska odzyskała niepodległość, nie udało się jej rzucić na kolana. Moc nas boska broni i wiril polski.

A w mieście, jak na przykład teraz, alarmy przeciwlotnicze. Próby. Po co? Jak w końcu będzie ten prawdziwy, to go wszyscy zignoruj ą, jak i ten. Bo teraz wszyscy mają gdzieś.

Edward Kowalczyk i syn, proszę bardzo, Kary, już jesteś, trochę się co prawda zataczasz, trochę cię zawiewa, ale nie od parady jesteś byłym, prawda, komandosem, co to za komandos, co się nie potrafi sam do pionu postawić, a więc i raz, i dwa, i pion, i cześć panowie, jest szef?

Edzia Kowalczyk stoi, wraz oczywiście z synem, na podwórku swojego warsztatu, a za nim stoi blachy od cholery - ach! Piasty, volkswageny, MG, dzemsy takie i owakie, wszystko, wszystko, skodziaki, buicki, ople.

Edziu jest, wiesz o tym, człowiekiem dziwnym. Jest człowiekiem twardym i małomównym, gardzącym wesołymi kretynami gadającymi głupoty, właśnie takimi na twój obraz i podobieństwo, Kary. Pierdolniętymi idiotami z kulą i metalową płytką w głowie, rozmawiającymi ze swoimi wewnętrznymi głosami. I jeszcze ten jego, kurwa, syn. Ponury jak grabarz nad ranem, wielki jak trzech Edziów, z kim go, myślisz, ten Edziu zrobił, kurwa, z własnym garażem? Bo i wygląda ten syn jak garaż - rozłożysty, wielki, o oczach i ustach szerokich jak wrota.

- Edziu - mówisz do Edzia i podajesz mu rękę. Ma, a jakże, suchą dłoń, mocną, krzepką, ech, tralala. Syn natomiast wewnątrz dłoni ma takie, jakby do kanału w garażu rękę włożyć: ciemne i trochę wilgotne. Kary ledwo się może powstrzymać, by go delikatnie palcem nie posmyrać. Posmyrać i ot, zobaczyć, co będzie. Ale nie smyra.

- To co z tym piastem? - pyta Edziu. - Twój?

- Mój, Edziu.

- Podaj numery.

- Nie pamiętam numerów - mówisz, Kary. - On ma fałszywe blachy, nie pamiętam. Świeżo kładzione.

Syn z ojcem patrzą na siebie podejrzliwie.

- O chuj tu chodzi, Kary?

- Kto ci go podstawił?

- Przecież ci, kurwa, nie powiem.

Kary, Kary. Spokojnie, pewnie i tak jacyś przypadkowi gówniarze, którzy to auto po prostu trafili na ulicy. Choć najbardziej podejrzewałeś kolegów Miguelita, ale o nich to ci on nic nie powie.

- No ja też za wiele nie mogę - rzeźbi Kary. - Powiedzmy, że powiem tak: są rzeczy na niebie i ziemi ważniejsze ode mnie i od ciebie. Ty, być może, masz złudzenia, że jesteś swoim własnym szefem, ale ja takich złudzeń nie posiadam i jak moi przełożeni dowiedzą się, że skradzione im auto jest u ciebie, a nie u mnie, i że w dodatku ty mi tego auta nie chcesz oddać, to ja może i będę miał problemy, ale ty, kolego Edziu, będziesz miał je, uwierz, nieporównanie większe.

I teraz, Kary, patrzysz, jak ten kretyn, któremu wydaje się, że jest tak umiarkowanie cwany, że zna swoje możliwości i wie, kiedy trzeba spuścić, bo wyżej wała się nie podskoczy, i który uznaje tę wiedzę za swoją życiową mądrość i największy życiowy kapitał, patrzysz, jak wydaje mu się, że oto właśnie przyszedł taki moment i że robi coś mądrego, i on podnosi rękę, i mówi:

- Bierz.

Syn, wbrew pozorom, okazuje się bystrzejszy od Edzia.

- Ale tata - mówi syn - to nie nasza sprawa, jak to jakiegoś nazwiska auto, to niech tu przyśle kogoś innego niż najebany peder jakiś, wieśniak, kurwa, biciarz. Ty naprawdę...

Ale ojciec wali syna w twarz, plask, i tak się kończy synowska mądrość.

- Nigdy więcej - syczy - nie sprzeciwiaj mi się przed ludźmi.

- Ale tata - mówi mądry syn, któremu ewidentnie szkoda piasta, ładne musi być auto - niech on chociaż powie, kurwa, od kogo jest, bo ja też tak mogę...

Plask.

Wyjeżdżasz z warsztatu Edzia błyszczącym, ładniuteńkim piastem, czarnym jak maść końska, pachnącym wonią z kostki zapachowej, która się nazywa Superbryza, i aż ci się chce śmiać: proszę, już wiesz - szatan, demon, diabeł używa zapachu Superbryza, kojącego, przywodzącego na myśl samochód wyjeżdżający prosto z salonu. Kary skręca w Wolską i zaraz ciśnie w lewo, Młynarska, Karolkowa, i dalej, między warsztaty i magazyny: jest pijany rumem, który wypił z Miguelitem i który Miguelito właśnie kończy sam, w domu, wydzwanając z mobila do swoich licznych flam z całej Warszawy, halo, maleńka, to ja, Michałek, pamiętasz? Może i pamiętają, trudno nie zapomnieć Miguelita. Poza tym te rejestracje też lewe, i to jakoś tak nawet dość wyraźnie lewe, „W” jest nie takie jak na oficjalnych, w ogóle krój liter z dupy i trzeba uważać.

Stajesz, Kary, między garażami, w jakimś piekle betonu, cegieł i papy, nad tobą świecą gwiazdy, ale jest ich niewiele, o wiele mocniej świecą światła wieżowców na Przytorzu, między Żoliborzem a Nardem, włączasz swoją latareczkę i oglądasz dokładnie auto.

Wyciągasz mobil, dzwonisz do Złotej.

- Hej!

- Jesteś pijany?- Złota zawsze umiała to wyczuć.

- Kurwa. Nie w tym rzecz.

- Ha, ha, jesteś. Pijany.

- Pijany operacyjnie. Słuchaj . Mam samochód.

- Masz samochód. Gratulacje. Swój? Czy jakiś nowy?

- Samochód, kurwa, tego, co leży na Żelaznej, tego, co go, mam nadzieję, dyskretnie wynieśliście z tej bramy i zawieźliście do jakiejś chłodni. I wiem, jak to było.

Opowiadasz wszystko, co opowiedział ci Miguelito. Że była ich dwójka. Że jeden ten wielki, łysy i że dziewczyna. I mówisz też o śladach. Nie mówisz, na wszelki wypadek, niczego o naszym. Ani o żołnierzyku. Sam zresztą, biedny

Kary, nie jesteś już pewien, czy ten żołnierz i ta naszywka w ogóle istnieją naprawdę. Bo tak bardzo nie mają sensu. Mówisz, że Hieroglif, Hieroglify trafiły na lokalnych fetów kombatantów i że ci feciarze ich załatwili na cacy. I że dziewczyna uciekła.

Złota milczy.

- Co z trupem? - pytasz w końcu.

- Skąd masz auto?

- Gdzie trup?

- W chłodni, nie wiem, ten chuj Grześ zawiózł gdzieś, Hycke coś załatwia, czekamy na wynik sekcji. Tylko właściwie nie wiem, czego się spodziewamy. Powiązań? To już na dzień dobry widać. Miałeś chyba rację. Rany na twarzy jak wojskowy.

- Bił się też jak wojskowy.

- Mhm. A co z tym autem?

- No więc właśnie. Miguelito się nie przyznał, ale spylili je szybko lokalnemu dziuplarzowi. W środku płaszcz, czarny. Worki, grube, plastowe. Kabura na smith and wessana...

- To gdzie jest sam smith and wesson?

- No... Wszystko ci powiem, jak się spotkamy. Nie na telefon.

- To bezpieczna linia.

- No ale i tak nie.

- Ciekawe, dlaczego kabury nie wziął.

- Może mu do stylu nie pasowała.

- Tyś jest największy stylistą za to. No to dawaj to auto do ludzi Hyckego, dam ci adres ...

- Nie, Złota. Potrzebuję tego auta.

- Co?

- Przecież oni będą go szukać.

- Kto?

- Na przykład ta dziewczyna.
- Ale jacy oni?
- A, bo coś mi się wydaje, że ich więcej jest. Że to jest jakaś, kurwa mać, sekta.
- Jak ta Farugi?
- Faruga przy nich - powiedziałaś - to jakieś dziecko.

Kary zaparkował niedaleko bramy na Żelaznej , w której zakopano zabójcę. Nieopodal nocnej , hipowskiej knajpy o nazwie Cud, i cuda się tu, z tego, co Kary sam kilka razy doświadczył, faktycznie działały. Choć, Kary, ech, Kary. Wielu rzeczy nie wiesz o nocnym życiu Warszawy. Kiedyś wiedziałeś. Kiedyś wiedziałeś więcej, a teraz - popatrz na siebie. Kurtka biciarska, wiecznie te battledressy, motocyklowe buty. Zatrzymałeś się na pewnym etapie, na którym Warszawa była z piętnaście lat temu, i nie masz pojęcia, co się teraz nowego dzieje.

Dzwoni Beata. Kary nie odbiera.

O, ta to by wiedziała, co się teraz dzieje.

Ale teraz dzieje się tak, że Kary ma do załatwienia sprawę, a ta sprawa wymaga sięgnięcia po zapasy wajsza. Bo trzeba będzie siedzieć tu, w oknie, z widokiem na zaparkowanego piasta. Pić, żeby nie rzucać się w oczy, i to, niestety, pić sporo, bo rany, jak czasem gliny chodzą na obserwację do knajpy, to mogliby mieć od razu napisane „głina” na czole, jedno piwo męczą dwie godziny. Więc trzeba pić, ale też tak pić, żeby się nie upić. A gliny nie mają do dyspozycji tego, co on ma, a on ma amfetaminę. Kary wciąga kreski jeszcze w samochodzie, po czym pociera nos palcem, patrzy na swoje odbicie w lusterku, bywało gorzej, i wchodzi do knajpy Cud. Miejsce przy samym oknie jest niestety zajęte, ale piasta widać i spod baru.

Kary zamawia pierwsze piwo. Jest godzina 20.15.

Dzwoni Beata.

Kary nie odbiera.

Kary zamawia czwarte piwo. Jest godzina 22.15. Dzwoni Beata.

Kary odbiera.

Godzina trzecia w nocy. Kary żegna się z przygodnie spotkanymi kompanami i wysłuchuje żalów barmana, że on też chce iść do domu, a mają napisane „do ostatniego klienta”, przy czym biorąc pod uwagę, że to Kary jest ostatnim klientem, to on, barman, prosi go uprzejmie, żeby, kurwa, już sobie poszedł. Kary mógłby się upierać, ale jakoś się nie upiera. Musi sobie znaleźć inny punkt obserwacyjny. A może, wpada na pomysł, po prostu tylne siedzenie piasta?

Przy okazji będzie się mógł zdrzemnąć. Choć w sumie wcale mu się po tej amfetaminie nie chce.

Płaci więc barmanowi, daje mu porządną napiwek, idzie jeszcze do ubikacji na chwilę, tak, potem wychodzi i patrzy przez szybę - no proszę.

Idą.

Dwie postacie. Nie da się ich pomylić. Długie płaszcze, wysokie sznurowane buty. Kto się tak jeszcze w Warszawie ubiera, kto. Na twarzach kominiarki, ale takie z narysowanymi na nich trupimi czaszkami. Co za operetka, rany boskie. Wracasz do knajpy. Barman patrzy na ciebie z wyrzutem. Kładziesz palec na ustach i wyjmujesz legitymację współpracownika policji, którą dostałeś od Hyclego.

- Cisza. Zgaś światło.

Barman gasi światło.

Wyjmujesz, Kary, broń, czemu barman przypatruje się z przerażeniem, bo kto jak kto, ale on wie, ile ci nalał, i zastygasz przy szybie. Nasypujesz sobie amfetaminy na nasadę kciuka, wciągasz z wizgiem, słyszysz, jak barman mruczy coś o kurwach maciach, i prawie widzisz, jak wywraca oczami, to znaczy widziałbyś, gdybyś na niego spojrział, ale ty na niego nie patrzysz, tylko na dwie postacie, które idą w stronę Wroniej .

Jedna z tych postaci, ten niższy, grubszy, kojarzący się Karemu z Sancho Pansą, wskazał nagle coś temu drugiemu. Don Kichotowi, kurwa. Wstrzymałeś oddech - tak: piast. Znaleźli piasta. Podeszli obaj. Boże, pomyślałeś, jak idiotycznie wygląda demon, gdy szarpie klamkę zaparkowanego samochodu, a ten samochód jest

zamknięty. Ten drugi wyciąga z kieszeni zestaw wytrychów, taki sam, jaki i ty masz, Kary, i otwiera auto.

Postacie rozmawiały. Sancho skinął głową, wsiadł do auta i sięgnął ręką pod kierownicę. Zapalił. Kary patrzył, jak odjeżdża i jak drugi wyciąga z kabury pod płaszczem pistolet, i jak idzie przed siebie pustą Żelazną. Ciemną i jakoś upiorną.

- Teraz możesz zamknąć - szepnął Kary barmanowi - ale ja bym na twoim miejscu nie wychodził jeszcze przez jakiś czas.

- Jaki? - jęknął barman, ale Kary otworzył drzwi i wyszedł, skulony, bezszelestnie, na ulicę.

Kulił się za samochodami, nie spuszczał wysokiego z oczu. A ten szedł, i chyba sam napawał się tym, jak idzie, bo szedł jak rewolwerowiec w westernach, trochę rozbujany, trochę z namaszczaniem, jakby grał w filmie dla siebie samego, i Kary pomyślał, że najprawdopodobniej facet jest na kokainie.

Daleko nie miał. Skręcił w bramę, w której mieszkał Miguelito, i Kary wszystko natychmiast zrozumiał, i zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

Poza jednym: jakim cudem ta banda świrów zidentyfikowała tak szybko człowieka, który zabił ich wspólnika, jeśli ty sam, detektyw Franciszek Kary, uznawany, cóż, za całkiem niezłego detektywa, wpadłeś na to zupełnym przypadkiem i dzięki fartowi? Pewnie - myślałeś - ta dziewczyna nie uciekła daleko. Pewnie przyczała się i obserwowała, gdzie kto idzie. Tylko czemu nie zabrała samochodu? Co, kurwa, prawa jazdy nie miała? No ale teraz, w każdym razie, przyszli wujkowie.

Wyciągnął mobil, wybrał numer, szepnął parę słów, Złota, szybko, Żelazna, wyślij chłopaków, weź broń, jest niebezpiecznie, ścigam jednego, może ich być więcej . Po czym, najciszej , jak mógł, poszedł za zabójcą. Za czarnym operetkowym diabłem.

Dopał go na klatce schodowej , na drewnianych, skrzypiących schodach. W ciemności. Nie udało mu się podbiec tak, by go człowiek w czerni nie usłyszał. Odwrócił się, a wtedy Kary wyskoczył na niego, próbując kopnąć z hołubca.

Ku twojemu, cóż poradzić, sporemu, Kary, zaskoczeniu, mężczyzna zdążył jednak nie tylko się uchylić, ale i uderzyć cię dłonią w rękawicy w tors. A rękawica była, poczułeś to dotkliwie, wzmacniana metalowymi wkładkami na palce. Upadłeś z hukiem na podłogę, a wzbity kurz momentalnie zakleił ci nos. Co i tak nie miało specjalnego znaczenia, bo po uderzeniu plecami o ziemię nie bardzo mogłeś oddychać. Kopniaka też nie uniknąłeś. Słowem - ty, szkolona przez polskie specjalne siły maszyna do zabijania i, ogólnie, robienia krzywdy, dałeś się załatwić jak dzieciak. Jakimś pocieszeniem może być fakt, że byłeś operacyjnie pijany, ale człowiek w masce był szybki, bardzo szybki. I umiał się bić.

Tymczasem rozblęsnęło światło na korytarzu i z sutereny dał się słyszeć głos Miguelita:

- Co się tu, kurwa, dzieje?

Kątem oka widziałeś, jak Miguelito wybiega niczym taran ze schodów, jak chwytą próbującego się uchylić napastnika lewą, mocarną niby ramię dźwigu ręką i jak ciska nim o obłazującą z farby ścianę.

- Zdejmuj, kurwo, kominiarę - sapnął. - Cześć, Kary, ty chuju.

Kary stęknął coś na powitanie.

Człowiek w kominiarce chciał uderzyć Miguelita, ale zanim zdążył wziąć zamach, Miguelito wyrznął go w brzuch pięścią ciosem młota parowego, aż ten zgiał się w pół. Miguelito zerwał kominiarkę z jego głowy i pchnął go na ziemię.

- Ja cię, chuju, znam! - usłyszałeś, Kary, zdziwiony głos Michała, ale to już były jego ostatnie słowa w życiu, bo następne, co zobaczyłeś, to rozpryskująca się od strzału głowa.

Kary ryknął. Wyciągnął broń i wycelował w człowieka, który nie nosił już na twarzy maski. Twarz miał bladą, pociągłą, trochę jakby orlą, i Kary również nie mógł pozbyć się wrażenia, że skądś go zna.

- Franciszek Kary - powiedział orli, a raczej wystękał, bo młot parowy Miguelita, który nie miał już głowy, ewidentnie wyrzucił mu w środku jakąś szkodę. - Sam Franciszek Kary.

- We własnej osobie - usłyszałeś, Kary, własny, zdumiony nieco głos, trzymając go na muszce - Aty kto?

- Wolność dla Karego! - skrzekliwie, drażniąco krzyknął orli i nagłym ruchem skierował pistolet w jego stronę. Kary rzucił się w bok. Wystrzelili równocześnie, chaotycznie, obaj chybili. Orli rzucił się do wyjścia. Kary, sycząc z bólu, za nim. Wy skoczył z kamienicy, zobaczył czarną sylwetkę znikającą w obłupanej bramie. Strzelił. Z któregoś z okien rozległ się płacz dziecka i głos uciszającej go matki. Kary podbiegł do bramy, słusznie zakładając, że napastnik będzie na niego czekał za jej rogiem. Przetoczył się po ziemi, zaciskając zęby, bo obite żebra zapiekły, jakby ktoś mu je łamał, i strzelił na oślep tam, gdzie, wydawało mu się, powinien stać napastnik. I trafił. Mężczyzna stęknął i złapał się za zranione ramię.

- Stój, skurwysynu - ryknął Kary, ale tamten zaczął uciekać w stronę wyjścia. Kary wypalił za nim, podnosząc się z ziemi, kilka razy. Nie trafił. Wstał i rzucił się w pogoń. Gdy wybiegł na ulicę, napastnika już nie było. Kary zaklął. Pobiegł w lewo, tam, skąd przyszedł, zakładając, że poszedł w stronę własnego samochodu, i to był błąd. Kula wystrzelona zza jego pleców świsnęła mu koło ucha. Odwrócił się i momentalnie wystrzelił, jeszcze na ślepo, co, jak mówią przepisy policyjne, w terenie zabudowanym robi tylko idiota albo krańcowy skurwysyn. Albo ty, Kary. Zobaczył już jednak tylko ciemną sylwetkę wbiegającą w boczną ulicę. Kary pobiegł za nią, ale zanim ją dopadł na rogu ulicy, usłyszał krzyk. To była Złota. Wybiegł zza rogu i zobaczył Złotą pochylającą się nad zwijającym się z bólu Grzesiem. Tamtego już nie było.

- Ty też przyszłaś?

- Nie wkurwiał mnie, Grześ dostał.

- Gdzie pobiegł? - spytał Kary.

- Grześ dostał w brzuch, pomóż mi go donieść do auta - warknęła.

- Tam jest trup - powiedział Kary. - Miguelito.

- Tym bardziej - odpowiedziała, pocierając bezwiednie opaskę na oku. - Nie możemy się nadziać teraz na policję. Musimy spieprzać. Pomóż mi.

- Kurwa ...
- Miguelito nie żyje, pójdiesz, kurwa, na pogrzeb. A teraz mi pomóż, szybko. Syreny policyjne odbijały się już echem od ścian wolskich, burych kamienic.
- Sama dasz radę - ocenił Kary i pobiegł za Hieroglifem.

Przez kolejne dni wszyscy siedzieli na placu Inwalidów ze skwaśniałymi minami. Grześ trafił do oporowego lekarza, który składał ich czasem po mniej udanych akcjach, ale się wylizywał, i to zaskakująco szybko. Specjaliści od Hyckego nie zidentyfikowali zwłok. Kary podejrzewał, że Grześ gada głupoty - jeśliby biuro Hyckego dysponowało osobnymi kadrami, których Hycke mógł być pewien i które wykonywały dla niego trudną niewdzięczną robotę, w tym laboratoryjną, nie musiałby wynajmować ich. Zawracać sobie głowy całym tym szantażowaniem i zabezpieczaniem sobie tyłka. No chyba że miał wyłącznie pod sobą laboratoria i operacyjnych, a nie miał, na przykład, siłówki albo śledczych. Ale to by było zbyt głupie. Chociaż - kombinował Kary - cóż jest na Polskę zbyt głupie.

Hycke zresztą zniknął, Grześ, leżący w szpitalu, był operacyjnie mało przydatny. Hycke wyznaczył im do tymczasowego kontaktu jakiegoś kretyna, chłopinę o miłosiernym wyglądzie, którego Złota pogoniła po dwóch dniach. Od teraz Hycke kontaktował się z nią osobiście. Ale rzadko.

- Coś szykują - powiedziała Złota Karemu, gdy siedzieli sami w gabinecie, podczas gdy Kary, na topornawym mózgu RWT, z załatwionym przez Hyckego lewym dostępem do policyjnej bazy danych, próbował wyszukać ludzi o podobnych do tych, jakie miał trup znaleziony przy Żelaznej, obrażeniach.

- Kto, Hycke? - mruknął Kary.
- Chyba zbliża się akcja.
- Co wtedy?
- Nic. Ja działałam. Opór działa.
- Aja?

Złota popatrzyła na Karego przeciągle. Za jej oknem wdzięczyły się, świecąc drogim, lecz kiczowatym blaskiem, wieżowce Nardu. Woj skowy helikopter szumiał śmigłami i cesał coś szperaczem, ale zniknął.

- Na razie Hieroglif.

- To sprawa Hyckiego. Czy on nas wciąż może szantażować? Jeśli już gra poszła dalej ?

- A ciebie ona w ogóle nie interesuje?

- Interesuje. Ale mało obchodzi.

- A Miguelito?

- Miguelito - odpowiedział. - Dlaczego mnie podpuszczasz? Złota, ej .

- Co, Franek?

- Wiesz co ...

- Franek, to było raz ... już wtedy wiedziałam, że to był błąd. Bo ty nie potrafisz myśleć jak dorosły, nie umiesz się pohamować ...

- A ty umiesz. Ty umiałaś, jak dla mnie rzucałaś Wolfa i dzieci, tak? Trzeba było się zdecydować.

- Zdecydowałam się. W końcu.

- I co - wściekałeś się, Kary - i dlatego mnie teraz odsuwasz i każesz tropić jakiegoś kretyna z trupa czaszką na pysku, bo wchodzisz nagle za Hyckem w wielką politykę? I twoim partnerem w tej wielkiej polityce jest teraz ... co, kto? Pewnie Wolf, bo nie ja? Bo ja co, bo ja się zmieniłem, od kiedy mam w głowie tą pierdoloną banderowską kulę? Bo stałem się innym człowiekiem? Tak, może trochę... ale...

- Franc, kurwa mać - powiedziała Złota. - Uważasz, że potrzebuję koniecznie partnera, męskiego partnera, bo jestem kobietą?

- Kurwa mać, Złota...

- Zostawiłeś mnie samą z Grzesiem, tam. Wkurwiłeś mnie. Ledwo mi się udało. A gdyby mi się nie udało, to co? Do teraz byśmy siedzieli na hintach i tłumaczyli,

dla czego lewacka firma z dziwnymi powiązaniem strzela się na mieście, kto zabił Miguelita ... Żebyś jeszcze wycisnął z tego, którego złapałeś, coś więcej ...

Kary zastanawiał się, czy mógł wycisnąć z tego o orlej twarzy coś więcej, niż wycisnął.

Widział, że uciekając, wbiega w Młynarską, pozwolił mu myśleć, że zgubił pościg. Stał bezszelestnie i patrzył, jak orli wbiega do bramy niziutkiej kamieniczki, za ledwie dwupiętrowej ; znał tę bramę, wiedział, że jest ślepa. Kary stał i dokręcał tłumik do pistoletu. Czekał, aż orli wyjrzy z powrotem z bramy albo spróbuje wyjść na dach, co nic mu nie da: dachy obu sąsiednich kamienic wznosiły się o wiele wyżej niż dach tej, do której wbiegł Hieroglif. Człowiek, który pozbawił głowy twojego, Kary, przyjaciela Miguelita. Była głowa - nie ma głowy. Co innego, gdyby Miguelito był martwy, ale jednak z głową. Można by było sobie wyobrazić, że to jeszcze nadal człowiek, choć trup. Teraz Miguelito był po prostu mięsem. Kary stał więc i czekał. Podwórce tej kamienicy, znał ją, bo mieściło się w niej kiedyś podłe kino, w którym pokazywali stare amerykańskie filmy noir, te o Marlowie i detektywie Bunnym, kończyło się ślepa, wysoką ścianą, za którą zaczynał się kompleks jakichś zakładów i magazynów.

Czekał, ale orli nie wychodził. Zniecierpliwiony Kary podsunął się bliżej bramy do kamienicy. Wślizgnął się w nią, później wypadł na podwórce.

Nie było tu śladu orlego. Kary już zaczynał być pewien, że zwyrodnialec wpadł do któregoś z mieszkań, wyrznął lokatorów i siedzi zabarykadowany w którejś z kuchni, za przewróconym stołem.

Ale podniósł wzrok wysoko, na ślepa ceglana ścianę.

- O ty skurwysynu - westchnął. W świetle księżycy widać było wyraźnie orlego, jak niby człowiek pajak z cyrkowego show wspina się wysoko na ścianę, opierając się na samych tylko palcach stóp i dłoni, opierając się na płytkich wypustkach cegieł. Kary podniósł pistolet i z cichym, wytłumionym wizgiem zestrzelił go jak kurę z grzędę.

Orli upadł z hukiem, krzyknął. Było wilgotno, kurz się nie podniósł. Kary podszedł do niego powoli. Przydepnął butem jego staw, wygięty w niewłaściwą stronę. Przycisnął mocno. Orli zawył. Ktoś za plecami Karego zatrzaskał okiennicę.

- Dobry jesteś - powiedział Kary z uznaniem. - Tak to nawet ja nie potrafiłem za dobrych czasów. A co dopiero teraz ...

- Kary, Kary - wył cicho orli, a w to wycie wszeptywał słowa. - No proszę.

Kary znów stanął na jego stawie.

- Kim wy, kurwa, jesteście? - spytał. - Skąd mnie znasz? Skąd ... skąd wzięliście naszywkę z moim nazwiskiem?

Leżący roześmiał się, a na jego usta wyszła krwawa piana.

- Kim, kurwa, jesteście?

- Armia, Kary, armia nowego pana.

- Co wy, kurwa, sataniści jesteście? - Kary znów się zaśmiał i przez chwilę wyglądało to groteskowo: leżący na ziemi, rozbity na kawałki człowiek, plujący krwią, i drugi, gniotący mu ciężkim motocyklowym butem otwarte złamanie. I obaj się śmieją.

- Kim jesteście?

- Zapelniamy ... pustkę - wyrzeźbił orli. - Jest. .. cel. .. Zabiję cię. Tę twoją Żydówkę też zabiję, ale najpierw zabiję ciebie.

Kary strzelił w dłoń orlemu, gdy ten spróbował wyciągnąć z rękawa cienkie ostrze wszytego tam sztylciku. Orli zawył.

- Kto „wy”? - zapytał Kary.

Orli wył cicho, a gdy przestał wyć, wystękał:

- Polujemy na was, polujemy, prosięta...

- Zauważyłem - odpowiedział Kary, świadomy, że orli zacznie zaraz bredzić z bólu. I zaczął.

- ...bo my wszystko, wszystko skasujemy i zaczniemy od nowa... raz, a dobrze...

- Kto „my”?

- Idzie nowy pan, prawdziwy, prosięta ...

- Kto?

Orli parsknął. Krwią i wymuszonym, sztucznym śmiechem.

- Mów, przecież wiesz, że każdego da się zmusić do mówienia.

Wystarczy, że zacznę od zapowiedzi odstrzelenia ci jaj.

- Wiem. - Orli pokiwał głową, pojękując. - Dlatego mamy to ...

Karemu wydawało się, że słyszy cichy chrzęst, ale - pomyślał - musiała to być wyłącznie autosugestia, gdy zobaczył, jak orli porusza szczęką, jakby coś z wysiłkiem rozgryzał. Na usta wyszło mu jeszcze więcej krwawej piany, a Kary poczuł leciutką woń migdałów.

Orli zacharczał, rzucił się jak ryba, a chwilę później już nie żył.

Kary westchnął. Rozejrzał się, zawłókł trupa do kanałowej studni. Przez chwilę jeszcze przyglądał się uważnie jego twarzy. Słyszał sygnały policyjnych samochodów. Nadstawił uszu. W końcu, sapiąc, podniósł ciężki dekiel i owionął go ciepły zapach odchodów.

- Płyn z głównem, kapitanie - powiedział i wepchnął orlego do środka. Zasunął dekiel i zapalając papierosa, wyszedł z kamienicy.

CZARNE ANTKI

San Fernando to był raj, do którego sił Karemu było brak. Kary nie mógł tu oddychać - czy w dzień, czy w nocy gorąca, wilgotna szmata zalepiała mu usta, oblepiała całe ciało, i nie było przed nią ucieczki. Można się było oczywiście ochłodzić w morzu, ale na wybrzeże Kary zapuszczać się nie chciał: za dużo tam było jego rodaków. Czuł się jak zwierzę i tak funkcjonował. Unikał ludzi, uciekał przed głosami. Polować zaczął, zanim skończyły mu się żelazne racje. Zastawiał wnyki, oszczędzał naboje. Łapały się w nie jakieś gryzonie. Próbował je jeść, ale smakowały gorzko i Kary po nich wymiotował. Zaczął więc polować na ptaki. Wiedział z lekcji geografii, na których faunie polskiej pierwszej kolonii poświęcano entuzjastyczne wykłady, że żadne inne ssaki poza gryzoniemi tutaj nie żyją. Nie ma panter, nie ma jaguarów, nie wspominając o lwach, tygrysach, wiadomo, hipopotamach i słońiach, w ogóle nie ma tu żadnych egzotycznych, niebezpiecznych stworzeń, które pozwalałyby nasycić się kolonialnej wyobraźni. Gryzonie, i tyle. To jest kolonia? Można po całej dżungli, od wybrzeża do wybrzeża, bez noża nawet chodzić. To ma być księga dżungli? Na pająki trzeba uważać, na robale, i wsjo.

No i na ludzi.

Karemu zresztą zaczynało się podobać takie funkcjonowanie. Nigdy specjalnie nie przeszkadzał mu brak celu w życiu, uważał to za kolejną rzecz, z którą trzeba sobie po prostu poradzić, jak z wiatrem, chłodem i upałem, zresztą upał stał zawsze

na prywatnej liście niewygód Karego o wiele wyżej niż brak sensu istnienia. Ale na San Fernando brak sensu przestał po prostu istnieć. Nie było sensu myśleć o braku sensu. Kary polował, zakładał wnyki, uprawiał, rozniecał ogień, piekł, jadł, zapadał w nocne, krótkie sny, pełne mar i widziadeł, po czym budził się i znów polował. Szybko uczył się, co jest co. Eksperymentował z dzikimi owocami. Po jednych wymiotował, po innych - nie. Unikał ludzkich siedzib, nie było ich tu zresztą zbyt wiele. Ale czasem podkradał się pod jedną z wsi, wiedział z mapy, że nazywa się Bonaó, i patrzył, jak wśród krzywych pól i drewnianych chałup żyją jej czarnoskórzy mieszkańcy. Jak chodzą, między kurami i prosiakami, po swoich wydeptanych, klepiskowatych uliczkach i nie widział specjalnej różnicy pomiędzy tym wszystkim tutaj a rodzinną wsią na Kielecczyźnie, z której pochodził, Kalwarią. Stare kobiety, tak samo tutaj jak u niego, nosiły na głowach chustki, a na sukniach - fartuchy, tak samo człapały, bosó, po piasku, trawie i kurzych gównach. Mężczyźni byli tak samo wysuszeni i półnaczy albo rozchełstani jak jego sąsiedzi w gorące lato. Palili papierosy i rozmawiali ze sobą leniwie. Czasem, głęboką nocą, gdy wszyscy już spali, wchodził do Bonaó, pozwalał się obszczekiwać psom, które i tak szczekały i wyły na co popadnie, i siadał pod krzyżem w środku wsi. Siadał i patrzył, i czuł się, jakby wrócił do domu, i robiło mu się tak błogo, że musiał mocno starać się nie zapaść w spokojną, miłą drzemkę, i wtedy wstawał i wracał do lasu. Czasem z jakąś ukradzioną kurą. Po pewnym czasie przyzwyczyły się do niego nawet psy i przestały go obszczekiwać.

Którejś nocy, gdy chłodził się w rzece o oficjalnej polskiej nazwie Piliczka (tak napisane było na mapie), od strony Bonaó dobiegły go strzały i krzyki.

Ubrał się, założył onuce i buty, gdy ładował magazynek do swojego morsa, czuł już woń spalenizny, a gdy biegł w stronę wsi, widział nad dżunglą łunę.

Wieś płonęła. Pod krzyżem zgromadzeni byli mieszkańcy, kobiety, dzieci, mężczyźni. Na muszce trzymali ich osowcy, ale nie ci zwykli żołnierze Oddziałów Ochronno-Szturmowych zorganizowanych przy rządzącym Obozie jeszcze za

późnego Rydza. To byli osowscy komandos, elitarna formacja, „wardziarze”, nazywani tak na cześć ich założyciela, generała Waredy. Sami nazywali się, mocno pretensjonalnie, Husarzami Śmierci. W ciemnozielonych mundurach, z błyszczącymi w blasku ognia wężykami na kołnierzykach, w furażerkach z krzyżem z trupią czaszką, z hełmami przy paskach. Widocznie nie obawiali się ataku z dżungli.

- Dónde estan los partisanos, co? - krzyczał na starszego mężczyznę, zapewne starszego tej wioski, młody polski oficer. - Dónde estan los jóvenes de este pueblo, maño czarna jebana? Rozumiesz? Entiendes, mono negro pierdolona?

- Na kolana! - rzucił jeden z żołnierzy pod adresem grupy kobiet. - De rodillas! Jak w kościele! Klękać, kurwa, putana!

- Puść ich - zaśmiał się któryś z wardziarzy - niech uciekają. Zrobimy sobie na nich polowanie!

Jedna ze starszych kobiet, zażywna, tłusta, splunęła mu w twarz.

- No, Jędrak - zaśmiał się któryś z grupy stojącej za nim. - Smolucha musisz krótko, bo ci się rozwydrzy, batem, kurwa, jak już się nawet niewolnicza krew burzy, to jest źle. To motłoch, czarnuchy i mieszańcy, dobrze się czują tylko pod batem...

Jędrak wyjął visa i strzelił staruszce w czoło.

Wtedy Kary zorientował się, że już od jakiegoś czasu trzyma morsa przy oku, ustawionego na strzały pojedyncze.

Pierwszy upadł Jędrak. Drugi - dowódca. Pozostali się rozpierzchli. Profesjonalnie, musiał przyznać Kary. Elitarna jednostka. Zajęli pozycje i zaczęli sektorami ostrzeliwać dżunglę. Kary przywarł do ziemi, na głowę spadały mu zestrzelone liście, gałęzie i odstrzeliwane paprochy.

- Oszczędzać amunicję! To był chyba tylko jeden, może dwóch! -Kary usłyszał czyjś głos.

- Jędrak nie żyje, stary w szyję, zaraz umrze!

- Nie, nie umrzesz, nie umrzesz, szefie ... przestań tak pierdolić!

- Bierz te małpy na żywe tarcze.

Kary wysunął lufę spomiędzy liści jakiegoś zielska, którym się notabene parę dni temu zatruł, i strzelił do jeszcze jednego.

- Tam jest! - usłyszał ryk. - Ognia! I zająć skurwysyna od tyłu!

Terkot broni maszynowej dobiegał, jakoś absurdalnie, spoza łuny z płonących dachów. Od strony pól nędznej kukurydzy, które ciągnęły się za wsią w kierunku gościńca prowadzącego na Śmiglice.

- Kurwaaa! - Doszedł go naraz wrzask zza płonących domów. - Idą! Kryj się, pozycja!

Usłyszał za plecami kroki i zdążył się nawet odwrócić i zobaczyć nad sobą ciemną sylwetkę, po czym zgasło mu światło.

- *Lo conozco* - mówiła jakaś dziewczynka, wskazując Karego głową. - *Viene aquí todas las noches.*

Kary leżał, związany w małpę, na ziemi, z policzkiem wtulonym w kłującą trawę. Zielono mu było, widział źdźbła, widział zarośla, nieba nad nimi prawie nie widział, widział dziewczynkę, widział stojącą za nią starszą kobietę, która wyglądała jak jego babka, była ubrana jak jego babka i miała podobne, babcine ruchy. Szponiaste dłonie, drapieźnie nieco, lecz czule położone na ramieniu dziewczynki, oczy, wbite w Karego, z mieszaniną zainteresowania, strachu i pewności siebie. Podniósł się na łokciu. Zobaczył buty wojskowe, to były polskie buty, nosili je osowcy, to, co miał przed oczami, było lepszym, droższym modelem. Nigdy go nie kupił, uważał bowiem, że różnice między standardowym, mundurowym obuwem a tym tutaj nie są warte swojej ceny. Teraz leżały, należały do trupa, czyli do nikogo. No, poza ich zdobywcami. Ci z kolei chodzili dokoła w chłopskich ciuchach, z bandanami przewiązanymi na czołach, pod palmami i rozmawiali ze sobą po cichu.

- Dezerter? - Kary usłyszał głos mówiący po polsku z lokalnym akcentem. Tak mówiono w Porcie Mickiewicza, wyrastało już w końcu drugie pokolenie pod polską administracją i choć polski nie przyjął się jako język mówiony wśród

lokalnej ludności i jak sądził Kary, nie miał na to specjalnych szans z powodu umiarkowanego zapachu polskich osadników do zamieszkiwania na San Fernando, jednak był znany.

- Tak. - Kary splunął.

- Mówisz po hiszpańsku? - Głos przybrał postać kobiety, na oko czterdziestoletniej. Miała na sobie słomiany kapelusz, a przy pasku bryczesów - kaburę.

- Nie. Trochę. Un poco.

- Por que desapareste el tuyo?

- Oni nie są moi.

- No eres Polaco? Eres... Ucrainiano?

- Wszystko jedno.

- Co?

- To wszystko jedno.

- Nie rozumiem.

- No importa. . . nto... - wysilił się Kary, nie patrząc na nią. Patrząc w ziemię.

- Rozumiem, co mówisz - odpowiedziała kobieta. - Nie rozumiem dlaczego.

Nie jesteś Polakiem?

Kary czuł się bardzo, bardzo źle. Głowa, w miejscu, w które go uderzono, była, czuł to, spuchnięta jak balon.

- Nie jestem - odpowiedział. - Jestem chamem.

- Kto?- nie rozumiała kobieta.

- Kurwa, chamem, wieśniakiem. Cham, cham, campesino, kurwa, el wieśniaka, buraka, niczym się od was nie różnię. Ani od was, ani od tych jebanych Ukraińców, ani. ..

- Jesteś komunistą? - przerwała mu kobieta.

Miał ochotę zawyć, ale się zaśmiał.

- Nie. Nie, kurwa, no soy comunista.

- Szkoda. - Wzruszyła ramionami. - Cham. Co zrobisz, jak cię wypuścimy? Libre? Wolno?

Kary nie zastanawiał się nad tym do tej pory i wydało mu się to dość zabawne, że się nie zastanawiał. W lesie stracił rachubę czasu, rachubę sensu, ale też potrzebę szukania uzasadnień dla tego, co robi, i robienia jakichkolwiek planów poza tym, gdzie najlepiej położyć się spać. I szczerze mówiąc, dobrze mu z tym było.

- Nie wiem - odpowiedział.

- Wrócisz do swoich?

Znów się roześmiał.

- Zabiją mnie. Rozstrzelają. Sąd wojskowy. Entiende? Tribunal militar. Pif-paf.

- Rozumiem, idioto. Dołączysz do nas, cham?

Kary spojrzał na nią. Bardzo go już bolały związane z tyłu ręce i podciągnięte do nich nogi. Bardzo chciał, żeby go rozwiązali. A do tego było tak, kurwa, gorąco, że nie dało się wytrzymać.

- Tak - powiedział, bo czemu właściwie miał powiedzieć inaczej .

DWA NARODY WYBRANE I WIELKA NEANDERTALIA

- Koczkodan nie żyje - powiedziała Beata, gdy przyszła do Karego któregoś rana, niosąc kawę w papierowym kubku.

- Wiem - powiedziałaś, Kary, bo zdążyłeś już zejść na dół i wziąć sobie ten idiotyczny „Kurier” ze skrzynki. A potem pogadać przez telefon z Mojżeszem Lurjem.

- Wygląda to jak atak Hieroglifa - mówił Lurje, swoim rozwlekłym, flegmatycznym warszauerskim. - Ale diabły wiedzą, Franc, czy to nie jest pozorowanie. Wiesz, za sprawę pogromu. Gdyby nie chłopaki Koczkodana, to cholera wie, co by hitlerki tam jeszcze nawywijały.

- No ale kto by tam u nich to mógł zrobić - mówił Kary. - Przecież ta głowa na kominku, powtórzony motyw. Do tego ochroniarze zabici fachowo, bez mrugnięcia oka. I to wdarcie się do domu, przecież strzeżonego, i to w eksponowanym miejscu, na placu Muranowskim, ale bez śladów, bez niczego, superfachowe. Głowa na kominku, flaki na dywanie, trup za oknem, w kałuży.

- Wiesz, Kary - powiedział Lurje. - To ty twierdzisz, że Hieroglif to faszyci. To twoja teoria. Właściwie powinno ci to podejść.

„Sługi nowego pana”, „idziemy wyzwolić was z przekonania, że ta ziemia należy do was”. To nie jest w stylu faszystów - pomyślałeś. W stylu faszystów to

jest „Bóg, honor, ojczyzna”, „precz z Żydami”, „Polska dla Polaków”. A już na pewno nie bieganie z twarzami pomalowanymi w trupie czaszki. Ale krwioziemcy... cholera wie, czy Wyłupany nie płacił za szkolenie krwioziemców, nie falangistów. Tym bardziej że podczas pogromu nie widziałeś żadnych facetów biegłych w fachowym pieswybie, raczej chaos i amatorkę. Co nie znaczy, że ich nie było, widziałeś tylko fragment zamieszek. Inna sprawa, że z późniejszych doniesień i rekonstrukcji, a było ich od cholery, wynikało, że chaos był wszędzie. Poza tym policja siedzi teraz Falandze mocno na głowach. Gdzie by oni mieli w tych tępych baniach robić zamach takiego rządu? Może faktycznie krwioziemcy. Niby jest majcher między nimi a Falangą, ale cholera wie... w imię świętej polskiej krwi - może się mszczą krwioziemcy na nich?

Tak, krwioziemcy są zdecydowanie mocno podejrzani.

Patrzyłeś wtedy na Złotą Sztok, sparaliżowaną ze strachu, wtedy, w tym wagonie, patrzyłeś, jak Kopara zasłania zasłonki, patrzyłeś, jak Krzyżanowski rzuca się na dziewczynę, jak rozrywa jej mundur harcerski, jak pozostali ich dopingują. I nic nie robisz. Zaciągasz się tylko wściekle papierosem i dopijasz do końca butelkę piwa, po czym rozbijasz ją o podłogę. Klasy pierwszej.

O tak, jesteś rozczarowanym młodym człowiekiem. Rozczarowanym sierotą, który nie tak dawno wyszedł do życia z sierocińca w Częstochowie i który już wie, że rzeczywistość nie oferuje takim jak on specjalnych atrakcji. Rzeczywistość w Polsce. Dla Polaka w Polsce.

O tak, Kary, dobrze to pamiętasz. Pamiętasz pracę w radomskiej zbrojówce, która wystarczała ci na wynajmowanie nory na osiedlu Pięćdziesięciolecia Niepodległości razem z czterema innymi robotnikami, chłopakami ze wsi, którzy, gdy tylko nie pracowali, to pili i awanturowali się z lokalnymi chłopakami, bo tym nie podobało się, że stoją pod „ich” blokiem i podrywają „ich” dziewczyny.

Pamiętasz pracę w fabryce amunicji w Pionkach, gdzie udało ci się wynająć pokój samemu, ale gdzie po pracy mogłeś wyłącznie przechadzać się po piaszczystych łąkach pod sosnami, a gdy przyszła zima, sam zacząłeś pić, bo

miałeś przed oczami tylko fabryczną taśmę, rozpadający się autobus i głębokie błoto, przez które musiałeś brnąć z domu i do domu, zatrzymując się tylko po drodze w sklepie z alkoholem, który dawniej należał do niejakiego Mojżesza Białego, a od niedawna - do braci Pająk. Pamiętasz wypłaty, które wystarczały ci na to, by przeżyć, i które przyjmowałeś jak upokarzającą jałmużnę, bo tak ci, miałeś wrażenie, były darowane.

I tak, bardzo chciałeś, żeby poznany na zjeździe Falangi w Iławie Paweł Krzyżanowski wciągnął cię do Narodowej Organizacji Bojowej. Bo chciałeś, jak inni, iść i bić. Iść i krzyczeć, że też ci się należy. Że może i wasze kamienice, ale nasze ulice.

Ale tego pociągu, Kary, nie chcesz pamiętać. Nie chcesz pamiętać tego, że długo stałeś, jak idiota, że długo wolałeś patrzeć w okno i wydmuchiwać dym, nie patrząc na to, co twoi nowi koledzy, prawdziwi Polacy z Falangi, robią z tą rudą, żydowską dziewczyną, że tylko kręciłeś głową, gdy ci proponowano, gdy krzyczano „Franek, teraz ty”, i że dopiero gdy usłyszałeś, że ona krzyczy, ale krzyczy jakoś inaczej, tak jakby szyby miały od tego krzyku pęknąć, i gdy w końcu zajrzałeś za firanki i zobaczyłeś, że krew jej cieknie po policzku, a Krzyżanowski trzyma w dłoni nóż, wzięłeś to całe towarzystwo za harcapy i zacząłeś, jak oszalały, młócić.

To, jak bardzo cię pobili, pamiętasz również słabo. Jak zatrzymali pociąg i uciekli w głębokie pole - też. Jak sam, bojąc się tam zostać, w tym wagonie, do którego już pewnie, jak myślałeś, jedzie policja, jedzie Straż Kolejowa, Wojsko Polskie, zastępy anielskie i wszyscy święci, wywlokłeś się stamtąd, nie patrząc na wyjącą dziewczynę z krwawą kałużą w miejscu lewego oka, próbującą zasłonić ciało strzępami harcerskiego mundurka.

Jak wybiegłeś z pociągu i biegłeś długo w stronę jakiegoś lasu, a tam ukrywali się oni, twoi niedawni koledzy - falangiści, jak pobili cię po raz wtóry, wrzucili do jakiejś płynącej nieopodal płytkiej rzeczulki i jak sobie gdzieś, nie miałeś pojęcia gdzie, poszli. Pewnie dalej docierać do punktu zbornego NOB-u.

- Będzie wojna, będzie wojna - mówi jakiś starszy pan, wytworną konfekcją okryty, idący w stronę tłumku przy Polu Chwały, który stał i patrzył, jak się zbierają krwioziemcy.

- Mówię panu, będzie wojna.

Słowa te skierowane były do innego starszego pana, długiego i chudego jak Chile, wysokiego nadzwyczaj, i ten wysoki musiał się do tego wytwornego nachylać, postępując od nadwerężanego kręgosłupa.

- Będzie wojna, panie kochany - mówi więc wytworny. - Będzie koniec Polski. Koniec Polski!

- Stęk, stęk - stękał wysoki.

Wokół Pola Chwały stały budynki wysokie, ale ciężkie, przysiadłe jakby mimo swojej wysokości. Rozsiadłe, jakby jacyś giganci przedwieczni, polscy, a jakże, hiperpolscy, przykucnęli wokół niej i zastygli, skamienieli, obwieszani orłami, orliskami, bo te były wszędzie: grubo ciosane, wielkie, wieńczyły prawie każdy budynek jako tympanony wyłazące poza fasady.

Przecinała całą tę dzielnicę, Dzielnicę Wielkich Wodzów, gigantyczna aleja Marszałka Piłsudskiego, która się ciągnęła aż od placu Na Rozdrożu, aż po Wawelską, i druga, krzyżująca się z nią, aleja Obrońcy Rzeczypospolitej Marszałka Rydza-Śmigłego. Były te ulice jak kaniony wyrzeźbione w tkance przypominającej spiętrzony modernizm, ale dziwacznie wzorowany na architekturze Azteków. Od kiedy do miejskich biur projektowych, na polecenie samego Rydza, wpuszczono w końcu pchającego się do nich drzwiami i oknami Stanisława Szukalskiego, a ten pokazał, co potrafi, ku wściekłości urbanistów i architektów, lecz zarazem ku zachwytowi sanatorów i ludu polskiego.

I teraz szedłeś, Kary, detektywie ty noir, takimi właśnie ulicami, wyglądającymi jak Tenochtitlan zmiksowany ze Stalową Wolą i Wawelem, między spiętrzającymi się nad sobą piramidami, z których, jak ci się wydawało, za chwilę potoczą się wyrwane serca ofiar składanych aztecko-polskim bóstwom, jakimś pierzastym Piłsudskim w kształcie wąsatych smoków i Kościuszkom kopiącym bosą nogą

odcięte głowy wrogów. Najlepiej z wyciętymi na czołach hieroglifami. Szedłeś i podsłuchiwałeś swoich rodaków gadających, jak zawsze, o wojnie.

- Przyjdzie do nas wojna - nie wytrzymałeś i wypaliłeś w końcu, przystając przy którejś z naprędce skleconych debat - bo i od nas wychodzi. Po prostu nam ją zwrócą. Jak mawiał wielki wódz Rydz-Śmigły: jak się szcza pod wiatr, to się ma żółto w oczach.

- Jak mawiał wielki wódz Rydz-Śmigły - odciął się niespodziewanie staruszek konfekcją okryty wytworną - chuj ci do dupy, spierdalaj w podskokach, podsłuchuju jebany.

Uśmiechasz się do starszego pana najuprzejmiej i idziesz dalej. Wojna - pewnie będzie. Może dlatego, że od dziecka, od kiedy pamiętasz, zawsze ktoś o tym głądził. Lęk przed wojną unosił się jak smród nad nawiezionym polem, nad całym twoim dzieciństwem. I to na polskiej wsi, która miała być spokojna, choć na całym świecie wojna. Czemu ma nie przyjść. Co, nie należy się? Tylko po co nad tym biadolić?

Już miała apokalipsa przyjść kilka razy. Na przykład po śmierci starego wodza Śmigłego-Rydza, której Kary, oczywiście, nie pamięta. Rydz całą swoją starość był słabowity i wyglądał jak zdechłak, który zaraz się przewróci i wyzionie gorącego polskiego ducha, ale coś nie mógł, i ta niemoc śmierci w stosunku do przewlekle umierającego Rydza w jakiś sposób zawsze Karemu imponowała. Aż w końcu, ku zdziwieniu wszystkich, Rydz umarł na oczach wszystkich, podczas wygłaszania jednego ze swoich radosna-zrędlivych, wielogodzinnych przemówień, podczas których głądził coś o młodziży chowaniu.

Po śmierci innych wodzów naczelnych bywało podobnie.

Atmosfera końca, która zapanowała u niego na wsi, w Kalwarii, po tym jak umarł prezydent Kozic, uznawany przez lud za „dobrego pana”, bo co trzeba mu (choć systemu nie zliberalizował) przyznać, grał roztropnie, wzmocnił międzynarodową pozycję kraju i rozwinął go na tyle, na ile wtedy było można - miała w sobie coś pięknego. Dzwony centuryjskiego kościoła niosły się przez

drżące, upalne powietrze pachnące kwitnieniem, zwierzęcymi ciałami i gnojem, a ludzie wyglądali tak, jakby bali się, że błękitne niebo zaraz im się zwali z wielkim rabanem na głowy. Kary, umorusany wiej ski dzieciak, pamięta sąsiadów klęczących przed kapliczką przy jego rozjeżdżonej rodzinnej ulicy, brodzących, jak w śniegu, w topolowym puchu (a może tego puchu nie było, może to tylko wyobraźnia Karego zagęszcza wspomnienie), chłopów ponurych, milczących, spluwających w trawę i baby zawodzące „dobry Jezu, a nasz panie”. Księża Nowickiego, w śmierdzącej stęchlizną, jak zwykle, komży, z łupieżem na ramionach, który grzmi, zapłakany, z kazalnicy: Finis Poloniae! Finis Poloniae!. A cały kościół wyje z przerażenia, przejęcia i rozpaczy, a na to wszystko patrzą pustymi oczami Jezusy z krzyży, Maryje z obrazów i wszyscy święci - Antoni od rzeczy zgubionych, Krzysztof od podróżników, Apolonia od bólu zębów, Agata od piersi, ministrowie pańscy z powierzonymi im przez Niebiosa tekami, które poważnie zawsze zaniedbywali.

Wojna miała być, gdy demokraci przejęli władzę po wojskowych i gdy ją stracili. Koniec świata miał być za każdym razem, gdy Niemcy próbowały się jednoczyć, rosły w siłę i gdy wracał temat Śląska, Prus i Pomorza. „Zemszczą się, zemszczą, zobaczycie. Wrócą po swoje” - tak mówili przekupnie, taksjarze, fryzjerzy, bywalcy kawiarni, gazeciarze, dziennikarze. Wszyscy. Polska miała się skończyć w czasie powstań ukraińskich, kiedy pod Lwowem wypróbowywano promienie X, później i przy kilku innych okazjach. A potem Polska miała się skończyć razem z całym światem w 1999 roku, pod koniec dwudziestego wieku. I co, dwudziesty wiek przeminął, zaczął się dwudziesty pierwszy i nic, rzeczywistość jak trwała, tak trwa. Nie skończyła się nawet w 2012 roku, gdy skończył się kalendarz Majów.

Polska, cóż poradzić, trwa. Trwa, już ociążała od tego trwania, poobijana, dychawiczna, nie do końca pewna siebie, ale trwa, rozpierając się sobą samą na tym kawałku świata, który opanowała po swoim odrodzeniu, od Bałtyku do Tatr, od Śląska do Zbrucza, od Wilna do Poznania, i własną ma formę, jak mówią - wiril i kształt, i problemy.

- A te morderstwa, przed którymi trzęsie się cała Warszawa, ten Hieroglif? - pyta ją przekupnie na targach, taksiarze w złotówkach, ludzie po kawiarniach, bo gwar, gwar, gwar w Warszawie, jak to w Warszawie. -To nic, tylko wcielony szatan, zapowiedź apokalipsy. Ba, szatan. Jeden szatan by tyle zła nie wyrządził! Banda szatanów!

- Ten Hieroglif tylko wielkich i mocnych zabija. - Kiwali głowami inni. - Spokojna przyczesana, panie, nam, szarakom, włos z głowy nie spadnie. Starczy się nie wychylać.

Detektyw Franciszek Kary przeczesuje palcami włosy na głowie, ułożone w szpic. W ciemniejącym powietrzu wisi mżawka, zostaje więc mu na palcach rozmokła brylantyna. Wyciera ukradkiem dłoń w podwinięty wysoko za łokieć rękaw obcisłej czarnej sportowej koszuli, spod której rozpiętego kołnierzyka wystaje dyskretnie, ale oczywiście celowo, kawałek białego gimnastycznego podkoszulka.

Niby chłodno, jesień, ale Kary kurtkę przerzucił przez plecy i trzyma palcem za szlufkę przy kołnierzu. Karemum zawsze jest gorąco, Kary lubi, gdy jest zimno, ciemno i pada. A jeszcze nie jest wystarczająco zimno, wystarczająco ciemno i ledwie mży.

Kary wyjmując z kieszeni ciemnobrązowych battledressów wążiuteńką piersiówkę z burbonem. Nie powinien oczywiście pić publicznie, bo to jest zakazane. Nie powinien, tym bardziej, pić podczas ulicznego zgromadzenia, na jakie niechcący trafił, bo za to policja potrafi nie tylko spisać, ale i aresztować. Nie powinien też, rzecz oczywista, pić tak wcześnie, jeszcze jest jasno przecież, a kiedyś, dawno temu, postanowił sobie, że nie będzie pił przed zmrokiem. W ogóle powinien mniej pić. Może nawet nie pić.

I pociąga łyk a conto tego, że sam ma siebie za dość nieudany twór natury, choć już dawno temu postanowił niespecjalnie się tym przejmować. Jak i innymi rzeczami, na które nie ma specjalnego wpływu.

Nie to że detektyw Franciszek Kary jakoś specjalnie lubi pić. Ba, można powiedzieć nawet, że Kary tak naprawdę za piciem nie przepada. Zawsze się musi zmuszać do pierwszego łyku. Do drugiego też. Potem już jakoś leci.

Więc Kary łyka burbona z piersiówki, stojąc przy Polu Chwały, i patrzy, jak idą krwioziemcy. Patrzy na marsz członków legionu Krew i Ziemia.

Wszyscy w czarnych pelerynach, wszyscy w maskach Adama Mickiewicza.

Idą, idą, wygląda to wszystko nieźle, tak nieźle to wygląda, że ma ochotę Kary napić się jeszcze raz. I pije, co tam.

Raz, dwa, raz, dwa.

Pogoda jak najbardziej pasuje do marszu. Bo to już jesień. Pogoda, by tak rzec, noir. Sceneria idealna do kryminału. Powietrze jest czerwono-granatowe, ciągnące się wzdłuż fasad, również jakoś azteckawe neony reklamujące nic innego, jak tylko Polskę, jej ducha, jej wiril i jej bohaterów, walczą o swoje z odwieczną słowiańską ciemnością i chłupotą.

Nieliczne drzewa przy Polu Chwały są już prawie nagie i rozcapierzają nad maszerującymi krwioziemcami upiorne palce. W powietrzu, przysięgłby Kary, czuć zapach cmentarnej stearyny.

Pod wyniosłymi murami budynków siedzą już ściągnięte przez policję z ulicy bojówki socjalistów, którzy próbowali blokować marsz. Socjaliści siedzą na mokrym chodniku, marzną, skuci z tyłu kajdankami, i czekają, aż krwioziemcy przejdą, żeby mogła, rozchlapując kałuże, przyjechać policyjna czarna madonna, która zawiezie ich do komisariatu na Kozica.

- Jebać faszystów! Jebać nekrosów! - krzyczą socjaliści. - Jebać narodowy romantyzm!

Policjanci kopią ich delikatnie ciężkimi butami.

- A cicho! - huczy jeden z gliniarzy, niski, ale przybarowany. - A cicho tam będzie!

A krwioziemcy idą.

Ciągną rynną alei Piłsudskiego, jeden za drugim, jedna za drugą, but w but, purpurowa koszula w purpurową koszulę, maska Mickiewicza w maskę Mickiewicza, czarna peleryna w czarną pelerynę, czarne rękawiczki palec w palec zaciśnięte na drzewcach. Idą jeden w drugiego w kapturach, jak hiszpańska procesja, jak czarno odziany Ku Klux Klan, jak lamentująca, czarno-czerwona gąsienica. Tak lamentują, że aż Karemu jest ich trochę żal.

Zresztą to nie jest zwykły marsz zwykłych faszystów, to jest jak teatralny spektakl. Przodem idą płaczki. Wyją, zanoszą się sztucznym szlochem. Targają na sobie czarne tuniki, które wyglądają jak farbowane worki na kartofle. Za nimi uczarnopłaszczeni, wystrzyżeni młodzi, pryszczaci krwioziemcy, bladzi jak rzepa, niosą czarne flagi w stylu rzymskich vexiliów, z koronowanymi orłami na szczytach i ze swarzycami nad orlimi głowami.

BIADA CI, POLSKO, JEŚLI NIE PRZYJMIESZ NOWEGO MESJASZA - ryczy transparent niesiony przez trzeci albo czwarty rząd za płaczkami. „Biada, biada ci, o, Polsko, biada” - wyją płaczki.

Kary zastanawia się, czy jest tu między nimi, pod którymś z kapturów, jego znajomy Walek Ryczywół, który notabene od jakiegoś czasu, robiąc karierę w Warszawie, pisze się Ryczywolski. Walka Kary zna jeszcze z dzieciństwa, z tej samej wsi pochodzą, z Kalwarii, tylko że Walek nie lubi, jak mu się to przypomina. Dlatego Kary bardzo lubi mu to przypominać.

Spotykają się czasem, gdy na siebie wpadają. Ostatnio jakieś dwa lata temu, gdy Walek miał na sobie mundur starszego szturmowca Oddziałów Ochronno-Szturmowych: ciemnobrązowy, prawie czarny, nawet nieźle skrojony (bo zamawiany u Eweliny i Ludwiki), z rogatywką ze smokiem pod orzełkiem. Walek był jednym z tych nieszczęśników, którzy wiecznie aspirowali do kadry oficerskiej, ba, choćby podoficerskiej OOS, ale nigdy się do niej nie byli w stanie dostać. OOS było, cóż, strukturą elitarną. Nieprzepuszczalną. Kolejny zakon w tym kraju, tak o OOS-ach, Kary, myślałeś, i słusznie. A OOS-owska tajemniczość, hermetyczność i nieprzepuszczalność czyniła z nich przedmiot jeszcze większego i jeszcze bardziej mrocznego pożądania. I ich pożądano.

Wątek, jak Kary skądinąd wiedział, miał z polecenia OOS-u, żywiąc nadzieję na awans, inwigilować krwioziemców. Więc mundur Wątek nosi zapewne rzadko, bojąc się, że na ulicy wpadnie w nim na jakiegoś krwioziemczego ziomka. Co, tak sobie myślisz, Kary, musi mieć na jego psychikę wpływ potworny. Bo przecież przejść się po ulicy w pięknym OOS-owskim mundurze, zatupać buciorami, poczuć, jak spojrzenia plebsu ześlizgują się z jego idealnego kroju z zazdrością i zawiścią, jak po namydlonym słupie - ach, to dziewięćdziesiąt procent radości z przynależności. A teraz co? Uczestniczenie w krwioziemczych quasi-mszach i ceremoniach, czczenie wirilu, czy co oni tam czczą. Oglądanie gorejących oczu fanatyków na zjazdach, zlotach i schadzkach. Nuda.

Choć, szczerze mówiąc, oficjalna linia władzy jakoś ostatnio od narracji krwioziemców coraz mniej odbiega. Starzeje się wódz Snardz, starzeje, starzeje się w stylu Rydza, i na starość mu odpierdala, a cały ten posłuszny dwór, który się wokół niego gnie, umundurowany jak na scenie operetki, mu przytakuje, potakuje i spija na wypródki słowa z jego ust. Albo nie tyle jego, ile Byczej Głowy, skurwysyna.

Zresztą kiedy ostatnio siedział z Walkiem Ryczywołem, pardon, Ryczywolskim, ten też mu mówił, że będzie wojna. Siedzieli przy wódce, kapuście i kiełbasie, w lokalu o nazwie Stary Wars na Nowym Mieście, a Wątek marudził i narzekał. Opisywał ponuro sytuację geopolityczną, powołując się na jakieś rzekome tajne źródła „w rządzie i w wywiadzie”, co do których istnienia Kary miał wątpliwości, bo sensacje pochodzące z tych źródeł robiły się z każdym kieliszkiem coraz bardziej i bardziej sensacyjne, wprost proporcjonalnie do stopnia upojenia alkoholowego Walka i jego chęci zaimponowania Karemu rozległymi kontaktami.

- To coś chujowo ci twoi rządzą - zauważył w końcu na odczep się Kary - jeśli dopuścili do tak beznadziejnej sytuacji.

Wątek bąknął coś o potwornym polskim losie, który każe się bez końca opierać Rzeczypospolitej nawałom, burzom i trzęsieniom ziemi, ale zmienił temat. Na liberałów i socjalistów. Nienawidził socjalistów bardziej niż swojej wypieranej chłopskości.

- Wyobrażasz sobie - mówił, nachylając się nad stolikiem i odpalając camela od camela - co by to było, gdyby Polska przez ostatnie kilkadziesiąt lat była komunistyczna?

Walek mówił piękną pańską polszczyzną, wymawiał wyraźnie przedniojęzykowe, pretensjonalne „l”, próbował nawet momentami grasejować. Kary odwrotnie. Jego polszczyzna była chropowata, plebejska, chłopska. Tam gdzie Walek się upańszczał - Kary się uchłopiał. I jeden, i drugi - niezbyt naturalnie, obaj trochę na siłę. Tylko że Walek było bardziej tym udawaniem czuć. To on, w końcu, był na obcym sobie terenie. Kary był u siebie.

- Wyobrażasz sobie komunistyczną Polskę? - pytał Walek. -Wyobrażasz sobie? Patrz na Ruskich, na Sowietarzy, co się tam u nich dzieje... ciemno, zimno, zabite wszystko dechami, nikt nic nie wie ... wyobrażasz sobie? Fakt, tak, u nas była Bereza...

- Jest znów Bereza - przerwał mu Kary.

- ...była Bereza, był Brześć, Mińsk, było nawet gorzej , tak, ale to okres błędów, wiesz, wypaczeń, początki, a w komunizmie takich Berez i Mińsków byś miał na pęczki!

- Był Koc - powiedział Kary. - Był Korzycki. Było wyrzucanie Żydów...

- Żydów! - parsknął Walek.

Kary chciał coś powiedzieć, otworzył nawet usta, ale znudził się już samą myślą, która powstała mu w mózgu, zrezygnował i zaraz je zamknął.

- Obozy, łagry, człowieku! - kontynuował tymczasem Walek. -Wyburzone centra starych miast, rynki, uliczki, kamienice, bo burżuazyjne! Wszędzie ta ich mamucia architektura, przy której człowiek czuje się jak mrówka.

Kary z lubością rozglądał się po Polu Chwały, gdy przypominał sobie te słowa Waleka.

- Widziałeś zdjęcia z Moskwy, eee, z tych wszystkich Komsomolsków, srolsków! -Kary przypominał sobie grzmoty Waleka. - I wszędzie pomniki Lenina,

Stalina, Berii! Wielkie jak ten Chrystus z Rio! Albo jak nasz pomnik Marszałka w Sandomierzu!

- No to gdzie różnica? - udało się wtrącić Karemu, ale Walek go zapiął.

- Piłsudskiego do Berii porównujesz? Czy do Chrystusa? Czyś ty zwariował? Ty byłeś w Rosji? - krzyczał Walek, który nie był. - Chłopi biedni, bosy, krowie zaprzęgi i tylko podkomisarze w skórzanych kurtkach, z naganami pomiędzy tym wszystkim! Kanały jakieś bezsensowne niewolniczą pracą kopane, Wołga-Don, Jenisej-Piżdzisej , Bajkał - kurwa, nie wiem - Dniepr, u nas też by tak było, Niemen-Wisła, Lublin-Kraków, kurwa, ty byś je kopał, ty, jako wróg ludu ...

- Czemu ja?

Walek się roześmiał.

- Każdy jest wrogiem ludu dla ludu! Nie wiesz?

- No fakt. - Kary pokiwał głową. - My, lud, chłopi z chłopów, chamy z chamów, powinniśmy o tym wiedzieć najlepiej .

Przez twarz Walka, jak to piszą pisarze, przebiegł cień.

- A Kościół? - podjął po chwili Walek. - Kościoły by poburzyli, z armat by do wież kościelnych strzelali, a krzyże by kazali deptać. Kościoły to skarbnice, rozumiesz, skrzynie, depozytariusze naszej tożsamości, a oni by tam porobili do tenisa korty, rozumiesz. Ja wiem, że ty jesteś, ten, że ty nie bardzo ...

- Ja jestem dobrym poganinem - rzucił od niechcienia Kary, zaciągając się ostatnim sztachem papierosa, już przy samym ustniku, i kiepując go w niedojedzonej kapuście. Przez twarz Walka znów coś przebiegło, tym razem błysk. Zaskoczenia.

- Taaak? - zdziwił się. - A to ... a toś mnie zaskoczył. A to ... widzisz. To nawet .. w pewnym sensie. No nic. - Podniósł kieliszek. - Za to cię zawsze lubiłem, Franek. Że ty to jednak, my się możemy nie zgadzać, ale ty jesteś człowiek z krwi i kości, ty nie możesz być taki pusty w środku ateusz, że ty musisz mieć jakieś, rozumiesz, wartości, coś, dla czego żyjesz, a nie takie ...

Przyszedł kelner i zabrał talerze, na widok kiepa w kapuście spojrzął na Karego z wyrzutem. Karemu zrobiło się głupio. Zmieszał się, ale szybko dał kelnerowi znać oczami, że to nie on, że to Walka kiep. Wałek zauważył ruch oczu, ale nie zrozumiał, o co chodziło. Kelner parsknął i poszedł.

- Taaak - kontynuował po chwili milczenia Wałek, skubiąc rękaw marynarki swojego brązowego munduru. - Co to ja? A. Pogaństwo. No ... wiesz. . . bo - ściszył głos - klasyczny rzymski katolicyzm też do końca nie opisuje Polski. To znaczy jako rzecz uniwersalna, tak, owszem, ale ... tu jest, rozumiesz, specyfika. Zastanawiałeś się kiedyś... czy my nie jesteśmy... no. .. popatrz na geografie, na historię... jak by ci to powiedzieć, rozumiesz ... patrz: jesteśmy w samym środku. W samutkim. Wiesz, my tu byliśmy, zanim w ogóle cokolwiek. .. ktokolwiek. Przewalili się tędy, przez Polskę, wszyscy - Hunowie, kurwa, Germanie, Słowianie, tak, bo my nie jesteśmy Słowianami, my tu byliśmy długo przed nimi, tylko język nam pozostał po zetknięciu się z nimi, nie. - Podniósł palec, jakby Kary protestował, choć Kary nie protestował, tylko tępo słuchał, odpaliwszy kolejnego egipskiego. - Sarmatami też nie jesteśmy, to wszystko to tylko naloty, my jesteśmy potomkami czegoś, kogoś starszego. Lepszego. Godniejszego. Kto się nigdy do końca nie zmieszał z tymi... ludźmi, ludami, które nam tu przez Polskę się przewalały. Kto zachował własny charakter. Nie zastanawiało cię nigdy, dlaczego Polacy tak się. . . no. . . fizycznie różnią od innych dookoła?

- Co ty pierdolisz, Waluś? - Kary odchylił się na krześle. Godząc się iść na wódkę z Ryczywołem-Ryczywolskim, miał nadzieję na wyciągnięcie od niego jakichś plotek z rządzącego obozu, ze środowiska, a zamiast tego, wściekał się na siebie Kary, siedział tutaj , robiąc za publiczność dla wynurzeń wariata w mundurze.

- No przecież - ciągnął Wałek, popijając z kufła - Niemca zawsze poznasz po twarzy. Istota niemieckiego typu fizycznego jest jasna: to potomkowie tych zmarzluchów, hibernusów jebanych, co to się ich rasa wykształciła na północy. Tam gdzie zimno, gdzie się ich skóra upodabniała kolorem do śniegu, a włosy do moczu renifera na tym, rozumiesz, śniegu. Czy tam, nie wiem, białego

niedźwiedzia. Albo morsa. Ruscy to samo, też świńskie blondyny, tylko tam, czasem... - Machnął ręką, jak gdyby nie chciał wchodzić w szczegóły dziedzictwa antropologicznego Rosjan, ku sporej uldze Karego notabene. - Żydzi. .. Ukraińcy ... co ja ci będę mówił. Wszyscy się od nas różnią. Niuansami, ale się różnią.

- A my od nich, jeśli tak - nie wytrzymał Kary. - I jaki stąd ...

- Ooo, widzisz. - Wałek wycelował w Karego palec. - Twoje nastawienie jest nastawieniem niewolnika. „A my od nich”. Nie, kochany, nastawieniem prawdziwego człowieka jest stawianie siebie samego w centrum. Centrum wydarzeń, centrum wszechświata. Być może Kopernik miał rację, rozumiesz, teoretycznie, naukowo, ale duchowo nie miał...

- Człowieku - stęknął Kary. - Jesteś pijany. Bredzisz.

- Wcale nie! - zaperzył się Wałek. - Słuchaj dalej ! Kelner! Jeszcze dwie wódki!

- Pij - westchnął Kary. - Szybciej to się skończy.

- Więc słuchaj . My jesteśmy... zwróć uwagę. Zwróć uwagę: krępi, spore głowy, ciemne raczej niż jasne włosy, to my...

- Stary, ale rasizm to już naprawdę mało modna teoria... - zmusił się do wystękania Kary.

- Wiem, że wy, liberałowie, nie lubicie rasizmu, ale teorie rasistowskie nie zostały nigdy naukowo obalone! - zaczął krzyczeć Wałek, po czym zauważył, że kelner patrzy na niego z przyganą, i się uspokoił. - To tylko te socjalistyczne, komusze wtręty w zachodnią cywilizację sprawiły, że rasizm stał się, nie wiem, czymś jakby trochę ... brzydkim? A rasiści, w przeciwieństwie do na przykład komunistów, nigdy nikogo nie mordowali! Kogo mordowali?

- Jak to nie? - zdziwił się Kary. - A we Włoszech? W Hiszpanii?

- W porównaniu z tym, co wyrabiają ci wasi socjaliści w ZSRR.

- Waluś, ZSRR to się tylko nazywa socjalizm.

- A ty się nazywasz idiota.

- A w koloniach?

Teraz zdziwił się Walek.

- W koloniach? - zapytał, jakby Kary powiedział coś zupełnie nie do rzeczy. Jak wtedy, gdy Kary wspomniał o Żydach. - Słuchaj . - Zmarszczył brwi, podniósł przyniesioną przez kelnera wódkę, uderzył nią o kieliszek Karego i wychylił. - Ja wiem, że ty masz, no ... pewien epizod. Że miałeś, no ... chwilę słabości. Ale Polska ci wybaczyła. Polacy ci wybaczyli. Właściwie, zdrajco jebany, nie powinienem z tobą pić, ale Polacy ci wybaczyli, więc ...

- Nie Polacy mi wybaczyli - uciał Kary - tylko Sztok mnie wybronił i to wyłącznie dzięki temu, że akurat tacy Polacy jak ty, dziwacznym zrządzeniem losu, przez chwilę tu nie rządzą. A jak zaczęli, to Sztok ...

Walek machnął ręką, jakby się opędał od bąka końskiego. Zamaszyście, słowem, machnął.

- My, Polacy, jesteśmy tak inni od wszystkich - wystękał pijacko - tak inni, bo jesteśmy... no ... Pierwszymi Ludźmi.

Kary parsknął, szybko się opanował, po czym uznał, że trochę nie ma sensu się opanowywać, i znów parsknął.

- Czym? Kim?

Walek popatrzył na niego z godnością i wyższością.

- Pierwszymi Ludźmi - powtórzył z naciskiem.

- Znaczy kim? - chichotał Kary. - Że jak Adam i Ewa? Że oni, co, po polsku mówili, jak pisał w Nowych Atenach dobry ksiądz Chmielowski? Albo macimową?

- Chuj z księdzem! - huknął Walek. - Jaki Adam i Ewa, to przenośnia! Pierwszymi Ludźmi!

- Nie wiem, kurwa, homo erectus? Neandertalczykami?

- Widzisz, barani łbie ... - Walek zapalił papierosa. - Wszyscy obrzydają neandertalczyka, ośmieszają. Niemcy mu nadali głupią nazwę... - Walek machnął ręką na Karego, który zabierał się do protestowania, że nazwa jak nazwa, czemu, wcale niegłupia. - Robią z Pierwszych Ludzi troglodytów, neandertali, a przecież ...

przecież to była wyrefinowana cywilizacja! Czekaj - sapnął Walek gniewnie i sięgnął do teczki. Wyjął z niej niewielką książeczkę w twardej płóciennym oprawie.

Tytuł, wyciśnięty złotą majuskułą, brzmiał: KSIĘGA PIERWSZYCH LUDZI. Pod spodem wyrysowano pentagram w skomplikowanej wersji, z zawijasami, znakami, mniejszymi pentagramami i wpisaną w nią głową rogatego zwierza - choć raczej, jak mógł ocenić na szybko Kary, nie banalnego Bafometa.

- Masz - powiedział Walek. - Ja sobie załatwię nową.

- Co to jest? - Kary podniósł książkę. Była ciężka, cięższa, niż się wydawała. - Święta księga neandertalczyka?

- Śmieję się, chuju, śmieję - warknął Walek. - Przeczytaj lepiej, a zrozumiesz. Odwrócił się w stronę kelnera: - Płacić! - ryknął.

Wstał i wyszedł, z dumnie zadartym do góry nosem i stężałą miną rzymskiego senatora przechodzącego wśród plebsu, a rachunek musiał uregulować Kary.

- Polacy jako potomkowie Wielkiej Neandertalii, no, no - mruknął, Kary, kartkując książkę i czekając, aż kelner przyniesie kwit. Nawet na tobie zrobiło to, przyznasz, wrażenie.

Teraz Franciszek Kary nadstawia pod wiatr policzki i z lubością wciąga ten wiatr w nozdrza, jak kokainę. Wiatr pachnie wilgotną trawą, liśćmi, mokradłami, aż się chce Karemowi wyjechać z Warszawy, rzucić to wszystko w cholerę i czekać spokojnej śmierci jak zbawienia. Ulgi. Takie ma myśli detektyw Kary. Dziś, teraz i w ogóle często.

Stoi więc sobie, zawieszony rozkosznie, nikomu nie przeszkadza, i patrzy, jak maszerują krwioziemcy, jak płaczą płaczki, jak idą blade żywe trupy. Znów zapatruje się na nich z zachwytem.

Wyobraża sobie, że niebo nad nimi, nad Polem Chwały, nad Dzielnicą Marszałka Piłsudskiego czerwienieje, czarnieje, że otwiera się i że zstępuje z niego udrapowana w polskie flagi kohorta aniołów, że równolegle otwiera się Pole Chwały pod ich stopami i ze środka, z wnętrza ziemi, wypełzają oddziały padłych,

piekielnych aniołów, również po polsku udrapowanych, i włączają się wszyscy do marszu, wyśpiewując chwałę Polski, nowego narodu wybranego, i polskiego mesjasza. „Jedność piekieł i niebios w obliczu polskiej chwały” - wołają.

Aż go spazm śmiechu od tej wizji skręca; stojący obok niego mieszczanie porządni i jakiś z ziemiańskim sznytem noszący się jaśnie paniczyk popatrują na niego spode łba. Tak od rzeczy się śmieje tu, bez powodu. Paniczyk z przyganą zerka to na piersiówkę między palcami Karego, to na papierosa, którego ten właśnie odpala.

- Phu - furczy sobie spod wąsika jaśnie paniczyk. - Też!

Warga mu się górna, cienka, giętka, układa jakoś dziwnie, dżdżowniczo. Pańsko i pogardliwie. Kary zerka na niego i próbuje zdusić śmiech, ale niemrawo, wargi mu się wydymają i po chwili znów parska. Ci urodzeni panowie miewają takie ciekawe problemy. Kary dmucha w jego stronę dymem.

- Intehesujące, czy biciarz, czy wieśniak - słyszy Kary, jak szepcze, odwracając wzrok, paniczyk do swojej towarzyszki, wyższej od niego o wysokość schodków tramwajowych, pretensjonalnie dość ubranej elegantki, aspirującej z całym zaangażowaniem, jak zgadywał Kary od niechcienia, do klasy wyśnioniej, najwyższej. Tej, która polskość stworzyła i która jej formę nadal trzyma w krzepkim uścisku, i do której należy paniczyk, co manifestuje każdym milimetrem swego paniczykostwa. - Tak czy owak - mruczy paniczyk, niby cicho, ale tak, żeby Kary słyszał - cham.

PRZYJDZIE MESJASZ, ON POPROWADZI POLSKĘ - taki szeroki czarny transparent niesie kolejna linia maszerujących młodych mężczyzn w czarnych mundurach i wysokich butach, wyczyszczonych na glans. Franciszkowi Karemu wydaje się, że powinni zostawiać na bruku ślady czarnej, błyszczącej pasty do butów, tak jak ślimak śluz po sobie zostawia. Za nimi idą następne szeregi.

POLACY NOWYM NARODEM WYBRANYM - ryczy kolejny transparent.

- Zmiana banana! - krzyczą jakieś skanki z tłumu, włosy w tapir, tanie płaszcze na ramionach. - Zmiana banana, z Żyda na pana! Jebać, jebać wasz Babilon, waszą

Asyrię jebać!

Pchają krwioziemcy ruchomą scenę, na kółkach podest. Ustawiają, zdobią sztandarem. Wychodzi na schody mysiowłosa dziewczyna i Kary już wie, kim ona jest.

To ...

Służąca księdza Krenca.

Opowiada o tym, co się działo, o męczeństwie Krenca.

O ręce wyciągniętej do Żydów.

Dwa narody wybrane, tysiąc lat obok siebie!!!

Niech powstaną razem przeciwko lewactwu, komunizmowi!!!

A ty stałeś tak, słuchałeś, jak i inni, z zabawnym zaskoczeniem wymalowanym na twarzy, opowieści polskich czarnoromantycznych neofaszystów o tym, jak dwa wybrane narody powinny iść razem tą samą ścieżką, i popijałeś z tego zaskoczenia coraz częściej z piersiówki, aż w końcu musiałeś oprzeć się o stojący przy krawężniku słup ogłoszeniowy, akurat, popatrz, Kary, o ignorowane przez ciebie wezwanie do kopania rowów przeciwlotniczych. A wtedy z czarnego, długiego samochodu zaparkowanego nieopodal wysiadło dwóch wielkich Żydów. I ci Żydzi, członkowie jednego z narodów wybranych, wciągnęli cię, idioto z drugiego narodu wybranego, do środka. I odjechali, i zniknęli za rogiem.

W bugatti, do którego wrzucono Karego i posadzono między dwóch wielkich, nabitych facetów, ciemnowłosych, noszących się z włoska i tak uczesanych, było znacznie weselej niż w czarnym piąście. Kierowcy i pasażera, o ile był, widać nie było, bowiem oddzielała ich od tylnego siedzenia gruba czarna szyba.

- O - powiedział Kary wesoło. - A ja was znam.

Nie doczekał się odpowiedzi.

- Jesteście od Koczkodana.

Nic.

- Świętej pamięci Koczkodana, niech się... hm... Jahwe zlituje nad jego duszą.

Nic.

- Czyli teraz jesteście od Karakalli.

W szybie przed nosem Karego otworzyło się okienko, a w nim pokazała się blondynowata twarzyczka. Był to Ariel Baumgart, prawa ręka dawnego szefa nalewaczańskiej chewry, który tak źle skończył, i to we własnym domu.

- Cudowne rozumowanie, kolego - sapnął Ariel Baumgart, którego mózg, jak mówiono, jest komputerem przechowującym więcej informacji i przetwarzającym je szybciej niż w mózgu elektronowym, i to nie RWT, a IBM. - Ja bym tak nie potrafił.

- Ariel - odpowiedział Kary. - Nie mogłeś tak po prostu podejść, zapytać, pogadać?

- Wy, wieśniacy - odpowiedział Baumgart - jesteście krnąbrni. Ja was nie zawsze rozumiem, ja nie zawsze wiem, co wam w głowie siedzi. Macie tendencję do zaskakiwania nas, miejskich ludzi, jakimiś dziwnymi zachowaniami. Najczęściej siłowymi, w końcu jesteście wieśniakami.

Dlatego sam postanowiłem się zabezpieczyć.

- A to o co ci chodzi?

- Zobaczysz.

- A skąd - czknął Kary - wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Kurwa, Kary - westchnął Baumgart - słyszałeś o czymś takim jak śledzenie podmiotu? Co jest szczególnie uproszczone, gdy podmiot jest pijany?

- A to czemu nie zgarnęliście mnie wcześniej ? Tylko tam, obok tłumy? - A bo - powiedział Baumgart - jak się pokapowałem, dokąd idziesz, to pomyślałem, że to się dobrze składa. Bo ja też chciałem tych pojebów posłuchać. Dwa Narody Wybrane mają się połączyć w jeden, no popatrz, popatrz!

Kamienica przy placu Muranowskim, należąca do rodziny Blumów, obwieszona była kirem tak rzęsiście, że aż wulgarnie. Kary nigdy nie sądził, że można

przedobrzyć z kirem, a tu - proszę bardzo. Czarne wstęgi zwisały z okien jak flagi na przyjazd dyktatora, czarne sztandary z uchwyty na flagi, do drzwi przybito czarne wieńce.

Karakalla, czyli młody Lew Blum, wyglądał bardziej jak Neron niż jak Karakalla. Kędzierzawy, o różowej skórcie wypasionego prosiaczka, wypielegnowany, perkaty i niewielki, za to o oczach takiego skurwysyna, że Kary od razu wiedział, że jeśli konkurencyjne chewry, gangi, mafie, firmy, czy jak tam się lubiły zwać te zwyrolskie ekipy z miasta i okolic, nie zabiją go jakoś niebawem, zanim okrzepnie, to będą z nim miały ciernie i gwoździe przez najbliższych kilkadziesiąt lat. Nie to co z jego dobrotliwym ojcem, Koczkodanem, który wyglądał jak Franciszek Józef, mówił jak Franciszek Józef i w gruncie rzeczy rządził jak Franciszek Józef, będąc dla warszawskiego ratusza kimś w rodzaju nieoficjalnego współpracownika na tę część Nardu, którą uznał za swoją własność.

Stary Koczkodan jaki był, taki był, jego chłopaki obstawiały knajpy, sklepy i inne biznesy jako przymusowa ochrona, bandycka klasyka, ale ta ochrona naprawdę działała, i jeśli ktoś miał nieszczęście ochranianego okraść czy oszukać, stawał się osobistym wrogiem chłopców Koczkodana. Koczkodan dopłacał do ochronek i bibliotek, upatrzył sobie nawet mały żydowski teatr przy Miłej i zaczął go tak hojnie dotować i wspierać, że teatrzyk stał się sporym i całkiem ważnym teatrem, przybierając dumne miano Teatru Warszawskiej Dzielnicy Północnej.

Nie wiedziałeś, Kary, że dyrektor tego teatru oraz najważniejszy jego reżyser wyszli przed chwilą dokładnie z tej samej sali, do której ty wszedłeś. Wyszli, prawie płacząc, bo zostali wystraszeni przez Karakallę, który kazał im napisać i wyreżyserować sztukę, a najlepiej musical o jego ojcu, w formie klasycznej hagiografii oczywiście.

- Nie myślcie, że się wykpicie jakimiś tymi waszymi postmodernistycznymi, jak wy to nazywacie, łamańcami - grzmiał Karakalla, zapowiadając, że jeśli nie wywiążą się z zadania tak, by jemu się to podobało, a on ma gust tradycyjny, to po pierwsze, będą musieli zwrócić wszystkie podarowane im przez jego ojca pieniądze, a po drugie, zjeść własne gałki oczne niby ostrygi.

Karakalla siedział u siebie w biurze i czytał na elektrogazecie w swoim IBM-ie doniesienia z Pola Chwały.

- Kurwa - powiedział Karakalla, nie patrząc na wchodzących - ale jaja. Polscy faszyci chcą z nas też zrobić polskich faszystów. Ty tam byłeś, Ariel, tak?

- Ja, Leo.

- No i co, to właśnie mówił? Tak?

- A z mir zenen cwej ...

- Po polsku mów, mamy gościa. Z Polski, ha, ha, ha.

- No że my jesteśmy dwa narody wybrane, że nieprzypadkowo obok siebie, że co Bóg dzielił, to znaczy złączył, żeby nie rozłączać, że są rachunki krzywd, ale trzeba je przekreślić, i że razem dopiero, tego ...

- I jak by się taki naród nowy miał nazywać? - Lew Blum, zwany Karakallą, promieniał uśmiechem, wychodząc zza biurka. - Judeopolonia? Poloniojudea? Co byśmy mieli, według tych popierdoleńców, robić? Czym się zajmować? Maszerowaniem w tę i nazad, od Zamku Królewskiego do Pola Chwały i abarot? Co pan o tym myśli, panie Kary?

- Ja myślę, że dzień dobry, panie Blum. Kondolencje z powodu ojca.

- Ach. - Karakalla machnął ręką. - No jasne, fajny facet był i tak dalej, no, szkoda go, wiadomo. Zresztą dlatego pana tu wezwałem.

- Słucham. - Kary zachwiał się nieco, rozglądając za krzesłem, na którym mógłby usiąść, ale krzesła stały wyłącznie pod ścianami gabinetu, irytująco pasiastego, jak skóra na warchlaku dzika. W środku notabene kiru nie było. Ani żadnych innych oznak żałoby.

- Bo widzi pan. - Karakalla podskoczył jak mała gumowa piłeczka i wskoczył tyłkiem na krawędź wysokiego mahoniowego biurka. - Taki trup szanowny, a poniewierający się po placu, takie wtargnięcie w, jak to się nazywa według polskiego prawa, mir domowy, jakie nam tu urządzono. Tak się nie robi. Tak nie wolno. To znaczy, no, wiadomo, rzecz względna, czasem człowiek musi sięgnąć po środki drastyczne, ale my, jako rodzina, sobie na to nie możemy

pozwolić. Szczególnie, wie pan, jako rodzina w takim, a nie innym biznesie robiąca.

- No tak. - Kary pokiwał głową. - Stawiam się w pana sytuacji i wydaje mi się, że pana rozumiem, panie Blum.

Blum odwrócił w jego stronę głowę, której rude włosy płonęły wręcz od światła stojącej za nim lampki.

- No chyba pana polubię - powiedział. - Pan jesteś, myślę, rozsądny człowiek. A do tego też, z tego, co mi mówiono, zdolny detektyw. Jedyny, który dopadł któregoś z tych skurwysynów, co terroryzują miasto ...

- No - mruknął Kary - zbieg okoliczności ...

- Ach. - Lew Blum zeskoczył z biurka i chodził teraz, jak dziecko z autyzmem, po krawędzi dywanu, stawiając na niej stopę za stopą, brązowy błyszczący lakierek za brązowym błyszczącym lakierkiem. -

Zdolnym szczęście sprzyja, czy jak to tam. Czy pracowitym. Przecież

latasz pan po Woli jak kot z pęcherzem i wypytyujesz. A jak pan myślisz, skąd ja wiem, że to pan się tym właśnie zajmujesz? Pan i ta młoda, od dobrego pana Adama Sztolca, niech go lekka ziemia pieści. Wielki był człowiek, proszę przekazać pana ... hm ... co was właściwie łączy ...? Bo wy raz ze sobą, raz nie, połączyć się trudno.

- No dobrze - przerwał mu szybko Kary. - I jaka jest moja rola w tym?

- Wiem skądinąd - Lew zmarszczył czoło, widocznie był na etapie przywykania, jako dziedzic, do nowej sytuacji, w której nikt, a już na pewno jakiś goj wieśniak, mu nie przerywa - że udało się panu, panie Kary, złapać jednego w pułapkę. No to mnie by się przydał taki jeden.

W pułapce. Nie wiem, czy pan współpracujesz z policją czy nie. Zresztą nie interesuje mnie to. O policji mam zdanie, cóż. .. zgadnij pan.

W każdym razie, jak sądzę, ani policja, ani pan nie macie takich środków i takiego doświadczenia w zdobywaniu informacji, jakie my mamy. Wystarczy mi więc jeden. Jeden, jedyny z tych skurwysynów, a wtedy ja, my, moi chłopcy, może

pan zresztą być przy tym obecny, panie Kary, damy taki popis klasycznej szkoły przeprowadzania śledztwa, że wyśpiewa nam elegancko wszyściuteńko, gdzie, co, kto to jest, dlaczego poluj ą na ludzi, co mają nie tak w tych popierdolonych głowach, gdzie się zbieraj ą i ilu ich jest. I wtedy i ja, i pan, i moi ludzie, i pana ludzie, z pana agencji, z których kilku nawet, musiał się pan tego spodziewać, panie Kary, się pokrywa z moimi, zrobimy im taki wjazd na chawirę, taki, kurwa, zajazd na Soplicowo, że nie pozostanie po nich mokra plama i pamięć na obliczu ziemi. Tej ziemi.

- Musi pan wiedzieć - podjął Kary po chwili, myśląc, że trzeba by im najpierw było zęby powyrywać - że to nie są byle gówniarze. Że to jest jakaś ... ja nie wiem, ale ja podejrzewam ... na pewno część z nich dobrze zna się na pieswybie.

- No cóż. - Lew Blum wzruszył ramionami. - My też mamy sporo ludzi, którzy znają pieswyba. I krav magę, i, kurwa, taj ski boks, i karate. Damy radę. Ja panu, panie Kary, oferuję wspólny interes. Pan pomożesz mi, a ja pomogę panu.

- A jeśli powiem nie? - Kary zdecydował się zapytać, a wtedy Karakalla popatrzył na niego z udawanym zdziwieniem.

- A po chuj, przepraszam, pan miałbyś mówić nie?

Kary skinął głową.

- No tak. Jak coś będę wiedział...

- Ja będę wiedział, kiedy pan coś będziesz wiedział - odparł Karakalla. - Dlatego pana tu wezwałem. Żeby nie komplikować sprawy i żeby ją dogrywać jak ludzie, a nie wzajemnie się podgryzać. Dlatego naprawdę liczę na pański rozsądek. Ma pan, naprawdę, o wiele więcej do stracenia w przypadku odrzucenia mojej oferty niż w przypadku jej przyjęcia. Właściwie nie widzę u pana żadnych strat wynikających z jej przyjęcia. No, poza, jak by to ująć, stratą moralną wynikającą ze współpracy z przestępcami. - Zaśmiał się po raz kolejny; musiałeś mu, Kary, przyznać: umie się Karakalla sam ze sobą bawić. - Ale, panie kochany, bo to pierwszy raz? Pan żresz narkotyki moje, dawniej mojego ojca, pan pijesz w moich knajpach, pan zresztą też uciekasz się do metod niekonwencjonalnych. Albo może

przeciwnie, konwencjonalnych, i to bardzo. No, żegnam pana - powiedział i wrócił
za mózg. - Ariel, chłopaki, firm im aus.

JEZUS CZARNYCH ANTKÓW

Stał się sławny. Słynny „Franc Kary, zdrajca”, „Franc Kary, morderca Polaków”. Na murach miast i miasteczek wisiały listy gończe z jego fotografią z książeczki wojskowej . Sto tysięcy złotych kolonialnych za wskazanie miejsca pobytu. Jego oddział, kierowany przez kapitan Teresę Perez, bo tak nazywała się kobieta, która rozcięła mu te cholerne więzy, zajmował się patrolowaniem odcinka drogi i leżących przy niej kilku wsi, strategicznych, które broniły dostępu do wnętrza wyspy. A tam rezydował legendarny przywódca powstania - Jezus Santana-Corab. Pierwszy wykształcony w Polsce fernandyński oficer na wyspie, przez powstańców tytułowany generałem. Posiadający zresztą, jak plotkowano, polskie korzenie.

Santanowie twierdzili, że ich ród wywodzi się z Polaków, którzy za wojny Napoleona z haitańskimi niewolnikami przeszli na stronę Czarnych.

I że połączył się z innym rodem. Tym, który jeszcze za Kettlera kolonizował Karaiby. W tym - Fernandyne. To był jedyny polski ród szlachecki, który wyprawił się na tę kolonialną przygodę: Korabowie.

Potomkowie Korabów, jak mówiono na Fernandynie, żyli tam nadal. I nadal uważali się za Polaków. Pisali się Corab. Byli ciemnoskórzy. Ale od zawsze wieszali w domach polskie flagi i gdy Polacy w końcu kupili Fernandyne od Hiszpanów - pierwsi rzucili się witać kwiatami polskie wojska.

W czasie wojny na Fernandynie rodzina się podzieliła. Część Corabów walczyła w wojskach kolonialnych Rzeczypospolitej . Druga część dołączyła do partyzantów. Do oddziałów kierowanych przez Jezusa Santanę-Coraba.

Sam Jezus Santana-Corab był Metyselem, a rodzina Santanów, jak wielu wiedziało, była jedną z kilku ważniejszych i bogatszych na wyspie. Przodkowie Santany, nie ci polscy, a ci, po których jego rodzina odziedziczyła większość majątku, przybyli tu z Hiszpanii - albo z Hiszpanioli, z Meksyku, czy czort wie skąd - w dobrym momencie, mieli spory kapitał na początek i zaczęli handlować z Europą trzciną cukrową wtedy akurat, gdy to się opłacało. Dogadywali się z każdym. Z Hiszpanami, z Anglikami podczas ich krótkiego panowania, później znów z Hiszpanami, teraz - z Polakami. Dlaczego Santana rzucił służbę w polskiej armii, w której był fetowany i traktowany jak maskotka, i stanął na czele antypolskiego powstania - Kary nie wiedział. Być może właśnie dlatego, że był fetowany i traktowany jak maskotka. Teraz za to uważany był przez Polaków za zdrajcę, czego chłopski, sprawiedliwie myślący umysł Karego nie mógł zdzierżyć: jaki, kurwa, zdrajca, jeśli rosyjscy, niemieccy i austriaccy oficerowie przechodzący na stronę niepodległej Polski byli w Polsce uważani za bohaterów? W każdym razie - raczej nie dlatego, że jego rodzinie z Polakami interesy się nie układały. Układały się, i to jak.

- Byłem pana ciekawy, panie Kary - mówił Jezus Santana. - Ja jestem pierwszym, jak mówią, wyspiarskim oficerem polskiej armii. Pan jest pierwszym Polakiem walczącym za wyspę.

Kary, ranny w nogę w ostrzale wsi La Cueva, wieziony był do generała Santany w góry, tkwiące w samym środku wyspy jak czyrak. Jechali polskim wojskowym, terenowym piastem, zdobycznym, Kary widział na poszyciu foteli ciemne plamy, „krew zimną wodą trzeba” z jakiegoś powodu chodziło mu po głowie jak zacięta płyta. Jechali w górę, błotnistymi drózkami, terenowy piast dawał sobie radę, ale rzeził i wył, szofer, wąsaty, o skórze, która kojarzyła się, znów uparcie, ze złotą

polską jesienią, kłął. Trochę ze sobą rozmawiali. Dziewczyna, która go wiozła, pytała, czy to prawda, że w Polsce zimą, jeśli wyjdzie się nieodpowiednio ubranym na zewnątrz, to można umrzeć. Kary po raz pierwszy w życiu się nad tym zastanowił, a dziewczyna monologowała, że jeśli tak, to trochę się nie dziwi, że Polacy, a także inni Europejczycy, przyjeżdżają kolonizować miejsca bardziej przyjazne życiu. Mieszkają przecież w niezamieszkiwalnej części planety. To tak, wywodziła, jakby mieszkali na Księżycu czy na Marsie. Gdy Amerykanie przecież, w roku dziewięćdziesiątym, w końcu wysłali na Księżyc swoją misję kosmiczną, musieli po nim chodzić w skafandrach. To tak jak, wywodziła, Polacy po Polsce przez pół roku. Miała na imię Dolores i była bardzo dla Karego miła. Mówiła, że przecież „też jest trochę Polką”, na co Kary reagował lekkim, smutnym uśmiechem. Chciała, żeby Kary nie czuł się przy niej, jako Polak, źle. Przedstawiła mu się nawet jako „Dola”, twierdząc, że tak by chyba brzmiało polskie zdrobnienie jej imienia (choć Kary pomyślał, że raczej „Cierpka”), i chciała śpiewać Jeszcze Polska, ale Kary poprosił ją, żeby nie. Śpiewali więc jakieś latynoskie piosenki. Dolores uczyła Karego piosenek ze swojej okolicy. Czasem, gdy dojeżdżali do przełęczy, gdy wspinali się po odsłoniętych zboczach, widoki zapierały dech: zieleń intensywna jak jad w komiksach, pokryte nią góry, a na horyzoncie błyszczący, błękitny do bólu ocean. Ale Kary nie mógł pozbyć się przeświadczenia, że wyspa jest dziwnie pusta. Jej pierwszych mieszkańców wymordowano, ślad po nich nie został. To nie byli żadni Aztekowie, Majowie czy Inkowie, to było kilka wiosek na krzyż zamieszkanym przez Tainów, lud, który przybył na Karaiby z dorzecza Amazonki i tu, w izolacji i bezpieczeństwie, rozwijał swoją prowincjonalną kulturę, uprawiał ziemię, polował na ptaki, rzeźbił w spokoju figury bóstw. Dopóki, oczywiście, nie przypłynęli kosmici na hiszpańskich statkach.

Hiszpanie zbudowali kilka kościołów i pozostał po nich kwartał starego miasta w Porcie Mickiewicza i ze dwie uliczki w Śmiglicach. Polacy, głównie dla efektu, rozpoczęli budowy jakichś wielkich siedzib kolonialnej administracji, wyglądało to

jak mała Gdynia między palmami. Wsie były biedne i niewyszukane. Budowane z tego, co było pod ręką. Podobnie jak w Polsce. Metropolii. Ale brakowało tutaj Karemu duchów, brakowało jakiejś wyraźnej historii, materialnych pamiątek. I zrozumiał, że tak właśnie mogła wyglądać pierwsza Rzeczpospolita, gdy upadała, gdy pomiędzy rzadko rozrzuconymi kościołami i miasteczkami z kilkoma ulicami wokół rynków była niekończącą się pustką, bezczłowieczem, bezhistorią - a raczej miejscem, przez które historia przebiegała, ale po cichu, nie pozostawiając śladów. Na pytanie Dolores, czym, według Karego, Polska najbardziej różni się od San Fernando, Kary powiedział, że niczym. Dolores była bardzo zdziwiona i nawet się na Karego obraziła, że z niej idiotkę robi.

- Zamki - powiedziała. - Macie zamki.

Kary skinął głową.

- I dwór drewniany, acz podmurowany. I legendy o tym, że ci, którzy to zbudowali, to wcale nie są ci sami, którzy tę ziemię uprawiają, tylko ci, którzy nimi rządzą. Sarmaci, dzieci Scytów i Amazonek. Obcy, sami tak twierdzą.

- Obcy? Od tysiąca lat? - Dolores nie rozumiała. - To kiedy obcy przestaje być obcy?

Kary zachichotał.

- Nie wiem. Jak się integruje. Albo jak wyróżnie poprzedników. Albo jak żyje sobie spokojnie i chce, żeby się od niego wszyscy odpięrdolili. Tak, to ostatnie najbardziej mi odpowiada. Żyć spokojnie i chcieć, żeby wszyscy się odpięrdolili.

Dolores nie wyglądała na przekonaną.

- A dlaczego to ten, który przyszedł później, musi koniecznie się przejmować tymi, którzy byli wcześniej? - zapytała.

- To po co z nami ... z Polakami walczyacie? - zdziwił się Kary.

Dolores wzruszyła ramionami.

- Jeśli ja mam dom i do mojego domu przychodzi władza i mówi: „Dolores, biorę sobie pokój na kwaterę, ale w zamian wszystko będzie w porządku, ty będziesz miała pracę, twoje dzieci jedzenie, w okolicy będzie porządek, złodzieje

będą w więzieniach, chleb w piekarni i w ogóle wszystko będzie działać", to co mnie obchodzi, czy ta władza jest ode mnie z domu czy spoza mojego domu? To ja takiej władzy nie tylko dam pokój, ale jeszcze będę podatki płaciła. Ale jak władza przychodzi, zabiera pokój bez pytania i jeszcze dodatkowo bez żadnego powodu traktuje mnie jak małą, to co ja mam zrobić?

- I co? - spytał Kary. - Naprawdę nie przeszkadzałoby ci, że ta władza nie jest twoja?

- A co jest moje? Co jest czyjeś? Gdzie się kończę ja sama, to mniej więcej wiem, a gdzie się kończy moje? Czy ten las, przez który jedziemy, jest mój? Czy ta wyspa jest moja? Mówię po hiszpańsku i to mój język, ale Hiszpania czy jest moja? Amerykanie mówią, że są wolni, samodzielni, że ich władza pochodzi od nich samych, ale to bzdura. Do każdego z nich kiedyś przyszła władza i powiedziała: ja tu teraz będę mieszkać, a w zamian urządzę ci życie. I potem oni uwierzyli, że ich władza to oni. To samo było w Anglii, to samo było we Pranej i, w Hiszpanii. Czy Andaluzyjczyk to zawsze było to samo co Kastylijczyk? Czy marsylczyk to zawsze było to samo co paryżanin? Czy człowiek żyjący tam, gdzie teraz jest Warszawa, zawsze był Polakiem? To jest głupie. Władza powstaje tam, gdzie ma najlepsze warunki do powstania, i idzie rządzić sprawnie tymi, którzy żyją tam, gdzie nie ma takich warunków, dla mnie to jasne jak słońce - odpowiedziała Dolores, wymijając dziury. - Ale masz rację, oczywiście. Innym przeszkadza. Independencia, libertad. Ja jakaś dziwna jestem, wszyscy mi to mówią.

A generał Jezus Santana-Corab był, sądząc po sylwetce, której zarys widziałeś, podchodząc, sporym człowiekiem, łysym jak kolano. Gdy oddychał, wizgał dziwnie, jak gdyby miał w tchawicy zamontowaną piszczałkę. Siedział pod zadaszeniem z palmowych liści, w lnianych chłopskich spodniach i rozciętej koszuli przypominającej ruską rubaszkę. Był boso, co zdziwiło Karego, bo bycie bosym na San Fernando nie przystawało nikomu, kto posiadał jakąkolwiek

społeczną pozycję. Wokół niego biegały jakieś dzieci. Małe. Jak drobiazg wokół gospodarza.

Santana, jakby prowokacyjnie, siedząc w wiklinowym fotelu, wyciągał przed siebie bose, brudne stopy. A gdy zobaczyłeś jego twarz - zamarłeś z wrażenia.

Wyglądała tak, jakby ktoś siekł Santanę przez twarz szablą. Jakby ktoś posiekał mu twarz na kotlet, jakby ktoś pastwił się nad nim nożem z sadystycznym entuzjazmem, i w tej plątaninie szram, blizn i rozorań tylko jasnobrązowe oczy błyskały nadzwyczaj przytomnie i nawet wesoło. Mocno, w każdym razie, kontrastując z tą tragedią, która kiedyś była twarzą Jezusa Santany-Coraba.

Ale dzieci, które obiegały Santanę wesoło, niby małe satelity, i które wołały do niego: Papa, papa, w ogóle nie zwracały uwagi na jego blizny. Na rękę wdrapała mu się dziewczynka, może pięcioletnia. Mówiła mu coś na ucho, patrząc na ciebie. Santana roześmiał się i zestawił ją na ziemię.

- No, idź się bawić - powiedział do niej. Po polsku, co cię zdziwiło.

- To sieroty. - Uśmiechnął się do ciebie tą straszliwą twarzą. - Jest wojna, giną ludzie. Rodzice. Więc biorę. Co byłby ze mnie za el comandante, gdybym nie dbał o swoje dzieci? - Roześmiał się, a huczał ten śmiech tak, jakby wodospad huczał.

Santana spod stolika wyciągnął flaszkę czegoś białawego i mętnego i dwa kieliszki.

- To co, panie Kary - zapytał piękną basową polszczyzną - chluśnięm, bo uśnięm! Pod stół kieliszki - zaintonował. - Pijmy szklanicami! Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

Płonął ogień w pochodniach poustawianych wokół bungalowu, terkotały silniki generatorów prądu, a z gramofonu leciały stare nagrania Jannigerki na przemian z jakimiś już zupełnymi starociami typu Mieczysław Fogg. Santana był sentymentalny i lubił muzykę trupów. Miał zresztą w sobie sam coś trupiego. Był niby zwalisty, wielki, o szerokiej piersi, ale skórę miał niezdrową, szarawą, w kolorze papieru pakowego. No i tę twarz zmartwychwstańca. Na którą starałeś

się patrzeć obojętnie, ale chyba niespecjalnie ci to wychodziło. Santana uśmiechał się i - byłeś pewny - czekał, kiedy go o tę twarz zapytasz.

- Wie pan - mówił tymczasem, sącząc rum - ja właściwie, wie pan, też jestem Polakiem.

- Jako obywatel? - zapytał Kary. Dziwnie się czuł u generała. To wszystko było nie do końca realne: ten bosy trup, który siedział tutaj, przed nim, w koszuli i porciętach wyglądających, jakby mieli go w nich złożyć do taniego grobu, a który rządził połową wyspy, i ta wyspa fanatycznie wręcz go uwielbiała, te pochodnie, jak gdyby w ogóle nikt się nie obawiał, że dostrzegą je jakieś polskie śmigłowce, choć w sumie tych śmigłowców to polskie wojsko miało tu tyle, co kot napłakał, i oszczędzało do nich paliwo, i w ogóle cała ta wojenka z kilkoma tysiącami partyzantów, którą Polska męczyła, dusiła i nie mogła wymęczyć, jak choćby remisu z jakąś nisko punktowaną drużyną piłkarską, była raczej parodią wojny niż wojną. Tylko trupy, jak zawsze, były prawdziwe.

Niepojęty był dla niego sam w ogóle fakt, że Santana zaprosił go tutaj, że rozkłada się z nim na werandzie jak basza, na szczycie góry, z której widać ćwierć wyspy, z której widać dymy z jakichś palonych przez Polaków wiosek albo, cholera wie, być może z osad polskich kolonistów palonych przez Fernandinos, zamiast ślęczeć teraz w jakimś sztabie nad mapami i zastanawiać się nad ofensywą, która zmusiłaby Polaków do wycofania się na przykład z Portu Mickiewicza. Ta muzyka, ta dziwna łysa głowa Santany, te wąsy w starosarmackim stylu.

- Ciekawy pana jestem, panie Kary - powiedział. - Ja, pierwszy Fernandyńczyk promowany na oficera w polskiej armii, pan, pierwszy Polak walczący po naszej stronie.

Kary widział, że jest po prostu kaprysem, pomysłem na spędzenie leniwego wieczoru na pięknej, lecz piekielnie nudnej wyspie. Nudnej mimo wojny. Przyzwyczajaj się, Kary. Jeszcze będziesz karysem. Twoja chłopska, Kary, dola. Oj dana, dana, jaworek, jaworek.

- Obywatel. .. jasne. Ale nie tylko. Moja, by tak powiedzieć, przygoda z Polską - wypowiedział te słowa z przesadną emfazą i roześmiał się, niby zakłopotany, ale jego trupiość i te jego oczy wyłupione jak u volkswagena garbusa, w ogóle miał w sobie coś z volkswagena garbusa, takiego, który jak wczepi się w ciebie reflektorami, to nie puści, nadawały temu wszystkiemu atmosferę czegoś niepokojącego, ba, groźnego - zaczęła się długo przed tym, jak Franco sprzedał wam San Fernando. Moi. .. rodzice spędzili jakiś czas w Warszawie, szukali przodków... tak, tak. ..

- I na studia do Polski pan pojechał.

- Już do gimnazjum, drogi panie. Już wtedy zresztą czułem się Polakiem. To było dla mnie oczywiste i nie miało nic wspólnego z żadną krwią czy czymś takim. Czysty wybór, i tyle.

- To dlaczego teraz walczy pan z Polakami?

- Bo zachowuj ą się jak idioci. W sposób niegodny tego narodu. A pan?

- A ja - powiedział Kary, choć jakoś wbrew sobie, czuł, to mówił, zmuszać się musiał - a ja nie wierzę w naród, a ja mam w dupie naród ...

Jezus Santana machnął ręką, śmiejąc się.

- A ja nie. A ja, w przeciwieństwie do samych Polaków, widzi pan, lubię Polaków. Lubię w sobie swój polski aspekt. Wy jesteście zabawni, wy, Polacy. Ci, jak to mówią, antyreżimowi. Wam się wydaje, że jeśli znienawidzicie w sobie polskość, to się od czegokolwiek wyzwolicie. Albo jeszcze lepiej , że w ten sposób podkreślicie swój dystans do tego, czym jest ten kraj. Otóż nie. Po prostu stawiacie się po drugiej stronie tego samego medalu. To wszystko. Nie pojęliście Gombrowicza. Wcale.

- Ja nie jestem antyreżimowy.

- Jak to nie.

- Nie myślę tak o sobie. Nie znaczy to, że się zgadzam ... ujmijmy to tak. .. ja jestem ... no nie wiem. Przyjmijmy, że żołnierzem. Który walczy nie o polskość, nie o, nie wiem, waszą wolność, tylko o ...

- O co? O człowieczeństwo? Człowieczeństwo, tak? - śmiał się Santana.

- O podstawowe ... o to, żeby można było żyć... tak jak się chce, żeby nikt nikogo... - Kary czuł, że brnie. Czuleś, Kary, że brniesz, że poruszasz się, nieboraku, po bagnie, że wszystko, co mówisz, jest budowane na grzączyźnie, na niczym, na wąłym fundamencie, bo w gruncie rzeczy wynika z twojego prywatnego przekonania, chłopskiego, Kary, przekonania, że człowiek naprawdę właśnie wtedy jest spełniony, gdy wszyscy się od niego odpiardolą i gdy wszystkich obdzielimy sprawiedliwością i prawami po równo. A dlaczego mają mieć praw po równo, a nie, na przykład, dóbr po równo?

No soy comunista, pamiętasz, Kary?

- Ja sobie swoje prawa wywalczyłem sam, a mam ich więcej niż inni - powiedział Santana, patrząc na ciebie zmrużonymi oczami, jakby czytał ci, Kary, w myślach, a ciebie zimny dreszcz, bohaterze, przeszedł. - Mam je może redystrybuować? Nie chcę. Mogę mówić o redystrybucji dóbr, bo dobra można wydać i ich nie mieć. Praw nie można wydać. Widzisz, ja tutaj toleruję komunistów. To jest miejsce, do którego pasuje komunizm. Wpasował się idealnie. Komunizm, Kościół. Tu się urzeczywistnia nauka Jezusa. Ta prawdziwa. Jezus, wiadomo, był pierwszym komunistą. Tu jest ciepło, tu jest kontynuacja kultury śródziemnomorskiej ...

- Przepraszam - powiedziałaś, Kary, zastanawiając się, co to za bełkot. - Ale nie rozumiem nic z tego, co pan mówi. To brzmi jak przypadkowo połączone fragmenty myśli. ..

Jezus Santana znów machnął ręką.

- Ważne, by wiedział pan tyle, panie Kary: wyżej dupy się nie podskoczy. W peryferyjnym kraju, takim jak ten, który wyrznął swoją przeszłość, a teraz próbuje się odbudować w taki sposób, by żyć w zgodzie ze sobą, trzeba powrócić do pierwocin, do naturalnego instynktu, który nim kieruje. Mamy do czynienia z wykorzenionym społeczeństwem złożonym z mieszaniny potomków afrykańskich niewolników, niedobitych Indian i iberyjskich chłopów, których za

pyski wzięło kilka wielkich rodów, jak mój. I którym chce, z powodu własnych kompleksów, rządzić obecnie Polska. Ta historia nie trwa długo, to społeczeństwo jest nowe, a władca jeszcze nowszy. To jest poziom zero. Tutaj wystarczy pozamiatać, sprawić, że społeczeństwo najpierw wyrznie swoich władców, którzy wpełchnęli się nie tam, gdzie powinni, a następnie pozamiata tych żalonych posiadaczy, którzy niczym innym się nie różnią od pluskiew żyjących na ciałach dawcy. Inaczej niż na przykład wasza szlachta.

- Inaczej ? - Kary się zdziwił. - I pan nazywa się komunistą?

- Niczego nie rozumiesz. - Santana wyraźnie się znudził. - Ja nie jestem komunistą. Ja tutaj - na to „tutaj ” Santana położył nacisk - mogę być komunistą. Tutaj komunizm pasuje, o, tutaj komunizm pasuje idealnie, jako prosta kontynuacja tradycji chrześcijańskiej, poza którą nic tu w zasadzie nie ma, bo zostało wytrzebione. Jest jeszcze oczywiście oju, ale to sprawia, że rzecz jest po prostu ciekawsza. Wiesz ty, co to oju, Kary?

- Słyszałem. - Kiwnął, Kary, głową, bo obilo ci się o uszy: to była lokalna, fernandyńska wersja religii afroamerykańskiej synkretycznej : odpowiednik kubańskiej santerii czy haitańskiego wudu. Elementy wierzeń afrykańskich Jorubów, których zawleczono tu, na Karaiby, jako niewolników, oraz chrześcijańskiej duchowości i estetyki. Rzecz w tym, że nie mogłeś, Kary, wiedzieć o oju zbyt wiele: nawet antropologowie, obecnie polscy, a dawniej hiszpańscy, nie byli przez szamanów dopuszczani do tajników ojuwskich praktyk.

- Wyobrażasz sobie komunizm w wersji oju? - zaśmiał się Santana. -Ale w Polsce, uważam, trzeba działać inaczej . Polska szlachta nie ma nic wspólnego z tymi tutaj , kapitalistami, obszarnikami. Polska szlachta to nośnik długiej tradycji. Mechanizmów, które obrosły własną treścią. Mitologią. Sensem. Wy tu nie pasujecie. Polska szlachta jest, jak pięknie to powiedziałaś mojej Dolores, która wszystko mi powtórzyła, bo zawsze mi powtarza, potomkami Scytów i Amazonek. Sarmatami. Ludami stepu. Wy jesteście ludem stepu, nie jesteście ludem morza. Was tu nie powinno być. Tutaj powinno być tak, jak było: o tę wyspę powinni się bić Hiszpanie z Anglikami, Portugalczycy ewentualnie z Francuzami. Ale co tu

robią Polacy? Polacy powinni się bić z Rosjanami o stepy. Polacy powinni się bić o interior. Tam jest wasze morze, tam jest wasz ocean. Tam, w gruncie rzeczy, przegraliście, godząc się na to, co Rosjanie wam dali w traktacie ryskim. I wystraszyliście się nawet tego, bo przecież chcieli dać wam więcej. Nie, to nie tu, drogi panie Kary. Czy tam: drogi chamie Kary, jak wolisz. Nie tutaj powinniście być, tylko tam. I dlatego tu z wami walczę. Bo was kocham.

Santana wstał i krocząc bosymi stopami po drewnianej podłodze, miękko krocząc, jak kot, podszedł do Karego i ucałował go w czoło. Usiadł przy nim, naprzeciwko. A ty się, Kary, próbowałeś odsunąć, ale odsuwaj się, jeśli za tobą tylko ściana.

- Wy nie macie sensu - powiedział - gdy nie żyjecie zgodnie z waszym wewnętrznym prawem. Gdy udajecie coś, czym nie jesteście. A przecież waszym prawem jest anarchia, waszą policją zajazd. Po co wy się przebieracie za tych, którymi nie jesteście? Po co wam coś, co wam nie wychodzi, jakaś oświeceniowa republika, która przecież nie jest oświeceniowa, tylko wygląda tak, jak zawsze wyglądała wasza Rzeczpospolita, ze słabą władzą, a mocnymi książętami? Tak jak było zawsze? Po co wam jakieś gadanie o rzymskim katolicyzmie, gdy wasz katolicyzm nie przypomina tego w Rzymie, a raczej rosyjskie czy ukraińskie prawosławie? Po co wam to wszystko? Po co wam udawać? Po co wam kodeksy, jeśli macie własne, polskie prawo? Po co wam te idiotyczne mundury, jeśli macie wasze narodowe stroje? Żupany?

- Żupany, z tego, co wiem, są tureckie ... - wtrącił, Kary, trochę wytrącony z równowagi, ale Santana położył ci palec na ustach.

- O tak - powiedział. - Tureckie. Właśnie. Azjatyckie. Stepowe. Anarchiczne, a jednocześnie autorytarne. Polska, Rzeczpospolita, była przecież anarchią składającą się z setek małych autokracji, gdzie król był zawsze słaby, ale magnaci - silni, samodzielni, gdzie każdy, byle szlachetka, byle szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, mógł decydować o losie, o życiu i śmierci swoich poddanych.

- A chłop? - zapytał Kary.

- Zawsze mógł uciec - powiedział Santana. - Na Dzikie Pola. To był system idealny. To był system, który stał się idealny w czasie pierwszej Rzeczypospolitej . Wtedy stał się miejscem, które się zaczęło samo uzupełniać. To wtedy zaczęło się kręcić to polskie koło tak, jak powinno. To wtedy, gdy stanęło przed pustką, przed otchłanią...

- To dlaczego upadło? -nie wytrzymał Kary.

- Bo czasem - powiedział Santana - jesteśmy poddawani próbom. Bo czasem zamiast uciekać od siebie, trzeba uciekać w głąb siebie, bo trzeba było bronić złotej wolności szlacheckiej, zamiast niszczyć ją Konstytucją 3 maj a, trzeba było pogłębiać poddaństwo chłopów, zamiast je powoli uchylać uniwersałami, ale za to trzeba było wprzęgać w swoje instytucje Kozaków, zamiast z nimi walczyć, wolność !- Santana wyrzucił ręce w górę. - Jeśli nie chcesz, chłopie, chacie - szturchnął Karego w bark -służyć panu, uciekaj do Kozaków! Zawsze masz wyjście! To jest prawdziwa wolność: nikt ci nie mówi, że rodzisz się w atłasach i złotogłowiach, ale zawsze masz wyjście. Dolores! - Ostatnie słowo skierowane były do dziewczyny, która przywiozła tu Karego i która teraz pojawiła się w drzwiach.

- Si, generał? - zapytała.

- Traelos aquf.

- Ja, na przykład, nie zamierzam rezygnować ze swoich praw. Praw, które sam sobie wywojowałem i przyznałem - powiedział generał Jezus Santana, gdy Dolores zniknęła z powrotem we wnętrzu bungalowu. - Nie urodziłem się Polakiem, ale się za niego uważam, bo tak mi się podoba. Nie urodziłem się chłopem, ale jestem ich przywódcą, bo tak mi się podoba. Gdybym urodził się, jak ty, chłopem, i tak robiłbym to, co mi się podoba. W Polsce jak kto chce.

- Chyba że urodziłby się pan jako poddany chłop - odpowiedział Kary.

- Nic nie rozumiesz! - Generał wstał. - Poddany chłop może uciec. Do Kozaków. Na Dzikie Pola. Przecież po to istnieją Dzikie Pola, prawda? Potraktuj Dzikie Pola jako instytucję, którą opatrność obdarowała Polskę, Rzeczpospolitą,

by ta mogła być idealna. Ale jeśli nie chce na Dzikie Pola, może przyłączyć się do bandy grasującej na drogach. W gruncie rzeczy to jego obowiązek. Ci, którzy tego nie robią, którzy w warunkach pańszczyzny godzą się na swój los, żenią się, zakładają rodziny, sami na ten los się skazują. Są go godni. Tak, oni powinni wyrabiać pańszczyznę, bo ich życie nie ma żadnego celu, jeśli decydują się zostać pod panem. Poza jednym: cudzym. Ale ci, którzy wybierają taki los, też dokonują wyboru. Ale ten, kto się nie decyduje, ten, kto ucieka, kto wraca z kozackim oddziałem do pana, kto pali mu dwór, kto gwałci jego żonę, kto rzuca kozactwu jego córki, ten jest prawdziwie wolny.

- Nie każdy - zaczął Kary, zdziwiony, że w ogóle decyduje się brnąć w tę rozmowę - jest w stanie uciec. Taka ucieczka nie jest prosta...

- Ach - zachnął się Jezus Santana - łatwo jest dać się ochrzcić, jeśli załatwiają to za Ciebie rodzice i ksiądz. Ale rytuał przejścia, prawdziwy rytuał, wymaga jednak cierpienia. Wymaga poświęcenia. To próba, próba, rozumiesz, Kary? Próba.

- No to - mówił Kary - Rzeczpospolita nie przeszła tej próby. Upadła.

- A jednak! - Santana podniósł palec. - A jednak pojawiła się przecież znowu! Los, opatrność, ktokolwiek, podarował jej drugą szansę!

- I czy ona ma koniecznie być tą samą, którą...

- A czym ma być? - zdziwił się Santana. - Czy ona leży gdzie indziej? Czy składa się z kogoś innego? Czy może mieć inne cele?

- No - podjął Kary - ma. Na przykład kolonizowanie San Fernando.

- I ja muszę jej to wybić z głowy, bo to nie jest cel, to jest nędzne naśladownictwo, to jest strojenie się w cudze piórka, udawanie, że jest się najsilniejszym dzieckiem w klasie, bo się czesze tak, jak się czesze to naprawdę najsilniejsze. Polska nigdy nie będzie tak silna na morzu, w koloniach, jak były Brytania czy Hiszpania, ba, Polska tę kolonię wyżebrała, wtedy zresztą, gdy inni zaczęli się już kolonii pozbywać. To jest żalosne, drogi panie. Ja pomagam Polsce. Pomagam jej przestać być żalosną.

DZIECINNE PYTANIA

Kiedy wszedłeś do gabinetu Złotej , jak zwykle jak do siebie i jak często woniejąc rumem niczym bar plażowy na Jamajce, siedział tam już Hycke. Z miną psotnego kota i nóżką założoną na nóżkę. Wtargnięcie Karego wytrąciło go z rytmu, bo zamarł w pół gestu, z palcem wskazującym wysuniętym ku górze, niczym mądrała z kreskówki.

- Kary - powitała cię Złota. - Dobrze, że jesteś. Pan Hycke objaśnia mi tu właśnie tajniki zamachu stanu, który zamierza przeprowadzić.

Tego, co odmalowało się w tej chwili na twarzy Hyckiego, nie byłby w stanie ująć najlepszy mistrz pędzla żadnej z epok.

- A ... - wyjęczał i zamilkł.

- Panie Hycke... - Złota rozparła się w fotelu, z trudem tłumiąc chichot. - Franciszek Kary jest moim partnerem. Nie posądza mnie pan chyba o niełojalność wobec niego. Jak inaczej bowiem mógłby pan oczekiwać ode mnie lojalności w naszym partnerstwie?

- A ... czy on przypadkiem nie ma kuli w głowie? - mruknął Hycke, choć, czułeś to, Kary, było to raczej mruknięcie rozpaczliwe, obronne i w założeniu, jak zrozumiałeś, również dowcipne. Jak to się mówi: rozbrajające bombę napiętej sytuacji.

- Pan zaraz może mieć za to szczękę w mózgu, własną - dorzuciłeś więc do puli swój żart.

Złota parsknęła śmiechem i ukryła twarz w dłoniach.

- No, taka Karego trudna uroda, panie Hycke, cóż mogę rzec - rzuciła. - Siadaj, Kary. Panie Hycke, zechce pan od początku.

- Słucham? - Dzisiejszy dzień Hyckiego pełen był niespodzianek, Kary.

- Zreferować. To, co mówił pan mnie.

- Wie pani co... - Hycke wstał z miejsca. - To wy może wszystko sobie tutaj razem zreferujcie, a ja pojawię się w innym terminie ...

- Panie Hycke, bądźmy dorośli. - Złota jednym ciężkim gestem dłoni usadziła szefa tajnego referatu i szarą eminencję Rzeczypospolitej w fotelu. - Pan jesteś zajęty człowiek, ja też, Kary też. Nie będziemy się wygłupiali, nie będziemy się łapali później, bo wiadomo, jak zajęтым ludziom wielką sprawia to trudność. Nie omówiliśmy szczegółów, nie porozmawialiśmy. Proszę mnie i mojemu partnerowi raz jeszcze wyłożyć...

Hycke wziął głęboki wdech, spojrzał na Złotą i na ciebie złym wzrokiem i zaczął mówić.

- Skoro, jak pan mówi, polityka Snardza jest samobójczym idiotyzmem - zapytał Kary - to po co, do jasnej cholery, doprowadził pan do jego rządów? Dlaczego poparł pan pucz przeciwko demokratycznym władzom? Dlaczego pozwolił pan na to, by zabito prezydenta i premiera?

- Panie Kary - Hycke przybrał ton zmęczonego profesora - zgodziłem się panu wszystko jeszcze raz wyłożyć, ale nie po to, by zadawał mi pan pytania godne dziecka.

- Konstytucja to jest dla pana ... - uniósł się Kary, ale uspokoiła go gestem Złota. Złota, pomyślał Kary, dziś jak pan Bóg. Co gest, to skutek.

- Franc. Uspokój się.

Hycke wstał i podszedł w stronę barku na kółkach, który - niby robot służący z filmu science fiction pod tytułem Dzieci pana Twardowskiego - stał posłusznie nieopodal okna. Nalał sobie whisky do szklanki, nie proponując ani Karemu, ani Złotej .

Usiadł, zamoczywszy usta.

- Polska, drogi panie Kary - powiedział - to nie jest kraj, jeśli pan łaskaw był tego jeszcze nie zauważyć, jak Francja, Anglia, Hiszpania, czy nawet Niemcy, mimo że Niemcy są teoretycznie nadal jeszcze rozbite na niezależne niby-kraje. Polska to kraj wrażliwy, nadal, bez mała wiek po odzyskaniu niepodległości, w stanie formowania się. Tworzenia.

Krzepnięcia. Nie miała dziewiętnastego wieku (Kary wywrócił oczami), gdy powstawały wszystkie struktury pozwalające być współczesnym państwom tym, czym są: samoregulującym się mechanizmem, który można poddać mniej więcej przewidywalnej woli ludu. A i w innych krajach, gdy wola ta staje się nieprzewidywalna, jak na przykład w Niemczech w latach trzydziestych, Europa, mechanizm regulujący, tę wolę skasowała. Razem z Niemcami.

Niemcy mają bowiem nieszczęście leżeć w środku Europy i mieć wygórowane ambicje, na które Europa, Zachód, pozwolić im nie mogła.

Ale Włoch, Hiszpanii, krajów, które leżały sobie z boku dziejów, dojrzewając spokojnie do tego całego sfetyszowanego ludowładztwa, mało kto się czepiał. Bo i czego się czepiać. Leżą, dojrzewają, Włochy w faszyzmie, wspomnieniu imperium, Hiszpania we frankizmie, katolicyzmie. Leżą i spokojnie się rozbudowują. Krzepną. Stopniowo odchodzą od dyktatury. My też musimy powoli, stopniowo, nie na ura. Ja wiem, lewica jest od tego, żeby cisnąć w lewicową stronę: godne to i sprawiedliwe. Prawica od tego, żeby w prawicową. Ale ja nie jestem ani lewica, ani prawica. Ja jestem realista. Jak realista prowadzi auto i widzi, że jedzie prosto na przeszkodę, to realista skręca, panie Kary.

Dla pana, panie Kary, konstytucja jest fetyszem. Ale żądać, by w kraju działała konstytucja, jeśli się nie ma utrwalonej tego kraju konstrukcji, to tak, jak jeść masło na nieupieczonym chlebie. Jak stawiać dach nad niewybudowanym domem. Ja mam inny fetysz. Rzeczpospolitą. Trwałą konstrukcję, panie Kary. Ja, owszem, pomagałem obalać rządy. Pomagałem je tworzyć. Cały czas będąc sługą jednej pani: Rzeczpospolitej.

Rozumiał to Piłsudski, decydując się skończyć z fetyszem demokracji na rzecz budowy fundamentów państwa w zamachu majowym. Rydz był idiotą, ale miał Becka, miał Kwiatkowskiego. Polska czasem się zbyt mocno wychylała, co nie służyło czasowi jej krzepnięcia, chcąc zbyt dużo i zbyt szybko, ale kiedy indziej rozwijała się mądrze. Za pieniądze sojuszników, którzy zechcieli mieć w Polsce rozsądnik ładu w Europie Środkowej, kończyliśmy kolejne pięcioletki, budowaliśmy infrastrukturę, drogi, przemysł. Szło jak po grudzie, byliśmy w końcu, poza Niemcami, jedynym zniszczonym przez wojnę państwem w Europie, więc i ponowny start mieliśmy utrudniony. Ale jakoś szło.

Później też było różnie: raz lepiej, raz gorzej. Mądrzej za Kozica, głupiej za Korzyckiego, ale w końcu, po kilkudziesięciu latach, wydawało się, że Polska jest gotowa do przyjęcia formy demokratycznej. Mieliśmy oczywiście te same co zawsze problemy: mniejszości, w tym takie jak Ukraińcy, którym tylko można było współczuć, bo gotowe były do politycznej niezależności, ale nijak, nie niszcząc Polski, nie można było im jej dać, były wewnętrzne sprzeczności, w tym między innymi dotyczące do tych mniejszości podejścia. Taka Prania miała szczęście jednoczyć się w unitarne państwo długo przed doktryną Wilsona, tępiąc każdy przejaw separatyzmu, czy to bretońskiego, czy to langwedockiego. Brytania, owszem, straciła Irlandię, ale podporządkowała sobie Szkocję i Walię atrakcyjnością: kulturową, gospodarczą, polityczną, jaką pan chcesz. I odejściem od nazwy „Anglia”, choć to oczywiście nadal Anglia Brytanią rządziła. Miałem podobny plan w odniesieniu do Rzeczypospolitej. Chciałem, by była ona mniej polska, a bardziej rzeczpospolita. By wszyscy: Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Białorusini czy Litwini, czuli się w niej u siebie. Ale by kulturą dominującą pozostała, rzecz jasna, kultura polska. Jak w Brytanii - angielska. Bo już za późno. Bo już tak się to uformowało. Ja zresztą sam jestem Ukraińcem. No, mógłbym być, gdybym chciał. Ale przecież, jak wszyscy wiemy, narodowość to jest wybór. Mój dziadek pisał się Hyćko. Oj ciec, przenosząc się do Warszawy, pisał się już Hycko, potem Hycke. Ludziom, którzy pytają mnie, co to za

nazwisko: polskie, niemieckie, holenderskie, mówię, że Rzeczpospolite. Właśnie tak, przymiotnikowo.

- No i co? - nie wytrzymał Kary. - Dlatego że ojciec pisał się Hyćko, to trzeba było wspierać wojskowy pucz, atak na Sejm, na Zamek. ..

- Tak - odparł Hycke, ciągnąc ze szklanki - bo liberałowie, którzy w końcu wygryźli z rządów chadeków, okazali się nieodpowiedzialni. Okazali się absolutnie niezdolni do myślenia w kategoriach interesu państwa. Traktowali państwo jako liberalny, merkantylny folwark, nie myśląc zupełnie kategoriami jego interesu geopolitycznego, a wyłącznie ekonomicznego. Nie myśleli długofalowo. To mogło się skończyć dla Polski zabójczo.

- No to zainstalowanie Snardza się właśnie wcale nie kończy dla Polski zabójczo.

Hycke wzruszył ramionami.

- To było ryzyko, które trzeba było podjąć. Ten się nie myli, co nic nie robi. Na początku Snardz, ba, nawet Bycza Głowa, wydawali się odpowiednimi kandydatami na poprowadzenie Polski przez kolejny etap dojrzewanania i reform. Widziałem w Snardzu polskiego Bismarcka! A w Byczej Głowie jego następcę! A teraz...

- A teraz - przerwała im Złota - Bycza Głowa odtworzył OOS, ale OOS to fasada. Wewnątrz działa coś więcej. Jakaś utajniona organizacja. I to Bycza Głowa sprawił, że to coś wewnątrz OOS-u przejmuje coraz więcej państwa. Że przejmuje nie tylko policję i z siebie tylko znanego powodu nie pozwala grzebać, na przykład, w sprawie Hieroglifów, lecz również pański, panie Hycke, referat spraw specjalnych, w związku z czym ląduje pan tutaj, u nas. I po prośbie w Oporze. Myle się?

- OOS?

- Nie OOS. Ktoś, kto działa pod przykrywką, nie wiem, w strukturach OOS-u.

Kary parsknął.

- Aha. Fajnie, że nikt tego mi wcześniej nie powiedział. Ułatwiłoby mi to śledztwo.

Hycke dopił jednym haustem whisky.

- Spokojnie - powiedział. - Dowiedzieliśmy się tego dzisiaj . Podłuchy.

Kary parsknął.

- „Dzisiaj” ...

Hycke go beztrząsco zignorował.

- Dlatego między innymi tu jestem - ciągnął. - A co do tego, co pani mówi ... to i tak, i nie. Bo tu gra idzie już nie tylko o moją pozycję. Tu idzie o Polskę.

Kary przewrócił oczami.

- Jak zawsze.

- Nie rozumiesz pan, Kary. Rzecz w tym, że Snardz jest kretynem. A jego polityka to dramat. Idiotyzm, niepotrzebne ściąganie sobie na głowę kowadła. Mimo ostrzeżeń sojuszników, mimo tego, że wszyscy, jak jeden mąż, zwracają uwagę na jej kontrskuteczność. Słowem: Polska jest teraz, powiedzmy, zbyt podmiotowa. I to wszystko ciągnie nas w przepaść.

- Czyli co? - zapytał, Kary. - Obalić Snardza?

- Tak. - Hycke wstał i nalał sobie kolejną szklanekę whisky. - Obalić Snardza.

POLAK ŁOWNY

Dolores stała w drzwiach bungalowu i zapinała koszulę.

Było upalnie i parno, i jakiś dziwny, nerwowy klimat panował w obozie generała Santany.

Partyzanci, w tym twój oddział, Kary, wyszli na akcję, która skończyła się krążeniem po dżungli i chaotyczną strzelaniną z przypadkowo napotkanym oddziałem polskich żołnierzy. Było gorąco jak diabli, nawet jak na Fernandyne, i nie było czym oddychać. Gdy odskoczyliście, napatoczyliście się na rozkładających obóz OOS-owców. OOS-owcy byli, co rzucało się w oczy, wyczerpani, wyczerpani do cna. Nieśli rannych. Ale prowadzili też ze sobą kilka młodych dziewczyn. Płakały. OOS-owcy, którzy zrzucili plecaki i powyciągali już menażki, zobaczywszy was, unieśli ręce do góry. Byli kompletnie zaskoczeni. Dziewczyny, gdy was zobaczyły, rzuciły się w waszym kierunku.

Fernandyńcy chcieli strzelać, ale powstrzymał ich komendant, nazywał się Murieta. Rozmawiał z Dolores. Dolores podeszła do Karego.

- Franek, czy to jest ten oddział specjalny OOS-u? - zapytała.

Popatrzyłeś na ich mundury i dystynkcje.

O tak, pomyślałeś.

O tak.

Osy.

Najlepsi z najlepszych z wojsk obozińskich. Szkoleni, tak samo jak wy, komandosi z bydgoskiej spadochronówki, w pieswybie. Tylko gdzie indziej . W jakimś tajnym miejscu, którego lokalizację znała tylko wierchuszka obozu. Mówiło się, że nawet OOS-owcy, którzy zakwalifikowali się do szkoleń, nie mieli pojęcia, gdzie ich przewożą i w jakim miejscu spędzają dwa lata intensywnego treningu, ale to, wiedziałeś, Kary, doskonale, była kompletna bzdura. Byle trep w Polsce umiał rozpoznawać położenie choćby po gwiazdach. No chyba że im nieba w nocy nie pokazywano. Przez dwa lata.

Oddział Specjalny Obozowych Oddziałów Szturmowych. OS-OOS. Osy.

- Ty, tam jest ta kurwa zdradziecka - warknął któryś z OOS-owców. -Ten Kary. I splunął.

Jeden z OOS-owców zaczął ci się przyglądać. I ty go poznałeś. To był ten chłopak z dobrego, lecz podupadającego domu, który wciągnął cię w Falangę. Ostatni raz widziałeś go wtedy, gdy cię bił. Tam, na nasypie kolejowym. Po tym, o czym nie lubiłeś pamiętać. Paweł Krzyżanowski.

- Tak - powiedziałaś i podszedłeś do niego, wy ciągnając z pochwy nóż, wzór 1978. -To ja. Cześć, Paweł. Widzę, że osą zostałeś.

I podsunąłeś mu ostrze pod oko.

- A ty kurwą.

Kary się roześmiał.

- Kurwa to człowiek. Osa to pasożyt - powiedział. - Pasożyty się niszczy.

Dolores złapała go za ramię.

- Żywcem - szepnęła. - Jeśli to ci, którzy znają koronę, to żywcem. Rozkaz Jezusa.

Wzruszyłeś ramionami.

No a wieczorem byłeś w bungalowie Dolores. Paliliście konopie, które tutaj rosły na potęgę. Piliście cienkie wino. Noc była bardziej gęsta niż zazwyczaj . Jeszcze

bardziej parna i jeszcze bardziej czarna. Jak zawieszista, gorąca kawa. A na drugi dzień była niedziela i z rozkazu Jezusa wstrzymano walki.

Dolores pocałowała cię w usta. Lubieś jej wargi. Były pełne, a ślad dotyku anioła nad jej ustami - głęboki i trochę wilgotny.

Bolała cię głowa. Ale to nie był kac. Czuleś, że mózg masz jak z kamienia. Jakby ktoś zalał ci wnętrze głowy gipsem. To wszystko nie miało sensu. Takie życie było ciemne i cienkie, choć rozświetlane niebiesko-żółtym niebem, choć przesiąkane przez zielone, mięsiste liście. Straciłeś rachubę, jak długo siedziałeś w Forcie Jezus, bo tak górnolotnie nazywała się ta ukryta głęboko w górach Fernandyny quasi-twierdza Jezusa Santany-Coraba. Często wychodziłeś na akcje w oddziale Muriety, i to, miałeś wrażenie, pod czujnym okiem Dolores. Santana zakazał ci wracać do poprzedniego oddziału, którym dowodziła Teresa. Kazał ci czekać. I czekałeś. W bungalowie Dolores. Omiatany niechętnymi spojrzeniami Fernandyńczyków. Właściwie spojrzeniami wszystkich, poza Dolores i samego Jezusa Santany. Który patrzył na ciebie zastanawiająco ciepło swoimi brązowymi oczami. Tak ciepło, że zastanawiałeś się, czy nie jest przypadkiem pederem.

- Dziś - powiedziała Dolores, zakładając krótkie bojowe spodnie na nagie ciało - ceremonia. Dzień święty.

- Co?- zapytałeś. - Bo niedziela?

- Nie. - Uśmiechnęła się. - Co jakiś czas mamy ceremonie. Z klarywidentą.

Na obiad wydawali jakąś papkę z kukurydzą i kurzym mięsem. Zapijałeś winem rozcieńczonym wodą. Leżałeś w cieniu pod markizą z palmowych liści i czytałeś Witkacego. Dramaty zebrane. Dolores nie rozstawiała się z tą książką. Zastanawiałeś się, czy ona cokolwiek z tego popierdolonego języka może rozumieć, jeśli ty ledwo rozumiałeś. „Słucham nie słów, lecz dźwięków” - powiedziała ci kiedyś Dolores, gdy ją o to zapytałeś.

Dolores pojawiła się prosto z rozgrzanego powietrza, jak południca.

- Jezus cię wzywa, Franc - powiedziała. - Chodź.

U Santany odbywał się kolejny wykład z pseudohistorii i pseudopolityki. W dziwny sposób ty sam byłeś na to wszystko, na te jego bzdury, jakoś uodporniony, ale patrzyłeś, jak słuchają go inni. A słuchali jak zaczarowani. Siedział między nimi, ku twojemu zaskoczeniu, kapitan pojmanego oddziału OOS-owców. Znałeś go ze słyszenia, mówili na niego Komeciarz, bo z wykształcenia był astronomem. Ale jako że był astronomem romantykiem, to o wiele bardziej interesowała go mistyczna astrologia. Był wysoki i jabłko Adama miał tak wielkie, jakby ugrzązł mu w przetyku kawałek cegły. Widać było, że próbuje, wzorem tak zwanych wielkich postaci z literatury, zachowywać godność w niewoli. Był gładko ogolony, choć podejrzewałeś, że musiał golić się komandoskim nożem. Wzór 1978 oczywiście. Ale i on słuchał Santany z zachwytem. Słuchał go też, patrząc nań jak sroka w gnat, Krzyżanowski. Musiał ten pozał się boże Kurtz fernandyński z pociętą mordą mieć w sobie coś takiego, co przyciągało do niego ludzi jak ćmy do światła, choć, Kary, za ciężkie diabły nie miałeś pojęcia, co też to może być.

Ty słuchałeś więc Santany jednym uchem. Santana mówił coś o tym, że Anglosasi to ludzie morza i że to oni nadali światu swój cywilizacyjny kształt, wypolerowany i wypieszczony przez długie lata jak kamień na dnie rzeki. Inne europejskie cywilizacje, te lądowe, od niemieckiej po słowiańskie, zamiast polerować to, co swoje, próbowały naśladować tę anglosaską, która do nich nie pasowała. Niemcy w swoim naśladownictwie poszli aż po kolonie, które im do niczego nie były potrzebne i które w ich wypadku były absolutnie nienaturalne, bo naturalnym przeznaczeniem Niemiec jest rozlewać się po Eurazji, nie po oceanach. I w tej Eurazji konkurować ze Słowianami.

Dzieci Santany kręciły się pomiędzy gośćmi. Były śmiałe. Jak małe małpki. Były wszędzie. Właziły gościom na kolana i podjadały im z talerzy. Ta sama mała dziewczynka, która kiedyś, gdy po raz pierwszy widziałeś Santanę, mówiła mu coś na ucho, patrząc na ciebie złośliwie, zwinęła ci z talerza garstkę ryżu z rybą. Dolores spojrzała na nią z uśmiechem.

- Anna, a psik! - zarechotał Santana, zerkając na Dolores. - Zostaw panu! Oni tam w Polsce jedzą wieprzowinę, niech się nacieszy naszą morską kuchnią! Tak, tak. U nas morze, małże, ryby. U was łąd. Świnie, krowy. Polska - przeszedł Santana jak gdyby nigdy nic do wykładu - nie nauczyła się na przykładzie Niemiec niczego i teraz, nie wiadomo po co, siedzi na tej Fernandynie, uwikłana w kolonialną wojenkę ze zwykłymi, słabymi i głównie duchem silnymi partyzantami, karaibskimi chłopami, i nawet tej wojny nie potrafi wygrać. Polska - rozvodził się Santana - jest świetna w walce na stepie! Na równym! Na płaskim! Husaria! Kawaleria! Ułani! Ci, którzy uratowali Polskę już tyle razy! Za Chmielnickiego, w czasie potopu, w dwudziestym, w trzydziestym dziewiątym! Na polu to nawet Niemcy nie dostoją! Ale na morzu? Polak na morzu? Śmiech na sali, śmiech w bungalowie - mówił i wszyscy się śmiali. Łącznie z astrologiem Komeciarzem.

Później wniesiono klarywidentę. Wniosły ją, zauważyłeś, te same dziewczyny, które partyzanci uratowali z rąk OOS-owców. Wyglądały, jakby zostały czymś otumanione. Jedna z nich miała podbite oko. Były bose i ubrane w luźne koszule, wszystkie takie same.

- Wpadły z deszczu pod rynnę - mruknął do Dolores.

Dolores wzruszyła ramionami.

- Jest wojna, Franc.

- A ty jesteś kobietą. Nie przeszkadza ci to?

- A ty jesteś mężczyzną. Nie przeszkadza ci to?

- Przeszkadza, przecież właśnie mówię ...

- A poza mówieniem robisz coś, by to zmienić?

Popatrzył na nią z ukosa. Uśmiechnęła się cierpko.

- Jezus lubi kobiety - powiedziała.

- Myślałem, że jest pederastą.

- No cóż... - Przeciągnęła się. - Młodymi chłopcami też nie wzgardzi. Ale młodymi.

Santana wstał. Jego wielkie, zwaliste cielsko nawisło nad siedzącymi przy niskim stole biesiadnikami.

- No cóż, kochani - powiedział - raczcie się klarywidentą. Dobrze jest przegryźć gorzką czekoladą. Ja - wziął ze sobą niewielką karafkę z brązowym napojem o gównianym kolorze - pójdę na chwilę do siebie. Dolores, panie Kary - skinął na was - pozwólcie ze mną.

- No proszę - mruknął Kary. - Wiesz, o co tu chodzi?

Uśmiechnęła się do niego.

- Wiem.

- Klarywidenta jest bardzo paskudna - powiedział Santana, nalewając do wojskowych kubków. - Proszę, przegryzajcie. Banany, czekolada. Czym innym nie warto. Wszystko inne zwymiotujecie. Panie Kary, pił pan kiedyś klarywidentę? - zapytał.

- Nie - odpowiedział.

- No to jest okazja. No to co, za lądową potęgę Rzeczypospolitej !

Dolores się roześmiała. Wypiła na raz. Kary, krzywiąc się niemiłosiernie, też. Santana sączył swoją z szerokim uśmiechem, a jego oczy grzały dziwnie miłym ciepłem w tej pooranej twarzy.

- No i mam jeszcze jeden toast, panie Kary. Niedługo zrobimy coś, co zmieni losy tej wojny. Jest pan naszym żołnierzem, żołnierzem Fernandyny. Jest pan doświadczonym żołnierzem. Chciałbym zaproponować panu awans. Oficerski. I poprowadzenie własnej grupy bojowej . Jest pan komandosem. Z tego, co mi mówiono, mistrzem polskiej sztuki walki. Korony. Chcę, by pan szkolił moich ludzi.

Poczułeś, że gips w twojej głowie tężeje.

Nie, Kary.

Nie.

Bo ty, Kary, budziłeś się rano i pierwsze, co robiłeś, to wyłączałeś kielkujące myślenie. W lesie to było prostsze. Żyłeś jak zwierzę i nie myślałeś. Zwierzęta nie

myślą. Zwierzęta kierują się instynktem - i ty też kierowałeś się instynktem. Nie potrzebowałeś niczego innego. Nie chciałeś myśleć o tym, kim jesteś w tym lesie. Wstawiałeś i zabijałeś, tak, zabijałeś tych, którzy zabijali innych. Na tym kończyło się twoje rozumienie tego, w czym uczestniczysz, i blokowałeś całą resztę. Nie chciałeś rozumieć nic więcej . I choć wiedziałeś, że sytuacja jest o wiele bardziej skomplikowana, to ci wystarczało. Ba, to musiało ci wystarczać, bo nie chciałeś myśleć więcej.

W górskiej płataninie jaskiniowych korytarzy, zbieranie bungalowów, ziemianek i okopów, szumnie zwanej Fort Jezus, było już trudniej . Tu miałeś więcej czasu. To już nie był sam marsz, przedzieranie się przez dżunglę, wycinanie maczetami ścieżek, bezmyślne słuchanie rozkazów, strzelanie, kiedy każą strzelać, a wieczorem, przy ognisku, pod palmami i rozgwieżdżonym niebem, czyszczenie pistoletu maszynowego Mors, palenie konopi razem z innymi, picie cienkiego wina. I robienie innych rzeczy, których w zasadzie można by wyuczyć i małpę. Tak było dobrze, a teraz nagle masz czas, nie jesteś wiecznie zmęczony, masz z kim rozmawiać i trudniej ci utrzymać się w ciągłym, błogosławionym otepieniu. Teraz nagle musisz myśleć. Musisz się odnosić. Musisz stawiać czoła własnej świadomości. I, co więcej , tego właśnie zaczyna wymagać od ciebie ten pierdolony Jezus Czarnych Antków.

- Nie. - Odchrząknął. - Nie nadaję się na oficera. Ja nie myślę. Nie chcę myśleć.

- Doskonale pana rozumiem. - Santana poklepał cię po ramieniu łapą wielką jak bochen wiejskiego chleba. - Ja też rzadko się do logicznego myślenia zniżam. To upokarza człowieka. To jest niepotrzebne. Człowiek zachowuje się jak maszyna. Racjonalność jest czymś z gruntu prymitywnym i małym. Niech się pan nie boi. Tutaj to panu nie grozi.

Milczałeś, pogryzając czekoladę.

- Nie - powiedziałeś w końcu.

- Można wiedzieć dlaczego?

- Bo nie chcę zastanawiać się nad kwestiami związanymi z moją lojalnością.

- Ach, lojalność. - Santana roześmiał się wyjątkowo jakoś dźwięcznie i radośnie i mocno to kontrastowało z jego dramatycznie pociętą twarzą. -Ta kategoryjka ... wie pan, człowiek nie musi być lojalny wobec takiej czy innej grupy ludzi tworzącej taki czy inny konstrukt społeczny, bo te konstrukty rządzą się wyłącznie swoimi interesami, niczym więcej. Albo ambicjami, które mylą z interesami. Ale to jest myślenie tego rodzaju, o którym mówiłem wcześniej. To jest myślenie małostkowe. Mechaniczne. Niegodne człowieka. Jak klarywidenta?

- Paskudna.

- No właśnie. Ale za to co się będzie działo później! Ho, ho! Zresztą - rozmarzył się - za chwilę załatwimy również kwestie związane z pana lojalnością. Same się załatwią, wie pan. Zdrowie! - powiedział Santana i wypił resztkę klarywidenty.

I wstał, i wyszedł.

Klarywidenta zaczęła działać, gdy siedzieliście z Dolores na tarasie za czymś, co można było nazwać dworkiem Santany. Był to bungalow, ale spory, szeroki. Wiadomo - drewniany, acz nawet podmurowany. Za domem rosły palmy i rozciągał się widok w dół, na porośniętą dżunglą dolinę, na której dnie, jak wiedziałeś, płynęła rzeka. Dziewczyny, które wcześniej podawały klarywidentę, krzątały się, przystrajając girlandami kwiatów coś, co przypominało myśliwską ambonę. Nad amboną widniał symbol, którego Kary nigdy wcześniej nie widział. Przypominał Karemu stylizowaną trumnę.

Wiał akurat przyjemny wietrzyk. Cień był miły. Klarywidenta wyostrzała te wszystkie przyjemności, kontrastowała kolory i w pewnym momencie, Kary, poczułeś nawet, że mógłbyś być tutaj, na Fernandynie, szczęśliwy.

- Dlaczego Santana ma tak strasznie pociętą mordę? - zapytałeś Dolores, dziwiąc się sobie, że nie zrobiłeś tego nigdy wcześniej. - Miał jakiś wypadek? Polacy go posiekli?

- Nie - odpowiedziała. - Santana jest kapłanem oju. Wysokim kapłanem oju. A tacy niszczą swoją indywidualność. Symbolicznie.

- Co?

- Pozbawiają się rysów twarzy. Żeby duch mógł łatwiej ich opętać. Rytuał oju, który zresztą niedługo się zacznie, polega na tym, że biorący w nim udział wpuszczają w siebie duchy. Pozbawienie się rysów to sygnał dla niego, że pozbawiasz się własnej indywidualności na jego rzecz. Że mu się oddajesz. Duchów jest wiele, ale kilka jest najważniejszych. Król Jansa, którego chrześcijanie czczą jako Świętego Jerzego, to duch wojny i polowania. Stary Czango, brodaty, którego znacie jako Jahwe, to najważniejszy duch w całym wszechświecie. Ersula to duch kobiet, płodności, miłości, romantycznej i sprzedajnej. Znacie ją jako Matkę Boską...

- Czekał, czekał - odpowiedział - przed wykładem z religioznawstwa ... to znaczy, że on sam tak się pociął?

Dolores wzruszyła ramionami.

- Sam albo pocięli go inni kapłani podczas specjalnego rytuału ... nie wiem.

- A jak to wpuszczają w siebie duchy?

- Dlatego pijemy klarywidentę, Kary - odpowiedziała. - Ona jest napojem, za pomocą którego duchy dostają się do twojego ciała. Ty już je w sobie masz.

- Jak to? Mam ducha? - Roześmiała się, Kary, bo z jakiegoś powodu wydało ci się to strasznie zabawne.

- Duchy, tak. Teraz jest wojna. W czasie wojny przywołuje się Króla Jansa. Ducha polowania, walki. ..

- I będziemy dziś przywoływać Króla Jansa?

- Tak. I polować.

- Na co?

Dolores popatrzyła na ciebie, rozbawiona.

- Na Polaków.

Roześmiała się, Kary, choć niepewnie.

Dżungla rozbrzmiewała dziwnymi, nieznanymi ci do tej pory dźwiękami. Zupełnie jakby gdzieś tam, w dole, przy rzece, czaiło się coś dziwnego. Coś, o czym byłeś święcie przekonany, czego nie widziały jeszcze nigdy ziemskie oczy. Coś fascynującego, coś, co koniecznie, teraz i zaraz, musiałeś zobaczyć. Coś, co przywoływało cię do siebie. O tak, byłeś szczęśliwy na Fernandynie, teraz to czułeś. To była niesamowita wyspa. Wyspa szczęśliwa. Chmury nad porośniętymi dżunglą górami układały się w kształty, twarze, które pamiętałeś z Polski. I zaraz się rozwiewały. I czułeś wtedy ulgę, taką ulgę, jakiej nie czułeś nigdy wcześniej.

- Polaków? - zapytałeś.

- Taaak - mruknęła, przysunęła się do ciebie i ujęła cię pod rękę. -Dziś to jedno. A niedługo ... Santana chce, żebyś z nami szedł.

- Gdzie?

- Na Polaków.

- Przecież - przełknąłeś ślinę - chodzę.

- Tak.

- No więc pójdę.

- Tak. To będzie przełom.

- Jaki przełom? - zapytałeś. Głosy z dżungli stawały się coraz silniejsze i wydawało ci się, ba, byłeś pewien, że cokolwiek je wydaje, niedługo stamtąd wyjdzie, wypełźnie w waszą stronę. Wydawało ci się, że z dołu, z lasu, czego wcześniej nie widziałeś, jakimś cudem, wystają dachy pradawnych świątyń. Zarośniętych przez pnącza, liany i chaszczce zrujnowanych miast, nad którymi - co więcej - zaczęły się unosić jakieś latające stworzenia. O wiele większe od ptaków. Harpie? - myślałeś.

- Zejdziemy w dół. - Czułeś, że na Dolores też już powoli zaczyna działać klarywidenta. - Spalimy osady...

- Osady - powtórzyłeś tępo. - Chcecie spalić osady. Tam ... żyją ludzie ...

- No jak to w osadach, puta madre - roześmiała się Dolores dość nienaturalnym śmiechem. - Spalimy te nowe polskie osady. To będzie wstrząs. Szok w tej wojnie.

Przełom. Nikt, żaden Polak, nie będzie chciał tu już przyjeżdżać. Nikt więcej . Nie będzie kolonii. Po co taka kolonia, której się nie kolonizuje ...

- Ale... - mówiło ci się coraz trudniej - cywile.

- Cywile - zachnęła się. - Zawsze mnie drażniło to rozróżnienie między żołnierzem a cywilem. Czy mnie ktoś kiedykolwiek pytał, czy chcę być żołnierzem czy cywilem? Czy ich - wskazała odpoczywających pod wejściami do jaskiń fernandyńskich bojowników - ktokolwiek o to pytał? Przyszła Polska, przyszła wojna, i tyle. To chłopci, tacy sami jak ci Polacy. Tylko że to ci Polacy zabrali im ziemię. Zabieraj ą im kraj. Nie odwrotnie.

Mruknąłeś coś niezrozumiale i znów zacząłeś nasłuchiwać.

Zanim się ściemniło, w twojej głowie zdążyło już zajść tyle niesamowitych wydarzeń, zmienić się tyle światów i rzeczywistości, że nawet ucieszyłeś się, że pierwsza fala działania klarywidenty, jak sądziłeś, już przeminęła. Pozapalano lampiony i ogniska. Zastanawiałeś się, jak to możliwe, że polskie lotnictwo nie odkryło jeszcze tej bazy w górach nie tak dużej przecież wyspy. Być może dlatego, że po pierwsze, polskie lotnictwo było tutaj z powodów logistycznych bardzo słabe i w walce praktycznie nieużywane. Poza, czasem, helikopterami. Po drugie, większa część kompleksu składającego się na Fort Jezus znajdowała się w płątaniu jaskiń w zboczu gór niedostępnego pasma Świętej Łucji. Ale w taką noc jak dziś, gdy oświetlono połowę zbocza, myślałeś: gdyby tylko podleciała tutaj jakaś helikopterowa eskadra, wystarczyłoby trochę napalmu i cała wierchuszka fernandyńskiego powstania zniknęłaby w jeden wieczór.

Muzyka była dziwna. Kilku bojowników wybijało na bębnach transowy rytm. Księżyc świecił tak jasno, jakby ktoś włączył nastrojową lampę. Był zresztą wielki, wydawał się gigantyczny, jak planeta Nibiru, która wychynęła z głębi kosmosu tylko po to, by zmiażdżyć ziemię. Cała dżungla cykała, wrzeszczała głosami jakichś ptaków i upiorów. Widziałeś oficerów, w tym twojego przełożonego, Murietę, jak szli w stronę ukwieconej ambony. Dziewczyny, te same, które ją stroiły, stały teraz pod nią. Były nagie, a na ich twarzach wymalowane były trupie

czaszki. Po białej farbie ciekły łzy. Murieta złapał jedną z nich za pierś i roześmiał się chrapliwym, dziwnym śmiechem. Dziewczyna skuliła się i zawyła. Pozostałe obległy ją, próbując osłonić. Zbiły się w grupkę, jak pisklęta. Chciałeś, Kary, tak myślałeś, Kary, żeby coś z tym zrobić, ale nie miałeś siły, nie wiedziałeś, jak zebrać się do kupy. Co ze sobą zrobić. Ale chciałeś, bohaterze, chciałeś. Zacząłeś nawet rozpinąć koszulę, by dać ją jednej z dziewcząt, gdy nagle bochniasta ręka walnęła cię w plecy.

- Czujesz? Czujesz? - huknął ci nad głową bas Santany.

- Co? - wykrztusiłeś.

- Króla! Króla Jansa! - zawołał Santana. Głos miał również dziwaczny, a oczy mu błyszczały od klarywidenty. - Jest między nami!

Co, już się rozbierasz? Poczekaj ! Poczekaj . To po polowaniu. Po polowaniu zapraszam na mały bankiet ku czci Ersuli.

Między fernandyńskimi oficerami, których wcześniej widziałeś w bungalowie Santany, nie dostrzegłeś Komeciarza. Nie został widocznie zaproszony na polowanie. Oficerowie jakimś białym mazidłem malowali sobie wzajemnie czaszki na twarzach, takie same, jaką miał wymalowaną Santana. Od strony jaskiń prowadzono jakichś ludzi. Mieli związane z tyłu ręce. Gdy weszli w krąg światła, poznałeś polskie mundury. I nie były to mundury OOS-u.

To byli zwykli, poborowi żołnierze. Było ich pięciu i widziałeś, że są śmiertelnie przestraszeni. Jeden z nich na głowie miał bandaż. Przymknąłeś oczy. Gdy je otworzyłeś, stała przed tobą Dolores.

Wcisnęła ci w dłoń twój pas. Przytroczona do niego była kabura z visem w środku. Z drugiej strony zwisał schowany w pochwie nóż.

- Morsa zostawiłam w bungalowie. Polujemy z bronią krótką -powiedziała. - Masz pełny magazynek. Jeśli skończą ci się naboje, pozostaje biała.

Zapiąłeś pas. Dolores wyjęła z torby mazidło o konsystencji sproszkowanej kredy zmieszanej z czymś tłustym i zaczęła paćkać ci twarz. Przyjrzała się krytycznie swojemu dziełu.

- Może być - oceniła. - Teraz ty mnie namaluj - powiedziała, wrę czając ci plastowy pojemnik z białą paćką.

Poczułeś woń kadzideł.

Santana na ambonie krzyczał coś po hiszpańsku.

- El cazador - słyszałeś - se convierte en el cazado!

Do drżących ze strachu żołnierzy podszedł Murieta. W dłoni miał nóż. Rozciął im więzy.

- Corre! - powiedział. - Uciekajcie.

Kary biegł przez selwę. Przed chwilą poderżnął gardło Muriecie, który brał już na muszkę jednego z polskich żołnierzy. Oszczędzał naboje. Żałował swojego wahania, tego, że nie strzelał do Santany, gdy jeszcze był na ambonie. Żałował, że - jak idiota - odczekał posłusznie i honorowo do końca ceremonii i że ruszył dopiero ze wszystkimi. To nie miało sensu. Powinien zestrzelić skurwysyna jak odpustową zabawkę na strzelnicy w Kalwarii.

Słyszał warkot terenowego czwórkołowca, na którym pędził Santana. Z przerażeniem zanotował, że dzieciaki, te adoptowane „dzieci” Santany, a konkretnie te z nich, które były już w stanie utrzymać pistolety w dłoniach, również biegną za Polakami, wrzeszcząc wniebogłosy.

Słyszał bas Santany. I wydawało mu się, że skurwysyn śpiewa znaną mu biesiadną piosenkę.

- Wiwat z Maciosiem i przyjaciółami - śpiewał Santana. - Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

Kary uciekał.

Wiedział, że Fernandyńscy poluj ą również na niego. Klarywidenta sprawiała, że dżungla, przez którą biegł, wydawała się żywym stworzeniem, miał wrażenie, że stopy więzną mu w ziemi, że liście, o które się ocierał, wciągają go w głąb, ściągaj ą z trasy. Mózg też próbował mu się rozjeżdżać na różne strony, ale

Kary zeżarł w życiu tyle kwasu, że nie robiło to na nim specjalnego wrażenia. Kątem oka zobaczył sapiącego z przerażenia polskiego żołnierza.

- Tu! - wrzasnął. - Na dole jest rzeka! Uciekaj ze mną!

Żołnierz odwrócił się i w bladym świetle księżyca ujrzał Karego i wrzasnął ze strachu. Kary przypomniał sobie, że na twarzy ma wymalowaną czaszkę.

- Jestem Polakiem, stój! - krzyknął.

Żołnierz zawahał się. Rozległ się strzał. Upadł, wpatrując się w Karego wybałuszonymi oczami. Z gąszczu wybiegła Dolores. Wycelowwała w Karego pistolet.

- Polak jednak zawsze będzie Polakiem - powiedziała, uśmiechając się. - Macie obsesję na swoim punkcie. Boże, jacy wy jesteście nudni i pretensjonalni. „Ja też jestem Polakiem, uratuję cię, bracie, choć nigdy wcześniej cię na oczy nie widziałem i chociaż jesteś zbrodniarzem wojennym”.

Nie sądziłeś, nawet nie przeszło ci przez myśl, że mogła być taka szybka. Warkot czwórkołowca się przybliżał.

- No to cóż, Kary. - Dolores się uśmiechnęła. - A mogło być tak pięknie, patrz.

Rzuciłeś się na ziemię i odturlałeś za drzewo. Strzelała za tobą. Usłyszałeś, jak zmienia magazynek. Kurwa, jeden magazynek miał być, pomyślałeś. Wskoczyłeś zza drzewa i strzeliłeś jej prosto w głowę.

I nic. Suchy szczęk iglicy.

Strzeliłeś drugi raz.

- Myślisz, że jesteśmy aż tak naiwni, Kary? - Dolores wciąż się uśmiechała. - Przecież my polujemy przede wszystkim na ciebie. Santanie się nie odmawia.

Usłyszałeś, gdzieś niedaleko, za drzewami, terkot czwórkołowca.

- Odnówmy przodków ślaki wiekopomne - zawodził, przekrzykując ten terkot, Santana - precz stąd szklanice, naczynia ułamne! Gdzie jesteś, Kary, zdrajco ty podwójny! Notoryczny!

Dolores zerknęła za siebie, krzyknęła: Aquf!, i na pół sekundy straciła koncentrację, to wystarczyło. Rzuciłeś się na nią i przygniotłeś ją do ziemi.

Wykręciłeś jej nadgarstek, krzyknęła. Pistolet wypadł jej z dłoni. Szarpała się, łatwiej by było utrzymać w uścisku wściekłego drapieżnika. Poturlaliście się, zawadzając boleśnie o wystające korzenie i diabli wiedzą co jeszcze, w dół zbrocza.

- Aqui? Donde, mierda ? - ryczał Santana zza zielonej ściany, a jego czterokołowiec terkotał na jałowym biegu. - Lo siento, bebi demasiado clarividente, ha, ha, no tengo idea de lo que esta pasando! Po staroświecku pijmy pucharami - zaśpiewał generał - kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

Kary przygniatał Dolores do ziemi, zasłaniając jej usta dłonią. W dłoni trzymał nóż. Uderzyła go kolanem w żebra, później jeszcze raz. Wiła się, a każdy jej ruch był ruchem szarpiącego się węża o żelaznym ciele. Musiałeś trzymać się z całej siły. Z całej siły przyciskać do ziemi.

Usłyszałeś strzał. Widocznie Santana, z mózgiem parującym od klarywidenty, strzelał w kierunku, z którego, jak sądził, dobiegł głos. I znów ruszył z warkotem. Poczuleś, jak osypują się na ciebie kora i liście. Nóż, który trzymałeś w ręku, przycisnąłeś do szyi Dolores, ale jakimś cudem - czego, Kary, nie byłeś w stanie pojąć - udało jej się go od tej szyi odsunąć. Czubek znaj dawał się teraz przy oku dziewczyny. Westchnąłeś.

- Wybacz, Dolores - powiedziałaś, napierając na nóż, co zmusiło cię do zdjęcia dłoni z jej ust. Spodziewałeś się, że znowu krzyknie.

- Nie zrobisz tego - wydyszała jednak tylko dziewczyna, uśmiechając się i przytrzymując twoją rękę drżącymi z wysiłku dłońmi. Oczy miała piękne, brązowe, błyszczące. Wilgotne. - Nie zrobisz.

Ale zrobiłeś. Wbiłeś nóż. Wtedy Dolores ryknęła - strasznie, przerażająco, przejmująco do kości. Poczuleś, jak ostrze skrobie o jej oczodół. Ucichła. Miałeś na dłoni jej gorącą krew. Ciemno było i ledwie widziałeś to czerwone bagno, w które zmieniło się jej oko. Uścisk Dolores zwiotczał. Wszystko to razem trwało raptem kilka sekund.

Kary usłyszał krzyk Santany i warkot motoru. Odwrócił się, szukając go wzrokiem. Zorientował się, że czwórkołowiec się zatrzymuje, usłyszał, jak znów zwalniamy obroty silnika. Kary widział, jak czerwona kropka laserowego celownika przesuwa się po liściach. Po chwili zgasła.

- Kurdesz, kurdesz - doszło do uszu Karego - nad kurdeszami!

Wystrzał, zakotłowało się w zaroślach jakiś metr od niego. Rzucił się w miejsce, w którym Dolores wypuściła pistolet, wymacał go dłonią, klnąc cicho. Schował się w miejscu, w które dopiero co strzelił Santana.

Santana znów ruszył, parł, szarżował. Kary ze swojego ukrycia widział, jak tratuje kołami ciało Dolores. Wystrzelił w jego stronę, trochę na ślepo, bo sylwetka Santany zniknęła pomiędzy rozjątrzoną kotłowaniną liści i gałęzi.

Potem jeszcze raz. Jeszcze raz. Santana wrzasnął, ryknął motor. Słyszałeś, jak się oddala. El cazador se convierte en el cazado. Choćby na chwilę. Kary usłyszał pokrzykiwania innych polujących. Wydawało mu się, że widzi wśród drzew, w świetle księżyca, sylwetkę dziewczynki, tej najstarszej „córki” Santany, która wrzeszczy wniebogłosy i próbuje poradzić sobie z pistoletem większym od jej głowy.

To wszystko wydało mu się upiorne. Jak bebechy najgłębszego szaleństwa. Rzucił się do ucieczki. Reszta była ciemnością, bo czarne plamy, które widział przed oczami, zasłoniły nawet księżyc.

Któregoś dnia zapukano do garnizonu polskiego w Śmiglicach. Wychudzony brodacz, który dobijał się tam po nocy, kazał prowadzić się do dowódcy. Nie poznano w nim dezentera i zdrajcy Franciszka Karego. Myślano, że jest jednym z osadników, który - jak twierdził - przynosi polskiemu wojsku ważne informacje. Trzeba, mówił, się spieszyć. Bo „oni już idą”.

Gdy rozbudowano dowódcę, wielkiego chłopą, pułkownika Anatola Rozenka, i gdy ten, dopinając koszulę tropikalnego munduru na przepoconym podkoszulku w kolorze khaki i nakładając polową rogatywkę, zaprosił brodacza do swojego gabinetu pod huczącą jak sam szatan klimatyzacją, ten powiedział:

- Na polskie osady na wybrzeżu, na Nową Wolę i inne, idą Fernandinos. Z tego, co wiem, chroni je tylko jeden, osłabiony garnizon. Jeśli nie wyślecie wojska, będzie tam rzeź. Oni wymordują wszystkich.

- Skąd pan to wie? - zapytał Rozenek, nakładając na oczy okulary i marszcząc czoło, by pod wielkim polskim godłem wiszącym nad jego głową prezentować się godnie w obliczu tego, co, jak czuł, zaraz zostanie wypowiedziane.

- Jestem Franciszek Kary, dezertor z Wojska Polskiego - zgodnie z jego przypuszczeniami odpowiedział Kary. - Wiem. Wiem też, gdzie znajduje się Fort Jezus, w którym przebywa samozwańczy, jak to się mówi, generał Jezus Santana-Corab. Teraz możecie mnie rozstrzelać. Jak mawiał wielki wódz, prezydent Weniawa, gównu mnie to już obchodzi.

MARTWE ZIEMIAŃSKIE DUSZE

Dwa narody wybrane, polski i żydowski, powinny się zjednoczyć - brzmiało hasło wypisane na transparencie, który policja wyrwała krwioziemcom. Krwioziemcy leżeli na bruku pod Sejmem, maski Adama Mickiewicza, które zerwano im z twarzy, leżały na ziemi, a ty patrzyłeś w telewizor zawieszony pod blachą.

- W gruncie rzeczy to oni mają sporo racji - powiedział Honoris Klaus, którego los ci dziś wskazał jako przygodnego kompana do picia i który znów zmienił klubowe barwy, stając się z komunisty, jak wywodził, liberałem. Tylko krowa nie zmienia poglądów, mówił ci, Kary, parę drinków wcześniej, a skomplikowana rzeczywistość wymaga unikania prostych definicji i zaszufadkowań. Miałeś na końcu języka pytanie, że jeśli tak, to dlaczego Honoris Klaus skacze z szufadki do szufadki, zamiast je rzeczywiście odrzucić, ale go nie zadałeś. Obawiałeś się, że zanim skończysz je wypowiadać, już się zdążysz sam tym pytaniem znudzić.

- Mają sporo racji - ciągnął tymczasem Honoris Klaus - bo przecież, faktycznie, tysiąc lat obok siebie żyjemy. I co? A może my jesteśmy niemożliwi bez siebie wzajemnie? My i Żydzi? Może my tak naprawdę dopiero razem tworzymy jeden naród, tylko tego nie rozumiemy? Może jeśliby Żydów nagle zabrakło, to tak, jakby zabrakło nam bardzo ważnej części społeczeństwa, tej, która odpowiada za jakieś, nie wiem, społeczne wyrafinowanie na przykład? Może my jesteśmy, razem z Żydami, naród niesklejony, który nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest jednością? Przecież ci, którzy wyjechali, to oni tam, w Izraelu, na tej pustyni,

tęsknią za Polską jak za matką rodzoną. Oczywiście, te bzdury o „narodach wybranych”, to gadanie o Wielkiej Polonio-Judei, która powinna panować nad Europą, to jakieś bzdury, ale ...

- Czekał, Klaus - powiedziałeś, patrząc na brzęczący mobil, na którym wyjarzyło ci się nagle nazwisko Ariela Baumgarta. - Żyd dzwoni. Zapytam, co o tym myślisz, ale jak z nim ostatnio gadałem, to się raczej z tego pomysłu śmiał.

- To pan, panie Kary, hrabia jesteś! - usłyszałeś w słuchawce głos, który jednak nie należał do Baumgarta. To był Karakalla, sam Karakalla. On też, jak pamiętałeś, się śmiał.

Blum, słyszałeś to wyraźnie, był pijany. Ty zresztą też byłeś pijany. Super, to sobie pogadacie. Zresztą gorszy szef dziedzic żydowskiej chewry jako kompan do kieliszka od Honorisa Klause?

- Panie Blum ... - zacząłeś, zły na skurwysyna, który się Blumowi wysypał. Kto to był? Lurje? Mieciusz Lurje, skurwysyn, był policyjnym informatorem żydowskich bandziorów? A może Zejgal? Albo Rabcz? Albo w ogóle ktoś z agencji, w końcu sporo osób zatrudnialiście, Kary, pracodawco od siedmiu boleści. A może, kurwa, Waluś, chuj jeden, twój kolega z dzieciństwa, rozpuścił informację po OOS-ach, a ta się rozniosła lotem, jak to się mówi, ptaka po mieście? - Bardzo byłbym wdzięczny za nieporuszanie tego tematu. To sprawa prywatna... i wcale nie taka prosta. Nie jestem żadnym, kurwa, hrabią.

- Dobrze, dobrze - śmiał się dyszkancikiem Karakalla - zupełnym przypadkiem wpadłem na pewnego naszego wspólnego kolegę i przekazał mi tę wesołą nowinę w formie żartu. Pan się nie gniewa!

- Można wiedzieć, kogo pan spotkał? - zapytałeś zimno.

- No coś pan - rechotał Karakalla. - Jesteśmy porządna chewra czy nie? Nie puszczamy pary.

- No i po to pan dzwonis, panie Blum. - Czułeś, jak rośnie w tobie zimna wściekłość, mafiozo czy nie mafiozo, niech spierdala w podskokach do szeolu, kurwa. - Żeby mnie zapytać, czy jestem hrabią, czy nie jestem?

- Oho - zachichotał Karakalla. -Er iz bejz wi a rojt muraszke, Ariel -powiedział jakoś poza słuchawkę, a ty usłyszałeś w tle stłumiony chichot Ariela Baumgarta. - Ja się chciałem tylko pochwalić, że jeśli tak, jeśli pan jesteś syn Lasoty, to myśmy się w dzieciństwie spotkali!

- Tak? - zapytałeś zimno, Kary. - A gdzież to? Na zjeździe arystokracji katolickiej ?

Karakalla ryknął śmiechem i śmiał się tak przez jakieś dobre pół minuty, a potem wszystko opowiedział Baumgartowi.

- Panie Blum, pan wybaczy ... - zacząłeś - ale ...

- Nie, w pana zamku, tam pod Pilicą. Mój ojciec kupił posiadłość niedaleko, pałac, przez jakiś czas w nim mieszkaliśmy. Ojciec robił wtedy interesy w Zagłębiu i handlował z niemieckim Śląskiem. Razem notabene z Rettingerem, tym aktorem. I on też tam wtedy z nami właściwie mieszkał. Oni, wie pan, mój tata i Rettinger, bardzo się podówczas przyjaźnili. Ja nawet podejrzewam, że mieli, he, he, wiesz pan, jak to się mówi, męską przygodę - rechotał Blum. - Tym bardziej że potem jakoś nie utrzymywali kontaktu. Coś musiało, wiesz pan, nie tego ...

- Nie mieszkałem w zamku - powiedziałeś, zmęczony nagle i zrezygnowany. - Ale zaraz ... z Rettingerem?

- Tak - odpowiedział Blum. - Czy to nie zabawne? Obu zabił ten sam morderca, ten Hieroglif, co masz go pan dla nas znaleźć.

- I kiedy to było?

- No - powiedział Karakalla, poważniejąc trochę - jakieś dwadzieścia lat temu. Potem pałac ojciec sprzedał i nigdy już tam nie wracał. Czy to nie zabawne? Bo przecież, jak właśnie powiedział mi Baumgart, bo ja gazet, wie pan, nie czytam, bo ja gazet, wie pan, nienawidzę, pana ojciec zginął w podobny sposób. Kondolencje.

- Daj pan spokój - powiedziałeś. - Ale zaraz ... co pan pamiętasz z tych wizyt u Lasoty?

- Ja? - zapytał Blum. - Nic. Ze dwa lata miałem wtedy. Wiem o wizytach, bo mój stary się chwalił, jak to nuworysz, że przyjaźnił się z prawdziwym hrabią,

pierwsza woda, niebieska krew. Ale to tyle. Więcej o tym nigdy nie wspominał.

- A pańska matka?

- Kadysz pan za nią zmów w wolnej chwili.

- Kurwa mać - syknął Kary.

- No wiesz pan?! - roześmiał się Blum. - To ja tu o matce nieboszczce, a pan o kurwie maci?

Kary siedział nad aktami sprawy Hieroglifa, które dostał od Hyckego. Nie cierpiał czytania akt i ogólnie całej tej papierkowej roboty. W tle leciały jakieś biciarskie starocie, których słuchał już chyba tylko Kary i podobne jemu niewymarłe bity, pochodzące gdzieś ze wsi i małych miasteczek. Na ziemi walały się, niechluj, twoje buty i kurtka. Beata gdzieś zniknęła. Trumna leżała otwarta.

Przed sobą miał akta Tyca, Krasnohorskiego i Tarnowskiego.

Wstałeś, włożyłeś buty i kurtkę. Do torby wrzuciłeś bieliznę na zmianę, bluzę i koszulę. Z szafki w łazience wyciągnąłeś podróżną kosmetyczkę z napisem: „Kto się myje, nie śmierdzi”, którą dostałeś kiedyś od Złotej, i dorzuciłeś ją do bagażu. Pistolet schowałeś w kieszeni kurtki, magazynki upchnąłeś w bocznych kieszeniach battledressów. Podszedłeś do półki z książkami i komiksami, wziąłeś nieczytany jeszcze komiks o wspólnych przygodach Człowieka-Nietoperza i Człowieka-Pająka oraz rozprawę Sławomira Pragniewicza o roli amerykańskich superbohaterów w globalizującej się kulturze masowej drugiej połowy dwudziestego wieku i o zdecydowanej wojnie, jaką wytoczyła im niemiecka kultura, i również włożyłeś je do torby. Rozejrzałeś się, czy wszystko jest w porządku, pogasiłeś światła, zamknąłeś drzwi na klucz i zbiegłeś do zaparkowanej w podwórzu kamienicy skody brzetysław.

- Jedzie pan gdzieś? - zapytał stróż Artur, wyłaząc zza winkła, co cię, Kary, strasznie jakoś rozsierdziło. Nie że zza winkła wyłaził, tylko że pytał. Nie mogłeś się przyzwyczaić do tego stróżowskiego wścibstwa, choć przecież ze wsi byłeś, a na polskiej wsi prywatność jest też raczej nie do utrzymania. Powinieneś był przywyknąć. Ale nigdy tego nie znosiłeś, a teraz nasza cię nagła wzmożona ochota

złapać ciecia za ten głupi łeb i tłuc nim o ścianę kamieniczną, aż ten tynk, co się od lat sypie (co ten cymbał Artur robi z comiesięcznymi składkami lokatorów na fundusz remontowy?), do końca się posypie.

- Nie, kurwa, nie jadę - powiedziałeś więc oschle. - Jak się wsiada do auta, to się zwykle odlatuje.

- A gdzie? - nie dawał za wygraną stróż.

- A spierdalaj - powiedziałeś więc uprzejmym głosem, zapaliłeś silnik i wyrwałeś z miejsca tak, żeby Artur musiał, wystraszony, odskoczyć. I odskoczył. A ty, Kary, źle wpasowałeś się w kamieniczną bramę i urwałeś lusterko. Dobrze, że prawe. Jechałeś i kłąłeś na czym świat stoi aż do samej Opaczyńskiej, a potem puściłeś sobie Óró, se do bheatha 'bhail w wykonaniu jakichś irlandzkich folkbitowców i zasłuchałeś się, patrząc na pięciopiętrowe ciągi wirilomodernistycznych kamienic Ochoty.

Spałeś w Pilicy, w hoteliku Jura. Wyszedłeś wieczorem do rynku i w piwiarni o dziwnej nazwie Tropikalna Meduza, w której to piwiarni tropiki były zasygnalizowane przez obfitość fikusów, doniczkowych palm i paprotek poustawianych, gdzie się tylko dało, wypileś piwo, wdając się w rozmowę z lokalną trunkową patointeligencją na temat okolicznych ziemian. Znano tu, owszem, zarówno Tyców, jak i Tarnowskich.

- U Tyców, w majątku Troksy, to już tylko stara pani została - opowiadał ci barman, a zarazem właściciel lokalu, szerokokościsty i ogólnie szeroki facet o imieniu Maciej, który jak cię zapewniano w Tropikalnej Meduzie, wie o mieście i okolicy wszystko i jest lepszym informatorem niż dziennikarze wydawanego w Ogrodzieńcu „Głosu Jurajskiego”. - Dziedzic, ten, co go zabili, to już dawno wyjechał. I rzadko bywał. A u Tarnowskich w Krzywopłotach to samo: też tylko brat tego zabitego, Karol, którego wołaj ą Lolo. A konkretnie hrabia Lolo, bo oni mają jeszcze od cara tytuł hrabiowski nadany. Ale on jest wariat. No i jeszcze był Lasota na Będzicach, koło Kalwarii, ale tego też zabili. Faktycznie - kontynuował szeroki Maciej - dziwne, jak tak pomyśleć, że wszyscy trzej w podobnych okolicznościach. Nie pomyślałem, w końcu człowiek czym innym

żyje niż, kurwa, polskie rody feudalne. Tam u Lasoty już sam stary służący na zamku, mówią, żyje. Maj ordom niby. I trzęsie się ze strachu, że jak się pojawią w końcu spadkobiercy, to go wyrzucą.

Jak na człowieka, którego nie interesują polskie rody feudalne -myślałeś, Kary - to całkiem sporo, Macieju, wiesz. Ale nic się nie odzywałeś. Co się będziesz odzywał.

- Tylko że spadkobiercy się nie garną - ciągnął tymczasem Maciej -bo zamek, po pierwsze, zadłużony, a po drugie, jest podobno jakiś bękart, syn, którego Lasota jakiejś chłopce zrobił, a przed śmiercią go sumienie ruszyło i go uznał.

- Do relacji ojca z synem - mruknąłeś - potrzebne są dwie strony.

Ale Maciej, rozpedzony w opowiadaniu, puścił to mimo uszu, a raczej mimo aparatu słuchowego, bo ten sterczał mu z lewej małżowiny, nadając wygląd cyborga z jakiejś ekranizacji opowiadania Witkacego z okresu, gdy ten pisał już prawie wyłącznie o transhumanizmie, twierdząc, że tylko w tym temacie znajduje pocieszenie w ogólnym poczuciu bezsensu wszystkiego.

- No i teraz tego bękarta podobno sąd spadkowy ściga - mówił. -Ale jak bękart nie weźmie, to już chyba tylko na Rzeczpospolitą, na skarb państwa wszystko pójdzie, a państwo wystawi na licytację i tyle z tego będzie. I będzie musiał stary maj ordom iść z tobołami. Do przytułku pewnie, bo gdzie. Kto go, starego, na służbę weźmie.

- Może znajdzie pracę u Tyców? - zapytałeś. - Albo u tych Tarnowskich?

Maciej się roześmiał, a jego szeroka twarz rozlała się w coś w rodzaju rozbawionej kałuży, co sprawiło, że zacząłeś nabierać podejrzeń, skąd też się wzięła meduza w nazwie przybytku.

- Raczej nie - odpowiedział. - Ten facet, ten maj ordom, to podobno strasznie nieprzyjemny typ. Kawał, proszę pana, chuja, jak to się mówi.

Rano jadłeś śniadanie w hotelowej restauracji i patrzyłeś przez okno na rynek. Sporo się zmieniło od czasu, gdy jeździłeś tu czasem jako dziecko. Niedawno położono nowy bruk, polskie i żydowskie sklepy wokół rynku wyglądały jakoś

czyściej i porządniej, a targu, który jak pamiętałeś, zawsze się tu rozkładał, w ogóle już nie było. Przeniesiono go dalej . Pilica była dość schludna i przyjemna. Burmistrz musiał być jednym z tych niewielu ludzi w Polsce, pomyślałeś, którym naprawdę może zależeć na publicznym dobru, bo dojmujący niedostatek takich ludzi, jak głosiła inteligencka debata publiczna w Polsce, od kiedy tylko pamiętałeś, to wina „braku polskiego dziewiętnastego wieku, który w tym kluczowym dla rozwoju nowoczesnych europejskich społeczeństw okresie właczał ludziom do głów, że należy działać w kategoriach państwowych, obywatelskich, a nie tylko myśleć o prywatnie”.

Kary skończył śniadanie, oddał klucze do recepcji, w której urzędowała dziewczyna o bardzo, zauważył Kary, bardzo lokalnej twarzy, wsiadł w zaparkowaną pod hotelem poobijaną skodę brzetysław i pojechał dalej . Na Będźce.

Maj ordom Paweł wyglądał marnie. Postarzał się. Zupełnie jakby przez tych kilka tygodni, które upłynęły od twojej wizyty w Kalwarii, tam, w zamczku Lasotów, czas płynął inaczej .

Dzwonka nie było. Bramę musiałeś otworzyć sobie sam. Skrzypiała jak przy wjeździe do jakiegoś nawiedzonego zamczyska. Pokonałeś drogę prowadzącą przez park i wjechałeś skodą na gazon. Dostrzegłeś Pawła w oknie kuchni, stał i patrzył, któż tu jedzie. Nie otwierał przez dłuższą chwilę, domyśliłeś się, że się przebierał. Park był zaniedbany. Paweł został tu sam. Było ci go trochę żal. Był skurwysynem, nie cierpiełeś go i kojarzył ci się ze wszystkim najgorszym w życiu, ale gdy na niego patrzyłeś, widziałeś nie okrutnego starca, a nieszczęśliwego, kruchego staruszka. Stary samochód Lasoty, którym teraz jeździł po sprawunki majordom, stał przed garażem. Paweł nie trzymał już formy. Nie chciało mu się, albo nie miał już siły, otwierać i zamykać bramy garażu. Zamek był nieograny. Paweł pokasływał.

Zaprosił cię do środka. Chciał znów prowadzić cię do jadalni, ty uparłeś się, że wejdiesz tylko do służbówki. Poprosił, byś usiadł, zaparzył herbatę i dopiero gdy

stanęły przed wami czajnik i dwie parujące filiżanki, gdy na talerzu pojawiły się jakieś biszkopty, podjął temat.

- Przyjechał pan tutaj , żeby objąć spadek, panie... dziedzicu? - zapytał z nadzieją w głosie.

Skrzywiłeś się i zacisnąłeś zęby.

- Nie - odpowiedziałeś. - Jak jeszcze raz tak do mnie powiesz, to cię, kurwa, żywcem zamuruję w ścianie i będziesz tu w tym pretensjonalnym zameczku straszył jako jęczące widmo i przyciągał miłośników zjawisk paranormalnych.

- Panie. - Głos Pawła stał się płaczliwy. - Pan Lasota nie żyje. Ja całe życie tylko służyłem. Za grosz nędzny, bo na zamku wikt, opierunek. .. emerytury mam tyle, co kot napłakał. Mój ojciec, dziad, pradziad....

wszystko służba. A teraz ja nie mam komu służyć. Nie mam po co żyć. Nie mam za co. Nie będę miał gdzie, jak zamek zabiorą... Jestem stary. Przyjmij pan usynowienie. Papiery wszystkie mam, notarialnie poświadczone, pan zadbał. Kontaktować się chciał z panem, ale... nie zdążył. Weź pan Będźce. Są zadłużone, owszem, ziemi już prawie nie ma. Ale są nabywcy na zamek, sprzedaż pokryje koszty, a w umowie można zapisać, że razem ze służbą... a wtedy już mnie prawo chroni, wtedy już mnie nie wyrzucą... dożyję swoich lat.

- Pan dobrze wiesz, jak było - powiedziałeś, stając przy oknie. - Pan dobrze wiesz, dlaczego ja tego kurewstwa nie chcę.

- Mam się powiesić?

- Nie wiem - odpowiedziałeś, wstałeś i podszedłeś do drzwi. - Ja -dodałeś, odwracając się - pewnie bym się powiesił. Albo wyjechał gdzieś. Na jakąś - parsknąłeś - tropikalną wyspę. Ja mam do pana pytanie. Jak pan odpowiesz, to się zastanowię. Przyjmę, powiedzmy, ten główniany spadek, niech się spali do szczętu, a potem sceduję go na pana. A co pan z tym zrobisz, to już pana sprawa. Weźmiemy z miasta notariusza.

Oczy Pawła ożywiły się natychmiast. Jak dwie jaszczurki, które wylegiwały się w słońcu, na rozgrzanym kamieniu, i nagle, podniecone jakimś impulsem,

błyskawicą, zerwały się do biegu.

- Słucham - odpowiedział chrapliwie.

- Tarnowscy, Tycowie - powiedziałeś - byli od zawsze sąsiadami Lasotów. Ich majątki znajdują się jakieś dwadzieścia kilometrów od Będźców, odpowiednio na północ i północny wschód. Krasnohorscy mieszkali dalej, bo pięćdziesiąt kilometrów, w stronę Kielc.

Paweł patrzył na ciebie uważnie, bardzo uważnie. Kiwnął ostrożnie głową.

- To prawda.

- Niedaleko, jakieś trzydzieści kilometrów na południe, kupił też majątek Rettinger. Dawno temu, ze czterdzieści lat będzie. W okolicy zbudował sobie wiejski pałacyk Koczkodan. Ten Blum. Żydowski mafiozo.

Paweł milczał.

- Panie Paweł. - Rozparłeś się na krześle. - To nie jest przypadek, że wszystkich, łącznie z Lasotą, który mieszkał między nimi wszystkimi, spotkał ten sam los.

Majordom Paweł zwiesił głowę.

- Nic nie wiem, panie dziedzicu - odpowiedział.

Wstałeś, nagłą, jak to piszą klasycy, wściekłością owładnięty.

- Daję panu rozwiązanie - warknąłeś - podsuwam. Proszę tylko o jedną rzecz. Powiedz pan, co oni wszyscy mają ze sobą wspólnego. Dlaczego ich Hieroglif zabił. Co tu się działo. Kim jest Hieroglif, jeśli pan wiesz. W gruncie rzeczy nie masz pan wyjścia. Jeśli uważasz pan, że masz pan wyjście, to ...

Paweł spojrzał ci w oczy. Po raz pierwszy jego spojrzenie było czyste i pewne.

- Mam w garażu - powiedział - trzy cysterny z benzyną. Mam w kieszeni - powiedział - granat, który stary pan Lasota przywiózł jeszcze z wojny niemieckiej .
- Tu wyjął granat z kieszeni marynarki, starą polską perforowaną szyszkę, wzór przedpotopowy, jeszcze z 1933 roku, i położył go na stole. - Ja mam wyjście, proszę pana.

Popatrzyłeś, Kary, na niego, na granat i pokiwałeś głową.

- To miej pan jeszcze nadzieję - wskazałeś głową na granat - że to nadal działa.

- Mam jeszcze browninga - od niechcienia odparł Paweł, a na jego twarzy pojawiło się to samo skurwysyństwo, które pamiętałeś, Kary, z młodości.

Przez chwilę miałeś ochotę zostać tutaj, odebrać mu ten granat, zawlec go do garażu i zanurzać głowę w tych wszystkich trzech cysternach z benzyną, po kolei, aż wszystko ci wyśpiewa jak chór na mszy pańskiej.

Ale zamiast tego, sam się sobie w sumie dziwiąc, wstałeś i ruszyłeś w stronę drzwi.

- To idź do diabła - warknąłeś, wychodząc. - Tym swoim wyjściem.

Do majątku Tyców cię nie wpuszczono. Pani na Troksach, powiedział ci odźwierny przy bramie przy niewielkim, ale na oko bardzo miłym i zadbanym parczku, odbywa bowiem codzienną drzemkę, ale jeśli, wywodził, zostawi pan bilecik, to on go pani przekaże i ewentualnie się za jakiś czas, być może, pani odezwie. Kazałeś odźwiernemu spierdalać w podskokach i pojechałeś, kipiąc nienawiścią, do majątku Tarnowskich.

Tu już było lepiej.

Pana, którym był tu wnuk zamordowanego, nie było we dworze, jak ci powiedziano przez wideofon.

- A czy jest ktokolwiek z domowników? - zapytałeś bez większej nadziei.

- A kogo mam zapowiedzieć? - oschłym głosem zaburczał domofon.

Zacisnąłeś zęby, po czym roześmiałeś się, ale tak dziwnie, w tak dziwny sposób, że aż ciebie samego ten twój śmiech zmroził.

- Bękart - odpowiedziałeś. - Bękart Lasoty, Franciszka. Przejmuję Będźce. Chciałbym się poznać z sąsiadami.

- Ojej. To proszę poczekać - usłyszałeś w głośniku radosną jakąś nutę, jakby pies się cieszył i merdał ogonem. A zaraz potem oddalający się głos krzyczał: - Panie hrabio! Panie hrabio! Nie uwierzy pan...

Karol hrabia Tarnowski. Hrabia Lolo, wariat, patrzył na ciebie znad białych wąsów i białej brody, które upodabniały go do pułkownika Sandersa z logo Kentucky Fried Chicken. Siedzieliście w altanie, a na jej dach spadały, wiatrem lekko tręcane, pierwsze jesienne listki. Październik był piękny tego roku, ale liście z jakiegoś powodu zaczęły żółknąć bardzo wcześnie.

- Mój dobry panie dzieju - powtórzył - to jakże miło, jakże miło poznać się z sąsiadem! Naleweczki proszę spróbować. Hyc!

- Prowadzę. - Uśmiechnąłeś się.

- No i cóż z tego, cóż z tego, że pan prowadzisz! Dawniej było tak, że przed odjazdem trzeba było wypić, na koń zanim się wsiadło, to się zawsze piło, dobry panie dzieju, strzemiennego pić wolno, a to nie wolno, powiedzmy, sprzęgielnego wypić? Proszę pana, to my, ziemianie (tu, miałeś wrażenie, Lolo ironicznie się uśmiechnął), jesteśmy ostoją tradycyj i tej Rzeczypospolitej, to my jej prawa stanowimy! A szlacheckie prawo zawsze było w Rzeczypospolitej najważniejsze! Bo i szlachta była zawsze najważniejsza, a u niej najważniejsze były zawsze więzi sąsiedzkie! System dworkowy, panie mój dzieju! I ja, pan na Krzywopłotach, w tychże Krzywopłotach ogłaszam panu sąsiadowi: pijże pan, dobry mój panie dzieju! Za sąsiedztwo, najważniejszą w Polsce rzecz!

Wywróciłeś oczami i wypięś.

- Wie pan - zniżył głos hrabia Lolo. - Sąsiedztwo sąsiedztwem, ale z pańskim szanownym rodzicem to ja zbyt wiele wspólnego nie miałem. Mój brat świętej pamięci to tak, ale ja... co to to nie! Mówią, że ja jestem wariat, ale on to wariat był dopiero, ach! Mój brat też, ale pana oj ciec ... Ho, ho! Jak ze złej baśni o starym zamku. Z panem, widzę, to co innego! Młodzieniec piękny, kształtny, uprzejmy ... nic, tylko sąsiadować! - Tu hrabia Lolo zachichotał dziwnym, piskliwym głosikiem. - A tamten to był wariat ...

- Wariat? - Udałeś, że cię to umiarkowanie interesuje. - W jakim znaczeniu wariat?

- Kto? - Hrabia Lolo nadział na widelczyk odrobinę ciasta. - Ja, brat czy rodzic szanownego pana?

- No... - Czujęś, że nie przejdzie ci to przez gardło. - **On**, nie pan.

- Znaczy rodzic?

Skinąłeś głową.

Lolo Tarnowski zachichotał ponownie.

- Dziwne, oj, panie, dziwne rzeczy się tam działy w tych Będźcach.

- Jakie?

- Oni tam tajemnicę wielką mieli. Co ja tam wiem. Tyle, że się tam zjeżdżali wszyscy sąsiedzi, a potem wracał brat, dziwny taki, otumaniony jakby, drażliwy. .. książki sprowadzał o tym wudu fernandyńskim. To wtedy właśnie się nim zainteresował. Myślę, że to mogło mieć, wiesz pan, dzieju-dobrodzieju, coś wspólnego ...

- Z oju?

- Z oju.

Diabelskie rzeczy, przypomniałeś sobie, się u pana Lasoty dzieją. Tak się mówiło we wsi. W Kalwarii.

- A masz pan te książki? Jakieś... jego notatki?

- Wszystko do Warszawy zabrał. Rzadko przyjeżdżał. Prawie wcale. Nie to - roześmiał się Lolo - żebym tęsknił. Ciężko się z nim żyło. Odetchnęliśmy tu, w Krzywopłotach...

- A wie pan - postanowiłeś zagrać va banque - że pański brat właśnie przez te sprawy najprawdopodobniej zginął?

Hrabia Lolo rozsiadł się wygodniuteńko na krześle.

- A no, domyślam się - odparł słodziutkim głósikiem.

- A nie powie mi pan przypadkiem - zapytałeś, nachylając się w jego stronę - czego się pan domyślasz?

Lolo uniósł pulchne dłonie ponad stołem.

- Ja tam wtedy nie jeździłem. Gdybym jeździł, to pewnie też bym teraz nie żył. Ja się nie interesowałem, bo po co się interesować, jak z tego pożytek marny, a kłopoty mogą być. I to, że tak powiem, zasadnicze. Terminalne. Też by mnie pewnie ten - wydał z siebie coś pomiędzy rechotem a lubieżnym chichotem - okrutny Kuba Hieroglif pochlastał i jakiś znak na moim słabiutkim już, starczym ciele wyciął.

- I nie wie pan, co tam się działo? - zapytałeś.

Lolo pokręcił głową.

- Anatolu! - krzyknął. - Jeszcze po kieliszeczku!

W drzwiach pojawił się służący o posturze i powierzchowności wypinającej się czapli. Podszedł do stolika, podniósł butelkę nalewki i nalał wam do kieliszków. Po czym wyszedł.

Znów wywróciłeś oczami.

- A kiedy to, jak to pan ujął, wariactwo się działo? To, hm, oju w Będźcach? - zapytałeś.

- A co? - Hrabia Lolo się rozchichotał. - Boisz się pan, że na pańskim zamku straszy? Jakies duchy z tego ich wudu? Może i straszy, podobno ma co. W zamku, w parku ...

- Proszę pana. - Zaczynałeś się niecierpliwić. - Rozumiem, że pan nie wie. Ale niech pan powie, czego się domyśla. Albo o czym słyszał.

- Wie pan... - Hrabia Tarnowski machnął ręką, jakby się od muchy odganiał. - Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Ja może jestem wariat, ale ja wiem, że inny wariat zabij a tych, którzy coś z tym jednak wspólnego mieli. Ja wolę nie mieć.

- A kto tam jeszcze jeździł oprócz pańskiego brata? - zapytałeś. -

Może uda się jeszcze kogoś uratować. Bo na razie nie żyją Tyc, pański brat właśnie, Lasota... - Uwagi hrabiego Lolo, miałeś wrażenie, nie uszło, że nie użyłeś zwrotu „mój oj ciec”, bo spojrzał na ciebie uważnie zza zmrużonych powiek. - ... Rettinger, Blum, Krasnohorski. Kogoś pominąłem?

- Tak - odpowiedział hrabia Lolo z lekkim uśmiechem. I powiedział kogo.

Pędziłeś skodą do Będźców, zdecydowany łamać majordomowi Pawłowi palec po palcu, dopóki nie zacznie mówić.

Dym było widać już z kilku kilometrów.

Ustąpiłeś straży pożarnej jadącej na sygnale od strony Pilicy.

Przyspieszyłeś, myśląc o tych trzech cysternach i granacie.

Zjechałeś z drogi powiatowej na lokalną, na Kalwarię, ale przed zjazdem na Będźce skręciłeś w las. Między sosnami pełno było dymu. Dojechałeś do polany, na której kończyła się droga, dalej, przez wykroty i gęste chaszczce, nie dałby się rady przebić nawet twój terenowy brzetysław. Ogrodzenie zamkowego parku było, wiedziałeś o tym, jakiś kilometr stąd.

Szedłeś, krztusząc się od gęstniejącego dymu. Wiatr wiał w twoją stronę.

To tu, dawno temu, przywarowaliście z Kaćmajem i słuchaliście. Bębnow. Transowej muzyki. Krzyków. Wystrzałów. Ogrodzenie było pod napięciem. Wtedy, dawno temu. Wątpiłeś, by było nadal. Dotarłeś do tylnej bramy. Zamknięta na kłódkę. Chyba jeszcze tę samą, którą pamiętasz z dzieciństwa. Była zardzewiała. Odstrzeliłeś ją i kopnąłeś wrota.

Pięknie, musiałeś przyznać, płonął ten zamek.

Pretensjonalny, pseudogotycki, zbudowany ewidentnie na fali fascynacji któregoś z dawnych Lasotów czarnoromantyczną architekturą.

Słyszałeś krzyki strażaków, sygnały nadjeżdżających wozów.

Poszedłeś w kierunku zamku.

Gdyby ktokolwiek cię wtedy zapytał, po co, nie umiałbyś odpowiedzieć.

Gdyby ktokolwiek zapytał cię, po co się po drodze zatrzymałeś przy starej kaplicy zamkowej, w której pochowano kilka pokoleń Lasotów -też byś nie umiał odpowiedzieć.

Aja, widzisz, Kary, szepnęłam ci jeszcze, żebyś wszedł do środka.

Pchnąłeś zardzewiałą kratę. W środku było dość ciemno, ale nie mogłeś nie zauważyć, we wpadającej przez wąskie, dekoracyjne okienka czerwonej poświecie,

majordoma Pawła. Siedział na jednej z krypt, najnowszej, kryjącej , jak się domyślałeś, trupa ostatniego - bo siebie liczyć ani nie chciałeś, ani nie umiałeś - z Lasotów. Siedział, a na kolanach trzymał browninga. I płakał.

Popatrzył na ciebie. Oczu już nie dostrzegłeś. Ciemność, która zajęła ich miejsce, podawała ci dwie czarne jamy.

- Nie umiem - wychrypiał, wyciągając w twoją stronę dłoń z pistoletem. - Nie umiem.

Wyjąłeś z jego dłoni pistolet.

- Zrobię to za ciebie - powiedziałeś. - Ale mów. Powiedz.

- Powiem - odpowiedział Paweł. - Przynajmniej będę miał pewność, że to zrobisz.

OSTATNIA WÓDKA PRZED BOMBARDOWANIEM

- Lasota - powiedziałaś. - Tarnowski. Rettinger. Tyc. Krasnohorski. Koczkodan.

Złota piła whisky, ty burbona. Za barem stał nowy barman, o wyglądzie mocno hipsiarskim. Przy barze siedziały zarośnięte hipsy i półgłosem rozmawiały o nadchodzącej, jak głosiła plotka, mobilizacji. Wyglądali na mocno przejętych. Ty, Kary, zresztą też. Złota patrzyła na ciebie z lekkim niepokojem.

- Lasota. Tarnowski. Rettinger. Tyc. Krasnohorski. Koczkodan. Wiesz, co ich łączyło? Wiesz, co mi opowiedział ten cały Paweł? Majordom?

- Majordom, rany boskie, ależ wy, polscy arystokraci, jesteście pretensjonalni - prychnęła Złota. - No?

- Spierdalaj, Złota. Ja jestem bękartem, a ty złotym dzieckiem z burżuazyjnego domu. Wszyscy przyjeżdżali do Lasoty, do zameczku. Do majątku Będźce. A jak ci powiem, kto jeszcze... nie uwierzysz ...

- No, w czym?

- Ech. - Kary upił łyk burbona. - Paweł. .. Sam, kurwa, nie wierzę w to, co się wczoraj wydarzyło.

- Kary - zniecierpliwiała się Złota. - Od początku. Do rzeczy. Co on ci naopowiadał? Co te wszystkie polskie szlacheckie trupy, te tyce-sryce, robiły w tych twoich Będźcach?

- Nie tylko polskie szlacheckie. Był też twój ziomek, Złota. Pan Koczkodan. Nie zwalisz wszystkiego na zepsucie polskiej szlachty.

- Do rzeczy, Kary. Czego nie zwałę?

- Polowały na ludzi.

- Jak to?

- Najnormalniej w świecie, wyobraź sobie. W ramach obrzędów.

- Jakich obrzędów?

- Oju.

- Tego ... tego fernandyńskiego wudu?

- Tak. Ale to nie jest wudu. Wudu to jest mniej lub bardziej normalny kult, a oju to, no, coś w rodzaju mistycznego horroru. Tam się naprawdę dzieją takie rzeczy...

Kary westchnął i zaczął opowiadać.

Trudno było przełożyć na ludzki język suchy, chropowaty sposób opowiadania majordoma Pawła, pozbawiony, wydawałoby się, emocji i w ogóle czegoś, co można by nazwać fundamentem człowieczeństwa. Ale Kary połączył już w głowie wszystkie kropki i cała ta historia wskoczyła na miejsce. I opowiadał o tym, jak to w czasach, gdy był dzieckiem, przesiadującym w kucki na stacji Borysław Oilu pod Kalwarią albo kłusującym po sosnowych lasach ze starym Janem, po wsi i okolicach chodziła opowieść o tym, że w należącym do hrabiego Lasoty zamku Będźce dzieją się rzeczy diabelskie. Że w oknach się błyska, a nad parkiem kłęby siarczanego dymu wiszą, że słyszą krzyki przerażające i szatański rechot. I faktycznie, pamiętasz, Kary, że dziećmi będąc, zakradliście się którejś upiornie upalnej nocy pod park zamkowy, wielki, rozległy i grodzony wysokim, ostro zakończonym płotem, który kopał prądem. Podłączać ogrodzenie do prądu niby nie jest legalnie, ale kto bogatemu zabroni?

Doczołgaliście się tam więc kiedyś z Kaćmajem i późno w noc nasłuchiwaliście. I faktycznie: słyszeliście dziwną, transową muzykę, słyszeliście śmiechy. I krzyki. I dopiero gdy doszły was strzały i zbliżający się koński tętent, nie bardzo wiedząc, z której strony nadciąga, na wszelki wypadek zabraliście się

stamtąd. Zresztą i tak znudziło wam się nasłuchiwanie. Ileż można słuchać wrzasków, śmiechów i bębnow.

- Ale się twój stary bawi, Kary - powiedział ci Kaćmaj , gdy już kręciliście się pomiędzy kalwaryjskimi domami, o fasadach z polnego wapienia. Dałeś wtedy Kaćmaj owi po pysku. Już od dawna zapowiadałeś mu bowiem, że jeśli jeszcze raz powie o Lasocie, że to twój oj ciec, to mu napierdolisz. I nawet nie miałeś specjalnej ochoty bić tej nocy Kaćmaja, ale jeszcze mniejszą ochotę miałeś wyjść na kogoś, kto rzuca słowa na wiatr.

- A po wsi - opowiadał Kary Złotej - krążyły faktycznie historie o tym, jak to z całej okolicy znikają, nie wiadomo gdzie, ludzie nazywani zbędnymi. Alkoholicy, dziady, biedacy. Był na przykład stary Michaj na Pustej , często go widywano, jak siedział, względnie leżał, na swoim podwórzu okolonym rozlatującym się płotem, kompletnie pijany, i śpiewał piosenki o tym, jak to chodził Jasiek po rynecku i grał na bymbenecku. A potem po prostu przestał śpiewać i być widywany, świat się od tego nikomu nie zawalił. I tylko czasem, w karczmie, ktoś spytał, czy ktoś widział starego Michaja, że może warto by zajrzeć do jego chałupy, czy gdzieś tam nie gnije, bo się jaka zaraza z tego zrobi, lecz potem znów wszyscy zapominali. Albo był sierota, mały Tomcio. Nie bardzo było wiadomo, gdzie mieszka, bo sypiał w pustych chałupach - to w tej, to w tamtej . Na zimę wyjeżdżał do miasta, ale latem zawsze wracał. I kręcił się między podwórkami, kradł z ogródków, z kuchni, i to nie tylko w Kalwarii, ale też i we wsiach sąsiednich: w Brojcu, w Kaćmajówce i dalej . Gdy słuch o nim zaginął, nikt nie tęsknił.

Kary opowiadał Złotej , że siedział u majordoma Pawła i słuchał, jak ówczesna elita Rzeczypospolitej , która sama siebie nazywała Bractwem Starego Czango, bo tak miał na imię najważniejszy duch kultu oju, ojowski Jupiter, Perun i Papa Legba, upijała porwanych ludzi fernandyńską klarywidentą, malowała w komandoskie ochronne barwy, okadzała w ramach oj owych nabożeństw kadzidłami - i puszczała w park. A następnie, sama również pijana, wyjeżdżała za nimi konno, hałłakując i strzelając w powietrze.

A wszystko ku czci oju wojny i polowania, na którego mówiono Król Jansa.

Słyszałeś oczywiście o Królu Jansa. Słyszałeś jeszcze na Fernandynie. I widziałeś również takie polowania.

- I wiesz, kto musiał prowadzić te polowania u Lasoty? - zapytałeś.

- No?

- Jezus Santana-Corab.

Oczy Złotej były wielkie jak kolekcjonerskie rocznicowe monety z Piłsudskim.

Ten Jezus Santana-Corab? Ten Chmielnicki z Fernandyny?

- No i właśnie, to wszystko się klei teraz, te pocięte mordy... - Mówiłeś, Kary, szybko, jak uczeń, który chce jak najprędzej opowiedzieć swoją historię, bo nie może wytrzymać. - Te ślady białej farby, polowanie. Ale kim oni są? Służą nowemu panu, zaraz ... przecież ... przecież, kurwa, to mogą być ci OOS-owcy.

- Jacy OOS-owcy?

- Ja odmówiłem szkolenia Czarnych Antków w pieswybie - wyjaśniłeś. - Ale ... pamiętasz, znasz historię zaginionego oddziału, tę „zagadkę zniknięcia dziesięciu wspaniałych”, wiesz, o co chodzi. ..

- No jasne, kurwa, Kary, film o tym był. Dzieci ze szkoły na niego chodzą.

- No więc ja wiem, co się z nimi stało.

- Kary- westchnęła Złota. - Jak to?

- Byli tam razem ze mną. W Forcie Jezus. Ja ich... no, uczestniczyłem we wzięciu ich do niewoli.

- Co, kurwa ...

- No tak. I bardzo możliwe, że Santana ich, wiesz. Że przeszli na jego stronę.

- Uczestniczyłeś w... i dlaczego nic nie mówiłeś?!

- A pytałaś? Prawie o nic nie pytałaś! - Nadaśałeś się. - Ja cię w ogóle jakoś mało interesowałem! Jaka jest, na przykład, moja ulubiona muzyka?

- Kary, kurwa! ! !

- Poza tym jakoś nie lubię wracać do tego czasu, wybacz.

- Ty wiesz, ile ty byś pieniędzy dostał za taką informację?!

- Od kogo?

- A od czerwonaków! Na przykład!

- Myślisz, że czerwonaki płacą za informacje? Złota ... Kurwa, nie to jest ważne tutaj!

- No to jak, myślisz, że ten cały Jezus nie dość, że przeżył tę akcję likwidacyjną jego fortu, a przecież tam bomby, napalm, kamień na kamieniu, to jeszcze przekabacił elitę polskich oddziałów rządowych? Partyjnych?

- On ma... no, on ma charyzmę. Wielką. No i wiesz, widziałem, jak ich dowódca, tych uprowadzonych, i to raptem parę dni po wzięciu do niewoli, patrzył na Jezusa jak w obrazek. Poza tym nie tylko on przeżył. Tam są jaskinie, których, domyślam się, nasi do tej pory nie znaleźli. No i teraz ten Santana coś chce tutaj ... nie wiem co. Myśliwy staje się ofiarą. Przeniósł wojnę z Fernandyny do Polski. Nie wiem, co on kombinuje. To jest przecież wariat, wiesz, no ...

- I myślisz, że Hieroglify to są ci zaginionieni OOS-owcy? Ci elitarni? Tych dziesięciu wspaniałych, co o nich filmy kręcą?

- Wiesz, Złota. - Kary rozparł się na krześle. - Biorąc pod uwagę, że w to wszystko, jak się wydaje, zaangażowana jest policja, która tuszuje te nieszczęsne zabójstwa oznaczone tą trumną, to chyba nie tylko dziesięciu wspaniałych. Bo wygląda na to, że nasz stary dobry Jezus został wprowadzony wysoko w państwową wierchuszkę. Bo jakimś cudem dotarł do jeszcze jednego swojego dawnego akolity. Który był razem z nim, Tycem, Tarnowskim i resztą u Lasoty.

- Do kogo?

- Nie uwierzysz. Do wodza Jeremiego pierdolonego Snardza.

Brawo, Kary. Jeszcze chyba nigdy nie zrobiłeś na Złotej takiego wrażenia.

- Skąd wiesz? - zapytała, gdy już się otrząsnęła i wróciła do właściwego toku rozmowy.

- Źródło.

- Musimy ...

- Spierdalaj, Złota. To moje źródło. W każdym razie nic dziwnego, że łatwo mu było być wprowadzonym do tych OOS-ów. Na samą górę. I że przez wierchuszkę

OOS-u ma wpływ na policję. I tuszują. I to się Hyckemu nie podoba. Dlatego przyszedł do nas. Dlatego chce przemagnesowania biegunów, zmiany frontów.

- No, to by było niezłe. - Złota pokiwała głową. - To by było ... to niewiarygodne, ale niestety, wszystko faktycznie tutaj wskazuje na miejsce.

- Popatrz, przecież nawet sposób oprawienia. Przewód pokarmowy fachowo, po myśliwsku, zawiązany. Głowa jako trofeum. Polowanie. Wszystko dla tego... jak mu tam... Króla Jansa. Króla polowań.

- Tylko ... - zastanowiła się - tylko dlaczego właściwie ten cały Jezus miałby ich wszystkich zabijać? Swoich dawnych akolitów?

- Nie mam pojęcia. Tego trzeba by się dowiedzieć.

- Trzeba - odpowiedziała.

- Ale wychodziłoby na to, że śmierć grozi teraz Snardzowi ...

- Nie, jeśli działa z Santaną. Choć kto wie. Logiki tutaj nie warto stosować bezwzględnie.

Wypiłeś ostatni łyk burbona.

- Przecież to wariat. Opowiadałem ci. Tylko pewnie nie słuchałaś.

Szliście ulicą. Noc była dziwnie jasna. Jak wtedy, na Fernandynie. Nie bardzo chciało ci się wracać do domu, ale Złota na Alej ach zamówiła taksówkę. Staliście w cieniu Szukalskiego centrum, a niebo nad wami gwieździło się tej nocy, jakby się naćpało.

- Ale jeśli to Snardz zwariował - zapytała - to po co zakładać, że w tym wszystkim też był Santana?

- Bo mi źródło powiedziało - odparłeś.

- No tak, ale to wątpliwe, czy Santana żyje.

- Dlaczego Snardz kazałby likwidować tych ludzi dopiero teraz? Żeby zatrzeć ślady? Rychło w czas. Poza tym on ledwo żyje, a po tym zamachu to się rusza jak połamany pies. Nie, tam musiało go coś innego uruchomić, zainspirować, coś zainicjować. Zresztą popatrz - powiedziałaś, wyciągając z kieszeni swoją naszywkę

z Fernandyny. - To miałem na mundurze, w którym byłem u Santany. I ktoś to celowo pozostawił na miejscu zabójstwa.

Złota popatrzyła na ciebie złymi oczami. Złym okiem.

- Super, Kary- powiedziała. - Dziękuję, że mi powiedziałeś.

- Może nie słuchałaś?

- Spierdalaj .

- Sam nie rozumiałem. Myślałem, że może przypadek. Kurwa, myślałem, że zwariowałem. Wiesz, no ... - Popukałeś się w głowę. w płytkę.

- Kary ...

- Złota. Ktoś chce zwrócić na siebie moją uwagę. Może ta sama kobieta, która zostawiła ślady. Ta, która uciekła wtedy z Woli.

- Kto to mógł być? - spytała Złota, a głos miała metaliczny.

- Myślałem, że ją zabiłem, ale ... - zerknąłeś w szklane oko Złotej i zmieszałeś się nieco - ale ... ale mogłem ją tylko zranić. Byłem po klarywidencie, wielu rzeczy nie jestem pewny, a potem całymi dniami przedzierałem się przez dżunglę. W malignie. Potem siedziałem w polowym pierdlu. W dziurze w ziemi, w tropikach. Wiesz ...

Złota długo milczała.

- I ta kobieta - powiedziała, a głos miała zły, co cię Kary, nie wiedzieć czemu, rozradowało - byłaby zdolna to zrobić?

- Zdecydowanie - pokiwałeś skwapliwie głową, patrząc, jak Złota tężeje.

Znów milczała.

Podjechała taksówka.

- Paniusia zamawiała? - zapytał facet w kaszkiecie, przechylając się i odkręcając szybę od strony pasażera. Złota skinęła mu ręką, żeby poczekał.

- Czyli - powiedziała - trzeba szukać w tych OOS-ach.

- Trzeba - odpowiedziałeś. - Poszukam.

- Dobrze. A Hyckemu nic nie mówimy. Czekamy.

- Jasne. Cześć, Złota.

Wsiadła do auta i odjechała bez słowa.

Wracając do siebie, na Śliską. Było późno, ale niektóre knajpy były jeszcze otwarte. OSTATNIA WÓDKA PRZED BOMBARDOWANIEM - głosił wymalowany kredą na tablicy napis przed jedną z knajp. Nie mogłeś się powstrzymać. Wszedłeś i słuchałeś, jak pijani ludzie przy barze śmieją się wisielcza z tego, że jutro rano na kacu będą musieli rowy przeciwlotnicze kopać. Ktoś pokazywał list poborowy, ktoś inny radził mu, by go spalić i uciekać na Polesie. Piłeś i nie mogłeś przestać się zastanawiać, czy dziewczyną w wojskowych butach mogła być Dolores. Czy to ona zabiła tych wszystkich ważniaków, Lasotę, robiąc z niego makabryczny prezent dla ciebie i dla twojej matki? W jakimś perwersyjnym odruchu czułości? Opowiadałeś jej przecież na Fernandynie o swoich traumach. Oczyszczałeś się. Zresztą wydawało ci się, że to już koniec i że nie masz niczego do stracenia. Więc czy to ona grzebała w twoim starym domu, ona zabrała twoje żołnierzyki? To ona podrzuciła twoją naszywkę? Tak, przecież ona mogła ją mieć. Właściwie tylko ona mogła ją mieć.

Dolores.

Przecież, kurwa, sam ją zabiłeś. Wbiłeś jej nóż w oko.

Wróciłeś do domu i długo jeszcze rozmawiałeś z Beatą. Naradzaliście się, co robić dalej .

PRZEDWOJNIE

Wsiadłeś, Kary, w tramwaj i jechałeś z Żoliborza do Śródmieścia. Przeciąłeś Północne City, wjechałeś w Przecinkę, potem przejechałeś przez Żydowski Nord, Nalewki, potem plac Bankowy, plac Żelaznej Bramy. Potem był twój przystanek, ale nie wysiadłeś, dalej jechałeś Marszałkowską. Patrzyłeś na Warszawę, jak próbowała żyć mimo napięcia, mimo wojska kręcącego się po ulicach. Knajpy i kamienice Śródmieścia, oświetlone jak statki morskie, pluły ludźmi i wciągały ich w swoje trzewia. Żołnierze zresztą też się między knajpowiczami kręcili. Gdziekolwiek nie spojrzeć: na północ, na zachód, ba, nawet na praską stronę - wszędzie wyrastały wysokie, świecące drapacze, jak świetliste ściany otaczające Warszawę od płaskoci, na której wyrosła, otulająca stolicę leżącą w środku wschodnioeuropejskiej półpustki: jak Moskwa, jak Berlin. Jak Budapeszt i Wilno. Jak wszystkie te miasta zatknięte u nasady Europy, w miejscu, gdzie traci ona swój wyjątkowy, półwyspiarski charakter, a nabiera lądowego. Śródlądowego. Eurazjatyckiego.

Nie jechałeś w żadne konkretne miejsce. Jechałeś, po prostu, z twarzą przyklej oną do szyby i patrzyłeś na miasto, które do pewnego stopnia było już twoje. A w sytuacji, w której nie żył Miguelito, nawet bardziej twoje, bo Miguelito, warszawiak z pokolenia na pokolenie, przypominał ci, że nie jesteś stąd rodem. Kolejny mój ski faszysta gryzł już warszawską ziemię. A nawet nie gryzł, bo bez

głowy nie bardzo miał czym. Ech, Miguelito, Miguelito. Fajny chłop byłeś, choć mógłbyś grać Walczaka w Krakowerze i Walczaku na tropie - tak myślałeś, Kary.

Wysiadłeś na wysokości Wspólnej i poszedłeś w stronę placu Trzech Krzyży. Cała bogata Warszawa tu bawiła. Knajpy na Żurawiej, lokale na Wspólnej, Hoża, Bracka, wszystko błyszczało i zdawało się ociekać bogactwem, odbijało się w wypolerowanych karoseriach eleganckich i drogich, albo po prostu drogich, samochodów. Podejrzewałeś, Kary, że gdybyś tu wjechał swoją skodą z przekrzywionym prawym reflektorem, odholowaliby cię momentalnie.

Przeciskałeś się między przeeleganckim ludem Śródmieścia, przeciskałeś się razem z poborowymi z tych wszystkich środkowopolskich dziur, a środek Polski leżał na jej zachodzie, bo te wschodnie, białorusko-ukraińsko-błotnisto-prawosławne peryferia coraz rzadziej traktowano jako właściwą Polskę, i patrzyłeś, jak szeroko otwartymi oczami gapią się na wszystkie te cuda, całe to bogactwo, którego mają tutaj bronić przed własnymi sojusznikami.

Co jakiś czas widziałeś podoficerów OOS-u w pięknych, ciemnobrązowych, prawie czarnych mundurach. Oni by to mieli być? Oni by mieli mordować ludzi? Zostawiać im na czołach jakieś idiotyczne hieroglify?

Jak to powiedział Miguelito, gdy tamten zdjął maskę? „Ja cię, chuju, znam”. A Miguelito, świętej pamięci, jak ci się czasem wydawało, znał w wojsku wszystkich.

OOS-y, kurwa mać.

Zadzwońmy do OOS-owca. Aspirującego, gównie wiedzącego, ale czegoś trzeba się chwycić.

Na placu Trzech Krzyży wyciągnąłeś mobil z kieszeni.

- Waluś? - powiedziałaś, gdy w słuchawce usłyszałeś głos. - Gdzie jesteś? A, pijesz, słyszę po tle?

- Piję - odpowiedział Waluś. - W Powiślanie. A co?

- A nic - powiedziałaś, udając rozćwierkany, słowiczy trel - a to chodź, napijemy się razem. Wpadnę tam do ciebie. Książkę ci oddam. Tę o naszych

rodakach Neandertalczykach. Fascynująca.

- A to czekaj . - Głos Walusia zadrżał. - Nie no, nie tutaj , zwariowałeś? Przecież cię tu zakopią, jak cię poznają.

Powiślanka na Solcu, o czym dobrze wiedziałeś, Kary, była lokalem, w którym zbierali się OOS-owcy. I młode dziewczyny o propaństwowym, zapewne, nastawieniu, które miały ochotę poderwać i przelecieć rycerza w pięknym mundurze. Chłopcy zresztą też.

Zachichotałeś. OOS-owcy cię, oczywiście, dezernerze i zdrajco, nie lubią. I faktycznie mogłoby się skończyć awanturą. A jakby jeszcze ktoś Walusia zobaczył w twoim towarzystwie! I tak mu nie bardzo idzie integracja z elitami OOS-u, a ty byś był dla niego wielką czarną krechą.

- Wyjdę - dorzucił Waluś - pójdziemy sobie do Wilka na Zajęczej . Tam idź. Nie tutaj .

Oho - pomyślałeś - coś Walusiu dziś nie idzie w Powiślanec. Ani towarzysko, ani męsko-damsko. Bo jeśli decyduje się opuścić lokal, w którym co drugi gość to OOS-owiec w mundurze, na rzecz znienawidzonego w tej organizacji kolegi ze znienawidzonej przez siebie wsi, to chyba nie jest najlepiej .

Sfrustrowany, nieszczęśliwy i podpity OOS-owiec. Właśnie tego ci potrzeba. Dokładnie tego.

Wilk na Zajęczej był zabawnym miejscem. Wszystko tu wyglądało, jakby do czegoś aspirowało. Oświetlenie aspirowało do burdelu połączonego z transową imprezą, wystrój - trochę do wolskiej bohemy, a trochę do śródmiejskiego szpanerstwa. Towarzystwo też - dandysi siedzący tutaj aspirowali do prawdziwych dandolskich środowisk. No i wy - OOS-owiec, który aspirował do kadry oficerskiej OOS-u, oraz ty, Kary. Do czego ty aspirowałeś, to ty nawet sam nie miałeś pojęcia. Do bycia detektywem noir na przykład. Płaszcz se kup, dobra rada. Płaszcz, bo w tej kurtce wyglądasz jak biciarz. Albo wieśniak. Ale to wiesz.

Waluś był lekko już pod gazem. Opieprzył cię, że wcale nie przyniosłeś mu jego książki, jak zapowiadałeś, że już tak długo trzymasz, a on nie może do niej

sięgnąć i przypominać sobie co ważniejszych fragmentów (to te podkreślone, Kary, skoncentruj się na nich), ale to już i tak w sumie tylko ciekawostka i niezbyt już modna teoria w kręgach towarzyskich OOS-u.

- A jaka jest aktualnie modna? - zapytałeś, Kary, stawiając przed Walusiem dużą czystą i śledzika.

Waluś wychylił duszkiem i przejadł.

- A trafisz za nimi. .. kurwa, powiem ci, Kary - mówił, ale akcentu już nie miał tak pięknie pańskiego jak dawniej, coraz bardziej więcej akcent miał, chyba bardziej niż ty, Kary, nawet. I rozchełstany jakiś był, i krawat miał poplamiony. - Powiem ci, kurwa, że już ich dosyć mam. Pół roku, kurwa, w krwioziemcach siedziałem jako informator, nie wykryli mnie, wszystko elegancko. Myślisz, że dali choć awans na rotmistrza? Kurwa, gdzie tam. Ja widzę, jak na mnie patrzą. Jak na kmiota. Jak tylko zagajam, to od razu każdy w inną stronę patrzy, temat zmienia. Ja ich drażnię, drażnię po prostu, już czasem mam ochotę na kolana walnąć i powiedzieć: no co ja nie tak robię, co nie tak? Kary! Co ja robię nie tak, Kary? Co ja robię nie tak?

- Zadajesz się z nie tym towarzystwem, Waluś.

- Tobie jakoś wychodzi! Jak ty to robisz?

- Eee tam, wychodzi. Kulę mam w głowie, na przeciwbólowych jadę, na superkogutkach. Co to za sukces. To co to za nowe teorie?

- Co?

- No jakieś, mówiłeś, nowe teorie macie w OOS-ie.

- A. Aaa, kurwa, daj spokój, wszyscy hermetyczni, nie wiem, teraz coś się mówi o jakimś zupełnie nowym ... nie wiem, mistrzu, oni go mistrzem nazywają.

- Nowy mistrz? Nowy pan? Armia nowego pana?

Waluś machnął na kelnera.

- Wódki, panie! - Kelner go zignorował. - No widzisz, Kary, nawet ty wiesz więcej ... eee, kurwa, nic, tylko sobie w łeb palnąć ...

- No ale ja nie wiem, Waluś, ty mi powiedz. Co to za pan? Co to za armia?

- A myślisz, że ja wiem? Weźże tej wódki zamów, bo mnie już nawet kelner olewa moczem...

Kary machnął na kelnera, ten wywrócił oczami.

- Już biegnę szanownych panów biciarza i oficera obsługiwać, tylko załatwię jeszcze tych państwa, co raczyli machać wcześniej !

- Nie wiesz nic, zupełnie? O tych teoriach?

- No że jakieś, kurwa, słowiańskie wudu niby ...

- Co? Słowiańskie wudu?

- Im już coraz bardziej odpierdala. No że się łączy, jak te tam ludowe historie, tych niewolników, na Karaibach, z chrześcijaństwem, to że u nas też niby trzeba połączyć w jedno, stare i nowe, ja nie wiem. Oni do Konstancina jeżdżą teraz, to znaczy wiesz, ci, kurwa, elita elit, ci lepsi, rozumiesz. - W głosie Walka było tyle pretensji i żalu, że Karemu się go naprawdę szkoda zrobiło. Złapał kelnera za łokieć w locie.

- Panie kochany - powiedział. - Ja rozumiem, wiem, ruch, zabiegany pan, ale kolega ma tutaj dramat, cierpi, zaraz się popłacze, no nalej pan na gazie dwie setuchy. Śledzie jeszcze mamy. No!

- Się robi, się robi. - Kelner wyrwał łokieć i pobiegł przed siebie jak do pożaru.

- Ja, Kary, naprawdę nic nie wiem.

- A co w tym Konstancinie?

- A skąd ja mam wiedzieć ... Myślisz, że mi co mówią...

Kelner przyniósł dwie setki czystej, postawił, pożyczył smacznego z takim ścięciem w oczach, jakby chciał im życzyć, by się obaj tymi setkami podusili, i faktycznie się o mało nie podusili: Walek, bo mu nie weszła i puścił piękną kawaleryjską żurawiejkę na stylizowany symbol OOS-u, koło w kole, oba przecięte pionowo piorunem (dwie fajerki i pogrzebacz, jak je powszechnie nazywano), wyhaftowany na mundurze ponad sercem. A Kary - ze śmiechu z Walka.

Walek wyglądał, jakby był bliski płaczu, zamawiał już przez mobil taksówkę. A Kary marzył o tym, by wrócić do domu. Do Beaty.

Gdy wychodzili i szli już w stronę Oboźnej , na górę chcąc się wspiąć, zaszło im drogę dwóch chłopaczków, zawianych przepięknie, a w stylu, wypisz wymaluj , bojownicy PPS-u: kaszkiety, jodełki, jeden nawet miał wpinkę ze staruszkami z Hańby, że też do tej pory gówniarze tego słuchaj ą, no, no, myślałeś, Kary, ale w końcu - muzyka ponadczasowa, rewolucyjna, najważniejszy, po Marii Curie, polski towar eksportowy na świat.

- Prze-przepaszam - powiedział jeden z nich, z płaskim nosem i uszaty - czy pan Franciszek Kary może?

- Może - odpowiedziałeś, Kary - a z kim mam przyjemność i o co chodzi?

- Widzisz, Artur, widzisz! - zakrzyknął ten płasko-uszaty. - Mówiłem! On! Artur zdjął kaszkiet i uklonił się nisko.

- My, szacunek, panie Kary, albo, przepraszamy, towarzyszu Kary...

- Phi! - obruszył się Waluś Ryczywolski, dawniej Ryczywół, z zarzyganą odznaką OOS-u na mundurze.

- ...czy możemy sobie z panem zrobić zdjęcie? - Wyjął z kieszeni aparacik Druh-Instant, jeden z tych, które natychmiast wywołują fotografie.

- E, ja incognito ... - wymawiałeś się, Kary.

- A co to pan, z OOS-owcami pijesz? - dopytywał uszaty. - Z całym szacunkiem, ale to faszystowskie ...

- Kolega - czknąłeś, Kary - ze wsi. Spokojnie.

- Sam jesteś ze wsi! - ryknął nagle rozwścieczony Walek bardzo Ryczywolski, zawinął połę płaszczu jak Waszyngton na Potomaku i wyrwał szybko w stronę Oboźnej, tak że nawet nie zdążyłeś go za tę połę złapać.

- No jestem ... - mruknąłeś. - Dobra, panowie, to chodźmy się co napić, bo tak stać na wietrze ...

I poszliście.

A potem i tak to wszystko przestało mieć znaczenie.

Nikt już nie myślał o Hieroglifie. Nikt już nie myślał o tym, który Hieroglif kogo zabija. Bo trupów pojawiło się coraz więcej.

Z perspektywy twojego małego światka między Śliską, Wolą a Żoliborzem wyglądało to tak:

Najpierw po knajpach zaczęły szerzyć się pogłoski o tym, że giną kolejni ludzie i że jest ich coraz więcej .

Że po mieście nocami zaczynają krążyć bojówki poubieranych w kamuflażu ludzi. W mundurach bez żadnych dystynkcji, takich, jakie można kupić w sklepach z militariami. I że to są różne mundury. Amerykańskie, czeskie nawet, francuskie, brytyjskie, diabli wiedzą. Niemieckie nie, bo ich, w rzeczy samej , w sklepach z militariami dostać nie było można. Polskie były, ale z jakiegoś powodu nikt o nich nie mówił.

Prasa zaczynała coś przebąkiwać. W jednej z komercyjnej telewizji odbyła się nawet w pewnej chwili debata na temat: „Czy rząd nie mówi nam wszystkiego o planach napadów na zwykłych ludzi?”, ale telewizja ta została chwilę później zamknięta.

Mojżesz Lurje, dawny ateista postchrześcijański, a obecnie ateista wywodzący się znów z tradycji judaistycznej , wściekał się. Mówił, że w policji atmosfera jest na granicy wrzenia. Że coś wcześniej czy później pęknie.

- Wiemy, czego nam nie wolno. Nie wiemy, co nam wolno - mówił wam, gdy staliście na parkingu na tyłach siedziby waszej agencji i paliliście papierosy.

Po Żoliborzu jeździły wojskowe ciężarówki. W parku przy Inwalidach kopano rowy przeciwlotnicze. W powietrzu pachniało tak, że Kary nie mógł się nawdychać, choć do końca nie wiedział, co to jest, to coś, ten dziwny, jesienno-zimowy zapach, który chwyta w nozdrza. Ciebie, Kary, by wołami do kopania rowów przeciwlotniczych nie zaciągnięto, co? Nawet nie wiedziałeś, czy pan Artur ogłosił taką akcję w twojej kamienicy. A był do tego, o ile byłeś świadomy, zobowiązany rozporządzeniem wojskowym.

Lurje wpadł do was niezapowiedziany. Jego partner, którego mu przydzielili, głupi, pryszczaty cymbał, jak go Lurje opisywał, rodem z miasta Łodzi, czekał na

niego w radiowozie zaparkowanym przed agencją. Czekał i się nie ruszał, bo mu Lurje zabronił.

- Ale nie wolno nam cisnąć, nie wolno nam pytać, nie wolno nam „wierzyć w niesprawdzone pogłoski”. A przecież, kurwa, to nie są niesprawdzone pogłoski, bo co chwila dostajemy wezwanie do jakiegoś wybebeszonego trupa.

- Ale te trupy - pytałeś, Kary - są tak samo wybebeszone jak te, które pozostawił Hieroglif?

- A skąd. Normalnie, po chamsku, po muzycku. Nożem w brzuch, do góry i zdychaj, człowieku, na ulicy. Tamte to była sztuka, ja ci powiem, Kary. Tamte to był majstersztyk. A te...

- To może to to samo, co zdarzało się i wcześniej? - zastanawiała się Złota. - Że przy okazji gadania o tym całym Hieroglifie następuje eskalacja? Może po prostu następuje społeczne rozprężenie i ludzie załatwiają swoje porachunki, myśląc, że to pójdzie na jego konto? Może w sytuacji, w której wisi nad Polską wojna, w której Alianci grożą, że nas zbombardują, a Niemcy, że wejdą, Słowacy, że odejdą, nie wspominając o wojnie na Ukrainie i ciągłym zagrożeniu terrorystycznym, struktura społeczna zaczyna się sypać? Może ludzie po prostu mają dość? Może nie widzą tego państwa, może tak właśnie wyglądają początki brania spraw w swoje ręce? Od oczyszczania przedpola z tych, których postrzegają jako zagrożenie, żeby móc się jakoś urządzić w tym postapokaliptycznym kraju?

- I co będzie następne? - zapytał Rabcz. - Wiadomo. To, co w Rosji w siedemnastym, czy tam osiemnastym. Wejdą do Dzielnicy Marszałka Piłsudskiego, wejdą do Szukalskiego City, zaczną się znów pogromy ...

- Bez sensu. - Lurje kręcił głową. - Jeśli tak by było, to dlaczego szefostwo jest zastraszone? Dlaczego srają pod siebie, gdy dzwoni kolejny telefon ze zgłoszeniem do trupa?

- No bo może ich cisną, może władze boją się, żeby wszystko się doszczętnie nie posypało? Może stosują technikę wyparcia? Cholera wie.

- No, jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić - powiedział Lejb Zejgal. -
Chodź, Józek. - Odwrócił się do Rabcza. - Montujemy patrol.

Gdzie jest najwięcej ataków?

- W całej Polsce - odparł Lurje, kręcąc głową.

- A macie jakieś statystyki?

- Żartujesz? Głowa w piasek.

- To co, kurwa, robicie z tymi trupami, jak was do nich wzywają?

Zostawiacie tam, gdzie leżą?

- Nie no, kurwa. Wieziemy do kostnicy, zakładamy sprawę, przydzielamy do niej ludzi i odkładamy ją na półkę. Sam mam jedną i nie wolno mi przy niej specjalnie grzebać, nie wolno mi jej z niczym wiązać.

- Jak nie wolno, oficjalnie? - zapytał Zejgal.

- Żartujesz? Oficjalnie? Synu... - Lurje poklepał Zejgala po ramieniu. - Ty chyba nie do końca zdajesz sobie sprawę z tego, jak działa polska policja. A ona działa tak, że poza tym, co koniecznie musi być oficjalnie, to mało co jest oficjalnie.

- Mojsze - powiedział Lejb, również klepiąc Lurjego po ramieniu. -

To ty mi nieoficjalnie powiedz. Gdzie w Warszawie dostajecie najwięcej wezwań? No gdzie? Na Powiśle? Na Czerniaków? Na Wolę? Na Nord?

- Nie ... - Lurje pokręcił głową. - Na slumsy. Na Jelonki.

- Aha. - Rabcz pokiwał głową. - Na Jelonki.

- Mojsze. Przyjdź do agencji, do nas, wieczorem. O jedenastej. Pojedziemy na Jelonki. Zobaczmy, co się tam dzieje. Złota ... - Zejgal odwrócił się do szefowej. -
Możemy?

Złota strzeliła niedopałkiem w jeden z zaparkowanych samochodów, terenowego rovera.

- A idźcie. Przecież to po godzinach.

- Ale sprzęt służbowy.

- Bierzcie, no co, jaja sobie robicie? Kurwa, nagle tacy zasadniczy, myślałby kto.

- Bo policja tu jest.

- A ja to co?- Wypiąłeś pierś. - Ja też jestem tu szefem!

Wszyscy, łącznie z Lurjem i Złotą, się roześmiali. Ty również.

- No dobrze - powiedział Lurje, taksując was wzrokiem. - Ja i tak w domu nie mogę wytrzymać, bo po tym, jak faszyści tego mojego syna idiotę zabili, to moja nic, tylko chleje wino i wyje. O jedenastej tutaj .

- Chodźmy - powiedziałeś, Kary, czując dziwną ekscytację.

- Dobra. - Lurje rzucił papierosa na ziemię i przydeptał lakierowanym bucikiem. - Idę, pendeje, bo ten kretyn w samochodzie mi się zaparzy jak herbata od tej klimatyzacji, co ją na maksa włącza, kurwa. Nie da się z tym debilem pracować.

Jelonki wyglądały dziwnie.

Bezkształtnie.

Z białych pustaków, z czerwonych cegieł, z drewna, z czego było. To tutaj , wokół dawnego miasta ogrodu pomiędzy podwarszawskimi wsiami a Boernerowem powstały pierwsze slumsoidalne hoteliki dla przyjeżdżających do warszawskich fabryk i zakładów chłopów z całej Polski. Hoteliki budowali właściciele działek, zresztą słowo „hotelik” to za dużo powiedziane: rozbudowane szopy, domy klecone naprędce, tanią cegłą, stawiane na piasku, bez planu i kształtu, byle upchać jak najwięcej zjeżdżającego do Warszawy chłopstwa, na twoje, Kary, podobieństwo i obraz, zresztą sam mieszkałeś kiedyś, dawno temu, na Jelonkach, pamiętasz? I tak jak warszawskie centrum miało swój kształt wyraźny, ba, bardzo wyraźny, bo przecież ręką samego Nadministra, wielkiego Stanisława Szukalskiego nadany, tak tutaj , na Jelonkach, żadnego kształtu nie było. Nie było formy. Nie było nic. Zresztą sam Szukalski, jak się mówi, przyjeżdżał tutaj chętnie bardzo, bo uważał, że forma tu właśnie jest. Polska, rodzima, oddolna. Chodził, podobno, między slumsami i zachwycał się, mówiąc, że widzi rzeczywistość in

statu nascendi. „Polska czysta forma się rozwija - krzyczał podobno zachwycony. - Samodzielna, oddolna forma, którą Polska przybiera, przez nikogo i przez nic nieograniczana, samorodna! Zobaczymy - krzyczał - zobaczymy, co się z tego wykluje!”.

I wykluło się.

Slumsowisko, które rządziło się prawami własnymi, gdzie już mało kto pamiętał, co na czyjej ziemi stało, bo wyrzucić tu niechcianych, niepłacących lokatorów, skoro i twoja kamienica nielegalnie stoi, bez żadnych atestów, bez pozwoleń, podatków nie płacąc, tak że ani po policję, ani po komornika nie ma co dzwonić. I wtedy wróciły ustawienia z początków społecznych dziejów, potworzyli się lokalni watażkowie, pojawiły się ich drużyny, a te pomagały tym, którzy najwięcej dali albo którzy najbardziej bywali przydatni. Chaos się zrobił, kto chciał co od kogo przejmować - przejmował, kto chciał co komu zabrać - zabierał, jedni szli z torbami, inni się bogacili, Jelonki stały się postrachem przedmieść, na całe miasto promieniującym, chłopaki z Jelonek wozili się po całej Warszawie, drąc koty z chłopakami z miasta, z chewrami polskimi i żydowskimi. Aż w końcu, za czasów wodza prezydenta Kornobisa, szef policji Juliański zaczął robić porządek i wszedł na Jelonki z wielkimi policyjnymi siłami. Pomagał mu w tym Kornobis, jak mógł, nacisnął Hreczkowskiego, wówczas ministra do spraw rozwoju terenów peryferyjnych, żeby plan dla Jelonek zrobił - i zrobił. Pod Jelonkami postawiono tanie bloki mieszkalne, gigantyczne tworząc blokowisko, sięgające od Boernerowa aż daleko w mazowiecką płaskość. I nazwano osiedle Nowymi Jelonkami.

A na samych Jelonkach, w starych slumsach - posthotelikach, gdzie już nikt nie wiedział, co jest czyje, co na czyim postawione - sama biedota została, starzy ludzie, ci najmniej zaradni, wykluczeni, pogardzani.

Źle było na Jelonkach i co jakiś czas mówiło się, że miasto przyjedzie tu w końcu z buldożerami, Jelonki z ziemią zrówna, a tych, którzy tu pozostali, przesiedli na Nowe Jelonki. Ale nie przychodziło i nie przesiedlało.

Aż w końcu zaczęli się pojawiać ludzie w polskich mundurach.

Hieroglify, nie Hieroglify.

Diabli już to wszystko, myślałeś, Kary, kurwa, wiedzą.

Nowe Jelonki były pełne ludzi: młode antki, rozkokoszone po machałkach porozstawianych po piwnicach, chodziły jak byki nastroszone po ulicach, a starzy ludzie przemykali chyłkiem pod ścianami, bojąc się, że któryś podejdzie, zapyta: „E, wapiennik, przypalić masz?”, a potem da w pysk, zabierze nie tylko papierosy, ale i hamaniec. I w ogóle będzie niemilo.

Ale tu, na Starych Jelonkach, zazwyczaj było spokojnie.

Tutaj, w cieniu bezforemnych budynków, mieszkali ludzie biedni. A ostatnimi czasy, od kiedy zaczęła nadciągać i nad Polskę Era Wodnika, również hipsiarze z całej Rzeczypospolitej zjeżdżający.

Po ogródkach paliły się ogniska, zapach palonych liści mieszał się z zapachem palonych konopi.

I tutaj zjeżdżali nocować bezdomni z całej Warszawy. Zawsze znalazło się dach nad głową, za parę groszy, za flaszkę, za seks czy - czasem -zupełnie za darmo. A można było przynajmniej pić, nie to co w noclegowniach. I się piło.

Tumult zaczął się przy ulicy Jagodowej . Bo takie tutaj, miejscowi mówili, że dla żartu, nazwy nadawano. Różana, Truskawkowa, Jagodowa. Ale długo nic się nie działo. Już powoli tracili nadzieję, że złapią kogokolwiek. Jeździli skodą brzetysław Karego, porządną, choć starą i z przekrzywionym reflektorem, uznając, że w tej okolicy wzbudzi najmniejsze zdziwienie. Lurje na swoim radiu służbowym nasłuchiwał policyjnych częstotliwości.

- Coś się musi wydarzyć - mówił - teraz to właściwie co noc.

I nie zdziwiło ich, że widują uzbrojonych w kije młodych łysych byczków. To chłopaki z Nowych Jelonek chodzili, w jakimś dziwacznym, quasi-rycerskim odruchu, a może po prostu chcąc się z kimś pobić, strzec pobratymców ze starej krainy.

- Pierdolę - powiedział w pewnym momencie Lejb Zejgal. - Idę sam. Stań, Kary. Jak coś, to zadzwonię.

- Idę z tobą - powiedział Rabcz.

- Zostań, kurwa - odparł Zejgal. - Będę sam, to będę lepszą przynętą. Dam znać, jak coś. Odbierajcie mobile.

- Nie zdążysz, kurwa, zadzwonić - uparł się Rabcz, wysiadając. -Idziemy razem.

I poszli, dwie długowłose, poobwieszane wisiorkami jak Apacze góry mięśni, robić za przynętę.

Stanęliście na rogu Dyniowej i Malinowej . Wysiadłeś z auta. Zapaliłeś, Kary, papierosa.

Lurje też wysiadł.

- Czy ty to słyszysz, Mietek? - zapytałeś nagle, zawisając nad ognikiem zapalniczki.

- Co?

- No to.

- Ten... taki dziwny dźwięk?

- Tak. Samoloty. Bombowce nurkujące.

- Co?

- Kurwa, chujów sto.

- Kogo?

- Nalot, kurwa, Mietek! Dzień wcześniej ! Ultimatum Aliantów było do jutra.

- O cholera. - Lurje zastygł z głową w górze. Teraz już słyszał wyraźnie. Alianci zaskoczyli polską obronę przeciwlotniczą. Po chwili rozległy się odgłosy wybuchów.

- To chyba... bombarduj ą Dzielnicę Piłsudskiego.

Przed pokraczny dom, przy którym staliście, wyszedł mężczyzna w brązowych spodniach i podkoszulku. Zaraz za nim - jakaś kobieta, niższa od niego,

przysadzista. W kolejnym domu w oknie zapaliło się światło. Po chwili całe Jelonki stały na ulicy. Nie byliście tu już sami, ty i Lurje. Staliście w tłumie.

- Co to? Co? - pytali ludzie. - Strzelają? Wojna?

- Bombardują! - prostował jakiś rzeczowy bas.

- To przez Snardza! To przez tego karakana!

- Katastrofę na nas ściągnął.

W waszą stronę biegły dwie włochate góry mięśni.

- Wojna! - ryczał Rabcz z jakimś dziwnym podnieceniem w oczach. Spojrzałeś na niego z ukosa. Byłeś pewien, że wciągnął porządną kreskę amfetaminy.

Złota odebrała telefon. Co cię zaskoczyło, bo byłeś pewien, że nie odbierze.

- Wojna! - powiedziałaś dramatycznie.

- Dobrze, że dzwonisz, właśnie miałam do ciebie się odzywać - powiedziała Złota. - Hycke zniknął. I nie wiadomo, co teraz.

Stałeś, osłupiały, pod jakimś parkanem i nie mogłeś uwierzyć w to, co słyszysz. Tak, wiedziałeś, że ona jest, cóż, specyficzna, ale wszystko powinno mieć swoje, prawda, granice.

- Złota - powtórzyłeś. - Woj-na. Jebać Hyckego. Wojna jest.

- Jezu - powiedziała niecierpliwie. - Wiem, że jest. Dogadane to było.

- Słucham? - Patrz, a przed chwilą myślałeś, że nie możesz być już bardziej osłupiały.

- Hycke porozumiał się z Aliantami - niecierpliwie tłumaczyła Złota. - A właściwie to Hycke i my, Opór. Więc Alianci zaczęli naloty wcześniej, przed ultimatum. Zgodnie z umową. Że my zorganizujemy sprawy po naszej stronie, a oni nam pomagają.

- Ale co zorganizują ...

- No kurwa, Franek, myśl. .. pucz przecież.

Kary gwizdnął.

- Pucz? W chwili, gdy Polska jest pod atakiem?

- A jak inaczej mielibyśmy obalić Snardza, Kary?

- Ale to miało być przecież inaczej ... to Hycke miał się zająć obaleniem Snardza, miało nie być ataku ...

- Kary, a po co Hycke do nas, według ciebie, przyszedł? Po co za naszym pośrednictwem docierał do Oporu? Przecież on ma nas rozpracowanych, miał zawsze. Tylko dlatego nas nie zamykał, bo chciał użyć Oporu w swojej grze. Chciał za pośrednictwem Oporu skontaktować się z Aliantami, nieformalnie. Mieć nas jako kartę przetargową. Plan Hyckego był taki: przekonać do swojego planu wojsko, poszczuć je na siły partyjne. Na OOS-y. Na Byczą Głowę. Bo miałaś rację: Hycke mówi, że Snardz powoli jest odsuwany. Niby wiadomo, że od jakiegoś czasu to Bycza Głowa rozdaje karty, ale teraz postanowili się ze starszym panem chyba do końca rozprawić, Snardza Hycke zresztą chciał złożyć w ofierze Aliantom. No i to się udało. Dogadał się z częścią generalicji, trochę mu to zajęło ... ale po naszej stronie jest Krupa, generał Krupa. To on wziął na siebie zorganizowanie...

- Kurwa, Złota, to może być podsłuchiwane.

- Przecież to ludzie Hyckego podsłuchują - roześmiała się Złota. -Poza tym teraz, dzięki technologii naszego drogiego sojusznika, mamy takie szyfrowanie, że nawet Amerykanie nas nie złamią. No i jest, kurwa, wojna, właśnie bombardują Dzielnicę Piłsudskiego, myślisz, że ktoś tam ma do tego głowę? Do podsłuchiwania?

- O kurwa, ale jaja... Ale dzięki, Złota, że mi dopiero teraz dajesz znać, że mi w ogóle wszystko powiedziałaś - dodała, starając się nie brzmieć jak obrażony nastolatek.

- I kto to mówi! - parsknęła Złota. - Ale słuchaj, Franek, nie ma teraz czasu. Słuchaj dalej: Hycke nie wiedział nawet, że przestrzelił. Bo jak każdy obozniec myślał, kurwa, że my jesteśmy na stałym łączu z, nie wiem, rządami czy wywiadem Wielkiej Brytanii albo Francji. No ale udało się to zaaranżować. To znaczy kontakt.

- A on nie mógł przez swoje kontakty? Po co my mu byliśmy ...

- Nie bardzo byłby wiarygodny jako on sam. Przedstawiciel, było nie było, siłowych struktur władzy. Dlatego chciał się zabezpieczyć. Nami. No i złożyliśmy propozycję.

- Jaką?

- Alianci uderzają dzień wcześniej . W tym chaosie, w bombardowaniu, na koszary OOS-u uderza nasze wojsko . Te oddziały, znaczy, które są po naszej stronie. Rozbrajamy z zaskoczenia te, które nie są.

- Ale czekaj , czy to znaczy, że wojsko będzie strzelało do Aliantów i jednocześnie z nimi współpracowało?

Usłyszałeś jej śmiech w słuchawce, a ten śmiech można było opisać jako perlisty.

- No tak, na to wychodzi. .. przynajmniej część.

- Dziewczyno, przecież ile ludzi powie, że to zdrada, że w obliczu ataku cios w plecy...

- W dupie to mam. Przejmujemy Pałac, Sejm, ministerstwa, policję, ratusze, tam gdzie mamy kim. Wtedy Alianci uznają nas za prawowity rząd i podpisują z nami pokój . Wszyscy się kochamy, potępiamy akcję na Ukrainie, dajemy im autonomię, jeszcze szerszą, jak dla mnie to mogą sobie nawet tam państwo swoje robić, gównu mnie to obchodzi. Polska jest wolna. Demokratyczna. Wszystko jest jak dawniej . Zanim Snardz z Hyckem nie zwałili nam na głowy tego gówna, które teraz Hycke, w ramach wielkiego „przepraszam”, chce sprzątać. Zdejmujemy Byczą Głowę. Zdejmujemy Snardza.

- I kto na czele państwa? Hycke?

- Jaki kurwa Hycke. Ja.

Słuchawka o mało nie wypadła ci z ręki.

- Co? Słucham?

- No ja, rany. Córka Adama Sztolca, żydowskiego Martina Luthera Kinga, legendy ... no, sprawa symboliczna, rozumiesz.

Złota mówiła, a tobie, miałeś wrażenie, płytka w głowie tak się rozgrzała, że aż musiałeś odsunąć mobil od ucha.

- ...przecenił nasze znaczenie, ale mniej szał z tym - mówiła tymczasem Złota i miałeś wrażenie, że upaja się własnymi słowami. To, miałeś wrażenie, był jeden z niewielu momentów, gdy rozmawiała z kimkolwiek zupełnie z opuszczoną gardą. - Gdy już weszłam do gry, to w niej zostałam. Nie pozwoliłam się wyrzucić ani zmarginalizować. Ani przez Hyckego, ani przez dowództwo Oporu. Wykorzystałam okazję - tłumaczyła ci, Kary, a ty jej przerwałeś.

- A dlaczego z Oporu nikt się do nas nie zgłosił? Do mnie, do Zejgala, do Rabicza?

- Bo im powiedziałam, że wy robicie co innego. Jesteście mi potrzebni. Jakby co. Więc bądźcie lepiej pod telefonami. ..

- No więc, pani wodzu, pani wódz-prezydentko, nie wiem, jak się do pani zwracać, co dalej ?

- Przestań. - Znów trzymała gardę, a jej głos stał się sinostalowy, jak zawsze. - No właśnie nie wiadomo, co dalej . Bo zniknął Hycke.

- Oho.

- No tak. Ale to dobrze akurat.

- Aha. To ja już nic nie rozumiem.

- Bo Hycke zaczął się ostatnio łamać. Więc zaczęłam rozmawiać z jego zastępcą. Z Hirkiem Potockim. A on...

- Z Hirkiem ...

- Tak, z Hirkiem. I to on teraz rozmawia z wojskiem. I w sumie dobrze, bo Potocki jest zdecydowany. A Hycke ...ja nie wiem już, w co gra ten Hycke. Chyba się przekombinował, niebożę. Możliwe, że on sam już nie wie, w co gra. Może, kurwa, podzielił przez zero i implodował. Nie wiem. No ale właśnie: dzwonię do ciebie po to, żebyś go przypadkiem nie szukał.

- Zaraz ... kogo?

- Admirala, kurwa, Togo. Hyckego.

- Jak to? - zapytał Kary głupio.

- Przecież mówiłam: bo Hycke zniknął. Nie słuchasz mnie.

- Słucham. Jak ten Hycke zniknął, co w ogóle ...

- Normalnie.

- Ale jak normalnie ... jak Hycke mógł zniknąć, i to „normalnie”, o co w ogóle chodzi ...

- Ale daj spokój. - Głos Złotej brzmiał podejrzanie entuzjastycznie. - Jebać Hyckego. Sami wszystko zrobimy.

Kary przysiadł na masce samochodu. Przez głos Złotej przebijał ryk nurkujących bombowców. Miałaś wrażenie, że się zbliżają.

- Zaraz ... - Kary pokręcił głową. - To może ten Hirek Potocki porwał Hyckego? Żeby nie mieszał?

- Twierdzi, że nie. Hirek podejrzewa mnie - zachichotała.

Kary ukrył twarz w dłoni.

- Ale, Złota, ty nie porwałaś Hyckego?

Złota się roześmiała. Usłyszałaś, jak zapala papierosa.

- Poprosiłabym o to ciebie, nie martw się - powiedziała.

- A może porwaliście Hyckego razem z tym całym Hirkiem, kurwa, Potockim?
- wypaliłaś, a Złota znów się zaśmiała.

- Nie, nie ja z Hirkiem, kurwa, Potockim. Być może te, kurwa, Hieroglify, nie wiem. Jeśli to faktycznie ten Jezus Santana, to całkiem możliwe.

- Sytuacja, jak mawiał wielki wódz Śmigły-Rydz, staje się tak, kurwa, dynamiczna, że już niczego nie rozumiem.

- A więc słuchaj . Jeśli jakimś cudem, kurwa, nie wiem, rozpracowując tych Hieroglifów, znajdziesz Hyckego, to go przypadkiem, kurwa, nie ujawniaj , dopóki się to wszystko nie skończy. Schowaj go gdzieś. Trzymaj go w dole. Zamknij . Jeśli go znajdziesz.

- Zabić też, jakby co?

- A zabij , kurwa, ja cię ścigać nie będę. Sądząc po znaczeniu, i to, kurwa, międzynarodowym, jakie nagle, dzięki temu zniknięciu, zyskał Hirek Potocki, to on chyba też nie. Aha - dodała. - Oczywiście nic nikomu nie mów. Ani Zejgalowi, ani Rabczowi. Ani Lurjemu. Dalej jesteście na Jelonkach?

- No.

- A daleko macie do zakładów ceramicznych?

Kary rozejrzał się. Zabudowania zakładów czerniały konturem na tle rozjeżonego przeciwlotniczymi światłami nieba.

- No więc to nie są tak naprawdę zakłady ceramiki, jak się okazuje. Alianci dali nam listę obiektów, które będą bombardować. Tam się robi broń chemiczną. No i pewnie niedługo ...

Słowa Złotej zostały zagłuszone przez odgłosy wybuchów, a zaraz potem wrzask ludzi stojących na ulicy.

Piekło, to było piekło.

Niebo wrzało od wybuchów i ognia.

Ludzie padali na ziemię, uciekali, podnosili się wzajemnie i ciągnęli gdzieś - do ogródków, do przydrożnego rowu.

Stałeś, otępiąłeś, aż poczułeś, że czyjeś ręce łapią cię za kark i rzucają na ziemię.

Lurje krzychał coś do ciebie, nie słyszałeś przez huk co.

A potem piekło się wzmogło.

Przez tłum pędził samochód. Otwarty terenowy krak.

Z zamontowanym na pace karabinem maszynowym. Kosił ludzi jak stali. Na pace byli ludzie w mundurach. Trudno było powiedzieć jakich. Miałeś wrażenie, że rozpoznałeś mundur brytyjski u człowieka przy obrotowym gnieździe karabinu. Ale tylko mignął. Wokół twojej głowy podskoczyły grudki ziemi.

- Napadli! Napadli! Mordują cywilów! - krzychał jakiś mężczyzna, który podniósł się z ziemi i zaraz na nią upadł, bo żołnierz operujący karabinem strzelał teraz do tyłu. Poderwałeś się i pobiegłeś w kierunku auta. Lurje pobiegł za tobą.

Wsiedliście, odpaliłeś silnik. Ruszyłeś powoli, żeby nikogo nie rozjechać. Na maskę wskoczył ci jakiś człowiek. Poznałeś Lejba Zejgala. Zatrzymałeś się.

- Rabcz! Rabcz! - wrzeszczał Zejgal. Oczy miał straszne. Dłonie we krwi. - Skurwysyn! Skurwysyn zabił Rabcza! Rozwalił mu głowę ! Głowę ! Mózg, rozumiesz? - Podtykał Karemu dłonie pokryte czymś różowo-czerwonym. - Widzisz? Mózg!

- Wsiadaj , kurwa, Lońka - warknął Kary, a Lurje przechylił się nad twoim siedzeniem i otworzył tylne drzwi.

- Kum arejn in auto, Lejbele, kurwa! - krzyknął. Zejgal, najwyraźniej w szoku, na sztywnych nogach, władował się na tylne siedzenie. Kary ruszył, zanim ten zdążył zamknąć drzwi.

Jechaliście więc, Kary, swoją terenową skodą brzetysław, trąbiąc klaksonem, torując sobie drogę wśród spanikowanych ludzi, aż w końcu wyjechaliście na główną ulicę. Stąd wyraźnie było widać płonąca fabrykę. Niebo cięły żółte kreski pocisków smugowych baterii przeciwlotniczych.

Fabryka płonęła, bombowce wyły. Ludzie leżeli w rowie, w niebie wirowały iskry. Widziałeś tylne światła kraka. Cisnąłeś gaz do dechy.

- Strzelaj do skurwysyna, Mietek - warczałeś do Lurjego. - Lońka! Wychył się z okna i wal!

Ale zanim zdążyliście w cokolwiek i kogokolwiek walnąć, z bocznej ulicy, a konkretnie z Morelowej, wyskoczył prosto na was ryczący samochód i zgasło ci światło.

Gdy się ocknąłeś, pełzłeś po ziemi. Musiałeś wyjść, nieświadomie, ze zgniecionej kabiny. Nie wierzyłeś własnym oczom. Z auta, które w was wjechało, gramolił się bowiem nikt inny jak podkomisarz Sarkań. Morelowy, o rany, garnitur, doskonale pasujący do nazwy ulicy, miał zakrwawiony w okolicach kołnierzyka. Twarz przecinała mu czerwona pręga. Musiał - przebiegło ci przez głowę - przyrznąć w deskę rozdzielczą.

- Cześć, Adaś - powiedziałeś, spluwając krwią. - Miałem pierwszeństwo. Wyjechałeś mi z podporządkowanej.

Przez twarz Sarkania najpierw przebiło się takie zdziwienie, jakiego nigdy chyba w życiu na oczy nie widziałeś, następnie wściekłość i błysk groźny w oku, a potem ból, gdy ruszył w twoją stronę i chyba zbyt mocno niechcący nacisnął na potłuczone kolano.

Ty już stałeś na nogach. I - ból nie ból - rzuciłeś się na niego. A potem mogłeś już tylko, jakby z boku, obserwować swoje ciało. I to, co wyrabia z ciałem Sarkania. A Sarkań, wydawałoby się, było nie było, również niegdyś komandos i też nie ułomek, bronić się potrafił. Ale nie miał szans. Nie teraz. Nie on. Patrzyłeś więc, jak walisz go z całej siły w żebra, jak poprawiasz drugi raz w to samo miejsce, jak łapiesz go za włosy, jak zostaje ci w dłoni jego śmierdzący jakąś wodą różaną tupecik, jak odrzucasz go z obrzydzeniem i jak walisz głową Sarkania o maskę. I jak odciąga cię od niego Lurje, i jak Lejb Zejgal celuje z visa w facetów, którzy gramolili się z Sarkaniowego piasta.

- Kary! Sarkań! Spokój ! - ryczał Lurje.

- Policja! - ryczeli faceci, którzy wyszli z piasta. Dwa wielkie paskudne chłopy, od których gliną faktycznie wiało na kilometry.

- Łapska trzymać w górze, adamy bure jebane! - darł się z kolei Zejgal.

- Ja też jestem policja! - wrzeszczał Lurje, jedną ręką wyciągając odznakę. - Na akcji! Ścigamy przestępców!

- My też, kurwa! - Sarkań wypluł na maskę swojego piasta ząb. - Skurwysynu ty, Kary, zajebię cię!

- Szefie! - Jeden z paskudnych wskazał ręką kierunek, w którym kilkadziesiąt sekund wcześniej zniknął krak z karabinem maszynowym. -Oni wracają!

- To tych ścigacie? - zapytał Lurje, podczas gdy ty, Kary, wbiegałeś już za swoje auto, jak za barykadę, i przyjmowałeś strzelecką pozycję.

- Lońka, zostaw glińarzy - powiedziałeś. - W tamtych strzelaj , do skurwysynów.

- Tak, kurwa - powiedział Sarkań, mierząc powoli wzrokiem ciebie i Lurjego. - W tamtych.

- No to, panowie, zająć pozycje i do broni - zakomenderował Lurje, obiegł piasta dookoła i przykucnął za twoją skodą. Gliniarze od Sarkania popatrzyli po sobie.

- Róbcie, co mówi podkomisarz Lurje! - ryknął Sarkań. - Pozycje! Strzelać w skurwysynów.

Skołowani gliniarze od Sarkania, popatrując po sobie wzrokiem zdezorientowanym jak Rydz na początku września, posłusznie zajęli pozycje.

Wyjący krak pędził w waszą stronę, terkocząc karabinem maszynowym skierowanym w tył. Nie miał tablic rejestracyjnych. I odnosiliście dziwne wrażenie, że kierowca ignoruje fakt, że na jego drodze stoją dwa wbite w siebie samochody. No i wył dziwnie wysoko.

- Kurwa - sapnął Sarkań, trzymając oburącz swój pistolet, małego, kieszonkowego walthera. - Czy on jedzie setką na trójce?

- Albo i na dwój ce - mruknął Kary.

- Ciebie, kurwo, nie pytam. Ciebie to ja jeszcze, kurwo, wsadzę ...

- Zamknij się. Ognia!

- Tylko uważaj cie na cywi... - krzyknął Lurje, ale jego słowa zagłuszyła salwa.

Przednia szyba kraka rozprysnęła się na kawałki. Widzieliście, jak ciało kierowcy w szoferce zsuwa się na fotel pasażera.

- Uciekać! - wrzasnął jeden z gliniarzy. Parę sekund później krak z całym impetem wyrznął w twojego brzetysława. Przeszło ci przez głowę, że tego już się nie wyklepie, a następnie zobaczyłeś, jak nad twoją głową przelatuje człowiek w mundurze. Brytyjskim .

Było ich czterech. Dwóch na pace, dwóch w szoferce. Wszyscy nie żyli. Obaj w szoferce - od kul. Obaj z paki - trudno powiedzieć, ale na oko wyglądało to na coś, co nazywa się fachowo wielonarządowymi obrażeniami wewnętrznymi.

Policjanci Sarkania z pomocą Zejgala znosili ich obok siebie. Z minami myśliwych układających pokot. Kary oglądał wgniecenia na skodzie i kręcił głową.

Sarkań i Lurje palili papierosy.

- Poszliśmy - charczał cicho Sarkań, układając na głowie tupecik, który podniósł z ziemi i otrzepał - bo, kurwa, wszyscy wiedzą, że na Jelonkach codziennie, kurwa, ktoś ludzi zabija, a u nas w psiarni szefostwo pochowało głowy w piasek. Na odprawie w Komendzie Głównej, no sam wiesz ... mówili, że nic się nie dzieje. Ja, kurwa, rozumiem, że to jest jakaś polityka, wiem, że ja nie rozumiem, o chuj tu chodzi, ale ja, kurwa, Mietek, jestem glina, tak czy nie? To, kurwa, wziąłem kilku swoich burych, zapytałem, znaczy, kto się zgłasza na ochotnika, i. ..

- My zrobiliśmy to samo - odpowiedział Lurje. - Mniej więcej .

- Aha. Ale ty wiesz, że ten twój Kary - Sarkań wskazał cię rozżarzoną papierosem - to jest prawdopodobnie morderca? Jeśli nie sam Kuba Hieroglif, to, kurwa, jeden z jego naśladowców? Jak go tu zobaczyłem, to od razu pomyślałem, że to on tu, kurwa, ludzi zabija, tak samo jak, kurwa, polskich żołnierzy na Fernandynie zabijał, że on tu jest po to, żeby ...

Głowa bardzo cię bolała, Kary. Miałeś ochotę wyłączyć Sarkania z prądu. Miałeś ochotę ot tak, po prostu podejść do niego i wypalić mu w ryj, żeby się zamknął i żeby więcej nic nie mówił. Miałeś ochotę, słowem, Sarkania zabić.

Zamiast tego podszedłeś do trupów, wokół których zaczął się już gromadzić mały tłumek.

- Czy to te... najeźdźce? - zapytał któryś z gapiów. - Ci, no, nasi własni sojusznicy?

Faktycznie, martwi przedstawiali dziwny widok. Dwóch z nich było w mundurach brytyjskich, jeden we francuskim, a jeden w hiszpańskim, w dodatku tropikalnym.

- No, to by musiało znaczyć, że Hiszpanie też nas zaatakowali -powiedziałaś, Kary. - I że, kurwa, wojska inwazyjne jakimś cudem przetrzuciły do samej stolicy

wojska samochodowe, w dodatku z obsadą składającą się z ciężkich kretynów strzelających radośnie do uciekających cywili. I to w jednym samochodzie. Dziwna taktyka. Te, adam bury - zwróciłeś się do jednego z policjantów - weź zobacz, co oni mają pod mundurami.

- Co kurwa, sam se zobacz, jak jesteś ciekawy - odburknął policjant o nosie jak klucha i wielkich, zwiniętych niby w paki, uszach.

- A, kurwa, kretynie. - Nachyliłeś się nad pierwszym z brzegu brunetem o twarzy rozdeptanej krewetki, tym w brytyjskim mundurze, tym, który strzelał i który później przeleciał ci nad głową. Rozerwałeś mu bluzę mundurową. Nie nosił nieśmiertelnika. Wyciągnąłeś nóż i rozciąłeś materiał, odsłaniając pachę.

Pod pachą trupa widniał tatuaż. Robili takie osowcom od kilku lat, od czasu, gdy na ich czele stanął Bycza Głowa. Dwie fajerki i pogrzebacz. Dwie litery O i stylizowane na piorun S.

- O kurwa - powiedział gliniarz z uszami jak paki. - Osy jebane.

I zabrał się do rozbierania kolejnych.

- Kto? Kto?- dopytywali się ludzie z tłumu.

- Osy jebane! - rzucił drugi gliniarz z zaskoczonym wyrazem twarzy.

- Osy! Osy jebane! - poszedł przez tłum ryk. - Osy, osy jebane do swoich strzelaj ą!

Coś cię tknęło. Rozwarłeś jednemu z nich wargi. Przyłożyłeś nos do ust. Potem drugiemu.

- Co ty robisz, kurwa, człowieku? - dopytywał się ten z pakami uszu. Zignorowałeś go.

- Co im odpierdoliło? - Sarkań nie rozumiał. - Kurwa, co się tu dzieje? Co to za wariactwo, Lurje, kurwa, powiedz mi!

- Kary? - zapytał Lurje, podchodząc do ciebie. - Rozmawiałeś ze Żółtą. Prowadzicie śledztwo, pomagam wam. Ale wiem, że wiecie coś więcej. Powiedz mi. Co tu się, kurwa, dzieje? Dlaczego żołnierze wojsk partii rządzącej urządzają sobie polowanie na ludzi?

- Już wcześniej urządzali - powiedziałeś. - Zabójstwa Hieroglifa to oni.

- Osy? - Lurje z wrażenia machnął ręką, żar jego papierosa zostawił ognik w ciemności.

- Tak. Osy.

- Od jak dawna wiesz?

- Od niedawna.

- Ale dlaczego? Co im odjebało?

Wzruszyłeś ramionami.

- Są naćpani.

- Czym?

- Klarywidentą.

- Czym, kurwa?

- To narkotyk. Z Fernandyny.

- Skąd?

- Z Fernandyny. Generalnie działa tak, że rozbija połączenia między synapsami i łączy w przypadkowych miejscach, ale nie do końca i nie na zawsze. To dziwna sprawa.

- Ale skąd, co ... Kto ich naćpał?

- Nie uwierzysz.

- Kary, kurwa, nie denerwuj mnie.

- Jezus Santana-Corab.

- Co? Ten kacyk z Fernandyny?

- Tak.

O Snardzu wolałeś nie mówić. Przynajmniej na razie. I tak by nie uwierzył.

- Ale jak to? Dlaczego? Jakim cudem? To on żyje?

- Trupa nigdy nie znaleziono.

- Ale to już tyle lat. .. ale co on tu robi? Jak mu się udało ...

- Tego właśnie chcę się dowiedzieć. Zresztą - dodałeś, ścisząc głos - niedługo wszyscy się dowiemy. Prawdopodobnie właśnie teraz koszary OOS-u atakuje polskie wojsko .

- Jak to? Skąd wiesz? - Lurje też zaczął szeptać.

- Co tam spiskujecie, kurwy?! - ryknął Sarkań, kuśtykając w waszą stronę i ścierając sobie perfumowaną chusteczką z twarzy krwawą pręgę. - Może byście łaskawie, kurwa, podzielili się swoją tajemną pierdoloną wiedzą, wy, kurwa ... - Syknął, bo znów przeniósł ciężar ciała na zranione kolano, i musiał złapać się karoserii kraka, żeby nie upaść.

Nad Warszawą płonęła luna.

- Kary. - Lejb Zejgal położył ci rękę na ramieniu. - Musimy wziąć Józka. On tam leży, tam. - Wskazał palcem kierunek, z którego przyjechaliście. - Z mózgiem na wierzchu.

Józef Rabcz leżał przykryty kocem, który jakaś kobieta wyniosła z domu. Leżał pomiędzy innymi zabitymi przez OOS-owców. Było ich wszystkich pięciu, zniesiono ich w jedno miejsce. Ogień z płonącej fabryki oświetlał ich buty, bo tylko nogi wystawały spod koców.

- Dziękuję - powiedział Zejgal do kobiety, która klęczała przy Rabczu i poprawiała leżący na nim koc. Kucnął przy nim i rozplakał się jak dziecko. Patrzyłeś, Kary, jak płacze włochata kupa mięśni, i poczułeś nagle, że wszystko jest nie tak, że wszystko poszło w złą stronę, że to, na co patrzysz, sprawia, że żołądek ci się wywraca na drugą stronę. Przyklęknąłeś przy Zejgalu i objąłeś go. Niezgrabnie. Zejgal drżał ci w ramionach, a ty jedyne, co mogłeś poczuć, potworze, to zażenowanie. I zamknąłeś oczy na wszelki wypadek.

- Co teraz? - zapytał Zejgal. - Gdzie go zawieziemy? Na policję? Do kostnicy?

- Nie wiem, Lejbele - powiedziałeś. - Nie wiem, teraz ... hm. Teraz przez jakiś czas nie będzie tutaj władzy, obawiam się.

Ale była.

U wylotu ulicy rozbłysły niebieskie szklanki radiowozów.

- Lejb - powiedziałaś. - Ja muszę iść. Muszę coś załatwić.

Zejgał popatrzył na ciebie przez łzy. Kiwnął głową.

- Złota?

- Tak jakby.

Biegłeś przed siebie, w stronę Woli. Beata nie odbierała telefonu. Generalnie często nie odbierała, więc w zasadzie nic to nie znaczyło. No ale bombardowali twoje miasto, a ona nie odbierała. To jednak, cóż poradzić, było niepokojące. Zadzwoiłeś do Złotej . Nic. Nie liczyłeś na to, że będą jeździły tramwaje, nie liczyłeś też specjalnie na taksówki, a tu proszę. Niebo płonie, huczy artyleria, huczą bombowce, co jakiś czas słychać wybuchy bomb, a tu normalnie, jak gdyby nigdy nic, Wolską jedzie złotowa z facetem w kaszkiecie na głowie i z podniesionym zielonym semaforem. Ciemnobrązowy osobowy krak, proszę bardzo. Machnąłeś, zatrzymał się, semaforek mignął na czerwono.

- Ooo, widzę, że pan szanowny ofiara nalotu kochanych sojuszników - powiedział taksjarz, patrząc na twoją zakrwawioną po wypadku twarz, na twoje poobijane ręce i brudną kurtkę. - Czy może wojny domowej?

- Jakiej wojny domowej ? - zapytałeś. - Śliska, panie.

- Jedzie się. To pan nie wiesz? - powiedział kierowca i włączył radio. - Radio wzięte. Chyba nie wiedzą, co puszczać, bo hymn w kółko leci.

I faktycznie, z radia popłynął Mazurek Dąbrowskiego. Kierowca wyłączył.

- Inne nie chodzą. Prywatne, państwowe. Zagłuszają, nie wiem. A przy hymnie, wiesz pan, ja się, kurwa, wzruszam, ale nie jak po raz pindziesiąty leci. Ale zanim puścili, to przerwali nagle audycję i tak mówią: „Przerywamy audycję, żeby nadać specjalny komunikat. Rządzący do tej pory krajem Obóz Narodowy nie sprawuje już władzy w Rzeczpospolitej Polskiej . Ukonstytuowała się Wojskowo-Opozycyjna Rada Ocalenia Rzeczpospolitej . Jednostki Oddziałów Obronna-Szturmowych OOS ulegają rozbrojeniu przez jednostki Wojska Polskiego". I teraz to puszcza ją co pięć minut. I jeszcze wezwanie, żeby nie ryzykować niepotrzebnie,

ale żeby uważać na osowców i w miarę możliwości ich rozbijać. A wiesz pan, co ludzie mówią?

- No? Ludzie? - zapytał. - To masz pan klientów? W taki dzień?

- Panie! - roześmiał się taksówkarz, wymijając jakichś spanikowanych rowerzystów. - Złote żniwa! Ludzie wystraszeni, chcą, żeby ich z miasta zwozić. Radiotaksi chodzi, zgłoszenie za zgłoszeniem! A mówią, że osy latają z karabinami po mieście i do niewinnych strzelają. Prawda to, nie wiesz pan?

- Prawda - mruknął. - Tylko są poubierani w mundury różnych krajów. Angielskie, francuskie. I, nie wiem, chyba udają, że to oni. ..

- No to może nie osy, tylko naprawdę Francuzi i Angliki. ..

- Tak, kurwa, Francuzi i Angliki, co się umieją teleportować.

- No co - odpowiedział przytomnie taksówkarz. - Z Królewca daleko nie mają.

- I po cholere, jeśli wystarczy zbombardować. Jeśli ktoś tu kiedyś wejdzie, to najprędzej Niemcy, jak się zjednoczą. Albo i, kurwa, Sowiety. Czemu z okazji nie skorzystać. Polska bombardowana, w kraju wojna domowa. Uważaj pan!

- O kurwa - sapnął taksówkarz, stając z całej siły na hamulec. Bo z Karolkowej na pełnym pędzie wyjechał transporter opancerzony z czarnym toporłem i symbolem OOS-ów na burcie. Uderzył w przejeżdżającego przed nim fiata, zmiotł go na drugi pas i wbił w barierkę oddzielającą go od tramwajów. Zaniósł nim trochę, ale wycofał się i ruszył pędem w kierunku centrum, waląc po fasadach seriami.

Usłyszał, jak taksówkarz głośno puszcza wiatry. Westchnął i otworzył okno.

- No kurwa - powiedział złotowa, trzymając kurczowo kierownicę. - Pan żeś to widział?

Z fiata na drżących nogach wyszedł kierowca. Patrzył otepiały to na swoje auto, to na odjeżdżający w stronę centrum transporter.

- Żem to widział - powiedział zmęczonym głosem. - Przecież mówię. Jedź pan.

- Tam? - Kierowca nie wyglądał na przekonanego. - Za nim? No nie wiem...

- Kurwa, tak pan kozaczysz, autem pod bombami jeździsz, a zwykłych osiaków pan żeś się przestraszył? - zapytał. - To jedź pan przez Wolę, jak się pan boisz. Z Karolkowej wyjechali, znaczy ich tam nie ma. Wio! No kurwa, zapłacę podwójnie.

- Potrójnie.

- Jedź pan, kurwa.

Zamek chodził luźno, mechanizm był zepsuty. Drzwi otwarte. Kary nogi miał ciężkie, jakby ktoś mu je wsadził po uda w worki z grochem. Nie pamiętał otwierania drzwi wejściowych, ale pamiętał ulgę, jaką poczuł, gdy zobaczył uśmiechniętą twarz Beaty stojącej w rogu pokoju, ubranej w swój ulubiony czarny płaszcz, w czapce i z zawiązanym pod szyją szalem.

- Bea - powiedział i ulga zaczęła stopniowo przechodzić w przerażenie. Bo po pierwsze, po co Beacie czapka, szal i płaszcz w salonie, co ten płaszcz tak na niej wisi jak na kościotrupie. I dlaczego ona się nie rusza, dlaczego oczy ma tak matowe i dlaczego jest jakaś nie swojego wzrostu, i dlaczego na podłodze leżą czyjeś wnętrzności i czaszka szkieletu, pomocy dla studentów medycyny. I dlaczego Beata stoi w miejscu, w którym zawsze stał szkielet, Kostek, ten dla studentów medycyny, który kiedyś Kary dostał od Złotej, przecież on zawsze stał w tym miejscu, zawsze, i gdzie on teraz jest, ten szkielet, dlaczego tutaj stoi Beata, i dlaczego spod czapki. ..

Swój krzyk Kary poczuł dopiero po jakimś czasie, tak, poczuł, a nie usłyszał, poczuł jego wibracje, bo w uszach tak mu szumiało i dzwoniło, że słyszeć to on nie słyszał niczego.

Dopadli ją. Dopadli, skurwysyny.

Ale dlaczego ją?

Dlatego, że mieli zamiast niej dopaść jego?

Na ścianie widniał krwią namalowany znak.

Trumna.

Znak Króla Jansa. Ducha polowań.

Na sztywnych nogach podszedłeś do barku.

Otworzyłeś.

Wyjąłeś flaszkę burbona.

Sięgnąłeś głębiej . Znalazłeś woreczek ze zbryloną amfetaminą. Nawet nie wciągałeś. Po prostu żarłeś. Gryzłeś paskudne, gorzkie grudy i zapijałeś burbonem.

A gdy w głowie jednocześnie przyciemniło ci się i rozjaśniło, wyjąłeś z szafy pistolet maszynowy Mors, a po kieszeniach battledressów poupychałeś magazynki. Zdjąłeś kurtkę motocyklową i założyłeś długi prochowiec. No, Kary. W końcu, kurwa, wyglądałeś jak porządny detektyw noir. Wy szedłeś na korytarz i zbiegłeś po schodach.

Pan Artur, dziwny stróż, wyszedł z piwnicy. W dłoni trzymał wyłączoną latarkę. Słyszałeś dobiegający z dołu płacz dziecka i przyciszony gwar rozmów. Otaksował cię z góry do dołu, szczególnie długo zatrzymując wzrok na morsie.

- Panie! Co pan tu jeszcze robisz! Zaciemnienie jest, a pan na korytarzu światło palisz? Wszyscy lokatorzy do schronu, na dół! Ale nie z tym gnatem! Tu jest porządna kamienica, a nie jakieś powstanie styczniowe!

- To my mamy schron? - zapytałeś, zionąc na pana Artura burbonem i dziwiąc się swojemu dziwnemu spokojowi, swojemu nieludzkiemu, zimnemu, dziwnemu spokojowi, który samego ciebie przerażał. - Panie, słuchaj pan, mam pytanie. Bo pan wiesz takie rzeczy, pan prenumerujesz różne magazyny.

- No? - zapytał pan Artur, przyglądając ci się bardziej niż krytycznie. - Jakie?

- Gdzie są najbliższe koszary OOS-u?

Twój plan, Kary, był prosty. Dopaść możliwie najwyższego rangą OOS-owca i tłuc skurwysyna tak długo, aż doprowadzi cię do kogokolwiek, kto wie coś o tym „nowym panu”, o którym mówił ten zestrzelony ze ściany Hieroglif z pociętym ryjem. Czy „nowym mistrzu”, o którym mówił Walek. I tłuc go tak długo, aż

doprowadzi cię do kolejnego ogniwa tego pierdolonego łańcuszka. Do „nowego mistrza”. Bo wiedziałeś doskonale, kim jest ten, kurwa, „nowy mistrz”.

I dziwiłeś się, że dopiero teraz wpadłeś na ten plan. Genialny, przyznaję, w swej, Kary, prostocie. Bo rzeczywistość, myślałeś, w gruncie rzeczy jest kurewsko prosta. Tylko my, wkręciwszy sobie, że jesteśmy wyjątkowo wyrafinowanym gatunkiem inteligentnych zwierząt, niepotrzebnie komplikujemy sprawę.

Szedłeś więc w stronę Filtrów, bo dziwny pan Artur oczywiście wiedział, gdzie są najbliższe koszary OOS-u. Jak i wszystkie inne w mieście. Trzymałeś się zaułków i rozglądałeś za samochodem, który można by zwinąć. Morsa starałeś się ukryć pod płaszczem, ale czy komukolwiek, kto kiedyś próbował ukryć pod płaszczem karabin maszynowy, udało się nie wzbudzić żadnych podejrzeń?

Tym bardziej że naloty się skończyły, być może chwilowo. Bombowce odleciały i żołnierze, myślałeś, na pewno już zajęli się tłuczeniem do siebie nawzajem. Siły lojalne wobec rządu przeciwko tym od generała Krupy. Słyszałeś stukanie karabinów maszynowych. Wydawało ci się nawet, że widzisz oddział oporowców przemykający w stronę torów kolej owych, ale równie dobrze mógł to być jakiś oddziałek przestraszonych osowców, którym zaczynała schodzić klarywidenta, co powodowało, na przykład, fazy lękowe.

Beata.

Próbowałeś myśleć o Beacie, ale w głowie miałeś tylko beton. Ze spida zmieszanego z burbonem. Taki beton, że nawet metalowa płytką, którą masz w głowie, tkwiła na nim pewnie i stabilnie, jak przywiercona do głazu narzutowego.

I gdy w końcu zdecydowałeś się na eleganckiego jaguara, który stał zaparkowany w okolicach Eagle Plaza, i gdy po kilku nieudanych próbach otwarcia zamka wytrychami z wojskowego scyzoryka w końcu rozbiłeś mu szybę kolbą morsa i zaczęłeś grzebać przy kablach pod kierownicą, by go odpalić, zawibrował twój mobil. Zakląłeś. To mogła być Złota. Kazała być pod telefonem, ale czy

musiała akurat teraz? I czy powinieneś jej mówić, akurat teraz, że jej jedyna siostra została zdekapitowana i wybebeszona w twoim własnym mieszkaniu? Złota...

Ale to nie była Złota.

To był Waluś.

Kurwa.

Waluś?

- Waluś, do kurwy ciężkiej, co jest?

- Ratuj, Kary! - wył Waluś. - Tu wszyscy, wszyscy, kurwa ... zwariowali! Ja już nie wiem, co się dzieje ... - Waluś zaczął bełkotać bez sensu. - Kary, ty jesteś zdrajca, ty jesteś bohater, wszyscy cię znają... ratuj!

Pędziłeś przez miasto. Mieszkańców na ulicach nie było, wszyscy pochowali się w domach, tylko tu i tam przemykały pod ścianami cienie uzbrojonych ludzi. Na rogu Alej i Żelaznej ktoś zaczął montować barykadę, ale wyglądało to tak, jakby znudził się w połowie roboty. Dwa razy uzbrojeni żołnierze próbowali cię zatrzymać, dwa razy zignorowałeś ich wezwania. Tylko raz puszczono za tobą serię. Usłyszałeś pacnięcie, gdy jedna z kul uderzyła w bagażnik. Jechałeś dalej, wjeżdżając w uliczki Ochoty.

Walusiowi klarywidenta ewidentnie źle weszła. Gdy w końcu, nieszczęsny, dotarł do „zakonu nowego mistrza” w elitarniej części OOS-ów, gdy wprosił się do tego zakonu, wyblagał wejście, zapoznał się z naukami „nowego pana” i choć nie został dopuszczony przed samo jego poharatane oblicze, to został dopuszczony do celebracji, którą - jak twierdził - prowadził jeden z najbliższych współpracowników mistrza. Wszyscy, opowiadał Waluś przez telefon, bezpiecznie przyczajony w jakimś schowku na miotły w koszarach OOS-u, byli dziwnie podnieceni, oglądali jakieś stare mundury i szykowali się na „wyjście na polowanie”, mówili, że trzeba „polować na polujących”. Waluś bełkotał przerażony i mówił nieskładnie, ale domyślałeś się, Kary, że najprawdopodobniej nikt mu niczego konkretnego nie zdążył wyjaśnić ani powiedzieć.

- Kary, oni mówili, że Polskę trzeba zresetować, że Polska musi być zniszczona i zbudowana na nowo, że musi dokonać rytualnego samobójstwa i zmartwychwstać ... o kuiwa, o kurwa!

Usłyszałeś huk w słuchawce i telefon zawył. Gdy dziwny, rozwibrowany dźwięk zniknął, słycać było tylko terkot broni maszynowej i nieludzkie wycie. Po chwili znów strzały i wycie ucichło.

Siedziałeś w jaguarze, którym najbezpieczniej w świecie wjechałeś na trawnik na Opaczewskiej . Nie czas żałować trawników, myślałeś, gdy płoną miasta. Paliłeś papierosa, bezceremonialnie strzepując popiół właścicielowi na siedzenie pasażera, i patrzyłeś.

Koszary OOS-u stały w ogniu. Nie było tutaj wojska. Najwidoczniej mordowali się sami wzajemnie. Ze środka dobiegał terkot maszynówek.

Ale bardzo ładnie to wyglądało, musiałeś przyznać. W tej łunie. Na tle Szukalskich mrokodrapów. Wszyscy okoliczni mieszkańcy wylegli na zewnątrz.

- Osy! - krzyczał ktoś. - Osy jebane się palą! Mordercy!

Tłum podejmował.

- Osy jebane!

- Mordercy!

Z podwórza płonącego budynku wyjechał samochód. Zielony, wojskowy, terenowy piast. Za nim drugi i trzeci. Ugrzęzły momentalnie w tłumie. Ktoś zaczął strzelać, ludzie zaczęli krzyczeć. Rozbiegali się. Auto ruszyło z piskiem.

Wrzuciłeś bieg i wystartowałeś, rwąc trawę spod kół. Pędziłeś za kawalkadą mknącą w stronę Czystego i nagle wcisnąłeś mocno hamulec.

Jeden z samochodów OOS-u wbił się w transporter opancerzony. Też OOS-u. Diabli wiedzą, czy nie tamten z Woli. Ale za transporterem szedł pościg. Wielozadaniowe terenówki Krak z orłem na drzwiach i literami WP. Wojsko. Już dawno, Kary, tak się nie cieszyłeś na widok polskiego sprzętu wojskowego.

Z kraków wyskoczyli żołnierze i otworzyli ogień do osowskich piastów.

Dwa pierwsze piasty zatrzymały się.

Ten trzeci zawrócił i zaczął uciekać w stronę południowego końca city Szukalskiego.

Pojechałeś za nim.

Piast nie miał szans z jaguarem.

Widzieli, że ich gonisz, próbowali przyspieszyć. Gdy zrozumieli, że nie mają szans, skręcili w stronę dworcowych zabudowań. Piast podskoczył na wysokim krawężniku. Nie miał wyjścia, zrobiłeś to samo. Nisko zawieszony jaguar jęknął boleściwie, ale wytrzymał. OOS-owcy pędzili w stronę niewykończonej, stawianej w postszukalskim stylu piramidy Banku Ziemskiego. Zajechałeś ich z lewej i mocno skręciłeś kierownicą. Jaguar uderzył w bok piasta, a ten nie utrzymał kursu. Wyrznął w blachę otaczającą budowę, zerwał ją i z całym impetem wjechał w wielopiętrowe rusztowania oplatające piramidę.

Zatrzymałeś się i patrzyłeś, jak dziesięć pięter rur i desek wali się na piasta z dwoma fajerkami i pogrzebaczem na burcie. A potem przestałeś cokolwiek widzieć, bo wzbil się taki tuman pyłu, piachu i kurzu, że litościwie spowił wszystko gęstym tumanem.

Odwalić tyle rur, żeby dostać się do auta, nie było łatwo. Ale po kilkunastu minutach mogłeś już dojrzeć człowieka siedzącego za rozbitą szybą po stronie pasażera.

Mogłeś dojrzeć, i dojrzałeś, i zobaczyłeś przed sobą straszliwą, okaleczoną, porytą bliznami twarz.

I wiedziałeś już, co kryje się pod bliznami.

I w dodatku ten pasażer żył. Oddychał, choć był zakrwawiony i nieprzytomny.

Los się w końcu do ciebie uśmiechnął, Kary.

Bo to był jeden z zaginionej na San Fernando dziesiątki elitarnych komandosów. Członek reżimowej lejbgwardii. Twój dawny kolega z Falangi. Z młodości.

I jeden z tych skurwysynów, którzy zgwałcili Złotą.

Te dwie historie w końcu się skrzyżowały, Kary.

Ba, z dużą dozą prawdopodobieństwa był to również ten, który zabił Beatę.

Który obciął jej głowę i nasadził ją na szyję twojego kościotrupa Kostka.

Powiedz, Kary, alleluja.

Przed tobą leżał Paweł Krzyżanowski. Krzyżak.

- Zabij go - powiedział do ciebie głos Beaty.

- Nie - stęknąłeś, próbując wywlec bezwładne ciało przez okno samochodu. -

Jeszcze nie teraz.

A potem wyjąłeś mobil i wybrałeś numer Ariela Baumgarta.

Musiałeś kilka razy powtórzyć, zanim skurwysyn odebrał.

- Kary, chamie ze wsi... wojna jest! Co mi dupę zawracasz żydowską?! Czego chcesz?

- Mam towar, Ariel, capie hebrajski jeden - powiedziałaś. -Zamawiany przez Karakallę. Gdzie go podrzucić?

- Chryste panie - jęknął mało po starozakonnemu Ariel. - Kurwa, czekaj, daj mi pomyśleć. Tobie się zdaje, że my tu mamy katownię dwadzieścia cztery na dobę? Otwartą w piątek, świątek, szabas, srabas i wojnę, kurwa, domową?

- Jesteście porządną chewrą czy nie? - zapytałeś, Kary, i zapaliłeś papierosa.

- Jesteśmy - powiedział Ariel.

Byli.

Paweł Krzyżanowski nie wyglądał dobrze.

Ząb z kapsułką z arsenikiem wyrwali mu obcęgami, gdy był jeszcze nieprzytomny. Później było tylko gorzej . Przywiązali go, całkiem klasycznie, do krzesła i postawili pośrodku piwnicznego pokoju. Kary nigdy wcześniej nie był w mafijnej katowni. Normalnie, Kary, pewnie byś się porzygał albo w inny sposób zmusił swoje ciało i sumienie do zaprotestowania przeciwko temu, w czym uczestniczysz, ale dziś nie było normalnie. W ogóle nie było już normalnie od jakiegoś czasu.

Gdy Krzyżanowski się obudził, z bólem wyjąłym z każdej części głowy, zobaczył przed sobą twarz Karego.

- Cześć - powiedział Kary, uśmiechając się. - Jesteś już ostatni.

Zamoczył palec we krwi ciekącej Krzyżanowskiemu z ust i namalował mu na czole kółko, a w kółku - kropkę.

- Nie, Kary. - Krzyżanowski parsknął na niego krwią. - To ty jesteś ostatni.

Do piwnicy wszedł Karakalla. W szlafroku i kapciach. Za nim - kilku roślących zakapiorów. Jedni wyglądali na stuprocentowych, szabasowych Żydków, inni - na dwustuprocentowych bigosowych Polaczków. Chewry chyba jako pierwsze w państwie wprowadziły indyferentyzm narodowy i religijny.

- Tu jest nasz, kurwa, Hieroglif. Dziękuję, panie Kary. Można na pana liczyć. Porządna z pana firma. Co się dowiemy, a co pana może interesować, to panu powiemy. Rozliczenia z Arielem. A teraz żegnamy. To nie będzie ładny widok.

Kary odwrócił się i poszedł, z ulgą, w stronę wyjścia.

- To ty jesteś ostatni, Kary! - krzyknął za nim Krzyżanowski. -Pamiętaj ! Sobie narysuj , kurwa, oko na czole!

- Zapytaj cie go o to, gdzie jest Santana - powiedziałaś, Kary, do Ariela Baumgarta, który stał w przejściu w szpitalnym kitlu, żeby nie pobrudzić krwią swojego drogiego jasnego garnituru.

- Kto?

- Jezus Santana. Tylko to chcę wiedzieć. Ale muszę wiedzieć.

- Ten Jezus Santana? Ten z ...

- Tak, ten.

- Aha. No dobrze, to przy okazji dowiemy się też czegoś nowego z najnowszej historii Polski. Czemu nie.

Gdy Baumgart zawołał cię z powrotem, wszedłeś, a widok, który zastałeś, uderzył cię w głowę tak, jakby ci ktoś z całej siły łopatą przyłożył.

Krzyżanowski tkwił wbity na pal. Pal ustawiony w stojaku na choinkę, który z kolei wystawał z wanny zalanej cementem. Z oczu płynęła mu krew. Rzęził.

- No dobra - powiedział Karakalla, cały zakrwawiony. Zdjął czerwony od krwi szlafrok i stał tak, z gołym torsem, w samych slipach i kapciach. -To ja już idę. Zróbcie z nim, co chcecie. Dzięki, panie Kary, jeszcze raz. Ku chwale ojczyzny. Do widzenia.

I wyszedł. Aza nim jego, równie zakrwawieni, goryle.

- Powiedział? - zapytałś Baumgarta.

Baumgart kiwnął głową. Był blady. Zerknąłś w kąt, na ślady wymiocin.

- Gdzie?

- W... jakiejś posiadłości Byczej Głowy. Gdzieś za miastem. Powiedział gdzie. To znaczy, no ... - Pokazał ręką straszliwe ciało Krzyżanowskiego. - Tak mniej więcej powiedział. Zapisalem. Masz. - Baumgart wcisnął ci, Kary, w dłoń kartkę z notesu. Zerknąłś na nią.

- To jeśli powiedział - mruknąłś - to czemu on, kuiwa, jeszcze żyje?

- Co to za życie - rzucił głupkowato Baumgart, patrząc w inną stronę.

- No właśnie - powiedziałaś. Podszedłaś do Krzyżanowskiego, złapałaś go za kostki i pociągnęłaś mocno w dół. Ryknął. A potem umilkł, zwieszając głowę.

Wiedziałaś, gdzie to jest. Krzyżanowski wyrzeźbił, a Baumgart napisał tylko tyle: „Pod Konstancinem, piramida z Minotaurem, w lesie". Tak się składało, że wiedziałaś doskonale, co to za piramida może być w lesie pod Konstancinem. Bo doskonale ją było widać z Czarnego Pałacu, czyli z pomalowanych na czarno ruin starego browaru, w których na pewien czas swoją rezydencję urządził Faruga.

Zastanawiałaś się, co to może być. Szukalska piramida, ze zwieńczeniem wymodelowanym w człowieka noszącego na gigantycznym karczydle wielką, kurwa, byczą głowę. Najciemniej jest pod latarnią. Równie dobrze mógłby się skurwysyn podpisać.

Jechałeś potłuczonym jaguarem, którego nauczyłeś się już odpalać kablami tak płynnie, że kiedy ci zgasł przy nagłym hamowaniu na światłach - chciałeś przepuścić jakiegoś uradowanego anarchią obywatela, który pędził, rycząc radośnie klaksonem, na czerwonym świetle w terenowym kraku z rozwiniętą polską flagą z przekreślonym toporem - odpaliłeś go w kilka sekund, tak że nawet nikt za tobą nie zdążył cię obtrąbić.

Jechałeś i słuchałeś radia.

Wojsko internowało Snardza. Oddziały prorządowe przechodzą na stronę Rady Ocalenia.

Koszary OOS-ów atakowane.

Wojsko poszukuje Byczej Głowy.

Roześmiałeś się. Naprawdę, nikt, kurwa, w tym kraju nie wie, że Bycza Głowa ma tak tajny pod Warszawą pałacyk, tak superzakamuflowany, że na dachu wystawił sobie gigantyczny byczy łeb i nikt się nie pokapował? Nikt, cymbale, łącznie z tobą?

Wyjąłeś mobil i zadzwoniłeś do Złotej .

Nie odebrała.

Po raz drugi również.

Ani po raz trzeci.

W końcu, za piątym albo szóstym razem, usłyszałeś w słuchawce jej głos.

- Kary, kurwa, co się dzieje, ja tu, kurwa, w środku przewrotu, coup d'etat, kurwa, co mi głowę zawracasz, jak ja do ciebie dzwoniłam, to, kurwa, nie odbierałeś, sprawdź sobie w nieodebranych, masz kilkanaście połączeń, a teraz to ...

- Złota, Złota, zamknij się na chwilę. Wiem, gdzie jest Bycza Głowa.

Zostawiłeś jaguara w lesie, dalej poszedłeś piechotą. Spod bocznego siedzenia wyjąłeś morsa i ruszyłeś przed siebie przez sosnowy las. Wdychałeś zapach igliwia, ściółki. Grzybni. Mokrego piasku. To chyba, myślałeś, najbardziej polski

zapach. Ponadzaborowy. Tak pachnie dawna Kongresówka, tak pachnie Galicja, tak pachną Pomorze i Wielkopolska. A nawet Protektoria i Prusy. Ba, Słowaccyzna też tak pachnie. Tak pachną Kresy, od Wileńszczyzny po Ukrainę. Tak zdecydowanie nie pachnie Fernandyna. To tam ostatni raz biegałeś po lesie z gwerem maszynowym.

Zobaczyłeś ogrodzenie, podbiegłeś do niego. Nie zdziwiłbyś się, gdyby było pod napięciem, jak u Lasoty. Tak, tak, kto bogatemu zabroni. W dodatku panu. Litewskiemu, kurwa, księciu, generałowi Michałowi Byczej Głowie-Dowkontowi. Szefowi OOS-ów, adiutantowi wielkiego wodza, wiceprezydentowi RP. Ciekawe, czy już wie, że Snardz internowany. Pewnie tak, chyba radio w tej piramidzie ma. Choć cholera wie, pewnie tam się właśnie jeden z tych klarywidentowych obrzędów odbywa. W jakiś, kurwa, sposób przecież ten jebany Santana musi odwracać skutecznie ich uwagę od rzeczywistości.

Ale, trzeba przyznać, ten pałac robi wrażenie. Jest, oczywiście, w kształcie azteckiej piramidy, jakżeby inaczej . W pewnym okresie wszyscy tak budowali. Szukalszczyzna, kolonializm w Ameryce, było nie było, Łacińskiej . Szczególnie ten Minotaur na szczycie robi wrażenie. Niby taki Minotaur mała majański, ale przecież cała Europa, ba, cały świat to polskie dziedzictwo. Wszyscy kiedyś mówiliśmy macimową. Zabawnie było, gdy macimowę Polska próbowała lansować jako międzynarodowy język, jako nowe esperanto. Nawet udało się zgromadzić jakąś liczbę entuzjastów z całego świata, zrobić międzynarodowy zjazd macimowy w Warcie, tylko że nikt podczas tego zjazdu nie był się w stanie z nikim dogadać. Wszyscy gaworzyli tymi pojedynczymi sylabami, z których każda miała po kilkadziesiąt znaczeń, i brzmiało to tak, jakby wszyscy mówili po wietnamsku. Albo po chińsku, bo macimowiarze postulowali, by każdej z tych sylab przydać inną intonację, żeby było mniej więcej wiadomo, co która znaczy, ale zabrakło koordynacji międzynarodowej , w związku z czym gdy ktoś mówił na przykład TI-KA, to to mogło znaczyć zarówno „gdzie jesteś”, jak i „jesteś gównem”. Tak więc się nie dogadywano i Ogólnoświatowy Zjazd Macimowistów w Warcie trudno było zaliczyć do udanych.

Dopiero teraz dostrzegłeś orle skrzydła u Minotaura, złożone na plecach, nałożone na siebie jak u chrząszcza, tylko bez chitynowego pancerza. Usłyszałeś szczekanie psa. No tak. Burbon i amfetamina działają na ciebie, jakbyś sobie dożył powstrzykiwał benzynę, ale trochę mimo wszystko otepiał. Pies, kurwa. Zresztą co z tego, że pies. Przecież ten pies musi czekać jak popieprzony od kilku godzin. Co najmniej od chwili, w której zaczęły się bombardowania. Oho, drugi pies. I trzeci. A oto brama.

Wielka, kuta, wysoka, piękne toporły wkomponowane w jej skrzydła, no cóż, gdzieś tu musi też być furka, no proszę.

Znalazłeś, geniuszu. Były komandosie z pierwszą grupą inwalidzką.

Wytrych. Trach. Otwarta. Pies. Strzał w górę. Pies kwili.

- Uciekaj, piesku - mówisz mu. - Uciekaj. Bunt psów jest. Nie zostawiaj swoich, nie bądź łamistrajkiem.

I pies, ku twojemu zdziwieniu, ucieka. Przeciska się między tobą a słupkiem furki i pędzi w las. A za nim drugi.

Dobrze, pieski. Otwierają się drzwi, staje w nich ...

Bycza Głowa.

Wielki, zwalisty. Litwin, o krzaczastych, mimo młodego stosunkowo wieku, brwiach. O kręconych włosach i bakach niby księżę Pepi. Hipsiarze z całej Polski podejrzewali, że te baki to tajny sygnał, że szef OOS-ów i wiceprezydent RP tak naprawdę jest hipsiarzem i że sympatyzuje z hipsiarską sprawą i ogólnoswiatową obyczajowo-społeczną rewolucją. Choć tak naprawdę nigdy nie dawał ku temu żadnych podstaw. No, być może poza legendą birbanta i bawidamka, którą starannie pielęgnował i którą podtrzymywały, ku jego radości, warszawskie czerwonaki. „Prześcignąć Wieniawę” - to było jego hasło, które kiedyś, pijany, rzucił jakiemuś brukowemu dziennikarzynie do mikrofonu i które od tej pory kręciło się po Polsce. Tylko warto pamiętać, jak się ta cała impreza dla Wieniawy skończyła.

Ach, Bycza Głowa. Chłop postawny, słuszny, wąsaty.

W pełnym mundurze osowskim, ciemnobrunatnym, z toporłem na czapce. A przy nim dwóch osowców szturmanów, z morsami w rękach.

- Mówiłem, żeby szef nie wychodził pierwszy na strzały ! - utyskiwał jeden ze szturmanów, a oczy miał tak pięknie mętne od klarywidenty, jak to widywałeś często w Forcie Jezus, gdzie wieczorami klarywidencę w niektórych sferach popijało się jak lemoniadę.

- No, no - mruczał Bycza Głowa-Dowkont - faktycznie, no, no ... Tomaszu, no ...

Oczy miał identyczne. No, Kary, nietrudno poznać człowieka porobionego klarywidencą jak małpa. No i ten zapach ...

W każdym razie, zanim dialog pomiędzy generałem a jego przybocznymi się rozwinął, ściałeś obu osowców z morsa ustawionego na pojedyncze strzały. Upadli jak dwa ciężkie słoneczniki, jeśli im przeciąć łodygi. Trzymali się za kolana i wyli. Bycza Głowa rozglądał się, skonfundowany, patrząc nieprzytomnym wzrokiem to na jednego, to na drugiego.

Był naćpany jak niemowlę.

- Przepraszam, chłopaki - powiedziałaś, bo ci, z jakiegoś powodu, szkoda się ich zrobiło. Wszystkich. Całego tego nieszczęsnego narodu, wszystkich tych Walusiów, tych biednych krwioziemców, tych wszystkich faszystów, którzy ryli w tej nieszczęsnej historii nieszczęsnego kraju, buksowali, robili z siebie potwory, którymi nie byli, ale którymi się powoli stawali, unurzani po czubki głów w wyziewach, odchodach i wypocinach wszystkiego, co w tym nieszczęsnym państwie najbardziej toksyczne i jadowite.

Mój boże, pomyślałaś, który nie istnieje, czy to wszystko naprawdę musi tak wyglądać?

Co nie istnieje, Kary. Co nie istnieje. Aja?

- Leżcie, leżcie - powiedziałaś. - Będziecie żyli.

Odkopnęłaś ich morsy daleko na trawnik. Ogłuszyłaś, jednego po drugim, krótkimi ciosami w skroń. Wyjąłaś im z kabur pistolety, schowałaś do obu

przepastnych kieszeni prochowca.

Bycza Głowa cofnął się do wnętrza piramidy-pałacu, grzebiąc przy kaburze ciężkiej kolubryny. Strzeliłeś mu w dłoń, wypuściłeś z rąk morsa, pozwalając, by zadyndał na taśmie, uderzając cię w biodro, i przyskoczyłeś do niego. W prawej dłoni trzymałeś już kieszonkowego visa.

- Skurwysynu! - ryczał, blady, trzymający się za rękę i woniejący klarywidenta jak samochodowa kostka zapachowa dla perwersów. -Odstrzeliłeś mi palec, odstrzeliłeś. . . czekaj , bo mi słabo ...

Powaliłeś go na ziemię, odwróciłeś na brzuch. Spadła mu czapka. Złapałeś wiceprezydenta RP za kędzierzawe włosy.

- Gdzie Santana?

- Skurwysyn! Też skurwysyn! Oszukał!

- Człowieku, ogarnij się! Gdzie Santana?

- Oszukał ... nas wszystkich! Skurwysyn! Oszukał... pozwól mi wstać - zawył.

- Ilu tu jeszcze masz ludzi?

- Żadnych ... wszyscy w terenie ... to znaczy ... no ...

- Znaczy co?

- Są z Santaną! Ale to ludzie Santany, no ... rany ...

- Kurwa, mówże składnie!

- Staram się! - ryknął rozpaczliwie książę Bycza Głowa-Dowkont. -Ale nie mam palca! Boli! Leżę! Ratunku!

Wstałeś z jego pleców. Podniosłeś go. Stał, blady, trzymając się za okaleczoną rękę, opierając się o ścianę.

- Co z Santaną? - zapytałeś.

- Jezus ... - stęknął Bycza Głowa. - Ten skurwysyn jebany, ten... kurwa ... oszukał nas.

- Jak was oszukał?

- Miało przyjść zbawienie, zmartwychwstanie, Polska miała zmartwychwstać, mieliśmy ją wypalić, miał zejść Król Jansa, miał przyjść Stary, miała przyjść

Ersulia...

- Co ty gadasz, człowieku? - zapytał, mrużąc oczy. - Co ty gadasz?! Co ty bredzisz?

- Co ja gadam, co ja gadam. - Dowkont złapał się za twarz w rozpaczliwym geście, krwawiącym kikutem palca rozmazał po niej krew. - Kurwa, jak my mogliśmy ... Mój palec! - przypomniał sobie i zawył.

- Uspokój się! Co z ciebie, kurwa, za szara eminencja! Nie rycz, chcesz, żeby tak o tobie pisały podręczniki? Płacząca Bycza Głowa? I wy wszyscy się mu tak daliście? Cały OOS?

- Nie cały ... nie cały. Elita! Elita! - Dowkont wyprężył się dumnie, ale zaraz oklapł.

- A Snardz?

- Snardz ... Snardz był pożytecznym idiotą, to marionetka przecież. Wódz... Santana go wykorzystał. Przecież on, kurwa, po tym zamachu ... Jezu, tego naprawdę nie było widać w telewizji?

- Snardz już siedzi.

- No właśnie, a na nas idzie, kurwa, Wojsko Polskie! Nie tak miało być! Nie tak!

- Gdzie jest, kurwa, Santana?

- Na dole w bunkrze. - Bycza Głowa chciał wskazać kierunek palcem, ale zorientował się, że go nie ma. Zasmuciło go to bardzo i zapłakał.

- To dlaczego go, kuiwa, stamtąd nie wyciągnęliście?

Bycza Głowa spojrzał na ciebie, jakby nie rozumiał, o czym mówisz.

- Przecież prawie wszyscy tutaj poszli za nim, przecież oni tam z nim są w tym bunkrze ... z kim miałem go wyciągać, z tymi dwoma, co tu leżą? Przecież on tam ma tych swoich pieswybowców, kurwa, z pociętymi ryjami, tych zaginionych ... Jezu, jak boli...

- Nie płacz, ich będzie bolało bardziej, jak się obudzą. - Wskazałeś leżących na ziemi. - Prowadź do tego bunkra. Tylko nie pokazuj drogi palcem, bo będziesz

płakał.

- Ja cię kojarzę - mamrotał Bycza Głowa, gdy prowadził cię korytarzami obwieszonymi starymi portretami Dowkontów herbu Bycza Głowa. Przodkowie patrzyli na was suchymi, pociągłymi, końskimi twarzami. Prawie wszyscy byli jakoś tam podobni do Dowkonta. Na ścianach wisały też szable i jakieś, kurwa, Kary, buzdygany. - Ty jesteś ten... no ... niech się pan nie obrazi, ale mówią, że zdrajca... ten, Gniady?

- Kary, ty faszystowskie ścierwo obszarnicze. - Popchnąłeś go, zły nagle, pistoletem w plecy. - Wio, kurwa ! Prowadź do bunkra!

- A jak cię zaprowadzę, to mnie puścisz? - załamentował nagle Bycza Głowa płaczącym głosem.

- I gdzie pójdziesz? Zgłosisz się na posterunek? Puszczę cię, jak chcesz, na chuj ty mi jesteś potrzebny.

Bycza Głowa chlipał. Zeszliście schodami w dół. Ściany były wykonane z lanego betonu. Stanęliście pod grubymi metalowymi drzwiami. Po prawej stronie migotał na czerwono panel. Wyświetlał się napis ZAMKNIĘTE.

- Otwieraj.

A Bycza Głowa w płacz.

Podstawił ci pod nos kikut palca.

- To szło na odcisk! Na linie papilarne! A ty mi, kurwa, palec odstrzeliłeś!

Wywróciłeś oczami jak wściekła nastolatka.

- Kurwa mać, Dowkont! Uspokój się! A kod? Nie ma żadnego kodu?

- Człowieku, ja jestem na klarywidencie! Wiesz, jak działa klarywidenta? Ten kod ma z szesnaście znaków!

- Kod, skurwysynu! - ryknął do niego, przyciskając go do drzwi.

I w tym momencie światło na panelu zmieniło się z czerwonego na zielone.

Drzwi otworzyły się, nie jak się spodziewałeś, na zewnątrz, tylko wsunęły się w ścianę. I to bardzo szybko. Tak szybko, że ledwo zdążyłeś odciągnąć od nich Byczą Głowę.

A za drzwiami zobaczyłeś mnie.

Albo raczej jedną z moich emanacji.

Bo ze środka wyskoczyła strzyga. I kilkoro małych strzyżątek. Błysnęły jakieś ostrza, powietrze przeciął wizg i charczenie, bo zobaczyłeś, jak Bycza Głowa pada na ziemię z gardłem rozerzniętym od ucha do ucha.

Ty dostałeś najpierw w brzuch, a później poczułeś, jak coś ostrego przejeżdża ci po nodze, i ledwie się uchyliłeś. Ale upadłeś.

Gdy podniosłeś głowę, zobaczyłeś, że stoi nad tobą dziewczynka, miała może z trzynaście lat, a twarz tak paskudnie oszpeconą bliznami, że o mało nie odwróciłeś wzroku.

Za nią stało kilkoro innych dzieci. Tak, rozpoznawałeś te dzieci.

To były dzieci Santany. Te, które adoptował, „bo wojna”. Starsze o kilka lat. Patrzące na ciebie złym wzrokiem.

- Cześć, braciszku - powiedziała dziewczynka, wysoka jak na swój wiek, ale chuda, wręcz upiornie koścista. - Jestem Anna, twoja siostra. Zabiłeś moją mamę. - I szybkim, błyskawicznym wręcz kopnięciem uderzyła cię wojskowym butem prosto w metalową płytkę.

I straciłeś przytomność.

JEZUS

Obudził cię zapach palonych konopi.

Ocknąłeś się i zobaczyłeś, że jesteś oklejony skoczem jak mumia: ręce w łokciach, dłonie z przodu, nogi w kolanach i w kostkach. I przyklejony tym skoczem do krzesła. A w drugim fotelu siedział Jezus Santana, kurzył konopnego rifea grubości palca i miło się do ciebie uśmiechał. Postarzał się i trochę schudł, przez co miły uśmiech w tej pociętej bliznami twarzy sprawiał jeszcze bardziej przerażające wrażenie niż dawniej. Ale faj nie miał, rozejrzałeś się, Bycza Głowa, teraz już najwyraźniej świętej pamięci Bycza Głowa, w tym bunkrze. Foteliki, ława, kanapa, biurczko. Siedzieliście w czymś, co wyglądało na prywatny gabinet. Nawet w bunkrze miał prywatny gabinetecik, co będzie się wiceprezydent, kurwa, z plebsem tłamsił. W ściany wmontowane były ekrany, na których wyświetlał się widok z kamer monitoringu wokół i wewnątrz domu. Widziałeś na nich, jak kręcą się wokół willi, w której się znajdowaliście, uzbrojeni OOS-owcy, wśród których rozpoznawałeś tych ze słynnego zaginionego oddziału. Głównie po pociętych bliznami twarzach.

- No proszę, Kary - mówił Santana. - Spodziewałem się raczej Wojska Polskiego, a tu proszę, dawny kolega. Siedzę ja ci tutaj, nudzę się potwornie, popalam sobie konopijkę, patrzę z nudów na monitoring i kogo ja widzę. Dobrze wyglądasz! Chcesz się zaciągnąć? - Pokazał ci rifea.

- A czemu, w sumie, nie - mruknąłeś.

Santana wstał, przykucnął przy tobie. Wsadził rifeera do ust żarzącą się częścią i wydmuchnął filtrem dym do twoich ust.

Zaciągnąłeś się. I roześmiałeś, parskając dymem.

- Na Fernandynie nazywamy to „duchem” - powiedział Santana, siadając.

- Wiem - parsknąłeś. - Kim była ta dziewczynka? - Poczujesz, jak konopie wpełzają ci ciepło w mózg, w ciało. - O co tu chodzi? Powiedziała, że jest moją...

- Ania! - krzyknął Santana, nie spuszczać z ciebie wzroku. - Chodź do tatusia. Do rodziny!

Otworzyły się drzwi. Ania, na oko trzynastoletnia, weszła do gabinetu.

Już na Fernandynie zrobiła na tobie wrażenie dziwnie oderwanej od rzeczywistości. Była wycofanym dzieckiem, które wyglądało na autystyczne. Myślałeś nawet, że jest niedorozwinięta.

Teraz, z pociętą twarzą i nieprzytomnym jakby wzrokiem, wyglądała jak wampirzyca z horrorów. Oboje zresztą wyglądali jak para potworów. Z przerażeniem skonstatowałeś, że blizny na jej twarzy były prawie identyczne z bliznami Santany. Ten, kto ją ciął, musiał patrzeć na niego i odtwarzać. Zresztą może to sam Santana ją ciął. Patrząc w lustro.

Westchnąłeś.

Ania usiadła na kanapie. W kucki. Patrzyła na ciebie wzrokiem obrażonej, złej nastolatki. Marszczyła to, co zostało jej z nosa. Miała na sobie wojskowy podkoszulek i polowe spodnie wsunięte w wysoko sznurowane wojskowe buty. I jedno, i drugie wisiało na niej jak na strachu na wróble.

Spuściłeś wzrok.

- Ania, tak. No, ona bardzo, wiesz, cieszyła się, że być może uda się wam spotkać. Mówiłem: nie, Franek Kary nas nie lubi, nie niepokójmy go. Możemy go, mówiłem, oczywiście porwać i dać ci do zabawy, ale to nie jest sposób, w jaki nawiązuje się relacje z bratem. No ale gdy już byliśmy w Kalwarii, Ania nie mogła się powstrzymać. Prawda, Aniu?

Ania nie spuszczała z ciebie złego wzroku.

- Tak. Zastanawiałem się, czy znajdziesz w ogóle te ślady, które zostawiała dla ciebie twoja mała siostrzyczka Ania, ale to w zasadzie nie było istotne... To wszystko tak pobocznie, z sympatii. .. To była jej inicjatywa. W ogóle wszystko było jej inicjatywą. Prawda, Aniu?

Pokiwała głową.

- Dlaczego nazywasz ją moją siostrą? Dlaczego powiedziała, że zabiłem jej mamę?

Roześmiał się.

- Pamiętasz Dolores? Gdy była mała, przywiozłem ją do Polski. Do Kalwarii. Rozumiem, że doszedłeś jakoś do tego, co tam robiliśmy. Co? W ramach naszego, nazwij my to tak, klubu?

- Doszedłem. - Splunąłeś. - Bardzo sympatyczny klub. Gdyby nie to, że jesteś, że tak się wyrażę, ciemniejszej karnacji, pomyślałbym, że to ty mógłbyś być moim ojcem.

Roześmiał się.

- Nie. Twoja matka podczas naszych rytuałów nie zaszła w ciążę. Ale muszę przyznać, że ... - Cmoknął ustami.

Zamknął oczy.

Uśmiechnął się.

Otworzył oczy.

- O, jak bardzo cię, kurwa, zabiję - powiedziałeś słodko.

- O, jak bardzo mnie nie zabijesz. Plan jest inny. Może nawet ci się spodoba. No ale dobrze, dobrze. Dobrze, że cię doceniałem. No więc gdy Dolores była mała, a ja się nią opiekowałem, bo wiesz, jestem dobroczyńcą, przyjmuję pod swoje skrzydła sierotki, małe dzieci. ..

- Ty skurwysynu, gnido pedofilska...

Jezus się uśmiechał.

- W każdym razie Dolores, cóż ... - podjął - wzięła udział w naszym obrzędzie.

Wyobraziłeś sobie, jak odrywasz głowę Santany od dała, wydłubawszy mu uprzednio oczy.

- A skąd wiadomo, że ona - wskazałeś Anię podbródkiem - jest córką właśnie ...
- splunąłeś - Lasoty?

- No popatrz na nią. - Santana uśmiechnął się szeroko. - No, teraz to może faktycznie mało widać. Zamazane. Ale dawniej jedno spojrzenie i brak wątpliwości. Podobieństwo do twojego taty jak na dłoni. Dwie krople wody. Ani do Tyca, ani do Tarnowskiego, ani do Hyckego... a do Lasoty, ho, ho. Musisz mi zaufać.

- Ufam. Jak Zawiszy.

- Wspaniale. A ten cały spektakl z polowaniem na członków naszego małego klubiku to był jej - wskazał palcem Annę - pomysł. Żeby pozabijać wszystkich, którzy brali udział w tym niecnym procederze. -Roześmiał się. - Bo ona, Ania, uznała, że to, co robiliśmy z tymi paniami, było, jak to nazwałaś?

- Niegodne - powiedziała Ania głosem tak skrzekliwym, że aż się skuliłeś, bo to było tak, jakby ktoś szkło drapał.

- Tak. Niegodne. I uznała, że wszystkich tych złych panów trzeba pozabijać. A ja się zgodziłem. Czemu nie. Miałem już własny plan na powrót do Polski. Na to, by dokonać w niej zbiorowego samobójstwa. Trochę dlatego, że to bardzo piękne, gdy el cazador staje się el cazado. Ale też z miłości. Z czułości. Chciałem ją pochować. Wrzucić ten przeklęty kraj do trumny. Bo on jest już nie do odratowania. Dawniej myślałem, że da się ją uratować. Ale myślałem tak wtedy, gdy jej nie widziałem. Gdy o niej myślałem, tam, na Fernandynie. A potem musiałem stamtąd uciekać, więc uciekłem tam, gdzie najciemniej . Po latarnię. I patrzyłem, patrzę na nią. Nie wyobrażam jej sobie, widzę ją. I wiem, że nie da się jej uratować. Bo ona jest jak stwór, co od wieków zdycha i zdechnąć nie może. I trzeba jej ulżyć w cierpieniu. Kocham ją, ale jeśli się naprawdę kogoś kocha, nie wolno się bać uderzyć mizerykordią.

- Mizerykordią... - powtórzyłeś bezwiednie słowa Santany.

- Tak, Kary. Tak. Żeby się nie męczył. Bo jeśli ani żyć, ani umrzeć sam nie potrafi, to trzeba mu pomóc.

Zamknąłeś oczy i starałeś się odpędzić od siebie przekonanie, że on ma, kurwa, rację.

- Już się tu zacząłem instalować. A tu niespodzianka, kolego Kary. To tobie zawdzięczam, że musiałem nieco zmienić profil. Słyszałeś o sekcie Farugi?

Wywróciłeś oczami.

- No nie...

- No tak. Tak. W zasadzie plan od samego początku był podobny: zataczać coraz szersze kręgi, dotrzeć do tych najbardziej otwartych na mistykę kręgów władzy. Czyli do OOS-ów. Nawet się zainstalowałem tutaj, po sąsiedzku. Ale musiałeś, kolego, przyjść i się, kolokwialnie mówiąc, wpierdolić między wódkę a zakąskę - rozrechotał się Santana. -No ale nic. Przeniosłem się dalej, podniosłem wyżej przyłbicę. Musiałem przyspieszyć działanie. Uświadomiłeś mi, jak kruche są ludzkie plany. -Roześmiał się znów, mocno już, widziałeś, upalony. Nie mógł powstrzymać konopnego śmiechu.

Po jakiejś minucie Santana otarł łzy dłonią i odetchnął głęboko.

- No ... ha, ha, ha... o rany, świetne te konopie. A wracając do tematu ... Potrzebowałem jakiegoś rytmu, potrzebowałem klucza do obrzędu... każdy obrzęd to rytm. A obrzęd ku czci Króla Jansa, ducha polowania, zabijania, ale i zmartwychwstania, to polowanie. Tylko musieliśmy znaleźć kogoś, na kogo możemy polować. Ofiarę. No i Ania podsunęła ten mój dawny klub. I to był idealny pomysł, bo żeby koło, dzięki któremu przywołuje się Króla Jansa, się domknęło, to polujący musi stać się ofiarą. El cazador staje się el cazado. A ofiara myśliwym. Tak to wygląda.

- To dlaczego ciebie nie zabiła? Wiesz, dziewczynko - choć się przed tym powstrzymywałeś, jak mogłeś, zacząłeś szukać w jej oczach podobieństwa do swoich: w oczach, w kształcie szczęki, w nosie, w tych wszystkich częściach

twarzy, które nie były pocięte szerokimi, paskudnymi szramami - że on też gwałcił twoją mamę?

- A ty ją zabiłeś - zaskrzeczała, wstając i patrząc na ciebie z nienawiścią.

Znów rysowanie po szkle. Co on jej, kurwa, struny głosowe też pociął?

- Urodziła się z jakąś wadą krtani - powiedział Santana, jakby czytał ci w myślach. - Amy, wiesz, polowe warunki, Fort Jezus, nie mieliśmy za bardzo jak leczyć. No ale co, mnie miała zabić? - Roześmiał się. - Przecież ona dla mnie jak córka, to i ja dla niej ojciec. My ze sobą rozmawiamy, my przepracowujemy problemy, Kary. Jesteśmy szanującą się wzajemnie rodziną, opartą na partnerstwie. Wyjaśniłem, przeprosiłem, obiecałem poprawę. Prawda, córeczko?

Ania skinęła głową.

- Ktoś musi to wszystko trzymać w kupie. - Santana podpalił gasnącego rife, bo gruby był jak cygaro. - Ona wie, że ja jestem tym wybranym. Że mnie nie można tak prosto oceniać, bo ja wykonuję tylko wolę duchów. Wolę Króla Jansa, wolę Starego, wolę Ersulii. Prawda, dziecko? Ale gdy dowiedziała się, że idzie zabić swojego ojca, tego, który skrzywdził jej braciszka, braciszka, którego nigdy nie poznała, pozostawiła ci, Kary, trochę śladów... zadbała o odpowiednią oprawę zabójstwa Lasoty. Ona lubi się tak bawić. Lubi wyzwania. No i umie wszystko, umie doskonale. Jest świetnie wytrenowana. Trenowali ją najlepsi. Od dziecka. Prawda? Pomagali oczywiście wujkowie. Ci z legionu Króla Jansa. Bo wujkowie ją trenowali, prawda, Aniu? Od dziecka. Od dziecka szkolona w pięknej sztuce walki korona, którą wy, żołnierze, nie wiem czemu tak paskudnie nazywacie: pieswyb. Im też musiałem znaleźć jakieś zajęcie. Bardzo się zaangażowali w to, co prasa zaczęła nazywać „morderstwami Kuby Hieroglifa”. I co później, he, he, wymknęło się spod kontroli, bo kto by się spodziewał, że w tym społeczeństwie każdy będzie chciał skorzystać na takich podłych morderstwach i przy okazji załatwiać swoje sprawy ...

Poczułeś, że się, Kary, trochę jakby pocisz. Pewnie od konopi, pomyślałeś.

- Legion Króla Jansa? To tak się teraz nazywają osowcy z zaginionego oddziału?

- Tak, tak. Oni bardzo, wiesz, jak wy to mówicie, wkręcili się w kult Króla Jansa. Nawet uznali, że Król Jansa to może być wcielenie króla Jana Sobieskiego. - Zachichotał. - Widzisz, każdy znajdzie w oju coś dla siebie.

Zachichotałeś. Jan Sobieski. No jasne!

- No i, oczywiście, wtedy jeszcze nie wiedziała, że zabiłeś jej mamę.

- A kiedy się dowiedziała?

- A niedawno. Całkiem niedawno. O, jak się zasmuciła, Kary, mój Boże... Ale wcześniej, gdy nie wiedziała, to nawet twoje obrazki rysowała. A może nawet jeszcze można je zobaczyć, bo malowała na ścianach, w Czarnym Pałacu... No ale ty już nie zobaczysz. Ani my. A ona, Ania, postanowiła poświęcić swoje życie Ersulii. Nie wiem dlaczego, osobliwie sobie właśnie ją umiłowała. Ersulia to, Ersulia tamto. Gdy się dowiedziała, że dostałeś w głowę, modliła się mocno do Ersulii, żeby wzięła cię pod opiekę. I co, być może wzięła.

Wzięłam, Kary. Wzięłam.

Wiesz o tym.

- A potem, w twoim dawnym domu ... wzniosła ołtarzyk ku czci Ersulii na podwórzu Tak? Modliła się gorąco za ciebie, odprawiła obrzęd ... prawda?

- Tak, tato. I zostawiłam Frankowi jego naszywkę...

- Skąd ją miałaś? - Musiałeś się zmusić, by zwrócić się bezpośrednio do niej. Zły brat. A mała tak się starała!

- Mama mi dała. Powiedziała, że to braciszka. A ty ją zabiłeś! -ryknęła. I ukryła twarz w dłoniach.

Ledwie oderwałeś od niej oczy. Miałeś serce jak jajko na miękko.

- Ale po co to wszystko? - zwróciłeś się do Santany. - Po co te obrzędy? Po co zamąciłeś we łbie Byczej Głowie? Po co to wszystko, co zrobiliście w kraju ...

- Mówiłem ci.

- Bo tak naprawdę jesteś zblazowanym arystokratycznym gównem? Wszystko jedno, czy na Fernandynie, czy w Polsce? Zblazowanym skurwysynem, który lubi sobie postrzelać razem z innymi zblazowanymi arystokratycznymi albo nuworyszowskimi skurwysynami do motłochu?

A jak mu się znudzi, to wymyślać mu gry i zabawy w rodzaju rewolucja narodowa?

- No wiesz - zachichotał Santana - nie wolno w ten sposób mówić o dekolonizacji i walce narodowowyzwoleńczej przeciw ciemnicy! Swoją drogą - pogroził ci palcem - nieźle nam namieszałeś z tym atakiem na Fort Jezus. Zuch! Tylko że nas tam nie było. Byliśmy akurat z Legionem Króla Jansa w akcji. Tak, tak, Kary. - Roześmiał się. - Ja, zblazowane arystokratyczne gówno, też czasem chodziłem do lasu.

- No i co? - odpowiedziałeś. - Jak ci się znudziła walka narodowowyzwoleńcza, to postanowiłeś się z nudów pobawić w dywersję?

- Ha, może i z nudów. - Santana puszczał sobie kóleczką z dymu. - Ale jaka dywersja, Kary. Nie obrażaj mnie. Mówiłem: rozszerzone samobójstwo. To piękne, doniosłe zadanie! Pomóc męczącemu się narodowi zamęczyć się do końca! I jakie to wszystko proste! Mówiłem: szantażują was Anglosasi i Francuzi? Nie uginajcie się! Jesteście dumnym narodem! A ten kretyń Snardz z idiotą Dowkontem tylko kiwali głowami. Ani guzika od munduru! Ani kroku z Ukrainy! Nie negocjujemy z terrorystami!

- A co mówiłeś OOS-owcom? Żeby się naćpali i zaczęli strzelać do ludzi?

- No cóż. Prawdę, Kary. Że Polska potrzebuje nowego startu. Że Polska ma inne miejsce, inny los, inny kontekst. Że poszła złą drogą i musi się zresetować. Że potrzebuje zmartwychwstać. Polska poszła na Zachód, a jest Wschodem. Polska poszła w morze, a jest lądem. Zachód to morze. Wschód to ląd. Polska poszła w złą stronę. Tłumaczyłem ci to na Fernandynie.

- Bardzo piękna prawda.

- Dziękuję.

- Taka nieprawdziwa.

- No, Kary. - Santana udał obrażonego. - Więcej się po tobie spodziewałem. Naprawdę uważasz, że nieprawdziwa?

- Jezu, Santana - westchnął. - Polska, Fernandyna, Anglosasi, Francuzi, Niemcy, to, jak to mawia pewien mój znajomy, tylko konstrukty kulturowe, i trochę nie ma sensu traktować ich zbyt serio. Bo tylko ludzie przez to cierpią.

- Człowiek to też konstrukt kulturowy. - Santana wzruszył ramionami, uśmiechając się szeroko. - I uwierz mi, nigdy nie traktowałem go zbyt serio. Włącznie ze sobą.

- Widzę - odpowiedział. - I nawet trochę doceniam. Konsekwencja u nihilistów zazwyczaj kończy się w punkcie, w którym nihilistyczne podejście trzeba na serio zastosować do samego nihilisty. Wtedy się okazuje, że wcale tak ochoczo nie pędzą ku autodestrukcji.

- Dziękuję. No ale widzisz. Nuda. Mimo że życiowe przyjemności są miłą, cóż pozostaje jak nie one? A gdy już wszystko ci się znudzi, wszystkie gry, zabawy i perwersje, pozostają tylko narkotyki. A władza, sprawianie, że ludzie wierzą w ciebie jak w Jezusa Chrystusa... Czy ty wiesz, jaki to jest silny narkotyk? Gdy widzisz, że wierzą? Gdy mówisz ludziom coś, co wymyślisz, a to się natychmiast staje ciałem? Prawem? Po jakimś czasie sam nie wiesz, czy przypadkiem jakaś wyższa siła przez ciebie nie przemawia. I po jakimś czasie myślisz, że chyba jednak przemawia. A potem jesteś pewien, że przemawia.

- Tak. Król Jansa.

- Tak. I Stary. A przez nią - Santana wskazał Anię - Ersulia.

- Przecież ty to wymyślasz. Nie wierzysz.

- Albo to oni we mnie wymyślają. Nawet nie wiesz, Kary, jakie rzeczy można ludziom wmówić. Nawet nie wiesz ... - Roześmiał się. - Zresztą -nagle spoważniał - mnie nudzi ta jebana tyrania konsekwencji. Ja robię rzeczy dlatego, że robię. A chcę, bo chcę. I tyle.

- Ale na końcu, tak czy owak, okazujesz się po prostu zwykłym, zblazowanym dupkiem. - Pokiwałeś głową. - Który akurat ma dar manipulowania ludźmi.

- Dar - parsknął Santana. - Dar to jedno, ale dary trzeba szlifować. Ale wiesz, ile ja w to włożyłem ciężkiej pracy? I kto to doceni? Kto?

Na zewnątrz rozległy się odgłosy strzałów.

Spojrzelście na monitory.

OOS-owcy, ci, którzy pozostali przy Santanie, i, cóż, Legion Króla Jansa, zbierali się przy wyjściu i rozbiegali po ogrodzie.

Do środka wszedł wysoki mężczyzna w czarnym mundurze. Twarz miał pociętą, ale poznałeś w nim Komeciarza. Głównie po ptasiej szyi i wydatnej grdyce. Dowódcę zaginionego oddziału. Szefa dziesięciu wspaniałych. Tego, który tak zachłannie słuchał Santany podczas ceremonii klarywidenty parę dni po wzięciu w niewolę. Spojrzał na ciebie obojętnie.

A potem na Santanę.

- Generale, strzelają, idą.

- Brońcie. Nie puście.

- Tak jest, panie generale.

- A teraz zostawcie nas.

W oczach Komeciarza coś mignęło. Staął na baczność i zasalutował.

- Generale, to był honor...

- Dobra, dobra. - Santana machnął ręką.

Komeciarz zwiotczał jakby. Popatrzył na Santanę z czymś, co wydało ci się, Kary, rozczarowaniem. I powiem ci, że dobrze ci się wydawało. Ale cóż mógł zrobić biedny Komeciarz. Przecież już było za późno. Przecież już zainwestował wszystko, co miał. Teraz miał się wycofać? Gdzie? Dokąd? Po co?

Mój Boże, Kary. Przecież on nawet już własnej twarzy nie miał.

Wyprężył się więc, zasalutował po polsku, dwoma palcami, i poszedł.

- A więc to już - westchnął Santana. - No cóż, czekałem na to. Znudziło mi się to wszystko już dawno. Córeczko - zwrócił się do Ani. - Daj mi to.

Ania wyjęła granat z kieszeni wojskowych spodni. Podała mu.

- Zawołaj rodzeństwo.

Ania posłusznie wstała i wyszła z gabinetu.

- Granat - powiedziałaś tępo.

Santana się roześmiał.

- A granat. Szybko pójdzie.

Ania wprowadziła do gabinetu grupkę dzieci. Chłopców, dziewczynki. W różnym wieku. O różnych odcieniach skóry. Wszyscy byli w wojskowych ciuchach. Na wszystkich wisiąły jak mundur na Szwejku.

- No - powiedział Santana - chodźcie tu, dzieci. Chodźcie do taty.

Dzieci obsiadły go, jak szczenięta obsiadają psa.

Wyciągnął zawleczkę. Zamknął oczy.

Zanim poczułeś, że świat drży, a cisza stała się nieznośna, i zrozumiałeś, że jest jednym wszechogarniającym hukiem, zdążyłeś przewrócić się razem z krzesłem, odbić nogami od ściany i czyniąc ciałem dość żenująco wyglądające, Kary, wygibasy, wturlać się za ciężkie biurko, mahoniowe chyba, na twoje chamskie oko. Ale na twoje chamskie oko, Kary, to byle farbowane na ciemno drewno może uchodzić za mahoń.

POWOJNIE

Szpital.

Biały sufit.

Byli lekarze, poszli. Powoli wracają wspomnienia.

Jestem Kary.

Jestem Franciszek Kary.

To jest Złota.

Złota się uśmiecha.

Złota...

O.

Złota jest teraz przywódcą narodu!

Tak przynajmniej mówiła.

Wszystko, co mówi Złota, jest prawdą.

- Złota - pytam. - Czy jesteś przywódcą narodu?

- Nie - odpowiada Złota, śmiejąc się.

- Akta?

- Potem, potem. Leż.

- Złota.

- Franek.

- Złota. Jak wygląda świat?

- Lepiej niż ty.

Parskam śmiechem.

- Opowiem ci - mówi. -Ale później .

- Złota... - Poważnieję. - Przepraszam.

- Za co? Za to, że nie odbierałeś cały wieczór telefonu?

- Nie ... za to, że nie upilnowałem twojej siostry.

- Mojej... kogo?

- Siostry. Beaty. Że umarła.

Złota patrzy na mnie smutnymi oczami. Zmartwionymi oczami.

- Franek.

- Złota.

- Franek. Jeszcze majaczysz. Ja nie mam i nigdy nie miałam żadnej siostry.

- Cześć, Kary - słyszę w głowie głos. Dobrze znany głos.

- Żegnaj.

Pozdrawiam.

Hi, hi.

To był tylko taki żart.

KONIEC

Spis treści:

Karta tytułowa

1. Kary
2. Trupy
3. Rasa
4. Cham z kulą w głowie
5. Wolf
6. Hieroglif
7. Szlagon
8. Zło
9. Co się wydarzyło w Bożycach pod Radomiem
10. Beata
11. Dwójka
12. Kalwaria
13. Hycke
14. Dziewczyna
15. Złota
16. Miguelito
17. Wilno
18. Sarkań
19. Derwicz
20. Trup diabła
21. Ludzie bez twarzy
22. Czarne Antki
23. Dwa narody wybrane i Wielka Neandertalia
24. Jezus Czarnych Antków
25. Dziecinne pytania
26. Polak łowny
27. Martwe ziemiańskie dusze

28. Ostatnia wódka przed bombardowaniem

29. Przedwojnie

30. Jezus

31. Powojnie

Karta redakcyjna

Copyright © by Ziemowit Szczerek

Projekt okładki

Tomasz Majewski

Zdjęcie autora na okładce

Albert Zawada

Opieka redakcyjna

Ewa Bolińska-Gostkowska

Adiustacja

Magdalena Matyja-Pietrzyk

Korekta

Małgorzata Kuśnierz

Anna Niklewicz

ISBN 978-83-240-7253-8

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek